

Anatolij Toss

Fantazje
kobiety
dojrzałej

Przełożyła
Ewa Oranowska-Wróbel

BELLONA
Warszawa

Dedykuję C.J.

Część pierwsza

Podoba mi się to uczucie. Czuję się dziwnie niezdarnie, niezdarnie aż do absurdu. Wydaje mi się, że części mojego ciała, zawsze tak proporcjonalne i zgrabnie ze sobą współpracujące, teraz zostały wymienione na nowe, nieprzyzwyczajone do siebie i nie dotarte.

Otulam się szczelniej kurtką – nie dlatego, że jest mi zimno: wilgotny, jesienny chłód z łatwością przenika przez ubranie. Jak brzmi to odpowiednie słowo? Zakrywam dłońmi twarz, próbując sobie przypomnieć, co to było za słowo... To wszystko ten gęsty las, ja i tak nie otwieram oczu, lecz on swoim mnóstwem odrostów, wszystkimi spletanymi liśćmi, gałęziami i korzeniami próbuje mnie sobie podporządkować, żeby później, już całkowicie bezwolną, udusić i niepostrzeżenie zagarnąć i włączyć do swojego ekosystemu.

„Zgniły” – nieoczekiwanie wystrzeliło ze mnie zapomniane słowo. Oczywiście: zgniły, wszystko tutaj jest zgniłe – i powietrze, i nieustannie wilgotna, przywiedła roślinność pod stopami i poskrzypujące kołysanie się drzew, i sam jesienny las, i ja, i moje myśli. Podoba mi się to słowo. Należy do tych, które nazywają rzeczy po imieniu, dokładnie tak, jak je odczuwamy, w samym jego brzmieniu już żyje wilgoć i zepsucie, a ja powtarzam je sobie, rozsmakowując się w nim, „zgniły, zgniła, zgniłe”. Jeszcze szczelniej otulam się kurtką i wsuwam ręce głęboko w kieszenie, żeby zatrzymać pozostałe we mnie resztki ciepła, biegnę

w stronę domu, nieuważnie deptając botkami rozmokłe porosty.

I znów przypominam sobie sen, jaki miałam tej nocy. Jest natrętny, śni mi się już od dawna, a ja wciąż i wciąż budzę się spocona i zapłakana i nie mogę uporać się z sennym koszmarem.

To samo było tej nocy, może właśnie dlatego przechodzą mnie teraz dreszcze. Po prostu dreszcze nie minęły, kiedy otworzyłam oczy, a sen jeszcze polatywał nade mną, nie zdążywszy ulecieć.

Wszystko zaczęło się od tego, że stałam przy oknie w dużym pokoju i patrzyłam na znikające w oceanie słońce. Drepczące, a jednocześnie urzekające piękno zachodu przykuwało całą moją uwagę, ale nagle, nie wiem dlaczego, odwróciłam się. W świetle drzwi stał Steve, niedbale oparty o futrynę. Poznałam go od razu po tej niedbalej pozie, po promiennym uśmiechu, a kiedy zrobiłam krok naprzód – po wesołych, roześmianych oczach. Oderwał plecy od futryny, jego ruchy były ostentacyjnie niedbale, nieco leniwe i ruszył naprzód. Teraz stał tak blisko, że słyszałam jego oddech, który czułam na swoim policzku.

– Tak, Jackie, tak dawno nie byliśmy w tym domu. Wiele lat upłynęło.

– Wiele lat – zgodziłam się.

– Byliśmy szczęśliwi, pamiętasz? – zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę.

– Nie trzeba – powiedziałam, próbując go odepchnąć, osłonić się ręką, ale on ją pochwycił i ścisnął tak, że poczułam ból, przyciągnął do siebie, staliśmy twarzą w twarz, tak że czuliśmy swoje oddechy.

– Dlaczego nie trzeba? – ten jego urywany głos, jakby się denerwował, ale ja znałam jego skrywane zdenerwowa-

nie, ono tało w sobie podstęp. – Pocałuję cię. Spodoba ci się. Zawsze ci się podobało. Prawda?

Rozbierał się, wiedziałam, że on zdaje sobie sprawę, że nie mogę mu odmówić. Dlatego zapytał i dlatego też uśmiechał się. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, nie mogłam na nich ustać, Steve mnie podtrzymywał. Potem poczułam dotyk jego warg, ich zapach i smak – wszystko równocześnie. Zawsze czekałam, kiedy mnie pożre swoimi ustami, zdusi, stłamsi, ale odczuwałam tylko muskanie, lekkie, podniecające muskanie.

– Chodźmy – wyszeptalam i sama pociągnęłam go za rękę – chodźmy, nie wytrzymam dłużej.

Ale on się nie ruszał, patrzył tylko na mnie i uśmiechał się kącikami warg.

– Oczywiście – zgodził się – już dawno z nikim nie byłaś. Oczywiście, nie możesz już dłużej czekać. Czyż nie?

– Tak, dawno z nikim nie byłam, bardzo dawno. Ale jeszcze dłużej ciebie nie było u mnie.

Nie powinnam tak mówić, ale nie byłam w stanie zapamiętać nad tym, co wypowiadają moje odrętwiałe wargi. Teraz roześmiał się głośno, a ja wiedziałam, że to nie jest przyjazny śmiech, nie wierzyłam mu, było w nim więcej drwiny niż humoru. Próbowalam się wyrwać, ale Steve trzymał mnie mocno.

– No tak, oczywiście – prawie łaskotał mnie w twarz – ale jak mogłam być u ciebie, jeżeli w ostatnim okresie, można by powiedzieć – stosunkowo długim okresie, mnie jakby nie było. I jak w ogóle mogę być, skoro ty mnie zabiłaś? Słuchaj, ja nie rozumiem dlaczego? Dlaczego mnie zabiłaś?

– Nie! – krzyknęłam, próbując przebić się przez jego śmiech, przez jego słowa, wyrwać się z jego rąk, które tak mocno mnie trzymały.

– Ależ tak – był spokojny i wesoły, jakby żył. – Oczywiście, że zabiłaś. I nie wrywaj się, ja i tak z ciebie nie zrezygnuję, nigdy nie zrezygnuję.

Ucichłam na chwilę, a on wytrzymał pauzę, także na chwilę.

– No pięknie, zabiłaś mnie – teraz już się nie śmiał, głos miał poważny, lecz śmiech pojawił się w oczach. – To wspaniale, częściowo sam się o to prosiłem, ale dlaczego zabiłaś tamtego przystojniaka? Jak to go nazywali? Dziwnie się o tym mówi. Przecież on cię kochał, był bezbronny wobec ciebie.

– Puszczaj – znów próbowałam krzyknąć, ale łzy zalewały mi twarz, a jeszcze to drżenie... – Puść mnie, nikogo nie zabijałam, sam wiesz, że nikogo nie zabijałam!

– Ależ zabijałaś! Wszystkich, których kochałaś, zabijałaś, absolutnie wszystkich. I jeszcze tego tam, jak mu było na imię, zapomniałem, takiego byle jakiego, lichutkiego. – Znów zarechotał. – Jego, oczywiście, wcale niełatwo było zabić, ale ty to bardzo dobrze zrobiłaś, po mistrzowsku, ty jesteś naprawdę mistrzynią, ja, w pewien sposób, nawet jestem z ciebie dumny. – Oczy Steve'a były roześmiane, wręcz jarzyły się.

– Dlaczego tak mówisz? – przerwałam mu. – Przecież wiesz, że to nie tak! Ty wszystko wiesz! – Moje ciało już nie drżało, a wręcz trzęsło się. „Jak w konwulsjach – pomyślałam – jak podczas ataku epilepsji”.

– Właśnie dlatego o tym mówię.

– Nie, to nieprawda, ty wiesz, że to nieprawda. Idź sobie, ja niczego nie chcę, ja niczego teraz nie mogę... – znów próbowałam się wyrwać – ty przecież wiesz, że to wszystko nie tak.

– Pozwól, że cię pocałuję jeszcze raz, ostatni raz. – Jego głos skrywał przebiegłość, przebiegłość i podstęp.

– Nie, nie chcę! Ja nie chcę, puść mnie! Ja nie zabijałam, słyszysz, nikogo nie zabijałam!

– No dobrze, może zabijałaś, może nie. Jakie to teraz ma znaczenie? Przecież nikt nie wie. Tylko ty i ja, więcej

nikt, a ja nikomu nie powiem. – Steve znów wybuchnął śmiechem. – Dlatego – pochylił się w moją stronę i wyszeptał: – Dlatego że ja jestem martwy, bo ty mnie zabiłaś. – A potem, jednym tchem: – No, pocałuj mnie, przecież chciałaś, dopiero co tego chciałaś.

– Nie! – krzyczałam – nie!

Potem nie miałam już czym oddychać, zaczęłam się dławić, pewnie łzami, i otworzyłam oczy. Leżałam mokra, trzęsąc się ze złowieszczonego chłodu, potrzebowałam czasu, żeby zrozumieć, że to wszystko było tylko mara, jeszcze jednym snem.

Bardzo potrzebowałam tego, żeby światło poranka, cisza w pokoju i panujący tu spokój wypełniły mnie i wyparły ze mnie, na ile to możliwe, złowieszczy nocny koszmar.

Chyba zupełnie niepotrzebnie tutaj przyjechałam, pomyślałam, wyszukując wzrokiem zarośniętą trawą ścieżkę, prowadzącą w stronę domu. Przeżyłam tu prawie trzy tygodnie, a te makabryczne sny, mimo że śnią mi się rzadziej, to jednak nie opuściły mnie całkowicie. A przecież ci lekarze radzili mi oderwać się od prześladowającego mnie świata, wyjechać gdziekolwiek w jakąś głuszę, tam gdzie nikt nie będzie mnie niepokoił. Oni nazywali to okresem rehabilitacyjnym i mówili, że to dla mnie konieczne i w ten sposób szybciej wyzdrowieję.

Właśnie wtedy przypomniałam sobie ten dom w lesie. Właściwie to nigdy o nim nie zapominałam, on już wcześniej, wiele lat temu, kiedy przyjeżdżałam tutaj ze Steve'em, był związany ze mną, każdym swoim skrzygnięciem, on, jak zapomniany dziadek, hołubił mnie i kołysał, usypiając mnie ciepłem i skąpymi wygodami. Stary, sam drzemiący, jak podchodzący pod niego las, jak ocean poniżej, ten dom lubił dawać poczucie bezpieczeństwa, rozweselać dziewczynę, widocznie ona bawiła go, odmładzała, nawet teraz, kiedy minęło tak wiele lat, on pamięta mnie i przyjmuje.

Zacząłam załatwiać formalności, bałam się, że ktoś już w nim zamieszkał, ale udało mi się, dom, jak dawniej, stał pusty. Wynajęłam go.

W taki właśnie sposób znalazłam się w Maine. Czekał na mnie samochód i kierowca próbował ze mną rozmawiać podczas długiej drogi, a potem, kiedy dojechalśmy na miejsce, wyjął z bagażnika walizki. Zaproponował, że wnie- sie je do domu, ale odmówiłam: chciałam, żeby jak naj- szybciej odjechał, chciałam zostać wreszcie sama.

Dom przyjął mnie tak, jak sobie obiecywałam, czułam się spokojnie i niezwykle podniosłe, jak już dawno się nie czułam. Budziłam się o poranku, kiedy sypialnię wy- pełniały lśniące i pachnące promienie słońca, przenikające przez ciemnomiodowe bierwionowe ściany i rozjaśniające je, dodające im, tak jak powietrzu wokół, jasnoburszty- nowego blasku. Wstawałam od razu ożywiona i świeża, a potem, narzuciwszy na siebie ciepły szlafrok i zapa- rzywszy herbatę, pośpiesznie wychodziłam na werandę wiszącą ponad oceanem.

Pleciony fotel bujany czekał na mnie, słońce, spowite w poranną, jesienną mgłę, wschodziło za moimi plecami, towarzysząc już nie tak silnym i nie tak częstym przy- pływom oceanu. Mogłam tak siedzieć długo, bardzo długo, nawet po tym, jak moje ciało już całkowicie wchłoneło ciepło promieni słońca; mój fotel monotonicznie poskrzypywał pode mną, a mój słuch i wzrok – i świadomość były przy- tłumione i uspokojone.

Potem, kiedy szlafrok zaczynał przepuszczać jesienny poranny chłód, wracałam na śniadanie. Następnego dnia po przyjeździe wyjątkowo łatwo znalazłam drogę na farmę, którą pamiętałam jeszcze z dawnych lat, dogadałam się z gospodynią i umówiłam się z nią, że co trzeci dzień będzie mi przywoziła mleko, ser, chleb, pomidory i jeszcze jakieś smaczne, ale niewymyślne, proste produkty.

Po śniadaniu leniwie wciągałam na siebie grube spodnie i ciężkie buty i szłam na spacer do lasu. To był jesienny las i w kolorze, i w zapachu, a właściwie w mieszaninie tych jesiennych woni, różnych, ale zawsze wilgotnych, nawet jeżeli dzień był słoneczny. Ze wszystkich najbardziej czuło się zapach grzybów, gęsty i lepki. Próbowалаm znaleźć właściwe dla niego słowo, ale ani „korzenny”, ani „gorzki” nie pasowało i przestałam poszukiwać, a zaczęłam myśleć o nim zwyczajnie, jak o zapachu: jaka to właściwie różnica, jaki on jest, najważniejsze, że miałam po nim zawroty głowy.

Z lekka zamoczona wracałam do domu i zasypiałam wprost na kanapie, usypiana tykaniem ściennego zegara, i po chwili budziłam się, przytomna i nie rozbita, jak to zwykle bywa po drzemce w środku dnia. Potem szykowałam sobie prosty obiad i jadłam go z zadowoleniem, a skończywszy, znów wychodziłam na werandę. Zazwyczaj o tej porze słońce już znajdowało się tuż nad lustrem wody, wiedziałam dobrze: za godzinę, dwie swoją dolną krawędzią, dotknie powierzchni wody, a potem spróbuje ją rozpuścić w sobie, ale tylko uwieźnię w głębinach oceanu, a ocean pokona i pochłonie słońce, chociaż na jedną noc, ale pochłonie.

Zabierałam ze sobą książkę, w domu znajdowało się mnóstwo książek, różnego rodzaju, o różnej treści, które starały się w bezpieczny sposób mnie rozerwać. Wyjmowałam je ze starej szafy, zza nie zamkniętych drzwi, w których nie wiadomo dlaczego tkwił klucz, ale mimo wszystko nie mogłam przekręcić go w przedziewiałym na wylot zamku.

Czytałam, aż zmrok zapadał najpierw na werandzie, potem ogarniał mnie, a w chwilę później ocean wydawał swój ostatni, jakby przedśmiertny odblask i potem już ocean także pogrążał się w mroku. Jeszcze przez jakiś czas siedziałam, nie poruszając się, próbując po dźwiękach

odgadnąć, czy zmieniły się kształty fal w oceanie, ale kiedy upewniałam się, że nie, że ciemność nie naruszała niczego, podnosiłam się i wchodziłam w ciepło domu, pozostawiając na werandzie ciągle tak samo kołyszący się pod wpływem uderzeń wiatru bujany fotel.

Chodziłam wcześniej spać, delikatny chłód białej pościelowej, którą przywiozłam ze sobą, łaskotał moją skórę, gasiłam światło i jeszcze przez jakiś czas dźwięki unoszące się w powietrzu nocnego lasu, za oknem, istniały w mojej świadomości, a potem ciemność pochłaniała je również.

Stopniowo rutyna i spokój codziennego dnia zaczęły mnie przenikać i rzeczywiście zaczęłabym się czuć o niebo lepiej, gdyby nie te koszmarne sny. Pełne straszliwej, na głos wypowiedanej prawdy, nie opuszczały mnie, trafiając w nocy w moje czułe miejsca, a ja budziłam się drżąc, cała mokra od łez po tym koszmarze. Leżałam z otwartymi oczami, bezmyślnie wlepionymi w sufit, wydawało mi się wtedy, że nic na świecie, nawet ten dom, nie jest w stanie wyrwać mnie z dławiącej mnie przeszłości.

Wracając do domu, jak zwykle, zgodnie z ustalonymi zwyczajami, chociaż jakie tu mogą być ustalone zwyczaje, raczej konieczność, słodko zasypiam. Budząc się wstaję i podchodzę do szafy z książkami. W jej ciemnych, szklanych drzwiach (dziwi mnie, że samo szkło, razem z drewnem, też z czasem pociemniało) odbija się moja szczupła, podłużna twarz, z szerokim czołem i wystającymi kośćmi policzkowymi, jeszcze bardziej podkreślonymi przez krótką fryzurę. Przezroczyste szkło w bibliotecznnej szafie to mglisty surogat lustra, jego wyobrażenie zamglone i beznadziejne, pomieszane z czymś, co znajduje się za szkłem, a możliwe też, że w nim samym, w jego zmatowiałej warstwie. Obejmuje tylko kontury, jak odbicie w wodzie, i wydaje się, że wystarczy przeciągnąć po nim ręką, a moje odbicie zostanie

zmyte, rozproszone, tak jak mogą być rozmyta i rozproszona ja sama.

Skończyłam wczoraj fascynującą książkę, a teraz muszę znaleźć jakąś nową.

Jest mi wszystko jedno jaka, nie mam specjalnych preferencji, czytanie jest teraz dla mnie związane bardziej z kontemplacją, jest prawie rytuałem, codziennym elementem pewnego rytmu, stało się od trzech tygodni moją codzienną potrzebą, jak ocean, jak ten las, jak dom.

Ze zdziwieniem spoglądam na niedługi rząd książek preżących się na półce – czy to możliwe, że je wszystkie przeczytałam? Ciężko mi w to uwierzyć także dlatego, że odzwyczaiłam się wierzyć w to, co widzę, podnoszę więc dłoń i przebieram palcami, dotykając każdego grzbietu oddzielnie.

„Ach – jak zwykle szepczę sama do siebie. – Nie mogę niczego nie czytać. To niemożliwe, żeby w tym dużym domu było tak mało książek”.

Kiedy tak szepczę, otwieram wszystkie możliwe skrzynki i pudła, wszystkie drzwiczki i wieka, nigdzie niczego, nawet starego ilustrowanego pisma, nawet starej gazety. Zatrzymałam się na środku pokoju. „Gdzie mam jeszcze szukać? – myślę podekscytowana, rozgorączkowana i podniecona. – Może na strychu? – mówię sama do siebie i zgadzam się ze sobą; – Oczywiście, należy poszukać na strychu”.

Strych, jak każdy inny strych, pełen jest gratów i nikomu niepotrzebnych przedmiotów. Ale teraz potrzebuję książki i znów zaczynam przedzierać się przez zwały na wpół połamanych mebli, zaplątując się w niemal skamieniałe ze starości zwisające zewsząd pajęczyny, wdychając zatechłą, woń nieruchomego powietrza. Znajduję ją jednak, leżącą na starej, spaczonej półce, nagrodzona wydostaje się z powrotem do światła, machinalnie wycierając z kurzu starą, postrzępioną okładkę.

Widocznie poszukiwania musiały mi zabrać sporo czasu, bo słońce już się zniżyło, zostawiając mi jeszcze tylko dwie godziny światła, więc śpieszę się do mojej oceanicznej huśtawki, która już stęskniła się za mną, ciągle ta sama i teraz znieruchomiła na werandzie. Siadam, wpadając w rytm kołysania. Z boku to na pewno przypomina scenę z melodramatu: zagadkowa, piękna kobieta patrzy na zachód słońca nad oceanem w oczekiwaniu na niespodziewane, ale zgodnie z prawidłami nieuchronne romantyczne spotkanie.

No cóż, myślę sobie, to rzeczywiście w sam raz dla mnie. Zagadkowa i, nie ma się czego wstydzić, piękna. Zachód słońca też jest na miejscu. Tylko spotkania nie będzie, spotkania nie ma w scenariuszu, nie znaleziono bohatera do tej sceny.

O tym nie trzeba myśleć, przerywam sama sobie i unoszę spojrzenie, odrywając je od rozpościerającego się przede mną oceanu. „Rozpostarty, rozpościerać, prostracja” – wypowiadam wybrane słowa, otwierając książkę.

To dziwna książka, dopiero teraz to zauważyłam. Jest ręcznie oprawiona w płótno i ni to napisana na maszynie, ni to wydrukowana na drukarce komputerowej. Na otwartej stronie – dwa rozdziały i każdy z nich opatrzony trójcyfrowym numerem. Przekartkowałam kilka stron, tam też ponumerowane rozdziały, a właściwie nie rozdziały, domyśliłam się, raczej nie związane ze sobą notki. Wszystko mi jedno rozdziały – czy nie rozdziały, numery – jak to numery, jaka to różnica, nagle oczy natrafiły na zupełnie przypadkowy zbiór cyferek:

„Wchodzę do sklepu antykwarycznego i spoglądam na jego właściciela, który sam jest podobny do przeżartej przez mole starej kapy, ledwie pamiętającej swój miniony, przeżyty czas świetności.

– Ehm... ehm... – pokastuje i cmoka – już swoje przeżyło, jest podarte, sfatygowane i zniszczone, proszę spojrzeć, tutaj nawet czymś przepalone. Pan pali?

Rzuca na mnie nieoczekiwane badawcze spojrzenie, ostre, tak samo jak grube szkła zsuniętych na pagórkowaty nos okularów. Milczę.

– A tutaj – nie doczekał się odpowiedzi, a w jego ruchach znów pojawia się zaczepna rzeczowość – proszę spojrzeć, wszędzie zagniecenia, zmarszczki, trzeba było przynajmniej przeprasować przed przyniesieniem. A tutaj – teraz pociera zgrubiałymi palcami cienką powierzchnię – jeśli dokładnie się przyjrzeć, zupełnie się przetarło.

Mówi coś tam jeszcze, ale ja nie słucham, rozumiem, że wybrzydając, przygotowuje mnie do najważniejszego.

– Nie mogę dać za to zbyt dużo – mówi w końcu zasepiony.

– Tak – zgadzam się. Nie mam ochoty się kłócić, przyniosłem mu sporo czasu, ale mogłoby jednak być lepiej. Poza tym nie wiem jeszcze, co staruszek ma zamiar dać mi w zamian.

– Nie – zdecydowanie mówi antykwariusz, zdziwiony i jakby rozczarowany moją szybką zgodą i inercją w dalszych negocjacjach i ustalaniu ceny, mówi dalej: – Nie mogę dać dużo. No, gdyby ten czas był tak dobrze zachowany i w tak dobrym stanie, jak czas tego pana...

I wskazał mi mężczyznę, który ostrożnie grzebał w stosach zapomnianej starzyzny, starając się nie poplamieć czarnych, lakierowanych, jak mi się wydawało, rękawiczek. Gładko, starannie wygolony, miał szczupłą, bladą twarz z wąskimi, szerokimi ustami. Ubrany był w czarną pelerynę, białą koszulę z żabotem, cylinder, który zwrócił moją uwagę: robił wrażenie uczciwego.

– No, jeśli ten czas byłby taki jak jego – kontynuował staruszek – równy, gładki i dokładny, prawie nie naruszony, to wtedy... A tak, niestety, nie mogę.

Ja, tak jak przedtem, nie rozumiem, o czym staruszek mówi, i mimo że niełatwo mi się przyznać do własnej niewiedzy, rzucam pytanie:

– A co, proszę wybaczyć, mogę dostać w zamian?

Antykwariusz, jakby nie rozumiejąc, spogląda na mnie z wyraźnym zdumieniem.

– Jak to co? Nowy czas. – Widząc, że do końca jeszcze nie rozumiałem, wyjaśnia cierpliwie, jak małemu dziecku: – W zamian dostanie pan nowy czas.

Ciągle jeszcze nie rozumiałem.

– Przecież to antykwariat! Skąd u pana coś nowego?

Staruszek z wymuszonym uśmiechem wzdycha i mówi, zmarszczywszy i tak już pofałdowane czoło:

– Powiedziałem pański nowy, ale to nie oznacza, że on jest całkiem, absolutnie nowy. On może być czymś zupełnie starym. Widzi pan, czyjs stary jest zupełnie nowym dla kogoś innego i odwrotnie. – I tak jakby to nie brzmiało wystarczająco zrozumiale, dodaje: – Do tego my go zawsze restaurujemy, tak że wygląda jak nowy. Nie zauważy pan żadnej różnicy...”

Oderwałam wzrok od kartki i spojrzałam na wodę. „Co ja czytam? Co to za dziwaczne, irytujące wywody filozoficzne? Czuję, że zaczynają mnie denerwować. Czy to jakiś chory psychicznie to napisał, starannie wydrukował i nawet własnoręcznie oprawił? Czy nie szkoda było tego drukować? Coś podobnego, co za ludzie! Co to za jakaś przedziwna książka? Czy cała składa się z nudnych, nikomu niepotrzebnych i nie zasługujących na uwagę wynurzeń?” Znów przekartkowałam kilka stron, podobnych do siebie, z takimi samymi numerami rozdziałów.

Spoglądałam na ocean. On nie jest taki jak ta książka: nie jest drobiazgowy, nie ma rozdziałów, numerów i płytkich, chaotycznych myśli, jest jeden i niepodzielny, nie do

ponumerowania, nie próbuje niczego analizować i niczego nie układa na półkach. Jest cały i całkowity, w nim też jest myśl, ale jedna, bezkresna i niemożliwa do ogarnięcia, nie potrzebująca analizy. Ona w ogóle niczego nie potrzebuje, dlatego że jest wieczna, dzięki niej ocean szumi i szumi, i tak będzie wiecznie.

Wzbiera we mnie rozdrażnienie książką, Może dlatego, że w tak oczywisty sposób ustępuje oceanowi. Inne także mu ustępowały, więc nie rozumiem, ale odpowiadam sobie, one nawet nie próbowały rywalizować, a ta stara się za-błysnąć, wypręża się i usiłuje się narzucać. Mimo wszystko jest jednak śmieszna z tymi swoimi beznadziejnymi próbami zwrócenia uwagi. Patrzę na ocean, wpatruję się w niego długo, bardzo dokładnie, a on stopniowo uspokaja moje wzburzenie. Siedzę tak jeszcze jakiś czas, a potem, bardziej prawem inercji, znów opuszczam głowę i znów, także prawem inercji zatrzymuję wzrok na następnym ponumerowanym rozdziale:

187

„Kiedyś wybrałem się z dwoma przyjaciółmi na niedzielny lunch. Wybrałem osobiście restaurację, uprzedzając zawczasu, że jedzenie tam jest średnie, za to w dni świąteczne rozbrzmiewa muzyka: lekki jazz albo coś klasycznego. Moi towarzysze zgodzili się i usiedliśmy przy wygodnym stoliku nieco oddalonym od maleńkiej sceny, żeby nie trzeba było przekrzykiwać muzyki.

Na scenie była dwójka. Kobieta w średnim wieku, z niedbale upiętymi siwiejącymi włosami, siedziała przy pianinie, druga, ze skrzypcami, niemal dziewczynka, niezgrabna ~~na~~ ~~pi~~ ~~si~~ ~~de~~ ~~mo~~ ~~ro~~ ~~w~~ ~~o~~ ~~w~~ ~~a~~ ~~n~~ ~~a~~, stała obok towarzyszki. Rzuciło się w oczy, że dla dziewczynki występ przed rozgadana, ~~kras~~ ~~li~~ ~~w~~ ~~a~~... ~~ka~~ ~~p~~ ~~ia~~ ~~n~~ ~~ą~~, publicznością, jest nowością, i była

stremowana, tak jak może być stremowany tylko ten, kto robi coś pierwszy raz. Stąd jej speszenie i niezgrabność ruchów, widoczne na pierwszy rzut oka; wyglądała prawie komicznie: chudziutka, z ostro zarysowaną linią bioder i ramion, dostrajała skrzypce, przytrzymując je podbródkiem, oczekując na sygnał od bardziej pewnej siebie współtowarzyszki. Bezbarwne, matowe, nieco za długie włosy opadały dziewczynce na twarz, a ona próbowała je odgarniać dyskretnymi ruchami ręki, w której trzymała smyczek. Włosy nie służyły jej i, tak samo jak przed chwilą, niesforny kosmyk opadał, przydając swojej bezbarwności i matowości jej nieprzeniknionej twarzy, która i bez tego wyglądała żałośnie smutno.

W końcu zaczęły grać. Pianino prowadziło melodię, skrzypaczka starała się za nim nadażyć, ale rzadko jej się to udawało i spóźniała się. Nie jestem znawcą muzyki, ale nawet dla mnie było jasne, że może z powodu tremy, może z braku umiejętności moja dziewczynka grała nieprawidłowo, gdzieś łapiąc melodię, a gdzieś indziej ją gubiąc, za to często się pesząc. Wszystko to jednak nie raziło nikogo na sali: ludzie byli przychylnie nastawieni do wszelkich artystycznych występów, poza tym muzyka była tutaj tylko dodatkiem, tworzącym miłą atmosferę i przyjemniającym ludziom posiłek i rozmowę. Ja również zająłem się zamówieniem i przestałem zwracać uwagę na muzykę i dwie grające kobiety.

Ale wreszcie zamówienie zostało złożone i nasza rozmowa na chwilę się urwała. Moi towarzysze odchyliłi się w swoich fotelach, odwrócili i zaczęli patrzeć na scenę, bardziej po to, żeby wypełnić czas przerwy przed podjęciem następnego tematu, niż z zainteresowania dwiema artystkami. Ja również odchyliłem się na oparcie i nie oczekując niczego interesującego, odwróciłem wzrok w stronę, skąd dobiegała muzyka. Ale to, co ujrzałem, poraziło mnie, więc

wyteżyłem wzrok, żeby przyjrzeć się dokładnie twarzy skrzypaczki.

To była zupełnie inna twarz i sama dziewczyna też była teraz zupełnie inna, zupełnie nie ta, co przed dziesięcioma minutami. Jej zamknięte oczy poruszały się pod powiekami, to przygryzała dolną wargę zębami, to znów ją puszczała i wtedy można było dostrzec nieśmiały, lekki półuśmiech. Kiedy na jej twarzy pojawiał się wyraz zbyt wielkiego cierpienia, przytrzymywała swoimi równymi zębami górną wargę i wtedy widziałem jak napina się jej podbródek, wtedy wydawało mi się, że sam odczuwam jak cierpi, specjalnie, z premedytacją, masochistycznie odczuwając ból. Jej czoło marszczyło się, to znów się wypogadzało, widać było, że przebiegają przez jej głowę myśli, ale myśli nielogiczne, będące przedsmakiem mającej zaraz nastąpić tajemnicy. Jej nozdrza regularnie rozchylały się, jakby z zaniepokojenia, ze zdenerwowania, ale ona się nie denerwowała, widziałem, że ona się już nie denerwowała. Dziewczynka przestępowała z nogi na nogę i pod wpływem tego niecierpliwego ruchu, jej biodra falowały jakby na boki, i zapewne dlatego, a być może dla czegoś innego, nieuchwytnego, całe jej ciało nabrało okragłości, wyzbywając się poprzedniej kanciastości.

Czasem skrzypaczka prawie niezauważalnie przykucała, uginając spreżyście nogi, ubrane w maleńkie, delikatne, lekkie pantofelki na płaskim obcasie, i w tym momencie na jej twarzy pojawiała się szczęście i cierpienie jednocześnie. Zupełnie nie zwracałem uwagi na to, co ona gra, nie słyszałem skrzypiec, muzyka była teraz zupełnie zbędna, niepotrzebna, tak jaskrawo zakłócała obrazek na scenie, że pomyślałem: «Ach, gdyby nie skrzypce w jej chudych, długich, zwinnych rękach, gdyby nie skrzypce, wiedziałbym, że ta maleńka, chudziutka, niewprawna dziewczynka, teraz uprawia miłość i tylko temu uczuciu się oddaje».

Moi przyjaciele, siedzący dotąd tyłem do sceny bez możliwości przyjrzenia się wykonawczyni, tak jak ja to robiłem bez przeszkód, porozumiewawczo popatrzyli na mnie, a potem na siebie. «Świetna dziewczyna» – powiedział jeden z nich. W tym momencie rozumiałem, rozumiałem zupełnie jasno, co tak głęboko wiele razy, może niezauważalnie odczuwałem: to zniewalające, nieokreślone uczucie wobec kobiety – zrozumienie jej duszy...”

Nagle poczułam niezwykle, dawno nie pojawiający się uśmiech na swoich wargach. Kiedy on się pojawił, na samym początku, czy pod koniec rozdziału? – nawet tego nie zauważyłam, ale spodobał mi się o wiele bardziej niż poprzedni. Unoszę oczy i spoglądam, przez ocean biegnie świetlista ścieżka, prosto w moją stronę, tak nisko opuściło się słońce ponad horyzontem. Chcę zobaczyć kolor biegnącej w moją stronę nitki, ale nie mogę: jest świecąca, a blask zagłusza kolor.

Wtedy, wiele lat temu, na pewno przypominałam dziewczynkę z tej książki, ja także wyglądałam na zagubioną i niepewną siebie, a czasem nawet śmieszna. Co prawda nie byłam płowa i smutna, prędzej jasnokasztanowa, prawie ruda. Mężczyźni zawsze na mnie zwracali uwagę, nawet wtedy, kiedy byłam jeszcze uczennicą, widocznie coś tam pociągało ich we mnie. Steve mawiał, że w moich włosach widoczna jest jakaś specjalna, wewnętrzna deprawacja, niedostrzegalna na pierwszy rzut oka i dlatego jeszcze bardziej pociągająca. „Ale ta deprawacja – mawiał – tylko wewnętrzna, razem z twoją niewinnością i nieśmiałością, robi wrażenie sprzeczności, a właśnie sprzeczności są najbardziej podniecające”.

Prawdopodobnie on od razu mnie zaszufłdkował, jeszcze tam, w kinie, kiedy ujrzał mnie po raz pierwszy w półmroku,

rozbawiona, oświetloną rozproszonym światłem projektora. Tego dnia uciekłam z zajęć na uniwersytecie i poszłam na seans kinowy w środku dnia. Robiłam tak czasem, bo to zapewniało mi poczucie symbolicznego, niczym nie zakłóconego bezpieczeństwa – seans kinowy w środku dnia, w normalny dzień pracy, kiedy wszyscy jak pszczołki w fabrykach albo biurach, a ja uciekając od ruchliwego dnia pogażam się w miękkim, mechatym mroku sali kinowej.

W prawie pustej sali znajdowało się najwyżej dwadzieścia osób, takich samych bezwstydnym nierobów jak ja, i dlatego właśnie zdziwiłam się, kiedy para, dziewczyna i chłopak, usiedli na miejscach tuż obok mnie: nie było absolutnie żadnej potrzeby, żeby siadać tak blisko siebie, kiedy całe rzędy świeciły pustkami. Spojrzałam na nich, co to za nietaktowni kretyni? Słowo honoru, że chciałam się przesiaść dalej, ale w tej samej chwili młodzieniec siedzący tuż obok mnie, zwrócił twarz w moją stronę, pochwycił mój wzrok i uśmiechnął się. Wydawać by się mogło, że tylko się uśmiechnął, ale być może z powodu półmroku, a być może z jakiegoś innego powodu, którego nie potrafiłam zrozumieć, jego uśmiech wydał mi się dziwny, zatrważająco dziwny. Sama nie wiem dlaczego, zdjęłam kurtkę i położyłam ją obok siebie na wolnym miejscu, oddzielającym mnie od nieznanego młodzieńca z niesamowitym wzrokiem – tworząc jakby barierę między nami.

Film się zaczął, ale nie pamiętam ani jego treści, ani jego tytułu, pamiętam tylko to, że ciągnął się nieznośnie długo. Gdzieś mniej więcej w połowie zachciało mi się gummy do żucia, była w kieszeni kurtki, więc nie spuszczać wzroku z ekranu wyciągnęłam rękę i zaczęłam macać, próbując natrafić na kieszeń. Z łatwością do niej trafiłam, ale okazało się, że w tej kieszeni nie ma gummy, prawdopodobnie znajdowała się w drugiej, a kiedy sięgnęłam nieco dalej, moje ciało przeniknęło dreszcz, a serce na moment przestało bić.

Bardziej z zaskoczenia niż z powodu prześlizgującego się, łaskoczącego dotknięcia.

Odwróciłam głowę, a on na mnie patrzył, nawet w ciemnościach spostrzegłam, że patrzył mi prosto w oczy i znów uśmiechał się ledwie kącikami warg. Jego palce samymi opuszkami leciutko muskały wewnętrzną stronę mojej dłoni, nieco poniżej nadgarstka i w tym momencie poczułam zamykający się obwód: przeszywał mnie wraz ze spojrzeniem, przenikał przez moje ciało i wychodził z powrotem przez nasz dotyk, żeby ponownie przeniknąć do mojego wnętrza, tym razem już z większą siłą. Oczekiwałam, że cokolwiek powie, ale on tak poufale wbił wzrok w moje oczy, jakbyśmy znali się całą wieczność. Powinien cokolwiek powiedzieć, nie mógł przecież tak po prostu patrzeć na mnie i głąskać, słowa były jedynym możliwym następstwem, ale on milczał.

Patrzyliśmy na siebie, sama nie wiem jak długo: minutę, pięć, potrzebowałam czasu, żeby w półmroku dostrzec jego spojrzenie – żartobliwe, natrętne, drażniące błyszczało, przecinając mrok, ale zarazem uspokajało mnie, że niby wszystko jest tak, jak powinno być, żeby cię dotykać musi tak być. A potem odwrócił się, po prostu zwyczajnie się odwrócił, nie odrywając jednak ręki od mojej dłoni i nadal ją gładząc. Właśnie wtedy, kiedy dostrzegłam jego profil, nieco ostry w zarysie, przypomniałam sobie, że on nie jest sam, tylko z dziewczyną. Chciałam się przyjrzeć również jej i nawet wychyliłam się do przodu, ale w tym samym momencie ona oparła głowę na jego ramieniu, widziałam więc tylko jej rękę, z pięknymi, długimi palcami, którymi chwyciła dmuchaną kukurydzą z wysokiego kubelka. Widocznie dziewczyna, zajęta filmem i kukurydzą, nie dostrzegała ręki partnera, spoczywającej w pobliżu mojej dłoni, byłam dla niej niewidoczna, tak więc ja również nie widziałam jej twarzy.

On nie przestawał gładzić mojej dłoni, wędrując czasem nieco wyżej, prawie do łokcia, a ja, sama nie wiem dlaczego, nie cofałam ręki, tak silnie odczuwałam jego dotknięcia. Nie było w nich nerwowości ani pośpiechu, odwrotnie, coś niezwykle uspokajającego, jakby próbowały przekonać, że nie należy się śpieszyć, że przed nami jest jeszcze mnóstwo czasu, że to wszystko dopiero się zaczyna.

Ile czasu to trwało? Długo. Czasem rzucałam na niego spojrzenie, kiedy na mnie nie patrzył, zdawało mi się, że on zaraz nachyli się w moją stronę i powie cokolwiek, choćby swoje imię, ale on się tylko ukradkiem uśmiechał, zagadkowo i przebiegle, jakbyśmy tylko my mogli dzielić tajemnicę. W gruncie rzeczy tak właśnie było: tajemnica istniała i tylko my ją znaleźliśmy. Potem zauważyłam, że on drugą ręką obejmuje swoją współtowarzyszkę i kiedy to rozumiałam, instynktownie próbowałam cofnąć swoją dłoń. Jednak albo ja okazałam się nie dość uparta, albo on spodziewał się tego, tak że jego palce splotły się z moimi, choć nie natarczywie, ale tak trwały, dopóki moje palce się nie uspokoiły.

Nie próbowałam już więcej wrywać ręki, bo właściwie dlaczego miałam robić to, czego nie chciałam? Nie cofnęłam ręki nawet wtedy, kiedy znów popatrzył na mnie swoimi wesołymi oczami, jakby mnie zapraszał do podjęcia jakiejś ciekawej, ale niebezpiecznej gry, a potem, widziałam to dobrze, bardzo wolno drugą ręką przyciągnął do siebie dziewczynę, przytulił ją do siebie, prawie przyciskając jej twarz do swojej, tak że teraz mogłam przyjrzeć się im obojgu i równie powoli wybierał miejsce, aż w końcu wybrał jej wargi. On właśnie „wybrał je” i ten pocałunek był tak pociągający i podniecający, że nie mogłam oderwać od nich wzroku, więc widziałam każdy szczegół.

Widziałam, mimo ciemności, jak zniewalająco uśmiechały się jej usta, jak poruszały się jej szczęki, kiedy jej

wargi to obejmowały, to puszczały jego usta. W pewnym momencie oderwali się od siebie i zauważyłam zespolone, połączone ze sobą, języki, ale tylko na ułamek sekundy, bo potem ich usta znów połączyły się ze sobą. Potem usłyszałam jej dyszący oddech, to na pewno był oddech kobiety, nerwowy, urywany, z trudem łapała powietrze. Właśnie w tej sekundzie zrozumiałam nagle, że moja ręka, o której w tym czasie prawie zupełnie zapomniałam, dalej znajduje się w jego dłoni i że on przez cały czas to ją gładzi, to ściska. Poczułam ogień, ogień wewnątrz, gdzieś w okolicach płuc, jakbym połknęła jakiś kwas albo trujące opary. Usłyszałam, że mój oddech, nerwowy i urywany, przyłącza się do jej oddechu i zlekłam się, że albo ona, albo on go usłyszą.

W końcu puścił ją, a ona przez pewien czas, niemal odsuwając się, spoglądała na niego. Jej zwierzęce pożądanie czające się w spojrzeniu oczarowało mnie swoją otwartością. Teraz spoglądałam na nią. No cóż, była interesująca, o pięknym, dobrze zbudowanym, odsłoniętym kobiecym ciele, takim jakie znam i jakie zazwyczaj pociąga mężczyzn; zawsze potrafiłam oceniać kobiety, nigdy nie kierowałam się zawiścią patrząc nawet na najpiękniejsze z nich. Patrzyłam na nie zawsze z góry, no, może w rzadkich przypadkach, na niektóre z nich ze swojego poziomu. Ona ciągle nie mogła się od niego oderwać, lecz w zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, żeby mogła odwrócić głowę i spojrzeć na nasze złączone ręce. Nagle poczułam podniecający dreszcz: co będzie, jeżeli ona je dojrzy, jak zareaguje na tę sytuację? Ale ona nie odwróciła głowy, ona w ogóle niczego ani nikogo nie zauważała, nie zwracała uwagi na nikogo oprócz niego, a później on znów miękko ją objął i położyła głowę na jego ramieniu.

Po kilku minutach znów odwrócił się w moją stronę, ja ciągle jeszcze dyszałam z podniecenia, a on znów, tak jak przedtem, gładził moją rękę przebiegając po niej palcami.

Wiedziałam, że moja dłoń jest spocona, chciałam ją wytrzeć, żeby nie poczuł wilgoci, lecz aby to zrobić, musiałam wyswobodzić rękę, choćby na sekundę, ale to okazało się niemożliwe. A potem on coś wyszeptał, coś bardzo ważnego, zrozumiałam to, chociaż nie usłyszałam dźwięku słów. Widziałam tylko, jak poruszają się jego wargi. Uniosłam nawet brwi w niemym pytaniu, ale on milczał. Teraz to już rozumiem, on milczał specjalnie, a potem się odwrócił.

Film się kończył. Ten film trwał długo, bardzo długo, dwie i pół godziny, moja ręka zmęczyła się i nawet zaczęła już trochę drętwieć, a ja ciągle zastanawiałam się, co będzie się działo dalej: czy mam podjąć jakiegokolwiek kroki, a jeśli tak, to czy teraz, czy później, kiedy skończy się film? Tak więc niczego sama nie postanowiłam, widocznie chciałam, żeby to on znalazł wyjście z tej śmiesznej sytuacji, ale kiedy pokazały się napisy na ekranie i zapaliło się światło, on raptem wypuścił moją rękę, tak że zrobiło mi się niezwykle chłodno po jego ciepłe. Następnie szybko wstał z miejsca, przepuszczając swoją dziewczynę przodem. Zdażyłam tylko zauważyć, że ona jest z nim prawie tego samego wzrostu, już idąc pomógł jej włożyć krótki płaszczyk, na ulicy była jesień, poszedł do wyjścia ani razu nie spoglądając na mnie, nawet mimochodem.

Jak się czułam, kiedy on odszedł? Czy zrobiło mi się przykro, że się nawet nie obejrzał? Na pewno, ale jeżeli nawet zrobiło mi się przykro, to nie na długo. Toteż bardzo szybko, omiatając wzrokiem rozmyte przez zapalone światło przesuwane się rzadki napisów na ekranie, poczułam radość. Zrozumiałam, że przeżyłam przygodę, bodaj maleńką, ale nie niebezpieczną, podniecającą, którą zapamiętam na bardzo długo, dlatego że była jedyna w swoim rodzaju.

Wyszłam na ulicę, już się zmierzchało: jesień skracała dni. Nie chciało mi się wcale iść do domu, tak jak przedtem

byłam wesoła, ale moja radość była stateczna, refleksyjna, tak jak jesienna przyroda. Podobał mi się długi wieczór i prędko zapadający zmierzch, i cicha jesień, i mój nastrój, i to, co się przed chwilą ze mną działo. Szłam spoglądając przed siebie, słuchając jak pod nogami szeleszcza i rozsypują się sterty opadłych liści, było mi dobrze, myślałam o tej dziwnej przygodzie, próbując ponownie ją przeżyć. Szłam w kierunku parku, chciałam się znaleźć w tej miejskiej namiastce lasu, zasypanej opadłymi liśćmi, z ledwo widocznymi alejkami, z rzadko rosnącymi, bardzo grubymi drzewami, z nieobecnymi ludźmi. Ludzie nie byli mi potrzebni, chciałam zostać ze sobą sam na sam.

Park, tak jak się spodziewałam, był prawie pusty. Kilko staruszków i staruszek wyprowadzało na spacer swoje pieski, a para uprawiająca jogging wybiegła mi na spotkanie ciężko wydechając powietrze. Skrecałam z głównej alejki i weszłam na nieco mniej uczęszczaną ścieżkę, aż w końcu ją także straciłam z oczu. Słońce już prawie zaszło, tylko w koronach drzew pobłyskiwały ostatnie, gasnące promienie. Podeszłam do drzewa, jego pień był masywny, z całą pewnością trzy razy grubszy ode mnie, oparłam się o niego plecami, trzasnęła gałązka, odwróciłam się, krzyknęłam, bardziej odruchowo niż ze strachu, i zaraz zamilkłam. Zostałam tak znieruchomiła, oparta plecami o pień drzewa, z lewej i z prawej strony znajdowały się jego ręce, wpijające się w pień, osaczył mnie, eliminując niepotrzebne teraz uczucie obcości, ukazując przede mną tylko swoją twarz.

Jeżeli tam, w kinie, wpatrywałam się wyłącznie w jego uniesione w uśmiechu kąciki warg, to teraz nie widziałam niczego, oprócz jego oczu. Trudno było się od nich oderwać, ledwie mogłam dostrzec ich kolor, widziałam tylko, że są jasne, ale nie to było w nich najważniejsze. Najważniejsze, że wyglądały, jakby były obnażone, jakby została z nich zdjęta jakaś niewidzialna, przezroczysta przesłona i dzięki

temu wyglądały bardzo żywo, nienaturalnie żywo, prawie patologicznie żywo. Poza tym nie można było dostrzec w nich dna, rozumiałam to od razu, pozwalały zapaść spojrzeniu w głąb, więc moje spojrzenie wpadło i utoneło, ale nie potrafiło powrócić, bo nie miało się o co oprzeć.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytałam, jakby to była najważniejsza rzecz. Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. – A gdzie twoja dziewczyna? – znów zapytałam. On ciągle milczał, tylko wzruszył ramionami, jaka to różnica. – Poszedłeś za mną, skradałeś się?

Oczywiście, mogłam się wyrwać z jego objęć, ale wcale nie próbowałam.

– Aha – odpowiedział w końcu – szedłem za tobą, po śladach.

Po tym, w jaki sposób to powiedział, i po tych „śladach” rozumiałam, że chce mnie znów rozdrażnić i że niczego się od niego nie dowiem.

– Kim ty właściwie jesteś? – znów zapytałam. I chociaż w tej chwili nie było to najważniejsze, to w ogóle było jednak ważne.

– Lepiej zapytaj – czyj?

– Czyj? – skorzystałam z jego rady.

– Twój – odpowiedział, i choć wprawdzie wyczułam kpinę w jego słowach, to, nie wiadomo dlaczego, uwierzyłam mu.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie tylko ja o tym wiem. – Nagle zauważyłam, że jego twarz znalazła się blisko mojej. – Ty także dobrze o tym wiesz. Podobało ci się, kiedy patrzyłaś jak ją całowałem, tam, w kinie? – spytał mnie nagle. Jego ręce ugięły się w łokciach, był teraz jakby wtulony we mnie.

Milczałam.

– Przecież chciałaś być na jej miejscu?

Znów nic nie odpowiedziałam.

– Przecież teraz jesteś na jej miejscu.

Zrobił pauzę, jeszcze bardziej przyciskając się do mnie, jakby nie mógł przybliżyć się i mówić równocześnie. I rzeczywiście, twarz dziewczyny z kina, z obrzmiałymi rozchylonymi wargami mignęła mi przed oczami, a jej urywany oddech jakby przeniknął mnie, dosłownie usłyszałam go ze swojego wnętrza.

– ...Ale nikt nigdy nie będzie na twoim miejscu – powiedział ostrożnie. Ostrożnie, bo był już bardzo blisko.

Potem ogarnął mnie jego zapach, przybliżył się do mnie i wchłonełam go głębiej, jakiś ośrodek mojego mózgu odpowiedzialny za rzeczywistość zanikł, nie dając niczego w zamian, tylko pustkę, a ja w nią wpadłam, krążyłam niema.

Kiedy wróciłam, on ciągle jeszcze był obok, tuż-tuż obok, a mnie plecy bolały od wpijającego się w nie drzewa, tak mocno opierałam się nimi o jego pień. Moje ręce nagle oplatały jego szyję i przyciągałam go do siebie, ale kiedy to rozumiałam, rozplotłam je i zupełnie zdjęłam z jego ramion.

– Ty lepiej – powiedział. Jego twarz nie zmieniła się, ciągle ten drwiący uśmiech.

– Lepiej niż kto? – Mogłam już mówić, chociaż słowa rodziły się gdzieś głęboko w mojej krtani, słyszałam swój głos jakby zmieniony, zupełnie ochrypły.

– Po prostu lepiej. Bez porównania. – Jego głos był teraz ciepły, łaskoczący jak wargi.

– Czy ty jesteś nienormalny? – rozumiałam to w końcu, patrząc w jego zupełnie obnażone, zbyt błyszczące oczy.

Kiwnął głową, jakby z niedowierzaniem, nawet wzruszył ramionami.

– Oczywiście, ale jeśli tak, to nie klinicznie.

– To pocieszające – wreszcie przychodziłam do siebie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Jacqueline – odpowiedziałam i czekałam, kiedy wyjawi swoje imię, ale on milczał.

– To znaczy Jackie, będę cię nazywać Jackie – powiedział i nagle poczułam wolność, wolną przestrzeń, chociaż teraz już wcale nie była mi potrzebna. Jego ręce już mnie nie odgradzały ani z lewej, ani z prawej strony i kiedy to spostrzegłam, zrozumiałam, że on odchodzi.

– Będiesz mnie pamiętała? – spytał i powtórzył: – Będziesz?

– Tak – odpowiedziałam zupełnie zagubiona.

– Powinnaś o mnie pamiętać przez dwa, trzy tygodnie, dobrze?

– Dlaczego dwa, trzy? – spytałam.

– Dlatego, że dłużej nie potrzeba. Więc będziesz, tak?

– Tak – powtórzyłam znów, nadal niczego nie rozumiejąc.

Potem miałam ochotę krzyknąć: „A ty dokąd?“, prawie krzyknęłam, powstrzymałam się jednak na samym początku, bo on szybko odwrócił się i odszedł w głąb parku, a ja zostałam nagle sama, wciąż jeszcze oparta o pień drzewa. Szedł przed siebie, nie oglądając się, a ja stałam i patrzyłam na jego znikające w oddali plecy, a kiedy oddalił się na jakieś dwadzieścia metrów, odwrócił się i znów dojrzałam jego twarz, skinał na mnie, jakby mnie wzywał, a potem odszedł i nie obejrzał się już więcej.

Miał rację. Pamiętałam go przez wszystkie następne dni. To nie to, żebym myślała o nim bez przerwy, ale on jakby istniał we mnie, nie natrętnie i nie nużąco, starałam się przypomnieć sobie jego nieco nerwową twarz o ostrych rysach, nie była ładna, wiedziałam to, ale nie można było przejść obok nie zauważywszy jej. Pewnego wieczoru próbowałam nawet narysować ją z pamięci, straciłam na rysowanie kilka godzin, ale to mi się nie udało. Myślałam, że

już nigdy więcej go nie ujrzę, nie znałam jego imienia i nawet jeśli bym chciała, nie mogłabym go odnaleźć. A jak on mnie odnajdzie – tego też nie mogłam zrozumieć. „A może on nawet nie będzie próbował mnie odnaleźć – myślałam – może to był z jego strony tylko niewinny żart, podniecenie i rozpalenie?”

Nie powinnaś się byle czym przejmować, utwierdzałam siebie, nie masz powodów do tego. Jesteś z siebie dumna, jesteś zdolna, na uniwersytecie dajesz sobie znakomicie radę, wszyscy cię lubią. A najważniejsze, że masz Michaela, marzą o nim wszystkie twoje przyjaciółki, a on kocha tylko ciebie. To znaczy, że nie ma żadnego powodu do panikowania. Ale ja wpadłam w panikę.

Nawet Michael zauważył we mnie zmianę, chociaż on bardzo rzadko cokolwiek w ogóle zauważał, ale ja nagle nakrzyczałam na niego bez powodu kilka razy, czego nigdy przedtem nie robiłam. Patrzył na mnie, kompletnie nie rozumiejąc, co się dzieje, przy tym miał tak wystraszoną minę, że mnie to aż rozśmieszyło – taki duży i silny, a taki wystraszony. Prosiłam go o wybaczenie, powiedziałam, że to moja wina, że jestem zmęczona, że mam zbyt wiele zajęć. Od razu uspokoił się, twarz mu się wypogodziła, naprawdę było mu mnie żal, wiedziałam o tym, prosił mnie, żebym tyle nie pracowała, nie powinnam się tak przemęczać. – Być może – odpowiedziałam mu.

Tak naprawdę Michael był bardzo dobry. Studiowaliśmy razem na tym samym uniwersytecie, on na wydziale romanistyki, a ja sztuki piękne. Kapitan uniwersyteckiej drużyny amerykańskiego futbolu, wysoki, z szerokimi ramionami, napakowany, z męską, piękną twarzą, był marzeniem wielu moich koleżanek z roku. Często chodziliśmy razem na przyjęcia, miał mnóstwo przyjaciół i ciągle ktoś nas zapraszał. Jakoś tak się działo, że rzadko byliśmy sami, przez cały czas wokół nas kręciło się mnóstwo ludzi. Kiedy wresz-

cie zostawaliśmy we dwoje, brał mnie na ręce, żeby kolejny raz zademonstrować swoją siłę i kładł na łóżko, a ja zamykałam wtedy oczy, żeby nie patrzeć i spokojnie myśleć o czymkolwiek.

To właśnie stanowiło problem. Kiedy rozebrał mnie po raz pierwszy, sam zostając w ubraniu, słyszałam jak prędko łomocze jego serce, ale mnie było zimno, wstydziłam się swojej nagości, było mi z nią niewygodnie, tak jak z tym, w jaki sposób on ją wykorzystywał. Jego palce, bardzo duże i bardzo długie, straszyły mnie, kiedy wpychał je między moje uda i kurczyłam się. Nie dlatego, że odczuwałam jakikolwiek ból, ja w ogóle nic nie czułam, tylko uczucie dyskomfortu. Jak u ginekologa, pomyślałam kiedyś.

Układał mnie na plecach i rękoma, prawie na siłę, chociaż nie broniłam się, rozsuwał moje uda; jego twarz, widziałam tylko jego twarz, robiła się purpurowa z napięcia, wydawało mi się, jakby studiował mnie cała, jak jakiś biologiczny okaz. Kurczyłam się z zażenowania graniczącego ze wstydem. Potem kładł się na mnie, ledwo mogąc się doczekać, kiedy wydzielił się ze mnie choćby kropla wilgotnego soku, jego biodra były na tyle szerokie, że przyduszona jego ciężarem nie mogłam nawet poruszyć rozwartymi nogami. Kiedy dotykał ustami mojego sutka, czułam tylko jego wilgotny język i słaby ból, gdy lekko ścisnął zębami wrażliwy koniuszek.

Starał się we mnie wchodzić ostrożnie, ale robił to ostrymi ruchami, a ja próbowałam, wiedząc, że tak trzeba, odpowiedzieć ruchami wychodzącymi mu naprzeciw, ale było mi trudno pod ciężarem jego ciała. Brakowało mi tchu, byłam rozczarowana, czułam w sobie suche tarcie i kiedy wreszcie prędko kończył, następowała nagła ulga.

W końcu zrozumiał, że jestem zupełnie nieczuła na jego pieszczoty, chociaż z całych sił starałam się tego nie okazywać. Na początku próbował jeszcze cokolwiek zmienić:

sadzał mnie na sobie, ale kiedy tak unosiłam się i opadałam, zdawało mi się, że to ja sama odpowiadam za nieprzyjemne doznania. Do tego wszystkiego czułam się całkowicie obnażona, zupełnie nieosłonięta przed jego spojrzeniem, pod którym czułam jeszcze większy dyskomfort, było mi wstyd moich piersi, które trzęsły się przy równomiernych ruchach i wstyd odsłoniętych nóg i tego, że tak łatwo pozwoliłam przeniknąć we mnie. Cierpliwie dotykał wszystkich wypukłości i zagłębień na moim ciele, które według niego były najczulszymi miejscami. Czułam wdzięczność za te mechaniczne próby z jego strony i zakrywałam oczy, żeby myślał, iż sprawia mi przyjemność. On ciągle jednak nie był przekonany i pytał: – Dobrze ci? – Potakiwałam głową, nie otwierając oczu. Nie chciałam na niego patrzeć.

Nawet nie zauważyłam, w którym momencie Michael przywykł do tego, że go nie czuję, widocznie nieudane próby przestały go martwić, a nasz seks ukierunkował się na niego, na to, żeby jemu było przyjemnie. Jak zwykle głaskał mnie i dotykał, ale te pieszczoty służyły wyłącznie jego podnieceniu. Kiedy zaczynał wciskać się we mnie, zupełnie mechanicznie rozchylałam uda i zaczynałam myśleć o czymkolwiek zupełnie nie związanym z nami, czasem tylko otwierałam oczy, żeby sprawdzić, czy prędko nastąpi koniec.

Teraz wydaje się to pewnie dziwne, ale wtedy niezbyt przeszkadzało mi spełnianie tego obowiązku seksualnego: byłam wtedy młoda, bardzo młoda. Sam fakt, że sypiałam ze znanym wszystkim, przystojnym chłopakiem, imponował mi. Właśnie dlatego sama beznadziejność tych gier miłosnych spowodowała, że wspominam je jako niezbyt przyjemny, ale także nie bardzo męczący obowiązek. Do tego Michael był wspaniałym przyjacielem, zawsze wykazywał zainteresowanie i poświęcał mi uwagę, starał się wyprzedzić każde moje życzenie, a najważniejsze było to, że miał

nadzieję. Z boku wyglądaliśmy pewnie jak świetnie dobrana para, taka z podręcznika o modelowych relacjach między młodzieżą.

Przez kilka pierwszych dni po zdarzeniu w kinie byłam zdenerwowana i nawet nie spotykałam się z Michaeliem, wymyślając najróżniejsze wymówki. Zauważyłam jednak, że mimo woli wpatruję się w przechodzących obok ludzi, nawet przeszukując tłum wzrokiem i zaglądając w okna przejeżdżających samochodów. Aż wreszcie zrozumiałam, że go szukam, tego nieznanego mężczyzny z kina, przestraszyłam się i sama zadzwoniłam do Michaela. Znów zaczęliśmy chodzić do kina, do znajomych, wyjeżdżać za miasto i trochę się uspokoiłam. Nie dlatego, że zapomniałam, to nie to, ale niecodzienne spotkanie jakby się oddaliło i wyszło poza ramy mojego codziennego rutynowego życia.

Zrobiło mi się chłodno. Słońce zaczęło już swą cowieczorną kłótnię z oceanem, nie wiedząc jeszcze, że i ten dzień skończy się tak, jak wszystkie poprzednie, i starało się zwyciężyć ocean pływającą masą czerwieni, przykryć go swoim zachodem. Ja wiem, jak się to wszystko skończy, wiem, że niedługo robi się ciemno i chłodno, więc pora do domu. Nie wiem, czy to ten dzień, czy powracające wspomnienia, ale nie chce mi się wstawać, wciąż spoglądam w dal, wpatrując się w powolny zachód słońca.

Później poszliśmy, jak zwykle, na kolejne spotkanie z nowymi przyjaciółmi Michaela. Dom był duży, zebrało się mnóstwo ludzi, pewnie z sześćdziesiąt osób albo więcej. Pamiętam ten wieczór, jakby działo się to wczoraj, siedziałam w salonie na krześle ze szklaneczką wina, Michael był obok; nigdy nie odchodził ode mnie dalej. Jeżeli czegokolwiek potrzebowałam, na przykład trzeba mi było dolać

wina, on był tuż obok i natychmiast mi usługiwał. Łowiłam zawistne spojrzenia kobiet, przy czym spojrzenia mężczyzn łowiłam także. Nie było mi smutno, zawsze lubiłam patrzeć na ludzi, szczególnie oglądać ich twarze. Wymyśliłam sobie nawet taką grę: zastanawiałam się, jaki detal należałoby zmienić, żeby twarz była piękniejsza, tak jakbym ją malowała. Ku mojemu zdziwieniu okazywało się, że należy zrobić tylko niewielką korektę, aby twarz stała się pociągająca. Zdziwiłam się prostotą swojego odkrycia, a potem przeniosłam je na cały świat – różnica między niedoskonałością a doskonałością, widziałam ją doskonale, zawsze niemal o włos.

W ogóle nie było mi smutno, rozglądałam się dokoła, a potem zobaczyłam jego i wszystko zdało się snem; jeszcze przed chwilą nie było go, a teraz stoi lekko oparty o ścianę, spogląda na mnie i delikatnie się uśmiecha, trochę ironicznie, jak wtedy w kinie. Wzdrygnęłam się, a skóra na plecach ścierpła mi pod wpływem nagłego chłodu. Wydało mi się, że wszyscy zauważyli moje zmieszanie, zaczerwieniłam się, a potem się uśmiechnęłam zgoła głupkowato.

Podchwycił moje spojrzenie, ale nie zmienił pozy, tylko stał tak samo dalej. Zrozumiałam nagle, jak koszmarnie muszę wyglądać z tym głupkowatym uśmiezkiem, wyprostowałam więc zgarbione plecy i odchyliłam nieco głowę na bok. Wiedziałam, że taka pozycja bardzo pasuje do mojej zgrabnej figury. Spoglądaliśmy tak na siebie przez kilka minut, oczekiwałam, że on uczyni następny krok, ale nic takiego się nie stało. Wstałam więc z miejsca, demonstracyjnie odwróciłam się do niego plecami i wyszłam do drugiego pokoju – w tym domu było dużo pokoi. Przechodząc spojrzałam na Michaela, który podszedł do mnie i zapytał, czy wszystko w porządku, czy nie potrzebuję czegoś. Odpowiedziałam, że w porządku, chcę tylko przejść się i obejrzeć dom. Przeszłam przez dwa pokoje; wszędzie

było mnóstwo rozgadanych ludzi; znalazłam się w długim, wąskim korytarzu, prowadzącym do drugiej części domu. Oświetlała go żółta lampka, a może po prostu ściany były pomalowane na żółto i tylko tak mi się zdawało. Nawet się nie wzdrygnęłam, kiedy poczułam na ramieniu rękę, wiedziałam, że to on, dlatego odwracając się nie byłam zdenerwowana. Spojrzałam mu prosto w oczy i nagle, dopiero teraz, zrozumiałam, jak bardzo brakowało mi jego spojrzenia przez te wszystkie tygodnie.

– Jak się tutaj znalazłeś? – spytałam, nie odrywając od niego wzroku.

– Szukałem ciebie, Jackie.

Zrobiło mi się przyjemnie, chociaż sama nie myślałam, że aż tak bardzo się ucieszę.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj będę? – zapytałam na wszelki wypadek.

– Nie wiedziałem. Przecież mówię, że szukałem ciebie. Myślałem o tobie.

– Tak? – rzuciłam idiotyczne pytanie.

– Oczywiście. Wiedziałaś to i czułaś.

– Co?

– Że myślę o tobie. Powinnaś to czuć. Czułaś?

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Panikowałam. Nie zamierzałam kokietować ani czegokolwiek udawać, czułam potrzebę powiedzenia prawdy, żeby on się dowiedział. – Dlaczego nie poprosiłeś mnie o numer telefonu, wtedy, w parku?

Wydawało mi się, że się zdziwił.

– Ja musiałem ciebie odnaleźć. Chciałem myśleć o tobie i szukać cię, rozumiesz?

– Oczywiście – odpowiedziałam mu.

– Potrzebowałem tego, żebyś nie okazała się kimś przypadkowym, żeby nie było tak, że spotkaliśmy się w kinie tylko na chwilę. Potrzebowałem myśleć o tobie, marzyć, nawet fantazjowałem...

Jego głos był poważny, ale lekki uśmiech nie opuszczał warg, a ja milczałam: nie wiedziałam, czemu wierzyć – głosowi czy uśmiechowi.

– Wyobrażałem sobie, że spotkamy się na przyjęciu i po tym, jak na mnie spojrzysz, będę wiedział, czy czekałaś na mnie. A potem wstaniesz, wyjdiesz do drugiego pokoju, ale na progu odwrócisz się, jakbyś mnie zapraszała, żebym poszedł za tobą. Marzyłem, że zatrzymamy się w korytarzu, będziemy stać bardzo blisko siebie, tak że będę mógł wyciągnąć rękę i przytulić się do ciebie.

Wziął moją dłoń. Milczałam, rozumiejąc, że on miesza marzenia i rzeczywistość po to, żebym przestała rozumieć, gdzie się znajduję. Rozumiałam, ale nie poddałam się temu.

– Marzyłem też o tym, jak zaciagnę cię do pustego pokoju i zamknę za nami drzwi na klucz, żeby nikt nie mógł tam wejść. Będzie w nim ciemno, tak ciemno, że nie będę mógł cię dojrzeć, tylko namacać. Nie zdjąłbym z ciebie nawet spódnicy... przecież jesteś w spódnicy?

– Tak – nie pojmuję, czemu odpowiedziałam.

– No widzisz. Ja tylko poddałbym ją do góry i wziął ciebie – powiedział „wziął ciebie” – a za drzwiami byłoby mnóstwo ludzi, może ktoś chciałby wejść, ale my byśmy nie otwierali, a ty przytuliłabyś się do mnie jeszcze mocniej. Chcesz tak? – zakończył krótkim zdecydowanym pytaniem, a ja znów odpowiedziałam:

– Oczywiście – i nawet nie zdażyłam pomyśleć, kiedy dodałam. – Tak, chcę.

To niósł mnie, to szłam sama, okazało się, że od drzwi dzieli nas trzy, cztery kroki. Nie rozumiałam nawet, dokąd on mnie prowadzi, tak prędko drzwi się za nami zamknęły. Usłyszałam tylko szcęk zamka i ostre żółte światło z korytarza okazało się już tylko przeszłością. Możliwe, że nawet nie istniało nigdy przedtem.

Niczego nie mogłam rozróżnić w tym mrocznym pomieszczeniu, wchodząc tu z oświetlonego korytarza straciłam wzrok, został tylko dotyk, trochę niesamowity, ale upajający. Odszukałam wargami jego wargi, a może to on znalazł moje, przyciskał mnie do siebie ramionami, ale jakby mi tego było mało, ja też go objęłam. Wszystko splatało się jeszcze bardziej, ale to wszystko było częścią otaczającej nas ciemności.

Na mgnienie oka otarłam się o niego, ale tylko na chwilę, bo potem poczułam na biodrach ześlizgujące się po nich dotknięcia i dlatego że były gorące zrozumiałam, że jego dłonie wślizgnęły się pod moją spódnicę. Przesuwały się coraz wyżej i wyżej, tam gdzie znajdowało się moje niczym nie osłonięte ciało, a ja wyczekiwałam na nie. Nie wiedziałam jeszcze, czy chcę czegoś więcej, ale w tej chwili jego ręce były mi bardzo potrzebne. Zrozumiałam, że próbuje ściągnąć mi majtki, te poddały mu się i oderwały od mojej skóry, zaczęły zsuwać się w dół, ale w tym momencie usłyszałam głos zza drzwi. Zapomniałam, że istnieją drzwi, że za nimi mogą być jakieś głosy, głosy narastały, a potem słychać było pojedynczy głos, bardzo głośny, powtarzał ciągle tylko jeden wyraz „Jacqueline”, wreszcie dotarł do mnie i zrozumiałam, że to Michael.

– Jacqueline, jesteś tu?

Drzwi zadygotały, szcęknięta pociągana klamka i drzwi znów drgnęły. Potrzebowałam czasu, żeby dojść do siebie, nie mogłam wymyślić, co należy odpowiedzieć, więc milczałam. A później w ułamku sekundy poczułam strach, znajdowałam się w sytuacji bez wyjścia, strach i przerażenie, obawa, że zostanę nakryta tak głupio, w jakimś zamkniętym pokoju. Nie jestem nawet w pokoju, poznałam to po widniejących w ciemnościach przedmiotach, a w łazience, w maleńkiej, przedzielonej ścianką łazience – zupełnie jak w głupiej anegdocie. Zrobiło mi się duszno, czułam

jak mi strach ściska gardło. Dlaczego? Strach? Wstyd?
– Mój Boże – szeptałam – jak to wszystko głupio się potoczyło. – W tym momencie usłyszałam szept, tuż koło mojej twarzy, cichy, gorący, ostry szept.

– Odpowiedz mu – wyszeptał ten, o którym na ułamek sekundy zapomniałam.

Nagle doszłam do siebie, niezupełnie, ale na tyle, żeby się opanować i odzyskać głos.

– Co takiego?! – krzyknęłam.

– Jacqueline, czy to ty? – słyszać było zza drzwi.

– Oczywiście, że ja – odkrzyknęłam rozdrażniona – o co chodzi?

– Jesteś tam sama? – spytał Michael.

– Czyś ty zgłupiał? – teraz doszłam do siebie już całkowicie. – Nie, tutaj jest nas kilkoro, pieprzymy się jedni z drugimi.

Nastąpiła pauza, a potem Michael powiedział:

– Jacqueline, otwórz drzwi.

– Ty chyba zupełnie zwariowałaś! Chyba mogę przynajmniej w toalecie pobyć sama, bez twojego towarzystwa?

– Jacqueline – powtórzył – Bob widział, że nie wchodziłaś tam sama.

– Michael – powiedziałam bardzo stanowczo, chociaż znów cała się trzęsłam w środku – posłuchaj, nie rób z siebie pośmiewiska. Ze mnie przy okazji też nie.

Próbowałam namacać dźwigienkę z boku rezerwuaru, błądziłam po omacku, aż nagle zrozumiałam, że trzeba włączyć jakiegokolwiek światło i podniosłam rękę do włącznika. W tym momencie moja ręka została pochwyciona i ściśnięta, a ja znów usłyszałam szept: – Nie zapalaj światła, na razie nie zapalaj. – Próbowałam się uwolnić, w końcu to przez niego znalazłam się w tej idiotycznej sytuacji. Nagle pomyślałam, że zobaczy mnie w pełnym świetle, potargana i z rozmazanym makijażem i szminka, więc się rozmyśliłam.

– Zaczekaj – krzyknęłam w stronę drzwi i w tym momencie na przeciwległej ścianie zobaczyłam sylwetkę szybko poruszającego się mężczyzny. Początkowo nie domyśliłam się, dlaczego jego ruchy były takie gwałtowne, ale później zrozumiałam: dlatego że na ścianie znajdowało się okno, niewielkie okienko, przypominające lufcik. Widziałam, jak podciągnął się na rękach, potem w oknie znikły jego nogi, a następnie reszta tułowia. Pomyślałam, że chce coś powiedzieć, i zrobiłam dwa kroki naprzód.

– Nie martw się, odnajdę cię, teraz już naprawdę – wyszeptał prawie niedosłyszalnie.

Skinęłam głową i wydawało mi się w ciemnościach, że on tak jak zwykle uśmiechał się. Znikł, a ja zostałam sama.

Nagle sytuacja zupełnie się zmieniła: przestała być idiotyczna, wprost przeciwnie, idiotyczny był teraz Michael ze swoimi głupkowatymi szpiegami, brakiem wiary i głupota. Podciągnęłam majtki i wygładziłam spódnice, drzwi znów zadygotały, więc krzyknęłam: – Zaczekaj, zaraz otworzę. Pozwól mi doprowadzić się do porządku. – Spuściłam wodę, a potem podeszłam do okna, chociaż nie spodziewałam się nikogo dojrzeć. Łazienka znajdowała się na parterze i człowiek, który zniknął w oknie, powinien już być daleko. Na ulicy zapadał zmierzch, ale oświetlała ją latarnia i nagle skamieniałam: pod domem znajdował się spadzisty stok wzgórza. Dom stał na samym jego szczycie i do ziemi było co najmniej pięć metrów.

W tym momencie dojrzałam go. Wisiał na rękach, trzymając się jakiegoś występu i próbował namacać stopami coś, na czym mógłby się oprzeć, a kiedy wreszcie znalazł, opuścił jedną rękę niżej i znów zaczął szukać czegoś, za co mógłby się chwycić. Później na pewno krzyknęłam, bo jego nogi nagle straciły oparcie, jedna po drugiej, tracąc równowagę podniósł jedną rękę w górę, próbując znaleźć coś, czego można się przytrzymać. Zauważyłam, że palce

drugiej ręki rozwarły się i ześlizgnęły, potem mignęła mi jego twarz, teraz bez żadnego wyrazu. Prawie jednocześnie usłyszałam głucho uderzenie, tak jakby spadł płócienny, dobrze czymś wypełniony worek, zobaczyłam leżące ciało, a potem nie widziałam już niczego. Oczywiście krzyknęłam, ponieważ w tym samym momencie drzwi poddały się i otworzyły z takim hukiem, jakby rozpadły się na małe kawałeczki. Ktoś wbiegł, nie mogłam rozróżnić kto, kilka osób, odciągnęli mnie na bok, ale było mi wszystko jedno. Wyrwałam się do korytarza, biegłam przez wszystkie pokoje, a martwy odgłos upadku ciągle tkwił w mojej głowie. Na ulicy zatrzymałam się, żeby sobie przypomnieć, z jakiej strony znajduje się okno, z którego on wypadł, a potem, schodząc po niemal pionowym zboczu wzgórza, czepiając się gałęzi rosnących tam krzaków, korzeni, wrywając kepy trawy razem z kawałkami ziemi, łamiąc paznokcie. Nie zastanawiałam się nawet, czy on żyje, czy się zabił, nie myślałam o niczym, jedyna rzecz, jaką mogłam wyłowić z panującego w mojej głowie chaosu – to ten głuchy odgłos upadku i poczucie konieczności pośpiechu, tak jakby ktoś do mnie mówił: „szybciej, szybciej”. Z tyłu dochodziły głosy, ale ja ich nie rozróżniałam, jacyś ludzie za mną biegli, było mi wszystko jedno, najważniejsze było dla mnie to, żeby zdażyć.

Kiedy dobiegłam, już siedział, żył i tylko to miało dla mnie znaczenie. Podeszłam i przysiadłam na piętach tuż obok niego.

– Co z toba? – spytałam.

Uśmiechnął się, miał podrapaną twarz, wyglądał żałośnie, jeszcze nie doszedł do siebie po wstrząsie wywołanym upadkiem, ale wtedy właśnie zrozumiałam, że jestem w nim zakochana. Chciałam pogładzić go po twarzy, żeby usunąć z niej ból, wyciągnęłam nawet rękę, ale w tym momencie coś odrzuciło mnie na bok. Potłukłabym się boleśnie, gdybym nie zdażyła podeprzeć się wyciągniętą ręką.

Obejrzałam się: Michael i jeszcze czterech chłopców, widać było, że dopiero przed chwilą nadbiegli, ciężko dyszeli, za nimi jeszcze inni ludzie biegli w naszą stronę, spuszczać się po zboczu wzgórza. Wszystko działo się tak prędko, że nawet nie zdażyłam się jeszcze podnieść, kiedy Michael już schylał się nad nim i walił go swoją ogromną pięścią w twarz. Coś krzyczał, niemal dusząc się, a w jego oczach widać było ogromne napięcie i wściekłość. Nie od razu zrozumiałam słowa, słyszałam tylko swoje imię „Jacqueline”, a potem Michael powtórzył z krzykiem: – Co ty z nią tam robięś, draniu?! Co tam robiliście?!

Widziałam, jak kark Michaela nabrzmał i prawie dwukrotnie zwiększył swoją objętość, gdy pochwycił nieznajomego za koszulę i podrywając uniósł nad ziemię. Widać było, że tamten nie mógł utrzymać się na nogach i lekko się słaniał, podczas kiedy Michael powoli otwierał i cofał prawą rękę, lewą wciąż trzymając go za kołnierz koszuli, tak jakby przygotowywał się do uderzenia go w twarz. Potem nastąpił cios, a ja rzuciłam się w ich stronę, ale było za późno. Kiedy przemierzałam te kilka kroków, pięść Michaela wylądowała na twarzy intruza, a on najpierw się zachwiał, a potem nadludzkim wysiłkiem jego ciało oderwało się od trzymającej go ręki Michaela, zostawiając w jego zaciśniętej garści strzęp wyrwanej koszuli, odleciało na dwa, trzy metry i runęło bezwładnie, jak długie, na wznak.

– Świnia! – krzyknęłam, waląc pięściami w ogromne plecy Michaela. – Co ty wyprawiasz, jak ty... W tym momencie odwrócił się, a mnie poraził wyraz jego twarzy i dzikie spojrzenie. Nigdy nie przypuszczałam, że Michael może mieć taką dziką, obcą twarz, w której było coś zwierzęcego. Poraził mnie strach, strach o samą siebie. Zobaczyłam nagle coś lecającego prosto na mnie, chciałam zamknąć oczy, ale nie zdażyłam, potem, jakby obok, rozległo

się ogłuszająco głośne klaśnięcie. Odrzuciło mnie do tyłu i prawie w tym samym momencie poczułam, że zdrewniał mi policzek. Dotknęłam go palcami i tylko przez mgnienie oka czułam pieczenie, silne, palące pieczenie i prawa strona poniżej ust jakby nienaturalnie wywineła się na zewnątrz.

– Suka – wychrypiął Michael, znów biorąc zamach, a ja, oczekując na nowy cios, odsunęłam się o krok, lecz jego wyciągnięta ręka zastygła w powietrzu. – Jak mogłaś? – zachrypiął i powtórzył – Jak ty mogłaś?

Chciałam coś odpowiedzieć, kiedy z prawej strony rozległo się szuranie. Ten, którego wydawało się Michael tylko co pozbawił życia, usiłował wstać. Obrócił się na brzuch, a teraz był na kolanach, trzęsąc głową, jedna ręka bezwładnie zwisała, a drugą opierał się o ziemię. Potrzebował czasu, żeby podnieść się na nogi, wszyscy się gapili: uda mu się czy nie, udało się. Stał chwiejnie, a Michael ponownie chwycił go za koszulę i znów dotykając jego twarzy grożącym palcem wycedził:

– Jeżeli zaraz, gnoju jeden, nie wytłumaczysz mi wszystkiego, zostaniesz kaleką na całe życie. Nigdy nie wstaniesz z inwalidzkiego wózka.

Słyszałam wyraźnie każde słowo i wiedziałam, że to prawda. Michael miał zamiar porządnie go uszkodzić.

– Co chcesz wiedzieć? – rozległ się cichy, z trudem artykułowany głos. – Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi. Czytałem jej wiersze. Głupio wypadło, fakt, ale czytałem jej wiersze.

– Zabiję cię, zaraz cię zabiję – wycedził przez zęby Michael i znów podniósł rękę ze zwiniętą w kułak dłońią, – Jakie wiersze?

– Piszę wiersze – głos trochę okrzepł, nie było w nim cienia strachu, wprost przeciwnie, wydawało mi się, że jest w nim coś w rodzaju skrywanego uśmiechu. – Chciałem przeczytać jej wiersze, ona lubi poezję, przecież wiesz

o tym, ot i wszystko. Poszliśmy do tego pokoju, to znaczy do łazienki i czytałem jej wiersze.

– To po co było wchodzić do łazienki?

Wydawało mi się, że Michael wyhamował, nie tylko z powodu otrzymanego wyjaśnienia, ale również pod wpływem spokojnego głosu.

– Zacząłem je czytać w korytarzu, ale tam był hałas, przeszkadzała głośna muzyka, zaproponowałem, abyśmy weszli do następnego pokoju, nawet nie wiedziałem, że to łazienka, myślałem, że to kolejny pokój. – „To prawda”, pomyślałem. – A potem, kiedy zacząłeś stukać, Jacqueline przestraszyła się, że niewłaściwie wszystko zrozumiesz, więc postanowiłem wyskoczyć przez okno, żeby rozwiązać sytuację, ale niestety spadłem.

Uśmiechnął się nawet, jakby przepraszając, a mnie wydawało się, że w tym momencie spojrzął na mnie. Wyjaśnianie było skończone, ale Michael wciąż jeszcze trzymał go za koszulę i nie opuszczał podniesionej ręki.

– Jakie wiersze? – spytał Michael, prawdopodobnie nie wiedząc, co dalej.

– Napisałem długi wiersz, prawie poemat, czytam go wszystkim. – I nagle zaczął deklamować:

*Był moją Północą, Południem, moim Zachodem,
moim Wschodem,
Mój sześciodniowy pot, moje świąteczne uniesienie,
Słowa i ich znaczenie, sptaw zaimków.
Miłość, myślałem, nie ma końca. Myliłem się.
Zgaście gwiazdy i nie spoglądajcie w nie więcej...*

Mówił ze specyficzną manierą, autorską, nieco monotonię, akcentując sylaby w tylko sobie rozumiały sposób. Wszystko w tej deklamacji było utajoną, teatralną grą, może dzięki intonacji, ale tylko ja jedna potrafiłam to

odczytać i zrozumieć. Nie wyrecytował do końca swojego poematu, bo szeroka dłoń Michaela ścisnęła jego twarz i odepchnęła go do tyłu.

– Uważaj tylko, draniu – powiedział Michael, podchodząc do niego, zupełnie bezbronnego, leżącego na ziemi. – Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę – to już nie żyjesz.

– Daj już spokój, Michael – rzucił ktoś z zebranego tłumu – może on mówi prawdę. Może tak właśnie było i nikt tu nie jest winny.

Michael odwrócił się i spojrzął na ludzi stojących za jego plecami.

– Tak, Mike, wyhamuj już, bo wezwą policję. Wejźmy do domu. – Michael kopnął jeszcze leżące na ziemi, zwiotczone ciało, ale niezbyt mocno, bardziej dla postrachu, i podszedł do mnie.

– Czy to prawda? – zapytał. – To, co on mówił o wierszach, to prawda?

– Nie twoja sprawa, kretynie – włożyłam w swoje słowa tyle złości, ile tylko mogłam. Szczeka mnie paliła i nie czułam już prawie połowy twarzy.

– No dobrze – powiedział Michael – wybacz. Przecież nie wiedziałem.

– Odejdź – powiedziałam, chociaż właściwie tak naprawdę to wcale nie chciałam, żeby odszedł.

– No dobrze, chodźmy.

Oczywiście, że chciał się pogodzić, bo dłaczegóż miałby nie chcieć? Zawsze zgadzałam się i wypełniałam swoje obowiązki, szczególnie jako kobieta. I co dostałam w nagrodę? Rozbitą szczękę.

– Spadaj – powtórzyłam i sama zdziwiłam się, kiedy usłyszałam własny głos.

– Mam zadzwonić?

– Nie – odpowiedziałam zdecydowanym głosem.

– Zadzwonisz do mnie?

– Zastanowię się – gotowa byłam powiedzieć cokolwiek, żeby tylko sobie poszedł.

Michael najwyraźniej też miał dość tej kompromitacji, więc odwrócił się na pięcie i poczłapał w stronę domu. A tam, trochę z boku, były schodki i nie musiałam, idiotka, przedzierać się przez krzaki i łamać paznokci, trzeba było tylko spojrzeć uważnie. Teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia.

Poczekaliśmy, aż wszyscy odejda, a potem podeszłam do swojego pechowego amanta. Udało mu się usiąść, nogi miał rozrzucone na boki, siedział zgarbiony, jedną ręką, podpierając się o ziemię. Usiadłam obok niego.

– Co z twoją ręką? – zapytałam.

– Nie wiem, złamana albo zwichnięta.

– To on, to ten... – nie wiedziałam, jakiego użyć słowa.

– Nie, to na pewno podczas upadku – spojrzał na rękę, a potem na mnie. Jego potłuczona i opuchnięta twarz miała głupkowaty i przerażający wygląd. Uśmiechnęłam się.

– O co chodzi? – spytał i także się uśmiechnął.

– Uśmiechasz się. Cieszysz się, że zostałeś przy życiu? – wyciągnęłam dłoń i zdjęłam przyklejony do jego skroni poślizgnięty liść.

– No, ogólnie mówiąc, to tak – jego wzrok omiótł najbliższą okolicę.

– Nawet nie znam twojego imienia. Jak się nazywasz?

W tym momencie zaczął chichotać, nawet się nie śmiał, tylko chichotał. Ja też nie wytrzymałam.

– A ty czego rzysz? – zapytałam przez śmiech, spoglądając na jego skrzywioną z zimna i bólu twarz.

– To bardzo śmieszne... Prawie cię wyrabiałem (to słowo do tego faceta nie pasuje, choć nie wiem, jaki okaże się dalej)... A ty nie znasz mojego imienia... – Śmiał się zaraźliwie, zrozumiałam, że wychodzi z niego całe napięcie, ale

mimo wszystko poddałam się. – Omal nie zabił mnie z twojego powodu... – odezwał się, przerywając śmiech.

– No zaraz zabiłby... – wtrąciłam się.

– W porządku, w każdym razie mnie okaleczył... a ona nie zna mojego imienia. To naprawdę bardzo śmieszne...

Kiwaliśmy się ze śmiechu jeszcze kilka minut, a potem śmiech zaczął zamierać.

– Masz siłę iść? – spytałam.

– Mam nadzieję – odpowiedział, ocierając łzy.

Wyszliśmy na ulicę. Utykał, przytrzymując jedną rękę drugą. Prawie pięć minut czekaliśmy na wolną taksówkę.

– To jak masz na imię? – znów spytałam.

Uśmiechnął się, ale teraz już krótko.

– Steve – odpowiedział.

– Steve – powtórzyłam bezwiednie. – A poza tym, kim ty jesteś? Czym się zajmujesz?

– Głównie włączę się po prywatkach, chociaż ostatnio, jak się okazuje, jestem obiektem mordobicia.

Uśmiechnęłam się. Podobało mi się, że on tak lekko mówi o tym, co się zdarzyło. Inny chełpiłby się, a ten odwrotnie, śmieje się.

– Tak naprawdę, co ty w końcu robisz: uczysz się, pracujesz?

– Tak, to bardzo interesujące. – Próbował machnąć zdrową ręką, ale to mu się nie udało, zauważyłam, jak skrzywił się z bólu. Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział: – Wykładam lingwistykę na uniwersytecie.

– Jesteś poważnym człowiekiem – zdziwiłam się. – Pewnie jesteś już stary?

– Nie, nie bardzo – odwrócił twarz w moją stronę i sama zobaczyłam, że nie bardzo.

– Jak to się stało, że cię jeszcze nie wywalili z pracy? – trochę szarżowałam. – Przecież wam, wykładowcom, nie wolno spotykać się z nieznanymi dziewczynami.

– Przecież oni o tym nie wiedzą – Powiedział to tak naturalnie, że znów wydało się śmieszne. – A poza tym, jeżeli wywała, to tylko wyjdzie na lepsze.

– Ty pewnie nie bardzo pasjonujesz się tą twoją lingwistyką? – podsumowałam, chociaż właściwie było mi wszystko jedno.

– Nie – potwierdził – nie bardzo.

Zamilkliśmy.

– A wiersze, które recytowałeś Michaelowi, są rzeczywiście twoje? – spytałam po chwili.

– Tak, moje, jakżeby nie... – przygryzł wargę, a potem zaczął przestępować z nogi na nogę. – Auden, klasyk, należy go znać.

– Nie żałujesz? – spytałam po chwili.

– Czego?

– No tego, że jesteś potłuczony, że cię boli, że ręka prawdopodobnie złamana?

Podniósł głowę, spojrzał na mnie badawczo i powiedział poważnie:

– Wiesz, uczynki, których żałujemy na samym początku, są jedynymi, które zapamiętuje się na zawsze, na całe życie. A jeżeli na zawsze, to znaczy, że są najcenniejsze. Pamięć przesiewa. Rozumiesz? – Umilkł, a po chwili dodał lekkim tonem: – A poza tym, czego tu żałować? Jeżeli masz czegoś żałować, to nie warto tego robić. A jeżeli mimo wszystko to robisz, to nie ma czego żałować.

– Bardzo proste – powiedziałam.

Potaknął, że niby to rzeczywiście proste.

– To wszystko się zdarzyło – mówię głośno – tak właśnie poznałam się ze Steve'em. Spuszczam wzrok na książkę, potrafię jeszcze rozróżnić kształt liter, ale nie, poskładanie ich razem jest już niemożliwe. To tak samo jak z oceanem, mogę jeszcze dojrzeć jego oddzielne elementy, ale nie

potrafię ich złożyć i zlać w całość, w jednolitą głębię oceanu, bo to stanowi trudność, wszystko z powodu ciemności. Ciemność to nie tylko brak światła, to coś żywego, co wpełza, wlewa się kropla po kropli w wieczorne powietrze i od razu rozpuszcza się w nim. Z lekka rozsnuwa przezroczystą mgiełkę, a potem, jakby ośmieliwszy się, rozrasta się i połyka ją, wypuszczając opary jadowitego półmroku. W tym zmetniałym, zagęszczającym się powietrzu jest jakieś piękno półcieni, ale brakuje krystalicznej przejrzystości, czystości i porządku.

Już dawno nadeszła pora, żebyśmy weszła do domu, zdrętwiałam z zimna, zarówno wspomnienia, jak i wieczorny chłód pochłoneły mnie, a ja bezwolnie poddałam się ich obezwładniającej, paraliżującej władzy. Wszystko to zostawiam sobie i wstaję, trzymając książkę w jednej ręce, a pled w drugiej, ocean zostaje za moimi plecami i tylko jego jednostajny szum i skrzypienie opuszczonego, bujanego fotela ścigają moje kroki.

W domu jest ciepło. Parzę sobie herbatę i siadam na tapczanie, podwijając pod siebie nogi. Naciągnięte na kolanach dzinsy za bardzo mnie uciskają, wstaję więc i ściągam je, zostając w samych majtkach. One także ściskają brzuch i biodra, ale są lżejsze i bardziej elastyczne, więc znów, jeszcze wygodniej, rozkładam się na tapczanie. Naciagam na siebie pled, który zatrzymał w sobie jeszcze wieczorny chłód oceanu, ale wiem, że wkrótce rozgrzeje i siebie, i mnie, więc znów czuję się wygodnie i spokojnie. Książka jest otwarta bliżej początku i trafiam wzrokiem na rozdział numer siedemdziesiąt siedem:

„Miałem w życiu powodzenie, a ono często stykało mnie z ludźmi nadzwyczajnymi, nierzeczywistymi. Prawdopodobnie sam ich wyszukiwałem i wyławiałem z całej masy

znajomych, a potem czepiałem się ich, nie pozwalając im oderwać się od siebie. Tak czy inaczej, ale udawało mi się.

Przy czym człowiek uzdolniony nie oznacza tego, któremu się wiedzie. Między potencjalnym talentem a jego realizacją jest ogromna przepaść i bieda w tym, że tylko niewielu tego doświadcza. Na tym polega cały dowcip, bez urazy, może największy dowcip, żeby w porę zauważyć, jak wygasa boża iskra, która nie zdażyła się rozpaścić, jedynie tli się i już nigdy nie wywoła ognia.

To prawo bezwarunkowe, ale dowolny talent wymaga jeszcze wielu dodatkowych uwarunkowań, najważniejsza jest, choć to może paradoksalne, wiara w to, że ten talent istnieje. Tylko ona może przeprowadzić przez pokusy pragmatycznego bytu, które błagają, proszą, żeby nie ryzykować, nie próbować. Jeżeli tylko zawahasz się na minutę, jeżeli, jak w tej bajce, drgnie ci ręka albo mrugniesz okiem, talent uleci, wpadając w wir życia, napotykać na wiele stromizn i małe radości. One rozmieniają go na drobne.

Ileż ja znam historii straconego, rozmytego w życiu talentu! Jak wiele razy napotykałem oczy, w których widać było troskę i niezadowolenie. Za każdym razem, kiedy słucham nowej opowieści o tym, jak to komuś w życiu się nie powiodło, jak nie zdołał się zrealizować, myślę sobie: «Mój Boże, jakie to wszystko przykre!».

Interesujące, że pewien mój przyjaciel podejrzewał mnie przez to o wywyższanie się nad innych, nie rozumiejąc, że współczucie może być nie konkurujące, a równoprawne z innymi uczuciami. Nie myślałem nawet o tym, żeby go przekonywać, pomyślałem natomiast zupełnie o czymś innym i zapytałem sam siebie: «Kto we mnie nie wzbudza współczucia?».

Zrozumiałem: tylko ta garstka, która jest odpowiedzialna za losy innych. To nie los rzuca ludzi na głębinę upływającego czasu, ale oni decydują, kogo odstawić na boczny

tor, kogo przyhamować, a kogo wypchnąć do przodu. Nie są nawet jakoś specjalnie szczęśliwi z racji swych możliwości, ani też, bardzo często, nie są specjalnie zadowoleni z rezultatów, ale ja ich nie żałuję. Nie żałuję ich nawet wtedy, kiedy tracą i przegrywają. Oni są jedynymi, którzy nie wyzwalają we mnie współczucia...”

„Czy to właśnie mnie dotyczy?” – myślę. Na pewno. Zawsze robiłam tylko to, co musiałam, i co uważałam za konieczne. To Steve odkrył we mnie namiętność i poczucie własnej siły, bez niego bym, tak jak dawniej, uważała, że jestem powołana do tego, żeby innym dawać radość i zadowolenie. Co w nim było takiego nadzwyczajnego, czego nie było w innych? Już wtedy zastanawiałam się nad tym i spytałam go, ale on sam tego wtedy nie wiedział i tylko wzruszył ramionami, nie próbując odgadnąć.

Był wieczór, leżeliśmy jeszcze spotniałi, niemal bez życia, na takim samym spotniałym i bez życia prześcieradle, zdobywając się tylko na słowa, spojrzenia i apatyczne ruchy.

– Co to takiego? Dlaczego tak? – spytałam. – Tak jakby nie było w tobie nic nadzwyczajnego, ale dlaczego tak zupełnie podświadomie i tak silnie ciebie wyczuwam?

Nie odpowiedział, a może nie znał na to pytanie odpowiedzi, więc tylko wzruszył ramionami. Milczeliśmy, i chociaż nasze milczenie nie było całkowite, przerwy i ich czas był elastyczny, dosłownie wlewały się we mnie, wytryskując z niego.

– Może ty mnie kochasz? – powiedział w końcu Steve.

– To coś prostszego – powiedziałam i chcąc do końca wyprowadzić go z błędu, pozbawić pewności siebie, dodałam: – Niewiele osób kochałam w życiu.

On oczywiście wiedział, że zanim go spotkałam, nie kochałam nikogo, sama mu o tym opowiadałam. Odwrócić głowę, a ja zobaczyłam jego oczy, podobne w tej chwili do

dwóch oceanicznych głębi. Nie, nie spodobało mi się to porównanie, zbyt wytarte jak dla tego wyrazistego spojrzenia, w którym można się było pogrążyć i zagubić.

– Na pewno energia – powiedział mój kochany, kochany, tak bezgranicznie już kochany.

Uśmiechnęłam się lekko, czując się teraz wolna i zrobiło mi się błogo. W ciało znów wstępowało życie, wiedziałam już, że w rezultacie okaże się, że jest go więcej niż w chwili, kiedy zdawało się, że całkowicie obumarło.

„Energia – pomyślałam – przecież on ma rację. On ma w sobie rzeczywiście jakieś fizyczne, działające energetyzująco pole magnetyczne, które nauczyłam się odbierać. Czy naprawdę się nauczyłam? Może zawsze potrafiłam je odbierać, tylko trzeba było odnaleźć człowieka, który posiada taką energię”.

– Czy pamiętasz jak pocałowaliśmy się pierwszy raz, wtedy, w parku?

Nie oczekiwałam od niego odpowiedzi. Jak zwykle mówiłam do siebie, do własnej pamięci, dla własnego zadowolenia, ale on powiedział:

– Miałaś takie delikatne wargi. – Zamilkł, a ja już chciałam spytać zaczepnie: „A teraz mam inne?”, ale milczałam.

– Całe ciało miałaś delikatne.

– Skąd wiedziałeś, jakie miałam ciało?

Wzruszył ramionami.

– A teraz inne? – spytałam, nie mogąc się powstrzymać.

– Teraz inne. Bardziej żywiołowe. Spragnione.

– Czy to źle? – zapytałam.

– Nie, to nie źle. Tylko niebezpiecznie.

To było śmieszne.

– Co tu jest niebezpiecznego? Dla kogo? – roześmiałam się.

– Dla tych, którzy są z tobą – Zamyślił się. – I dla ciebie także, oczywiście.

– Tak bardzo się mnie boisz?

– Nie, na razie nie.

Wyczułam, że on także się uśmiechnął.

– Co to za energia, Steve? – zapytałam.

– Energia? – Zamyślił się. – To energia pożądania. Zawsze chcę ciebie, i to wywołuje energię. Ona jest skierowana tylko na ciebie, i tylko ty możesz ją odebrać. Czuję, że taka sama energia bije również z ciebie, a także to, że energia każdego z nas wzbudza energię drugiego.

„Oczywiście – pomyślałam – to jak lawina śnieżna, bardzo interesujące, co by było, gdybyśmy się znaleźli w łóżku, zanim rozpaliliśmy w sobie tę energię. Ciekawe, co by się wtedy stało? Na pewno coś by nie wytrzymało i pękło. Co mogłoby się stać? – w tym momencie myślałam po prostu dosadnie. – No tak, u niego to rozumiałe, chociaż, nie daj Boże, on może się we mnie rozerwać?”

– Czy to pytanie? – powiedziałam głośno, ale on nie zrozumiał.

– Co za pytanie?

– Co we mnie może rozerwać się z podniecenia?

Nie musiałam mu więcej wyjaśniać, możliwe i całkiem prawdopodobne, że on już zupełnie dobrze potrafił wędrować ścieżkami mojej fantazji. – Fan-ta-zja – nie wiadomo dlaczego powiedziałam do siebie, sylabizując.

Uśmiechnął się.

– Rozerwać się, powiadasz – znów się uśmiechnął – to ona nie może.

Wydawało mi się zabawne, że nagle tak zatracił zdolność indywidualizowania. Jeszcze dwadzieścia minut temu miał dla „niej” niezliczone mnóstwo imion i wszystkie niespotykane, a teraz z powodu tego nasyconego osłabienia nie pozostało ani jedno. Pokiwałam głową i tak się zdarzyło, że policzkiem otarłam się o jego ramię.

– Nie – rzuciłam – w żadnym wypadku nie może. Od naprężenia tym bardziej nie. „Ona” – specjalnie podkreśliłam to słowo, żeby było mu wstyd z powodu tego mało oryginalnego określenia – jest elastyczna.

– Elastyczna – powtórzył za mną Steve, wielkodusznie zgadzając się.

– Głowa może – kontynuowałam.

Ujrzałam jego twarz, odwrócił się w moją stronę, jego oczy znalazły się na wysokości moich, tak że nie wytrzymałam i wczepiłam się zębami, wpiłam się w jego ciało, nie wybierając miejsca, w pierwsze, na jakie trafiłam. To był bezmyślny, niekontrolowany poryw, przestraszyłam się na moment, że nie wytrzymam, tak bardzo chciało się do środka, w ciało. Mimo wszystko powstrzymałam się i rozwarłam szczęki, a potem z niedowierzaniem popatrzyłam na natychmiast poczerwieniałe ślady moich zębów na jego skórze.

– Ulżyło? – ze zrozumieniem zapytał Steve, ale ja już znów leżałam, oparta głową na jego ramieniu, uniesienie, które nie wiadomo skąd się wzięło, już minęło, a ja, żeby wyrzucić z siebie jego ostatek, powiedziałam w przestrzeń:

– Jak ja cię Kocham!

– Jesteś niemądra. Kiedyś mnie pewnie pozresz.

Uśmiechnęłam się. Głos Steve’a był pełen obojętności, nawet gdybym go pożarła pewnie by tego wcale nie zauważył.

– Oczywiście, moja głowa może się rozerwać, jeżeli coś pójdzie nie tak, jak powinno. Po prostu rozerwie się – powtórzyłam.

Pochylił się nade mną, ostrożnie, z uwagą, tak żeby nie uszkodzić mojej głowy. Jego wolna ręka spoczęła na moim brzuchu i specjalnie powoli, marszcząc na swojej drodze skórę, przesuwała się niżej, przełamując ból i pokonując dumę. Zsunęła się niżej, na łono, pokryte krótkim włosami.

Tam bez zahamowań chwytła wszystko, co tylko można było pochwycić, i wędrowała dalej, a ja, już w podnieceniu, z trudem oddychając i opanowując zdenerwowanie, naprężyłam się, unosząc biodra i lekko rozwarłam uda, niezbyt szeroko, żeby tylko jego ręka się tam zmieściła.

Wiedziałam, czułam to, że moje wargi są rozwarłe i oczekują go z całą swoją wilgotną zachłannością, marząc o tym, żeby chociaż jego ręka, a przynajmniej palce gładziły mnie, dotykały i chwytły. Doczekałam się. Nakrył je dłonią, i powtarzał ruchy: miętosił, chwycił wargi, włosy i jeszcze dalej, coś tam tuż na samym brzegu pachwiny, przegarniał, ściskając niemiłosiernie, tak że zapiszczałam z bólu, przyduszona jego ręką, wyprężyłam piersi, próbując pochwycić ustami jego usta, które były tuż, blisko. Chwilę przedtem, nim przestał mnie przyduszać ręką, wargami tchnął we mnie słowa, które odróżniłam nie po dźwięku, a po ruchu powietrza:

– To się nazywa „postradać zmysły”.

Przestał, a ja, osuwając się w dół, chciałam znów powiedzieć, że go kocham i że na pewno już postradałam zmysły, ale milczałam i tylko zwracając ku niemu głowę, dotknęłam go wargami i cmoknęłam na chybił trafił.

To stało się pewnie dlatego, że poczułam smak jego karku albo przez trwające ułamek sekundy muśnięcie skóry wargami, a może, bo pomyślałam o nim i przeniknął mnie dreszcz. Pewnie dlatego nachyliłam się nad nim, uważnie przyglądając się każdemu załamkowi jego skóry, każdej zmarszczce widniejącej na jego twarzy. Czułam potrzebę pieszczenia go, nie oczekiwałam jego pieszczot, chciałam tylko dawać, nie otrzymując nic w zamian. Moje włosy opadły w dół, na jego twarz, a wargi, z lekka, ledwie muskając, prześlizgnęły się po jego szyi, płosząc go lekkością dotyku, ofiarowując delikatność i czułość, i to samo otrzymując w zamian, a także jego zapach – delikatny,

prawie dziecięcy zapach jego skóry. Tak bardzo go w tej chwili kochałam – za spokój i za wdzięczność w przy-
mkniętych oczach, i za ledwie wyczuwalne drżenie skóry
pod moimi wargami.

Przytuliłam się do niego, mój brzuch przylgnał do jego biodra, poczułam ból, ale nie bałam się bólu, ani teraz, ani później, moja pierś ściśnięta naszymi ciałami, także poczuła go, ale nie był ostry, tylko matowy, tak jak tego oczekiwałam. Zsunęłam się ustami po jego piersi do płatyniny włosów, do ich łaskoczącej sprężystości. Tak jak trawa ugina się pod wpływem wiatru, żeby się potem wyprostować, tak one próbowały się wyswobodzić z moich warg, ale zarazem spleły się z nimi, nie puszczając, próbując zatrzymać. Nagle zawładnął mna jakiś pierwotny instynkt, niemal zwierzęcy: schować się, zakopać się, poczuć się małą na jego szerokiej piersi. Nie małą i bezbronna, ale kierującą i kontrolującą jego męską siłę, nie przeciwstawiającą się jej, ale odwrotnie, poddającą się, by dzięki temu, w rezultacie, zawładnąć nią.

Na pewno jęknęłam, ześlizgując się twarzą po jego piersi; wszystkie uczucia, które nagromadziły się we mnie i nie mogły znaleźć ujścia, wylały się w tym słabym dźwięku. W tym momencie zrozumiałam, że mam w sobie duszę. Wyobraziłam sobie nawet, że jeżeli w tym momencie ktoś by mnie rozciął, otworzył klatkę piersiową, to wewnątrz, między sercem a płucami taki bezduszny badacz znalazłby duszę, całkowicie zmaterializowaną, namacalną, tylko już zmniejszającą się po wydanym dźwięku i niknącą w oczach.

– O Boże! Jak dobrze! – wyszeptałam. – Jak ja cię kocham, mój najdroższy.

Steve też stał się zupełnie inny niż przed minutą. Jego dłonie przesuwają się po moim ciele i poczułam dławienie w dole żołądka, z początku słabe, nierzeczywiste. Wydawało się, że można go rozpruć, chwycić je i wydobyć, ale czas

uptywał, a to uczucie teżało, rozrastało się i stawało się niemożliwe do opanowania.

Teraz, kiedy moje słowa prawie bezwiednie wymknęły się i wyrwały na zewnątrz, poczułam jak drgnął, jego ręka ściągnęła moje włosy, znienacka mnie przewrócił i zostałam rozplaszczona i przyduszona. Przyglądał mi się ponownie, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy, a ja skurczyłam się pod wpływem jego spojrzenia, bliskiego, nieruchomego, wtedy przywalił mnie całym ciężarem swojego ciała.

– Powtórz – usłyszałam.

– Kocham cię. – Rzuciłam nerwowo głową.

– Powtórz. – W jego głosie dźwięczało zezwierczenie i groźba, a mnie się to podobało.

– Kocham cię. Kocham cię. Mam to powtórzyć jeszcze raz? Kocham cię.

– Jeszcze, jeszcze.

Steve pożałował, a ja się poddawałam.

– Kocham cię, kocham cię, kocham.

Wreszcie poczułam, że od tego bezustannego powtarzania zakręciło mi się w głowie, ciało stało się sprężyste, ale potrzebowałam sił. Nie miałam ich, chociaż chciałam tylko rozsunać uda, ale kiedy próbowałam to zrobić, okazało się, że on jest już między nimi. Było mi wszystko jedno, kiedy i jak się to stało, wysuwałam tylko biodra na jego spotkanie szukając, i wiedziałam, że znaję.

– Kocham, kocham, kocham... – powtarzałam, jakby w tych słowach zamykało się całe uczucie, cały sens naszego istnienia; i rozpaczliwe, bezmyślne powtarzanie w takt wykonywanych ruchów. Przeraźliwie kurczyłam się, kiedy wchodził, kiedy wślizgiwał się we mnie, ale za chwilę uwalniał mnie, pozostawiając wewnątrz pustkę tylko po to, żeby za chwilę wejść znowu. Tak powtarzało się wiele razy, a moje słowa już nie były słowami ani zawodzeniem, ani zaklęciem, stały się częścią wielowarstwowej pajęczyny,

otulającej mnie jakby swoją lepką uwięzią. Nagle gwałtownie doszłam do siebie, kiedy zrozumiałam, że to już bardzo blisko, niebezpiecznie blisko. To mnie wystraszyło, przegrzając ogarniającą mnie pajęczynę, przerwałam ją w kilku miejscach, ujrzałam świat i krzyknęłam w przerażeniu:

– Zaczekaj, zaczekaj! – a on zrozumiał mnie, zatrzymał się i rozhuśtana bryła również zatrzymała się moją siłą, woli tuż nad skrajem przepaści.

– Zaczekaj – powtórzyłam i kiedy trochę się odsunął, wyslizgnęłam się i uwolniłam spod niego. Gdzie podział się jego nie pozwalający na najmniejszy ruch ciężar ciała, jeżeli tak łatwo udało mi się wyswobodzić spod jego przygważdżającej władzy?

Usiadłam na łóżku, widziałam, że on jeszcze się do końca nie pozbierał ze zdumienia i nie potrafił ukryć zmieszania, ale przecież sam uczył mnie tego wynaturzonego opanowania, nie wiedząc, że to zapamiętam i pewnego razu wykorzystam. Ciagle tak samo bezmyślnie go pragnęłam, to tłumienie w sobie było męczarnią, ale męka nie była uciążliwa, lecz przenikliwie błoga, wysysająca soki, tak że wyływały przezroczyste, przesączały się na zewnątrz jak melasa. Ciężkie i oblepiające uwalniały od przygnębienia.

– Chcę cię narysować – powiedziałam, wstając i odgarniając włosy z czoła. – Właśnie takiego, pożądanego, niezaspokojonego.

Uśmiechnął się jak ogromny, zadowolony z siebie kocur, który igrając z myszką znienacka ją przyszpilił.

– Nigdy takiego ciebie nie rysowałam. Masz teraz wściekłą, dziką i jednocześnie zupełnie bezbronną twarz. A oczy... – nie wiedziałam, co mam powiedzieć o oczach. – Chcę spróbować.

Leniwie, ale wystarczająco szeroko uśmiechnął się:

– Interesuje cię twarz?

– Tylko twarz – powiedziałam.

– No dobrze. Ale nie ubieraj się.

– Nawet o tym nie myślałam. – Zdziwiłam się, że to powiedział. – Ty w ogóle nie rozumiesz, na tym polega cała idea.

– Idea? Jaka idea? – Uśmiechnął się, ale ja udałam, że tego nie zauważam.

– Rysować i jednocześnie umierać przez ciebie.

On chciał właśnie to usłyszeć i ja wiedziałam o tym.

Steve patrzył na mnie, nie odrywając wzroku, a potem powiedział z uśmiechem:

– Możliwe, że wielkie arcydzieła właśnie w ten sposób powstawały.

– Czy ty myślisz, że my pierwsi wpadliśmy na to?

Wyjęłam z szafy teczkę, komplet ołówków i węgiel. Nie postanowiłam jeszcze, czym będę rysować, i usiadłam na krześle obok łóżka. Czułam się niezbyt dobrze goła, nie dlatego, że wpatrywał się we mnie, ale nagie ciało było niezbyt estetyczne, przede wszystkim z powodu chłodzącej wilgoci spływającej na nogi; ta oślizgłość przypominała mi, że czegoś tam mi brakowało, coś tam przeoczyłam.

– Czy wyobrażasz sobie, że Modigliani malował, kochając się? – zapytałam.

W ostatnim czasie byłam rozmiłowana w portretach pędzla Modiglianiego.

– Dlaczegoż by nie? Przecież wiesz, że tylko modelki były jego kochankami. On był przystojniakiem.

– Dlaczego ja nie jestem Modiglianin? – zapytałam bez cienia zawiści. – Wiesz, gdyby on nie stworzył swoich aktów, to ja bym je stworzyła.

– Nie martw się, ty też jesteś dla nas piękna – uspokoił mnie Steve.

– Dla jakich nas? – Zaczęłam już rysować i tylko to miało teraz dla mnie znaczenie, ale mimo wszystko zapytałam, tak dla porządku.

– Dla mnie – poprawił się Steve.

– Pół leżał, pół siedział, wsparty na poduszkach, ale ja nie chciałam przedstawiać żadnych rekwizytów tylko ciało, jakby zwisające w powietrzu. Ręce miał założone za głowę, a mnie trochę przeszkadzały jego włosy pod pachami, rozpraszały, nie wiem dlaczego denerwował mnie ich widok, więc poprosiłam:

– Opuść prawą rękę – posłuchał, ale dłoń leżała niezupełnie tak, jak chciałam, więc prosiłam, żeby ją poprawił:

– Nie, nie tak, połóż ją na nodze.

– Przecież ty rysujesz twarz. Co tu ma noga do roboty?

– Nic takiego – uspokoiliam go – tak jest bardziej wyraziście.

Znowu się uśmiechnął:

– Najlepiej od razu ustalmy, co ty uważasz za twarz?

Rzeczywiście rysowałam portret. Najważniejsze było to, żeby uchwycić wyraz oczu, jakby nieco rozszerzonych w tym momencie i wyrażających coś nieuchwytnego. Nie potrafiłam tego określić, spojrzenie uciekało, ześlizgiwało się, było niemożliwe do opisanego nie tylko słowami, ale również kreską. Nie potrafiłam uchwycić ani wyrazu oczu, ani owalu twarzy. Wiedziałam, że wszystko polega na odpowiednim oddaniu cieni. Marszczyłam się z niemal fizycznego napięcia, przygryzając do bólu wargi, próbowałam zaczepić się wzrokiem, zaczepić o cokolwiek, ale nie udawało mi się.

Odłożyłam ołówek i zmiełam kartkę. Siedziałam przed Steve'em, założywszy nogę na nogę, próbowałam przeniknąć do środka rysunku. Piersiami prawie dotykałam kartki, i to mi przeszkadzało, wzdrygałam się i prostowałam, potem znów spoglądałam na Steve'a, starając się uchwycić to coś ulotnego, co mi umykało. „Jak powiew wiatru – pomyślałam – jak pochwycić powiew wiatru, choćby na ułamek sekundy, wzrokiem, żeby przenieść go potem na papier? Mogę to

przecież zrobić, mam wystarczającą technikę”. I znów dzieliłam twarz Steve’a na fragmenty, po prostu rozbierałam ją, na części.

– Zaczekaj – poprosiłam – muszę usiąść bliżej.

Przysunęłam do niego krzesło i teraz patrzyłam na Steve’a prawie twarzą w twarz. Był cierpliwy, miał wspaniałą naturę, prawie się nie poruszał, tylko pożerał mnie całą, oczami, kiedy na niego patrzyłam.

– Rozchyl nogi – poprosił i tylko na sekundę przeniósł spojrzenie na moją twarz.

Pokręciłam głową.

– Nie – odpowiedziałam twardo.

– Rozchyl nogi.

W jego głosie już nie było prośby, posłuchałam, zdjęłam jedną nogę z drugiej, jakby odpowiadając, chociaż bardzo niewygodnie było mi trzymać teczkę. Opuścił spojrzenie z mojej twarzy, spoglądając w dół, na nogi, próbując przeniknąć do głębi między nimi. Właśnie w tym ułamku sekundy udało mi się uchwycić jego spojrzenie. Nie zrozumiałam, że ręka zareagowała pierwsza, a świadomość dogoniła ją później.

Nie, to nawet nie same oczy, to nienaturalnie ogromne źrenice wypełniły całą powierzchnię oczu, zajęły ją i swoim czarnym ciężarem przegnały z nich przezroczystość, a ta bojaźliwie cofnęła się, jakby chcąc uniknąć kontaktu. „Jak czarna plama nafty rozlewająca się po powierzchni wody – pomyślałam – zabijająca i kolor, i przezroczystość, taka jest ta bezmyślna plama nienaturalnie rozszerzonych źrenic”.

Jakiegokolwiek porównania nie miały w tej chwili najmniejszego znaczenia, ważne było tylko to, co zobaczyłam i zrozumiałam, a palce już odgradzały, rozdzielały jeden kolor od drugiego, cienie kładły się same. Właściwie ręka sama wiedziała, co robić, i cienie padały tam, gdzie powinny.

Zaczęłam tworzyć kompozycję, zostawiając na kartce miejsce tylko na szyję, zaczęłam żałować, że kartka nie mogła się rozciągnąć i pomieścić na sobie całej długości ciała. Potrzebowałam jeszcze co najmniej dziesięciu minut, wiedziałam jednak, że Steve się nudzi. Moja nagość i mój zapach podobały mu się, zauważałam to w jego oczach, odrywając na chwilę spojrzenie od kartki papieru.

Skończyłam, wyprostowałam plecy i zanurkowałam w pościeli. Patrzyliśmy razem długo na rysunek. Oboje milczeliśmy.

– Jestem jakiś taki straszny – odezwał się w końcu Steve, ciągle jeszcze przyglądając się sobie na kartce papieru.

– Taki właśnie jesteś. – Nie chciałam się kłócić, ciepło jego ciała przypomniało mi, jak bardzo byłam samotna rysując go.

– Nie, nie jestem taki, tylko ty mnie takim widzisz.

– Widzę cię takim, jakim jesteś.

Prawie wyrwałam z jego rąk kartkę i odrzuciłam ją na bok. Papier na moment zawisł w powietrzu, jakby wybierając miejsce, gdzie ma spaść, a potem trochę zbyt prędko jak na taką dużą i mocną kartkę opadł na podłogę, prawie u wezłowania.

– Powinnaś się mnie bać, jeżeli jestem taki straszny.

Już dotykał zębami mojej piersi, a ja odwróciłam się plecami od tego mrożącego krew w żyłach uczucia.

– Nie boję się – odpowiedziałam, chociaż było mi ciężko mówić. – To ty się mnie boisz.

– Przyglądałem się jak rysujesz i mało nie oszalałem.

Steve już nie mówił do mnie, ześlizgnął się niżej, jego głowa znajdowała się między moimi udami. Rozsunałam je jeszcze szerzej, żeby było mu wygodniej, i zamknęłam oczy. Jeszcze niczego nie robił, nawet mnie nie dotykał, ale byłam przekonana, że czuję jego spojrzenie, zupełnie tak, jakbym odczuwała dotyk jego dłoni, jego języka albo...

Nie, jego spojrzenie odczuwałam inaczej, nie receptorami, nie przez dotyk, ale bardziej intuicyjnie. Może – tłumaczyłam sobie – wszystko to jest raczej oczekiwaniem tego, co, wiedziałam dobrze, lada chwila nastąpi, i co mogłam, określając czas, dokładnie uprzedzić.

– Oto, jak trzeba rysować – usłyszałam, i jeszcze silniej, prawie do przeszywających mnie dreszczy, poczułam wpijający się we mnie jego wzrok. – Nie tak, kreska, dwiema, a jeśli chodzi o detale, to jest kosmos, wszystko poprzepłatane...

Na końcu wwiercił się językiem, zrobił to w mgnieniu oka, wślizgując się, aż krzyknęłam, krzyk mnie okrył, a ja upadłam naprzód. „Jeszcze, jeszcze” – usłyszałam gdzieś nad sobą,

– Jeszcze, proszę – powtórzyłam, ale on już tego nie słyszał, był gdzieś daleko, tak że ani prośba, ani groźba nie mogłam już niczego zmienić.

– ...ze wszystkimi detalami, z całym zawirowaniem, to było największe uniesienie, w bezkres.

On znów wślizgnął się językiem, tym razem zatrzymując się na dłużej na samym szczycie, podczas kiedy ja znów uniosłam biodra ku górze, a potem nagle opadłam, z przekleństwami na ustach, w dół.

– Czego to Dali nie wymyślił... – Wydawało mi się, że on się nade mną zneęca. Co tu miały do rzeczy cyferblaty, mrówki, szkielety? Po co to wszystko? Niczego nie trzeba wymyślać.

– Zostaw w spokoju Dalego – tyle tylko zdołałam powiedzieć, kiedy wpił się we mnie jeszcze bardziej, może dlatego, że był ze mną, a jednocześnie jeszcze nie do końca mnie posiadał, więc teraz chciał się mocniej ze mną złączyć. W jego pełnych pożądania ruchach zawarte było długo tłumione, niepohamowane zezwierzęcenie. Rozwarł rękami moje i tak już rozwarłe uda, a potem jego zeszywniały

język przeniknął do wnętrza, budząc we mnie dreszcze. Mlaskając wchodził we mnie, próbując jakby obmacać, przylepić się, pociągnąć za sobą. Potem niewidzialna siła nagle uniosła moje ciało, podrzuciła je, a ja, żeby utrzymać równowagę i znaleźć oparcie, wyciągnęłam rękę. Coś gęstego, lepkiego wypełniło moje palce. Bałam się, że nie uda mi się wrócić, pociągnęłam w swoją stronę i szarpnęłam, potem jeszcze raz i jeszcze raz, dopóki nie odrzuciło mnie w dół. Już w dole nagle rozleciałam się na drobne kawałeczki.

– Marquez nazywa to trzęsieniem ziemi. – To były pierwsze słowa, jakie udało mi się wypowiedzieć w asyście delikatnego, wymęczonego uśmiechu. On i tak tego nie zauważył i dobrze, że tak się stało.

– Skończyłeś już? – spytałam, nie wiadomo dlaczego. Steve nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. – Biedaczek – zrobiło mi się go żal, wyciągnęłam rękę, położyłam dłoń sama nie wiem na czym i głaskałam ze współczuciem.

– Mam u ciebie dług – powiedział w końcu. Wiedziałam, że żartuje.

– Nie denerwuj się, poczekaj jeszcze trochę, wszystko oddam. – Byłam mu wdzięczna, bardzo wdzięczna, żeby mnie tylko w tej chwili nie dotykał. – Tylko mnie teraz nie dotykaj – poprosiłam.

– Chłopiec, prawdziwy chłopiec. Zadowolilem chłopca. Pośpieszyłem się i co z tego mam? Kiedy kończysz, to nie dotykaj od razu. Posłuchaj, mój miły Jackie, dlaczego wyrywałaś mi włosy?

Nie rozumiałam zupełnie, o czym on mówi? Jakie włosy?

– Jesteś moim ukochanym – uspokoiłam go. – Co ty tam mówiłeś o Dalim? – Musiałam zyskać na czasie, dlatego zaczęłam paplać o czymkolwiek.

– Dali? – spytał Steve przypominając sobie. – A, Dali. – Po głosie poznałam, że się uśmiechnął. – Dali utracił

najważniejszy obiekt swojej inspiracji, tak więc widzisz, dla ciebie też coś tam na świecie zostało.

Oboje roześmieliśmy się, a ja sobie wyobraziłam siebie jako uosobienie kobiecych genitalii. Chociaż, dlaczego tylko żeńskich?

– Chociaż Dali, oczywiście... – Nie skończył zdania, od razu dorzucając: – Wiesz, człowiekowi trudno jest stworzyć formę, jeżeli nie dostrzegł jej w swoim życiu. Może stworzyć kulę, stożek, sześcian, coś bardziej złożonego, ale rzadko może stworzyć formę, której nigdy nie widział. Chociaż to wcale nie oznacza, że takich form nie ma. Rozumiesz? – Steve zamyślił się. Nie przerywałam mu, lubiłam pauzy, szczególnie teraz, im dłuższe tym lepiej. – Więc mówimy o Dalim. Tak, on na pewno rozumiał, że nowych form nie wymyśli. Dlatego właśnie wykorzystywał już istniejące i tworzył z nich nieistniejące połączenia – nie nowe formy, ale w każdym razie był to krok naprzód.

– Czy ty właśnie w ten sposób prowadzisz wykłady na uniwersytecie? – spytałam.

– Tak, a co? Zbyt nudnie?

– Nie, pytam tylko tak, w ogóle. Wykładać – to prawdopodobnie nie jest to, co potrafisz robić najlepiej – powiedziałam i odwróciłam jego twarz w swoją stronę: tak było mi wygodniej go pocałować.

Zdętwiały mi nogi. Już od dłuższego czasu czułam rozciskające się klucie drobnych igiełek, teraz to uczucie pogłębiło się, ogarniając mnie pulsującą falą. Wyciągam spod siebie zdętwiałe nogi, z ogromnym trudem poruszając zdętwiałymi palcami. „Dziwne – myślę – ale wspomnienia nie wywołują we mnie uczucia żalu. Nie odczuwam ani goryczy, ani rozczarowania tylko czułość, cicha, umiarkowaną, czułość na wspomnienie przeszłości. Dlaczego tak? Może zawdzięczam to książce, która, dzięki ledwo dostrze-

galnej asocjacji łagodnie cofa mnie w przeszłość, zagłuszając ból?”

„Przeszłość – pomyślałam znów – jak mogę źle się do niej odnosić, jak mogę źle odnosić się do ludzi, zdarzeń, jakie przeżywałam, jak mogę nie kochać życia, nawet gdy przyniosło mi tyle męki? Przecież każda cząstka mojego życia to cząstka mnie, więc jeżeli źle odnoszę się do własnego życia, czy to nie znaczy, że źle traktuję samą siebie? Jeżeli próbuję zapomnieć, wyrzucić z pamięci najtrudniejsze momenty, czy to nie oznacza, że próbuję przekreślić część samej siebie?”

Uspokojona tą myślą wstaje. Podłoga powitalnie skrzypi pod moimi nogami, prawdopodobnie jej już dawno zdrewniałym deskom też należy się jakaś odmiana. Nie chce mi się spać, ale zegar pokazuje bardzo późną, jak dla tego domu godzinę, o wiele późniejszą, niż dla nocnego lasu za oknami, niż dla całej przyrody, a to znaczy, że także dla mnie. Idę do sypialni. Jest coś uspokajającego w ostrym szeleście rozścianej pościeli, w odgłosie strzepywanego w powietrzu prześcieradła. Rozbieram się, w pokoju nie ma lustra i dlatego pozostaje mi tylko obwieść dłońmi piersi, biodra i brzuch, kontur jak dawniej gibkiego, smukłego ciała.

Byłam zadowolona z tego rytualnego przeglądu i choć wprawdzie od dawna tego nie robiłam, to jednak tak jak dawniej spodobały mi się moje wąskie ramiona i szerokie biodra. Zateęskniłam za lustrem, żeby w nim po dawnemu obejrzeć się cała i bawić się, kokietować swoim lustrzanym odbiciem. Ześlizgiwanie się palców po skórze też lubię; skóra po skórze, pieśczoła dotyku natrafiająca na tęsknotę pożądania. Komu jest przyjemniej, ciału czy palcom? – pytam, ale nie znajdując odpowiedzi prześlizguję się między ubraniem a pościelą; tylko zapalona nocna lampka i wyzieraający z okna krag księżyca przywołują i rozstawiają po kątach zabłąkane nocne cienie.

Czuję oganiającą mnie falę nadchodzącego snu, noc próbuje pokonać mnie swoją hipnotyczną, w ślad za lasem nuconą piosenką. Otwieram książkę, mam ochotę czytać, wybieram pierwszy lepszy fragment, na jaki natrafiam:

141

Drugie życie Madorskiego

„Okno zajmowało prawie całą ścianę i prowadziło prosto w noc, potem dalej i dalej, w stronę kipiących świateł miasta, a potem znów, mijając je, dalej w noc, przygłuszoną, lśniącoymi punktami bezkresnego nieboskłonu. Madorski lubił, kiedy ciemność mieszała się ze światłami miasta w jedną całość, która, jeśli ją przeanalizować, składała się z tak wielu różnych elementów: od ciepłego światła okien domów w mieście do chłodnej iluminacji reklamowych neonów i od okrągłych cieni miejskich latarni do nerwowych fosforyzujących smug świateł samochodów. W tej mieszaninie dostrzegał immanentny kontrast z ogromem i spokojem nocnego kosmosu, leżącego tuż, na wyciągnięcie ręki, wystarczyło otworzyć okno, żeby dostrzec marność rojnego miasta, rozciągającego się u podnóża wieżowca Manchester, na którego siedemdziesiątym piętrze znajdował się jego przestronny apartament. Madorski lubił, leżąc w swoim jacuzzi, w pieniającej się wodzie, patrzeć na ten kontrast spokojnej nocy i wrzącego miasta; na małym stoliczku grzechotała lodem szklanka ze scotchem, łazienka zasnuwała się mgłą i pokrywała parą i tylko olbrzymie całościennie okno było zawsze przezroczyste i świeże.

Tutaj, w tej ogromnej, przestronnej łazience, Madorskiego ogarnia uczucie, że wreszcie osiągnął spokój i zdołał się odizolować od miejskiej małostkowości, wznieść się ponad wszystko i dzięki temu może teraz w pełni ogarnąć to, co

jest niezbędne dla jednej, odważnej myśli. Tak właśnie było: leżąc tutaj w tej prawie symbolizującej miasto wannie, obmyślał i realizował swoje sprytnie posunięcia finansowe, które dały mu poczucie bezpieczeństwa i pozwoliły zarobić pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Wtedy jeszcze nie wiedział, że może istnieć niezliczona ilość pieniędzy, a powodzenie może być wyzywająco nagłe; dopiero niedawno przekonał się o tym. Zrozumiał dopiero wtedy, kiedy za nim poszli następni.

Zawsze udawało mu się przewidzieć wszystko trochę wcześniej od innych, w tym właśnie tkwiła tajemnica jego powodzenia – w umiejętności przewidywania. Tak jak teraz, w jego wielkiej finansowej organizacji nikt niczego jeszcze nie zauważył, nawet stare wygi finansjery, a Madorski wiedział już od miesiąca. Teraz musiał tylko odrzucić wszystkie odpady, szumowiny, cały brud i emocje, skupić się na sednie – tylko wtedy zdoła przeżyć.

Wszystko zaczęło się od niezapowiedzianej kontroli finansowej. Sprawa polegała nawet nie na tym, że kontrola była niespodziewana i zbyt szczegółowa, ale Madorski wyczuł po prostu od razu jakieś napięcie w powietrzu. Był przyzwyczajony do takich sytuacji, coś podobnego dawało się odczuć od czasu do czasu na rynkach finansowych, wtedy zaraz sprzedawał akcje, które stały wysoko, i spekulował na giełdzie. Zdarzało się, że się mylił, ale rzadko, najczęściej przeczucie go nie zawodziło. Teraz także okazało się, że miał rację.

Miał swoich ludzi w Kongresie, a nawet w Białym Domu; kiedy ma się wpływ na finanse państwa zawsze potrzebne są kontakty i Madorski stał się człowiekiem powiązanim z FBI. Zatelefonowali do niego z ulicznej budki telefonicznej, na wypadek gdyby prywatne telefony Madorskiego były na podsłuchu, spotkali się w parku i mimo że Madorski przygotował się na najgorsze, wystąpiły na niego siódme

poty, kiedy dowiedział się, że wydział kontroli finansowej FBI zainteresował się jego firmą, przeprowadził nieoczekiwaną kontrolę i odkrył jakieś nieprawidłowości. Żadnych nieprawidłowości nie było, ze dwudziestu biegłych księgowych czuwało nad wszystkimi operacjami finansowymi firmy, ale to nie miało znaczenia: zrobili z niego kozła ofiarnego i teraz nadeszła jego kolej.

Takie były zasady gry: rząd musiał udowodnić, że nie ma nic wspólnego z «finansowymi malwersantami», którzy kręca, a jest z narodem, który go «wybiera». Dlatego właśnie podawali kogokolwiek na tacy jako ofiarę, sprawa stała się głośna, byłego magnata finansowego skazywano na siedemdziesiąt lat, tak jakby nie potrafił się z tego wygrzebać, tracąc miliony na adwokatów. Choć spod ciężaru odpowiedzialności wobec państwa nie tak łatwo się wywinać, nikt nie odsiadywał w więzieniu dłużej niż trzy lata. Sedno w tym, że on, Madorski, nie chciał tam siedzieć nawet jednego dnia. Przez dochodzenie prokuratorskie, przez sąd i całą tę procedurę też nie chciał przechodzić. A niby dlaczego miałyby chcieć?

Sięgnął po szklanekę i pociągnął łyk: whisky o lekko dymnym smaku spływała po i tak nic nie ważącym w wodzie ciele. Madorski głęboko westchnął i zanurzył głowę pod wodę, delektując się ciepłem i rozkosznym znużeniem. Już dawno wszystko sobie dobrze przemyślał i teraz, w zaciszu łazienki, po raz ostatni analizował wszystkie szczegóły, aby upewnić się, że wszystko dobrze zaplanował i że nie popełnia żadnego błędu. Potem nagle się wynurzył; woda potokami ściekała z jego gęstych włosów; tak, on wszystko precyzyjnie przemyślał, w tym także zawierała się jego siła – w precyzji przewidywania.

Tak było zawsze, nawet czternaście lat temu, kiedy przyjechał do tego kraju jako nic nie znaczący emigrant, nawet wtedy czuł się silniejszy niż inni. Później, kiedy nauczył

się robić pieniądze, kiedy pracował jak katorżnik, sypiał po cztery godziny na dobę, a ręce często mu drżały z napięcia nerwowego, wtedy też wiedział, że jest silniejszy. Wszystko go wzmacniało: i bezsenne noce, i niekończące się wyliczenia finansowe, i tony informacji, które przyswajała jego wiecznie głodna pamięć i zapał. Teraz też czuje się najsilniejszy. Właściwie to śmieszne: oni myślą, że tak po prostu złożył siebie w ofierze. No to się zdziwia.

Madorski pociągnął jeszcze jeden łyk, ostatni, natychmiast prędko prostując ciało, i wstał na chłodną, kamienną podłogę. Narzucił na siebie szlafrok, owinał się nim i nie zawiązując paska podszedł do okna. «No cóż, już czas» – powiedział głośno, a jego głos zadźwięczał jakoś inaczej, świeżo, tak że nawet on nie poznał go od razu. «To dobrze – pomyślał Madorski – to bardzo dobrze».

Hugh Gardner siedział w swoim ogromnym, niezbyt nowym, ale wciąż jeszcze znajdującym się w doskonałym stanie buicku na Park Street. Zawsze znakomicie wybierał miejsce do prowadzenia obserwacji, teraz także doskonale widział wejście do tego wspaniałego, najdroższego wieżowca na Manhattanie, tak że żadna mysz ani tym bardziej człowiek nie zdołałby się przemknąć niezauważony przez niego. Siedział tak już od trzech godzin, obserwując, ale było mu smutno, wiedział świetnie, że zostały jeszcze dwa, trzy dni i śledztwo zostanie zakończone. Hugh bardzo dokładnie wyobraził sobie, jak on sam i jeszcze jego dwóch kolegów z FBI wjadą na siedemdziesiąte piętro, wywołają Madorskiego i pokazując mu nakaz aresztowania zatrzasną na jego rękach kajdanki. Wyobraził sobie dokładnie zmieniający się wyraz twarzy Madorskiego, od pogardliwego grymasu, z lekkim uśmiechem w kącikach ust, do początkowo głupiego, a następnie, prawie natychmiast, osłupiałego i przestraszonego. Och, jak on lubił ten widok; za każdym

razem, kiedy kogoś śledził, wiedział doskonale, że ten ktoś znów złamał prawo, a on, Hugh Gardner, jest karzącą ręką sprawiedliwości. Na samą tę myśl Hugh uśmiechnął się, wyciągnął wygodniej nogi i nacisnął przycisk radiostacji.

– Randall, witaj, tutaj Hugh. Nie nudzisz się?

– Nie, sir. Nawet wtedy, kiedy mi się nudzi, cały czas obserwuję ekran monitora. A jak tam u pana, nie zmęczył się pan? – Radiostacja ucichła. W zasadzie Hugh nie powinien siedzieć w samochodzie, śledząc Madorskiego, tym bardziej że dowodził całą operacją. Lubił jednak uczestniczyć we wszystkim osobiście, nie licząc się z czasem ani z niewygoda. «Jeżeli chcesz, żeby praca została dobrze wykonana, rób wszystko sam» – powtarzał sobie często słowa Napoleona. Hugh uważał siebie za najzdolniejszego detektywa i lubił każdy szczegół swojej pracy. Dlatego zawsze chciał być na pierwszej linii. Prawie zawsze.

– Ma pan kawę? – spytał Randall – mogę posłać Mike’a.

– Na razie nie trzeba. Powiedz lepiej, jak tam się sprawa naszego ptaszka?

Randall siedział w biurze, w wynajętym przez FBI pomieszczeniu, w wieżowcu znajdującym się niedaleko. Hugh bywał tam nieraz i z dumą przyglądał się odbiornikom aparatury podsłuchowej; na ekranach licznych monitorów mieszkanie Madorskiego widać było jak na dłoni.

– Stoi przy oknie w łazience. Szlafrok nie przewiązany. Pograżony w myślach. – Rozległ się cichy śmiech – Zastanawia się pewnie, w jaki sposób wyrwać następnego miliard.

Hugh przytaknął, zgadzając się. Jego samego, tak jak jego kolegów, śmieszył fakt, że ten, którego jeśli nie dziś, to jutro będą aresztować, niczego się nawet nie domyśla i prowadzi swój codzienny, normalny tryb życia. Chociaż oni sami doskonale wiedzą, że zawisły nad nim chmury i jego dzionki na wolności są już policzone. To zawsze bardzo wszystkich bawiło.

– W porządku, niech baluje – Hugh uśmiechnął się sam do siebie. – Jeżeli tylko gdziekolwiek się ruszy, daj mi natychmiast znać.

– Oczywiście, szefie, obowiązkowo. Jeżeli tylko będzie pan chciał kawy albo coś do jedzenia, to proszę mówić, podeślę natychmiast Mike'a.

– Dziękuję, stary – odpowiedział Hugh – ale mnie już i tak przez tę przekłętą obserwację przybyło na wadze cztery funty.

Hugh znów się zamyślił. Nie lubił Madorskiego, serdecznie nie lubił. Może to dziwne, ale do niektórych z tych, których sprawy prowadził, czuł szacunek, a nawet sympatię, ale do tego Ruska odczuwał obrzydzenie, mieszaninę wstrętu i lekceważenia. Wiedział o Madorskim wszystko, przestudiował jego życiorys krok po kroku, przygotowując się do akcji, i znajdował w nim wyłącznie same kompromitujące szczegóły.

Madorski urodził się w Rosji, ukończył w Moskwie prestiżową szkołę, potem wydział matematyczny na uniwersytecie. W wieku dwudziestu pięciu lat zrobił już doktorat i jako młody, obiecujący matematyk został zaproszony do instytutu w Bostonie. Nie zamierzał jednak pracować naukowo i gdy tylko znalazł się w Stanach, od razu zatrudnił się w firmie na Wall Street; oni ciągle potrzebowali ludzi, posiadających talenty matematyczne. Przpracowawszy tam trzy lata i nauczywszy się teoretycznej i praktycznej obsługi rynków finansowych, Madorski zaproponował kierownictwu założenie filialnej organizacji, specjalizującej się w sprzedaży tanich akcji innych kompanii. Do tego czasu dał się już poznać jako pojętny i energiczny pracownik, więc kierownictwo postanowiło zaryzykować i powierzyć dwudziestodziewięcioletniemu Madorskiemu kierownictwo nowego przedsiębiorstwa. Fundusze tworzone dla Rosjan zaczęły

rosnąć jak na drożdżach, przynosząc ogromne pieniądze udziałowcom, a przede wszystkim samemu Madorskemu.

Stopniowo zupełnie się uniezależnił od firmy macierzystej, zdobył kontrolny pakiet akcji, rozszerzając stopniowo zasięg działalności, pośpiesznie zdobywał nowe rynki finansowe. A jednocześnie w ciągu sześciu lat znane fundusze tanich kompanii, rozkręciwszy firmę Madorskiego, zaczęły jedno po drugim padać, sztucznie nadmuchane ceny spadły, doprowadzając do bankructwa tysiące udziałowców. Właśnie wtedy Hugh, jako jeden ze specjalistów wydziału kontroli finansowej FBI, zainteresował się firmą Madorskiego, od której już z daleka zalatywało oszustwem. Zaczął zbierać informacje i wkrótce nie bez zdziwienia dowiedział się, że sam Madorski pozbył się sztucznie zawyżonych akcji tuż przed upadkiem przedsiębiorstw. To dawało dużo do myślenia i Hugh zaczął węszyć.

Im więcej się dowiadywał, tym większą antypatię odczuwał do samego Madorskiego i do jego biznesu. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się czyste, ale w działaniu Rosjanina wyraźnie widać było cynizm, jego jedynym bóstwem, jedynym celem w życiu, jedynym celem istnienia stawały się pieniądze.

Hugh spojrzął na zegarek – minęło ponad pięć godzin, odkał wypalił ostatniego papierosa, a to oznaczało, że może znów zapalić. Ograniczył palenie i w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zszedł z półtorej paczki papierosów dziennie na cztery sztuki, toteż teraz przy każdym zaciągnięciu się odczuwał prawdziwą słodycz. Wyjął papierosa z paczki, poobracał go w palcach, przypalił i z rozkoszą zaciągnął się, czując jak na sekundę przyjemnie zakreśliło mu się w głowie.

Tak. Nie lubił Madorskiego. Byli równo latkami, ale Hugh urodził się i wychował tutaj, w Stanach, znał prawa swojego kraju, szanował je i wierzył im. Jego rodzice byli biedni,

ojciec pracował w fabryce, matka była gospodynią domową, i nie stać ich było, żeby opłacać jego naukę. On jednak chciał się uczyć i ukończył college jako jeden z najlepszych. Cechowała go wytrwałość i upór i choć nigdy nic nie przychodziło mu z łatwością, on nie tylko pokonywał wszelkie trudności, ale robił to zawsze zgodnie z prawem. To był jego świadomy wybór. Wybrał tak dlatego, że prawo jest ustanawiane przez ludzi i dla ludzi, a prawość oznacza – przede wszystkim – życie w ramach określonych przez prawo.

Madorski wydawał się być zaprzeczeniem prawości, zdawał się stać ponad prawem. On, Hugh, rył pazurami ziemię, żeby zdobyć wykształcenie, pracował w każdej wolnej chwili, wziął kredyty, żeby opłacić naukę, a potem przez całe lata je spłacał. Madorski zdobył wykształcenie w obcym kraju, i to świetne, bezpłatnie, przeskakując Hugh o wiele lat. Zaprosili go do kraju na pewien czas, do udziału w badaniach naukowych, a on został na stałe i zamiast badań naukowych zajął się biznesem. I to jakim biznesem! Jego kompania niczego nie robiła, niczego nie produkowała, nie przynosiła żadnego pożytku, zajmowała się wyłącznie machinacjami finansowymi. Rezultat? Hugh otrzymuje skromną pensję, a majątek tego przybłądy ocenia się na miliardy, nurza się w zbytku, pracują na niego setki ludzi.

Nie to jednak jest najważniejsze. Dla tych, których Hugh znał i szanował, dla jego rodziców, przyjaciół, dla niego samego wreszcie, każdy krok w górę wymagał napięcia i wysiłku. Dlatego oni wszyscy przyzwyczaili się do tego, żeby nie tylko brać, ale również oddawać i ta zasada uczyniła Amerykę wielką. Madorskiemu wszystko przyszło zbyt lekko, prawie dla zabawy. Przyjechał do obcego kraju, do kraju Hugh, zaczął tylko brać, niczego nie dając; teraz nadszedł czas, że odda wszystko, wszystko, co zabrał, i to jeszcze z procentem. Oczywiście, że on oficjalnie nie naruszył prawa, ale Hugh dokładnie wiedział, za co się do

niego przyczepić i wiedział także, że nie wypuści Madorskiego, tylko go zniszczy. Niech to nazywają zemstą albo jak komu wygodnie, dla Hugh uczucie, które żywił, miało tylko jedną nazwę – sprawiedliwość.

Krótkofalówka zatrzeszczała i po sekundzie rozległ się głos Randalla:

– Szefie, obudź się, ptaszek gdzieś zamierza wyfrunąć, włożył na siebie garniturek, modne paletko, a nawet kapelusik. Nie wiadomo dlaczego, w ostatnim miesiącu zaczął nosić kapelusze, główka mu marznie, czy co? Na pewno do jakiegoś klubu tak się śpieszy. Wychodzi z mieszkania. Kończę.

– Dziękuję, Ran – Hugh ożywił się. – Zdrętwiałem już, siedząc na jednym miejscu.

– Teraz się pan rozrusza. Proszę mnie wezwać, jeśli będę potrzebny.

– OK, Ran, na razie nie wychodź.

Hugh bardzo dobrze widział, jak na podjazd domu wyskoczył szwajcar w liberii i czapce, i jak w tej samej chwili podjechała limuzyna Madorskiego. Szwajcar otworzył drzwi wejściowe i wyszedł z nich Rosjanin, Hugh poznał go po wzroście, sylwetce, chodzie, po palcie i kapeluszu. Szwajcar otworzył drzwi limuzyny, po przyjacielsku przywitał się z parkingowym, który przyprowadził wóz, życzył czegoś siadającemu za kierownicą Madorskemu zginając się w pół, prawdopodobnie udanego wieczoru, następnie zatrzasnął za nim drzwi auta. «Niech sobie pobryka na sam koniec» – uśmiechnął się Hugh, przekreślił kluczyk w stacyjce, i buick wolno ruszył za limuzyną.

Człowiek w uniformie parkingowego odprowadził spojrzeniem przejeżdżającego obok buicka, pokręcił głową, jakby niedowierzając, i zawrócił do westybulu domu. Kiedy drzwi się zamknęły, wszedł do portierni i zdejmując bor-

dowy uniform, rzucił go w stronę śniadego człowieka oglądającego telewizję.

– To wszystko, Garcia – powiedział z uśmiechem – moja zmiana się skończyła, zwracam uniform.

– Nawet pięć minut nie minęło, panie Madorski. Żeby tak przynajmniej z godziną popracować i uzbierać trochę napiwków – zaśmiał się tamten w odpowiedzi.

– Wszystkie napiwki zostawiam tobie – odpowiedział Madorski, wziął walizeczkę stojącą pod ścianą i wyszedł. W samym garniturze było mu na ulicy trochę chłodno, ale zaraz złapał taksówkę i zamówił kurs na dworzec kolejowy.

«To uwłaczające, że wybrali właśnie mnie» – pomyślał, opierając się plecami o oparcie tylnego siedzenia.

Uważał siebie za lepszego Amerykanina, niż ci wszyscy pozostali: ten kraj został zbudowany przez takich jak on, przez ludzi ze świeżą krwią i otwartymi głowami. To oni pchali ten kraj naprzód, wprowadzając nowe rozwiązania, walcząc z rutyną, nie bojąc się porażki. On sam, naiwniak, myślał, że powinni mu być wdzięczni: wprowadzał i rozpracowywał nowe mechanizmy rynków finansowych na świecie, pomagał stawać na nogi młodym, początkującym, rozwijającym się kompaniom. Formował ekonomię tego kraju, finansował nowe technologie. Tak, to prawda, zarabiał na tym pieniądze, ale tak powinno być w zdrowym organizmie – rozwijając innych, rozwijasz siebie. Oczywiście, że nie zawsze mu się udawało, były straty, rynek bywał nieprzewidywalny, zdarzało się, że jego fundacje padały, ale inne także padały. Jednak jego szybko podnosiły się po upadku i ci, którzy nie ulegli panice, w rezultacie robili jeszcze większe pieniądze. Wszystko dlatego, że on nigdy nie spekulował wiarą w siebie. A oni próbowali go przyskrzynić, dla nich został na zawsze cudakiem, nuworyszem-spekulantem. Mieszkali tutaj od pokoleń, ale dotąd nie rozumieli niczego, ani swojego kraju,

ani demokracji. Szkoda, że polubił Nowy Jork i życie w nim, bo teraz żał mu się z nim rozstawać.

Chociaż z drugiej znów strony, co mu dała kariera, pieniądze? Zagubienie i zmęczenie, bezsenne noce, piasek w oczach, rutynowe, jałowe życie. A samotność? Kiedyś wiele rzeczy poruszało go w życiu, a przyjaciele pojawiali się nie tylko wtedy, kiedy potrzebowali pieniędzy. Kiedyś dziewczyny kochały go bez żadnej widocznej przyczyny. W ostatecznym rozrachunku, jeżeli chodzi o miłość, nie może być żadnego innego powodu jak czysta miłość sama w sobie. A teraz? Jak tylko kobiety rozpoznają w nim słynnego Madorskiego, potentata finansowego, chęć zysku rodzi się szybciej niż miłość. W rezultacie teraz jest sam – odszczepieniec, wieczny odszczepieniec. Paradoksalnie, pieniądze doprowadziły go do bankructwa, w każdym razie do osobistego bankructwa. – To banalne, ale pieniądze nie przynoszą szczęścia. Nie, nie przynoszą, – Madorski nie zauważył, że mówi na głos. – Przede wszystkim pieniądze pomagają, jednak rozwiązywać techniczne problemy. – Poklepał walizeczkę.

– Co pan powiedział? – spytał hinduski kierowca z silnym cudzoziemskim akcentem.

– Czy już dojeżdżamy? – rzucił z kolei Madorski.

– Tak, za pięć minut będziemy na miejscu – odpowiedział kierowca.

«Udało mi się ich nieźle wykiwać» – uśmiechnął się Madorski. Przed tygodniem, obmyślając swój plan, zaszedł do małego studenckiego teatrzyku i poznał się tam z aktorem, młodym, sympatycznym młodzieńcem, przypominającym jego samego pod względem wzrostu i sylwetki. W umówionym wcześniej dniu o określonej godzinie młodzieniec wjechał na jego piętro, ale nie wszedł do mieszkania. Madorski podejrzewał, że są w nim zainstalowane urządzenia podsłuchowe i kamery. W windzie oddał ak-

torowi swoje palto i kapelusz, a sam w garażu wsiadł w stroju parkingowego do swojej limuzyny, którą podstawił pod wejście rzekomemu Madorskemu. Ci kretyni z FBI dali się nabrać na taki prymitywny trik! Samochód, który śledził go w ostatnim czasie, natychmiast pojechał za limuzyną. «Kretyn! – pomyślał znów. – Za co oni biorą pensję? To przecież idzie z moich podatków! Tak właśnie pełnią służbę i chronią państwo».

Na 52. Wschodniej Hugh zaczął coś podejrzewać, choć sam nie potrafił wyjaśnić powodu swojego niepokoju. Może limuzyna jechała zbyt „bezszerowo”, może trasa była zbyt monotonna, ale Hugh zaczął się denerwować. W końcu przycisnął włącznik radiostacji i usłyszał nieco chrypiący głos Randalla.

– Ran, tutaj Hugh, słuchaj, przejmij no naszego ptaszka. – To była operacja błyskawiczna jak rzadko, kiedy podmienili ulubione pióro wieczne Madorskiego, a używał on pióra znanej firmy Cartier, na takie samo pióro z wmontowanym nadajnikiem. Złożoność operacji polegała na tym, że trzeba było znaleźć takie samo pióro, a potem w niezauważalny sposób podsunąć je Madorskemu zamiast jego własnego. Całą operację przeprowadził Hugh: najpierw zastąpili swoim człowiekiem sprzedawcę w sklepie, do którego najczęściej zachodził Madorski, a kiedy Rosjanin podpisywał rachunek, płacąc swoją kartą kredytową, drugi ich człowiek odwrócił na chwilę jego uwagę, i to wystarczyło, żeby dokonać podmiany. Oczywiście nie była to wcale tania akcja, samo pióro kosztowało majątek, ale teraz zawsze wiedzieli, gdzie znajduje się Madorski.

– A co takiego? – zainteresował się Randall. – Coś nie tak?

– Nie, wszystko w największym porządku – odpowiedział Hugh – tylko mam jakieś przeczucie... Poza tym, lepiej sprawdzić.

– Oczywiście, nie ma o czym mówić. Proszę poczekać, tylko nastroję aparaturę.

Przez minutę radiostacja trzeszczała, a potem rozległ się głos Randalla, teraz już nerwowo:

– Gdzie pan teraz jest?

Hugh już wiedział, wiedział z całą pewnością, że coś jest nie tak.

– Na 38. Zachodniej.

– Niech to szlag! – wrzasnął Randall. – On z nas robi idiotów, podjeżdża właśnie pod dworzec kolejowy. – Co robić?

– Nie robi z nas idiotów, tylko próbuje nawiać – wycedził przez zęby Hugh, zakręcając z piskiem opon i ostro nabierając prędkości. – Połącz się z policją, na dworcu, niech go namierzają i śledzą, do jakiego pociągu wsiada. Tylko zaznacz, żeby to robili niezauważalnie, sam wiesz, ile niepotrzebnego zamieszania mogą narobić ci niewprawni posterunkowi.

– Może by go od razu zdjąć?

– A za co? On przecież jeszcze żadnego przestępstwa nie popełnił, rozumiesz? Po prostu pojechał na dworzec. Ale niedługo popełni. Wtedy właśnie go złapiemy. Rób to, co mówię, tylko nie wyłączaj radiostacji.

– Tak jest, szefie – odpowiedział Randall.

Mineło pięć minut, podczas których Hugh gnał buickiem na dworzec, chociaż wiedział, że nie zdąży. Zrozumiał od razu: Madorski okazał się sprytniejszy niż Hugh, myślał, wiedział o wszystkim i szykował się do ucieczki. Jedyna rzecz, jakiej nie przewidział, to to, że jego sprawę prowadzi Hugh Gardner, i to był błąd Rosjanina, niewybaczalny błąd.

«Jakim sposobem on się o mnie dowiedział? – Hugh uśmiechnął się – Nie, przecież nie mógł. To znakomicie, że ucieka. Nie ma niczego lepszego, niż uciekający przestępca finansowy. To po prostu coś wspaniałego!»

– Wsiadł do pittsburskiego – rozległ się głos Randalla.

– Pociąg odchodzi za cztery minuty.

– No dobrze – skwitował Hugh – mimo wszystko się przeliczył.

– Tak – zgodził się Randall.

– Dowiedz się, kiedy odchodzi następny pociąg do Pittsburgha.

– Dowiedziałem się, za godzinę i dziesięć minut.

Hugh zaklął.

– A samolot? – zapytał.

– To zajmie jeszcze więcej czasu – otrzymał natychmiastową odpowiedź.

– W porządku, w takim razie pędzę do Pittsburgha. Na wypadek, gdybym się spóźnił, skontaktuj się z tamtejszą policją, niech sprawdza, dokąd pojechał, tylko żeby wszystko grało.

– Tak jest, sir, oczywiście, wszystko będzie załatwione.

Hugh nie zdażył. W Pittsburghu Madorski przejechał z dworca na lotnisko i odleciał do Minneapolis. Samolot oderwał się od ziemi dwadzieścia minut wcześniej, zanim Hugh wbiegł na lotnisko. Odleciał następnym rejsem, półtorej godziny później. W Minneapolis wszystko się powtórzyło: zakomunikowano mu, że Madorski odleciał do Anchorage na Alasce, miał ze sobą tylko niewielką walizeczkę. Co miał w walizeczce? Nie wiadomo. «Oczywiście, że wiadomo – pomyślał Hugh – pieniądze». Ani przez chwilę nie denerwował się, było jasne, że Madorski próbuje się ukryć, to właśnie bardzo dobrze, kiedy go złapie, w mig go rozpracuje. A co do tego, że on, Hugh, zaaresztuje Rosjanina, nie było najmniejszej wątpliwości. Żadnej! Uciekając dalej i dalej, Madorski coraz bardziej zaciskał na swojej szyi pętlę. Hugh pozostało tylko szarpnąć za linkę.

Samolot z Minneapolis do Anchorage leciał około czterech godzin. Policjant po cywilnemu odebrał Hugh prosto z trapu.

– Zgubiliśmy go – powiedział na przywitanie.

– Co? – nie dowierzał Hugh i pomyślał, że nie można ufać policji. Zawsze o tym wiedział.

– Na Madorskiego czekał jednosilnikowy samolot. Pilot to jeden z miejscowych. Zebraliśmy informacje. Chce pan?

– Później – burknął Hugh.

– Wystartowali dwie godziny temu. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, skontaktowaliśmy się z waszymi ludźmi, ale oni powiedzieli, żeby czekać na pana i żebyśmy w żadnym wypadku sami go nie próbowali aresztować. Więcej niczego nie robiliśmy, nie posyłałymi za nim drugiego samolotu.

«Idioci!» – pomyślał Hugh.

– Nie przyszło wam do głowy, żeby go zatrzymać?

– Jak? – tajniak wyglądał na zdziwionego.

– Jakkolwiek! Uszkodzić samolot, przedziurawić mu zbiornik paliwa albo w jakiś inny sposób. – Hugh pokręcił z niedowierzaniem głową, czy możliwe, żeby to powiedział, żeby się kłócił z takimi baranami – można sobie tylko zszarpać nerwy. – Co teraz robić? – zapytał sam siebie na głos.

– Czekać, aż wróci pilot, i potem wypytać go o samolot – poradził tajniak, myśląc, że pytanie zostało skierowane do niego.

Hugh nie wytrzymał.

– Przecież i tak wiadomo, dokąd on leci! – zaryczał.

– Czy pan jest skończonym bałwanem? Czyżby pan nie rozumiał, że tutaj znajduje się granica z Rosją?

– Przecież nie można jej przekroczyć, radary...

– Oczywiście, nie można! – wykończony tepotą tajniaka wrzasnął Hugh. – Przez granicę nie przeleci, on do niej podleci. Przekroczy ją na nartach albo psim zaprzęgiem z Jakutami, którzy codziennie kręcą się tam i siam. A za granicą szukaj wiatru w polu. On jest ich, Ruski, rozplynie się we mgle. Zrozumiałe?!

– Tak jest, sir – służbiście odpowiedział tajniak. – Zgubiliśmy go.

Hugh, znów rozdrażniony, pokiwał głową.

– To wy go zgubiliście, ale ja go jeszcze nie zgubiłem. Proszę przygotować całą aparaturę, jaką posiadacie, zwołajcie pilotów, wiem dobrze, dokąd poleciał.

«Teraz dopiszę Madorskiemu jeszcze nielegalne przekroczenie granicy. W dodatku z walizeczką lewej forsy» – pomyślał sobie.

– Nie można, sir, teraz nie można. Zbliża się burza śnieżna, nadają komunikaty, że za pół godziny będzie tutaj.

Hugh jeszcze bardziej się wściekł: znów niepowodzenie! Czy Madorski przypadkiem nie mógł sprowadzić tej burzy?

– Kiedy minie? – spytał ze złością.

– Synoptycy obiecują, że za trzy, cztery godziny.

– Macie być wszyscy gotowi – zarządził Hugh.

Kiedy burza ucichła, wystartowali i przez godzinę, może półtorej szukali jakiegokolwiek samolotu. Najpierw dostrzeżli kadłub, leżał bez skrzydeł, ale to się okazało później: z powietrza skrzydeł w ogóle nie było widać, były dokładnie przykryte śniegiem. Hugh odczuł znużenie, nie życzył takiego końca Madorskiemu ani swojej akcji. Dał sygnał i pilot posadził samolot ostrożnie na płozach. Śnieg był głęboki. W kabine rozbitego samolotu znaleźli tylko jedno ciało, było przebite drażkiem sterowniczym i przymarzło do niego. Trzeba było czasu, żeby trupa odwrócić i zajrzeć mu w twarz. – To pilot – westchnął tajniak, wskazując na zwłoki – bardzo silna burza, taki mały samolot nie mógł się z niej wydostać, zgubił kurs.

Zaczęli poszukiwać ciała Madorskiego. Początkowo myśleli, że podczas uderzenia zostało wyrzucone przez dziurę w kadłubie, mogło odlecieć na dziesięć–piętnaście metrów, a potem pewnie pokrył je śnieg. Ściągnięto ludzi z psami. Węsząc wokół psy pokręciły się dookoła, ale niczego nie

znalazły. Zaczęło się ściemniać i trzeba było wracać. Hugh zastanawiał się, co mogło zająć – i gdzie jest ciało Madorskiego? – nie mógł jednak niczego wymyślić. Pilot samolotu, którym przyleciał, podszedł i poczęstował go papierosem, Hugh łąpczywie zaciągnął się dymem, nie palił już od dziesięciu godzin.

– Jak myślicie, gdzie może być drugi? – spytał Hugh.

Pilot przymrużył oczy, był już niemłody, z czerwona, wysmagana, wiatrem twarzą i głębokimi zmarszczkami wokół oczu.

– Uderzenie podczas upadku nie było silne, widzi pan, jak leży kadłub? Długo ześlizgiwał się po podłożu i dopiero na końcu oderwały się skrzydła. Lotnikowi się nie udało, przypadkiem nadział się na drażek, ale ten, kto siedział za nim, mógł przeżyć. Mógł wyruszyć pieszo na poszukiwanie pomocy, ale w takich warunkach nie dałby rady zająć daleko, pewnie zamarł, a jego ciało leży gdzieś w rozpadlinie. Nie ma innej możliwości. Latem śnieg stopnieje, to się znajdzie. Teraz poszukiwania będą bezowocne, w tych warunkach mógł odejść w dowolną stronę najwyżej na kilometr, może nawet dalej, gdyby nie nawiało tyle śniegu. Teraz możemy go szukać aż do lata, prościej będzie poczekać.

Hugh w milczeniu splunął, wyrzucił niedopałek w śnieg: był gotów rzucić palenie, ten papieros mu zupełnie nie smakował, tylko w ustach pozostał niesmak.

Jeszcze trzy razy leciał na to samo miejsce. Pierwszy raz zaraz potem, jak tylko stopniał śnieg, Hugh z dwiema drużynami ludzi przeszukali całą okolicę w promieniu dwóch i pół kilometra, ale oprócz walizki niczego nie znaleźli. Leżała w odległości jakichś czterdziestu metrów od wraku samolotu. Hugh miał rację, okazało się, że rzeczywiście zawiera pieniądze: cztery miliony dolarów w stu-dolarowych banknotach. Ciała jednak nie odnaleziono, i to

Hugh nie dawało spokoju. Poleciał znów na miejsce katastrofy pod koniec lata i przeszukał wszystko jeszcze raz dokładnie, metr po metrze, ale znów niczego nie znalazł. Następnego roku zawiadomiono go, że znaleziono ciało, a właściwie to, co z niego zostało, więc znów tam poleciał, ale to nadal nie było to, teren był oddalony o sześć kilometrów od miejsca katastrofy. Dokładna ekspertyza wykazała, że odnalezione szczątki należą do miejscowego myśliwego, niskiego, szczupłego Jakuta, a nie do wysokiego, potężnego Madorskiego. Hugh chciał zorganizować jeszcze jedną wyprawę, ale zajęcia mu na to nie pozwoliły, a do tego szefostwo patrzyło na te poszukiwania z dezaprobatą i zdziwieniem, dopatrując się w nich wyłącznie niewytłumaczalnego uporu, a żadnej korzyści.

Minęły lata. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Hugh Gardner przeszedł na emeryturę. Był uważany za jednego z najlepszych, najzdolniejszych i najbardziej cenionych pracowników FBI. Nieraz proponowano mu konsultacje dotyczące szpiegostwa w największych korporacjach, ale nie podejmował się tego. Po co? Emeryturę miał wystarczającą, ale najważniejsze było to, że ciągle rozmyślał o sprawie, która nie dawała mu spokoju. Sprawa Madorskiego, jedyna, której Hugh nie doprowadził do końca. Zdradzieckie wątpliwości, jak obrzydliwy robak, podgryzały go przez całe lata, ciągle przypominało mu się, że Madorski wykiwał go, przechytrył, że był ciągle o krok przed nim. Myślał o tym, że tamten teraz siedzi gdzieś sobie spokojnie i naśmiewa się z niego, Gardnera, z którego nikt nigdy się nie śmiał.

Wyobraził sobie twarz Madorskiego, syta, pogodną, z wyrazem samozadowolenia, z radosnym uśmiechem, z roześmianymi oczami i chytrym spojrzeniem skierowanym w jego stronę, przesywającym go na wylot. To było nieznośne

uczucie, które prześladowało Hugh szczególnie po nocach. Odsuwał te myśli od siebie, przecież sam osobiście widział miejsce katastrofy i rozbity samolot. Z drugiej jednak strony ciała nigdy nie znaleziono, mówił sobie, a to znaczy, że sprawa nie została zamknięta. Zdecydował się na podjęcie ostatniego kroku. Już od dawna o tym myślał, a teraz postanowił zrealizować swój plan. Zagrać *va banque*.

Tej jesieni Hugh znów pojechał do Anchorage. Po przylocie wypożyczył dwuosobowy mały samolot (już dawno nauczył się pilotować takie maszyny), wynajął pokój w hotelu i zaczął wyczekiwać. Mineęło pewnie ze dwa tygodnie, kiedy usłyszał w wiadomościach, że tego wieczoru spodziewana jest silna burza śnieżna. Hugh czekał właśnie na taką pogodę. O trzeciej po południu wystartował. Każdy, kto znajdował się na lotnisku, patrzył na niego jak na wariata. Hugh leciał na miejsce, gdzie kiedyś rozbił się Madorski, spoglądał na przyrządy pokładowe, sprawdzając swoje położenie, rozmyślając o tym, że najważniejszą sprawą, jaka mu została do rozwiązania, jest sprawa Madorskiego. Nikt i nic nie stoi teraz między nimi. Ani pieniądze, ani prawo, tylko ja i on, ja przeciwko niemu, oczywiście jeżeli on żyje. «Tak już jest przez całe życie – powtarzał sobie – jedni przeciwko drugim. Nie ma nic innego. Tylko ta bezustanna walka, którą jest życie».

Burza nadeszła niezauważalnie. Hugh był na nią przygotowany, ale nie spodziewał się takiej ogromnej siły. W mgnieniu oka zrobiło się ciemno i nagle zaczęło obracać samolotem i zginać go jak kartkę papieru, jak lekką, dziecięcą zabawkę. «To właśnie to» – zdążył pomyśleć Hugh. Próbował jeszcze posadzić maszynę, ale nagle targnęło nią, z ogromną siłą i cisnęło w bok. Hugh spojrzął na zegary, gdzie ziemia? – w tym momencie rozległ się okropny trzask. Nawet nie poczuł bólu, po prostu nagle przestał istnieć.

Nie próbował otworzyć oczu, chociaż przez cały czas czuł wszystko. Najpierw ostry, szczypiący chłód. Potem, przez zamknięte powieki, przedarło się jasne, rażące światło, tak jakby świecono na niego mocnymi reflektorami, a potem usłyszał głosy, nie mógł rozpoznać słów, tylko te głosy. Nagle zrobiło mu się błogo, nic go już nie niepokoiło, prawdopodobnie zasnął.

Kiedy Hugh się ocknął, jego pierwszą myślą było to, że przeżył. To go bardzo ucieszyło, ale także zdziwiło. Później, kiedy otworzył oczy, zobaczył wokół białe ściany uporządkowanego pokoju, urządzenia na stołach, obok niego stał stojak z kroplówką, zrozumiał, a raczej domyślił się, że znajduje się w szpitalu. Nadeszła pielęgniarka, ucieszyła się, kiedy zobaczyła, że jest przytomny. Powiedziała, że spodziewali się tego, iż przyjdzie do siebie, nie ma żadnych poważnych obrażeń, niedługo będzie zdrowy.

– Jak długo leżałem tutaj nieprzytomny? – zapytał Hugh.

– Niech pan się nie denerwuje – odpowiedziała siostra.

– Nie wolno się panu denerwować. – Była ładniutka, biały fartuch znakomicie pasował do jasnej karnacji i rudych włosów upiętych w kok. Miała pewnie ze trzydzieści pięć lat.

«Mógłbym zacząć się z nią spotykać» – pomyślał.

– Nie denerwuję się – odpowiedział Hugh jak umiał najspokojniej – chciałbym tylko wiedzieć, jak długo byłem nieprzytomny.

– Nie rozumiem, o co pan pyta – odpowiedziała siostra, zmarszczyła czoło i Hugh zrozumiał, że mówi prawdę.

– W porządku – Hugh postanowił zacząć od początku – jaka dzisiaj data?

– Co pan ma na myśli? – znów zdziwiła się siostra.

Dopiero teraz Hugh zauważył, że mówi ona z lekkim obcym akcentem, pewnie europejskim, pomyślał, ale nie mógł rozróżnić, z jakim.

– Mam na myśli to, jaki dziś jest dzień tygodnia, jaka data, jaki miesiąc, zresztą niech to szlag w końcu trafi!

– Pan się znów denerwuje, a nie wolno panu. Zawołam rehabilitanta, może jemu uda się panu pomóc.

Po półgodzinie do sali wszedł mężczyzna w średnim wieku, z bródką i w okularach. Uśmiechnął się tak, jakby rzeczywiście ucieszył się, że widzi Hugh żywego i zdrowego.

– No, jak tam? Przebudził się pan, dzięki Bogu – powiedział z pośpiechem. – A my przez cały czas martwiliśmy się. Co prawda lekarze mówili, że to nic strasznego.

– Gdzie ja jestem? – zapytał surowo Hugh, nie podobało mu się, że rozmawiają z nim jak z dzieckiem.

– Proszę posłuchać – zaczął mężczyzna, nie przestając się uśmiechać – wszystkiego panu nie powiem. Wiem, że ma pan mnóstwo pytań, ale na niektóre z nich nie znam odpowiedzi. Musi pan wykazać cierpliwość. Znalezione pana trzysta mil od miasta, w śniegu i straszliwym mrozie, a do tego, jak mi powiedziano, była ogromna burza. Nasza grupa ratownicza zawsze oblatuje takie miejsca po burzy. Samolot, którym pan kierował, rozbił się doszczętnie i wyciągnięto pana spod wraku. To wszystko, co potrafię panu powiedzieć.

– Muszę natychmiast zatelefonować do Nowego Jorku – powiedział Hugh. Nic z tego nie rozumiał.

– Dokąd? – zapytał mężczyzna.

– Do Nowego Jorku! – Hugh prawie krzyknął.

– Nie ma u nas takiego okręgu – odpowiedział mężczyzna, próbując ruchem ręki uspokoić Hugh i ciągnął dalej: – Proszę mnie posłuchać, nie wiem, skąd pan się u nas wziął. Być może wiele rzeczy tutaj będzie się panu wydawało innymi, zupełnie różnymi od miejsca, gdzie żył pan wcześniej. Musi się pan zaadaptować, przywyknąć. Proszę się nie śpieszyć, we wszystkim się pan połapie.

Kiedy pana wypuszcza, proszę pospacerować po mieście i porozglądać się dookoła. Spotka się z panem człowiek, który pracuje w Departamencie Adaptacji, i o wszystkim panu opowie. Wszystko będzie dobrze – klepnął Hugh po ramieniu – miał pan szczęście, że pana znaleźliśmy. Jest pan dopiero drugim takim szczęśliwcem.

– A kim jest pierwszy? – zapytał Hugh, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Niech pan się nie śpieszy, wszystkiego się pan dowie – mężczyzna uśmiechnął się i skinął na pożegnanie głową.

Kiedy Hugh wypisywali ze szpitala, oddali mu wszystkie osobiste rzeczy, w tym również niewielki pistolet, który zawsze nosił ze sobą w kaburze pod lewą pachą. To, że nie odebrali mu pistoletu, a zwrócili go jak nic nie znaczący przedmiot, zdziwiło Hugh, ale nie dał niczego po sobie poznać. Jedyłą rzeczą, jakiej brakowało, był zegarek, ale Hugh nawet nie zapytał o niego, zrozumiał, że pewnie rozbił się podczas katastrofy. «To nic takiego – pomyślał – kupię sobie nowy». Ten sam mężczyzna, którego zobaczył dwa dni temu, wręczył mu klucze do mieszkania i kartę debetową.

– Wszystkie takie – powiedział mężczyzna – niezbędne rzeczy, jak żywność, mieszkanie, transport, usługi medyczne są u nas bezpłatne, ale za wszystko, co jest ekstra – samochody, wino, restauracje – trzeba płacić. Ta karta panu wystarczy na początkowy okres. Jak już powiedziałem, spotka się z panem człowiek z Departamentu Adaptacji i opowie dokładnie o pozostałych rzeczach.

– Dokąd i kiedy mam się udać? – Hugh zadał konkretne pytanie.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

– Nigdzie nie musi pan chodzić – odpowiedział uspokajająco – ten człowiek sam pana znajdzie.

– Kiedy? – zapytał znów Hugh i zobaczył zmieszanie na twarzy rozmówcy.

– Co? – przerwał mu tamten, ale natychmiast się poprawił – nie wiem. On pana znajdzie – i zrobił nieokreślony ruch ręką w powietrzu.

Hugh miał jakieś dziwne uczucie. Chodził po miłym miasteczku z willami i ogrodami pełnymi różnokolorowych kwiatów, z czystymi uliczkami, po których jeździły odkryte tramwaje, ale nie mógł się pozbyć wrażenia teatralnej sztuczności tego, co go otaczało. Przyzwyczał się do tłoku, pośpiechu, wiecznego braku czasu, tłumy zaaferowanych ludzi i mknących samochodów z ich klaksonami. Tutaj nikt nigdzie się nie śpieszył, na twarzach przechodniów panował dziwny spokój i nie było widać ani śladu zdenerwowania, wprost przeciwnie, wszyscy wydawali się zadowoleni i uśmiechnięci. Ludzie zatrzymywali się, żeby ze sobą porozmawiać wprost na ulicy, bez pośpiechu popijali kawę, wiele osób grało w szachy. Hugh nigdy nie widział tylu czytających ludzi; przy stolikach w kawiarniach, na ławkach w parku lub wprost na trawie. Pogoda też była zadziwiająca. Jeśli nie przeleżał nieprzytomny w szpitalu przez pół roku lub jeśli przypadkiem nie znalazł się nagle w Australii, to tutaj teraz powinna być zima, tymczasem królowało lato, i to jakie – delikatne, ciepłe, z prawie niezauważalnymi powiewami wietrzyku.

Hugh spacerował po mieście, a dzień się nie kończył. Ciagle było tak samo jasno, powietrze cieszyło ciepłem i świeżością. Odnalazł swoje mieszkanie, było niewielkie, ale bardzo sympatycznie urządzone, z wygodnymi gustowymi meblami, nawet kwiaty stały w wazonie na stole. Hugh, niewiele myśląc, położył się na tapczanie i zasnął.

Nie wiedział dokładnie, jak długo spał, słońce nadal stało wysoko i wydawało się, że nic się nie zmieniło od momentu, kiedy położył się spać – albo spał tylko godzinę, albo przespał całą dobę. Hugh wziął prysznic i znów wyszedł na ulicę. Wybrał małą, sympatyczną kawiarenkę,

stoliki, z których połowa była zajęta, stały wprost na ulicy, na szerokim chodniku. Hugh zamówił sobie sałatkę oraz wołowinę z rusztu w winnym sosie i, przewidując z góry odpowiedź, zapytał kelnera, gdzie tu w pobliżu można kupić zegarek. – Mój się popsuł – powiedział kelnerowi, wskazując wzrokiem pusty przegub ręki.

– Słucham? – zapytał kelner, zatrzymał się przy stoliku i miał ochotę poplotkować, zupełnie jakby nie był w pracy.

– Co pan chciał kupić?

– Zegarek – powtórzył cierpliwie Hugh.

– Ze-ga-rek – przesylabizował z trudnością kelner – prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Przy czym spojrzał na Hugh ze zdziwieniem. – A czy pan sam jest pewien, że wie, o co panu chodzi?

Hugh zachmurzył się, nie miał zamiaru prowadzić tej bezsensownej rozmowy, był głodny.

Skończył już sałatkę i mięso, siedział teraz odsunawszy krzesło, delektując się poobiednią, aromatyczną kawą i napawając się obrazkami sielskiego miasteczkowego życia. Słońce ciągle świeciło tak samo i wydawało mu się, że odkąd się obudził stało ciągle w tym samym miejscu. Hugh zawładnęła błogość – nie miał się dokąd ani po co śpieszyć. Dzień wydawał się cudowny, spokój panujący w powietrzu udzielił się w końcu i jemu. Postanowił właśnie poprosić kelnera o gazetę, może dzięki niej zorientuje się w czymkolwiek, ale w tym momencie poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Hugh podniósł głowę i odwrócił się. Przed nim stał wysoki, przystojny mężczyzna, modna, jasna marynarka, znakomicie skrojona, świetnie leżała na jego postawnej figurze, pogodny, serdeczny uśmiech znakomicie pasował do jego inteligentnej twarzy.

– To pan, Hugh? Pracuję w Departamencie Adaptacji. Czy mogę się przysiąść? – Hugh skinął przyzwalająco, zakreśliło mu się w głowie, wszystko się naraz zamgliło,

przez sekundę wydawało mu się, że stracił poczucie rzeczywistości. «Tak się nie zdarza» – zdążył tylko pomyśleć. Kiedy mgła się roziała, a twarz człowieka, z żywymi, pełnymi blasku oczyma znalazła się, tak jak przedtem, tuż przed nim, Hugh zalała fala radości. Zrozumiał, że to wszystko dzieje się zupełnie realnie i że jemu po prostu niesłychanie dopisało szczęście, a kiedy to zrozumiał, niezauważalnie przycisnął ramieniem lewą pachę, wyczuwając twardość pistoletu, jak zawsze tkwiącego w kaburze. Przed nim stał Madorski.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział Hugh, zapraszając gościa, żeby usiadł. – Przepraszam, jak się pan nazywa?

– Sasza. – Hugh ze zdziwieniem uniósł oczy do góry.

– Po prostu Sasza. Tutaj nikt nie posługuje się nazwiskiem. A formalności nie mają sensu.

– Jak pan mnie odnalazł? – zapytał znów Hugh.

– W tym mieście bardzo łatwo każdego odnaleźć. A poza tym pan bardzo wyróżnia się spośród otoczenia, nietrudno pana wyłowić.

– Czym? – zainteresował się Hugh.

– Wyrazem zatroskania i – Sasza zwolnił – posiadaniem mylnych informacji.

– Ach tak, proszę mi to wyjaśnić.

– Oczywiście, po to tu właśnie jestem, żeby wszystko dokładnie wyjaśnić. Chociaż moje opowiadanie wyda się panu na początku nieprawdopodobne.

Hugh kiwnął głową. Nie spuszczał z Madorskiego oczu, bez najmniejszego wątpienia był to on, ale coś nowego pojawiło się w jego twarzy i zachowaniu. Zeszczupłał, stał się bardziej elegancki, nawet jego uśmiech był teraz inny: z aroganckiego, pełnego zarozumiałstwa, a nawet chamskiego, stał się delikatniejszy, na jego twarzy malowała się życzliwość i wyraz kompetencji.

– A więc tak – zaczął Sasza – pan na pewno już zauważył, że to miasteczko jest jakieś dziwne? Chociaż niczym

się nie różni od każdego innego. Z jednym szczególnym wyjątkiem. – Sasza zrobił pauzę. – Tutaj nie istnieje czas. – Spojrzał na Hugh i przekonał się, że ten go nie rozumie.

– Widzi pan, dla pana czas – to nawykowe fizyczne pojęcie, które wpojono panu jeszcze w dzieciństwie – minuta, dzień, rok. Ale to nie ma żadnego odniesienia do czasu. Cóż to takiego minuta, dzień, rok? To tylko kąt obrotu Ziemi wokół Słońca. To jest, powtarzam, tylko kąt obrotu, a nie czas. To, co ludzie rozumieją jako czas, wszystko jest związane tylko z cyklicznością: dzień i noc, jutro i wczoraj – to wszystko są cykle, a nie czas. Ten błąd tak bardzo zdominował świadomość ludzi, że przyzwyczaili się do niego i przyjęli jako aksjomat zroszumiwały sam w sobie.

– W takim razie, co to jest «czas»? – zapytał Hugh.

– Czas – to wymysł.

Sasza zauważył, jak Hugh uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Pojęcie czasu wymyślili sami ludzie, potrzebowali cykliczności. Trzeba było siać i żąć, kłaść się spać i budzić się. W ogóle trzeba było w sposób uporządkowany organizować życie, dlatego też wybrali najprostsze cykle: dzień–noc, zima–lato. Rozbili je na godziny i minuty i wymyślili czas. Paradoks polega na tym, że później ludzie sami siebie uzależnili od tego wymyślonego pojęcia i przyjęli je nie jako wygodny, znany im już warunek, ale jako część rzeczywistości. W taki sposób zaczęli żyć w ramach czasu. Czy nie zastanawiał się pan nigdy, dlaczego w Biblii ludzie żyją przeważnie bardzo długo? – Hugh przecząco pokręcił głową. – Dlatego że wtedy czas jeszcze nie był wymyślony, a ludzie nie mierzyli swojego życia latami i dziesięcioleciami. Oni po prostu żyli zgodnie z możliwościami swojego organizmu.

Podszedł kelner. Sasza zamówił wodę mineralną.

– A teraz wytłumaczę to pod innym kątem. Na początku wieku żył fizyk i filozof, Filip van Klornen, który stworzył

teorię nieobecności czasu, w której dowodził, że czas jest wielkością sztucznie wymyśloną. Wtedy to właśnie stworzył ten projekt. Nie wiem, czy pan pamięta, ale była modna taka teoria, że gdzieś tam na północy, koło kręgu polarnego, istnieje kraina, gdzie zawsze jest ciepło. Podstawą do wysunięcia takiej hipotezy stał się fakt, że niektóre gatunki ptaków odlatywały z Rosji przed zimą nie na południe, ale na północ. Na ten temat napisano wiele książek, pamiętam jedną, pod tytułem *Ziemia Sannikowa*. W Hollywood nakręcono kilka filmów na ten temat, a nawet zorganizowano kilka wypraw w celu jej odnalezienia.

– Tak, ale jej nie znaleziono – powiedział Hugh – znam tę hipotezę. To fantastyka, nawet nie naukowa.

– To nieprawda. Tę krainę odnaleziono, tyle że odkrycie natychmiast utajniono. Okazała się ona niezmierną oazą, wśród śniegów i lodów, takim wiecznie pracującym, podziemnym, naturalnym reaktorem. Profesor van Klornen cieszył się wtedy ogromną sławą, doczekał się nawet realizacji swojego projektu tutaj, w tej krainie. Bo gdzież mógł indziej? Tutaj przyroda sama ustaliła pewną cykliczność: bliskość bieguna zakłóciła standardowe przejście z dwunastogodzinnego dnia w dwunastogodzinną noc.

Sasza upił trochę wody ze szklanki z nieukrywaniem zadowoleniem. Hugh słuchał go, chociaż dla niego nie było ważne, co mówi Madorski. Ważne było to, że on, Hugh Gardner, stary nieposzlakowany detektyw, kolejny raz miał rację: Madorski nie tylko żył, ale siedział przed nim, twarzą w twarz. To znaczy, że nikt nie przechytrzył Hugh i nigdy już nie przechytrzy. Dlatego, żeby nie wiem jakie zaćmiewające mózg teorie wysuwał Madorski, niech mu się nie wydaje, że Hugh da się na to nabrać, bo niedługo i tak dostarczy go do Waszyngtonu, a tam niech się już sami martwią, czy czas istnieje, czy też nie. Teraz może sobie tego posłuchać, oczywiście, po co się śpieszyć? Przecież

23

tak miło jest rozkoszować się smakiem własnego zwycięstwa, najbardziej oczekiwanego przez całe życie. Tylko co takiego zmieniło się w twarzy Madorskiego? Hugh próbował to uchwycić, ale, tak jak poprzednio, nie mógł.

– Poza tym – ciągnął dalej Sasza – van Klornen miał swoją szkołę, swoich asystentów, około tysiąca uczniów. Wszyscy razem przyjechali tutaj i odtąd żyją bez poczucia czasu. Zmieniły się cztery pokolenia, ilość ludności znacznie wzrosła, ale ludzie nic nie wiedzą o czasie, oni nawet nie podejrzewają, że istnieje takie pojęcie. W rezultacie nie ma tutaj zegarków ani kalendarzy i nikt nie podporządkowuje się zewnętrznym, sztucznie narzuconym potrzebom. Ludzie jedzą obiad nie wtedy, kiedy nadchodzi pora obiadowa, ale kiedy odczuwają głód. To samo ze snem, to samo z pracą. Tak jest ze wszystkim. Tu nie ma umówionych spotkań, więc nie ma obawy, że ktoś się na nie spóźni. Nie ma roboczych pięciominutówek, ponieważ nie istnieją minuty, tak jak nie ma żadnych grafików, ponieważ nie wiadomo, do czego grafik odnieść.

– Mógłbym podać jeszcze mnóstwo przykładów – kontynuował Sasza – najważniejsze jednak jest to, że ludzie, oswobodziwszy się od czasu, wyzwolili się również z wiecznie dławiącego ich obowiązku wykonywania różnych czynności, załatwiania swoich spraw i rozrywek w ściśle określonym, ograniczonym wycinku czasu. W rezultacie nie istnieje już stres, nerwowość, strach przed spóźnieniem się, przed tym, że czegoś się nie zdaży. Okazało się, że swoboda społeczna jest możliwa razem ze swobodą fizjologiczną, pozwalającą człowiekowi żyć w równowadze z jego wewnętrznym reżimem. Dlatego właśnie wewnętrzne wyzwolenie rodzi pełną wolność, którą w normalnym społeczeństwie zniewolił czas.

– No a jak funkcjonuje takie społeczeństwo? – zainteresował się Hugh. – Jak ludzie pracują, jak dzieci chodzą do

szkoły? Według jakiego rozkładu jazdy jeżdżą, na przykład tramwaje? Bez czasu społeczeństwo powinno się rozpaść.

– A jednak się nie rozpadło. Tutaj czynności wykonuje się nie według rozkładu, jak pan słusznie zauważył, ale zgodnie z potrzebami. Wydarzenia zastąpiły czas. Dlatego tramwaj odjeżdża wtedy, kiedy wsiądzie do niego dostateczna ilość pasażerów. A to dlatego, że nikt się nie śpieszy. Proszę spojrzeć, ta kawiarnia obok jest zamknięta, pewnie dlatego, że właściciel jeszcze śpi. A nasza kawiarnia jest otwarta dla tych, którzy teraz są rześcy. To samo ze sklepami, z lekarzami i ze wszystkimi innymi usługami. Oczywiście, że są inne, bardziej skomplikowane systemy, ale i tam wypracowano odpowiednie metody. Ludzie wymieniają się elektronicznymi ogłoszeniami i notatkami. Społeczeństwo jest świetnie zorganizowane i bardzo dobrze w ten sposób funkcjonuje.

Do stolika podeszła młoda dziewczyna. Sasza wstał, pocałował ją w policzek, a ona czule objęła go za szyję. «Ona go kocha – pomyślał Hugh – widać to w jej oczach. To nawet lepiej, teraz ma więcej do stracenia».

– Już kończę – powiedział Sasza dziewczynie – idź, dogonię cię w parku. – Uśmiechnęła się do Hugh i odeszła. – To moja narzeczona – wyjaśnił Sasza – niedługo się pobieramy.

Nagle Hugh zrozumiał, co tak frapowało go w twarzy Madorskiego, jaka dokonała się w niej przemiana, której nie potrafił wcześniej sprecyzować. Ostatni raz widział Madorskiego przed dwudziestoma pięcioma laty, a ten nie tylko nie zmienił się, ale nawet odmłodził i wygląda teraz najwyżej na trzydzieści lat, nie więcej. Tam, w domu, Hugh trzymał się nie najgorzej, ale teraz, patrząc na Madorskiego, zrozumiał, jak bardzo sam się postarzał. Teraz zawładnęła nim wściekła myśl, że Madorski wykiwał go, a teraz usiłuje swobodnie okręcić go sobie wokół palca.

Hugh ogarnęła złość, trudno mu było złapać oddech. To nic, pomyślał, już niewiele mu zostało.

– Ile ma pan lat? – spytał Hugh.

– Widzi pan – Sasza uśmiechnął się – pan z nawyku używa dawnych pojęć. Ile lat? – pyta pan. Nie wiadomo ile! Tutaj nie ma wieku. Niech pan zapyta, czy ludzie się starzeją? Tak, starzeją się, ale nie tak, jak w waszym świecie, gdzie siedemdziesięcioletni człowiek uważa się za staro. W naszym mieście każdy starzeje się inaczej i okazuje się, że ludzie wyzwoleni od nawyku starzenia się i liczenia lat, starzeją się mniej intensywnie.

«No cóż – pomyślał Hugh – jeżeli czas nie istnieje, to w takim razie nie ma też przeszłości ani przyszłości». Hugh nie bez powodu zapytał o przeszłość, chciał płynnie do niej nawiązać. Sasza nie zauważył jednak podstępu.

– Wśród wielu modeli ilustrujących ten fenomen jest jeden, który lubię szczególnie. Proszę sobie wyobrazić, że spływa pan rzeką na tratwie. Obok pana przemykają drzewa, pola, łąki, jakich pan nigdy przedtem nie widział. Płynie pan dalej i przepływa obok wsi. Widzi pan, że na łące pasie się stado, kobieta na brzegu pierze bieliznę podkasawszy spódnice, mężczyźni siedzą na brzegu i łowią ryby. Wszystko to istnieje w momencie, kiedy pan to widzi. Czy jednak to wszystko istniało do chwili, kiedy pan to ujrzał? Nie wie pan, tak jak pan nie wie, czy będzie to istniało, kiedy pan popłynie dalej. Kiedy pan jeszcze do niej nie dopłynął, scena ta była poza przyszłością, kiedy pan w niej jest, jest teraźniejszością, a kiedy zostawia pan ją, staje się przeszłością. Bardzo możliwe, że tak samo jest zbudowany czas podobny do przestrzeni, z tą jednak różnicą, że poruszanie się w nim jest możliwe tylko w jedną stronę. Przecież po rzece też nie można płynąć pod prąd, jeżeli jest silny, szczególnie gdy nie można dosięgnąć wiosłem dna. Jeżeli tak właśnie jest, to czas ma osnowę utkana z zdarzeń. Nie

minuta zmienia minutę, tak jak pan się do tego przyzwyczaił, ale wydarzenie zmienia wydarzenie. Kiedy nic się nie wydarza, to czas także stoi w miejscu. Jeżeli jednak przepływając na tratwie pochwyci pan gałąź drzewa zwisającą nad wodą, i przytrzyma się jej, to wioska i przyszłość z nią, związana, odsunie się.

Jeszcze jedno. Bardzo możliwe, że teraźniejszość nie przestaje istnieć, gdy staje się przeszłością. Dlatego też w naszej wiosce, którą zostawimy za sobą, czyli w naszej przeszłości, życie będzie się toczyło dalej. Tylko że my już tam nie możemy powrócić. Ja oczywiście wszystko bardzo upraszczam, porównując rzekę z czasem, ale jeszcze w wioskach życie płynie jak rzeka, rzeka Leta.

– Czym pan się właściwie tutaj zajmuje? – zapytał ostro Hugh. Już dawno przygotował sobie to pytanie.

– Pracuję w Departamencie Adaptacji, wie pan przecież, i wykładam matematykę na uniwersytecie. Aha, jeszcze hoduję kwiaty, wszyscy się tutaj tym zajmują, klimat jest odpowiedni – Sasza uśmiechnął się.

– To znaczy, że pan już nie okrada ludzi, tak jak pan to robił kiedyś w Nowym Jorku dwadzieścia pięć lat temu? Przecież według pańskiego modelu czasu przeszłość nie ginie. Jeżeli dobrze wszystko zrozumiałem – Hugh uśmiechnął się, chciał zbić z tropu Madorskiego i ten rzeczywiście robił wrażenie zdziwionego.

– To pan mnie znał w tamtym życiu? Och, co za zbieg okoliczności, to przecież wspomniałem... – zaczął Sasza, ale Hugh mu przerwał.

– Niech pan posłucha, Madorski, proszę przestać zgrywać idiotę! Nazywam się Hugh Gardner, byłem starszym inspektorem FBI. Prowadziłem pańską sprawę. To mnie pan wykiwał i jakimś cudem uciekł. Ale jednak do czasu.

– Pan żartuje!

– Ani trochę. Pańska sprawa, na szczęście, nie została zamknięta i kiedy przywiozę pana do Waszyngtonu w kaj-

dankach, obiecuję, że dostanie pan co najmniej dziesięć okrągłych latek za kratkami. Wtedy przekona się pan, że czas istnieje, zupełnie konkretny, mierzony latami, miesiącami i dniami.

– Hugh – Sasza położył dłoń na jego ręce – niech się pan nie gorączkuje, nie ma potrzeby. Niech pan tutaj pobędzie, pomieszka i spojrzysz pan na wszystko zupełnie inaczej. Minie panu złość i chęć bycia silniejszym od innych. Tutaj nie ma czasu, to znaczy, że nie ma z kim konkurować. Wiem o tym, bo ze mną też się tak samo stało. A teraz muszę już iść, czekają na mnie.

Tamten rozmawiał z nim jak z dzieckiem i Hugh na mgnienie oka mu uwierzył, ale tylko na mgnienie oka. Sasza zaczął się podnosić od stolika, ale Hugh go zatrzymał.

– Dostyc tego, Madorski, proszę siadać. Wystarczająco długo plotkowaliśmy sobie tutaj, teraz jedziemy na lotnisko. Mam nadzieję, że w tym cholernym mieście są samoloty?!

– Są samoloty – uśmiechnął się Madorski, ale nie usiadł. – A co się stanie, jeżeli odmówię pójścia z panem? Jestem teraz w o wiele lepszej formie fizycznej niż pan, więc nie zdoła pan mnie ująć, a poza tym ludzie żyją tutaj bez przemocy, więc nikt pana nie zrozumie.

– Pójdzie pan ze mną, kochaneczku – wycedził przez zęby Hugh i nagle wyciągnął z kabury pistolet, celując nim w Saszę.

Ten roześmiał się tylko, patrząc na Hugh z pistoletem w ręku.

– To bardzo głupie, naprawdę, niech się pan uspokoi, spotkamy się jeszcze raz, porozmawiamy i wszystko dokładnie panu wytłumaczę. A teraz muszę już iść, narzeczona na mnie czeka. – Odwrócił się, ale nie zdażył zrobić nawet kilku kroków, kiedy usłyszał okrzyk z tyłu.

– Jeszcze dwa kroki, Madorski, a zrobię w panu dwie, trzy regularne dziurki. Niech pan mi wierzy, robiłem to już

wcześniej nie raz i zrobię to bez wahania. Bardzo pan ryzykuje.

Sasza odwrócił się i spojrzął na Hugh – ten naprawdę nie żartował, to było widać po zaciśniętych, wąskich wargach. Sasza powoli zawrócił. Kiedy schylił się nad stolikiem, Hugh zauważył, że śmieją mu się oczy. To było nie do zniesienia, Madorski znów się z niego naśmiewał.

– Nie mogę teraz panu tego wyjaśnić – powiedział Sasza miękko, prawie nalegająco – musiałbym się zagłębić w istotę problemu, sedno w tym, że w świecie, gdzie nie istnieje czas, nie istnieje też nagła śmierć. Niech mi pan wierzy.

Hugh zobaczył, jak tamten się prostuje, odwraca do niego plecami i odchodzi. Zrozumiał, że bezsensowne jest uprzedzanie, jak również to, że jeżeli nie zatrzyma Madorskiego teraz, to nie zatrzyma go nigdy. A to będzie oznaczało, że Madorski zwycięży. To było wykluczone, on, Hugh Gardner, nie mógł tak długo cackać się z jednym i tym samym człowiekiem. Więc nacisnął spust. Potem nacisnął jeszcze raz i jeszcze – ale wystrzały nie rozległy się. To było niemożliwe: przed wyjściem z mieszkania bardzo dokładnie sprawdził pistolet, o tym, żeby nawalił, nie mogło być mowy.

Hugh odwrócił pistolet lufą do siebie, żeby sprawdzić, czy broń działa. Oczywiście nie naciskał już spustu, był doświadczonym strzelcem. Pistolet nie mógł wystrzelić zabezpieczony, świetnie wiedział, że to niemożliwe. Okazało się to ostatnią rzeczą, o której zdażył pomyśleć. Rozległ się wystrzał, a potem drugi i trzeci. Hugh runął głową na zbryzganą krwią serwetę.

W kierunku stolika rzucili się ludzie. Sasza podbiegł pierwszy. – Znajdował się jeszcze we władzy czasu – wyszeptał zbielełymi wargami. – On nie miał zamiaru go tak łatwo wypuścić”.

Zamykam książkę i kładę ją na stolyczku u wezglowia łóżka, obok siebie; mam ochotę czytać dalej, ale wiem, że pora spać. To wszystko – i to była moja ostatnia myśl przed zaśnięciem – napisał jakiś dziwny człowiek. Niesamowity, dziwny człowiek.

Budzę się rano. Poranek obiecuje jeszcze jeden słoneczny dzień, ale czy można wierzyć porankowi? Właściwie jest mi wszystko jedno, cóż to za różnica, ja lubię każdą pogodę. Parzę w kuchni swoją poranną herbatę i rozmyślam o tym, że jest to pierwsza noc tutaj, kiedy naprawdę dobrze spałam. Nic mi się nie śniło i teraz czuję się naprawdę rześka i pełna sił. Być może wreszcie zdrowieję, a może – tutaj przypominam sobie tę dziwną książkę – to ona zapisanymi w niej czyimiś zabawnymi myślami uspokaja mnie, ożywia.

Poza tym wszystko było już przygotowane: i poranek, i ocean, i fotel bujany na werandzie, i nawet herbata, przynajmniej raz wszystko jest gotowe w porę, a ja, w szlafroku, śpieszę na werandę. Witam się z oceanem, bezmyślnie spienionym, dzisiaj raczej bardziej „oblanym pianą”, szukam odpowiedniego określenia, podczas kiedy mój słuch i wzrok skupiają się na jego świszczącym oddechu. Jakże on jest piękny, ten biały ocean, myślę.

Czy to prawda, że czas nie istnieje? – przypominam sobie wczorajsze opowiadanie. W takim razie nie ma przeszłości. A przecież to przeszłość doprowadziła mnie do teraźniejszości, do tego fotela, na którym tak wygodnie mi się siedzi, do tego domu, nawet do tej książki, z którą się tak nieładnie spieram.

Kiedyś, w wigilię Bożego Narodzenia, Steve zaprosił mnie na przyjęcie gwiazdkowe, które organizowała dla pracowników jego katedra. Jechaliśmy samochodem; widziałam jak on się zmienia w miarę zbliżania się na miejsce. Jego ruchy, zwykle swobodne, stawały się sztywne, twarz

miał stężoną, nawet wizytowy garnitur wisiał na nim jak worek. Kiedy weszliśmy do dużej, oświetlonej jasnymi, mocnymi świetlówkami sali, pociągnęłam za brzeg jego marynarki, starając się nadać jej bardziej elegancki wygląd. Steve odwrócił się w moją stronę i oniemiałam; na pewno nie poznałabym go teraz, gdybyśmy spotkali się przypadkowo na ulicy. Zrozumiałam od razu: to oczy! Jego oczy były wywrócone do góry, właściwie lepiej chyba powiedzieć zasłonięte błoną, przezroczystą, oczywiście, ale nie przepuszczającą ani światła, ani głębi spojrzenia. Teraz jego oczy stały się zwykłymi, jasnymi oczami, które niczego nie wyrażały, błyszczące, obojętne, spotykałam tysiące takich oczu. Wiedziałam, że Steve, delikatnie mówiąc, nie czuje się dobrze w swojej pracy, ale żeby aż tak?!

– Wyluzuj – powiedziałam – wszystko w porządku.

– Czy to aż tak widać? – zapytał, przeglądając się w lustrze i próbując przybrać swobodniejszą pozę.

– Ja zauważyłam.

– Ty oczywiście zauważasz. Ale oni ani cholery. Każdego dnia taki jestem. – Zamilkł i dodał: – Jak ja ich wszystkich nienawidzę!

– To po co tutaj przyjechaliśmy? – zapytałam.

– Nie wypadało odmówić – odpowiedział i odwrócił się w moją stronę.

– Nie powinieneś mieć żadnych kompleksów. Nie jesteś ani trochę gorszy od pozostałych.

– No tak, dziękuję, nie może już być gorzej.

Chodziliśmy od jednej grupy ludzi do drugiej, Steve witał się, ścisnął dłonie, ale prawie nie uczestniczył w rozmowach, odpowiadając jedynie zdawkowymi komunałami. W pewnym momencie zatrzymał go wyróżniający się elegancją, postawny mężczyzna, i coś powiedział, niemal tryskając zadowoleniem. Steve spoglądał na rozmówcę swoim nowym, nic nie widzącym spojrzeniem, widziałam, że go

nie słucha, chociaż potakiwał ze zrozumieniem głową. Zrobiło mi się smutno i odeszłam na bok. Mężczyźni patrzyli na mnie, już od samego początku łowiłam ich spojrzenia, rzucane ukradkiem, w tajemnicy przed żonami; rzeczywiście byłam jak z innego świata, uśmiechnięta, ładna, z błyszczącymi oczami, pełna życia i młoda.

Niedługo stałam osamotniona. Tuż obok, nie wiadomo skąd, pojawił się jakiś bajerant, miał bródkę i szalik luźno owinięty wokół szyi i zwisający na marynarce. Od samego początku demonstracyjnie wodził za mną wzrokiem, tak żebym zwróciła na niego uwagę.

– Pani jest ze Steve'em?

– Tak – skinęłam głową.

– Nie wiedziałem, że Steve przyjaźni się z takimi pięknymi kobietami.

– Na temat kobiet nic nie wiem, ale z jedną kobietą, mam nadzieję, przyjaźni się, jak pan trafnie zauważył.

Skrzywił się, ponieważ dostrzegając niezręczność. Był interesujący, a jakże! Wysoki, postawny, stateczny, bródka dodawała mu uroku, ale mnie się nie podobał, był zbyt zarozumiały, zmanierowany i ten szalik na szyi, po co mu ten szalik? – w sali i bez tego było gorąco. Zapytał, jak się nazywam, a ja mu odpowiedziałam.

– Ja się nazywam Robert. Jesteśmy ze Steve'em starymi znajomymi. Czy pani także zajmuje się lingwistyką?

– Nie – uśmiechnęłam się – nie zajmuję się lingwistyką.

– A czym?

Zawsze nienawidziłam tych ciągle jednakowych pytań.

– Studiuję na wydziale sztuk pięknych – odpowiedziałam, tłumiąc w sobie rozdrażnienie.

– Doprawdy? – Oczy niemal wyszły mu z orbit, tak się ucieszył. – Na naszym uniwersytecie? Dlaczego nigdy pani jeszcze nie widziałem?

– Nie, nie na waszym.

– Jaka szkoda, jaka szkoda – zmartwił się Robert. – Nasz wydział jest najlepszy w mieście. Ja sam tam wykładałem, chociaż to może brzmi nieskromnie.

– Brzmi normalnie – wzruszyłam ramionami. – Więc jest pan malarzem, Bob? – Na pewno dostrzegł ironię w moim pytaniu, bo skrzywił się, jakbym przyłapała go niechcący na drobnym hochsztaplerstwie.

– Nie, wykładałem historię malarstwa i rzeźby. – Siegnął do kieszeni marynarki i wyciągnął fajkę, widocznie uważał, że do bajerowania sam szal to za mało. Palić w sali nie wypadało, więc to obracał fajkę w dłoniach, to znów wkładał ją do ust, wtedy jego głos zmieniał się i zaczynał seplenić.

– A... no tak, to znaczy, że pan nie jest artystą? – przyciskałam Boba-szalikowca.

– Ja, widzi pani, przedtem zajmowałem się malarstwem – wyznał skępowany Bob. – Mówiono, że robię postępy, ale wie pani, jakie jest życie artysty – zawahał się – jakby to powiedzieć, nieuregulowane, w wiecznej pogoni za karierą, Rodzina nie mogła mnie utrzymywać, ja nie mam oczywiście do nikogo pretensji, rozumiem to... To oczywiście jest pragmatyzm, ale jeść też za coś trzeba.

Kiedy powiedział „jeść” jego bufonada opuściła go i pierwszy raz spojrzałam na Boba jak na żywego człowieka, z krwi i kości, ze współczuciem.

– No więc tak to jest – postawił jakby kropkę.

– Ależ jak to – nie zgodziłam się z nim – spójrzmy na wielkich malarzy: Picassa, Dalego, Modiglianiego, nie mówiąc o wcześniejszych, jeszcze większych, takich jak van Gogh, Gauguin, Lautrec.

Mówiłam podniecona, nie dlatego, że obok mnie stał Bob, ale dlatego, że poruszony temat był dla mnie zbyt ważny. Kończyłam właśnie studia, musiałam teraz dokonać wyboru, ale nie wiedziałam, co wybrać. Czy mam się, tak jak dotąd, zajmować malarstwem, czy też zmienić kierunek na jakiś inny, otwierający przede mną szersze perspektywy?

– No cóż – powiedział Bob – ktoś czasem się wybija. Gdyby jednak pani wiedziała, Jacqueline, ilu było innych malarzy, wcale nie mniej utalentowanych, którzy w tamtych czasach tworzyli wiele dzieł wcale nie gorszych, oczywiście nie takich samych, ale podobnych... Dlaczego więc jedni stali się sławni, a drudzy nie, to zupełnie niezrozumiałe. Prawdopodobnie szczęście, znajomości, energia czy po prostu zbieg okoliczności. Trudno to ocenić, ale proszę mi wierzyć, przecież to mój zawód, mnóstwo dobrych malarzy odeszło w niepamięć. Po prostu, ot tak – pstryknął palcami – z jakiegoś powodu im się nie udało... Nawet ci, których pani wymieniła, z wyjątkiem Picassa i Dalego wegetowali, żyli w biedzie, pili, trawiły ich choroby. Jeżeli chodzi o Picassa i Dalego, to po prostu udało im się: żyli długo.

– Nieprawda! – Odwróciłam się nagle, zaskoczona. Steve stał obok, nawet nie zauważyłam, kiedy podszedł. – Słuchaj, Bob, co ty chrzaniś na swój temat, starasz się usprawiedliwić, czy co?

Bob aż drgnął z oburzenia, tyle ukrywanej złości dźwięczało w tych słowach. Spojrzałam na Steve'a i dostrzegłam, jak na mgnienie oka rozbłyśły jego oczy, tylko po to, żeby wystrzelić promień złej energii i znów zgasnąć.

– Nie, nie, Steve – zmieszał się Bob, obracając w dłoniach swoją fajkę – ty tego nie rozumiesz. Żeby artysta mógł się zrealizować, nie wystarczy sam talent. Należy jeszcze mieć odpowiedni temperament, czy też, inaczej mówiąc, nastrój, trzeba się liczyć z koniecznością, ponoszenia ofiar, z możliwością... – zamilkł, dobierając odpowiednie słowo – samounicestwienia.

Ale Steve już tego nie słuchał, było mu wszystko jedno, jak Bob wykorzystuje swój temperament, tamten to zauważył i teraz znów zwracał się tylko do mnie.

– Trzeba dążyć do takiego właśnie, szalonego życia – ciągnął dalej – dlatego że jest ono nieodłączną częścią,

przyszłego powodzenia. Jeżeli będziesz go unikała, to w rezultacie nie osiągniesz sławy. Trzeba tak jak Modigliani, Jacqueline. Czy pani wie, jak żył Modigliani? Pił, zażywał narkotyki i malował. Wiedział, że jest umierający, chorował ciężko na gruźlicę, ale sam tego chciał. Chciał siebie uniceswicić. Umarł, ileż to miał lat? – Wydawało się, że Bob liczy w pamięci i obliczył – Około trzydziestu pięciu.

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy Steve to słyszy, ale już go nie było obok mnie, znów nawet nie zauważyłam, kiedy odszedł.

– Zapamiętaj, Jacqueline – Bob ciągnął dalej – trzeba mieć powołanie do takiego życia, a do tego talent i szczęście. – Bob powrócił do tego, o czym mówił już przedtem. – Oczywiście także inne okoliczności powinny być po pani stronie, także energia, i... diabli wiedzą co jeszcze, żeby cieszyć się sukcesem.

Zgadzałam się ze Steve'em, Bob wyglądał żałośnie. Jakby próbował się tłumaczyć, bronić przed moimi napaściami, mimo że nie powiedziałam ani słowa. Spoglądałam na tego gogusiowatego, trywialnego pragmatyka, rosło we mnie rozdrażnienie i uczucie pogardy, na pewno tak na niego patrzyłam, z pogardą.

– Ja to wszystko mam – i powołanie, i talent, i szczęście! – wyrzuciłam z siebie, i chociaż brzmiało to zupełnie jak wyzwanie, było – dopiero teraz to rozumiałam – głupie i dziecinne. Po co było tak się przed nim obnażać?

Już później, w samochodzie, w drodze do domu, ciągle zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie potrafiłam odpowiedzieć Bobowi w sposób zdystansowany. „Czy to możliwe, że wewnątrz sama przyznawałam mu rację?” – pomyślałam. Bo właściwie, co mam ze sobą począć? To wszystko nie dla mnie: brud tanich mieszkań komunalnych, wynajmowanych za ostatnie pieniądze, wyrzeczenia, bezdom-

ność, a to wszystko w imię celu, który być może uda się osiągnąć, ale można równie dobrze go nie osiągnąć.

Jaką słabością jest nawet myśleć o tym, przerwałam sama sobie, o tej żalosnej niemożności, sama jestem żalosna, tak jak ten Bob. Tak, uśmiechnęłam się sama do siebie, może nawet mam talent, ale mojego talentu wystarczy tylko na to, żeby szkicować w przerwach między leżeniem w łóżku. Swój największy talent wykazuję w łóżku.

Spojrzałam na Steve'a. Milczał, nie obchodziły go moje wątpliwości, zupełnie go nie obchodziły. Nigdy nie pytał mnie o moje sprawy i nigdy niczego mi nie doradzał – sam odsuwał się na bok, w niczym nie uczestnicząc. Nawet teraz, kiedy muszę się zdecydować, czy dalej zajmować się malarstwem, nie powiedział ani słowa na ten temat, tak jakby moje życie w ogóle go nie dotyczyło. A może rzeczywiście nie dotyczy?

– Powiedz – zapytałam – czy wiesz, że za miesiąc kończę studia?

Steve skinął głową, potakując. Drażniło mnie jego milczenie.

– Muszę się zdecydować, co mam dalej robić. Wiesz o tym także – znów skinął głową, – Zostać malarką – to sądzę, chyba nie dla mnie, więc muszę zdecydować się na coś innego, prostszego. Dlaczego milczysz, przecież to jest ważne, oczekuję rady, Steve, potrzebna mi jest pomoc. Słyszysz? – miałam ochotę uderzyć go, tak mnie rozdrażnił.

– Nic nie mogę ci poradzić – powiedział w końcu. – Nie chcę wpływać na ciebie. To przecież jasne – wrzucił ramionami – celem każdej, jakiegokolwiek rady, jest zmienić tego, komu radzisz. A kimże ja jestem, żeby próbować zmienić ciebie? – wziął głęboki oddech, a po chwili dodał: – Wiesz, jedyna rzecz, jaką mogę ci powiedzieć – odwrócił głowę w moją stronę – to: staraj się unikać kompromisów. Nie chodzi o ludzi, oni nie zawsze są źli,

unikaj kompromisów ze sobą. Trzeba za nie płacić. Wcześniej albo później, ale trzeba... czasem bardzo drogo... – Zamilkł, urywając w pół zdania, jakby chciał coś jeszcze dodać.

Droga wiła się, a do tego zaczął jeszcze kropić deszcz i od razu zrobiło się ciemno. Patrzyłam na zamgloną, żółtawo połyskującą w ciemnościach wstęgę, wiecznie wyprzedzającą samochód, czasem podskakujący i opadający w dół na nierównościach asfaltu.

Nie posłuchałam jednak Steve'a i poszłam na kompromis, nie bojąc się grożącej za niego zapłaty. Po dwóch tygodniach złożyłam dokumenty na wydział architektury i szansa, ta jedyna szansa, jaką ofiarowała mi natura, została jej zwrócona niewykorzystana.

Ileż to razy przypominałam sobie później prorocze słowa Steve'a, który jakby przewidział, że nigdy nie przestanę płacić. Rzecz nie w tym, że nie podobało mi się to, co robię. Przeciwnie. Właśnie ta niezwykła łatwość, z jaką wszystko osiągałam, właśnie mój niewątpliwy sukces w każdej sprawie przypominały mi, że kiedyś pomyliłam się, dokonałam niewłaściwego wyboru i zrezygnowałam z tego, co było dla mnie najważniejsze, co było moim powołaniem i do czego teraz nie mogę już wrócić. Nigdy nie wybaczyłam sobie tego kroku, nawet teraz, kiedy właściwie nic już nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Robi mi się chłodno, pled na nogach utracił swoje ciepło, a wilgoć oceanu wessała się w jego włochatą powierzchnię. Chcę wstać, chociaż nie opuszcza mnie lekkie, słodkie znużenie, podnoszę się mimo wszystko, zabieram ze sobą swoją książkę i słonawy zapach ostatniej fali i idę do domu.

Napuszczam wody do wanny, dodając odrobinę jakiegoś pachnącego płynu do kąpieli, tak że pojawiają się kłaczkowate piany i zdejmuję szlafrok. W maleńkim, ręcznym lusterku

odbijają się równe linie wysmukłej szyi, ramiona, piersi i niżej, niech tam, nawet obcięta i ograniczona krawędziami lustra gibka wypukłość brzucha.

– Wszystko jeszcze niczego sobie – mówię do siebie głośno, oglądając się.

Poruszam ramionami i biodrami, próbując obejrzeć siebie z ćwierćobrotu; woda ciurkiem leci z kranu do niezupełnie jeszcze pełnej wanny, napełniając powietrze ciepłem i wilgocią, gorącej pary.

Wyraźnie schudłam, straciłam na pewno jakieś sześć, siedem kilogramów, oczywiście powinnam przytyć, może nie siedem, ale pięć kilogramów nie zaszkodziłoby. Chociaż i tak jest nieźle. Szczupłość, nawet chudość, choć bardziej smukłość i delikatność, nawet te sińce pod oczami sprawiają, wrażenie czegoś wyczekującego.

Przekładam nogę przez brzeg wanny i sprawdzam stopą, temperaturę wody. Podobają mi się moje ruchy, zauważam w nich grację: w wyciągniętej, z lekkimi zaokrągleniami stopie, w wąskich, obejmujących ją dłoniach.

– Dzisiaj podobam się sobie – powiedziałam cicho do siebie.

Kładę się w wannie, woda obejmuje mnie, nie próbuje się mną bawić, jest tylko dodatkiem, uspokajającym, lśniącem dodatkiem do mojego ciała. Dostaje się we wszystkie dostępne zakamarki, nie jest zamknięta, ale rozlewając się jest posłuszna, nie dławii i niczego nie żąda. Zakręcam kran, ale niezupełnie, nie do końca, zostawiam milkliwą, cieknącą, niteczkę wody, pieszczącą, mnie płynącym ciepłem.

Moja książka leży niedaleko, na małym stoliczku, razem z ręcznikiem, który przezornie sobie przygotowałam. Wyciągam rękę, która lekko wyskakuje z wody, spływające po niej krople odrywają się i toną w maleńkim, już zamierającym wodospadzie. Wycieram dłoń ręcznikiem, a potem

wyciągam ją w kierunku płóciennej oprawy. Otwieram, jak zwykle, gdzie popadnie, i jak zwykle, gdzie popadnie, czytam:

95

„To dziwne, kiedy byłem dzieckiem, także później, w latach młodości, bałem się cmentarzy. Jeżeli się tam znalazłem, opanowywało mnie nieprzyjemne uczucie, czasem nawet przerażenie, pewnie z podświadomego strachu przed nieuchronnością końca każdego życia. Z wiekiem wszakże moje odczucia uległy transformacji. Teraz nie wywoływało to we mnie ani strachu, ani niepokoju, lecz odwrotnie, przyjemny spokój. Widocznie z latami człowiek przywyka do myśli o śmierci – to jedyne możliwe przedłużenie życia.

Niedawno leciałem do Europy. Dwa tygodnie wcześniej samolot lecący tą samą trasą rozbił się, a ja, przyzwyczajony do latania, nieoczekiwanie poczułem jakiś dziwny strach. Siedząc w samolocie przypomniałem sobie, jak przed czterema laty znalazłem się w środku burzy śnieżnej, nocą, w Alpach: zgubiłem się, a mój samochód stracił przyczepność i nabierał prędkości w szalonym poślizgu. Czuję się bezradny i zrozumiałem, że na pewno się rozbiję i umrę.

Dotarło do mnie, że kręcąc się tak w kółko, jestem pozostawiony sam sobie, a samochód może się po prostu ześlizgnąć z oblodzonej drogi i spaść w przepaść, która objęła już w posiadanie mnóstwo rozbitych wraków i otchłań tylko czekała, kiedy i ja w nią wpadnę i roztrzaskam się na drobne kawałki. Początkowo próbowałem zapanować nad samochodem, ale bezskutecznie, i wkrótce przestałem podejmować jakiegokolwiek próby, tylko mocniej zaparłem się nogami i rękoma, oczekując uderzenia.

Ten zwariowany poślizg trwał w nieskończoność – czterdzieści sekund, a może nawet minutę. Próbowałem myśleć o czymkolwiek, ale przyłapałem się na tym, że nie od-

czuвам niczego oprócz denerwującego uczucia zniecierpliwienia, żeby wreszcie dowiedzieć się, co będzie tam, dalej? Nie odczuwałem ani trochę strachu, wprost przeciwnie, byłem desperacko zachwycony bliskością, nieuchronnej natychmiastowej śmierci, kiedy tak balansowałem na samej jej granicy. Potem wóz uderzył w bandę, ale jak wciąż nie wylatywałem jednak z drogi, chociaż zmartwiałem, przeżywając karambol i zostałem ogłuszony zgrzytem metalu rozbijanego samochodu. Uratowały mnie pasy i nic złego mi się nie stało, miałem tylko otarcia naskórka, ale nagle zrobiło mi się straszno. Straszno dlatego, że nie przeraziłem się śmierci, kiedy mogłem i powinienem to zrobić.

Siedząc teraz w samolocie i wspominając wypadek w górach, zadawałem sobie pytanie: co się właściwie zmieniło i dlaczego teraz tak bardzo się boję, chociaż statystycznie niebezpieczeństwo jest dużo mniejsze? Dlatego, odpowiedziałem sam sobie, że w moim życiu jest teraz wiele niedokończonych spraw: pracuję nad nowym projektem, niedawno odnaleziona miłość pozwala mieć nadzieję na zmiany w moim życiu, właśnie najbardziej boję się tego, żeby nie zostawić niedokończonych spraw. Kiedy obijałem się w samochodzie, który wymknął się spod kontroli tam, w Alpach, moje życie znajdowało się w martwym punkcie. Niczego w nim nie oczekiwałem, nic nie zostało przerwane, niczego nie trzeba było przedłużać.

Porównałem te dwa swoje stany i zrozumiałem, że strach przed śmiercią, przejawia się jako rodzaj nieskończoności, to znaczy jako przyszłość. Innymi słowy to, co nieskończone – to przyszłość!”

Byłam zaskoczona, bo to tak, jakbym czytała o Steve’em. On tak samo nie bał się śmierci, wiedziałam i pewnie dlatego to wszystko się wydarzyło.

Steve miał jacht, już od dawna, zanim się jeszcze poznaliśmy. Nie był specjalnie duży, ale wyglądał na całkiem bezpie-

czny i wygodny, miał maszt i żagiel, a nawet kajutę. Kajuta była mała i ciasna, z ruszającą się pod stopami podłogą, dusiła zamkniętą przestrzeń, być może z powodu otaczającego oceanu, ale to też dodawało ostrości wrażeniom.

Jacht był zacumowany jakieś dwie mile od domu, przy pomoście w zatoce, gdzie spokojnie się kołysał, czasami podrygując i poruszając bezwstydnie ogołoconym masztem. Właśnie tutaj, w tym domu i na tym jachcie spędzaliśmy każdy wolny dzień.

Podobały mi się nasze oceaniczne przejażdżki: odświeżające bryzgi fal, naprężenie żagla, łódź przecinająca dziobem fale; ja sama nasiąknięta solą, z rozwianymi włosami, w cienkiej, niemal przezroczystej od wilgoci koszulce, oblepiającej moje smukłe, szczupłe ciało. Podobało mi się również spojrzenie Steve'a, który nie spuszczał ze mnie wzroku ani na sekundę. Wyłączyliśmy daleko od brzegu i tylko jego jednolity, jasnoszary pasek stanowił punkt orientacyjny. Trudno było się nawet domyślić, że w tej zamglonej o poranku szarości na horyzoncie schował się i nasz dom ze swoimi pokojami, meblami i drobiazgami pochowanymi głęboko w szafach, za domem gęsty las, dalej rzeki i jeziora, jeszcze dalej miasta, a w nich wielu, bardzo wielu ludzi. Byliśmy jedynymi w tym pustynnym, trudnym do ogarnięcia, oceanicznym świecie, było nam z tym naprawdę dobrze – nikt nie był nam potrzebny.

A potem nastął dzień, w którym znienawidziłam cały ten jacht i wszystkie związane z nim przygody. Był wczesny poranek, przed chwilą się przebudziliśmy w naszym miejskim mieszkaniu i wybieraliśmy się, żeby wypłynąć na ocean. Przed nami były wolne dni plus święto, razem trzy dni, nie śpieszyliśmy się, jedliśmy na śniadanie świeże bułeczki i popijaliśmy je aromatyczną kawą.

Nagle zadzwonił telefon. To było nieoczekiwane samo w sobie, rzadko ktoś do nas dzwonił, a prawie nigdy do

Steve'a, który miał mało przyjaciół, a do tego przejawiał patologiczną wręcz niechęć do telefonu. Podniosłam słuchawkę i męski głos poprosił Steve'a, nie po imieniu, ale po nazwisku, w dodatku używając oficjalnego zwrotu „mister”. Steve wziął słuchawkę, podniósł do góry brwi ze zdziwienia, a ja od razu usłyszałam w jego głosie jakieś dziwne skrepowanie; można to było zauważyć w sposobie mówienia, w monosylabicznych odpowiedziach. Tak rozmawia, kiedy chce, żeby osoby znajdujące się w pobliżu nie zrozumiały, o co chodzi. Tym razem tylko ja byłam w pobliżu. Steve rozmawiał niezbyt długo, jakieś trzy minuty, i kiedy odłożył słuchawkę, o nic go nie zapytałam. Myślałam, że sam mi wszystko wyjaśni, ale nic nie powiedział, wydawało mi się, że coś przede mną ukrywa. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy, a ja już za miastem zapytałam:

– Kto to dzwonił? – a potem, widząc, że przeciąga milczenie, dodałam – przecież do ciebie nikt nigdy nie dzwoni.

– No tak – odezwał się w końcu – stary, uniwersytecki przyjaciel.

– Kto to taki? – Od razu zauważyłam, że nie chce o tym mówić, dlatego napierałam dalej.

– Wiesz, to nawet jest interesujące, mogę o tym opowiedzieć, ale opowieść jest smutna.

– To nic takiego – powiedziałam – pocierpię.

– Masz rację, to nic takiego – ciągle jeszcze próbował się wykręcić.

– Słuchaj – zaczęłam się denerwować, a fala gorąca uderzyła mi do głowy – jeżeli nie chcesz mówić, to nie mów, proszę bardzo. Tylko nie rób ze mnie idiotki.

Steve zamachał rękami:

– Ależ nie, to prawda, ta historia jest rzeczywiście bardzo smutna. Nie ma takiej drugiej historii. Nie wiem, dlaczego się tak zdenerwowałaś, opowiem ci, oczywiście, jeżeli tego naprawdę chcesz.

– Kto dzwonił? – powtórzyłam, widząc, że wciąż ociąga się z odpowiedzią.

– Mój kolega ze studiów. Razem się uczyliśmy, nawet trochę przyjaźniliśmy. Ma na imię... – i Steve powiedział jego imię.

Jakie to było imię? – staram się przywołać je w swojej pamięci. Woda w wannie nieruchomieje wraz z moim ciałem. Marszczę czoło, tak bardzo chcę sobie przypomnieć. Nie, nie pamiętam! Jakie to jednak ma teraz znaczenie? Mam ochotę usłyszeć jakikolwiek dźwięk, choćby spadających kropli, podnoszę rękę do góry, woda spływa po mojej wymoczonej, prawie przezroczystej skórze.

– Trochę się ze sobą przyjaźniliśmy – ciągnął dalej Steve, ale jakoś mało przekonująco – chodziliśmy razem na piwo. To nawet niezły chłopak, ale ciągle zbyt nieszczęśliwy, wiesz, bywają tacy nieudacznicy. Studiów nie ukończył, rzucił je pod sam koniec, a potem nie mógł znaleźć pracy. Mógł oczywiście uczyć w szkole, ale się tego nie podjął. O ile wiem, zajął się literaturą. Pięć lat temu napisał tom opowiadań. Gdzieś tam u mnie leży, przysłał mi go pocztą, z osobistą dedykacją. Ktoś mi mówił, że jego opowiadania drukowano w czasopiśmie, ale, jak pamiętam, nie zrobił żadnej szczególnej kariery. W ogóle przez wiele lat nie widziałem go ani nie słyszałem.

– To dlaczego właśnie teraz zadzwonił?

– A cholera go wie – Steve wzruszył ramionami. – Chce się spotkać i razem popływać jachtem.

– A co ty na to?

– Powiedziałem, że nie mogę, że jestem zajęty.

Przypomniałam sobie tę rozmowę, krótkie słowa „nie mogę” i „zajęty” rzeczywiście padały.

– Niezbyt jesteś miły dla starych znajomych. – Podejrzenia zaczęły mnie opuszczać, słowa Steve’a brzmiały niezwykle prawdopodobnie. – Rozmawiałeś z nim tak, jakbyś chciał, żebyśmy nic nie rozumiała.

Wyciągnął w moją stronę rękę, objął i przyciągnął.

– Jakaś ty podejrzliwa! Chociaż zupełnie nie rozumiem dlaczego, przecież nigdy nie dawałem ci do tego powodów. Widocznie to jest atawistyczne.

Uśmiechnęłam się, może on ma rację?

– Ależ nie, po prostu nie chciało mi się z nim rozmawiać. Nie wypadało mi tak od razu mu odmówić, ale chciałem mu to jakoś w delikatny sposób dać do zrozumienia. Dlatego odpowiadałem w najbardziej oschły sposób, jak się tylko dało.

Uspokoiliam się już całkowicie, ale spytałam jeszcze:

– Ciagle nie rozumiem, dlaczego nie chciałeś się z nim spotkać?

– Spotkałbym się z nim, ale wiesz, on telefonował z Kalifornii. Lecieć trzy tysiące mil, żeby spotkać się na kilka dni? To dziwne. Taka wizyta powinna trwać dłużej niż dwa dni, ale spędzić z nim miesiąc? Mam tutaj ważniejsze sprawy.

– Na przykład?

– Czy pamiętasz, co Hamlet powiedział Gertrudzie, wskazując Ofelię – ponieważ oczywiście nie pamiętałam, ciągnął dalej, prawie bez przerwy: „tu jest metal silnie pociągający”^{*}.

Roześmiałam się, uwierzyłam w to, co mówił, mówiąc ściślej, prawie uwierzyłam.

Próbuję się poruszyć i już nie czuję wody, stała się jakby nieodłączną częścią mojego ciała, tutaj, w wodnej przestrzeni króluje płynność i osamotnione, usypiające kołysanie do snu w pełnym oderwaniu od rzeczywistości. Unoszę się nieco, woda posłusznie uwalnia mnie i lekki powiew przywraca świadomość mojemu ciału. „Nie

^{*} *Hamlet*, w: Wiliam Szekspir, *Tragedie*, przeł. J. Paszkowski, L. Ulrich, PIW, Warszawa 1973.

zapominaj, woda może być zupełnie inna” – szepczę sama do siebie.

Przyjechaliśmy do domu, ale nie zostaliśmy w nim długo. Zabraliśmy potrzebne rzeczy, zaczęłam się przebierać, wyciągnęłam szorty, adidasy, ale Steve powstrzymał mnie.

– Nie potrzeba – powiedział – zostań w tym, w czym jesteś.

Spojrzałam na siebie. Byłam ubrana zupełnie nie jak na wycieczkę po oceanie: krótka, wąska spódnica, pantofle na wysokim obcasie. Spojrzałam pytająco na Steve’a, uśmiechnął się do mnie w odpowiedzi tak, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiedziałam.

– Dziś będę twoim służącym. Twoim kapitanem, majtkiem i czym chcesz. Wyobraź sobie, że wynajęłaś mnie na dwa dni razem z jachtem, wobec tego mam obowiązek usługiwać ci i potakiwać we wszystkim. Jedynym twoim obowiązkiem jest rozkoszowanie się, a jedynym moim obowiązkiem jest sprawianie ci rozkoszy.

Roześmiałam się, już przyzwyczajona do jego pomysłów.

– Nie jestem jeszcze w tym wieku, żeby kupować mężczyzn, a sama też jeszcze jestem w cenie – powiedziałam, śmiejąc się. – Jeżeli to jednak nie okaże się zbyt drogo, zgadzam się, doceniając szczególnie to, że ty, złotko, jesteś taki miłutki. – Steve odpowiedział mi szerokim uśmiechem, takim jakim w starych filmach uśmiechają się prostoduszni, wiejscy młodzieńcy.

– Madame – powiedział – nie pożałuje pani.

Już sam jego idiotyczny wygląd był tak zabawny, że nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

Na jacht Steve wniósł mnie na rękach, mogłabym położyć nogi, chodząc po pomoście na wysokich obcasach. Potem przytaszczył z kajuty duży, wygodny fotel i składany stolik do serwowania jedzenia, rozstawił je na pokładzie

i troskliwie mnie usadził. W tym momencie pojawiło się wiaderko z lodem, a w nim szampan, widocznie wcześniej już wymyślił tę zabawę i zdażył się do niej przygotować.

Po pięciu minutach jacht prześlizgiwał się po wodzie, lawirując między mnóstwem przycumowanych tu łódek. Dzień był słoneczny i ciepły, nie można było sobie wymarzyć lepszej pogody, siedziałam na pokładzie jachtu od strony dziobowej, odchyliwszy się w fotelu, z nogą na nodze, ze smukłym kieliszkiem szampana w dłoni. Oczywiście czułam się jakoś dziwnie: ubrana w spódnicę i pantofle na obcasie nie byłam członkiem załogi, ale, jak słusznie powiedział Steve, uprzywilejowaną, bogatą, kobietą, wyruszającą w spacerowy rejs.

Patrzyłam na Steve'a, on też wyglądał niezwykle, rzeczywiście zupełnie jak wynajęty marynarz, w obcistych górach, a rozkloszowanych u dołu spodniach, w pasiastej koszulce. Dosłownie fruwał po pokładzie, coś tam podwiązując, mocując, zmieniając położenie żagla. Wydawało się, że ma nie więcej niż dwanaście lat, lekki w ruchach, zgrabny młodzieniec, niemal chłopiec, właśnie taki wydawał mi się w tym momencie. Wiele razy podbiegał do mnie, dolewał do kieliszka szampana, pytał usłużnie: – Czy pani czegoś nie trzeba, madame? – Wspaniale wszedł w rolę, patrzył na mnie z pożądaniem, nie śmiał jednak przejawiać inicjatywy.

Kiedy podbiegł do mnie kolejny raz, wzięłam go ostrożnie za rękę i powiedziałam, zaglądając mu pytająco w oczy:

– Może posiedzisz ze mną, jest mi samej jakoś smutno.

– Jak pani sobie życzy, madame – odpowiedział mój posłuszny służący i przyciągnąwszy z kajuty krzesło postawił je naprzeciwko mnie.

– Nalej sobie – wyciągnęłam w jego stronę kieliszek, byłam już trochę pijana szampanem, oceanem, nim.

– Dziękuję, madame – skinął głową,

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, pożerał mnie wzrokiem.

– Ja tak lubię patrzeć na ciebie – powiedział, chociaż mógłby niczego nie mówić.

– Wiem – powiedziałam.

– Rozbierz się. Tylko bez pośpiechu. – Zapomniał dodać „madame”, ale wybaczyłam mu to.

– Nie będę.

Ja również nie odrywałam od niego oczu, mnie samej podobało się patrzeć na niego, teraz takiego niecodziennego. Widać było, że mnie pożąda, ten zaledwie mi znany młodzieniec, jego pożądanie było prawie namacalne, podświadomie podniecało mnie.

– Najpierw pantofle, mogę? – spytałam.

Skinał głową.

– Tylko załóż nogę na nogę. Chcę widzieć twoje nogi.

– Jesteś lubieżnikiem – powiedziałam, ale to, co mówiłam, nie miało żadnego znaczenia. Założyłam nogę na nogę, oswobodziłam stopy z pantofli i palcami stopy przejechałam po łydce, mnie samej było miło dotykać tych łagodnych linii opiętych rajstopami. Potarł dłonią, podbródek i zatrzymał ją na nim.

– Podobają mi się twoje nogi. Szkoda, że nie jesteś w pończochach.

– Niewygodnie mi w pończochach – usprawiedliwiłam się, sama tego żałując. – Następnym razem, dobrze?

– Następnego razu nie będzie – odpowiedział zagadkowo, ciągle jeszcze pocierając podbródek, ale ja wiedziałam, co ma na myśli.

– Co teraz? – właśnie w kolejności jego żądań zawierało się jego pragnienie.

– Teraz rajstopy – odpowiedział i przesunął dłoń niżej, na szyję. Widziałam jego lekko przygryzioną wargę.

– Rajstopy? – powtórzyłam pytanie. Miałam ochotę powtarzać jego polecenia i dopiero potem je wykonywać.

Nie odpowiedział, tylko skinął głową. Odchyliłam się na fotelu i podciągnawszy spódnice, tak że poddała się i od tyłu, i z przodu, oswobodziłam brzuch i biodra.

– Oprzyj stopy na brzegu fotela – wydał polecenie człowiek podobny nieco do Steve'a.

Lubiłam słuchać jego komend w takich chwilach. Obciągnęłam spódniczkę, wstydliwie zakrywając pasek brzucha, ale moje ciało nie miało wstydu, ono pożałowało go, właśnie przez niego byłam teraz taka rozgorączkowana. Odchyliłam nieco plecy i postawiłam nogi tak, jak tego właśnie chciał, kolanami ostro ku górze, lekko rozwarłe na boki, moja głowa znalazła się nagle w dole, między nimi. Zachwiałam się, ale zdołałam utrzymać równowagę, teraz moje dłonie dotykały gładkiej, śliskiej skóry od kolan do bioder, gdzie była zakryta materiałem niepotrzebnej teraz bielizny.

– Podoba ci się, kiedy siebie dotykam? – zapytałam, nie dlatego, żebym czekała na odpowiedź, której byłam pewna, ale dlatego, że w tej chwili potrzebowałam usłyszeć jego głos.

– Podoba.

Nie pomyliłam się. Głos mu się łamał i dźwięczał obco.

– Pogładź wewnątrz – rozkazał, a ja zamknęłam oczy, wiedziałam, że wewnątrz będzie jeszcze delikatniej i bardziej podniecająco.

Moje palce ześlizgnęły się na wewnętrzną stronę ud, starałam się otworzyć oczy, ale nie mogłam. Wiedziałam, że teraz nie wolno mi się zapominać, na razie nie. Nie wiedziałam już jednak, czyje ręce mnie dotykają, i głaszczą, zapomniałam, że to moje własne ręce.

– Nie, nie dotykaj, jeszcze za wcześnie – urywany głos przybliżał się, wydawało się, że z boku, oderwałam palce.

– Niech to richo, jak ja lubię patrzeć na ciebie.

– Tylko patrzeć? – mimo wszystko przymknęłam powieki.

– Nie tylko.

– Chcę je zdjąć – powiedziałam prosząco i dotknęłam stringów.

Skinał głową. Wydawało mi się, że chciał coś powiedzieć, ale nagle się rozmyślił.

– A ty mi nie pomożesz?

Pragnęłam, żeby znalazł się obok mnie. Moje ręce już nie wystarczały.

– Nie, ty sama.

– Samo spojrzenie to za mało. Ty cały jesteś mi potrzebny – przyznałam się.

– Pocierp. Przecież lubisz cierpieć.

Nie dla niego, tylko dla siebie wyszeptałam: – Lubię.

Powolność, leniwa powolność, to jest to, co lubię, powolne tortury zawsze kończą się słodkim mgnieniem prymitywnego, ekstatycznego bólu.

– A kiedy podejść – zaczął bez uprzedzenia – i siadę na podłodze obok twoich nóg i mocno je rozewrę, będziesz już mnie oczekiwać, dostępna, otwarta. Schylisz się nade mną, oczy będziesz miała szeroko otwarte i będziesz na to patrzeć, tak jak ja na to patrzę. Twoje usta rozchylą się i będę spoglądać z dołu, jak się porusza, drząc, czubek twojego języka. Wiesz, co pocałuję, ale nawet cię nie dotknę!

Mógł do mnie nie podchodzić, łowiłam każde jego słowo. Moje nogi, och, były ściśnięte jego dłońmi, do bólu, do siniaków, podbrzuszem już łowiłam jego oddech, drażniła jeszcze kępująca mnie spódnica, przeszkadzała jego dłoniom, nie dopuszczała ich do mnie, brutalnych, nakazujących.

Nie wytrzymałam. Wiedziałam, że on właśnie na to czeka, żebym nie wytrzymała. Nie zdejmując majtek, odchyliłam kawałek materiału między nogami, i przytrzymując chcący powrócić na miejsce jedwab, dwoma palcami maksymalnie rozchyliłam siebie, a trzecim powędrowałam

z dołu do góry, przeżąc plecy i szyję. Oczy miałam zamglone, zdziwiłam się, jak wszystko było mokre, gorące i niebezpiecznie nieosłonięte.

– Jestem cała mokra – powiedziałam, czując przybliżający się oddech. Z niewiadomego powodu zaczęłam panikować.

– Wiem. – Ciężko oddychał. – Popatrz w dół.

Przywykłam już do słuchania go – palce przesuwały się i wynurzały, potem znów bez nadziei gineły w środku, znów wypływały, lśniąc jak polakierowane, z jeszcze piękniejszymi niż zwykle paznokciami.

– Nie mogę już. – Z trudem wydobyłam z siebie głos. – Wolę patrzeć na ciebie. – Chociaż to nie było wybawieniem. – Powiedz, co będzie potem? Co będziesz później robić?

– Najpierw dotknę palcem twoich ust, a ty wciągniesz go i zmoczysz językiem, nie będziesz chciała go wypuścić, będziesz starała się go utrzymać, ale w końcu nie zdołasz. Potem będę dotykał palcem u dołu, w okolicy samego splotu, delikatnie, lekko, ledwie obwodząc dookoła.

– Tam wszędzie jest mokro – przerwałam, spóźniona.

Mój palec poruszał się na jego rozkaz, a on wodził za nim swoim wzrokiem, i sam tylko Bóg wie, co jeszcze było połączone i wplecione w sieć, która nie miała ani początku, ani końca.

– Wiem, widzę. To są dwa różne rodzaje wilgoci, niech się stopią ze sobą..

– A co dalej? – Chciałam dalej.

– Obwiedź tak palcem kilka razy, a ja tylko trochę nacisnę z wierzchu, przyduszając...

– Nie chcę tylko trochę, przyciśnij mocniej, mocniej, tak jakbym to ja, naciśnij, tak jak ja sama.

Rzeczywiście nie żałowałam siebie, moje palce próbowały rozerwać nie poddające się ciało, bolało mnie, ale co tam ból!

– Nie. Ja, odwrotnie, będę miękko, posuwicie, tak żebyś mnie pragnęła. A później...

– Co później?

– A później zatopię go całego, do końca w tobie i będę patrzył jak on zagłębia się w ciało. Wszystko wewnątrz będzie pieścić i błagać o pieszczotę i ścisnąć do samej nasady. Będziesz chciała pochłonać go całego i rozpuścić, ale on będzie dotykać najdalszych zakamarków, dźgać nieoczekiwanie i z całych sił, podczas kiedy ty pchniesz do przodu biodrami i będziesz próbowała zrobić tak, żeby był większy, ale on większy nie będzie, cofniesz się, a potem spróbujesz jeszcze i znów pchniesz biodrami do przodu.

– Chcę dwa razy – znów prosiłam go o zwykłą rzecz, bardzo zwykłą.

– Poprosz. – Znów ten sam ostry zimny głos, zupełnie obcy, głos z nutą chrypki.

– Jak? Jak mam prosić?

– No, proszę, proszę cię, jeszcze raz, no, proszę, niech będą dwa, tylko dwa. Przecież to tak niewiele...

Coś tam bałam, och, jak mnie doprowadzało do obłędu jego spojrzenie. Coraz bardziej i bardziej wyprowadzało mnie z równowagi.

– A potem – zgodził się w końcu – dodam drugi palec, będziesz musiała go wpuścić, chociaż nie od razu...

– Zgodzę się... – byłam prawie niepoczytalna. Oczywiście, że będę tego chciała i zgodzę się. Jak mogę nie zechcieć? Przełamuję się i wpuszczam. Jestem cała jego, należą do niego bez reszty.

– Nie będziesz chciała – nie zwracał uwagi na moje słowa – ale ja cię zniewolę...

– Nie zniewolisz...

– Patrz na mnie! – Wzdrygnęłam się od jego krzyku, prawdopodobnie podświadomie zamknęłam oczy. – Będę próbował rozerwać i wyciągnąć na wierzch.

Znów patrzyłam na niego, próbując odczytać i zrozumieć jego nieodgadnione i niesamowite spojrzenie. Nie mogłam dłużej wytrzymać.

– Zdejmij wszystko z siebie... – już nie prosiłam, prośby były poza mną, – Chcę cię zobaczyć całego, tak samo, jak ty chcesz...

Steve postąpił nieco naprzód.

– Co?... – nie mogłam mówić, zachłystywałam się.

– Policzki rozpalone do czerwoności, oczy zamglone, wargi pogryzione, język miota się po zębach. Uwielbiam patrzeć na ciebie. Na twoje rozchylone uda, na twoje wysuwające się biodra, jesteś teraz taka piękna, kocham cię, kocham cię całą.

– Chodź tutaj, dłużej już nie wytrzymam. – Znów zaczęłam błagać. Gdyby trzeba było, czołgałabym się przed nim. – Zrób chociaż cokolwiek.

– Zaczekaj, pocierp trochę.

On sam wyglądał nie lepiej niż ja, widziałam jego twarz i ręce, i to, jak pośpiesznie odpinał guziki spodni. Nawet nie zdążył ich zdjąć, kiedy były już rozpięte, ściagnięte, zrolowane, nagle stamtąd wybuchło, wystrzeliło, tak jakby rozerwało gigantycznego ślimaka.

– Ach, jak ja ciebie pragnę! – Mój głos zachrypnął, nie słyszałam siebie, nie wiedziałam, co mówię. – Jak bardzo pragnę teraz wziąć go w dłoń i ocierać się o niego znów, od samego początku, policzkiem, twarzą.

Widziałam, jak jego dłoń zaczęła się przesuwać tam, gdzie powinna się znajdować moja dłoń.

– Jak ja chcę teraz wchłaniać jego wilgotność, jego siłę, mam straszną ochotę dotykać go w tej chwili wargami i całować, pochłaniać! – Wydawało mi się, że jęknął.

Brakowało mi słów, chciałam wielu różnych słów, ale nie mogłam ich sobie przypomnieć. Zauważyłam tylko, że jego ręka naprężyła się i próbowała się poruszyć.

– Przecież wiesz, jak ja potrafię, jak mogłabym... Czy chcesz, żebym go teraz wciągnęła w siebie? Pogładziłabym go całego, dłońmi, wargami. Byłabym twoim przydatkiem, jego przydatkiem i zostałabym z nim na zawsze...

Nie słyszałam już, co wypowiadają moje oszalałe wargi, nie wiedziałam, co tam, w dole, moje dłonie wyprawiają z moim ciałem, co rozdzierają i tłamszą. Całkowicie, wydawało się, straciłam ludzkie odczucia. Mógłby mnie teraz przypalać rozgrzanym do czerwoności żelazem, a ja niczego bym nie poczuła. Wiedziałam tylko, że niewiele mogą mi teraz pomóc moje słowa i moje dłonie, tak jak nie mogą mi pomóc moje ruchy. Teraz on był mi potrzebny, on mógł mnie zmienić i wyzwolić.

– Ściśnij na wierzchu – szeptał gdzieś zupełnie blisko, ale wierzchu już nie było. Moje piersi posłusznie spłaszczyły się w jego dłoniach.

– A spódniczka? – zdażyłam jeszcze przypomnieć.

– Niech ją diabli.

Głos nie należał do niego, był obcy, silny, zły. Natychmiast potem ujrzałam jego oczy, tuż nade mną, niepokojąco blisko. Zrobiło mi się straszno od ich rozlewającej się, bladej pustki, ale to trwało tylko mgnienie oka. Potem wpił się w moje usta, podnosząc wargi i kaszając je do bólu, a potem delikatnie dotykając. Chyba krzyknęłam, czując w wejściu gorący, piekący do żywego, realny dotyk. Wewnątrz mnie wszystko oniemiało albo w oczekiwaniu, albo ze zdziwienia, musiałam oswobodzić wargi, żeby powiedzieć coś ważnego:

– O ileż on jest lepszy niż palce!

– W czym lepszy?

– Nawet nie można porównywać! On jest taki – zamilkłam, zabrakło mi tchu – jest gorący i żywy, taki ogromny wewnątrz i taki... – Nie znalazłam już więcej słów i nie mogłam złapać oddechu.

Bezmyślnie, mechanicznie poruszał się we mnie, przesu-
wając się za każdym razem o milimetry, wtedy odpowia-
dałam, zamierałam w oczekiwaniu, pożądając, z wdzięcz-
nością wychodząc na spotkanie.

– Mów – wreszcie znowu mogłam coś powiedzieć.

– Co mam powiedzieć?

– Nie wiem. Co chcesz.

Jego dłoń ześlizgnęła się po mojej twarzy, a duży palec,
wolno przesuwając się po nierównościach policzków, brutal-
nie wsunął się w usta, przyciskając wargi. Poddały mu się
i uchyliły, ale natychmiast uwieżyły, oddzielając od świata.
Gdybym tylko mogła, jego całego wciągnęłabym w siebie,
schowałabym w sobie jego ciało, chciałabym, żeby mnie
rozcięto od szyi do podbrzusza i potem zaszyto, ale już
z nim w środku.

– Chcę cię zaszyć wewnątrz siebie. – Teraz znów mog-
łam już wszystko wypowiedzieć, a na końcu poprosiłam:
– Powiedz.

– Jesteś moją ukochaną. Uwielbiam kochać się z tobą!
Lubię wolno się w tobie poruszać. Spójrz tylko, posunę się
odrobinę w lewo – czekałam, a on mnie oszukał – a teraz
zwrot, teraz cofam się, a teraz... Ach, jak ty głośno jęczysz...
Och, właśnie tak – coś zrobił, ale ja nie mogłam się zupełnie
zorientować, co – teraz natrę na ciebie, wcisnę się, powoli,
ale mocno się wcisnę. – Jego ciało napreżyło się, pewnie
znów mocno jęknęłam.

– Powiedz coś jeszcze. Wydaje mi się, że sączy się ze
mnie jakaś ciecz, po prostu czuję dokładnie, jak po ścian-
kach ścieka sok.

– Wiem, żyję dzięki niemu, karmię się tym sokiem,
zlizuję go, nurzam się w nim, mażę nim swoje ciało, ja...

– Jeszcze, jeszcze...

Nagle wykonał jakiś ruch, gwałtowny, bolesny, przebija-
jący na wskroś, który odezwał się echem w moich trzewiach.

Zupełnie wyraźnie słyszałam, jak zawołał „tak”, moje ciało od razu zrobiło się mokre, ręce, piersi, szyja, ja cała oderwałam się od powierzchni fotela, ale tylko na мгnienie oka, bo po chwili opadłam, zwiotczała, zmiażdżona, nieżywa...

Minęło pięć minut, nie więcej. Podniosłam się, kręciło mi się jeszcze w głowie, nie musiałam się rozbierać, i tak jak stałam, spocona, roztrzęsiona, rozgrzana, podeszłam do burty i przełożywszy nogi przez niski reling, wskoczyłam do wody. Na początku przestraszyłam się, pomyślałam, że zaraz utonę, tak mało zostało we mnie sił, ale chłodząca świeżość wody tak mnie odrodziła, że siły natychmiast powróciły, biorąc się z jakiegoś nieznanego, niewyczerpanego źródła, były to jednak jakieś nadprzyrodzone siły. Odpląnęłam trochę dalej i położyłam się na plecach, jacht z opuszczonym żaglem przetoczył się razem ze mną, tak jakby też odpoczywał, rozkoszując się bezruchem. Potem zobaczyłam Steve'a, siedział na burcie, spuściwszy nogi w dół, miał wygląd bardzo zmęczonego, ale szczęśliwego.

– Majtku, szykuj obiad, twoja pasażerka zgłodniała – krzyknęłam z dołu w jego kierunku.

– Już nie jestem majtkiem, awansowano mnie, teraz jestem bosmanem – zawołał w odpowiedzi.

– Któż to cię awansował? – spytałam, śmiejąc się i wypływając wodę, którą się zachłysnęłam.

– Ty mnie awansowałaś. Czyż nie?

– Jeżeli chodzi o mnie, to zawsze byłeś kapitanem, a nawet admirałem. Admirale – powtórzyłam – proszę szykować obiad. – Odwróciłam się i popłynęłam, potrzebowałam ruchu.

Po obiedzie poczułam się trochę ocieężała, zawsze tak się ze mną dzieje, jeżeli przebywam długo na słońcu i na powietrzu. Zeszłam do kajuty, włączyłam radio i położyłam

się na koi. Nadawali muzykę klasyczną, jakiś koncert fortepianowy. Muzyka razem z delikatnym, rytmicznym kołysaniem uspiły mnie, zapadłam w lekki, spokojny sen, ale nie na długo, wkrótce potem przebudziłam się, usłyszałam nagle nieznanego, męski głos, nie rozumiałam, czyj to jest głos, ale zaraz domyśliłam się: skończył się koncert i czytali wiadomości.

– Steve! – zawołałam – Steve! – Zaskrzypiały drzwi kajuty i zobaczyłam jego twarz. – Steve, psuje się pogoda, przed chwilą nadawali prognozę.

– Nic takiego – odpowiedział – to głupstwo.

– Może popłyniemy do domu, powiedzieli, że nadchodzi burza. Będzie niedobrze, jeżeli burza złapie nas na oceanie.

– Ależ to nic takiego, mówię ci, że to głupstwo, pokapie trochę i przestanie. Śpij, tak słodko śpisz, że aż miło patrzeć.

– Dobrze – powiedziałam, zawsze mu wierzyłam, a poza tym chciało mi się jeszcze spać. Wyciągnęłam rękę, wyłączyłam radio i znów zamknęłam oczy.

Obudziło mnie głośnie trzeszczenie, zupełnie tak, jakby wszystko łamało się, ale bardzo powoli, część już była połamana, a część miała się złamać dopiero za chwilę. Było bardzo ciemno, nie mogłam niczego rozróżnić i gdy tylko przyszłam do siebie, domyśliłam się, że to już późna noc, a ja po prostu długo spałam. Dlaczego jednak w takim razie nie ma obok mnie Steve'a i skąd ten trzask dokoła, dlaczego wszystko wokół mnie przesuwa się i pobrzękuje? Próbowałam wstać, ale to okazało się wcale niełatwe, podłoga usuwała mi się spod nóg i nagle wszystko zrozumiałam.

Zrozumiałam, że toniemy. Nagle poczułam, że między mną a złowieszczą tonią oceanu nie ma nic, tylko cienka, drewniana przegródka, która napręża się trzeszcząc, ale mimo wszystko za chwilę nie wytrzyma i rozsypie się. Ogarnął mnie strach, nie, nie strach, zgroza. Ten sam ocean, przed chwilą jeszcze tak przyjazny, teraz okazał się

przerażająco zimny i drapieżny, a co więcej, bezlitosny w swojej wściekłości. Przytrzymałam się koi, ona jedna nie przesunęła się, widocznie była mocno przytwierdzona do podłogi, jakoś udało mi się podnieść na nogi, a potem, krok za krokiem, czepiając się ścian, dotarłam do zejściówki.

Nie od razu zrozumiałam, co się dzieje na pokładzie. Najpierw z panujących dookoła ciemności wyłonił się kiwający się na wszystkie strony maszt, miotany uderzeniami wiatru, goły, jak wahadło tnąc huczące powietrze na kawałki, a potem nagle zawisło nad nim coś białego, jakby żywego, aż się skurczyłam ze strachu. Uszy ogłuszył prawdziwy ryk morza, ogromny nawis rozerwała lśniąca, biała grzywa zapalająca niebo, pozostawiając nas, bezbronnych, daleko w dole, a potem, posepnie jęcząc, runęła, zwalając się w dół całym ciężarem.

Spodziewałam się śmierci, zdażyłam tylko pomyśleć, że to wszystko tak po prostu głupio się kończy, niesprawiedliwie głupio, ale w tej samej chwili łódź sama, jak ratujące życie zwierzę, odskoczyła w bok; rzuciło mnie do tyłu i o mało co nie zwałam się w dół, do kajuty, ale w ostatniej chwili zdażyłam chwycić szczeble drabinki i utrzymałam się na nogach. Fala rozmyła się w ciemnościach, prawdopodobnie przyduszając pozostałe, mniejsze fale, zrobiło się nieco spokojniej, pokład jeszcze się kołysał, ale ja, ciągle potykając się i przykucając na ugiętych nogach, mogłam ruszyć do przodu. Z góry spływały potoki deszczu, a wszystko dokoła było zalane pianą. Brnęłam prawie po omacku, próbując znaleźć Steve'a, wyobrażałam sobie, że go już nie ma, że zmyło go z pokładu, kiedy spałam, i pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, było: „Jak ja dopłynę sama do brzegu?”. Odegnałam jednak tę myśl od siebie i zawołałam: – Steve! Steve! – tak jakby mój głos można było usłyszeć w tej ogłuszającej kakofonii burzy.

Zdołałam zrobić jeszcze kilka kroków, ale niczego więcej już nie udało mi się dokonać, przede mną dziób łódki uniósł się do góry, nagle wyłaniając się z ciemności; w tym momencie moje nogi straciły oparcie, a ja gruchnęłam na pokład jak długa i potoczyłam się, próbując po drodze czegokolwiek się przytrzymać. Moje ciało uderzało o jakieś przedmioty, które zagradzały mi drogę i silnie wbijały się w ciało, kołysanie ustało, leżałam na brzuchu, próbując przyjść do siebie. Nie mogłam długo odpoczywać, musiałam odnaleźć Steve'a, przecież mógł być ranny i potrzebować mojej pomocy. Nie chciałam ryzykować wstania, nie dowierzałam już ani pokładowi, ani własnym nogom, więc oparłam się na kolanach i teraz, jak zwierzę, na czworakach, pełzłam jak mogłam najdalej naprzód.

W pewnym momencie łódź wzięła przechył na bok, ale byłam na to przygotowana: w tym samym momencie padłam, rozplaszczając ciało i przywierając nim do desek pokładu, znów zaczęłam pełzać, ale tym razem już powoli. Podniosłam wzrok i zauważyłam jak ogromny, czarny przedmiot, będący tuż-tuż, zaraz najedzie na mnie i rozwali, odczołgałam się w bok, próbowałam to zrobić jak najszybciej, ale szybciej nie mogłam, ześlizgnął się więc w moją stronę, zaczepiając bokiem o moją nogę. Potem wszystko znów się uspokoiło i poznałam fotel, ten sam ciężki fotel, na którym siedziałam w dzień, nagle coś zasyczało w powietrzu, coś jakby syk rakiety sygnalizacyjnej, zrobiło się jasno i zobaczyłam Steve'a. Siedział w fotelu, lekko pochylony do przodu. Nie mogłam się zupełnie dźwignąć, żeby stanąć na nogach, tylko uniosłam się na kolanach i tak, boleśnie uderzając o deski, przebrnęłam tych kilka kroków, które nas rozdzielały. Potem chwyciłam go rękoma za nogi, przyciągnęłam je i przytuliłam się, szukając obrony.

– Steve, Steve – szeptałam – ty żyjesz, mój kochany, ja też jestem żywa. Tylko bardzo się boję. – Podniosłam

wzrok, wydawało się, że pochylił się w moją stronę, tak blisko znajdowała się jego twarz. Przyjrzałam się: była nieruchoma. Zastygła, nieruchoma twarz.

– Steve – potrząsnęłam nim – żyjesz? co z tobą? Milczał i zrobiło mi się straszno. Uniosłam się ku niemu, do góry, czepiając się jego ciała i podciągając na rękach. Teraz nasze oczy dzieliły zaledwie centymetry.

– Steve – potrząsnęłam nim z całych sił. – Steve, odpowiadaj! – Byłam w szoku i nie panowałam nad sobą,

– A – powiedział, jakby nagle ożył. – Co?

– Steve – objęłam go za szyję. Z góry waliły się na nas potoki wody, zlizywałam je z twarzy, woda była słodka, to znaczyło, że to był deszcz. – Steve, żyjesz, wszystko w porządku, najważniejsze, że żyjemy.

– Tak – powiedział – żyjemy, straszne, co? – Jego głos był pusty i beznamiętny, odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy; znajdowały się bardzo blisko, ale nie patrzyły na mnie. Nagle zrozumiałam, że on w ogóle nigdzie nie patrzy, tylko w jakiś jeden punkt prosto przed sobą, tak jakby coś tam widział, czego ja nie potrafię zobaczyć.

– Steve! – krzyknęłam, razem z krzykiem w jego stronę poleciały bryzgi wody z moich włosów i ust. – Co z tobą? – potrząsnęłam go za ramię. – Jesteś w szoku?

– Nie – odpowiedział, kierując spojrzenie na mnie.

– Wszystko w normie. – Jego głos dźwięczał spokojnie i obojętnie.

– To sztorm, prawda, Steve? To sztorm? – krzyczałam, było dla mnie teraz ważne, żeby rozmawiał ze mną,

– Tak, to sztorm – zgodził się bez emocji.

– Ale przeżyjemy, nie utoniemy?

– Nie wiem – odpowiedział, patrząc na mnie z takim zdziwieniem, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy. Podniósł rękę i pomacał moją twarz, tak jakby próbował ją uszczypnąć; jego ręka była mokra i bardzo zimna.

– Możemy utonać. Na pewno utoniemy. – Głos Steve'a brzmiał tak, jakby mówił o czymś zupełnie naturalnym.

– To rób coś – podniecałam się – rób cokolwiek!

– Po co? – Podniósł brwi ze zdziwienia.

– Jak to, po co? Żeby przeżyć!

– A po co przeżyć? – spytał, jeszcze bardziej zdziwiony.

W tej chwili nagle zrozumiałam: on znów bawi się ze mną jak kot z myszą, to następna, idiotyczna zabawa. Tylko że teraz wcale nie była śmieszna.

– Idiota! – krzyknęłam i zupełnie nad sobą, nie panując z rozmachem wymierzyłam Steve'owi siarczysty policzek, tak silnie, jak tylko potrafiłam. – Zostaw tę idiotyczną pozę i dojdź wreszcie do siebie! To nie jest gra, ja nie gram!

Widocznie uderzyłam go naprawdę mocno, cały aż się wzdrygnął, schwycił mnie za głowę obiema rękami, tak że nie mogłam się nawet ruszyć.

– Po co przeżyć? Czy naprawdę nie rozumiesz, że tak jest najlepiej? Dla ciebie, dla mnie! Czy ty tego nie rozumiesz?!

Patrzyłam na niego przerażona, zmiana była oszałamiająca, oczy mu świeciły, głos miał rozwścieczony, aż przerażający:

– A po co właściwie masz żyć? Dalej będzie gorzej, czy ty tego nie rozumiesz?! Już nigdy nie będzie ci tak dobrze i już nigdy nie będziesz taka szczęśliwa! I ja też! Oboje jesteśmy teraz na szczycie, rozumiesz, na samym szczycie, już wyżej się nie wdrapiemy, wyżej niczego już nie ma! Możemy tylko staczać się w dół!

Woda bryzgała na wszystkie strony. Wydawało mi się, że pokład znów się zakotłosał, czułam, jak mnie pieką obtarte kolana, ale było mi wszystko jedno, już nie bałam się sztormu. Bałam się jego.

– Czy chcesz dożyć tego momentu, kiedy przestanę cię kochać, kiedy ty przestaniesz mnie kochać, kiedy staniemy

się sobie obojętni? Chcesz spotykać się ze mną i nie czuć niczego, tylko żałosne zobojętnienie? Czy to nie będzie dla nas jak śmierć? Czy chcesz takiej lichej, upokarzającej śmierci? Za rok, dwa zaczniesz mnie zmieniać albo ja zacznę zmieniać ciebie i pomyśl tylko, jakie to będzie bolesne doświadczenie. Czy chcesz doświadczyć tego bólu? Po co?

W tym momencie był przerażający, oszalały, oczy świeciły mu szaleństwem nawet w ciemnościach, dusił się – albo woda go zalewała albo nie nadażał jej przełykać i dławił się słowami, a może nie starczało mu oddechu. Twarz miał napuchniętą i zaczerwienioną, to było szczególnie przerażające – czerwona, obrzękła twarz, mokra od deszczu, ze zmierzwionymi, pozlepianymi włosami. Na pewno ja sama nie wyglądałam lepiej, ale przynajmniej byłam normalna.

– Po co nam to wszystko? – Steve, tak jak przedtem, ścisnął mi głowę, przyciągając moją twarz do swojej, jego głos przechodził w szept, ale mimo wszystko był to szept-krzyk: – Po co wyrzekać się czegoś, co jest lepsze? W swoim życiu nie przeżyjesz już nic lepszego, niż miłość do mnie, przecież wiesz o tym! Wiesz? – Milczałam. – I w moim także. Zrozum to, przed nami tylko ból, wciąż większy i większy ból, tylko rozczarowania, tylko straty. Po co to? Czy nie lepiej zatrzymać się teraz, w najszcześniejszym momencie... zatrzymać się na zawsze? I zostać w nim... zrozum, zostaniemy w nim na zawsze!

Nie wytrzymałam.

– Idiota! – krzyknęłam, przerywając jego rozgorączkowane bredzenie. – Skończ z tym, ja w każdym razie nie zamierzam ciebie zmieniać. Kocham cię, głupku, i będę cię kochać. Dlaczego ma być gorzej, będzie tylko lepiej, słyszysz! Weź się w garść! Chcę żyć, chcę też żebyś i ty żył, będziemy szczęśliwi, razem. We dwoje. – Teraz starałam się mówić wolno, tak jak mówi się do dziecka, żeby je

uspokoić. – Będziemy się kochać przez całe życie i może nie będzie nam lepiej, ale nie może nam też być gorzej. Zrozumiałeś?! – Zrobiłam pauzę, słuchał mnie, to już było dobrze. – A teraz uspokój się i zacznijmy cokolwiek robić. Przeżyjemy, przecież ty wszystko potrafisz, a ja będę ci pomagać.

– Jestem spokojny – przerwał mi, zastygłam ze zdumienia: głos miał rzeczywiście spokojny, jakby nie było tego całego strachu i szaleństwa.

– Jestem absolutnie spokojny – powtórzył, zerwał się i biorąc mnie w żelazny uścisk zaczął gdzieś wlec. Początkowo nie rozumiałam dokąd, ale kiedy się domyśliłam, zaczęłam odpychać się rękami i nogami, nie sięgałam nimi do pokładu, byłam przekonana, że postanowił rzucić się razem ze mną do wody. Miotano nami na wszystkie strony, nic nie widziałam, woda zalewała twarz, obok znalazł się maszt, odepchnęłam Steve'a i zdołałam chwycić się go rękami. W tym momencie jednak coś złapało mnie, ścisnęło za przeguby rąk tak silnie, że nie mogłam nimi poruszyć. Wszystko stało się tak nagle, że nie zdołałam zareagować, zdziwiłam się tylko, skąd w jego rękach sznur? Steve spojrział na mnie beznamietnie, jakby sprawdzał efekty swych poczynań. Milczał, a ja czułam się zupełnie bezradna, przesywał mnie lodowaty chłód połączony z przerażeniem.

– Co ty wyprawiasz? – prawie błagałam. – Dlaczego mnie przywiązałeś, dlaczego?! – Ze strachu i bezsilności opanowała mnie histeria.

– To znaczy, że niczego nie rozumiałaś – odpowiedział pogodnie. – Sama tego chciałaś.

– Nie, Steve, nie, ja tak nie chciałam! – krzyczałam. – Chcę być z tobą, daj spokój, rozwiąż mi ręce. – Ale jego już nie było, rozplynął się w ciemnościach.

Rzucałam się, próbując wyswobodzić się z więzów, szarpałam, obracałam zdrewniałymi nadgarstkami, starając się

wyślizgnąć, sznur trzymał mnie, chciałam dosięgnąć węzła zębami, żeby go rozwiązać, ale nie udało mi się. Mogłam jedynie kręcić się wokół masztu, nic więcej. Później zrobiło mi się zimno i zaczęło mna rzucać jak w ataku epilepsji, sił mi już nie starczało, nawet nogi odmówiły mi posłuszeństwa, osunęłam się na pokład, tylko ręce z całych sił obejmowały maszt. Musiałam stracić przytomność, chłód i woda pograżyły mnie w śpiączce, czułam tylko drzenie swojego bezsilnego ciała.

Potem coś trzasnęło i poleciałam prosto w ocean. Pastwił się nade mna, wciągał mnie, czułam już prawie jak zamyka się nad moją głową i myślałam, jakie to będzie straszne, ten chłód głębiny, gdy nagle coś mnie zdławiło, ścisnęło moje ręce i poczułam straszny, przeszywający je ból. Spojrzałam w górę: maszt niemal leżał poziomo nad powierzchnią oceanu, a ja wisiałam, przywiązana do niego za ręce, moje nogi majtały się nad wodą, niespełna dwa metry od powierzchni, od czasu do czasu pojawiały się fale, próbując je pochwycić i wciągnąć w głębiny. Tak trwało kilkanaście sekund, potem maszt zaczął się powoli podnosić, a powierzchnia wody zaczęła się oddalać od moich nóg, jeszcze jedna fala próbowała polizać moje stopy, ale za późno. Znow znalazłam się na pokładzie, ale dopiero w tej chwili zobaczyłam to, czego nie zauważyłam wcześniej: na maszcie trzepotał zmaltretowany żagiel. Szarpany porywami, wyglądał mizernie, starając się nabrać wiatru, ale był. Później zrozumiałam, że łódź płynie. Kiwała się na falach, tak jak przedtem, bezwolnie, ale płynęła szybko i pewnie, rzucało nią, ale przebijała się przez kolejne wały fal.

Zaczełam się rozglądać. Było nadal ciemno, próbowałam ramieniem przetrzeć oczy, zdawało mi się, że w ciemnościach dostrzegłam jakiś ruch na rufie, potem rozróżniłam sylwetkę, najpierw tylko zarysy, a potem ciemność uwolniła ją zupełnie. To był Steve, bez wątplenia on, któż inny

mógłby to być? Widziałam, jak zwinnie się porusza, czasem zapierał się o burtę nogami i zwisał z niej, prawie kładąc się na wodę, ciągnął za coś, nie widziałam liny, ale widziałam, jak napręża się jego ciało. Kilka razy ukryła go fala i krzyknęłam, ale fala odpłynęła, łódź unosiła się na oceanie, sylwetka Steve'a znów widniała nad powierzchnią wody, zeskakiwał w dół, w ciemność, na pokład, na sekundę traciłam go z oczu, żeby potem ujrzyć go ponownie. Patrzyłam, nie odrywając od niego wzroku, nawet nie dlatego, że od niego zależało moje życie, ale zachwycała mnie jego ryzykowna gra, którą podjął teraz z oceanem. „Pewnie wszystkiego nie zrozumiałam – pomyślałam. – Na pewno nie chciał, żebyśmy zginęli, pewnie po prostu żartował”.

To trwało bardzo długo, nie wiedziałam jak długo, ale potem coś się zmieniło, łodzią wprawdzie jeszcze kołysało, ale już nie wznosiła się tak wysoko i nie spadała tak gwałtownie w dół. Przestało mna rzucać na wszystkie strony wokół masztu i moje poobcierane ręce nie były już tak mocno naprężone. Ból przeszywał mnie na wskroś, ale cierpliwie to znosiłam, rozumiejąc, że sztorm, wprawdzie powoli, lecz zamiera.

Potem Steve podszedł do mnie. Z jego ubrania, twarzy, z jego rąk ściekała woda i z całą pewnością była zmieszana z potem. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale uśmiechał się. Ciagle ten sam uśmiech – pomyślałam – taki jak wcześniej tej straszliwej nocy, trochę łobuzerski, niepokojący, żartobliwy.

– Zmęczyłaś się, zmarzłaś? – zapytał współczująco, a w jego głosie słychać było troskę. – To nic, niedługo będziemy w domu. – Wyjął z kieszeni nóż i przeciął krępujący moje ręce sznur. Upadłam prosto na niego.

– Już dobrze – powiedział – wszystko za nami, najważniejsze, że wszystko szczęśliwie się skończyło. – Spojrzał

mi prosto w oczy i dodał, uśmiechając się: – Było wspaniale. Coś takiego nieczęsto się zdarza. Takie przeżycie pamięta się do końca życia.

Spoglądałam na niego – obcego, nieznanego.

– Żartowałeś w nocy? Przecież wiedziałeś, że nie utoniemy, więc żartowałeś?

Uśmiechnął mi się prosto w twarz, a potem przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Przykro tylko – powiedział, odrywając się od moich warg – że nie kochaliśmy się, nie starczyło czasu. Szkoda, byłoby to z całą pewnością niezapomniane przeżycie.

„To w pewnym sensie odpowiedź na moje pytanie” – pomyślałam.

– Mimo wszystko jesteś zwariowany – powiedziałam, krzywiąc się z bólu, który pulsował i falami oblewał moje ciało.

– Chcesz teraz? – zapytał, a ja znów nie zrozumiałam – żartuje czy nie. Przeczając pokręciłam głową, – Rozumiem, jesteś zmęczona. Ja też się zmęczyłem, ale niedługo będziemy już w domu.

Tak staliśmy. Steve przytrzymał mnie, nie pozwalając mi się oderwać.

Nigdy nie dowiedziałam się, czy Steve rzeczywiście chciał, żebyśmy zginęli tej nocy, czy specjalnie urządził wszystko tak, żebyśmy wpadli w burzę, czy to była kolejna próba oczywistej gry, gry na moich uczuciach, gry z życiem. Nigdy więcej go o to nie pytałam. Mimo wszystko byłam mu wdzięczna – gdyby nie jego umiejętności i sprawność, zostalibyśmy na zawsze w głębinach oceanu. Jednak coś tam się we mnie zmieniło, mimo najszczerzych chęci nigdy już nie weszłam na pokład jachtu.

Steve nawet mnie na to nie namawiał, rozumiał mnie, tak więc w ciągu kilku tam następnych miesięcy pozostało

mi wyczekiwanie na niego, kiedy wy pływał jachtem na ocean. Nocny sztorm stał się dla niego prawdziwym wyzwaniem, jeszcze bardziej polubił żywioły, ich siłę i niebezpieczeństwo, próbowałam go powstrzymywać, ale to mi się nie udawało. Po pewnym czasie znudziło mi się jednak to wieczne czekanie, samej, w pustym domu, beznadziejne, nerwowe czekanie. Pewnego razu zostałam więc w mieście, przygotowując się do egzaminów, a Steve pojechał sam, potem, po dwóch tygodniach, znów wyjechał sam. Wkrótce stało się to normą.

Znudziła mnie wanna, leżę w niej już zbyt długo, ciało namiękło i nie może wchłonać już więcej ani ciepła, ani wilgoci, a zużyta, zmęczona woda, wydaje się teraz neutralna i niepotrzebna. Wstaję, wycieram ciało, jakbym to robiła po raz pierwszy, ścierając z niego krople wody, pozostawiając tylko niewidzialne cząsteczki.

Miękki ręcznik przypomina, że nie wszystko składa się z wody, nawet samo powietrze nie jest już bezkształtne, jest w nim podniecająca, radosna świeżość. Pora na mój spacer, słyszę, jak stęskniony las mnie wzywa, potrzebuję jeszcze tylko dwudziestu minut, żeby ostudzić swoje rozgrzane ciało, wystawić je na działanie powietrza i zahartować. Ubieram się i zabrawszy ze sobą książkę wychodzę na zewnątrz.

Las rzeczywiście wydaje się oczekiwać na mnie, jestem już mocno spóźniona na to spotkanie, denerwuje się i wymachuje wzburzony gałęziami, jakby chciał powiedzieć, że czekałby jeszcze tylko pół godziny, a potem poszedłby sobie. Śmieję się, wyobrażając, jak zaczyna ciężko stapać na swoich słoniowatych nogach, wlokąc ze sobą szamoczące się w dole krzewy, korzenie i trawę.

– Nigdzie byś nie poszedł – mówię mu głośno – czekałbyś na mnie, tak jak mój ukochany.

Natrafiam na powaloną brzozę, ugina się sprężyste, siadam na niej i odpychając się od ziemi nogami zaczynam się bujać. Książka leży na moich kolanach, ale nie śpieszę się z jej otwarciem, mam ochotę jeszcze trochę posłuchać lasu, nacieszyć się nim. Nie wytrzymuję jednak i otwieram ją:

311

„Swego czasu zastanawiałem się nad uleganiem pokusom. Ciekawiło mnie, na czym polega szczególnie sekret powodzenia, zdolności olśniewania, jakie cechy czynią uwodziciela zniewalającym? Czym on zdobywa: powierzchownością, manierami, umiejętnością konwersacji czy robienia czegoś nadzwyczajnego? Pragnąłem zrozumieć istotę samego procesu. Oczywiście, wiedziałem, że w prawdziwym życiu nie ma uwodzicieli, którzy cieszą się absolutnym powodzeniem, żaden człowiek nie może podobać się wszystkim – tylko niektórym. Nie interesowała mnie jednak rzeczywistość, więc ta kwestia była raczej akademicka.

Przypominałem sobie imiona wszystkich najbardziej znanych w historii uwodzicieli, oczywiście pierwszeństwo przyznałem Don Juanowi, bez wątpienia najbardziej znanemu i najdoskonalszemu z nich wszystkich. Zainteresowała mnie jednak nie jego historyczna postać, ale legendarny, literacki obraz. To właśnie on, pomyślałem, stał się symbolem idealnego uwodziciela. W różnych okresach, na przestrzeni stuleci, któż o nim nie pisał: i sami Hiszpanie, i Francuzi, Rosjanie, Anglicy i wielu, wielu innych. Jego postać została więc przeanalizowana z różnych punktów widzenia, na różnych płaszczyznach i w różnych okresach, co gwarantuje obiektywizm.

Postawiłem sobie zadanie, poszedłem do biblioteki, znalazłem ze dwadzieścia książek o Don Juanie i w ciągu

kilku miesięcy dokładnie je przestudiowałem. Niezwykle mnie to zafrapowało. To był rzadki przypadek, kiedy jeden i ten sam bohater zainspirował wielu zupełnie różnych utalentowanych autorów, tak że zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru różnił się całkowicie, zależnie od publikacji. Podejrzewano go często o impotencję – istnieje nawet specjalny termin: „syndrom Don Juana”. Istota rzeczy polega na tym, że, jak ja to rozumiem, Don Juan, będąc w stanie rozkochać w sobie niemal każdą kobietę, doprowadzał ją do miłostki, po czym, bojąc się niepowodzenia, zniknął, wymawiając się obawą przed zazdrosnym mężem, groźnym ojcem lub pod jakimkolwiek innym pretekstem grożącego niebezpieczeństwem. W rezultacie jego zdobycz zostawała niezaspokojona, lecz w jej pojęciu z powodu zbiegu okoliczności, a nie przez Don Juana. Jak można zauważyć, to jeszcze bardziej pociąga kobietę ku mężczyźnie, gdyż pozostawia ją w poczuciu niespełnienia nie tylko fizycznego, ale również psychicznego. Niespełnienie wywołuje w kobiecie poczucie winy, winy wobec ukochanego, który nie mógł się nią rozkoszować, nie doświadczył jej uczuć, jej porywów. Dlatego, nie umiejąc rozpoznać bezsilności Don Juana, rozkochane w nim pożądały i błagały o spotkanie, marząc o nim i przeżywając fantazje z jego udziałem. On jednak nie dawał im drugiej szansy – by nie oskarżono go o naumyślne łamanie prawa kierował się od razu w stronę następnej ofiary. I wszystko się powtarzało.

Nie interesował mnie jednak seksualny potencjał Don Juana ani wyniki jego przygód, ani nawet jego psychika. Nie wiadomo dlaczego, kobiety nie były w stanie oprzeć się jego zabiegom. To znaczy, że w jakiś sposób udawało mu się je zdobywać i namawiać. Jak? – to właśnie było dla mnie niezwykle ważne.

Istnieje jeszcze jedno rozpowszechnione przypuszczenie, że rozgłos i status „gwiazdy” Don Juana załatwiały sprawę.

Kiedy nowa ukochana dowiadywała się, że jej kawaler to ten sławny Don Juan, czyż potrafiła zrezygnować z tego, co zgodnie z przekonaniem ogółu, zapowiadało z niczym nieporównywalne rozkosze? Jednak i ten argument wydawał mi się niewystarczający. Przecież Don Juan powinien stać się od razu sławny. Już na samym początku trzeba było stworzyć famę. On sam mógł to zrobić tylko w jeden jedyny sposób: jednak wszystkie jego sercowe podboje, kiedy nie było jeszcze telewizji i prasy, pozostawały nieznane. Każde osiągnięcie musiało być poparte czynami.

Tak więc musiał umieć ulegać pokusom, a ja, czytając, dowiadywałem się, jak to robił, czy raczej, jak to przedstawiały dwie dziesiątki nieprzypadkowych pisarzy. Przypadkowy człowiek nie zajmie się tematem Don Juana, co oznacza, że problemem zajmują się pisarze, którzy sami już cokolwiek wiedzieli.

Czytałem ze dwa miesiące, zebrano się sporo książek, tezy były rozmaite, formy literackie też bardzo się różniły – od farsy do tragedii, a punkt widzenia też nie był jednoznaczny. Wyzaczyłem sobie jednak pewien cel i przeczytałem wszystko, co udało mi się zdobyć. Rozpracowałem istotę pokusy.

On kochał wszystkie swoje kobiety, mój Don Juan o wielu twarzach, nie było ani trochę jego celem kuszenie ich na zimno i z premedytacją. Kochał każdą z nich, nawet jeżeli krótko, to zawsze gorąco i głęboko. Nie istniały dla niego dawne doświadczenia, dawne sukcesy, tylko ta chwila, bez pamięci, bez rozumu, gorąca i mocna. Właśnie dlatego, kiedy przysięgał, zapewniając i obiecując, nie oszukiwał ich, przecież mówił najszczerzą prawdę, z samej głębi swojej duszy, z całego serca. Za każdym razem robił to bezbłędnie, właśnie dlatego, że nie był wyrachowany i przebiegły, ale posiadał artystyczną duszę i nieodparty urok. Don Juan był nadzwyczaj utalentowany, obdarzony uczu-

ciowością, szczerością i otwartością, oraz naturalną żarliwością, na którą nie można było nie zareagować. Kobiety odpowiadały na te właśnie uczucia, szczególnie wtedy, gdy była to miłość do nich.

Tak więc zrozumiałem, że sposobem na zaspokojenie kobiety jest szczerą, żarliwą miłość. Sam byłem zdziwiony tym swoim odkryciem”.

„Tak – mówię głośno sama do siebie – Don Juan symbolem prawdziwej miłości? – to nieoczekiwane odkrycie. Ten, kto to napisał, najprawdopodobniej był idealistą. Nieraz spotykałam w życiu Don Juanów, przerabiałam to w praktyce, nie muszę więc studiować książek na ten temat”.

Znów uśmiechnęłam się, wspominając, jak pewnego razu w sobotę musiałam pilnie coś kupić w sklepie, chyba kawałek kartonu do rysowania, chociaż nie, nie karton, specjalne, twarde ołówki. Wyskoczyłam w pośpiechu na ulicę i w tym momencie wpadłam na Boba. Od tego wieczoru, kiedy namawiał mnie, żebym porzuciła malarstwo, minęły już chyba ze dwa lata i przez ten czas bardzo się zmienił. Trochę przytył i wydawał się jeszcze poważniejszy. Nawet bym go nie poznała, tym bardziej że bardzo się śpieszyłam, ale on sam zawołał do mnie:

– Jacqueline, to pani?! Czy pani tutaj mieszka? – rozmawiał ze mną, jak ze starą przyjaciółką, a zmarszczka nad jego nosem ułożyła się w śmieszna, fałdkę.

– Robert! – uśmiechnęłam się. – Co za spotkanie, tak na ulicy, nieoczekiwanie, nie poznałam pana.

Starłam się mówić serdecznie, ale zdawkowo, no i oczywiście nie miałam zamiaru odpowiadać na jego następne pytanie – co go to obchodzi, gdzie mieszkam?

– To rzeczywiście nieoczekiwane spotkanie. Dlatego jeszcze przyjemniejsze – powtórzył za mną, ale w odróżnieniu od mojego, jego głos był miękki i śliski, jakby

próbował się wcisnąć do mojego wnętrza. Jego preten-
sjonalny wygląd zdawał się być uzewnętrznieniem jego
głosu.

– Tak, to prawda, przyjemne – powiedziałam, bo nic
innego nie przyszło mi do głowy.

– Co u pani słyhać? – zadał następne pytanie, usiłując
wciągnąć mnie w rozmowę.

– Dziękuję, wszystko w porządku. – Nie zamierzałam
się poddawać.

– A jak tam stu...

W tym momencie przerwałam mu.

– Przepraszam, Robercie – powiedziałam, starając się
być uprzejmą – ale bardzo się śpieszę. Muszę zdążyć do
sklepu. – Chciałam jeszcze dodać: „po ołówki”, ale w porę
rozmyśliłam się, to by głupio zabrzmiało.

– Ach tak – powiedział radośnie, i widocznie z zadowo-
lenia nad jego nosem pojawiła się następna fałdka, teraz
miał już dwie.

„Ależ on pomarszczony” – zauważyłam w duchu.

– Jest mi akurat po drodze, odprowadzę panią.

Wzruszyłam ramionami – wszystko jedno, jeżeli pan
chce, proszę bardzo.

Szliśmy cichą uliczką prowadzącą przez most, ludzie na
ulicy, głównie młodzi, w różnokolorowych T-shirtach wy-
rzuconych na wierzch, w szerokich szortach, sięgających
poniżej kolan, byli wyraźnie rozluźnieni nieśpiesznym tem-
pem wolnego od pracy dnia. Dzięki ogólnemu spokojowi
mój krok, początkowo nerwowy i pośpieszny, nagle zrobił
się spokojny i teraz już niemal sam nadawał mi tempo.

Przede wszystkim mówił on, a ja potakiwałam albo wtrą-
całam nic nie znaczące przerywniki, co go zupełnie nie
peszyło, jego głos wydawał się jeszcze bardziej miękki
i trącił nutką aksamitu, tak jakby w nim było zawarte jakieś
szczególne, nieco znudzone, zrozumienie. Mówił coś o so-

bie, ale jego słowa, sączące się, jakby oleiste, nie bardzo do mnie trafiały. Dopiero, kiedy padło słowo „samotność” uleciało moje roztargnienie, choć nie wiedziałam nawet, o czym on dotąd mówił.

– Widzi pani, Jacqueline – uniosłam głowę i spojrzałam na niego – zawsze bałam się trybu życia tradycyjnej rodziny. Każdy dzień taki sam: praca, kłopoty domowe, jeżeli jest trochę wolnego czasu, to telewizor albo wyjście do restauracji w wolne dni. Widzi pani, dla mnie to przerażający obrazek.

Wzruszyłam znów ramionami, tego tylko jeszcze brakowało, żebym omawiała z nim problemy życia rodzinnego.

– Czy pani wie, co zauważyłem? – zwolnił nawet krok. – Telewizor albo wzięte z wypożyczalni i oglądane wieczorami filmy są oznaką osamotnienia. Powiem więcej, Internet i surfowanie po nim, a nawet samochody – kiedy człowiek widzi innych ludzi tylko przez okno samochodu, także są oznaką osamotnienia.

– Nie wiem, ja prawie nie oglądałam telewizji – ciągle trzymałam dystans – mam zbyt dużo spraw.

– To bardzo dobrze. A ja właśnie ostatnio rozmyślałam, czym by się tu zająć. – Jego głos przycichł i posmutniał, uśmiechnęłam się nawet.

– Niech więc pan się ożeni, wychowuje dzieci i będzie pan miał zajęcie. – Lepszej rady nie potrafiłam udzielić mu w tym momencie.

– Byłem żonaty. Powiedziałem pani przecież, że zadreżcza mnie monotonia życia rodzinnego. Chociaż teraz pewnie podchodziłbym do tego wszystkiego w zupełnie inny sposób. Ożeniłem się, kiedy byłem jeszcze zupełnie młodym człowiekiem, a wraz z wiekiem zmienia się punkt widzenia. Wie pani, ostatnio znalazłem zupełnie proste, ale, jak sądzę, prawdziwe porównanie. Kiedyś traktowałem kobiety jak kino: ileż razy można zaliczyć film, nawet jeżeli jest dobry? Najwyżej dwa lub trzy.

Skrzywiłam się. Porównanie odnosiło się do pamięci, ale nawet jako przenośnia było ordynarne.

– To znaczy, że jest pan kobieciarzem, Robercie? – nie powstrzymałam się i nawet nie ukrywałam ironii.

– No, jeżeli nawet byłem kobieciarzem, to w przeszłości. Nawet nie to, żeby zaraz kobieciarz, chociaż – kokieteryjnie skrzywił się – podobałem się kobietom. A z wiekiem – kontynuował, nie zwracając uwagi na mój wyraz twarzy – mój stosunek do kobiet zmienił się. Stał się bardziej porównywalny ze stosunkiem do muzyki.

„O Boże – pomyślałam – to jeszcze gorzej niż porównanie z kinem”.

– Im częściej i dłużej słuchasz tej samej melodii, tym bardziej ci się podoba. Za każdym razem odkrywasz ją na nowo, za każdym razem odkrywasz nowe frazy, ukryte piękno, myśl.

Jego głos, stonowany, wyjaśniający, pełen uczucia, nagle mnie rozbawił. „Przecież od uczucia wszystko się zaczyna” – uśmiechnęłam się sama do siebie.

– No – kokieteryjnie spojrzałam z ukosa – a jaką melodią, ja dźwięczę?

Widocznie oczekiwał takiego pytania, ponieważ natychmiast się ożywił.

– Pani? Panią sklasyfikowałem od razu, wtedy, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Pani brzmi jak muzyka Griega.

Tego nie oczekiwałam. Byłam przygotowana na bardziej znane nazwisko: Mozart, Beethoven, ostatecznie Chopin. Ale Grieg?! Nie oczekiwałam od Boba takiego niestandardowego porównania, w ogóle niczego od niego nie oczekiwałam. A tymczasem zagadkowy Grieg.

– Tak? – zdziwiłam się, chwytając jego spojrzenie, łagodne, nieśmiałe, harmonizujące z głosem, z tą jego wypielegnowaną bródką, z podłużnymi, głębokimi, fałdkami

nad nosem. On jest nawet niczego sobie! Jest w nim coś kociego, może bardziej tygrysięgo, ta miękkość, to zrozumienie i uczuciowość, nawet smutek. On także dodaje mu uroku, powłóczystości, szczególnej wytworności.

– A co z Griega?

– Po trosze wszystko. – I nagle zaproponował: – Tuż obok jest sklep, gdzie przez słuchawki można posłuchać dowolnej muzyki. Może wejdziemy?

„Dobrze, że mnie jeszcze do domu nie zaprosił” – pomyślałam. Było oczywiste, że w jego zaproszeniu brzmiała dwuznaczność, ale tylko odnosząca się do chęci przedłużenia naszego spotkania, do niczego innego.

– Nie wiem, poza tym mam niewiele czasu.

„Chociaż z drugiej strony – pomyślałam sobie – posłuchać muzyki, tym bardziej tej, którą ja rozbrzmiewam...”

– No dobrze, ale nie na długo.

– Oczywiście – zgodził się skwapliwie.

Kiedy włożyłam ogromne słuchawki, najpierw zamarł wokół świat i ogarnęła mnie kosmiczna cisza, a potem nieoczekiwanie zabrzmiała muzyka, wtedy zrozumiałam, co chciał mi powiedzieć Bob. Coś silnego i pociągającego było w tych dźwiękach, zimnego, a zarazem gorącego, coś lirycznego i delikatnego, a jednocześnie władczygo i niedostępnego. Coś, czego nie można ani dotknąć, ani zrozumieć. Nagle z muzyki zaczął stopniowo wybijać się głos fletu, potem cały złożony chór orkiestry rozsypał się, przepuszczając flet, lecz tylko na mgnienie oka, bo zaraz potem rozsypane cząsteczki zaczęły się układać w jedną całość, znów powstała ściana dźwięków, nie dająca się zburzyć, dławiąca swoją obcością.

Rozejrzałam się. Wokół mnie znajdowało się ze trzydziestu melomanów, każdy zajęty swoją muzyką, u każdego z nich, tak jak pewnie i u mnie, na twarzy malowało się zupełne oderwanie od świata. Boba nie było w pobliżu,

dostrzegłam jego ogromną sylwetkę w głębi sklepu; zdejmował płyty z półek, długo oglądał, czytając tekst na okładkach. Był szablonowy, ale, być może, uczuciowy. Pewnie tak, skoro powiedział: „kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy”, to znaczy, że myślał o mnie cały czas. Ciekawe, czy zawsze jest w nim ta poza człowieka na wysokim poziomie, czy czasem ją zatracą?

Patrzyłam na Boba przez cały czas, kiedy władała mną, muzyka, jak chodzi od półki do półki, jak wyszukuje kolejne płyty i chwytą je długimi, szczupłymi palcami. Patrząc na niego pomyślałam sobie, że porusza się z ogromną gracją, i jest na swój sposób nawet przystojny. Czasami odwracał się w moim kierunku, tak jakby kontrolował mój niczym nie zakłócany spokój, ale jego spojrzenie nie było natrętne ani nie próbowało mnie rozproszyć. Widziałam tylko z daleka jego lekki uśmiech.

Muzyka już ucichła, a ja stałam jeszcze, oniemiała, ogłuszona ciszą, która zapadła, czując, jak zatrzymane dźwięki niechętnie opuszczają mnie, a potem zdjęłam słuchawki i wzdrygnęłam się, słysząc hałaśliwą kakofonię otaczającego mnie świata.

– No i jak? – głos Boba wybił się z ogólnego szumu, ale nie odpowiedziałam, tylko podniosłam wzrok. – To dla pani. – Podał mi niewielki pakiecik w firmowym opakowaniu. – To płyta z muzyką Griega.

– Nie mam przy sobie pieniędzy. – Nie zdołałam jeszcze dojść do siebie. – Tylko na ołówki. – Niech to diabli, powiedziałam mu o ołówkach.

– Jakie pieniądze? To prezent – znów wyciągnął w moją stronę paczuszkę.

Nie byłam do końca przekonana, czy przyjąć prezent, chociaż z drugiej strony drobnostka, głupstwo, rozumiesz, kilka dolarów, sama mogłam mu podarować z dziesięć takich płyt, a zresztą spierać się o takie głupstwo byłoby zwykłym mizdrzeniem się, więc przyjąłam bez słowa.

– No cóż – powiedział, kiedy wyszliśmy na ulicę – w wolnych chwilach będzie pani słuchała muzyki i przypominała sobie nasze spotkanie. – Znów się zmarszczył, jakby nie mógł uwierzyć, że to powiedział.

Zupełnie nie myślałam o Bobie, naprawdę nie myślałam, nawet ani razu nie słuchałam płyty Griega, którą mi podarował. Tak jednak bywa, że nie widzisz człowieka latami, a potem natykasz się na niego na każdym kroku. Tak więc natknęłam się na Boba na uniwersytecie, szedł w moim kierunku korytarzem i nawet gdybym chciała, nie mogłam się ukryć przed jego wilgotnym, ciepłym spojrzeniem. Zapytał, co robię po zajęciach, i zaprosił mnie na lunch, ale odmówiłam, nie miałam czasu, pracowałam właśnie nad nowym projektem.

– Cóż, trudno – powiedział. – A co to za projekt?

– Fasada domu mieszkalnego w stylu barokowym.

Bob chrząknął:

– To interesujące. Dawno już niczego takiego nie robiłem, chociaż wcześniej byłem w tym niezły – i widząc, że się uśmiechnęłam, słysząc jak się chwali, dodał: – To prawda.

– Wierzę, wierzę – zgodziłam się z nim i dalej się uśmiechałam.

– Mam propozycję, Jacqueline, będzie pani w kreślarni?

– Skinęłam głową, – Wpadnę tam koło czwartej i może postaram się pomóc.

Nie potrzebowałam niczyjej pomocy, ale zawsze przyjemnie jest z kimś gawędzić, kiedy rysujesz albo kreślisz.

– Proszę bardzo – odpowiedziałam bezbarwnie.

Kiedy Bob przyszedł, tak jak obiecał punktualnie o czwartej, ja już śleczyłam nad rysunkiem od godziny. Oczywiście, mogłam go już skończyć, ale nie wychodziło mi. Dokładniej mówiąc, wyglądał jak zwykle niezły, ale był zbyt

standardowy, tak jakbym skopiowała typowy paryski budynek. Usiłowałam odnaleźć własną formę, coś szczególnego i żywego, zrobiłam dziesiątki szkiców w ołówku. Teraz rozłożyłam je wszystkie przed sobą, próbując odnaleźć wzrokiem na każdym z nich najlepsze fragmenty, żeby potem złożyć je w jedną całość.

Bob podszedł i stanął pół metra ode mnie, dziwne, jak mało hałasu robił ten postawny człowiek. Oczy miał przy-mrużone, nie wiadomo dlaczego podpuchnięte, a w jego spojrzeniu była, nie wiadomo skąd, połyskliwa wilgoć.

– Wspaniałe – wyraźnie dobierał słowa, kiwając głową, jakby zgadzając się z kimś, powtórzył: – Naprawdę, wspaniałe.

– Nie – zaprotestowałam – wcale nie wspaniałe, zbyt standardowe. Nie ma w sobie oryginalności.

– Oryginalności? Jakiej oryginalności?

– To wszystko nie jest moje.

Odstąpiłam pół kroku do tyłu, zrównałam się z nim i z tej samej pozycji obrzuciłam spojrzeniem szkice.

– Nie, to nie moje. Już gdzieś to wszystko widziałam.

Fałdki nad jego nosem ściągnęły się jeszcze bardziej.

– Oczywiście. Oczywiście, wszystko to już kiedyś gdzieś było, i wymyślić coś zupełnie nowego, szczególnie jeżeli chodzi o barok, jest, śmiem twierdzić, niemożliwe.

Zrobiło mi się wstyd i ogarnął mnie smutek.

– Robi mi się przykro, gdy słyszę pana słowa – powiedziałam. – Uważam jednak, że niczego nigdy nie realizuje się całkowicie, zawsze pozostanie margines swobody. Wciąż należy podejmować próby.

Przeniósł spojrzenie ze szkiców na mnie, a w jego spojrzeniu, jak na komendę, pojawiła się wilgotność.

– Tak? Nie wiem. Możliwe. – Patrzył na mnie, nie odrywając wzroku. – Jacqueline, proszę mi pozwolić spróbować.

147

Poddałam się. Bob zdjął marynarkę i bez pośpiechu powiesił ją na oparciu krzesła. Spod marynarki wyjrzała krótka kamizelka nałożona na koszulę; pasowała do niego. Wziął ołówek i podszedł do deski kreślarskiej. Ołówek mocno tkwił w jego silnych, długich palcach, prawie w nich ginąc. Kiść dłoni była swobodna, ta jego tygrysia zwinność, która od razu zauważyłam, teraz była bardzo dobrze widoczna. Zaskakująca tylko była ta wyjątkowa miękkość ruchów przy jego męskości, co rzadko zdarza się jednocześnie.

Bob jeszcze nie skończył, kiedy nagle zrozumiałam, jak to powinno wyglądać: wszystko od razu złożyło się, pięknie i dokładnie, tak że już nie mogło się rozpaść. Nie mogłam czekać, dotknęłam jego dłoni, wzdrygnął się tak, że to poczułam.

– Niech pan poczeka, Bob – poprosiłam. – Chyba już wiem, jak to powinno wyglądać.

Niechętnie odsunął się na bok, ustępując mi miejsca. Zdjęłam jego niedokończony, ale mistrzowski rysunek z wyczelowanymi, lekkimi formami, na pewno mnie natchnął, podpowiedział mi, ale w tym momencie tylko przeszkadzał.

Wzięłam znów ołówek do ręki i w dziesięć minut naskicowałam zupełnie nowy projekt, całkowicie różniący się od tego, co udało mi się wymyślić wcześniej, i od tego, co narysował Bob. Wprawdzie był to niezbyt dokładny, nie wykończony jeszcze szkic, ale zrozumiałam, co odkryłam. No tak, po prostu znalazłam wreszcie właściwą formę!

– No i jak? – zapytałam.

– Znakomicie. Bardzo dobrze. Jak to się pani udało?

Wprawdzie było mi wszystko jedno, co powie, bo sama widziałam, że znakomicie, ale było mi przyjemnie. Przecież jeszcze pół godziny przedtem twierdził, że już niczego nowego stworzyć się nie da, więc nie należy nawet próbować.

– To co, może pójdziemy na kawę? – sama nie wiem, dlatego mu to zaproponowałam.

Założył marynarkę jednym płynnym ruchem; zaczęłam się do tego już przyzwyczajać.

Od tej pory zaczęliśmy się spotykać. Niecodziennie, może dwa razy w tygodniu, Bob czekał na mnie w oddalonej kawiarni, którą sama wybrałam, wiedząc, że Steve nigdy tam nie zagląda. Nie rozumiałam nawet, dlaczego bałam się, że Steve nas zobaczy, przecież nic między nami nie było, nawet w myślach, w każdym razie z mojej strony. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, Bob dużo wiedział i nie nudziłam się z nim. Rozmawialiśmy o artystach, o malarstwie, o architekturze i widziałam, jak on się rozkoszuje takimi rozmowami. Zauważałam to po jego wzroku, który, kiedy tylko kierował go w inną stronę, stawał się mglisty. Widocznie brakowało mi takich przyjacielskich, bez cienia wyrachowania, kontaktów z mężczyzną, chociażby dlatego, że z żadnym mężczyzną takich kontaktów nie miałam.

Zdawałam sobie oczywiście sprawę z tego, że Bob na wszystko patrzy zupełnie inaczej i dla niego cel jest zupełnie jasny i dokładnie wytyczony. To mi nawet dodawało skrzydeł: imponowało mi, że ten wielki, dojrzały i poważny mężczyzna często widuje się ze mną i pragnie mnie, ale nie odważa się tego okazać. Zakazany owoc ma kuszący smak, ma w sobie coś tajemniczego, pociągającego, dzięki niemu odkryłam w swoim życiu niebezpieczną ścieżkę, na którą nie powinnam wstępować. Podobało mi się jednak wejście na nią i prowadzenie po niej i siebie, i Boba, i nasze rozmowy, więc czasem pozwalałam mu ześlizgnąć się z niej w ryzykowny nurt. Jednak kiedy czasami jego palce dotykały mojej dłoni, zawsze byłam czujna i wprawdzie nie zabierałam ręki, ale sprowadzałam rozmowę na tematy neutralne i na tym wszystko się kończyło.

Podobały mi się takie kontakty i niczego innego nie pragnęłam. Do kochania miałam swojego Steve'a, który

zupełnie mi wystarczał. Bob jako mężczyzna kompletnie mnie nie pociągał, chociaż na pewno mógł się podobać kobietom. Był zupełnie nie w moim typie: zbyt poprawny i ugrzeczniomy, brakowało mu tego, co miał w sobie Steve; wyrafinowanego uporu z całą pewnością. Poza tym on świetnie wiedział, że mieszkamy ze Steve'em razem, przecież byli oni, jeżeli nie kolegami, to znajomymi. Oczywiście, z jego strony zalecanie się do mnie było nie fair, chociaż gdyby jego stosunek do mnie był taki jak mój, bez żadnych podtekstów – to owszem. Ale on się tak do mnie nie odnosił. Parę razy zapraszał mnie w miejsca o wiele mniej neutralne niż nasza kawiarnia, ale za każdym razem znajdowałam wymówkę i odmawiałam. Podobało mi się właśnie takie „skrzywione” napięcie, nie wyprostowane i nie złamane, a właśnie „skrzywione”.

Steve oczywiście niczego nie zauważał, a i nie było co zauważać. Poza tym w jego naturze nie leżała podejrzliwość, nie sprawdzał i nie wypytywał, a właściwie nigdy o nic nie pytał. Często się kochaliśmy, całowałam wtedy jego ręce, oczy, ciało, co więcej, im dłużej żyliśmy ze sobą, tym bardziej uzależniałam się od jego pieśczęt.

A to, że czasami siaduję z kimś tam w kawiarni i zupełnie niewinnie rozmawiam o życiu i o sztuce, to co z tego? Poza tym coraz bardziej drażniły mnie jego morskie wyprawy na ocean, i to, że on tak łatwo mnie opuszcza. Doprowadzało mnie do wściekłości jego nadęte przekonanie, że jest absolutnie bezpieczny, i chociaż nie zamierzałam niczego zmieniać, od czasu do czasu korciło mnie, aby postawić pod znakiem zapytania jego niezłomną pewność siebie. To w ogóle było bardzo nie w porządku, to zostawianie mnie ciągle samej, jemu oczywiście nawet przez myśl nie przeszło, że może mi być smutno i mogę się w końcu poczuć osamotniona. Dlaczego ja zawsze muszę się z nim liczyć? Przecież on też mógłby czasem zrobić coś dla mnie.

Tego dnia rzeczywiście chyba coś mnie napadło. Steve wyjechał wcześniej rano, zostawiając mnie kolejny raz, a ja, czy to z powodu pogody, bo na dworze siało, czy to z powodu wyraźnie opanowującego mnie uczucia samotności, czułam się bardzo źle, tak jakoś mętnie na duszy i ciele. Wszystko mnie drażniło, nawet w mieszkaniu odczuwałam jakiś dławiający mnie smutek, ale uważałam, że wyjście na ulicę i błądzenie bez celu jest po prostu głupie, więc niemrawo snułam się po pokoju. Próbowalam czytać, ale nie mogłam się skoncentrować, potem włączyłam telewizor, ale natychmiast z powrotem go wyłączyłam, przypomniawszy sobie, co Bob mówił o telewizorze jako o symbolu osamotnienia. Fizycznie odczuwałam dławiające duszenie, wydawało mi się, że nikomu nie jestem potrzebna, nikt mna się nie interesuje i przez to wszystko czułam się zupełnie parszywie.

Przeleciała mi przez głowę myśl, żeby pójść do baru, przecież dokoła jest pełno ludzi, ale pod wieczór niebo zaczęły przecinać błyskawice, a poza tym pójście tam w pojedynkę byłoby przyznaniem się do swojej całkowitej samotności. Zatelefonowałam do przyjaciółki, ale okazało się, że nie była sama, a jej głos dźwięczał tak szczebiotliwie i radośnie, że postarałam się jak najprędzej zakończyć rozmowę. Jej demonstracyjna radość życia pogłębiła moją chandrę i sparaliżowała mnie. Wydawało mi się, że tylko ja jedna obijam się wśród pustych, obojętnych ścian, rzuciłam się na kanapę, utkwivszy nieruchomy wzrok w ścianie.

– A jeżeli zadzwonię do niego? – powiedziałam do siebie głośno, i śpiesząc się, żebym nie zdażyła się rozmyślić, wykręciłam numer.

Głos Boba brzmiał jak zawsze, trochę przyciszony i łaskotliwy, poczułam, że się denerwuję, i wstrzymałam oddech, żeby się uspokoić. Oczywiście niczego sama nie propono-

wałam, wystarczyło, że zdobyłam się na telefon. Ale też nietrudno było domyślić się, z jakiego powodu telefonuję, w sobotę wieczorem nikt nie dzwoni tylko po to, żeby zapytać „co słyhać”.

– Może się spotkamy? – zaproponował Bob.

– Dobrze – zgodziłam się.

Tak samo jak przedtem, było mi smętnie, chociaż dźwięk jego głosu trochę polepszył moje samopoczucie, ważna była też sama świadomość, że tej smutnej nocy ktokolwiek, chociaż trochę, istnieje specjalnie dla mnie.

– Przecież leje. – Spojrzałam w okno, ale w ciemnościach nic nie mogłam dojrzeć. – Wydaje mi się, że leje.

– Jeżeli pani chce, to podjadę po panią? – prędko zaproponował Bob i pomyślałam, że wszystko bardzo dobrze się składa. Jeśli mam być szczerą, było mi wszystko jedno.

– Nie wiem. – Nie chciało mi się o niczym decydować samej.

– To co, podjadę? – zapytał niezdecydowanie i znów przerwał.

– Nie wiem – powtórzyłam.

Bob nawet nie zapytał o numer mieszkania, i to było dla mnie dziwne. Poszłam do łazienki, zdawałam sobie sprawę z tego, że wyglądam nie za dobrze i że coś z tym trzeba zrobić. Przyznaję – nie było mi wszystko jedno, ale w końcu powiedziałam sobie, że to i tak nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia.

Zadzwoił do drzwi, a ja otworzyłam. Z długiego parasola, który trzymał w dłoni, kapłała woda.

– Rzeczywiście, jest ulewa – powiedział wchodząc – wyjdziemy czy przeczekamy?

Wzruszyłam ramionami i odsunęłam się, wpuszczając go do mieszkania.

– Lepiej przeczekajmy – zaproponował.

Milczałam, gdy Bob zdejmował kurtkę. Weszliśmy do salonu, zapytałam, czego się napije. Nie odpowiedział. Nalałam mu whisky. Ze szklaneczką w dłoni spacerował po mieszkaniu, oglądając dziwne sztychy, które Steve porozwieszał na ścianach. Wyczułam od razu napięcie, jakie zapanowało, ale i tak czułam się o wiele lepiej niż sama.

– Dlaczego nie jest pan żonaty, Robercie? Ile ma pan lat? – zapytałam, zupełnie odruchowo.

– Już ponad czterdzieści – odpowiedział i zaraz się poprawił: – To jednak wcale nie jest tak wiele, jak się pani wydaje. A dlaczego nie jestem żonaty? – Uśmiechnął się, oderwał wzrok od sztychu i spojrzał na mnie. – Byłem żonaty, dawno – ach, prawda, mówiłem już pani. A poza tym... Wie pani, nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego w bajkach dla dzieci szczęśliwe zakończenie zawsze związane jest z ożenkiem. To wtedy, kiedy bohater żeni się z księżniczką albo odwrotnie, ona wychodzi za mąż za księcia. Zawsze wydawało mi się, że to wcale nie jest szczęśliwy koniec. – Uśmiechnęłam się. – Może nie tak. To w ogóle nie jest koniec, lecz początek bajki, ponieważ wszystko, co działo się do tego momentu, wszystkie te wiedźmy, wilkołaki, gnomy na krzywych nogach – to głupstwo, pestka w porównaniu z tym, co czeka nowożeńców. Właściwie bajki powinny się zaczynać od ślubu i wesela.

Zamilkł, jakby się zastanawiał, czy ciągnąć dalej.

– W ogóle to, rozumie pani, bardzo skomplikowane jest, szczególnie z wiekiem, znalezienie partnera, kiedy człowiek umie kontrolować sam siebie i nie rzuca się na każdą kobietę, a stara się dokonywać wyboru tego, co lepsze. Niełatwo znaleźć kogoś takiego, żeby się obopólnie uzupełniać, żeby partnerzy stali się nawzajem częścią siebie.

Napięcie przerwane jego głosem pękło, nie miało już sensu dalsze oglądanie sztychów, Bob usiadł w fotelu całym blisko mnie. Zauważyłam, że jego spojrzenie jak

zwykle zwilgotniało, ale nie bałam się tego, zrobiło mi się przyjemnie.

– Na pewno trzeba kochać – wtrąciłam z egzaltacją,

– Uczucie, oczywiście, nie przeszkadza, ale to za mało. Miłość to tylko chwilowy stan. – Chciałam znów się wtrącić, ale on to zauważył i nie pozwolił. – Właściwie nie tymczasowe, lecz niestałe, a przecież poczucie związku powinno być trwałe. Jeżeli tego nie ma, to nigdy nic nie wyjdzie.

– Pan potrafi?

Po co ja go o to zapytałam?

– Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że mógłbym, ale prawdę powiedziawszy, to chyba nie. Mogę się starać, ale długo się starać jest trudno, a wrodzonej cierpliwości, obawiam się, brakuje mi.

„Steve’owi także brakuje – nie wiem dlaczego przemknęło mi przez myśl – inaczej nie zostawiałby mnie samej”. Po co pomyślałam w tym momencie o Steve’em, to było niepotrzebne.

– Kobiety, które spotykałem, też nie posiadały tej cechy. Przynajmniej jedno z dwojga powinno ją mieć. Dlatego, jeżeli każdy myśli tylko o sobie, związek rozpada się prędzej czy później. Jeżeli nie jest scalony.

– Być może panu podobają się akurat takie kobiety, które nie lubią być uwiązane?

– Możliwe. – Bob zastanowił się, czy zgodzić się ze mną, – W każdym razie trudno jest znaleźć do harmonijnego związku – znów się zamyślił, próbując znaleźć słowo – partnera. Byłem w wielu związkach, i długich, i krótkich. – Uśmiechnęliśmy się jednocześnie – ja z powodu jego szczerości, on odpowiadając na mój uśmiech. – Pani, Jacqueline, nie zdaje sobie nawet sprawy, jak trudno jest osiągnąć harmonię i jak bardzo może człowieka rozdrażnić jej brak. Przy czym czasami to jest jakieś głupstwo, jak ona

dyszy, jak jęczy, jak kończy. Pani wie, że kobiety przeżywają orgazm różnie, fizjologicznie różnie.

– Wszystkie mają orgazm? – zaśmiałam się.

Temat był zbyt śmiały, zwłaszcza noca, w półmrocznym mieszkaniu, ale podobał mi się i sam temat rozmowy, i sposób, w jaki o tym mówił.

– Zdarza się – Bob pochwycił mój ton. – U niektórych ciało zamiera, u niektórych wzdryga się, niektóre dostają konwulsji. To może się dziać w bardzo różny sposób. Jeżeli nie tak, jak oczekujesz, to bardzo drażni. Także mnóstwo innych rzeczy, można powiedzieć drobiazgi, niuanse, ale wszystko jest bardzo ważne.

– Na przykład? – zapytałam.

– Na przykład głos może drażnić, szczególnie podczas uprawiania seksu. Albo to, jak ona się poci czy jak trzyma nogi.

– Naprawdę? Czy może drażnić to, jak kobieta trzyma nogi? – Mój głos był bardzo kapryśny.

– Oczywiście, może. Wiele rzeczy może być drażniących. Na przykład byłem kiedyś z kobietą, miła, miała piękne ciało... zresztą, po co ja tak dokładnie? – nagle się zreflektowałam. Ja tylko potaknęłam. – Ale podczas seksu oczy wręcz wychodziły jej na wierzch, w ogóle ich nie zamykała, a przeciwnie, wytrzeszczała i patrzyła na mnie, zupełnie bezmyślnie, bez żadnego wyrazu, jak ryba, aż czułem ciarki. Kiedyś zapytałem ją, dlaczego tak stale się na mnie gapi, a ona na to, że patrzy, czy mi jest dobrze. I chyba rzeczywiście mówiła prawdę, ale...

– Może tak ją nauczono? – przerwałam, śmiejąc się.

Coś działo się ze mną w trakcie tej rozmowy, ale ciągle jeszcze nie miałam na niego ochoty. – Możliwe, że komuś się to właśnie podobało?

– Możliwe, chociaż nie sądzę. Poza tym przyjęło się, że mężczyzna powinien okazywać pożądanie każdej kobiecie,

a jeżeli nie, to coś z nim jest nie tak. No, ale to głupota, przecież kobieta ma prawo odmówić, dlaczego mężczyzna ma być pozbawiony takiego przywileju? W każdym razie pożądanie wszystkich kobiet jest niemożliwe.

Próbował wciągnąć mnie w rozmowę, okoliczności sprzyjały, ale ja, mimo wszystko, ciągle nie miałam chęci na seks z nim.

– Właściwie właśnie to niezrozumienie wywołuje problemy, mam na myśli to, że u mężczyzny mogą wynikać problemy, o, rozumie pani... o charakterze seksualnym.

– To znaczy, kiedy to się nie odbywa normalnie?
– Chciałam, żeby to zabrzmiało poważnie, ale nie udało mi się.

– No, jeżeli nigdy się nie klei, to jest nienormalne, oczywiście. Ale jeżeli tylko czasem, to nic strasznego. Jeżeli ktoś tego nie rozumie, mogą z tego wynikać same problemy. Mam przyjaciela, mądrego, dobrze ułożonego człowieka. W młodości był bardzo aktywny, mam na myśli seks – skieńczyłam, rozumiałam – i zawsze bardzo się podobał kobietom. Potem się ożenił, do tego z wielkiej miłości, z kobietą o niezwykle silnym charakterze i bardzo pociągającą fizycznie. Bardzo ją szanował, była z zawodu dziennikarka, ale, o ile wiem, seksualnego porywu nigdy w nim nie wznieciła. Ich miłość była raczej platoniczna, nie miłość do kobiety, ale, jak to mówią, do osobowości. Początkowo wszystko mniej więcej było w porządku, ale później rozleciało się: nie należy zbyt długo sypiać z kobietą, której nie pragniesz. Powinien spróbować z inną, która wznieciłaby w nim pożądanie, ale nie chciał zdradzać żony, którą kochał, a nawet czcił. W rezultacie stał się zakompleksiony, zmienił się fizycznie, jakoś tak cały przygasł, skurczył się, żył w wiecznym poczuciu winy, a to nie jest wcale łatwe. Jego żony też było mi żal, ona, jak każda normalna, zdrowa kobieta, oczywiście potrzebowała seksu. To smutna historia.

– Wie pan, Bob, nigdy się nad tym nie zastanawiałam – uśmiechnęłam się. – Zawsze wydawało mi się to bardzo proste: kochasz, to znaczy, że pożądasz. A u pana wszystko jest takie złożone, całe teorie.

– Bardzo możliwe.

Pochylił się w moją stronę, nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko. Miał gorące wargi, pełne i mięsiste, wcześniej tego nie zauważyłam.

– Być może ma pani rację. Możliwe, że nigdy nie miałem szczęścia. Wie pani, po tym, jak wtedy ujrzałem panią po raz pierwszy – „Tu go mam” – pomyślałam – nie mogłem o pani zapomnieć, pani twarz nawet mi się śniła.

Wyciągnął rękę, swoim typowym, płynnym ruchem i nakrył dłońią moją dłoń, a jednocześnie kolano, na którym ona spoczywała. Nie cofnęłam jej, nie chciało mi się, nawet wysunęłam się nieco do przodu, ale tak, żeby tego nie zauważył.

– Kocham panią, Jacqueline, kocham od samego początku.

Nastąpiła pauza, nie wiedziałam, co odpowiedzieć, nie było nawet potrzeby. Sprawiały mi przyjemność jego słowa i pożądanie, które, od samego początku, było bardzo silnie wyczuwalne.

– Ale pan rozumie, że nic między nami nie może się zdarzyć? – rzuciłam mimo wszystko.

– Dlaczego? – Schylił się w moją stronę, jego twarz zbliżyła się i prawie przywarła do mojej, owionął mnie zapach znakomitej wody toaletowej i nawet mi się to podobało. – Przecież ja ciebie kocham. – Jego wargi znalazły się nagle zbyt blisko, żebym mogła przed nimi uciec.

Dawno nie całowałam się z nikim, oprócz Steve'a, teraz wydawało mi się, że czuję męskie wargi po raz pierwszy, to uczucie było tak świeże i mocne, że aż zakręciło mi się w głowie. Wiedziałam, że broda i wąsy nie będą prze-

szkadzać, tylko przyjemnie łaskotały, na pewno dzięki nim wargi sprawiały wrażenie pełniejszych i jakby żyły własnym życiem.

Nie zauważyłam, kiedy zdażył przesiaść się do mnie na kanapę, poczułam tylko jego napierający na mnie ciężar, jego długie palce na moich piersiach i jeszcze przyjemniejszy, napierający nacisk między nogami, chociaż przez gruby materiał dzinsów nie mógł przeniknąć ani dotyk ciała, ani delikatność skóry. Bob cofnął się na chwilę, spojrzał na mnie, trwało to tylko sekunde, a potem zaczął się ześlizgiwać wargami po mojej twarzy, zostawiając wszędzie: na policzkach, na czole, na szyi, miękkie, żarliwe pocałunki. Słyszałam jego szept, ale nie byłam pewna, czy szeptał o miłości, czy o tym, jak na mnie czekał. Nie rozumiałam, jak jego wargi mogą tak prędko całować, szepcząc jednocześnie o miłości i pozostawiać suche i gorące.

Jego napór narastał, w rezultacie nie wytrzymałam i nie chcąc się dalej opierać, odchyliłam się do tyłu, opadając plecami na sprężyste miękką kanapę. Już leżał na mnie, a mnie było z tym niewygodnie, okazał się cięższy niż myślałam, bardzo ciężki, tak że zdusił we mnie oddech. Na pewno wiedział o tym, odsunął się lekko i mogłam odechnąć. Potem jego wargi znów pochwytyły moje, ręka znalazła się pod lekką bluzeczką, a haftki stanika, nie wiadomo kiedy, zostały rozpięte. Piers stała się łatwo dostępna dla jego palców, miękko jej dotykał i nagle poczułam rozchodzące się po całym ciele mrowienie i trochę poruszyłam ramionami, układając się wygodniej na powierzchni kanapy. Zrozumiał to widocznie jak zaproszenie, moja bluzka uniosła się do góry, ujrzałam miseczkę stanika, zwisającą bezradnie na szyi, a potem jego dużą, głowę, szerszą, zdawało mi się, niż moje ciało.

Z profilu Bob wyglądał jeszcze bardziej arystokratycznie niż en face, zawdzięczał to swojej bródce, upodabniającej

go do hiszpańskiego granda. Wydawało mi się, że już gdzieś widziałam tę twarz, i przypomniało mi się, iż kiedyś, w dzieciństwie, gdy grywałam z babcią w karty, król karo był taki szlachetny i brodaty. Zobaczyłam, jak wargi Boba, trochę obrzmiałe, zastygły nad moją piersią, a potem twarz opadła i wargi zagłębiły się w poddającą się im miękkość, podniosłam nawet głowę, żeby lepiej widzieć. Podobało mi się patrzenie, co i jak robił, jego ruchy w tym momencie świadczyły, że to miłość.

Rzeczywiście czułam, że on mnie kocha, czułam to w jego ruchach, w jego szepcie, w jego wargach, nawet w jego ręce, która przeniknąwszy w głąb dżinsów już się rozgrzewała. Uniosłam nawet trochę biodra, rozchylając uda, żeby jego palcom dać miejsce, a one zareagowały, ale nie brutalnie, zachłannie, a miękko, podniecającymi dotknięciami. Rzeczywiście sprawiały mi przyjemność jego wargi, jego dłonie, ciężar jego ciała, ale... Wciąż jeszcze istniało to „ale”, wciąż jeszcze ziemia nie usuwała mi się spod nóg, tak jak zawsze mi się usuwała, kiedy byłam ze Steve'em i czułam jego pieśczoć. Znajdowałam się tutaj, zupełnie uziemiona, ale kontrolująca się, w pełni świadoma, że jest mi dobrze; nie czułam zawrotu głowy, przeciwnie, byłam zupełnie trzeźwa i świadomie obserwowałam, jak on okropnie dyszy.

– Zaczekaj – wstrzymałam go, i to były pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam.

Jego dłoń odciągnęła brzeg stringów i brzuchem wyczułam jej lekki, podniecający dotyk, ale już na samym początku powstrzymałam ją, nie wiedząc jeszcze, czy tego chcę, czy nie.

– Zaczekaj – powtórzyłam.

Posłusznie zamarł, jego ciężar od razu zelżał, a mnie nieoczekiwanie lekko udało się spod niego wyślizgnąć i przykleknąć obok. Wyglądałam nienadzwyczajnie: roz-

dygotana, z podciągniętą bluzką, rozpiętymi džinsami, prawdopodobnie makijaż na twarzy też był rozmazany od mokrych, namiętnych pocałunków.

„Steve by nie odpuścił – pomyślałam. – Tutaj jest właśnie różnica. Steve nie posłuchałby i nie odpuścił”.

Bob siedział obok mnie zmieszany, jeszcze nie doszedł do siebie, jego twarz, fryzura, nawet broda, straciły swoją zwykłą, wypielegnowaną elegancję. Wyglądał jednocześnie jakby czuł się winny i obrażony, zrobiło mi się go nawet trochę żal.

– Zaczekaj – powtórzyłam znów – nie trzeba.

Wydawało się, że on ciągle jeszcze nic nie rozumiał.

– Jesteś pewna? – to zabrzmiało jak prośba i dlatego właśnie podjęłam decyzję.

– Tak.

– Dlaczego? – jego głos stracił płynność i jedwabistość, a wprost przeciwnie, stał się urywany.

– Nie rozumiesz? – zdziwiłam się.

On rzeczywiście nie rozumiał.

– Z powodu tego kolesia?

Nie podobało mi się to słowo ani sposób, w jaki je wypowiedział.

– Tak, z powodu Steve’a – poprawiłam go. – Oczywiście, że z powodu Steve’a. A co myślałeś?

– Nigdy nie rozumiałem! – krzyknął i jakoś tak śmiesznie zamachał rękami. W jego ruchach nie było już gracji. – Nie rozumiałem, jak możesz z nim żyć! – chciał się powstrzymać, ale jednak dodał: – Razem. Przecież to bezsensowne, co ty w nim widzisz? Jesteście przecież całkowicie różni.

Spojrzałam na niego pytająco, nie rozumiejąc, o czym on właściwie mówi. Dla mnie było zupełnie jasne, że wydarzenia dzisiejszej nocy dobiegły ostatecznie końca.

– Czy ty sama nie widzisz, że nie macie ze sobą nic wspólnego?! Ty jesteś przecież zupełnie inna – ty jesteś silna, uczuciowa, utalentowana. Ty się poświęcasz...

Zamilkł, szukając odpowiednich słów, ale to już nie miało znaczenia: cokolwiek by nie powiedział, choćby mnie całą nawet oblizał słowami, nic już nie mogło pomóc.

– Ty i tak poświęcasz swój talent.

„Talent już był – pomyślałam – tak, i te pauzy są u niego konieczne, ponieważ z wielkim trudem dobiera słowa”.

– No tak – powiedziałam. To było żałosne, ja przecież i tak wiedziałam wszystko o sobie.

– A on, ten twój Steve – znów podniecił się własnymi słowami – on jest nijaki, mięczak. Nawet nie można go nazwać flegmatykiem, jest zupełnie nijaki, bezbarwny, absolutnie bezbarwny. Czy wiesz, co o nim się mówi? – Milczałam, chociaż z ogromnym trudem. – Gdybyś tylko posłuchała, jak on wykłada, muchy w locie zdychają z nudów. Ale jemu jest wszystko jedno, nieważni są studenci, wykłady, przedmiot. On w ogóle niczego nie potrzebuje i ty też nie jesteś mu potrzebna. Co ty w nim znalazłaś, on jest taki bez ikry, bez kości, bez...

– A co ty wiesz o jego ikrze i o kościach, co? Czy próbował cię zerznąć?

To co mówił było podłe, nie mogłam pojąć, że on sam tego nie widzi. Myślę, że on w ogóle niczego nie rozumiał, tylko to, że go odganiał od siebie.

– Co to ma do rzeczy? Nie, uwierz mi, on nie ma w sobie siły...

– A co ty o tym wiesz? – przerwałam mu. – Posłuchaj mnie, on ma wystarczająco dużo siły, więcej niż wystarczająco, a jego wykłady mnie nie interesują. Zresztą, co do tego mają wykłady? Nie bądź śmieszny. – Chciałam, żeby sobie poszedł, tak bardzo chciałam, żeby poszedł jak najprędzej. – A jeżeli chodzi o seks, to jest o wiele lepszy od ciebie.

W końcu Bob zrozumiał. Wstał i zaczął poprawiać wyciągniętą na wierzch koszulę, ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania, a ja myślałam: „Jak on mógł mi się podobać jeszcze dziesięć minut temu? Jak to możliwe, żebym przez

cały ten czas, odkąd go znam, nie zorientowała się, że to po prostu zwyczajny, żałosny dureń?”.

– Pójdę – powiedział Bob, a w jego głosie, nie do wiary, ale słychać było pytanie.

„To rzeczywiście dureń” – znów pomyślałam.

Przecież z łatwością mógł wziąć mnie siłą, nawet dzinsów nie podciągnęłam i świeciłam przed nim gołym tyłkiem. Nie czułam jednak ani strachu, ani niepokoju, przeciwnie, tylko pewność siebie, na tyle byłam od niego silniejsza.

– Och, ty świnió – powiedziałam. – Chciałeś wykorzystać to, że Steve’a nie ma, a ja źle się czuję. Przecież przyszedłeś do jego mieszkania i chciałeś mnie tutaj przelecieć. A on uważa ciebie za kolegę. Czy choćby tylko dlatego, nie mogłeś się powstrzymać?

Bob spoglądał na mnie tak żałośnie i tak pokornie, że aż mi się zrobiło przykro, że mu takie rzeczy powiedziałam, ale wszystko jedno, to świnią. Nic mi nie odpowiedział, tylko włożył kurtkę i wyszedł. Spojrzałam na zegarek, była druga nad ranem, za oknem wciąż padał deszcz.

„Mimo wszystko to było zabawne” – pomyślałam.

Nieoczekiwanie ucieszyłam się, że leje deszcz, uspokajało mnie jego monotonne postukiwanie o parapet. Czułam się dobrze, że już nie będzie dwuznaczności w zachowaniu tego kretyna Boba, a najważniejsze było to, że nie zdradziłam Steve’a. Poczulałam się nawet szczęśliwa z tego powodu.

Bob oczywiście odezwał się jeszcze, dostałam od niego króciutki liścik, w którym przeproszał, bardzo obrazowo tłumacząc się, że stracił nad sobą kontrolę i że sam nie rozumie, jak coś takiego mogło mu się przytrafić.

„To wszystko zdarzyło się tylko dlatego, że tak długo kochałem się w tobie, Jacqueline – pisał Bob. – A kiedy nagle znalazłaś się blisko mnie, nie wytrzymałem i przestałem być sobą.

Kiedy powiedziałaś, że między nami nic być nie może, zrozum, twoja bliskość, i to, co się wydarzyło („Kretyn – pomyślałam – a co się wydarzyło? Przecież do niczego nie doszło!”), to wszystko doprowadziło mnie do jakiegoś szaleństwa. Oczywiście nie powinienem nic mówić na temat Steve’a, ale ja tak nie myślę. Wybacz!” Dalej Bob prosił o spotkanie i pomyślałam, że rzeczywiście jest idiota, skoro tak kompletnie niczego nie rozumiał i chwala Bogu, że wszystko się skończyło.

Steve po powrocie niczego nie zauważył. Opowiadał, że na oceanie był sztorm, jak było pięknie i niebezpiecznie, a przez to jeszcze piękniej.

– Moje zmysły wyostrzają się w przeczuciu niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo mnie podnieca – powiedział, uśmiechając się. Patrzyłam na niego i myślałam, że naprawdę jest niezwykły, więc jakże można porównywać Steve’a i tego tam. Później, oboje za sobą stęsknieni, kochaliśmy się i już o niczym innym nie potrafiłam myśleć.

Unoszę głowę i wynurzam się ze wspomnień, pora porzucić płytką poranną drzemkę, początkowo nie mogę zrozumieć, gdzie jest granica pomiędzy snem a rzeczywistością. Las wynosi mnie natychmiast na powierzchnię swoimi dźwiękami, zmieszanymi z zapachem jesiennych kwiatów. Książka leży na kolanach, oczekując, nie musi mnie długo prosić, otwieram ją i czytam dalej:

„Nie potrafiłem nikomu tego wyjaśnić, a kiedy próbowałem, nie rozumieli mnie. Sprawa polega na tym, że lubię zaczynać wszystko od początku, od zera, nie wlokąc za sobą cięższej na mnie, obozowej przeszłości. Nie lubiłem też zgrywać takiego, co dorobił się wszystkiego, kiedy był

u szczytu powodzenia. Kiedy rezygnujesz ze sławy, porzucasz swój dorobek, oszczędności i zaczynasz wszystko od początku, bez pieniędzy, bez gratów, bez ciągnących cię na samo dno znajomości.

Nie rozumieli mnie jednak, być może dlatego, że nie potrafiłem tego dokładnie objaśnić, dopiero teraz wydaje mi się, iż znalazłem odpowiednie porównanie. To porównanie z noworodkiem, który także niczego nie ma, zupełnie niczego, oprócz niewinności, szczerości i słodkiego zapachu przyszłości. Wcale nie jest wykluczone, że właśnie niewinność, szczerość i nieobecność bagażu, nie tylko materialnego, ale również wszystkiego tego, co nazywamy doświadczeniem życiowym, w ostatecznym rozrachunku stwarza warunki do początku przyszłości. Czy nie dlatego czuję tę podstępna, chęć zaczynania wszystkiego od początku, czy nie dlatego, że znów chcę być czysty i szczery, jak noworodek, co oczywiście do końca nie jest możliwe”.

To dziwny rozdział, dziwny dlatego, że jest jakby przeznaczony dla mnie, jakby człowiek, który go pisał, myślał nie tylko o sobie, ale o mnie również. Ileż to razy ja sama rzucałam i zaczynałam wszystko od nowa, prawie od zera, od samego początku. Nasze wspólne życie ze Steve'em także zakończyło się tym, że wyjechałam, i mimo że wydawało się, iż mój odjazd jest nierzeczywisty, teraz, po upływie wielu lat, rozumiem, że inaczej być nie mogło.

Moje studia dobiegły końca, byłam jedną z najlepszych studentek na roku, wszyscy radzili mi, żebym kontynuowała pracę naukową, została wykładowcą na katedrze, nawet sam Steve. Otrzymywałam wiele propozycji z różnych uniwersytetów, ale odmawiałam, nie chciałam nigdzie się przenieść, przecież to oznaczało, że zostanę sama, bez Steve'a. Zostać bez niego nie chciałam, nawet na jakiś czas. Dopiero gdy przyszło zaproszenie na dwuletnie stypendium do

Włoch, żeby studiować renesansową architekturę we Florencji, nie odrzuciłam go od razu. Pokusa była zbyt wielka: Europa, Włochy, wszystko nowe, podniecające, przyroda, słońce, ludzie. Choć wiedziałam, że Steve nie może wszystkiego rzucić i wyjechać ze mną, to jednak powiedziałam mu o zaproszeniu i trochę dla żartu zapytałam: – Może się wybierzemy?

– Oczywiście, koniecznie trzeba jechać – powiedział z przekonaniem, zdziwiłam się, bo spodziewałam się zupełnie innej reakcji. – Taka okazja nieczęsto się zdarza. Poszczyściło ci się, Włochy, Florencja, cóż może być lepszego?

– A ty?

– Przyjadę do ciebie – zamyślił się. – Teraz nie mogę, nie pozwolą mi zostawić katedry. Na pewno w następnym roku wezmę półroczny urlop i przyjadę.

– Dopiero za rok? – Byłam rozczarowana, nawet nie tym rokiem, bardziej tym, że tak łatwo zgadza się na mój wyjazd. – Więc myślisz, że wytrzymamy bez siebie przez cały rok?

– Dlaczego przez rok? Będiesz miała wakacje, kilka razy przyjedziesz, kilka razy ja pojedę do ciebie. Przecież samoloty latają.

– Wszystko jedno – upierałam się – przyzwyczaiałam się do ciebie.

Szliśmy ulicą i miałam ochotę powiedzieć „kocham cię”, ale byłoby głupio, tutaj, na ulicy, rozmawiać o miłości. Dlatego wyraziłam to inaczej, chociaż powiedziałam to samo:

– Nie wytrzymam bez ciebie.

Steve uśmiechnął się, i nie zwracając uwagi na to, że jego krok był dłuższy od mojego, przysunął się, objął mnie ramieniem i przytulił, nawet udało mu się pocałować mnie w marszu.

– Nie będziesz przecież beze mnie. Będziemy pisywać do siebie listy, potem ty przyjedziesz do mnie albo ja do ciebie i znów będziemy razem.

– Nie wiem – powiedziałam. Mimo że przytulał mnie, zrobiło mi się zimno. – Nie wiem – powtórzyłam – nie chce mi się – i dodałam: – Bez ciebie nie chce mi się.

Ogarnęło mnie przerażenie. Wyobraziłam sobie, że znajduję się w obcym kraju, w obcym mieście, nie znając języka, bez przyjaciół i znajomych, nieprzyzwyczajona do bycia samą. Pomyślałam o oczekującej mnie samotności i przestraszyłam się.

– Nie – powiedziałam – bez ciebie nie pojedę. Bez ciebie nie chcę.

Steve przytulił mnie jeszcze mocniej. Znów na niego spojrzałam, załomotało mi serce, nie chciałam go zostawiać, bałam się, że mogę go stracić, i w tym momencie postanowiłam, że nie, nigdzie nie pojedę.

– Czas prędko mija – powiedział, a ja pomyślałam: „Jaki on gruboskórny! Dlaczego nie rozumie, co się ze mną dzieje?” – Czy wiesz, że za miesiąc miną trzy lata jak jesteśmy razem?

– Rzeczywiście. – Teraz, kiedy to powiedział, przypominałam sobie. Spotkaliśmy się w maju, trzy lata temu bez miesiąca.

– Kiedy masz być we Włoszech? – Zmiana tematu zaskoczyła mnie, tak jakby wszystko zostało już postanowione.

– W lipcu – odpowiedziałam i natychmiast zaczęłam tłumaczyć – ale ja nie chcę jechać – i znów tłumaczyłam: – bez ciebie.

– Nie spiesz się, przemyśl to dobrze, jest czas – powiedział Steve i od razu mi ulżyło. Rzeczywiście, po co ja się denerwuję? Jest wystarczająco dużo czasu, żeby coś postanowić.

Weszliśmy do kawiarni, było sobotnie przedpołudnie, znaleźliśmy stolik, marzyliśmy o tym, żeby napić się kawy. Menu było nam niepotrzebne, przychodziliśmy tutaj często na śniadania, a kiedy w domu nie było nic do jedzenia, na kolację. Większość gości była mniej więcej w naszym wieku, tylko kilka par było starszych od nas. Widocznie lubili tu bywać i dobrze się czuli w kręgu młodzieży, wśród gwaru głosów, pobrzękiwania naczyń i uwijających się kelnerów. Stolik znajdował się pod oknem i prędko zajęłam miejsce, z którego mogłam obserwować całą salę. Steve uśmiechnął się, zawsze się o to spieraliśmy, on także lubił oglądać ludzi.

– Czy wiesz – powiedział, kiedy usiedliśmy – co w Stanach jest najlepsze?

– Co? – zapytałam.

– Kelnerzy.

Nie zrozumiałam.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że w Stanach kelnerzy są znacznie lepsi niż w Europie.

– Słuchaj – powiedziałam – a może ty chcesz, żebym wyjechała?

– Nie, nie chcę. – Zamilkł. – Ale jeżeli mówimy o tobie, to gdzie, jak nie we Florencji, studiować architekturę? Byłam tam kiedyś, co prawda bardzo dawno, ale można by powiedzieć, że to muzeum pod gołym niebem. Głupio rezygnować z takiej szansy. – Pomyślał i dodał: – Ja bym na twoim miejscu pojechał.

– Dobrze – powiedziałam – pojedę, jeżeli tak nalegasz.

– Nie rozumiesz, tak będzie lepiej dla ciebie.

Mimo wszystko nie podjęłam decyzji natychmiast, zastanawiałam się jeszcze ze dwa tygodnie, zanim dałam ostateczną odpowiedź. Oczywiście, względy praktyczne nakazywały, by jechać. W naszym uniwersyteckim mias-

teczku biur architektonicznych nie było, a to oznaczało, że i tak muszę się rozstać ze Steve'em i gdzieś wyjechać. Do tego mogłam liczyć tylko na niewielką pensję. „A tak – myślałam – po studiach we Włoszech będę wiedziała i umiała o wiele więcej. Steve jest jedynym powodem, dla którego nie chce mi się wyjeżdżać. On sam jednak uważa, że powinnam zaryzykować i że tylko od nas samych zależy, czy się nie rozstaniemy”.

W końcu zgodziłam się i ostatnie dwa miesiące przed wyjazdem spędziłam na przygotowaniach. Każdy dzień przynosił nowe, coraz to inne, choć niewielkie problemy, które kumulowały się przeważnie wieczorem, kiedy po całym dniu bieganiny opadałam już zupełnie z sił. Przez cały ten czas znajdowałam się w stanie nerwowego, gorączkowego podniecenia, nawet w łóżku nie zachowywałam się jak dawniej, Steve próbował mnie uspokoić, ale bez specjalnych sukcesów.

Zaskakiwało mnie, jak mocno zżyłam się z nim ostatnio. Nie podejrzewałam sama siebie, że tak bardzo mogę się do kogoś przywiązać. Wieczorem, kiedy już leżeliśmy w łóżku, a ja ufnie, mocniej niż kiedykolwiek przedtem, przywierałam do niego całym ciałem, czułam, jak żal ścisła mi gardło. Nie, nie płakałam, ale oczy zachodziły mi mgłą i odwracałam głowę, żeby tego nie zauważył. Raz czy dwa nie wytrzymałam i łzy popłynęły mi z oczu, a ja, szlochając, drżącym głosem pytałam: – Może jednak nie wyjeżdżać? – ale on milczał i czułam policzkiem, jak wzrusza ramionami.

Teraz wiem, że Steve'owi też nie było łatwo. Po wielu latach napisał w liście, że chciał mnie porwać i wywieźć, zamknąć na klucz, odseparować od świata, zostawiając tylko dla siebie. „Tylko dlatego – pisał – że na kartę postawiono twoją przyszłość, poświęciłem się i pozwoliłem ci wyjechać”.

Przed wyjazdem umówiliśmy się, że będziemy pisywać do siebie listy. Steve wręcz patologicznie nie znosił telefonu, bał się go, wzdrygał się na dźwięk dzwonka. Mawiał, że telefon pasuje być może do prowadzenia rozmów urzędowych, ale w żadnym razie prywatnych.

List to co innego. Wymaga czasu i namysłu, bo jest bez mała wieczny, wciąż jest czymś ważnym, można go przeczytać niezliczoną ilość razy i zachować. Do tego jeszcze charakter pisma. Jest jak zapach dla psa, jak odciski palców, można się z niego wiele dowiedzieć. Listu nie pisze się na łapu-capu, potrzeba na to sporo czasu, czasem wiele dni. Oznacza to, że jakiś człowiek myśli o tobie, nie żałuje swojego emocjonalnego napięcia. Każdy list jest w istocie indywidualnym dziełem. Nie przypadkiem publikuje się listy sławnych ludzi. Od listu nie uciekniesz, tak jak od dzwonka telefonu...

Wiedziałam, że Steve może jeszcze bardzo długo mówić na ten temat, i dziwiąc się jego uporowi, przerwałam:

– Co ty się tak podnieciłeś z powodu takiego głupstwa?

Wyhamował, widocznie jemu samemu zaczął dokuczać ten potok słów i zaraz zmienił ton:

– Faktycznie, co mnie napadło? Nie wiem, to pewnie dziedziczne. Widzisz, u nas w rodzinie zawsze panował kult pisania listów i niemal nienawiść do telefonów. Wpoili we mnie od dzieciństwa, że kiedy rozmawia się o głupstwach, to przez telefon, a pisze się na poważne tematy. Dlatego teraz nie chcę, żebyś zwyrodniała razem z dźwiękiem dzwonka telefonu.

To była prawda, do Steve'a prawie nigdy nie telefonowano, a jeżeli on sam gdziekolwiek dzwonił, to tylko po to, żeby zamówić jedzenie. Za to każdego tygodnia otrzymywał kilka listów, przede wszystkim od rodziców, którzy mieszkali gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. Odpowiedzi

rzadko pisał w domu, przeważnie w pracy. Często widywałam zaklejone i gotowe do wysyłki koperty.

Przed samym moim wyjazdem znów się kochaliśmy, było mi dobrze, chociaż nie mogłam do końca pozbyć się napięcia nerwowego. Ostatniej nocy, kiedy Steve obejmował mnie i mówił coś, co mnie miało uspokoić, słuchając jego głosu i zdając sobie sprawę, że już nigdy więcej możemy się nie zobaczyć, rozplakałam się tak, jak nigdy dotąd, nawet wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Tej nocy wcale nie spaliśmy, kochaliśmy się albo rozmawialiśmy o tym, kiedy on może do mnie przyjechać, ewentualnie, kiedy ja przyjadę do niego. Potem siedzieliśmy w kuchni i piliśmy kawę. Był bardzo kochany tej nocy, chciałam się w niego wręcz wcisnąć, obejmowaliśmy się, wszystko dokoła moczyłam łzami, potem znów go całowałam całego, i znów płakałam.

Rankiem już niczego nie kojarzyłam i nie rozróżniałam, ogarnęło mnie jakieś obce, otepiałające uczucie zmęczenia, ogarnęło i otuliło. Wprawdzie coś tam docierało jeszcze do mnie, ale wyciszone i mgliste. Muszę przyznać, że podobał mi się ten stan, jakbym była na haju, tylko że osiągnęłam go w sposób naturalny, bez chemii, za to dzięki miłości...

Steve objął mnie, potem chwycił obiema rękami za głowę, odsunął od siebie i długo się wpatrywał, jakby się uczył mojej twarzy na pamięć. Ja także próbowałam zapamiętać go, spozjrzałam mu w oczy, ale tak bardzo różniły się od tych, do jakich przywykłam, były przepastne, zgubiły, wydawało się, swoją nierzeczywistą przezroczystość. Coś się w nich przez ten czas zmieniło, coś z nich uciekło.

– Kocham cię – powiedział. – Zawsze będę cię kochał.

– Ja też – szepnęłam. Nie mogłam mówić, wszystko płynęło, ja też.

– Jesteś moją najdroższą – Nie puszczał mojej twarzy.

– Zawsze będę myślał o tobie.

– Ja też. – Chciałam upaść i pełzać po posadzce tej prawie pustej hali odlotów.

– Jesteś częścią mnie. Słyszysz? Na zawsze zostaniesz częścią mnie. I zawsze będziesz należała do mnie.

– Ja też. – Rozumiałam, że będę, ale było mi wszystko jedno.

– Nigdy nie będziesz należała do innego, tak jak należysz do mnie. Wiem o tym.

– Ja też.

– Będziesz pisać do mnie. Codziennie, słyszysz, codziennie! A ja będę też codziennie do ciebie pisać, słyszysz! Nie chcę idiotycznych dzwoneczków, chcę listów, twojej duszy, twojej ręki, twojego zapachu...

– Wiem. Nic nie mów. Będę. Tak bardzo cię kocham.

Uniosłam się i zamknęłam jego usta pocałunkiem. Kręciło mi się w głowie, wydawało się, jakbym nic nie ważyła i składała się tylko z uczuć, jedynie z nic nie ważących uczuć. Steve popchnął mnie, zaczęłam iść, dookoła mnie kłębił się pośpiech, ruch, zgiełk, ktoś mnie potrącił, ktoś inny zasłonił mi Steve'a, ale to były przezroczyste cienie.

– Kocham cię – krzyknął Steve.

– Ja też – wyszeptałam.

Ktoś wziął ode mnie bilet, skierował moje kroki w jakąś stronę, odwróciłam się przed samym wejściem, ale nie dostrzegłam go, to było bardzo smutne.

Mniej więcej w ciągu miesiąca w jednym z listów, które Steve, tak jak obiecał, pisywał codziennie, zawiadomił mnie, że w najbliższym czasie nie przyjedzie. Tłumaczył się jakimiś ważnymi powodami osobistymi, poza tym pisał, że nie chce go zwolnić w pracy, wobec tego przesunęłam termin. Potem data jego przyjazdu znów została odłożona, a ja pytałam w listach: dlaczego, co się stało?, ale Steve tłumaczył się bardzo mętnie, tak że nie mogłam się zorien-

tować, jaka jest przyczyna. Wydawało się, że nasze spotkanie nie przybliży się, a wręcz przeciwnie, oddała. Gdzieś tak mniej więcej po roku zrozumiałam, że Steve nigdy nie przyjedzie.

Odpycham się nogami od ziemi bardzo lekko, nie odrywam nawet palców stóp. To wystarcza, pień pochylonej ku ziemi brzozy, na którym siedzę, kołysze się, opada w dół, potem, jakby chciał uciec od niepowodzenia swojej próby, znów wypręża się ku górze i próbuje stać się prostym, sterczącym ku niebu drzewem, następnie znów miękko opada. Jest chłodno, ale chłód mi nie przeszkadza, przeciwnie, odświeża mnie, tylko szczelniej otulam się kurtką. Powinnam spacerować, ruszać się, ale nie mogę się zmusić, znów kartkuję książkę:

34

„Odkryłem nową zasadę rozwoju świata. Jest niesłuchanie prosta i ze względu na tę prostotę zignorowali ją historycy, badacze starający się wyjaśnić procesy przez wieki zachodzące w ekonomii, polityce, na rynkach wewnętrznych i zagranicznych, a także całą resztę tych geopolitycznych i socjologicznych bredni. Wszystko to ma swój udział i znaczenie, ale znaczenie drugoplanowe. Głównym czynnikiem, mającym wpływ na historyczny rozwój ludzkości, okazuje się najzwyklejsza ludzka nuda.

To właśnie ona, nuda, ustawiała wojska w szyku bojowym i niszczyła narody, zdobywała i dzieliła ziemie, knuła intrygi dworskie, tworzyła religie, inspirowała miłosne trójki, a potem niszczyła je, sprowadzając do zera. Właśnie ona, nuda, wydawała awanturników i marnych alchemików, była siłą sprawczą odkryć naukowych i geograficznych i rodziła, jeśli nie samą miłość, to nieodłączny uczuciu

seks. Właśnie ona, nuda, tak sądzę, była przyczyną rozwoju emocjonalnego i początku rodzących się uczuć człowieka, jego zdolności do denerwowania się i smucenia, do płomienego uczucia, do radości, do rozbijania związków.

Teoria ewolucji ogłoszona przez Darwina jest nieprawdziwa, choćby dlatego, że jest sztuczna i wydumana, wieje od niej ludzkim wymysłem. Jest tak bardzo uproszczona po to, żeby była zrozumiała dla dzieci w szkole, gospodyń domowych i bezsilnie usiłuje nieskończoność świata wpisać w swój prymitywny model. Teoria ewolucji nudy jest o wiele bardziej wymyślna i elastyczna, nie pretenduje do wyjaśniania wszystkiego, nie ma wyraźnej linii rozwoju, jest nieregularna, jak ludzkie marzenia. Nie ma równych krawędzi, są one ponadrywane i nadkrajane, a czasem podgryzane, trzepoczą na wietrze zwisającymi strzępami, a razem z nimi trzepocze poszarpany, poobijany czas, który nie musi już niczego wyjaśniać, bo wszystko zostało już wyjaśnione.

Nuda narodziła się razem z człowiekiem, razem z łaknieniem, instynktem przedłużania gatunku, tylko że to uczucie bardziej złożone, niż głód i pożądanie. Te ostatnie były cykliczne i niewybredne i w tym, po mojemu, prymitywne. Głód chodzi w parze z nasyceniem, następnie nasycenie zamienia się rolami z głodem. Nuda potrzebuje obrazowości, ciągłych, podstępnych zmian, dlatego, w odróżnieniu od pozostałych uczuć, nie żywi się tym samym i potrzebuje ciągle czegoś nowego. Wyobraźmy sobie świat istniejący trzysta lat, tysiąc, nawet trzy tysiące lat temu, to nie ma znaczenia, dlatego że nudzie jest wszystko jedno. Czym mógł wtedy rozrywać się człowiek? Niczym. Nie było telewizji ani radia, nie można było plotkować przez telefon, nawet czytanie gazet było niemożliwe. Nie można było podróżować, ponieważ nie istniały środki transportu, jedzenie było ograniczone tylko do tego, co rośło bądź biegło

po ziemi w najbliższej okolicy. Przecież nam nawet teraz, z telewizją, książkami i samolotami, zbyt często się nudzi, a wyobraźcie sobie, jak było wtedy: można było tylko wyc do księżycy lub gryźć ściany.

Tylko poznając fakty i zbierając je w całość można zrozumieć, że w dawnych czasach człowiek nie tylko nie miał się czym rozerwać, ale nawet przeważnie nie miał się czym zająć. Oczywiście do chłopów i rzemieślników odnosi się to tylko częściowo, oni mieli obowiązek pracy, siać i zbierać, tkać i wytwarzać, ale chłopci i rzemieślnicy mieli niewielki wpływ na bieg historii, tak jak rzadko uczestniczyli w rozwoju kultury. Historię tworzyli królowie, herzogowie i baronowie, którzy ani orać, ani tkać nie musieli, więc nie mieli nic do roboty, żadnej możliwości rozproszenia nudy.

Mogli sobie dogadzać jedynie czterema rozrywkami, z których dwie – wojowanie i intrygi dworskie – miały wpływ na, jakby to określić, polityczną część historii. Pozostałe dwie – obżarstwo i seks wszelkiego rodzaju – rozwijały kulturę i formowały emocje. Nieprzypadkowo najbardziej szokujące zboczenia rozwijały się w najdawniejszych czasach i znacznie się zredukowały wraz z biegiem czasu. Wystarczy wspomnieć choćby Sodomę i Gomorę oraz późniejszych rzymskich cesarzy.

Rzeczywiście, co mieli do roboty jacyś tam herzogowie? Opijać się, obżerać i pławić się w grzechu, no i oczywiście powojować trochę! Cóż może być bardziej upajającego jak igranie ze swoim życiem i z życiem innych? Dlatego wojna na przestrzeni historii okazuje się najlepszym lekarstwem na nudę. Założenie, że saksońskiemu na przykład herzogowi potrzebny był kolejny tytuł, żeby – rozszerzając swoją posiadłość – mógł polepszyć ekonomię, pomnożyć bogactwa itp., to zwykłe banialuki. On nie umiał i nie chciał zarządzać dobrze własnym majątkiem zgodnie z prawami ekonomii, bo po co mu kłopoty?

W przerwach między wojnami, kiedy nuda jątrzyła dniem i nocą, jedyne, co zostawało, to intrygowanie, otrucie bliźniego albo odrańbanie mu głowy bądź dokonanie jakiegoś podobnego wyczynu. Tak ciągnęło się latami i stuleciami, nuda dławiała i szukała ujścia, więc jedynymi dostępnymi możliwościami zaradczymi były wojny, intrygi albo przygody miłosne i związane z tym przypadki śmierci. Otwórzcie pierwszą, lepszą, książkę historyczną, jaka wam wpadnie w ręce, a sami zobaczycie, że oprócz wojen i intryg nie ma w niej nic innego. Wszystko inne dla historii nie istnieje, dlatego jej też jest nudno.

Nuda najlepiej motywuje i stymuluje, nie ma nic silniejszego. Właśnie ona uformowała człowieka jako osobę odpowiedzialną za całe dobro, jakie go spotyka, i za wszelkie zło również”.

Wstaję i prostuję zdrewniałe nogi i plecy, siedzenie na drzewie na pewno jest malownicze, ale niezbyt wygodne. Potrzebuję ruchu, więc idę, nie rozpoznając ścieżki, szurając stopami w szeleszczącej warstwie pożółkłej trawy, lubię ten szelest, dlatego brodę moją ścieżką donikąd. Jej wszystko jedno, dokąd idę.

Idę i rozmyślam, w tej książce znów jest dużo prawdy, dla mnie nie było nigdy nic bardziej depresyjnego niż nuda i brak zajęcia. Po prostu zaczynałam od razu chorować, kiedy nie miałam co robić. Jak strasznie się czułam na początku we Florencji, osamotniona, bez przyjaciół, nawet bez znajomych. Wszystko, czym się zajmowałam, to zajęcia na uniwersytecie i pisanie listów do Steve'a. Pisałam do niego prawie codziennie, dzieliłam się z nim każdym drobiazgiem: kiedy się obudziłam, co jadłam na śniadanie, z kim rozmawiałam przez telefon. Żaliłam mu się na to, jak mi tu trudno w nowym miejscu bez znajomości tutejszej kultury, a przede wszystkim bez znajomości języka.

„Teraz – próbowałam wyjaśnić Steve’owi – wszystko jest niejednoznaczne. Pierwszy raz zamieszkałam w ogromnym, europejskim mieście, nie wiedząc wcześniej, jakie naprawdę są takie miasta. Do tego Florencja nie jest zwykłym miastem. Jeżeli patrzy się na nią z góry, z zaśnieżonego siatką okna Palazzo Uffici, to Florencja wydaje się zawiłym wzorem żółtawobrazowych form kubistycznych, intrygującą siecią chodników z terakoty, jakby sama była muzeum, a ja eksponatem zaklętym w kamiennym obramowaniu starego otworu strzelniczego. Potem bardzo dobrze jest wyjść na plac i pójść wzdłuż płynącej leniwie rzeki, nurzając się w zapomnianych zaułkach niezgrabnie omijających malutkie jak zabawki ozdobne kapliczki i otaczające je mikroskopijne placyki. I znów zagłębić się w plataninę domów, w stuk kroków po brukowanych ulicach, w cisnące się z obu stron fasady, bawiące się kłaśnięciami drewnianych okiennic. Poczucie się odcięta od świata, od mijającego czasu, kłopotów, osamotniona, rozstrojona, pozostawiona sama sobie i zależnej tylko od siebie”.

„Potrzeba czasu – napisałam w następnym liście, już znacznie później – na to, żeby najpierw poznać i ocenić miasto, a potem przyzwyczaić się i polubić jego energię. Przecież wiesz, tęsknię do naszej przewidywalnej, wygodnej Ameryki, do prowincjonalnych miasteczek o cichych drzemiących, prawie wyludnionych uliczkach ze zgrabnymi domkami, z bardzo zielonymi, a niekiedy kwitnącymi drzewami. A tutaj jest miasto. Oczywiście, stresuje i wyciąga z człowieka energię, ale z drugiej strony ładuje. Pamiętasz, pisałam ci, że poznałam Jonathana, to on opowiedział mi o mieście i oprowadził mnie po nim”.

„Pamiętam, napisałaś o tym bardzo krótko albo zaledwie wspomniałaś – odpowiedział Steve w następnym liście. – Opowiedz mi o nim, a jeżeli będziesz miała czas, narysuj go, żebym mógł go zobaczyć”.

„Jonathan urodził się w Ameryce – napisałam Steve’owi – ale jeszcze jako dziecko znalazł się w Europie i przebywał z rodzicami w różnych krajach. Rozmawia swobodnie w pięciu językach i lubi opowiadać o sobie niewiarygodne historie, nie wierzyłabym w nie, gdybym przedtem nie sprawdziła, że są prawdziwe. Ma wesołą, dobroduszną twarz, wysokie, łysiejące czoło, wiesz, takie ze skórą pokrytą fałdkami zmarszczek. Włożyłam do listu ołówkowy szkic, więc go zobaczysz. Wszędzie mnie ze sobą prowadzi, poznaje z nowymi ludźmi, zna osobiście chyba absolutnie wszystkich. Zupełnie nie wiem, dlaczego przejawia tyle troski o mnie, między nami nic nie było, nie denerwuj się, on zupełnie nie jest w moim typie. Być może pochlebiamu, że sympatyczna dziewczyna boi się odejść od niego nawet na krok i słucha każdego jego słowa”.

„Na pewno tak jest. Każdemu by to pochlebiało”.

Steve teraz często się ze mną zgadza. W ogóle bardzo się zmienił podczas trwania naszej korespondencji, jego listy nabrały głębi, są przepełnione uczuciem, wydaje mi się, że odczuwam jego obecność.

„Być może – napisałam do niego – jesteśmy oboje skazani na przemianę. Prawdopodobnie wpłynęła na to dzieląca nas odległość albo fizyczna niemożność uczestniczenia w życiu drugiego potrzebowała pełniejszej, emocjonalnej obecności. Przecież minęło już tyle czasu”.

„Rzecz nie w czasie, ale w rozłace – odpowiadał Steve. – Rozłaka wpłynęła na nas, zmusiła nas do przewartościowania, porozstawiała wszystko zupełnie inaczej. To, co było ważne, stało się niczym, co przyjmowaliśmy jako oczywiste i powszednie nagle okazało się jedynie cennym, ale już nieosiągalnym. Rozłaka jest właśnie tym bezstronnym arbitrem, każącym zapomnieć o urazach, zazdrości, chęci dominacji. Pozostawia tylko jedyną ważną rzecz, na której opiera się miłość – partnerstwo.

Kochałem cię zawsze, ale czyż mogłem wiedzieć, tak jak wiem teraz, zawdzięczając to właśnie rozłące, że jesteś wszystkim, co mam w życiu. To, czym jesteś, jest w jakimś stopniu tym, czym ja sam jestem. Zrozumiałem też, że zachować zupełnie czystą miłość można, co jest dziwne, tylko dzięki rozłące. Jest ona jakby sarkofagiem, na którego zawartość nie ma wpływu czas, a jeżeli tak myślimy, to, być może, nawet dobrze, że jesteśmy rozłączeni. Tylko w ten sposób możemy zostać ze sobą na zawsze. Wszyscy pozostali, którzy jeszcze znajdują się w naszym życiu, czy są naprawdę ważni, czy mają jakiegokolwiek znaczenie? Przecież doskonale oboje wiemy, że nikt nie zajmie mojego miejsca obok ciebie, tak jak nikt nie zajmie w moim sercu twojego miejsca. Jesteśmy na sobie, można powiedzieć, skazani”.

„Masz na pewno rację” – napisałam w odpowiedzi, a potem w którymś z następnych listów dodałam: „Z całą pewnością masz rację. Stałeś się najważniejszym człowiekiem w moim życiu i na zawsze nim zostaniesz. Określasz moje życie i nigdy z niego nie znikniesz, co by się z nami, ze mną, nie stało. Przeciwnie, jestem przekonana, że zawsze będę istniała w twoim życiu, bez względu na cokolwiek”.

„Tak będzie” – zgodził się Steve.

Stopniowo nasze listy zaczęły ograniczać się do zwyczajnych tematów, a potem, stopniowo, niepostrzeżenie, a wreszcie całkiem jednoznacznie, przeszły w trywialność. Wszystko zaczęło się od tego, że Steve opisał swoją wizytę u prostytutki, opisał w najdrobniejszych szczegółach, co więcej, bardzo obrazowo, mocnymi słowami. Oczywiście bardzo trudno było mi to czytać, było to dla mnie nawet bolesne, a potem powiedziałam sobie, że życie to tylko życie, nie widzieliśmy się przeszło dwa i pół roku, właściwie to on ma rację, musimy być szczerzy wobec siebie. Dlatego, że szczerowość naprawdę zbliża. W następnym liście Steve poprosił mnie:

„Napisz mi, kto teraz ciebie pieprzy”.

Opisałam mu, chociaż nie tak dokładnie jak on, bardziej powściągliwie.

„Dokładniej” – poprosił w następnym liście.

„Co dokładnie?” – zapytałam.

„Wszystko. Opowiedz mi o wszystkim szczegółowo. Ze wszystkimi detalami”.

A ja mu opowiedziałam, trudno mi nawet wyjaśnić, co wtedy czułam. Rzeczywiście oczyszczałam się, jak na spowiedzi, im bardziej szczerą byłam w tym, co opisywałam, tym łatwiej zrzucałam z siebie ciężar, robiłam się lżejsza i spokojniejsza. Wydawało mi się, że piszę dziennik, a nie list, że piszę go dla samej siebie, więc niczego nie ukrywałam. Jedyna różnica była w tym, że mój „dziennik” potrafił mi odpowiedzieć dokładnie i mądrze.

Zdumiewające, że nasze odczucia, moje i Steve’a, zgadzały się coraz częściej. Przyznawał się, że on także, tak jak ja, wypróbował wszelkie cielesne rozkosze, nieznane mu wcześniej przed początkiem naszej korespondencji, która była naszą spowiedzią.

„Wiesz, Jackie – pisał – długo rozmyślałem nad tym, dlaczego opanowała mnie taka dziwna, niezrozumiała potrzeba szczegółowego opisywania ci wszystkiego. W końcu zrozumiałem. Nie mogliśmy już zmienić siebie nawzajem. Przekroczyliśmy granice, za którymi znajduje się zmiana, dla nas takie pojęcie już nie istnieje. Nasza miłość wzniosła się ponad wszelkie konwencje, zawiera jedynie czyste uczucie i oddanie, nikt nie może jej zbrukać ani zniewolić. Jedyne zagrożenie to tajemnice i dlatego właśnie, żeby go uniknąć, muszę się nauczyć całkowicie się otwierać, tylko w ten sposób mogę cię jeszcze bardziej zbliżyć do siebie, nienaturalnie blisko, niemal wtopić w siebie. Tak, żeby już nie można było odróżnić, gdzie ty, a gdzie ja. Przecież nie może już być niczego bardziej intymnego!”

Steve miał rację, byłam z nim szczerą, tak jak ze sobą. Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo miałam o czym opowiadać: tych kilku mężczyzn, z którymi spotykałam się podczas dwuipółrocznego pobytu we Florencji, prawdę mówiąc niczego nadzwyczajnego nie wniosło w moje życie. Prawdopodobnie ciągle jeszcze porównywałam tych włoskich chłopców z jeszcze nie pogrzebana, a przeciwnie, wciąż żywą, tkwiącą, podskórnie przeszłością i żaden z nich nie wytrzymał tego porównania.

Ja także nie rozumiałam, dlaczego się z nimi spotykam, tak dalece beznadziejna wydawała się kontynuacja tych związków. Różne były okresy ich trwania – tydzień, miesiąc albo trzy – nie więcej. Pisałam o tym Steve'owi, opisując każdego mojego nowego przyjaciela, próbując w każdym z nich znaleźć coś szczególnego, ale niczego nadzwyczajnego nie znajdowałam, nawet w seksie.

Dołączałam do listów rysunki, zrobiłam nawet kilka erotycznych szkiców, starałam się, żeby Steve rozpoznał na nich mnie, nie chciałam jednak fantazjować, rysowałam tylko to, co działo się naprawdę, niczego więcej. Lecz to, co się działo, traściło nudą, nie było o czym opowiadać, zauważyłam nawet w listownych odpowiedziach, że Steve jest rozczarowany moją włoską bezbarwnością.

Kiedyś, w lutym, Jonathan podjechał po mnie, jak zawsze nieoczekiwanie, w pośpiechu, bez uprzedniego telefonu. Siedziałam sama w swoim maleńkim, wygodnym mieszkaniu, już od dawna je wynajmowałam, czytając pismo architektoniczne, rozmyślając jednocześnie, dokąd mam się wybrać. Nic nie potrafiłam wymyślić, że swoim ostatnim włoskim chłopakiem rozstałam się ponad trzy miesiące temu i odtąd z nikim się nie spotykałam, żeby nie doświadczyć kolejnego nieudanego związku.

Tak więc Jonathan zjawił się w samą porę, nalałam mu grappy, wiem, że lubił właśnie grappę. Wypił ze smakiem, a ja znowu napełniłam jego kieliszek.

– No, zbieraj się prędko, jedziemy – powiedział, i chociaż było mi absolutnie wszystko jedno dokąd, zapytałam:

– Dokąd mam się zbierać?

– Idziemy do teatru. – Chodził po pokoju, rozglądając się, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu.

– Mam zaproszenie na premierę, wstąpimy jeszcze po...

– wymienił imiona dwóch osób, znałam je – i prosto do teatru.

On jest jak przyjaciółka – pomyślałam – najwierniejsza i bezinteresowna, zawsze jest obok mnie, kiedy go potrzebuję.

– Idziemy. Daj mi tylko parę minut, muszę się ogarnąć.

– Prędko, i tak jesteście już spóźnieni.

Jonathan podszedł do barku, znów nalał sobie grappy, potem wygodnie rozsiadł się w fotelu.

– Co to za przedstawienie? – krzyknęłam z sypialni.

– Co to za różnica? – On też musiał do mnie krzyżeć.

– Jakaś tam premiera.

– Przecież jesteś teatrologiem. Nawet tytułu nie znasz?

– Włożyłam już sukienkę i teraz stałam przed lustrem.

– Znam. Ale czy istota leży w tytule? – Zamilkł, a ja po długości pauzy zrozumiałam, że pociąga z kieliszka. – Zresztą sam spektakl nie jest taki ważny. Ale po przedstawieniu będzie bankiet z okazji premiery. – Znow zamilkł.

– Tak? – krzyknęłam, poganiając go. – A my tam po co?

– Jak to po co? Będą tam różni ludzie, z którymi chcę się spotkać.

Wzięłam torebkę i weszłam do salonu, stukając szpileczkami. Jonni spojrzał na mnie taksująco, jak zawsze trochę z kpina, ale przywykłam do tego.

– Ja mam zawsze rację – powiedział, wstając z fotela. Ze zdziwieniem uniosłam brwi. – Jesteś niewątpliwym na-

czyniem grzechu, a ja głupio robię, że tego nie wykorzystuję. Nie zaspokajam, by tak rzec, pożądaną.

Uśmiechnęłam się, chciałam odpowiedzieć w tym samym duchu, cokolwiek na temat braku pożądanego u niego, ale moja błyskotliwość nagle mnie opuściła. Dopiero schodząc po schodach wymyśliłam coś odpowiedniego, ale on już mówił o czymś innym, więc wyskoczyłabym ni w pięć, ni w dziewięć.

Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Widownia z jej pochrzakiwaniami, pokastywaniami i szeptami za naszymi plecami, jakby w ogóle nie istniała. Pomieszczenie okazało się niewielkie i nasze fotele dzieliła od sceny odległość około dwóch metrów, nie więcej. Aktorzy byli tak blisko, że dosłownie można było wyciągnąć rękę i prawie ich dotknąć. Wyraźnie widziałam ich oczy i wyczuwałam płynącą od nich energię, wręcz czułam zapach ich ciał. Pewnie dlatego wydawało mi się, że grają tylko dla mnie, że ani z tyłu ani obok mnie nie ma nikogo, tylko ja i oni, chwytalam nawet ich spojrzenia, które wciągały mnie w akcję. To czarodziejskie uczucie bliskości było tak wciągające, że zapomniałam o przyjaciółach i realnym życiu. To, które toczyło się przed moimi oczami, wciągało mnie tak dalece, że gotowa byłam wejść na scenę i od razu, bez żadnego przygotowania, nawet nie znając scenariusza, stać się jego częścią. Wysunęłam się do przodu, prawie nie oddychając, bojąc się przepuścić bodaj jedno spojrzenie, ruch, westchnienie, jeszcze nigdy nie miałam tak napiętej uwagi. Oni, moi współnicy na scenie, wyczuwając moją fascynację, zwracali się teraz tylko do mnie.

Spektakl się skończył, ale ja wciąż tkwiłam w jego środku, czułam, że mam jeszcze na twarzy aktorską szminkę, moje oczy nie straciły blasku, a wszystko ze mnie wylało się na zewnątrz z jakimś emocjonalnym żarem. Jonni był obok mnie, po dżentelmeńsku podał mi ramię i przywołując

uśmiech na swoją trochę zbyt szeroką twarz, unosząc się na palcach, wyszeptał mi do ucha:

– Wszyscy na ciebie patrzą – a potem głośniej – niezręcznie mi stać obok ciebie.

– W porządku, niech patrzą – zbyłam to. – Dziś jestem tylko z tobą,

– Nie zarzekaj się – usłyszałam.

I już ciągnął mnie przepychając się przez tłum i mocno trzymając za rękę, co jakiś czas z kimś się witał albo klepał kogoś po ramieniu wolną ręką, nawet udawało mu się co jakiś czas zamienić z kimś kilka słów. Potem weszliśmy do krętego labiryntu, przytłoczonego nisko wiszącym sufitem z rozbiegającymi się nieoczekiwanie korytarzykami. Wszystko wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne i groteskowe z powodu wiszących na ścianach, spęczniałych od wilgoci starych afiszy teatralnych i programów. Znów zmieniliśmy kierunek i nagle weszliśmy w rozentuzjasmowany, rozdyktowany, nie wiadomo kiedy zebrany, ale już podpity i owiany dymem papierosów tłum ludzi. Goście byli już na obrotach, wszyscy trzymali w dłoniach plastikowe kubeczki, wszyscy mówili jednocześnie, nie słuchając swoich rozmówców, było gwaro, czuło się zapach potu, co w sumie oznaczało, że jest wesoło.

Jonni w mgnieniu oka rozplątał się w tłumie, wszyscy go znali i lubili, obserwowałam, z jakim wyczuciem i refleksem znajdował dla każdego odpowiedni wyraz twarzy, odpowiedni uśmiech czy gest. „Trzeba mieć prawdziwy talent, żeby umieć obcować z tak wieloma osobami – pomyślałam – on jest urzekający i bystry, jest w nim jakaś lekkość, można powiedzieć, że wręcz charyzma. To nawet nie wygląd zewnętrzny, nie elokwencja, ale jest niewątpliwie pociągający. Oczywiście, jest świadomy swojego uroku i wykorzystuje to, a dlaczegożby nie, każdy wykorzystuje swój talent, jeżeli go posiada, to oczywiste”. Wiedziałam

o Jonnim, że w żadnym związku nie pozostaje długo, zwłaszcza z kobietami, ale gdy kończył tego rodzaju zażyłość, robił to z takim wdziękiem, że nawet nie można się było na niego obrazić.

Wzięłam szklaneczkę i cofnęłam się pod ścianę, tyknęłam, w ustach zrobiło mi się słodko i lepko, wyjęłam papierosa, pstryknęłam zapalniczką. Czułam się trochę niezręcznie, wydawało mi się, że wszyscy się tutaj znają. Im stawało się głośniejsze i im bardziej wszyscy byli na rauszu, tym bardziej czułam się skrepowana, byłam tu niepotrzebna i zupełnie przypadkowa. To odczucie cudzego szczęścia, jakie emanowało wokół i wydawało się takie uchwytnie, za ledwie na wyciągnięcie ręki, znałam to uczucie doskonale, było zwodnicze: cudze szczęście zawsze jest nieosiągalne. Kilka razy podchodzili do mnie mężczyźni i próbowali zagadywać, ale widocznie zarażałam rozmówcę swoim skrepowaniem, peszył się więc i odchodził. W takiej sytuacji rozmowa stawała się niezdarna, zamierała w powietrzu i urywała się.

W rezultacie nie pozostawało mi nic innego, jak po prostu rozglądać się na wszystkie strony. Aktorzy, których dopiero co oglądałam na scenie, przebrali się już i teraz niczym nie różnili się od wszystkich pozostałych. Próbowalam w każdym z nich rozpoznać grana, przed chwilą, postać, lecz nie udawało mi się. Interesujące było to, że na scenie ich ciała i głosy były tylko podręcznym narzędziem służącym do stworzenia granej postaci – posłusznym i użytecznym. Pomyślałam wtedy także, że wystawione na pokaz ciało przestaje być zakazane i niedostępne. Oglądając spektakl przypuszczałam, że oni z całą pewnością sypiają wszyscy ze sobą, że nie ma między nimi żadnych barier, że prawdziwa bliskość powinna być cechą właśnie ich świata, jak wyjście na scenę każdego wieczoru. W myślach przeciągałam nawet niewidoczne niteczki miłosnych więzi łączące ze sobą tych lub tamtych.

Widocznie jednak pomyliłam się. Tutaj, w tym zasnutym dymem papierosowym i hałaśliwym pomieszczeniu, aktorzy wyglądali na zdystansowanych, nawet zupełnie sobie obcych. Mężczyźni przyprowadzili dziewczyny spoza środowiska, a aktorki – mężczyzn, także zupełnie spoza branży. Patrzyłam na nich i myślałam, że widocznie światek teatralny już im spowszechniał, podczas gdy świat za murami teatru pociąga nowością i niespodziankami.

– Ma pani ciekawą zapalniczkę – rozległ się przenikliwy głos, aż się wzdrygnęłam.

Patrzył na mnie starszy człowiek, prawie starzec, niewysoki, szczupły, w jakiś sposób nawet kojarzyłyby mi się z Jonnim, gdyby nie kula. Zauważyłam, że trochę pociągał nogą, ale i kula, i szklaneczką w ręce posługiwał się nader sprawnie. Pomyślałam: „Jeszcze jeden”.

– Tak – powiedziałam – ma pan rację.

Rzeczywiście obracałam w dłoni zapalniczkę, bardzo starą, jeszcze benzynową z interesującym wygrawerowanym rysunkiem.

– Można obejrzyć? – poprosił i dziwacznie odwrócił głowę, częściowo wyginając szyję, przez co stał się podobny do ptaka.

Uśmiechnęłam się i podałam mu zapalniczkę. Obrócił ją w dłoniach i zwrócił mi.

– Pani w jakiś sposób jest związana z teatrem? – zapytał, opierając się na kuli. W tym momencie opuścił na ramię głowę i z taką, nieco przekrzywioną, rozglądał się dokoła. Teraz wyglądał zupełnie jak nauczony mówić ptak.

„O Boże – pomyślałam – znów się zaczyna”. Mimo wszystko zmusiłam się i ułożyłam usta do kolejnego, wystudiowanego uśmiechu.

– Nie, ani trochę.

– Dziwne.

Otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów, nawet odsunął się kilka kroków, żeby lepiej widzieć; słowo honoru, tylko Włosi pozwalają sobie na coś podobnego.

- Ma pani dużo gracji, obserwuję pani ruchy.
- Jeżeli pan chce, to się przespaceruję – powiedziałam.
- Tylko sukienka mi przeszkadza, jest bardzo wąska, ale mogę ją zdjąć.

Roześmiał się, choć uśmiech, wystudiowany, zastygły grymas i tak nie opuszczał jego twarzy. Oczy spoglądały przenikliwie i chłodno i nie miały nic wspólnego z uśmiechem czy wesołością.

– To śmieszne. – Na szczęście zrozumiał, że żartuję, chociaż niczego śmiesznego w tym, co powiedziałam, nie było. – Nie, nie trzeba. Ja i tak widzę. Jest pani Amerykanka? – zapytał nagle, a sztuczny uśmiech nadal wykrzywił jego twarz.

– Tak – odpowiedziałam – jak pan na to wpadł? To niemożliwe, żeby po akcencie. – Widocznie to też było śmieszne, bo znów się wykrzywił.

– Tak jakoś rozpoznałem.

Dalej żartował, ale nie było w tym ani cienia wesołości i nawet nie starał się tego ukryć. Jego ramię znów wsparło się na kuli, a głowa przekrzywiła, jak za pociągnięciem sznurka, nawet spojrzenie uciekło w bok, naprawdę był podobny do ptaka, taki przekrzywiony spojrzał na mnie i powtórzył:

– Jakże można tego nie rozpoznać, oczywiście że rozpoznałem. – Nagle z nachyloną w moją stronę głową i głupkowatym uśmiechem, marszcząc czoło powiedział:

– Czy nigdy nie zastanawiała się pani nad tym, jak powierzchowność wpływa na los człowieka?

Chciałam odpowiedzieć, ale powstrzymał mnie, nawet nie zorientowałam się, w jaki sposób, bo nic się nie zmieniło w jego twarzy, tylko zastygła jeszcze bardziej.

– Nie, pani nie zrozumiała, nie na charakter człowieka, nawet nie na powodzenie, a na jego los. Po wyglądzie zewnętrznym można przewidzieć, co się stanie z człowiekiem w przyszłości.

Chciałam go zapytać: „No, a co się stanie ze mną?” – a jakże inaczej mogłam podtrzymywać tę idiotyczną rozmowę? – gdy w tym momencie, chwala Bogu, mignął mi obok Jonni i ściągnęłam go błagalnym spojrzeniem. On rzeczywiście czuł się w tym towarzystwie jak ryba w wodzie, od razu trzepnął staruszka po ramieniu, uśmiech jego pełnych warg stał się szerszy niż rozciągnięte usta mojego rozmówcy, tak jakby konkurowali w szerokości uśmiechu. Tyle tylko, że u Jonathana był dobry.

– Ach – powiedział – Alfred cię zabawia.

Uśmiechnął się do Alfreda, że niby to on, ach, nie wiadomo kto.

– A to jest Jackie, we własnej osobie... – Zatrzymał kogoś przechodzącego obok – Dino, witaj!

Tamten odwrócił się i podszedł do nas, zdawało mi się, że widziałam go już przedtem. „Gdzie ja go widziałam?” – pomyślałam.

– To Jackie, a to jest Dino. – Oboje wykrzywiliśmy się w konwencjonalnych uśmiechach. – A więc tak, moja droga – Jonathan objął mnie w pół, z pełną ostentacją, głoszącą, wszem i wobec, że ma do mnie tylko stosunek przyjacielski – jeżeli Alfred się przed tobą popisował, to nie bez przyczyny.

– Dlaczego nie bez przyczyny? – zapytałam, znów odpowiadając na uśmiech starca.

– Dlatego że – zachichotał Jonni – jeżeli Alfred chce kogokolwiek olśnić, to nigdy nie bez powodu.

Wszyscy trzej roześmieli się, oprócz mnie. Jonathan zrozumiał, że nie jest mi do śmiechu, i uspokoił się.

– Nie, teraz poważnie, Alfred to nasz najlepszy reżyser, przecież słyszałaś o nim – wymienił nazwisko, aż się zachłysnęłam, tak było znane. – A ty tu sobie stoisz i absorbujesz go, pewnie naopowiadałaś już kupę świństw, przecież wszyscy cię z tego znają,

Przeniósł spojrzenie na starca i szeroko się uśmiechnął.

– Absorbuj cię, Alfredzie, prawda?

– Absorbuj – zgodził się tamten – ale w miarę. Miło i w miarę.

– No to w porządku. – Jonni znów poklepał go po ramieniu.

– Bądź z nim ostrożna. To ostry kobieciarz. – To było już do mnie. Teraz ja oczekiwałam na klepięcie po ramieniu. – Ale

geniuszom pozwala się na to. Im pozwala się na wszystko.

– Znów zwrócił się do starca: – Przecież to nie aktorka i nie Włoszka, Alfredzie, ona jest oziębła. Będzie ci z nią ciężko.

– Nie wiem, nie wiem. – Oko Alfreda spojrzało jeszcze bardziej z ukosa i zastygło na mnie powątpiewająco, a ja nie rozumiałam, o czym on nie jest przekonany, czy o mojej oziębłości, czy o tym, że będzie mu niełatwo ze mną. Teraz, wiedząc kim jest, spojrzałam na niego innymi oczami: to, co jeszcze przed kilkoma minutami wydawało mi się dziwactwem, nagle stało się czymś zupełnie innym, sensownym.

„Co on powiedział na temat losu? – przypomniałam sobie. – Aha, że można go określić na podstawie powierzchowności. To dziwne”.

– Dobrze, maestro, chodźmy, mam do ciebie sprawę – powiedział Jonni do starca i, mimo że tamten ciągle jeszcze spoglądał na mnie jak ptak, jednym okiem, nie odrywając spojrzenia i nie mrugając, wytrzymałam i też nie odwróciłam wzroku. Ale Jonni już odciągał go na bok, a ja słyszałam, jak mówił, żartobliwie, lecz z szacunkiem:

– Potrzebna mi jest twoja przenikliwość, maestro, i mądrość. Przede wszystkim mądrość. – Już na odchodnym obejrzał się i rzucił: – Dino, zaczekaj na mnie, muszę z tobą pogadać. – Przy okazji puścił do mnie oko.

Znów spojrzałam na Dina. Zostaliśmy sami.

– Już gdzieś pana widziałam, przyglądałam się i nie mogę sobie przypomnieć. – Poczułam się niezręcznie i uśmiechnęłam się.

– Oczywiście, że mnie pani widziała. Mniej więcej pół godziny temu, na scenie.

Aż chwyciłam go za rękę.

– Oczywiście, występował pan w sztuce. Grał pan tego, jak mu tam...

Potaknął.

– Od razu panią rozpoznałem. Siedziała pani w pierwszym rzędzie, razem z Jonnim. Bardzo uważnie pani słuchała, wybrałam panią jako widza. Wie pani, jest taki sposób, wybiera się jedną osobę, która najbardziej uważnie uczestniczy w oglądaniu spektaklu, i gra się tylko dla niej.

– Tak, tak – powiedziałam – wiem.

Mówił szybko, ale nie trajkotał, lecz wyraźnie i bardzo dokładnie rozdzielał słowa, przy tej niezwyklej manierze głosu, sam w sobie miękki i jedwabisty, brzmiał, jakby jego posiadacz był zdenerwowany. Spojrzałam mu w twarz, nie była smagła, ale wydawała się mocno opalona. Miał długie, czarne, kręcone włosy, a oczy migdałowe i jasne. W świetle nadawały jego twarzy niezwykle wyraz. Był krępy, średniego wzrostu, nieco wyższy ode mnie, od razu zauważyłam trapezowaty kształt jego figury i wypukłości mięśni pod koszulą.

– Tak, to prawda – powtórzyłam – oczywiście, pamiętam pana, pan znakomicie grał. – Próbowałam napić się ze szklaneczki, ale okazała się pusta.

Zauważył to i wyjął mi ją z dłoni.

– Znam przepis na świetny koktajl, spodoba się pani – powiedział i skierował się do stołu.

Patrzyłam na niego, poruszał się bardzo zgrabnie, widać było grę mięśni pod koszulą, w ogóle jego twarz, całe ciało, a nawet włosy znakomicie ze sobą harmonizowały. Dino wrócił, wręczył mi szklaneczkę, a ja spróbowałam.

– Bardzo smaczne – powiedziałam – dziękuję. Pan naprawdę znakomicie grał.

Im dłużej wpatrywałam się w niego, tym dokładniej przypominała mi się jego rola.

– Ależ nie, co też pani. To tylko niewielka rólka, zaledwie epizod. Jestem w zespole od niedawna. Alfred mnie zatrudnił.

– Czy on jest rzeczywiście taki – szukałam odpowiedniego określenia – nie wiem, utalentowany?

– Kto, Alfred? – skinał głową, – Jest dobry, wszystko dostrzeża, i bardzo – zaczął gestykulować, wymachując rękami – wszechstronny. Jest w nim wszystko.

– Wie pan, pomyślałam sobie teraz – powiedziałam, prawie mu przerywając – że pewnie ciężko jest być aktorem. Właśnie w tej chwili, patrząc na pana, pomyślałam o tym. Przecież każdy ma swoje życie, swoje kłopoty, czasami zmartwienia, ból głowy, wreszcie zły nastrój, tak jak u każdego z nas, zwykłych ludzi...

Przerwał mi, jego ręce znów zatańczyły, ale nie nerwowo, uzupełnione pięknym głosem:

– Tak, tak, rozumiem, o czym pani mówi. Ma pani rację, co wieczór trzeba być w teatrze, trzeba się przeistoczyć, przestać być sobą, zapomnieć o tym, co niepokoiło, a być może, rozdrażniało jeszcze przed minutą. Każdego dnia trzeba stawać się kimś innym, żyć innym życiem i wcielać się w postać.

Mówił w uniesieniu, a jego namiętny głos przykuwał uwagę.

– Czy pani wie, kto byłby najlepszym aktorem? – zapytał, a ja zamilkłam, oczekując na dalszy ciąg. – Człowiek z podwójną osobowością, nawet z potrójną, albo poczwórna, – Nie rozumiałam, czy żartuje, czy mówi poważnie. – Właściwie to niezupełnie tak, to zawód aktorski powoduje rozdwojenie, stymuluje je. My, aktorzy, jesteśmy dziwnymi ludźmi.

Oczy Dina zweżyły się. Wydawały się tak żywe, jakby gotowe były oddać część jego samego – tylko brać. Nagle zrozumiałam, czego pragnę.

– Czy pan też jest dziwny, Dino? – zapytałam.

– Ja? – na mgnienie oka zastanowił się. – Ja chyba też jestem dziwny. – A potem dodał: – Ja na pewno jestem dziwny. A pani?

Jego spojrzenie jakby chciało zatonać w moich oczach.

– Nie wiem, nigdy nad tym się nie zastanawiałam. Nie, myślę, że nie, jestem zwyczajna. A panu jak się wydaje?

– Pani pragnie, żebym powiedział, że niezwykajna? – Oboje roześmieliśmy się. – Tak, w pani jest rzeczywiście coś takiego niezwykłego, tylko jeszcze nie mogę się zorientować, co to takiego.

– Ale panu to „coś takiego” podoba się? – Sama nie bardzo rozumiałam, po co to wszystko mówię.

– Niech mi pani pozwoli się zastanowić – znów się uśmiechnął, a potem prędko zgodził się: – Tak, podoba się.

– W takim razie niech się pan nad tym nie zastanawia – doradziłam mu.

– Nie będę.

Zamilkliśmy, Dino patrzył na mnie. Próbowiałam spuścić oczy, ale to było trudne. Milczeliśmy oboje i ta przedłużająca się cisza była bardzo wymowna.

– A pan jest dobrym aktorem? – zapytałam w końcu i całkiem dobrze to wypadło, zdecydowanie i nieoczekiwanie. Wydawało się, że nawet się nie zdziwił.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nieżyłym. – Zamilkł, jakby się zastanawiał, czy ciągnąć dalej. – Chociaż nie znam zbyt wielu, którzy są lepsi ode mnie. Myślę jednak, że pewnie z czasem...

– A czy może pan w tej chwili zapłakać? – Nie zgrywałam się, tak mnie po prostu napadło.

– Mógłbym.

– Niech pan zapłacze, tak żeby panu łyzy ciekły.

– Nie – powiedział – musiałbym zmienić nastrój, a nie chcę. Podoba mi się ten obecny.

– A w jakim jest pan teraz nastroju?

Sama się dziwiłam, wcale nie chciałam rozmawiać kokieteryjnie, ale jakoś tak wyszło. Dino nie odpowiedział, tylko po prostu wyciągnął rękę, nie tyle opalona, jak spostrzegłam, co raczej złocista, i znienacka silnie chwycił moją w okolicy łokcia, w miejscu, gdzie kończył się rękaw sukienki.

Boże, natychmiast zrozumiałam, po co to zrobił. Mrowiący, lodowaty dreszcz przeszył moje ciało, przestraszyłam się i próbowałam wyrwać rękę, ale on nie puszczął. Nie wiem dlaczego się tak stało i co dokładnie poczułam: czy to była tylko jego gorąca, sucha ręka, czy nieznan mi wcześniej hipnotyczny impuls, ale już nie próbowałam się uwolnić. Spodobała mi się ta silna, ale nie ciężka, przeciwnie, sprężysta ręka, udało mi się nawet uśmiechnąć i oderwać wzrok od napiętych mięśni.

– Tak – powiedziałam – czuję.

– Tak, wiem.

Rozwarł palce i na skórze rozsypały się najpierw białe, a potem, od razu, niezwłocznie paśowiejące ślady. Znów pomyślałam sobie, że podoba mi się ta ręka, męska, mocna, z nabrzmiałymi żyłami, lecz nie szorstka, a lekka, z miękką, jak u dziecka skórą. Już po ręce wyobrażałam sobie jak wygląda jego ciało, domyśliłam się, że jest silne, nawet zatrzymałam wzrok na lekkiej wypukłości pod dżinsami. Zdażyłam pomyśleć, że po wyglądzie ręki można określić wszystkie inne części ciała, tym bardziej wyobrazić sobie, jak one reagują. Zobaczyłam, że on to zauważył i podążył w ślad za moim wzrokiem, dokładnie krzyżując z nim swój wzrok. Z całą pewnością, wszystko od razu zrozumiał, ale mnie, sama zdziwiłam się z tego powodu, nawet nie było wstyd. Wprost przeciwnie, byłam spokojna, że nie potrzeba żadnych słów, znaków, bo wszystko jest całkowicie jasne.

– Tutaj jest duszno, Jackie – rzeczywiście znalazł jakieś wytłumaczenie – może wyjdziemy na dwór?

– Tak, chętnie – zgodziłam się. Niemal wyszliśmy już z sali, kiedy zatrzymałam się: – Proszę poczekać, Jonathan chciał z panem porozmawiać.

– Nieważne – powiedział mimochodem. Wydawało się, że mnie nie trzyma, ale niemal ciągnął mnie za sobą. – Jutro do niego zatelefonuję.

Dino przydusił mnie od razu w korytarzu, wgniatając w ścianę wpił się we mnie. Ledwie rozchyliłam usta, kiedy jego wargi pochwyciły je, były rozpalone i suche, tak jak niedawno jego ręka. W tym momencie przeniknął mnie od ich dotyku i przemknął się po moim ciele jakiś nieznany prąd i wprawdzie poczułam ulgę, ale zrobiło mi się ciemno przed oczami i zawisłam na nim. Usłyszałam, jak ktoś przeszedł obok i powiedział ze śmiechem:

– Dino, nie znasz lepszego miejsca niż korytarz? Przecież tu niewygodnie.

Oczywiście, to było głupie i dziecinne, ale odepchnęłam go, a on mi się trochę poddał, na tyle, żebym mogła oprzeć mu głowę na ramieniu i objąć go rękami, dlatego że to było jedyne możliwe oparcie.

– Zaczekaj sekundę – powiedziałam – coś mi się stało z głową. Chyba straciłam zdolność chodzenia.

Znów poczułam jego wargi i bardziej po ruchu niż po dźwięku zrozumiałam, co mówi:

– Nie musisz iść. – To była prawda, jedną ręką podtrzymywał mnie i okazało się, że siedzę na niej, wysoko, oderwana od ziemi.

Teraz znajdowałam się znacznie wyżej niż wszyscy, w górze i żeby nie spaść chwyciłam oburącz jego głowę; jego loki były tak pofalowane i miękkie w dotyku, a przy tym bardzo gęste, że zanurzyłam w nich ręce, a potem całą

twarz, łaskocząc się w nos, w czoło, w policzki, wdychając je, dusząc się w ich gęstwinie.

Niósł mnie tak lekko, prawie bez wysiłku jedną ręką, jakby ledwie muskając, że prawie sama nie czułam własnego ciężaru. Drugą ręką otwierał drzwi albo torował sobie w tłumie drogę na świeże powietrze. Byłam jak dziecko, maleńkie i bezbronne, gdyż nagle poczułam w Dinie coś bliskiego, kogoś ze swojego dzieciństwa, a może z poprzedniego wcielenia, kogoś, kto osłoni, obroni i pocieszy, ale w tym momencie zwierzęco mnie pragnie i ja też tak przeraźliwie tego chcę. Na pewno zbyt długo pozostawałam sama i osamotniona, ale teraz zostałam wynagrodzona za wszystkie swoje cierpienia, wiedziałam i nie myliłam się, on był stworzony dla mnie i należał do mnie, bez wątpienia był mój.

Już na ulicy ześlizgnęłam się na ziemię i całowaliśmy się dalej, bez przerwy, początkowo czekając na taksówkę, potem w środku niej. Kierowca spoglądał na nas w lusterku, ale mnie i Dinowi było wszystko jedno. Moja długa sukienka wprawdzie poddarła się do kolan, ale ciągle krepowała jeszcze jego ruchy, sięgał jedynie koniuszkami palców i zaczęłam żałować, że nie włożyłam czegoś krótszego.

– Dokąd jedziemy? – spytałam w końcu, kiedy moje wargi, które zaczęły puchnąć, odzyskały na chwilę wolność.

– Do mnie – powiedział. Skinęłam głową, chciałam powiedzieć „oczywiście”, ale już nie mogłam.

Nie zauważyłam nawet, dokąd przyjechaliśmy, jak wjeżdżaliśmy windą, jak Dino otworzył drzwi. Nie pamiętam jego mieszkania, niczego, oprócz niego samego, jego rąk, soczystych, miękkich warg. Byłam pewnie w jakimś amoku, bo jedyne, co zapisało się w mojej pamięci, to korytarz i jeszcze także to, że moja sukienka od razu została zerwana i upodobniła się do zmiętej szmatki, częściowo porozciąganej, częściowo pozadzieranej, częściowo porwanej. Pantofle

były porozrzucane, widocznie próbował ściągnąć ze mnie bieliznę, ale to okazało się zbyt trudne i czasochłonne, tak że byłam cała odkryta, rozwinięta, poobdzierana – nazwij sobie to jak chcesz. Stringi plątały się gdzieś w dole, przy kostkach, pamiętam, że bałam się źle stapać, skrepowana ich obciąża,

Nie potrafiliśmy pokonać korytarza, stałam, przyciśnięta do ściany, a Dino wodził po mnie rękami, ciałem, wargami. Nie potrafiłam sprecyzować, co on właściwie robił, tak długo na niego czekałam, tylko na niego, kiedy się wreszcie zjawił, niczego nie potrafiłam zapamiętać. Na moim ciele nie było już zakazanych rewirów, wszystko stało się jednorodną, wrażliwą na dotyk tkanką, która już nie prosiła się o miłość, ale żądała jej. Pamiętam, że Dino nie zdażył się nawet zacząć rozbierać, kiedy gwałtownie wyciągnęłam na wierzch jego koszulę i dłońmi zaczęłam obmacywać jego ciało. Trzęsło mna, rzucało, byłam zupełnie jak w szoku, tak z całą pewnością zachowuje się ktoś w ataku padaczki, wiłam się cała, falując biodrami i piersiami, okazało się, że nasze ruchy napędzają się nawzajem.

Tak silnie go odczuwałam, że od każdego drgnięcia zamierał mi mózg, a ja, żeby przeżyć, chwytalam ustami powietrze i w tym samym momencie oddawałam je z powrotem, wydychając i wydobywając przy tym z siebie jęk. Wiedziałam, że przeciekam, czułam wilgoć sącząca się ze mnie, ale on też o tym wiedział. Jego dłoń dotykała moich ud u samej nasady i ześlizgiwała się, rozchylając je, zagłębiając się na chwilę i już umazana lepka ciecżą, podążała dalej, dopóki nie zatrzymała się na brzuchu.

Potem zaczęło mi brakować jego ciała, wyciągnęłam rękę spod koszuli i ześlizgnęłam się w dół, próbując wcisnąć dłoń między zwarty brzuch a obciskające go dzinsy, ale udało mi się pokonać tylko kilka centymetrów. Wyjęłam więc rękę i przez spodnie namacałam nabrzmiąta, wypuk-

łość, palącą takim żarem, że nawet materiał się rozgrzał; nawet się nie domyślałam, jakie to może być. Ciepło od razu przeniknęło do mojej ręki, wlewając się w nią i rozpluwając się po całym ciele; już nic nie mogłam zrobić, ześlizgnęłam się w dół, na drżące kolana, tak jak na zwolnionym filmie, spełzając po nim, moją, obnażoną, bezbronną piersią, na pewno bolało, ale ja tego nie czułam.

Dino nie próbował mnie hamować, z lekka tylko mnie podtrzymawał, jakby kierując mna, była mi potrzebna taka troska, uniosłam głowę i tak patrzyłam na niego, osuwając się w dół. Moje ręce oburącz obejmowały jego ciało, one także, jak ja cała, ześlizgiwały się po nim, wyczuwając każdą nierówność, każdy centymetr, kolana szukały oparcia podczas tego opadania i w końcu je znalazły.

Trzęsło mna i ręce nie były w stanie poradzić sobie z paskiem i guzikami, niecierpliwie próbowałam je oderwać, nie mogąc ich rozpiąć, ale one nie poddawały się. W końcu zmusiłam się do koncentracji i wreszcie guziki, jeden po drugim, niechętnie puściły. Kiedy obiema rękami zsunęłam mu spodnie do kolan, on wyprężył się od razu w moją stronę, z całą swoją długo tłumioną siłą. Przestraszyłam się nawet, tak nagle pojawił się o milimetry od mojej twarzy. W mgnieniu oka owiało mnie powietrze, w którym czuć było duszący zapach ciała.

Nie pomyliłam się. On był tak samo piękny, jak reszta ciała, naprężony, trochę zgięty w jedną stronę, sterczący stromo w górę. Z lekka podrygiwał, czując widocznie bliskość mojej twarzy, a ja, rozgorączkowana, przesunęłam językiem po suchych z podniecenia wargach, nie myśląc nawet o tym, że mogę pomylić ruchy. Nie chciałam wszystkiego od razu, najpierw pochwyliłam palcami i przesunęłam nimi po całej jego, lekko wygiętej, powierzchni. Wydawało mi się, że Dino zajęczał w przeczuciu niewiarygodnie wyzwalającego zakończenia, czułam, że już dłużej nie mogę się powstrzymać.

Przylgnęłam doń rozpalonym policzkiem, a on, jeszcze bardziej rozogniony, teraz pulsował między policzkiem a dłonią, ocierałam się o niego, nie wpuszczając go na razie do środka, a on, oczekując, gwałtownie i bezradnie drgał w zaciśniętej na nim dłoni i trzątał, zupełnie tak, jak maleńki szczeniaczek, w nos, w czoło, w usta. Był goły i bezbronny, prawie pozbawiony skóry, ufny, w tym momencie mocno naprężony, nie agresywny, przesuwający się w dół twarzy krętą, wilgotną linią. To połączenie siły i bezbronności uczyniło go takim kochanym, że lekko rozchyliłam wargi.

Nie chciałam się śpieszyć, powoli wodziłam wargami, jakbym porównywała ich delikatność i pieśczołość z jego pieśczołością i delikatnością, nie próbując konkurować, a tylko porównać. Potem przesunęłam językiem po jego koniuszku, najbardziej rozpalonym czubeczką, chciałam go już pochwycić i wciągnąć w siebie. W tym momencie jednak on gwałtownie wcisnął się w moją dłoń, a jego i tak już niewygodne naprężenie stało się wręcz nierealne, ale tylko na mgnienie oka, bo potem, nagle wystrzelił i chlusnęło na mnie, wilgotnym, żywym i jeszcze gorętszym, zupełnie niespodziewanie, tak że nie zdążyłam się uchylić.

Policzki, czoło, usta, nawet zamknięte oczy zostały zalane, pod ręką dalej czułam jakby drgania wulkanu, zdołały mnie jeszcze dosięgnąć słabnące tryśnięcia. Poczułam słone bryzgi i teraz już cała twarz pokryła się nimi, a ja słyszałam dochodzący z góry krzyk i chrypienie, a on wił się w mojej dłoni, nie zamierając. Poczułam, że Dino pochwycił mój nadgarstek i ścisnął go bez zmiłowania, ale ja nie puszczałam, przeciwnie, moja ręka przesuwała się po nim i ścisnęła jeszcze mocniej, dusząc go bezlitośnie, aż w końcu osłabł, zaczął wiotczeć i zmarł, tak, jak zmarł dźwięk w górze, ostatnim, długim westchnieniem.

Siedziałam dalej, chociaż od razu poczułam, że jest mi niewygodnie w tej pozycji, a przede wszystkim z powodu

ściekającej po mojej twarzy lepkiej cieczy. Jej zapach, ciężki i duszący, od razu rozszedł się dookoła, było w nim ciepło i jeszcze żywa, ciągle podrygująca i pulsująca siła, podobał mi się ten zapach, łączył w sobie zwierzęcą siłę i, co dziwne, czułość, jeżeli tylko w zapachu może być czułość. Było mi jednak niewygodnie, próbowałam wstać i potknęłam się; bezsilne w tym momencie ręce Dina nie próbowały mnie podtrzymać, ale nie upadłam.

– Gdzie u ciebie jest łazienka? – zapytałam spokojnym, na ile potrafiłam, głosem, próbując przynajmniej jako tako uporządkować oplatającą mi nogi bieliznę, ale Dino wykonał tylko nieokreślony ruch ręką.

Kilka razy przemyłam twarz ciepłą wodą; gęstą ciecz nie tak łatwo dawało się zmyć, nie chciała umierać we wrogiej wodzie, więc się opierała, ale udało mi się ją pokonać. Policzki miałam jeszcze rozpalone, dlatego przełączyłam wodę na chłodną i długo je studziłam w nadziei, że chociaż trochę dojdę do siebie. Zmoczyłam ręcznik, przyłożyłam go sobie do twarzy i tak stałam nieruchomo, dopóki nie uspokoiłam oddechu, a potem, wycisnąwszy na palec pastę do zębów, rozcierałam ją na zębach, likwidując słonawy, lepki smak. Potem długo płukałam gardło, starając się, żeby on, tam za drzwiami, tego nie usłyszał: nie chciałam go obrazić.

Ciągle jeszcze stałam przed lustrem, oceniając sytuację. Niewątpliwie byłam rozczarowana, odczuwałam ciągnący ból w całym ciele, napięcie tak zupełnie do końca mnie nie opuściło, przeciwnie, wywołało poczucie skrepowania i ocieężałość. Oczywiście, myślałam, coś takiego może się zdarzyć, szczególnie we Włoszech, ale nie byłam jeszcze gotowa i nie oczekiwałam tego, tym bardziej ze strony Dina. Być może dlatego, że okazał się taki silny, uwierzyłam w jego pewność siebie i doświadczenie, a wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie prędko. Teraz najbardziej

pragnęłam wyjść, wymknąć się niezauważona, znaleźć się sama. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe, musiałam pobyć z nim jeszcze przynajmniej jakiś czas, dlatego odczuwałam znudzenie i rozdrażnienie.

W końcu zdecydowałam się i wyszłam. Dino zdażył narzucić na siebie długi granatowy szlafrok, widziałam, że na mnie czeka, jego oczy nie wyrażały nasycenia, jak tego się spodziewałam, a tak jak poprzednio były pełne pożądania, widać w nich było tylko lekkie zmieszanie. Moje rozdrażnienie natychmiast uleciało, był taki miły, znów bezbronny, znów zdany na mnie. Poczułam czułość, przypominając sobie, jaki rozentuzjasmowany i pełen obfitości był jeszcze dziesięć minut temu. Podeszłam do niego, tak jak stałam, na bosaka, objęłam go i schylając się, położyłam głowę na jego piersi, tak jakby uspokojona, a on to zrozumiał.

– Przepraszam – powiedział, a jego głos, znów miękki, spodobał mi się – dawno nie miałem kobiety. Wiedziałam już, co teraz powie. – To wszystko było idiotyczne, w samochodzie, w windzie i w ogóle. Ja sam nie pamiętam, jak to się wszystko stało.

Oderwałam się od jego piersi i spojrzałam mu w twarz. Ciagle mi się podobał.

– Oczywiście – powiedziałam – ja sama prawie oszalałam. To głupstwo.

Uśmiechnęłam się. Sama też tak już myślałam.

– Chodźmy do kuchni, napijemy się czegoś – zaproponował.

– Nie chce mi się – odpowiedziałam, ale stać tak na środku pokoju było głupio. – No to może jednak herbaty?

– Oczywiście, herbaty – zgodził się Dino.

W kuchni było przyjemniej niż w pokoju. Pod oknem stał okrągły stolik z terakoty, otoczony czterema wyplata-

nymi krzesłami, było tutaj widniej i więcej powietrza. W ruchach Dina od razu pojawił się luz, nawet jego nieładny szlafrok tutaj, w kuchni, nabrał domowego, przytulnego charakteru. Dino nalał herbaty, świeżo zaparzonej i aromatycznej, dawno nie piłam herbaty. Rozdzielał nas stół, od czasu do czasu spoglądałam w rozchylenie klap szlafroka, mogłam teraz rozróżnić każdy zmierzwiony włoszek na jego piersi i znów pomyślałam: jaka szkoda, że wszystko skończyło się tak prędko.

– Wiesz – powiedział Dino bez uprzedzenia – ja rzeczywiście dawno nie miałem kobiety.

– Dlaczego? – zapytałam. – Przecież ty – pokręciłam głową, szukając odpowiedniego określenia – jesteś sympatyczny. Do tego w teatrze jest na pewno wiele pięknych kobiet.

Wzruszył ramionami:

– Nie wiem, pewnie czekałem na ciebie, nie chciałem się rozmieniać. – Skrzywiłam się wewnętrznie, tekst zalaatywał się stęchlizną, Dino, jakby czytając w moich myślach, wyciągnął rękę i nakrył nią moją, a ja znów, jak idiotka, drgnęłam.

– To głupio brzmi, ale ja rzeczywiście czekałem na ciebie. Zrozumiałem to od razu, jak tylko cię ujrzałem, w mgnieniu oka, nie wiem nawet jak. – Wzruszył ramionami, a ja uwierzyłam. – Nie wiem, jak mam to wytłumaczyć, słowa wszystko upraszczają, ale w tobie jest... nie wiem, nie potrafię tego nazwać... coś takiego tylko dla mnie. Rozumiesz?

– Energia? – podsunęłam nagle.

– Z całą pewnością, – skinął głową i uśmiechnął się. – Ty przecież od razu przyciągasz uwagę, ale nie w tym rzecz, przecież takich pociągających jest mnóstwo wokół. A w tobie jest – pstryknął palcami, znów gestykulował

– rezygnacja z piękna. Właśnie, dokładnie rezygnacja, która zarazem wyzwala piękno, ale inne, niestandardowe. Kiedyś Alfred tak właśnie na próbie – w pierwszej chwili nie zrozumiałam, o kim on mówi, a Dino od razu się tego domyślił – Alfred, reżyser, widziałś go dzisiaj, siwy, o kuli. No więc powiedział, że uroda bywa szablonowa. Wyjaśnił to jednej aktorce, która grała piękność. Aktorka była naprawdę śliczna, ale Alfredowi nie podobało się, jak gra swoją rolę. Powiedział wtedy, że ona stara się być szablonowo piękna, podczas gdy ważne jest odejście od piękna. Wyjaśnił jej to bardzo błyskotliwie. Powiedział, że standard sam w sobie nie jest ani piękny, ani interesujący. „Na przykład ani metr, ani kilogram nie są piękne, dopóki są standardami. Ty właśnie musisz się postarać – poradził jej – odejść od standardu, nie być metrem ani kilogramem, starać się być czymś niewymiernym”. Prawda, że dobrze powiedział?

– Przekonał ją?

– Tak, bardzo dobrze to zagrała. Wszystko polega na tym, żeby odnaleźć tę nić – przebierał palcami, tak jakby coś rozcierał – znalazłszy pociągającą kobietę.

Upiłam herbaty, ostygła i straciła aromat, ale dalej była orzeźwiająca.

– Tak właśnie jest z tobą, nie jesteś piękna urodą modelki, w tobie jest coś zupełnie innego, niewymiernego, ulotnego. Ty właśnie pojawiałaś się w moich sennych marzeniach.

– Skąd to wiesz? – zapytałam.

– Przecież sama powiedziałaś, że to energia. Poza tym ja to czuję, w końcu jestem artystą, i to jest moja praca – odczuwanie.

– Ile masz lat? – zapytałam, właściwie nie wiem po co.

– Trzydzieści jeden.

Był trzy lata starszy ode mnie. Dino patrzył na mnie, zrobiło mi się dziwnie, tyle pożądanía było w jego wzroku.

– Przecież wiesz chyba, że nawet Gioconda nie jest piękna.

Znów nie rozumiałam, co tu ma do rzeczy Gioconda? Dopiero potem się domyśliłam.

– Nie jest piękna, a wręcz zła. Jeżeli patrzysz w skupieniu, to zauważasz, jaka ona jest wyniosła, jak złośliwie się uśmiecha. Ona jest przerażająca w swojej brzydocie.

Znów gestykulował, podobały mi się jego ręce, szlafrok zsunął się z przedramion, odsłaniając je do łokcia, chociaż o Giocondzie i o górnolotnych marzeniach już nie było mowy.

– Zrozumiałam – uśmiechnęłam się i znów pochyliłam głowę. Czułam się niezręcznie, kiedy tak na mnie patrzył.

– Masz przenikliwe spojrzenie – powiedziałam – jakbyś mnie rozbierał.

– Właśnie cię rozbieram – zgodził się Dino.

– Dlaczego? – Nie chciałam, ale nie mogłam się po prostu powstrzymać. Na szczęście nie zauważył tego.

– Dlatego, że chcę ciebie – powiedział to tak, jakby było zrozumiałe samo przez się.

Dino wstał i jakby na potwierdzenie jego słów, zobaczyłam mocno odstającą połą szlafroka. Ujął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. – Nie, nie – powiedziałam odsuwając się od niego – więcej cię nie dotykam.

– Możesz dotknąć – uśmiechnął się – niczego się nie bój.

– Zupełnie niczego? – Podniosłam oczy i zajrzałam mu w twarz.

Skinał głową,

Stoję już długo, bez ruchu, przywierając do pnia ogromnego, gdzieś tam u góry poszarpanego drzewa. Jednak tutaj, w dole, jest smukłe i proste, chociaż wcale niemłode, jak można sądzić po jego grubej, splekanej korze. Na pewno zatrzymałam się, bo nie potrafiłam dotrzymać kroku

wspomnieniom, widocznie przeszkadzał im ruch i pewnie dlatego uleciały.

Nie wiem, gdzie się znajduję, dokąd zabrnęłam, wokół mnie jest zupełnie nieznany mi las. Długo nie potrafię rozpoznać lasu po jego wyglądzie, po tych wszystkich gałązkach, listkach, korzonkach, jest ich zbyt wiele, tak że zaczęły się w moich oczach zlewać w jednolitą masę. Nie rozróżniam ani pojedynczych drzew, ani krzaków, zawsze postrzegałam je tylko jako całość, szumiące i drżące na wietrze gdzieś tam w górze.

Rozglądam się wokoło, robi się chłodno i pora, żeby wracać. Mrużę oczy, żeby rozróżnić zielone, bure, żółte plamy i rozmieścić je na swoich miejscach. Po cichutku wyłaniają się koślawe sploty, mogę już rozróżnić wypukłe narośle na pniach, trawę, jagody, nawet pajęczyny. Pod nogami pojawia się ścieżka, kręta, ledwie można ją dostrzec, teraz należy podjąć decyzję, w którą stronę należy pójść. Właściwie jest mi wszystko jedno, ścieżki, jak wiadomo, zawsze dokądś prowadzi. Jak zawsze uśmiecham się i kieruję się w stronę, gdzie jest nieco jaśniej.

Oczywiście, znam to miejsce, wiedziałam, że się nie zgubię, jak można zabłądzić w zaprzyjaźnionym królestwie? No tak, za tą kępą drzew jest dom, potem niewielka łąka, potem pole, coś na nim oczywiście rośnie, a dalej już nie wiem, nigdy dalej nie byłam. To dziwne, nogi mnie same tu przyniosły, tak jak w powieściach o Dzikim Zachodzie, zmęczony jeździec puszcza wodze i koń sam doprowadza go do ludzi. Moje nogi – to mój koń, uśmiecham się, przyprowadziły mnie do farmy, która zaopatruje mnie codziennie w proste, ale świeże racje żywnościowe.

Idę w stronę domu, na podwórku chłopaczek ze sterzącymi na wszystkie strony włosami, mniej więcej trzynastoletni, podrzuca w górę piłeczkę baseballową, przy czym stara się zamachnąć jeszcze kijem i nastąpić na spadającą,

w dół piłkę. To jest jednak trudne i piłka wciąż spada i umyka spod nogi. Chłopiec ją podnosi, rzuca i znów bierze zamach kijem. W jego uporze widzę próżny trud. Daremność widać we wszystkim: i w chuderlawej figurze, i w nieprecyzyjnych, nie trafiających w nic oprócz powietrza, uderzeniach kija, i w samym podwórku, i nawet w lesie, wszystko nanizane na niekończącą się żalną samotność.

– Daj, ja ci rzucę – mówię, a on jest tak zaskoczony, że aż się cofa, widocznie nie od razu rozumie, skąd się nagle wzięło to kobiece dziwadło w nieporządnym ubraniu.

Chłopiec nic nie odpowiada, tylko w milczeniu wyciąga do mnie piłkę, gładką i twardą, przyjemną w dotyku. Potem odbiega, staje na pozycji, pochyla ciało i bierze zamach kijem. Dopiero teraz widzę, z bliskiej odległości, że cała jego dziecinna twarz pokryta jest piegami. Staje w pozycji nauczanej z telewizora, ale te piegi nadają mu wygląd bezbronnego dziecka.

Kładę książkę na ganku, dawno, jeszcze w szkole, potrafiłam nieźle grać w baseball, robię dwa kroki do przodu i rzucam. Piłka obraca się w powietrzu, i już nurkuje pod kij, ale w tym momencie kątem oka zauważam, jak jego koniec rozmazuje się w powietrzu, słyszę plask uderzenia i piłeczka drugi raz unosi się do góry. Biegnę za nią, ale coś chwyta mnie za stopy, udaje mi się przebiec tylko jedną trzecią odległości, kiedy padam zaplątana w trawę.

– Spróbuję jeszcze – krzyczę, i chłopiec, nadal milcząc, znów przyjmuje pozycję. Znów jego kij, wzniesiony nad ramieniem, powoli się kołysze i znów się wszystko powtarza: rozmach, plaśnięcie kija o piłkę, mój niezgrabny bieg, a potem piłeczka znów uderza o ziemię.

– Jeszcze raz – krzyczę. Teraz podoba mi się ta polana przed domem i ten milczący chłopiec, i sama gra, i podniecenie, jakie wywołuje. Gramy jakieś pół godziny,

zmęczyłam się, moje rzuty są słabe, teraz bez trudu łowi piłkę swoim rozszerzonym kijem.

– W porządku – mówię – wygrałeś, a ja się zmęczyłam.

– Nie – rzuca kij na ziemię i podchodzi do mnie – nikt nie wygrał.

– Jak to? – pytam.

– Przecież nie graliśmy na punkty. Do tego pani bardzo dobrze rzucała.

– Ale ty zawsze odbijałaś, jakbym nie rzuciła.

– No to co – odpowiedział – to że ja odbijałem nie znaczy, że pani źle rzucała.

Miał rację.

– Dobrze – mówię – w porządku. Po prostu tylko graliśmy, tak? – Wzruszył w odpowiedzi ramionami. – Jak masz na imię?

– Scott. – Powaga w ruchach i twarzy minęła, jaki żywy i reżolutny ten chłopiec. – A pani?

– Jackie.

– Na długo pani przyszła? – pyta zadzierając głowę. Jest jeszcze sporo niższy ode mnie.

– Nie – uśmiechnęłam się – zaraz sobie pójdę.

– A... – Poznałam po głosie, że jest rozczarowany, i dzięki tej możliwej tylko u dziecka szczerości zrobiło mi się ciepło. – A dokąd?

– Mieszkam w domu nad oceanem, o, tam. – Pokazałam ręką. – Twój ojciec przywozi mi żywność, wiesz?

– A... – powiedział znowu – to pani mieszka razem z Jimmym?

– Z Jimmym? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Kto to jest Jimmy?

– No jak to? Z Jimmym, który do nas przychodził. On przecież mieszkał w tym domu.

– Kiedy przychodził? – Nie wiadomo dlaczego, pytałam dalej. Nie znam żadnego Jimmy'ego. Nawet o nim nie słyszałam.

– Jakoś tak wiosna, proszę poczekać, zaraz powiem dokładnie.

Chłopiec przysiadł na ganku, ja tuż obok niego, wyczuwając w ręce twardość piłeczki.

– Miałem wtedy wakacje, a to znaczy, jakieś pół roku temu.

– A długo on tam mieszkał, w tym domu? – Próbuję nie spłoszyć go swoją ciekawością. Pytam, jakbym wcale naprawdę nie była zainteresowana, jakbym po prostu chciała poplotkować, nawet zamachnęłam się i rzuciłam piłeczkę w stronę, gdzie leżał kij.

– Myślałem, że on dalej tam mieszka. Myślałem, że jesteście razem.

– A często tutaj przychodził? – Chciałam coś jeszcze dodać, ale nie miałam już co.

– Nie, był wszystkiego cztery albo pięć razy. Graliśmy z nim w kosza, ale nie bardzo umiał.

– Ograłeś go?

– Nie, przecież on jest wyższy. Jak stawał z wyciągniętą ręką, to nie mogłem tak wysoko doskoczyć, ale w ogóle to ja jestem lepszy.

Milknie. Próbuję wymyślić, jakby tu jeszcze zapytać go o tego Jimmy'ego, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy.

– Pójdzie pani do domu na piechotę? – pyta znów i podnosi na mnie wzrok. Teraz już z bliska zobaczyłam piegi.

– Tak – mówię – przez las.

Kiwa ze zrozumieniem głową, a potem proponuje:

– Jeżeli pani chce, powiem ojcu, to panią podwiezie.

– A gdzie jest ojciec?

– Niedaleko, o, tam – pokazał ręką – mogę pobiec.

– Nie, lepiej się przejdę – naprawdę nie chce mi się wsiadać do samochodu.

– Jak pani chce – mówi mały Scott, znów go rozczarowałam.

– Chociaż – mówię – przy okazji mogę zabrać trochę żywności. Ojciec nie będzie musiał do mnie przyjeżdżać pojutrze.

– Mam pobiec? – mówi z ożywieniem, pomyślałam, że pewnie po prostu chce zobaczyć ojca.

– No dalej – zgadzam się – biegnij.

Siedzę u nich już półtorej godziny, Najpierw ojciec, postawny, powolny i bardzo zasadniczy, szykuje dla mnie paczki z jedzeniem, podczas kiedy ja z jego żoną, która ma zadziwiająco jasne, otwarte spojrzenie, pijemy w kuchni kawę. Potem on przychodzi, siada ciężko za stołem, ona nalewa mu kawy, a on pyta mnie, czy nie mam ochoty zostać u nich na obiedzie, ale wymawiam się. Są bardzo mili, chętnie bym z nimi jeszcze poplotkowała, ale jestem zmęczona; zmęczyła mnie rozmowa i ludzie, widocznie odzwyczaiłam się. Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu, wyobrażam sobie jak wygodnie ułożę się na kanapie, narzucając na siebie ciepły, puchaty koc i otworzę książkę, stęskniłam się za nią.

– Dobrze, zaraz panią odwiozę – zgadza się gospodarz i głośno siorbie z kubka kawę. Mimo wszystko siedzę u nich jeszcze dwadzieścia minut, widocznie im też jest nudno w tej zapadłej dziurze, nawet im, przyzwyczajonym do samotności, czasem jest smutno.

Wsiadamy do pick-upa i trzęsiemy się na leśnym dukcie, nawet nie drodze, bardziej przecince, on coś tam opowiada, głos ma „masywny”, tak jak on sam. Słucham, ale tylko mu potakuję, próbując wymyślić, jakby tu wypytać go o Jimmiego. Nic mi nie przychodzi do głowy i tylko dlatego, że już podjechaliśmy pod dom, wypalam prosto z mostu:

– John, a ten Jimmy, który mieszkał tutaj przede mną, też był z Nowego Jorku? – Jakby to była jedyna rzecz, której o Jimmym nie wiedziałam.

Mój kierowca zamyśla się, a ja, boję się, że nic nie odpowie.

– Jimmy? – powtarza pytająco – jaki Jimmy? Aha, ten, co był tutaj na wiosnę, już prawie zapomniałem. Ot, jaka to człowiek ma pamięć!

Spogląda na mnie, szukając zrozumienia. Uśmiecham się.

– On z Nowego Jorku? – teraz sam już mnie pyta, ale ja milczę. – Skąd mam wiedzieć, może i tak. Wszyscy pisarze mieszkają w Nowym Jorku, jeżeli nie w Maine. – Śmieje się, wydaje mi się, że w takt warkotu silnika.

– Tak, jest pisarzem – mówię jakby sama do siebie.

– Wynajmował ten dom? – zadaje następne pytanie.

– Nie, według mnie chciał go kupić. Po to właśnie przyjechał. Mówił, że tutaj lepiej mu się pisze: las, ocean, a widok z werandy zapierający dech. A właściwie to po co ja pani o tym wszystkim mówię?

– I co, dlaczego nie kupić?

– Tego to ja nie wiem. Może coś tu mu się nie spodobało, a może podali zbyt wysoką cenę. Nie wiem.

To znaczy, że dom jest wystawiony na sprzedaż, myślę, mogą go więc sprzedać w każdej chwili. Mój dom, moje miejsce ucieczki, mój ratunek.

– W ogóle to on płatał się tutaj ze dwa tygodnie...

– Co? – Nie rozumiem, o czym on teraz mówi.

– Mówię, że Jimmy, ten pisarz, chodził tutaj wszędzie i rozglądał się. Opowiadał, że musi wyczuć, jak mu się tutaj będzie pisało. Mówił, że to bardzo zależy od miejsca. No tak, widać nie zdecydował się.

– No i dobrze, że się nie zdecydował – mówię i nie wiadomo dlaczego, dodaję. – Ja sama go kupię.

Zauważam, że mój rozmówca spogląda na mnie z niedowierzaniem, ale jednocześnie z uwagą.

– Ten dom na pewno jest drogi – przestrzega.

– Tak – mówię – wiem. Ale on dla mnie też jest drogi.

Rzeczywiście, zdecydowałam, że jak tylko wrócę do miasta, dowiem się, kto sprzedaje dom, i kupię go. Dodaję, wiedząc, że za chwilę będziemy się żegnać:

– Wtedy będę często przychodzić do was na obiad.

Mój dobroduszny rozmówca znów zaczął się śmiać, tym razem w takt hamujących już kół.

Jakże ważne jest uczucie przytulności, ciężko zrozumieć, co właściwie je wywołuje. Uważasz, że kochani ludzie, rodzina, ale nie tylko, bywa, że zapach, kolor czy ciepło albo odwrotnie, uczucie chłodu. Bywa też, że śnieg za oknem albo, co dziwne, zmęczeniu, śpieszący po ulicach ludzie. Jak to określić – porozumienie dusz? Czasem zamykasz się w sobie bez powodu, nie wiesz, gdzie się masz podziąć, a kiedy indziej wszyscy od razu zrywają się z tobą i działają na ciebie uspokajająco, człowiek odczuwa spokój wewnętrzny, chociaż sam nie wie czemu.

Tak jest ze mną: najpierw skrzypi kanapa, a stare, skórzanе pokrycie jest miejscami wytarte, a miejscami pogniecione. Później miękki, puszysty koc przykrywa mnie i wszystkie nierówności w takt sekundnika zegara, leniwie się przeciągam, ze zdziwieniem zauważając, że uśmiecham się sama do siebie. Zachciało mi się spać, więc zamykam oczy, światło zupełnie mi nie przeszkadza, odwrotnie, chce mi się spać przy zapalonym świetle, żeby przez sen mieć pewność, że nic się nie zmieni: ciągle to samo światło i ciągle ten sam, miarowy chód zegara, że tak będzie zawsze.

Budzę się z uśmiechem, świeża, bez śladu poobiedniej drzemki, pierwsza rzecz, jaką robię, to biorę do ręki książkę. Otwieram ją jak zwykle na chybił trafił i wybieram wzrokiem rozdział:

„Prawdopodobnie ludzie postrzegają świat w rozmaity sposób. Ależ nie, nie mam na myśli banałów, takich jak ten, że świat jest różny i każdy patrzy na niego subiektyw-

nie. Chcę powiedzieć o tym, że podstawowe pojęcia, takie jak kolor i forma, każdy człowiek widzi inaczej. Brzmi to nieprecyzyjnie, więc przytoczę przykład.

Wyobraźmy sobie dwóch ludzi. Jednego nazywają «A», drugiego «B». Obaj patrzą na płótno, na którym namalowany jest niebieski kwiat, obaj widzą, że ten kwiat jest niebieski i nazywają go niebieskim. Założmy jednak, że rzeczony kwiat jest widziany przez ludzi w różny sposób. Wtedy «A» i «B» widzą kwiat w odmienny sposób, chociaż nazywają go tak samo: «niebieski kwiat». Możliwe, że w świadomości «A» ten kwiat jest przedstawiony tak, że gdyby w ten sam sposób przedstawić go «B», to ten nazwałby go czerwonym. To znaczy, że obaj widzą ten sam kwiat w różny sposób, ale każdy z nich nazywa kwiat, który widzi, tak samo: niebieskim. Tak jest ze wszystkim. Kolorystyka kwiatów u «A» i «B» jest różna, ale zgadza się nazwa. Przykładowo niebo obaj nazywają niebieskim, liście zielonymi, chociaż to, co dla jednych jest zielone, dla innych może być żółte.

Jak to się dzieje, że «A» i «B» nazywają odmienne kwiaty jednym i tym samym słowem? Bardzo prosto. Przypuśćmy, że «A» jest ojcem «B». Kiedy «B» nieco podrośł, ojciec wyprowadzał go na ulicę i mówił: «Spójrz, jakie piękne, niebieskie niebo». Wtedy «B» zadzierał głowę i zapamiętywał, że kolor, który ogląda, nazywa się niebieskim (choć to jest zupełnie inny kolor, nie ten, który widzi tata «A»). Odtąd synek, jeżeli kiedykolwiek widzi kolor, podobny do koloru nieba, nazywa go niebieskim, a «A» zgadza się z nim, ponieważ on kwiat także nazywa niebieskim. Obaj widzą jednak zupełnie różne kwiaty. To samo z kolorem zielonym, żółtym, czerwonym i czarnym.

Kwiat to tylko przykład. To samo może się odnosić do innych oglądanych obrazów, doznań słuchowych i wszystkich organów zmysłów. Przykładowo drzewo, które widzi

«A», kompletnie nie przypomina tego drzewa, które widzi «B», tylko, na przykład, muchę. Obaj jednak będą nazywać drzewo drzewem, jeżeli z dzieciństwa zapamiętali ten kształt jako drzewo.

Jeżeli realność jest określana przez organy zmysłów, to dla każdego realność jest zupełnie inna, indywidualna, a to z kolei znaczy, że każdy z nas żyje w swoim własnym świecie. Po prostu ludzie istnieją już tak długo, że znakomicie nauczyli się manipulować ogólną terminologią i ogólnymi pojęciami”.

Odkładam książkę. Na razie jej nie otwieram. To śmieszna myśl, że my z Dinem na wiele rzeczy patrzyliśmy różnie, a może być, że na wszystko. Często pisałam o tym Steve’owi, korespondowaliśmy ze sobą przez cały czas, wprawdzie nieregularnie, niecodziennie, ale raz na dwa tygodnie dostawałam od niego grubą kopertę na adres uniwersytetu. Odpowiadałam i także raz na dwa tygodnie wysyłałam mu list. Mogłam pisać wiele dni pod rząd, czasem wrywkowo, znajdując na pisanie pół godziny albo całą godzinę. W rezultacie list rozciągał się na dziesięć stron albo więcej, ale nie martwiłam się tym, tak dużo miałam zawsze Steve’owi do opowiedzenia.

Napisałam Steve’owi o Dino, pisałam jak go kocham, jak on mnie kocha, jak uprawiamy miłość i jak mi z nim dobrze, a Steve dokładnie mnie o wszystko wypytywał, chciał znać wszystkie szczegóły, a ja mu je opisywałam.

Teraz myślę o tej korespondencji jak o ciągnącym się nieprzerwanie dialogu. Oczywiście w mojej pamięci zdania się pokreśliły, całe akapity się zatartyły, nie pamiętam już kolejności ani dat. W mojej głowie pozostała tylko niekończąca się rozmowa, przerywana regularnymi wtętami codziennego życia.

„Wiesz – pisałam Steve’owi – jesteśmy z Dinem różni, całkowicie różni we wszystkim i chyba właśnie dlatego

jestem z nim absolutnie szczęśliwa. Jakiegokolwiek głupstwo, na przykład to, że patrzę na niego, uszczęśliwia mnie. Jest niebywale piękny ze swoją smagłą, delikatną, ale męską twarzą. Ma idealną figurę, nawet nie wiedziałam, że są takie. Kiedy jest w ubraniu, wygląda szlachetnie i elegancko, czasem jakby był kruchy. Kiedy zdejmuję marynarkę i zostaje w koszuli, na przykład z krótkimi rękawami, wtedy dzięki jego szerokim ramionom i wyrobionym mięśniom widać energię i moc”.

„Przecież ty jemu w niczym nie ustępujesz” – odpowiedział mi Steve w następnym liście.

„Ja się z nim nie porównuję, ale masz rację, my z Dinem stanowimy ładną parę. Ciagle nam o tym ktoś mówi, a i sama widzę to po rzucanych na nas spojrzeniach mężczyzn i kobiet, którzy potem jeszcze długo oglądają się za nami. Oczywiście z jednej strony to mi się podoba, ale z drugiej nie. To zbyt niebezpieczne, za dużo jest dokoła nas kobiet, czasem interesujących, a zdarza się, że i pięknych, szczególnie w teatrze. Świetnie wiem, że Dino je interesuje”.

„Nie pamiętam – pisał Steve w odpowiedzi – ale wydaje mi się, że ty nigdy się nie bałaś konkurencji, wprost przeciwnie, poszukiwałaś jej, żeby poczuć się silniejsza”.

„Mnie samej tak się wydawało – zgodziłam się. – Ale teraz jest inaczej, zmieniłam się, bardzo się zmieniłam. Widzisz, ta walka wymaga stałego napięcia, do tego sama w sobie jest iluzoryczna, nie ma realnego przeciwnika, walczysz z cieniami”.

„Myśląc o tobie często zamykam oczy, próbując wyobrazić sobie ciebie, inną, nieznaną mi, niedostępną i dlatego, być może, jeszcze bardziej podniecającą. Wyobrażam sobie ciebie razem z Dinem, i to jeszcze bardziej mnie podnieca. Dziwne, prawda? Czuję nawet do niego sympatię, swego rodzaju bliskość, pośrednio przez ciebie, oczywiście. Kiedy czytam twoje listy, puszczam wodze

fantazji i widzę dokładnie to wszystko, co mi opisujesz, wszystko, co on z tobą robi. To nie jest trudne, pięknie piszesz, do tego te twoje rysunki, które są bardzo dobre. Często mnie podniecają i wtedy czuję potrzebę bycia z kobietą. Telefonuję, spotykam się, ale nawet wtedy, kiedy leżę z nią w łóżku, wyobrażam sobie, że jestem z tobą”.

„Tak, zmieniałam się – pisałam w następnym liście. – Stałam się może bardziej kobieca, ujawniły się we mnie zdolność odczuwania i wyjątkowa intuicja. To wszystko z powodu zazdrości, która na wylot przeżarła nasze wzajemne stosunki, wnosząc w nie nerwowość i namiętność, to takie dla Włochów typowe: nerwowość i namiętność jednocześnie. Jak tylko Dino podnosi słuchawkę, natychmiast czuję się chora. Kiedy nie trzymam się w ryzach, nic nie udaje mi się zrobić, mam mętlik w głowie, nic mi do niej nie wchodzi, tylko przesuwają mi się przed oczami obrazy. Ty mnie nigdy takiej nie widziałeś, bo nigdy taka nie byłam”.

„Nie mogę sobie wyobrazić, o co możesz być zazdrosna. I nie rozumiem tego. Wierz mi, ciebie nie można zdradzić, możesz być tylko jedyną”.

„Tak, tak, masz rację. Kiedy próbuję zajrzeć w siebie, rozumiem, że za tymi moimi lękami nic nie stoi. Ale jeżeli Dina nie ma przy mnie choćby przez kilka godzin, mój mózg stara się wszystko analizować, przed oczami stają mi straszne obrazy, tak realne, że nie mogę w nie nie wierzyć. Pamiętasz Goi *Gdy rozum śpi, rodzą się potwory*? Tylko że ja mam swoje własne potwory.

Wiesz, pomyślałam, że w każdym przypadku wszystko kończy się łóżkiem. Nawet wtedy, kiedy jemy z Dinem obiad, krzyczę na niego, ale żeby nie wiem co, wiem, jak to się skończy. Możliwe, że my podświadomie dążymy do tego, bo zazdrość wzmaga wszelkie uczucia.

W ogóle muszę powiedzieć, że w moim życiu osobistym nie ma niczego oprócz seksu: ani nauki, ani pracy, ani ludzi

naokoło mnie. Wszystko jest tylko tłem, błyszczącymi dekoracjami teatralnymi. Na scenie jesteśmy obecni tylko my dwoje: ja i Dino. Czasem wydaje mi się nawet, że na wskroś przeszłam zapachem seksu, wszystkimi jego zapachami, których już nigdy nie zmyję z siebie. Seks mnie olśnił, przeniknął jak promienie Roentgena, a wszyscy dookoła widzą mnie tylko w permanentnym, pełnym pożądania uniesieniu. Nie wiadomo dlaczego, ale nie wstydzę się tego.

Myślę, że właśnie tym pociagam mężczyzn, nie tyle powierzchownością, co zawsze widniejącym na twarzy rumieńcem, rozpalonymi wargami, figurą i sposobem poruszania się. Ale przecież to śmieszne. Oni nie rozumieją, że moje zaproszenie skierowane jest tylko do Dina, że mnie nikt oprócz niego nie jest potrzebny”.

„Czytałem twój ostatni list i, Boże, jak ja ciebie w tym momencie czułem! Podobasz mi się teraz jeszcze bardziej, taka rozpalona, przepełniona pożądaniem. Kiedy byliśmy jeszcze ze sobą, próbowałem oczywiście uchronić cię przed zmianami. Ale teraz, kiedy wiem, jaka jesteś cudowna, jest mi smutno, że kiedyś tyle straciłem”.

Potem zdarzyło się coś takiego, że nawet Steve’owi bałam się o tym opowiedzieć. Tego wieczoru powinnam być obecna na wydziale, więc umówiliśmy się z Dinem, że spotkamy się później niż zwykle, gdzieś koło jedenastej wieczorem. Jednak około szóstej wyjaśniło się, że zaplanowane przyjęcie w ratuszu zostało przełożone. Okazało się, że jestem wolna i od razu, jeszcze z uniwersytetu, zatelefonowałam do teatru. Powiedziano mi, że Dina nie ma, próba się już skończyła, więc wystukałam numer do niego do domu. Telefon nie odpowiadał. Zdziwiłam się: gdzie on może być? Chociaż oczywiście mógł wstąpić z przyjaciółmi do pubu, gdziekolwiek. Zdławiłam więc w sobie opanowujące mnie zdenerwowanie.

Tym niemniej nie mogłam się uwolnić od dziwnego przeczucia i natychmiast po przyjeździe do domu znów zatelefonowałam. Trzymałam słuchawkę ponad pięć minut, ale nikt nie odbierał. Napięcie nerwowe wzrastało z każdą minutą, wydawało się, że nawet powietrze wokół mnie jest przesycone napięciem. Nie mogłam o niczym innym myśleć, ręce odmawiały mi posłuszeństwa, było słychać tylko mój urywany oddech, którego nawet nie próbowałam opanować, i szybkie bicie serca.

Jeszcze raz spróbowałam się dodzwonić i dosyć długo trzymałam słuchawkę. Wszystko na nic. Serce utopiło się w whisky i tam stukało. Narzuciłam na siebie płaszcz, włożyłam pantofle i zanim wybiegłam z mieszkania, znów zadzwoniłam; palce z trudem trafiły na przyciski aparatu. Pamiętam, jak zatrzymałam taksówkę i jak mi zbiełały kłykcie, gdy wczepiłam się palcami w oparcie przedniego siedzenia. Podjechaliśmy, podałam kierowcy pieniądze, odwrócił się do mnie, wydając mi resztę, ale ja już otworzyłam drzwi samochodu, biegłam w stronę podjazdu, wpatrywałam się w okno mieszkania, próbując rozpoznać przynajmniej lekki ruch firanki albo jakieś cienie.

Nie potrafiłabym znieść powolnego pełzania windy, dławiące przeczucie zagnieździło się we mnie, razem z nim drżenie rąk i brak oddechu. Wbiegałam po schodach i głośno łąpałam oddech, ale płucom wciąż brakowało powietrza. Postanowiłam być przebiegłą. Zatrzymałam się pod drzwiami mieszkania, starając się stłumić chrapliwy oddech, chociaż kręciło mi się w głowie, a świat był przekrzywiony. Widziałam tylko te drzwi, które trzeba otworzyć jak można najciszej, bezgłośnie, żeby przyłapać ich na gorącym uczynku. Tak, żeby nie mieli czasu pozbierać się i dojść do siebie.

Starając się opanować drżenie rąk, powoli, milimetr po milimetrze, wkładałam klucz w otwór zamka i tak samo wolno przekręciłam go. Zamek ustąpił bez oporu. Cicho

otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do korytarza. Wysięk, z którym robiłam to wszystko przed chwilą, wyczerpał moje siły. Głowa znów mi uleciała, zamroczyło mnie, prawdopodobnie od słodkiego zapachu kobiecych perfum, który do mnie dotarł. Nie widziałam jeszcze jej twarzy, tylko pełne wdzięku, wyciągnięte delikatne ciało o zaokrąglonych kształtach. Siedziała na podłodze, obok kanapy, u nóg Dina. Mówiła, nie mogłam rozpoznać słów, czarny sweter podkreślał jej spore piersi, w całej jej pozie było coś zniewalającego, delikatnego, szlachetnego. Dino siedział na kanapie, z korytarza widoczna była tylko męska ręka trzymająca kartkę papieru, słyszałam jego głos, potem przycichł, nastąpiła pauza, a potem zaczął znów mówić. Przyciszonym głosem.

Na pewno powinnam powstrzymać się, stanąć na chwilę i wsłuchać się w ich słowa; wtedy nic by się nie wydarzyło. Potem bardzo często pytałam siebie: dlaczego nie poczekałam? Ale to było już później, potem. Wtedy jednak wskoczyłam w przytłumione światło pokoju, które lekko rozmywało wszystkie kształty, to nieszczęsne światło, rozróżniałam tylko niewyraźne zarysy przedmiotów: stół z dwiema zapalonymi świecami, butelkę wina, patereę z owocami, drewnianą deskę z pokrajanymi serami, między nimi leżał specjalny nóż, krótki, z rozdwojonym na końcu i zagiętym ostrzem. Sama kiedyś gdzieś go kupiłam.

Potem rozległy się urwane krzyki, kobiecy, męski, nagły ruch. Ktoś podskoczył, nie rozróżniałam kto, wszystko się zlało w jedną całość, i zrobił kilka kroków w moją stronę, potem odskoczył ode mnie, zrozumiałam, w stronę kanapy, widziałam niezgrabne, masywne cienie. Na pewno coś mówiłam, krzyczałam, nie wiem skąd się wzięły te bryzgi, potem coś mi przecięło rękę, bardzo silnie, ale nawet tego nie poczułam, tylko prawa dłoń zrobiła się od razu cała mokra. Zarysy kanapy były ledwo widoczne, a cień, piękny

męski cień osunął się na nią. Przez sekundę słyszałam rozdzierający krzyk. W tym krzyku było przerażenie.

– Jacqueline – krzyczał męski głos. – Co ty robisz, Jacqueline?! Stój! Stój!

Ten krzyk rozbrzmiewał tylko przez sekundę, potem rzuciłam się naprzód i kolanami uderzyłam w coś miękkiego, co poddało się, ale tylko trochę, nie pozostało mi nic innego, jak z całej siły zamachnąć się ręką, tą, która była wilgotna. Coś ją zatrzymało, ale tylko na ułamek sekundy, a potem, miękko, posłusznie wpuściło do środka. Znów usłyszałam krzyk, teraz kobiecy, cofnęłam rękę i uderzyłam znów w tę poddającą się miękkość, ale jeszcze silniej. Ona już się nie opierała, tylko od razu, pokornie, uległa. Ręka instynktownie cofnęła się z powrotem, wszystko pode mną ugięło się, na sekundę zamieniło się miejscami i gdzieś odeszło.

Potem silny zawrót głowy, tak jakbym usiłowała wrócić, ale ktoś mnie przytrzymał, trzeba się wyrwać, ale to boli, i od razu ten odurzający, nieprzyjemny zapach, przenikający do środka mózgu i ciężko tam opadający. Otworzyłam oczy. Dziewczyna z sympatyczną, delikatną twarzą, schylając się poklepywała mnie po policzkach, w jej ruchach nie było agresji, raczej troska.

– Ocknęła się! – zawołała dziewczyna do kogoś z boku.

Nade mną pochyliła się druga twarz, nieznana mi, obok smutku była w niej jakby nagana. Niewyraźna, z oddali, z głębi. Coś zapomnianego, już dawno zapomnianego. Próbowałam zorientować się, co się stało i gdzie jestem, rozjrzałam się odrobine, i to okazało się wystarczające. Pознаłam Dina, jego twarz, wykrzywioną ze strachu, śmiertelnie bladą, z rozszerzonymi, pełnymi przerażenia oczami.

– Jackie, co z tobą, jak tam... żyjesz...?!!!

Milczałam, patrzyłam na niego i próbowałam zrozumieć, co się wydarzyło, dlaczego tutaj jestem, dlaczego leżę i kim

jest ta miła dziewczyna? Wydawało mi się, że gdzieś już ją widziałam.

– Zadzwoń na pogotowie, odwołaj wezwanie – powiedziała do Dina, ten skinął głową i nawet powtórzył: „Tak, tak”, ale nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego znów zapytał:

– Jak z tobą, Jackie?

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, podniosłam rękę do oczu, odgradzając się od spojrzeń, ale moja ręka była wilgotna, i zobaczyłam krew, mnóstwo krwi. Nagle wszystko sobie przypomniałam. Oparłam się łokciem na podłozie i uniosłam głowę. Leżałam na kanapie, jej oparcie było poszarpane od góry do dołu, z dziury wylatywały strzepy wypełnienia, a obok tkwił wbity nóż, ten sam nóż do sera, który kiedyś sama kupiłam.

– To nic strasznego – Dino pochwycił mój wzrok – to tylko kanapa. Rozumiesz, rozdarła, nic takiego, zaszyjemy albo kupimy nową. – Kiwnął głową, jakby rozwiązanie tego problemu okazało się teraz czymś najważniejszym, ale mnie się wydawało, że cały się trzęsie.

– Zraniłam cię? – zapytałam ledwo dosłyszalnym głosem.

– Nie, nie, tylko kanapę. Do mnie nie dosięgnęłaś, nie dostałaś się dzięki kanapie. Tak że wszystko jest w porządku. W porządku. A co z tobą?

Teraz widziałam, że Dino się trzęsie.

– Skąd ta krew? – zapytałam znów, podnosząc rękę do oczu.

– To ty poraniłaś rękę, nożem do sera, on jest ostry.

– Aha – powiedziałam, jakby rozumiejąc.

– Zaraz zrobimy opatrunek – pośpieszyła z pomocą dziewczyna. – Gdzie masz bandaż, Dino? – Wypowiedziała jego imię jakimś swoim, specjalnym, akcentem, co całym ciężarem spadło na mnie. Nie miałam już jednak sił.

– Kim ona jest? – wskazałam głową dziewczynę.

– Gina? Przecież znasz Ginę, spotkałaś ją u nas w teatrze, no... – zamachał rękami, jakby chciał mi pomóc przypomnieć sobie. I przypomniałam sobie.

– Tak, oczywiście. A co ona tu robi? – zapytałam, w głosie trochę mi się rozjaśniało.

– Uczyliśmy się roli. Nowa sztuka, nie znasz jej, nowe przedstawienie Alfreda, dostałem w nim rolę, Gina też, powtarzaliśmy.

– A telefon? Dlaczego nie podchodziłeś do telefonu? Dzwoniłam, nikt nie podnosił słuchawki.

– Wyłączyłem go. Zawsze wyłączam telefon, kiedy się uczę roli, przecież wiesz o tym.

– Tak – skinęłam głową, wiedziałam o tym. – A dlaczego ona siedziała u twoich stóp?

– Tak jest w sztuce. Tam kobieta siedzi na podłodze, a mężczyzna na kanapie, są para, rozumiesz, piją wino i wyjaśniają swoje sprawy. Sztuka jest właśnie o tym, masz, przeczytaj sobie.

Dino wyciągnął rękę i wziął z kanapy kilka kartek. Spojrzałam, były na nich wydrukowane słowa.

– Tak – powiedziałam, siadając na podłodze – wiem, mówiłeś, zapomniałam.

– No więc oni piją wino, tak jest w sztuce, i...

– Tak, wino – przerwałam mu, spoglądając na butelkę, prawie pełną. – Przecież mogłam cię zabić! – nagle zorientowałam się. – Gdybym dosięgła, zabiłabym cię! – Ta prosta myśl była paralizująca i ogarnęła mnie groza. Teraz zrozumiałam, dlaczego Dino jest taki blady i dlaczego trzęsą nim dreszcze.

– Nie – wymamrotał – tylko kanapę rozciąłaś. Nic się nie stało, to tylko kanapa.

Rano zadzwoniłam na uniwersytet i powiedziałam, że się rozchorowałam. Przeleżałam u Dina trzy dni, dochodząc do siebie. Zrozumiałam, że przekroczyłam granicę. Czułam

się strasznie, z własnej winy, że straciłam kontrolę nad sobą i tam wpadłam zupełnie nieprzytomna, jak to się mówi, w afekcie. Nagle wreszcie zrozumiałam, że sama siebie do końca nie znam, że nie wiem, do czego jestem zdolna. Pomyślałam i stwierdziłam, iż powinniśmy być ze sobą na stałe. Powiedziałam Dinowi, że jeżeli nie zamieszkamy razem, to zwariuję. I zamieszkaliśmy razem.

Mimo wszystko to, co się wydarzyło, tak do końca mnie nie opuściło. Czasami powracało do mnie po nocach, w koszmarach snach, w których Dino był z kilkoma kobietami naraz, młodszymi i ładniejszymi niż ja. Budziłam się wystraszona własnymi jękami, nie bardzo rozumiejąc, gdzie jestem. Wykrzykiwałam, że jest podły, że mnie zdradza, nawet biłam go zaspanego i nie rozumiejącego, iż miesza mi się po prostu jawa ze snem. Później, widząc, że nie może mnie uspokoić, Dino kładł się na mnie, a ja, czując go całego, próbowałam się odwrócić, ale byłam tak przyduszona, że nie mogłam, więc się uspokajałam i cichłam. Potem przychodziłam do siebie.

To wydarzenie było jedynym, o którym nie napisałam Steve'owi. Oczywiście Dino nie wiedział o naszej korespondencji, tak jak nie znał Steve'a. Pewnie by się przyczepił, tak jak ja pewnie bym zwariowała, wiedząc o jego poprzednich związkach.

Przypominam sobie naszą wycieczkę na południe, na wieś, niedaleko od Rzymu. Nawet o niej zapomniałam, bo byłam wtedy absolutnie, bezgranicznie szczęśliwa. Ich teatr wyjechał na występy gościnne i zespół zamieszkał pod miastem, w posiadłości położonej na szczycie wzgórza. Budynek był stary, z szesnastego, może siedemnastego wieku, prawdziwy zamek z wrotami, ze ścianami obwieszonymi bronią, oczywiście przebudowany i urządzony, ale mimo wszystko prawie nierzeczywisty.

Już dawno nie puszczałam Dina samego, a tu nagle wyjazd na kilka dni. Oczywiście nawet nie było mowy, żeby pojechał sam. Już ponad rok pracowałam na uniwersytecie, prowadziłam wykłady na pierwszym roku i mogłam jakoś wykroić parę wolnych dni, mówiąc, że zrobię szkice średniowiecznej oberży. Dino miał niewielkie, sportowe alfa-romeo z odkrywanym dachem, i jechaliśmy wijącą się, prawie pozbawioną poboczy drogą, to jadąc pod górę, to znów w dół.

– Wiesz – powiedziałam, mrużąc oczy zarówno od słońca, jak i z radości – wiesz, nie rozumiem, dlaczego wy, Włosi, umieracie.

Dino popatrzył na mnie, przyzwyczał się już do moich dziwnych, jak mu się zdawało, nawet cudacznym, stwierdzeń. Początkowo ciągle się dziwił, ale z czasem przyzwyczał się. Teraz spojrzał na mnie badawczo, żeby sprawdzić, czy mówię poważnie, ale ja sama jeszcze nie wiedziałam.

– Tak, tak, wy nie powinniście się starzeć, powinniście żyć wiecznie. – Zamilkłam, było mi tak dobrze, że właściwie nie chciało mi się nic mówić. – Spójrz, jak pięknie dookoła. Widzisz te wzgórza, prawie jak dekoracje, jeżeli się im przyjrzeć, to niwelują perspektywę. Wydaje się, jakby nie było horyzontu, nie było dali, nie było przestrzeni. Nie ma też ruchu. Przyroda jest nieruchoma. Zaczekaj, stań, chcę poczuć bezruch przyrody.

Znów nie zrozumiał, czy mówię poważnie. Położyłam dłoń na jego nadgarstku i pogłaskałam, rozgarniając włosy na silnej, opalonej ręce. Szczupłe palce z nieco wydłużonymi paznokciami tak celowo wyrastały z jego dłoni o szerokim nadgarstku, jakby należały do jakiegoś innego kosmicznego systemu. Były piękne same w sobie – i jego palce, i jego ręka. Zlewały się w jedną całość z moimi palcami i wyglądały tak harmonijnie, że żałowałam, iż nie

mogę ich narysować. Tak bym chciała, mogłam wcześniej, teraz już ich nie narysuję.

– Poczekaj, zatrzymaj się – powtórzyłam. – Nie śpieszmy się. Chcę z tobą pobyć. Tutaj jest tak pięknie.

Zjechaliśmy na zakurzone, wąskie tylko na szerokość samochodu, pobocze. Trzeba było trochę czasu, żeby przywyknąć do ciszy przy wyłączonym silniku. Wydawało się, że wszystko wokół zamarło, więc powiedziałam:

– Spójrz, wszystko zamarło.

Dino spojrzał na mnie. Byłam w lekkiej, powiewnej sukience, wydawało się, jakbym była cała odkryta. Dino mnie pragnał.

– Nie. Rozejrzyj się dokoła. – Ja też go pragnełam, ale być może teraz trochę mniej, niż zwykle. – Czy nie rozumiesz, tu nie tylko nie ma czasu, ale również przestrzeń jest inna.

– Nie rozumiem – powiedział.

Westchnęłam. Nie wiedziałam, jak mu wyjaśnić to, co bez słów powinno być zrozumiałe.

– No jakże. Tutaj nie ma żadnego ruchu. Mamy swoje własne niebo, swoje powietrze, to zupełnie inna materia. – Spojrzałam na niego, on dalej nic nie rozumiał. – Tutaj nawet niebo nie jest niebieskie, bo w ogóle go nie ma albo jest, ale zaczyna się już w tym właśnie miejscu.

Wskazałam ręką, określając granicę nieba.

– Jak ci to wyjaśnić? Wszędzie, w innych miejscach do nieba nie można dosięgnąć, jest gdzieś tam, w górze, głęboko. Ale tutaj opada cienkimi plasterkami, jakby było pokrajane, zaczyna się dosłownie tutaj, od nas, dodaje tylko odcieni do każdego plasterka.

– Mówisz dziwne rzeczy. Nigdy tego nie zauważyłem – znów uśmiechnął się do mnie – nigdy w ten sposób o tym nie myślałem.

– Oczywiście, patrzysz na to od dzieciństwa, przyzwyczaiłeś się do tego, dlatego nie zauważasz piękna wokół

siebie. A powietrze? Wszędzie czujesz powietrze: jak oddychasz, jak wieje. A tutaj zupełnie nie ma ruchu. W innych miejscach jest go pełno, a tutaj wszystko zamarło: i niebo, spójrz, nie ma nawet obłoków, i powietrze, i cała przyroda zastygła. Popatrz na te eukaliptusy. Ani jeden listek się nie porusza, zastygły, tak jak cała przyroda. I wzgórza zastygły i nawet tam, spójrz, rzeka, ona tylko połyskuje, tylko ją widać, ale nawet się nie porusza. Tutaj nic się nie porusza, tak jak ta twierdza na wzgórzu, ona jest także częścią zamarłej przyrody.

Dino dalej patrzył na mnie i czułam teraz nie tylko jego pożądanie, ale i zachwyt, oddanie. Czułam jego miłość, mogłabym ją teraz zmaterializować, wysublimować z jego spojrzenia i zamienić w małą kropelkę, a potem chodzić, pokazywać wszystkim i mówić: „Spójrzcie, to jest miłość”.

– Zastygła przyroda oznacza, że czas się zatrzymał. Rozumiesz? Tutaj zatrzymał się czas i zatrzymała się przestrzeń. – Miałam ochotę go uderzyć, dlaczego on tego nie rozumiał? – Wiesz, u Dalego zawsze czas był związany z przestrzenią, Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział. – Mówisz, że przyroda określa przestrzeń, a przestrzeń jest związana z czasem i jeżeli przyroda zastygła, to zatrzymał się również czas. Prawda?

– Jesteś mądrą, – Zdziwiłam się, że z taką łatwością, zrobił podsumowanie. – Tak właśnie jest, tutaj czas się zatrzymał. Spójrz na te wzgórza, one rzeczywiście nie tworzą żadnej perspektywy, dalsze są tak samo dobrze widoczne, jak te, które są bliżej. – Podnieciłam się. – Przeczytałam gdzieś o tym w dzieciństwie: „Na wzgórzach rozsypały się legiony sułtana”, albo nie sułtana, a kogoś innego. Pompejusza na przykład. Widzisz, na tych wzgórzach nic się nie zmieniło, zupełnie nic, a czas stanął i dlatego, nagle, mogą się tutaj pojawić legiony. Rozumiesz?

Dino wzruszył ramionami. Znów spoglądałam na swoją dłoń, dalej leżała na jego ręce. Wyglądały razem jak relief,

jedna na drugiej, nie wytrzymałam, przyciągnęłam go do siebie, zbliżyłam się do jego oczu, wilgotnych, przepastnych.

– My też jesteśmy częścią tej przyrody, ty i ja. Jesteśmy nierozłączni, a przyroda jest nierozłączna z nami. Jesteśmy nierozzerwalną całością. Nie można nas rozdzielić, bo wtedy rozpadnie się piękno i cały świat istniejący wokół nas. Jeżeli stracimy siebie nawzajem, to wszystko runie razem z nami, tracąc podpórę. Wszyscy zginiemy.

– Tak – powiedział Dino, przybliżając wargi.

– Zawsze powinniśmy być razem, żeby uratować piękno i uratować nas samych. – Zanim spotkały się nasze wargi, zdażyłam tylko powiedzieć: – Kocham cię.

„Wiesz – pisałam do Steve’a – Dino pojmuję mnie zupełnie inaczej, nie rozumem, jak wszyscy pozostali, ale prędzej wyczuwa mnie, wchłania mój głos porami skóry, rozpoznaje ciałem, żyłami, podskórnymi receptorami. Pamiętasz, mówiłeś mi o energii i o tym, jak ważna jest umiejętność jej przekazywania. Dino jest dostrojony do mnie, jest moim odbiornikiem, wydaje się, że rozpoznaje mnie po molekułach, po zakończeniach nerwowych. Kiedy pocałowałam go wtedy, w samochodzie, wydawało mi się, że razem z wargami i oddechem przekazuję mu również życie. Jestem mu potrzebna do życia, beze mnie umrze, wiem o tym. Nigdy nie pozwolę mu umrzeć, bo bez niego ja sama też nie mogę istnieć”.

„Oczywiście, przecież to artysta – odpowiadał Steve – żyje uczuciami, są rozwinięte u niego, tak jak u sportowca mięśnie. Pewnie dlatego właśnie go kochasz, że on czuje i wchłania ciebie tak, jak inni nie potrafią.

Bardzo prawdziwe jest twoje spostrzeżenie, że we Włoszech czas się zatrzymał. Dziwne, że Włosi sami tego nie zauważyli. Dlatego się starzeją. Jeżeli zna się sekret, to nie

ma sekretu. Tylko ty, kochanie, możesz zatrzymać się razem z czasem, dlatego że tylko ty potrafiłaś rozwiązać tę zagadkę. Być może kiedyś, w przyszłości, spotkam cię poorany bruzdami ze starości, tak że mnie prawie nie poznasz, będąc jeszcze ciągle młoda i piękna. Poproszę cię wtedy o miłość, a ty nie będziesz mogła mi odmówić. Prawda, że nie będziesz?”

Dotarliśmy na miejsce pod wieczór. Towarzystwo było już rozgrzane i znużone beczynnością, upałem i oczywiście także winem. Ze dwadzieścia osób siedziało nad basenem, wzdłuż kamiennego ogrodzenia, skąd rozciągał się widok na drogę ciągnącą się między krzewami winorośli, na kamienną, dziewczyne, ledwo zarysowane brukowane uliczki, beztroskie i także lekko znużone beczynnością. Wzdłuż ogrodzenia były poustawiane lekkie, letnie stoliki ze stojącymi na nich wazami napełnionymi ponczem i udekorowane kiściami winogron. Obok leżały na płask kregi serów na przemian z innymi potrawami i, oczywiście, ponad wszystkim dumnie sterczały butelki wina, czerwonego, białego, rosé. Gdyby nie pasiaste parasole z materiału, rozpięte nad stołami, krążące wokół owoców osy zapewne pomyślałyby: Czy przypadkiem nie zawrócić? W nieruchomym powietrzu rozchodziły się promienie stojącego jeszcze wysoko gorącego słońca. Nawet osy nie są tutaj „drapieżne”, stały się dobre i delikatne, w tej kolebce wrażliwości.

Razem ze stolikami poustawiane były plecione krzesła, wiele było zajętych, inne rozstawiono na trawniku. Wokół było pełno ludzi, część z nich leżała bezpośrednio na trawie, część siedziała na ogrodzeniu, chłodząc się zimnym kamieniem. Zewsząd dobiegał gwar, rozmowy, śmiechy.

Kiedy się zjawiliśmy, zauważyłam u kobiet pewne napięcie, właściwie to raczej instynktownie je wyczułam. Ścisnęłam mocniej rękę Dina, wśród innych był wybitna,

męską pięknoscia, taką naszkicowaną, ale nie grubą, a wprost przeciwnie, delikatną kreską. Przy czym na mnie spoglądali nie rzadziej niż na Dina, na plecach czułam spojrzenia mężczyzn, palące jak żar.

Dino, wydawało się, nie zauważył niczego, byłam ciekawa, czy rzeczywiście tego nie zauważyła, lekko traćłam go łokciem, a kiedy się do mnie nachylił, objęłam go ręką za szyję i wyszeptalam, chociaż i tak nikt nas nie mógł usłyszeć:

– Rozejrzyj się, tylko żeby nikt nie zauważył, jak gapi się na ciebie ta ładniutka blondynka w króciutkiej spódnicy. Siedzi tam, z tyłu.

Dino odwrócił się, niby przypadkiem, a ona, chociaż z kimś tam rozmawiała, od razu to spostrzegła i zareagowała. On tego nie zauważył i tylko wzruszył ramionami.

– Nie – powiedział – wydawało ci się. Nawet jej nie znam.

Znów wzruszył ramionami, chwala Bogu, pomyślałam, on pragnie tylko mnie, nikogo więcej. Uwierzyłam mu.

Podeszliśmy do stołu, strasznie zgłodniałam. Pomarudziliśmy tam trochę, a potem zawołali nas i wciągnęli w rozmowę. Uśmiechnęłam się do Alfreda, siedzącego w fotelu obok ogrodzenia, on też skinął mi głową, a nawet pomachał. Na samym skraju łączki, tam gdzie już nie było kamiennego murku, a zaczynał się stok, zobaczyłam Jonniego. Rozmawiał przez telefon, nie widziałam jego twarzy, ale chyba o czymś ważnym.

Staliśmy i gawędziliśmy, Dino objął mnie za ramiona, a ja jego w pasie, znów jak przedtem czułam spojrzenia, teraz były skierowane przede wszystkim na mnie. Wzrok kobiet kierował się teraz w inną stronę, zauważyły, że Dino je ignoruje, natomiast na mnie skupiały się oczy mężczyzn, którzy próbowali mnie sprowokować i przynajmniej uchwycić mój wzrok. Śmiałam się sama do siebie z tej dziecinnej

gry spojrzeń, w którą zawsze wszyscy bawią się we Włoszech. Jeszcze mocniej przytuliłam się do Dina, żeby wszyscy zrozumieli, że ich próby są daremne.

Było mi nudno, wszyscy rozmawiali o nowym filmie, którego nie widziałam, rozmowa toczyła się tylko na ten temat. Obejrzałam się. Zobaczyłam, że Jonni podszedł do Alfreda i coś powiedział, w ogóle nie kępował się artystów, ludzie siedzący obok nagle odeszli. Jonni zaczął mówić, ale Alfred natychmiast mu przerwał. Jego maleńka, sucha postać z wyciągniętą sztywno nogą była napięta, aż się zdziwiłam, że Jonathan, zawsze miły i uśmiechnięty, może być taki napastliwy.

Bardzo mnie ciekawiło, o co oni tak gwałtownie się sprzeczą, wyswobodziłam więc ramiona z rąk Dina, uniosłam się na czubkach palców, szepcząc mu, że na chwilę odchodzę. Akurat był w trakcie sporu, mój słodki chłopak, zawsze się tak śmiesznie podniecał, kiedy z kimś dyskutował, nie zwracając uwagi na nic dookoła. W tym momencie też spojrzał na mnie tak, jakby był zupełnie nieobecny, i skinął głową.

Już zamierzałam iść w stronę tamtych, ale w tym momencie Jonni, jak zwykle, poklepał Alfreda po ramieniu i ruszył w moim kierunku, uśmiechając się do mnie już z daleka.

– Jackie! – wykrzyknął, a przez czoło, z biegiem lat coraz wyższe, przebiegła mu zmarszczka, przypominająca jego uśmiech. – Witaj, kochana!

– Witaj. – Ja też byłam zadowolona, nie widziałam się z nim już od kilku miesięcy. Mówiono, że wyjeżdżał z Włoch. Zupełnie nie spodziewałam się, że go zobaczę. – Co ty tutaj robisz?

– Akurat mam tu coś do roboty. A ty, widzę, stałaś się już członkiem zespołu?

– Coś w tym rodzaju – roześmiałam się. – Mówili, że wyjechałeś za granicę. Opowiadaj, gdzie byłeś i co tam widziałeś.

– Specjalnie to nigdzie daleko nie byłem. Poza tym to byłem w znajomych stronach, pochodziłem sobie po wzgórzach Hollywoodu.

Od razu poczułam kuszący zapaszek tajemnicy.

– Naprawdę? A co się dzieje? Opowiadaj!

– Kotku, to wielka tajemnica. Zresztą nic jeszcze nie zostało postanowione.

– W porządku – powiedziałam przekonująco – mnie można powiedzieć. Przecież wiesz, że mnie można.

– Tylko nie mów nikomu, nawet Dinowi. Obiecujesz?

– Obiecuję. – Roześmiałam się.

– Absolutnie nikomu – powtórzył i dla podkreślenia wagi słów pogroził palcem.

– Będziemy kręcić nowy film. Mamy fantastyczny scenariusz, Alfred będzie reżyserował, są fundusze, jest dogadane studio.

Nic nie zrozumiałam.

– A co ty masz do tego?

Jonni nawet się nie zmieszał.

– Jak to? Ja jestem najważniejszy. Sam akurat wszystko organizowałem. Czy słyszałaś takie słowo jak „producent”?

Uświadomiłam sobie, że nigdy nie pytałam, czym on się zajmuje.

– To znaczy, że Alfred będzie reżyserował – powtórzyłam za Jonnim. Miałam ochotę spytać, czy znajdzie się rola dla Dina, ale bałam się, że zmaćę jego dobry nastrój.

– A kto ten scenariusz napisał? – zapytałam po cichutku, z nutką nadziei.

– To zagadkowa historia, nie uwierzysz, ale nie wiem. Nawet nazwiska nie znam. Wiem, że to Amerykanin. Czy to on sam przetłumaczył scenariusz na włoski, czy też jemu przetłumaczono, nie wiadomo, ale jest bardzo dobrze napisany. Naprawdę nic nie wiadomo, załatwiał wszystko przez agenta, a agent jest jak szpieg. Nie można się od niego

niczego dowiedzieć. Zupełnie jak na bazarze, podoba się – bierzcie, nie podoba się – to nie bierzcie i żadnych pytań. Chociaż z drugiej strony, co to za różnica, kto to napisał? Najważniejsze, żeby mieć nad wszystkim pełną kontrolę, a tutaj jest jeszcze ważne, żeby wszystko od razu ustalić z agentem, zmiany w scenariuszu i tym podobne.

– Agent ma pełnomocnictwo? – W żaden sposób nie udawało mi się zmienić tematu.

Jonni zmarszczył czoło tak, że oczy mu się zwięziły i od razu nabrały wyrazu przebiegłości. – Nawet co do ustalenia ceny. W całości scenariusz jest fantastyczny, akurat dla nas, dla Alfreda. O współczesnym teatrze włoskim, ze znakomitą intrygą, z opracowanymi rolami. Nie będę ci dokładnie opowiadać.

– Ile osób liczy obsada? – teraz podkradłam się całkiem blisko.

– Niemało: reżyser, aktorzy. Wszystko znakomicie uchwycone. Życie teatralne zostało oddane jak należy.

– Role zostały już obsadzone? – zapytałam, starając się z całych sił, żeby to zabrzmiało zdawkowo.

– Nie, jeszcze za wcześnie, Alfred będzie to załatwiał później, kiedy... – Teraz zrozumiał. – Przecież obiecałaś, że nie powiesz Dinowi.

– Oczywiście, obiecałam. – Chytrze przycichłam, ale po chwili dodałam: – Nie denerwuj się, oczywiście że nie powiem. – Chciałam zmienić temat, więc powiedziałam: – Daj przeczytać scenariusz.

– Nie – widocznie mi nie uwierzył – teraz nie mogę, może kiedyś, później.

Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Zapamiętałam te trzy dni i trzy noce w tym pięknym miejscu ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami właśnie dlatego, że byłam tam niewypowiedzianie, niebotycznie

szczęśliwa. Oczywiście potem wszystko dokładnie opisałam Steve'owi, nawet nie w jednym, a w kilku listach. Jakże mogłam go nie informować o swoim szczęściu?

„Wyobraź sobie – pisałam – zamek. Prawdziwy, średniowieczny zamek. Niewielka, bardzo wysoka komnata. Ściany inkrustowane pięknym drewnem, mnóstwo purpurowej materii z powtarzającym się żółtym wzorem, ciężkie stopy, pasujące do tego meble, ściany częściowo zawieszane portretami przodków, za purpurowymi zasłonami. Większą część komnaty zajmuje olbrzymie łóżko, niezbyt wysokie, ze starego, pięknego drewna, o wygiętych, opływowych kształtach. Kiedy tylko je zobaczyłam, wyobraziłam sobie, co będzie dalej, tak bardzo dominowały w nim miękkie, płynne kształty. Gdy jednak jedną z tych zasłon się odsłoniło, to zaraz naprzeciwko łóżka ukazywało się zamiast portretu ogromne lustro w ciężkiej, złoczonej ramie. My – tak jak pewnie każdy by zrobił, zaczęliśmy naprzeciwko lustra. Dino sadzał mnie na fotelu i zaczął powoli rozbierać...”

„Właśnie tak was sobie wyobrażam – pisał Steve – was oboje, ciebie i jego, sama pewnie widziałaś was oboje w tym lustrze. On przykucnął przed tobą, a ty mocno rozchyliłaś uda i podciągnęłaś nogi w kolanach, a potem uniosłaś biodra, stawiając stopy na dwóch ustawionych po bokach krzesłach. Nie siedzisz, bardziej półleżysz, powtarzając wygięte formy krzesła. Dino jeszcze cię nie dotknął, ale ty już czujesz jego oddech i ciepło warg, które znajdują się bardzo blisko”.

„Tak, wszystko właśnie tak się odbywało. Skąd to wiesz? Czyżbyś tak dobrze mnie wyszkolił? Dokładnie to właśnie czułam: i ciepło, i bliskość jego ciała. Początkowo, to prawda, przeszkadzały mi jego długie włosy, zasłaniały lustro, a ja chciałam oglądać jego twarz, usta i zamknięte oczy – i siebie samą. Wsunęłam palce w jego

włosy, wystarczyło, że nacisnęłam, a on mi się poddał, zsuwając się niżej, do podnóżka fotela, ja uniosłam się nieco wyżej, aby wszystko dokładnie widzieć w lustrze. Patrzyłam na Dina i myślałam sobie, że on został stworzony po to, żeby mnie uszczęśliwiać, żeby mnie kochać, i to jest jedyne jego przeznaczenie. Kiedy odchylił głowę, widziałam drżenie jego języka; to było dziwne – widzieć i odczuwać jednocześnie. Nie wiem nawet, co wywoływało dreszcz w dole mojego brzucha. Wiesz, patrząc na coś z boku nie zawsze rozumiesz, że oglądasz w lustrze właśnie siebie i musisz się skupić, żeby skojarzyć odczucie z widokiem”.

„Oczywiście, świetnie wiem, o czym mówisz. Kiedy czytam twoje listy, a potem ci na nie odpisuję, to tak, jakbym sam spoglądał w lustro, w to samo, w które ty spoglądałaś. Rozumiesz to, moje wyobrażenie twojego lustra i spoglądanie w nie – to prawie to samo; tym, czym dla ciebie jest lustro, tym dla mnie fantazja. Różnica polega tylko na tym, że ja wiem, co odczuwa twój kochanek, i widzę was nie tylko swoimi, ale także jego oczami. Wiem na przykład, że kiedy on cię delikatnie dotyka, czujesz jego lekki oddech, jego czułość, każde jego mlaśnięcie. Widzę to wszystko, moja dziewczynko, nawet, co wcale nie jest dziwne, czuję. Czasami, kiedy piszę do ciebie, wydaje mi się, że zwariuję, ale jeśli tak ma się stać, to bycie wariatem jest interesujące. Proszę cię jednak, opowiadaj, opowiadaj mi dalej!”

„Chcesz wiedzieć, co było dalej? Położyłam Dina na kanapie, w jego zamglonych oczach malowała się tylko ufność i uległość. Później uniosłam spódniczkę i przysiadłam, bojaźliwie, powoli, wymacując, nawet nie dotykiem, ale jakby jakimś niepojętym, nadzwyczajnym, niewyjaśnionym przeczuciem. To było takie dziwne, oglądać siebie w lustrze, całkowicie ubrana, nawet z makijażem, jakby nic się nie działo. Jeżeli teraz ktokolwiek wszedłby do pokoju, to

na pewno niczego by nie zobaczył, moja długa spódnica całkowicie zakrywała to, co było pode mną. Oglądałam siebie w lustrze, z przyzwyczajenia, jak zawsze myślałam sobie, że nic się nie zmieniałam. Ale w tym momencie, mój Boże! Jak bardzo starałam się wchłonać w siebie każdy milimetr, do ostatniego! Ta różnica stała się najsilniejsza. Różnica między moim odbiciem, a tym, co czułam wewnątrz. Czy rozumiesz, że właśnie ta nieosiagalność obejrzenia dokładnego odbicia wszystkiego była najbardziej zabijająca?”

„Pytasz, czy rozumiem? Oczywiście, a kto zrozumie ciebie lepiej niż ja? Przecież, kiedy wyobrażam sobie, jak kochacie się z Dinem, to na jego miejscu widzę siebie. W swojej wyobraźni, w każdym momencie, wymieniam go na siebie. Nie potrafię już nawet znaleźć granicy między naszą przeszłością, a twoimi listami. Właśnie dlatego nie ma dla mnie różnicy, czy jesteś ze mną, czy z innymi mężczyznami: dla mnie moja przeszłość i twoja teraźniejszość złąły się w jedną całość.

Tak samo jak ty, oglądałam ciebie w lustrze. Jesteś zdenerwowana, widzę zmarszczkę pożądaną nad twoim nosem, drugą, na twoim czole od napięcia i oczekiwania, uchylone usta, drżące, nerwowe wargi. W twojej pozie i ruchach jest tyle pożądanego i determinacji, że zupełnie nie mogę się opanować. Szczególnie wtedy, kiedy wyobrażam sobie Dinę, uległego i poddanego, przyduszonego toba, pozbawionego ruchu, bezsilnego, żalosego.

Kiedy fałdy twojej sukienki przykrywają was, widzę jak prawie niezauważalnie lekko poruszasz biodrami, i tylko twoje spojrzenie, umiem je już odróżnić, zdradza to, co się dzieje. W odróżnieniu od twojego spojrzenia, ja z łatwością, mogę przenikać wzrokiem przez materialne zasłony. Wiem, co dzieje się tam, pod sukienką, widzę, jak ona popuszcza, żeby zaraz potem pożreć go ze zdwojoną siłą.

Przecież wiesz, ona jest drapieżnikiem, a nie ofiarą, ona jest tak wymyślona, zaplanowana, żeby być drapieżną, pożerać, wysysać, pożądać. Ona tylko chowa się za skromnością i zakazem, to jej wymówka, tak samo robią inne drapieżniki, one też udają nieporadne, ale kiedy przeciwnik daje się zwabić w tę pułapkę – chwytają. Tak samo ona. Na pewno sama wymyśliła mit o swojej pokorze i męskiej dominacji, dlatego że taki mit jej pasuje. My oboje świetnie jednak wiemy, iż nie istnieje dominacja mężczyzn czy słabość założona na samym początku tego tymczasowego i niekontrolowanego stanu. A ona może przyjąć w siebie prawie każdego i zawsze, dla niej nie ma za dużo, przeciwnie, jej zawsze mało, ona zawsze chce i pożąda większego. Czyż nie dlatego kobieta w końcu, jak zwykle, ucieka, czyż nie dlatego jej brak zasad jest założony od samego początku?”

„Zwariowałaś – napisałam. – Czytam twoje listy i ogarnia mnie strach. Myślisz i piszesz jak wariat, normalni ludzie nie myślą o tym, o czym ty myślisz, w dodatku tak drobiazgowo, analizując i rozstawiając wszystko na półeczkach”.

„Być może masz rację. Na pewno masz rację. Miła moja, przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy razem, i przez lata korespondencji dowiedziałem się o tobie bardzo wiele, dowiedziałem się tego, czego nie wie twój ukochany, a nawet tego, czego ty sama o sobie nie wiesz. Wiem na przykład, że nie lubisz, kiedy Dino się porusza, wolisz poruszać się na nim sama, we własnym rytmie; przecież dominacja w rytmie poruszania się oznacza również dominację w życiu. Mimo że Dino tego sobie nie uświadamia, to czuje to i nie próbuje się przeciwstawić. On już dawno zrozumiał, że podoba ci się jego uległość, że ona cię podnieca. Wiedz jedno – ona nie mniej podnieca jego, on już dawno czuje to samo, co ty”.

„Tak – zgadzam się z nim – może masz rację. Ale jak to odkryłeś? Ja sama tego nie zauważyłam, tak delikatnie

Dino mi się poddał. To zadziwiające, jak ty mnie znasz! Tak jak nikt!”

„A jakże inaczej, kochanie. Godziny, miesiące, lata, za każdym razem, kiedy siadam do napisania kolejnego listu, mimowolnie przenikam w ciebie, w twoje życie. Taki trening nie może pozostać bez śladu. Nie zauważyłaś tego przejścia, ponieważ było ono rzeczywiście płynne. Początkowo wyglądało to tak, jakbyś się poddała męskiej urodzie Dina, a potem on sam nie zauważył przemiany ani w tobie, ani w sobie. On nie może ci się sprzeciwić, tak jak mało kto może. Podporządkując Dina nie wyrządziłaś mu żadnej krzywdy, jesteś mu potrzebna właśnie taka, dominująca, gdybyś się teraz zmieniła i chciała mu nieco odpuścić, nie przyjmie tego, nie zaakceptuje tego twój Dino. Wiem jednak, że to się nie zdarzy, bo ty nie odpuścisz. Rozpisałem się, napisz, co działa się dalej”.

„Potem podniosłam rękę, Dino zrozumiał, i sukienka, ta dawno obmierzła sukienka, uleciała w powietrze i natychmiast spadła ze mnie. Przyciągnęłam Dina do siebie i teraz chciałam znaleźć się pod nim, nasze ciała zachowały się jak znakomicie zestrojony mechanizm, jak numer akrobacyjny, jak to mówią, noga sama wie, od czego się odpchnąć, a ręka, za co chwycić. Dino znajdował się na mnie, a ja pod nim, ze zdławionym przez ciężar jego ciała oddechem przyciągałam go, żeby był jeszcze cięższy, już mi się nie chciało patrzeć w lustro, a tylko szeptać „mocniej, jeszcze mocniej”.

„Wszystko widzę, moja miła. Stos karteczek piętujących się przede mną, przyprawia mnie o chorobę umysłową, a ja sam, co nie jest wcale dziwne, chcę zwariować. Słyszę twój pół krzyk, pół jęk, widzę, jak twoje palce wbijają się w jego plecy bez litości i unoszą na paznokciach kawałeczki skóry. Lubisz patrzeć potem na pozostawione przez siebie bruzdy, jak na osobistą pieczętkę”.

„Nie, nie, ja nie specjalnie. Tak rozładowuje się energia, która się we mnie obudziła, która we mnie narosła, rozpiera mnie, potrzebuje ujścia. Gdybym miała w rękach jakikolwiek inny przedmiot, sprężysty, poddający się, to bym go ugryzła, rozorała zębami, paznokciami. Ale nie miałam pod ręką niczego takiego. Oczywiście później, kiedy wszystko się kończy, podoba mi się, że Dino nie cierpiał, że nawet nie zauważył i nie poczuł bólu. Ja sama nie zauważam i nie czuję ani bólu, ani niewygody, kiedy Dino przytrzymuje moje nogi i zostaję przez niego zgięta we dwoje, prawie przełamana”.

„Nigdy nie rozumiałem, dlaczego u kobiety tak ważna jest poza, że dzięki odpowiedniej pozie czuje się lepiej, bezpieczniej i bardziej pożądana. W ogóle to jest tak: wydawałoby się, że seks jest związany z przyduszeniem, w każdym razie dla mężczyzny. Wydaje mu się, że panując nad kobietą, włada nią. To jeszcze jedna pomyłka, niebezpieczna, czasem tragiczna. Prawda jest taka, że mężczyzna spala się w miłosnym procesie, kobieta zaś, początkowo pokornie poddająca się męskiej dominacji, wychodzi z tego wszystkiego wzmocniona i dominująca. To tylko tak na marginesie, opowiadaj dalej”.

„Dalej... on zawisł nade mną, jego ciało potężniało, niczego nie mogłam już rozróżnić, wszystko mi się pomieszało, chciało mi się tylko... sama nie wiedziałam czego... czegoś nowego, nieoczekiwanego. Powiedziałam więc: – Rób ze mną, co ci się podoba, najdroższy – a on tego nie dosłyszał albo nie zrozumiał, więc powtórzyłam: – Rób ze mną, co chcesz”.

„Dwuznaczne zdanie. Wydaje się, jakbyś go kochała na tyle, na ile jesteś poddana, na ile dowierzasz jemu, jego męskiej sile, bez cienia z wątpienia. To tylko pozór, że jesteś wobec niego bezbronna, a od zawrotu głowy ze szczęścia pogubiłaś się, i właśnie dlatego, że się pogubiłaś,

pozwalasz mu na wszystko. Wszystko, czego mu się zachce! To tylko jeszcze jedna pułapka. To wszystko nie jest tak.

Na samym końcu piszesz, że tobie jest mało, że nie zrobił tego, co mógłby zrobić, i w tym leży jego wina. Właściwie sama nie jesteś przekonana, czy to «coś» istnieje. Ty chcesz więcej, nawet jeżeli to niemożliwe i zrzucasz odpowiedzialność na swojego ukochanego, nie pozwalając mu przypomnieć, że poszukiwania są prowadzone dla ciebie i z twojej inicjatywy. Zgodzisz się chyba, moja miła, że to jeszcze jeden objaw przebiegłości”.

„Nie, nie zgadzam się. Nie prosiłam o coś, co nie istnieje, wiedziałam, czego chcę”.

„Oczywiście, że wiedziałas. On też wiedział i na sekundę przestraszył się twojego požądania. Interesujący fenomen: z łatwością zrobiłby to dla innej kobiety, ale dla ciebie boi się zrobić. Wiesz dlaczego? Dlatego, że cię kocha. I to jest dziwne, w normalnym życiu chce się dać coś więcej temu, kogo się kocha. Ale w seksie tak nie jest! Interesujące, prawda? Wyobrażam sobie twarz Dina. Jest zdezorientowany, bo nie wie, czy dobrze się domyślił. A co, jeżeli się pomylił? Nigdy mu nie wybaczysz, wiedząc, że innej kobiecie dawał to, czego nie dawał tobie.

Wyobrażam sobie jego zagubienie. Wiesz, właśnie jego zagubienie budzi moje najgłębsze zainteresowanie. On przecież też, momentami wybuchając, wyobraża sobie ciebie z kimś innym, dla kogo byłaś bardziej dostępna i kto obdzielił cię większym doświadczeniem. Chociaż bolesna jest ta zazdrość, powinien wszystko odrzucić i skoncentrować się na tobie, na tym, czego pragniesz”.

„Ty rzeczywiście zwariujesz, jeżeli już nie zwariowałaś. Czyżbyś cały czas o tym myślał? To choroba! Grzebiesz się w drobiazgach, jak w używanej bieliźnie. Jesteś fetyszystką. Fetyszystką swojej chorej wyobraźni. Przerażasz mnie”.

„Ale mam rację?”

„Tak, tym razem masz rację, tak było. Cała się aż kurczyłam, było mi ostro i słodko jednocześnie, im więcej myślałam, tym bardziej mnie kusiło i znów powiedziałam mu: – Rób ze mną, co tylko chcesz, kochany! – Chciałam, żeby Dino, tylko on, zrobił to dla mnie. Nie byłam przekonana, że rozumie, ale gdy zapytał: – Naprawdę tego chcesz? – ledwo zauważalnie skinęłam głową i zamknęłam oczy, żeby dać mu czas na przemyślenie. Potem poczułam napór, który narastał, próbowałam się przesunąć, żeby zmniejszyć nacisk, nie zdażyłam się przygotować, kiedy nagle, napreżenie i eksplozja, wdarł się i nagle przeniknął wewnątrz, rozdzierając i przekłuwając mnie”.

„Oglądałem twój rysunek, czytałem list, ty znów mnie zadziwiłaś... we wszystkich szczegółach... opisujesz wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Ciagle ta sama myśl o związku emocjonalnym dwojga ludzi na wieki, doprowadza mnie ona do spazmów, kiedy piszę do ciebie list, siedząc za stołem, przy świetle zielonej lampy, w mojej opuszczonej wieczorem kuchni, wypełnionej smutnymi, ledwo poruszającymi się cieniami”.

„To nieuczciwe. Ty nie powinieneś opisywać ani siebie samego, ani tego, co się dzieje wokół, ani w ogóle niczego. Nie mogę sobie wyobrazić ciebie, bo jeżeli to zrobię, to przestanę być wobec ciebie szczerą i otwartą. Żeby stać się dla mnie kimś, najpierw musisz zostać nikim, stać się wytworem mojej pamięci, a nie kimś realnym. Nawet w listach. Inaczej nie wytrzymam!”

„W porządku, obiecuję, już nie będę. Ale powiedz, było ci przyjemnie?”

„Ukradkiem spojrzałam na Dina, nie chciałam go rozpraszać i odciągać, ale on sam był już daleko. Nie wytrzymałam spojrzenia jego nieobecnych, nieprzytomnych oczu, odpuściłam sobie i wszystko zdarzyło się nie tak, jak zwykle, a ciągnęło się powoli. Dłużyło się i ciągnęło, wy-

dawało się, że ciekło minutami, czy to od długości, czy to dlatego, że tym razem było inaczej, zrobiło się słodko i męcząco duszno”.

O Boże, myślę, te wszystkie wspomnienia, te listy... Po prostu pograżyłam się w nich i utonełam. Teraz jest pora na obiad, już się zaczęłam zbierać, lekko wstając z kanapy, zamknęłam oczy pod wpływem chwilowego zawrotu głowy. Oparłam się o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

– Nie wolno tak długo leżeć – mówię głośno i od dźwięku głosu czuję się silniejsza.

Kraję pomidory, ogórki i pachnącą świeżością sałatę, a potem, nie bojąc się nikogo, dodaję cebulę. Dolewam śmietany, niewiele, tylko dla smaku, kraję chleb. Zatrzymuję się, zamysłam na minutę, chętnie zjadłabym trochę mięsa i wypić kieliszek wina, koniec końców dawno nie wyprawiałam sobie takiego balu ani w taki, ani w żaden inny sposób. Przecież przywiozłam butelkę Chianti, a kawałek rostbefu mam w lodówce. Szykuję naprędce niespodziewanie dla siebie znalezione danie i znów siadam do stołu. Książka leży obok kieliszka czerwonego wina i soczystego, krwistego mięsa na oddzielnym talerzyku. Kartkuję strony i zaczynam czytać:

66

Wyrok

„Przysięgłych, zgodnie z procedurą, było dwunastu. Wybrali ich spośród ponad setki kandydatów. Najpierw zespół adwokatów rozmawiał z każdym z nich, potem mężczyli ich pytaniami oskarżyciele, a na zakończenie wpadli w ręce niezawisłego sędziego. Tak skrupulatne przygotowania usprawiedliwiało to, że oskarżony nie był zwykłym przestępcą, a i sprawa była niezwykła.

Podsądny nawet nie próbował szukać adwokatów, oni sami wypełzli jak karaluchy przy wyłączonym świetle, najbardziej utytułowani i krasomówczy, ale nawet wtedy pozostał obojętny na proces. Był średniego wzrostu, jeszcze niestary, nawet nie sześćdziesięcioletni, choć już posiwiały, co znakomicie współgrało z jego niebieskimi, zimnymi oczami. Taki typ zawsze podoba się kobietom: wyraziste rysy twarzy, duży, nierówny nos, soczyste, niesymetryczne wargi, chociaż, oczywiście, jego długoletnia działalność nie pozostała bez śladu, z latami stał się więc małomówny i często rzucał spojżenia, jakby bał się, że coś straci.

Nazywał się Friedrich Teller, lecz mówiono o nim krótko doktor Teller lub profesor Teller, i był najbardziej znanym w swojej dziedzinie chirurgiem, chociaż przez jakieś ostatnie dwadzieścia lat zajmował się wyłącznie pracą naukową, praktykując tylko od czasu do czasu. To było nieszczęśliwe połączenie niezwykle utalentowanego chirurga z nieomylnymi, mechanicznymi, jak kiedyś mówiono, rękami i zmęczonego uczonego, który w rezultacie długoletnich przemysłów całkowicie utracił pewność siebie. Otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za badania w zakresie leczenia raka gruczołu prostaty, podzielił ją z uczonymi z Anglii, prowadzącymi równoległe badania, chociaż ich wyniki nie pokrywały się ze sobą. Był bez wątpienia uznanym autorytetem i tylko największe sławy ze świata lekarskiego mogły dopchać się do niego w sprawie konsultacji, jeśli, nie daj Boże, była im potrzebna. Jednak problem akurat tego nie dotyczył.

Właściwie wszystko wydawało się nadzwyczajnie proste i właśnie dlatego było zupełnie niepojęte. Sedno sprawy (nie bacząc na to, że ze wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami, była opisywana w prasie) w sposób niezwykle zwięzły i jasny przedstawił główny oskarżyciel, pan Brauner, który był nawet całkiem przystojny: wysoki mężczyzna,

z ostrymi, wyrazistymi rysami twarzy, wydawało się, że już sama jego powierzchowność oskarża; jego sposób wyrażania się był dobitny, zwięzły, bez niepotrzebnych przerw. Wystąpienie zaczął pewnie i w trakcie jego trwania przysuwał się coraz bliżej do ławy przysięgłych, aż w końcu znalazł się tuż obok niej.

– Wysoki Sądzie – zaczął – panowie przysięgli – i uprzejmie, nawet elegancko, co nie jest typowe dla prokuratorów, skinął głową sądowi. – Każde nadużycie wiedzy, autorytetu, stanowiska, tak jak w ogóle każde nadużycie, jest nie tylko niemoralne, ale wręcz szkodliwe dla otoczenia.

Brauner lubił używać górnolotnych słów, obrazowych porównań, żeby przydać swoim wypowiedziom wyrazistości i podkreślić wyrażane przez siebie myśli.

– Jeżeli jednak swoją pozycję wykorzystuje w celu dokonania nadużycia lekarz, kiedy naumyślnie doprowadza do tragicznej pomyłki zawierających mu pacjentów, wtedy jego działanie staje się przestępstwem. Tak właśnie postąpił oskarżony, łamiąc nie tylko przysięgę Hipokratesa, ale przeciwstawiając się kodeksowi karnemu, dlatego właśnie dokonał przestępstwa, czego wy, sędziowie przysięgli – w tym momencie Brauner stał już przed nimi i wbijał w nich wzrok – wierzę w to głęboko, nie puścicie bezkarnie.

Oskarżyciel mówił dalej, ale już krótko, przy czym uważny słuchacz od razu mógł się zorientować, na czym oparł swój plan, szczególnie wtedy, kiedy odczytał swoją listę świadków, wezwanych przez oskarżenie. Ja, mając ogromną praktykę uczestniczenia w procesach, w mgnieniu oka zorientowałem się, że cały ciężar oskarżenia Brauner zdecydował się oprzeć na zeznaniach świadków oskarżenia, z których wielu okazało się jednocześnie poszkodowanymi. Właśnie dlatego w swojej mowie wstępnej Brauner nie zagłębiał się zbyt w szczegóły, postanawiając, że będzie o wiele

bardziej przekonujące, jeżeli pòszkodowani sami opowiedzą o swojej tragedii, do której doprowadził oskarżony.

Obrońca, opracowując swą strategię, przyjął pozycję wy-czekującą, mówił o zasługach podsądnego, o światowych osiągnięciach i międzynarodowym uznaniu, które zyskał, a także o tym, że każdy ma prawo do pomyłki. Szczególnie lekarz, twierdził adwokat.

– To naprawdę bolesne, ale takie są realia życia, że nawet lekarze, także ci najlepsi wśród najlepszych, mylą się czasem, tak jak każdy z nas. Trudno jest znajdować się pod ciągłą presją, w permanentnym stresie wywołanym odpowiedzialnością i nigdy, absolutnie nigdy się nie mylić. Tylko sami pomyślcie, ilu ludzi doktor Teller wyleczył, ilu uratował od śmierci i ilu dał nadzieję. Czy możemy o tym zapomnieć, czy mamy prawo mówić tylko o pomyłkach, będących niczym w porównaniu z dekadami żmudnej, ciężkiej, pełnej poświęcenia pracy oraz w porównaniu z setkami, być może nawet tysiącami pacjentów, wyciągniętych przez profesora z mroku oczekiwania na śmierć?

Adwokat dalej mówił równie obrazowo, chociaż ze smutkiem, rozczarowany szczególnie tym, że nie zdołał zainteresować przysięgłych, poruszyć ich do głębi i skłonić, aby zobaczyli w obwinionym nie tyle beznamietnego przestępcę, co człowieka z duszą, bardzo uczuciowego. To znany fakt: zawsze trudno jest osądzać kogoś, kto jest podobny do ciebie samego albo do ludzi, którzy są ci najbliżsi.

Sam podsądny na mowy oskarżyciela i obrońcy nie reagował. Siedział z opuszczoną głową, nie wykazując najmniejszego zainteresowania, od czasu do czasu przesuwał wzrokiem po wypełnionej po brzegi sali, jakby czemuś się dziwił. Wiedziałem z dobrze poinformowanych źródeł, że doktor Teller początkowo odmówił nawet rozmowy z adwokatami, później wprawdzie się zgodził, ale przez cały

czas przeważnie milczał, z rzadka odpowiadając tak albo nie, co znacznie utrudniało pracę obrońcom.

No i, oczywiście, należy koniecznie opisać sędziego, drobnego i pomarszczonego, z rzadkimi, posiwiałymi włosami na wąskiej, długiej czaszce, który wyglądał groteskowo w urzędowej, czarnej todze. Być może z powodu swojego niskiego wzrostu i absurdalnego wyglądu (z tym zawsze wiąza się kompleksy), był znany jako sędzia ostry, nie pobłażający, chociaż niewątpliwie sprawiedliwy. Nie zawsze trzymał się niewolniczo srogiej litery prawa i czasem, jak zasłone, odsuwał ją na bok. Swoim skrzypiącym głosem robił takie wrażenie na przysięgłych, że przeważnie bardzo dokładnie wykonywali jego zalecenia, nie próbując się prawie nigdy buntować. Podejrzewam, że oni po prostu, najzwyczajniej w świecie, bali się go.

Tak więc, kiedy obraz całej sprawy wstępnie został naskicowany, oskarżenie wezwało pierwszego świadka. Był to wysoki, szczupły człowiek, mniej więcej pięćdziesięcioletni, z ponurą twarzą bez żadnego wyrazu. Posłusznie zajął miejsce dla świadków i uważnie, chociaż niepewnie, spojrzał na oskarżyciela. Pytania były standardowe: imię, nazwisko, czym się pan zajmuje, jak pan poznał doktora Tellera i tym podobne formalności. Świadek odpowiadał z oporami, jakby ze sobą walczył, robiąc niewiarygodnie długie odstępstwa między wyrazami. Przez cały ten czas ani razu nie spojrzał na oskarżonego.

– Tak – mówił – nazywam się Artur Metureng, mam pięćdziesiąt trzy lata, przez dwadzieścia osiem lat pracowałem w laboratorium fizyki kwantowej przy Centrum Badań Kosmicznych, przez ostatnie siedem lat byłem dyrektorem naukowym, dwa lata temu musiałem zrezygnować ze względu na stan zdrowia. Doktora Tellera znam bardzo wiele lat, spotykaliśmy się nieraz na różnych konferencjach naukowych.

Po tym jak oskarżyciel Brauner poprosił świadka, żeby opowiedział o swojej karierze naukowej, pomagając jego zawilej opowieści mnóstwem krótkich, naprowadzających na właściwy temat pytań, cała sala odniosła wrażenie, że profesor Metureng był nietuzinkowym, jeżeli nie wiodącym w świecie specjalistą w swojej dziedzinie, i teraz, będąc w najlepszym okresie twórczego rozwoju, mógłby odnieść jeszcze większe sukcesy w naukowej karierze. Jednak na jakieś trzy lata przed opisywanymi tutaj wypadkami poczuł dziwny spadek formy, jakieś zmęczenie i amorficzność. Wtedy to właśnie spotkał na statku podczas podróży służbowej swojego dawnego przyjaciela, doktora Tellera, i przy szklaneczce whisky poskarżył się na swój obecny stan.

– Doktor Teller spojrział na mnie przenikliwie i zauważył, że mój spadek formy może się wiązać ze stanem zdrowia. Odpowiedziałem, że właściwie czuję się nieźle, oczywiście mam podwyższone ciśnienie i czasami cierpię na bezsenność, ale ogólnie nie mogę się skarżyć.

– I co panu Teller odpowiedział? – zapytał oskarżyciel, energicznie kontynuując przesłuchanie.

– Powiedział, że samopoczucie o niczym nie świadczy i nie zaszkodziłoby się przebadać. Że jest publikacja, teraz nie pamiętam ani tytułu, ani autorów, ale nazwał ją, dokładnie, najświeższa, w której jest mowa o tym, że potencja twórcza zależy od wewnętrznego stanu organizmu.

– I co było potem? – popędział Brauner.

– Potem, jak teraz sobie przypominam, poklepał mnie po plecach, i uśmiechnął się. Teraz rozumiem, że to był diabelski uśmieszek. Ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. «Wiesz, Arturze – powiedział do mnie Teller – ja już prawie nie praktykuję, ale przyjedź do mnie, do kliniki, dla ciebie zrobię wyjątek».

– No a pan?

Pomyślałem, że Brauner stara się kontrolować absolutnie wszystko, nawet zeznania swojego świadka.

– Co ja? Oczywiście, że się zgodziłem. Klinika Tellera jest znana na całym świecie i uważana za jedną z lepszych.

– Więc co było potem? – zapytał znów oskarżyciel.

– Po kilku tygodniach przyjechałem do kliniki i całkowicie się przebadałem. Teller zaprosił mnie nawet do siebie do domu, siedzieliśmy długo, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, ale teraz już niezbyt dobrze pamiętam, o czym. To nawet nie to, że bym się denerwował, ale wiecie państwo, badania – i to tak dokładne, człowiek niecierpliwie czeka na wyniki. Wieczorem sam mnie odwiózł do motelu, gdzie się pożegnaliśmy.

– A dalej?

– Rankiem zadzwoniono do mnie i powiedziano, że doktor Teller prosi, że bym niezwłocznie przyjechał do kliniki i że to jest coś bardzo ważnego. Zdenerwowałem się, to było bardzo nieprzyjemne. Od razu zrozumiałem, że coś jest nie tak, i natychmiast pojechałem do szpitala.

– Co panu tam powiedziano? – zapytał znów Brauner.

– Teller wyszedł mi na spotkanie na korytarz i zaprosił do swojego gabinetu. Powiedział, że niektóre wyniki nie są najlepsze, potrzebuje ich potwierdzenia i muszą przejść bardziej szczegółowe badania. Zapytałem, co on naprawdę podejrzewa? Teller skrzywił się, potem popatrzył mi prosto w oczy i powiedział: «Obawiam się, Arturze, że masz raka».

– Tak powiedział?

– Tak, tak – Metureng potarł zwiniętą w kułak dłoń, widać było, że się denerwuje, ponownie przeżywając swoją opowieść. Właśnie tego oczekiwał oskarżyciel.

– Oczywiście. Tak właśnie powiedział: rak.

– I co pan poczuł, wysłuchując diagnozy? – znów rzucił pytanie Brauner.

Świadek wzruszył ramionami.

– Co może czuć człowiek w takiej sytuacji? Szok, oczywiście, potem myśli, że to niemożliwe, to nie mogło mi się

przydarzyć. Wydaje się, że oglądasz film albo że przyśnił ci się jakiś idiotyczny sen. W ogóle Teller zaproponował mi, żebym na jakieś dwa dni został w klinice.

– Zgodził się pan na to?

– Oczywiście.

– I jaki był wynik tego, jak to nazwano, szczegółowego badania? – zapytał Brauner.

– Spędziłem w klinice dwie doby. Bardzo nieprzyjemne, upokarzające procedury... do tego mój nastrój... Potem przyszedł do mojej sali Teller i powiedział, że najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, mam raka. O mało co nie straciłem przytomności, zakreśliło mi się w głowie... ogarnęła mnie całkowita bezsilność, zupełnie nieznane mi uczucie... Niezbyt dobrze pamiętam, co mówił. Chwilę potem, kiedy trochę oprzytomniałem, zapytałem go, jakie mam szanse.

– I co odpowiedział doktor Teller?

Brauner stał obok ławy przysięgłych, jakby ich zapraszał, żeby wczuli się w straszne opowiadanie.

– Powiedział, że nie ma najmniejszych szans, a mnie jakby ktoś tępym narzędziem uderzył po głowie. Jedyne, co pamiętam, to to, że krzyknąłem: «Ale ja nawet nie czuję się źle». «Tak bywa – odpowiedział – oczywiście mogę zaproponować operację albo leczenie. Tak bym postąpił w każdym innym przypadku. Tobie jednak mogę powiedzieć otwarcie, przecież tak dawno się znamy, że nic nie pomoże, ani operacja, ani żadne inne leczenie: jesteś w takim stadium choroby, które nie daje najmniejszych szans. W twoim stanie, Arturze – powiedział – masz jeszcze jakieś cztery, pięć miesięcy, postaraj się spędzić je najbardziej twórczo, jak tylko można. Masz rzadką odmianę choroby, nie będziesz jej odczuwał, nawet będzie ci się zdawało, że jesteś całkowicie zdrowy. Rozporządzaj więc czasem, który ci został, według swojego uznania». Potem dał mi lekarstwo,

powiedział, że to nowy, eksperymentalny lek, że poprawi moje ogólne samopoczucie, i zaproponował, że mnie odwiezie na lotnisko, jeżeli chcę lecieć do domu. – Metureng zamyślił się. – Oto i wszystko, od tego dnia moje życie stało się koszmarem, oczekiwaniem na nieuchronną śmierć.

– Proszę opowiedzieć dokładniej o tym okresie, co pan przeżywał w ciągu tych miesięcy. Rozumiem, że to trudne, ale mimo wszystko proszę opowiedzieć:

Usłyszałem, jak Brauner usiłuje nadać swojemu głosowi łagodne brzmienie i okazać współczucie, i mimo że nie udało mu się całkowicie ukryć napięcia, oceniłem go na piątkę. Metureng spuścił wzrok i patrzył w dół, a mnie wydawało się, że drżą mu ramiona.

– To były ciężkie miesiące – powiedział – bardzo ciężkie. Nie mogę nawet powiedzieć, że żyłem w tym czasie. Po prostu piekło. Musiałem zrezygnować z pracy, rozumiecie mnie państwo... – dopiero teraz podniósł wzrok. – Nie można niczego robić, oczekując, że już za moment umrzesz. Odliczasz doby, liczysz dni w kalendarzu. Próbowiałem podróżować, ale wszystko mnie tylko drażniło i przynosiło bolesne rozczarowanie. Do tego zacząłem się gorzej czuć, pojawiły się osłabienie, senność, bóle serca, wpadłem w depresję. Miałem ochotę skończyć ze sobą. Okazało się, że życie w oczekiwaniu na nieuniknioną śmierć to najstraszniejsza męczarnia, na pewno najbardziej wyczerpująca. Przy czym im mniej zostawało mi czasu, tym nieznośniejsze i bardziej denerwujące stawało się oczekiwanie. Stało się ono nieodłączną częścią mojego życia, zupełnie je dominując. Mineły trzy miesiące, cztery, a ja nieustannie oczekiwałem na śmierć. Nie wiem nawet, jakie znaleźć słowa, żeby opowiedzieć, co dokładnie wtedy działo się ze mną, Szczególnie nocami.

Głos świadka załamywał się, czuło się, że ledwo powstrzymywał cisnące się do oczu łzy.

– Nie wiem, jak przedstawić stan, kiedy nocą, człowiek się budzi, raczej uwalnia się od oblepiającej i duszącej go mgły i myśli, zlany zimnym potem: to już teraz. Serce prawie się zatrzymuje. Nic jednak się nie dzieje, nadchodzi ranek, a potem dzień, ty żyjesz i znów czekasz na nadejście nocy i tak dzień za dniem i noc za nocą. Jak opisać te cierpienia? Nie wiem! Jest taka tortura, kiedy wyprowadzają na rozstrzelanie, stawiają pod murem i strzelają obok. Ale do próby rozstrzelania wreszcie można się za którymś razem przyzwyczaić. Do tego jednak nie sposób.

Teraz Metureng zmienił się. Twarz mu pobladła i okryła się potem, policzki miał zapadnięte, strzelał wzrokiem po całej sali, szukając wsparcia, ale go nie znajdował: każdy, na kogo spoglądał, spuszczał wzrok. Brauner już nie przerywał świadkowi, dostał to, czego chciał, żaden, najbardziej elokwentny prokurator nie mógłby sądowi lepiej opowiedzieć tej strasznej i tragicznej historii.

– A potem minął jeszcze jeden miesiąc i jeszcze kilka następnych tygodni, a ja wciąż nie umierałem – ciągnął dalej Metureng.

Nie wiem jak inni, ale mnie ścisnęło się dosłownie serce, kiedy usłyszałem zdanie: «a ja wciąż nie umierałem». Brzmiało to tak żałośnie, jakby się usprawiedliwiał.

– Kiedy minęło jeszcze kilka następnych tygodni, zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem do Tellera. Wtedy on wezwał mnie do kliniki i znów przez dwa dni przeprowadzał badania, potem znalazłem się w jego gabinecie i powiedział mi, że albo zdarzył się cud, jaki trafia się raz na dziesięć milionów przypadków, albo pomogło lekarstwo, które mi zapisał. Tak czy inaczej, jestem absolutnie zdrowy, guz zniknął, a on mi życzy wszystkiego najlepszego.

– Czy pana wtedy nie zastanowiła dziwaczność takiego cudownego ozdrowienia? – wmieszał się Brauner.

– Dziwaczność czego? Tego, że nie umieram dzisiaj ani jutro? Że pozwolono mi żyć? Czy można zważyć w możliwość życia? Któż nie przyjmie tego bezwarunkowo, bez zadawania pytań? Nie, nie zdziwiłem się. Teraz, oczywiście, rozumiem to, ale wtedy... Wtedy opanowały mnie inne uczucia, ale zdziwienie do nich nie należało. Przecież tylko coś, co się nie uda, wymaga odpowiedzi na pytania i wyjaśnień. Powodzenie niczego nie potrzebuje, nie poszukuje, jest przyjmowane bezwarunkowo w całości, nie jak jedyna szansa.

– To znaczy, że nie podejrzewał pan niczego niezwykłego? – zapytał znów oskarżyciel.

– Nie – Metureng pokręcił przecząco głową.

– W porządku. – Brauner zrobił pauzę. – A teraz proszę opowiedzieć Wysokiemu Sądowi, jak pan żył dalej, po tym, jeśli tak można się wyrazić, wydarzeniu?

– Jak żyłem? – Meterung znów spuścił wzrok. – Źle, ciężko. Nie potrafiłem się pozbierać po tym wstrząsie. Choć zyskałem ulaskawienie, miało to wpływ na moje zdrowie, nie będę roztrząsał tego z medycznego punktu widzenia, powiem tylko, że długie i silne napięcie nerwowe nie pozostało bez echa. Wróciłem do swojej pracy, ale niczego nadzwyczajnego już nie osiągam. Wszystko wokół przybladło, nie ma we mnie już radości życia. To, co przeżyłem, wypaliło mnie i dotąd nie potrafię się z tego wykaraskać.

– Nie mam więcej pytań do świadka – ostro, prawie bez pauzy i dlatego dziwnie sucho powiedział Brauner.

Metureng zmęczony podniósł się, wyglądał jak gdyby przez cały dzień dźwigał kamienie; skierował się w stronę wyjścia, nie prostując się nawet. Widok jego przygarbionej, jakby złamanej figury był wizualną puentą jego opowieści.

Następnym świadkiem oskarżenia był Thomas Dampf, energiczny i impulsywny człowiek. By nie przedłużać

relacji, nie będą dokładnie przytaczał każdego zdania z jego zeznań, chociaż dysponuję stenogramem jego odpowiedzi na pytania prokuratora Braunera. Powiem od siebie, że sposób składania zeznań przez pana Dampla, bardzo emocjonalny, a czasami nawet niepohamowany, skrajnie się różnił od stylu doktora Meturenga. Wbijał wzrok w ławę przysięgłych i prawie pożerał oczami nieobecnego duchem w tym momencie oskarżonego. Jeżeli jednak to pominąć, zeznania tego świadka nie różniły się niczym od zeznań poprzedniego.

Tak samo jak Metureng, Dampł był człowiekiem znanym w swoim zawodzie, wprawdzie nie w dziedzinie nauki, ale w kinematografii. Jako reżyser zrobił kilka modnych, szczególnie w środowisku intelektualnym, filmów. Tak samo jak Metureng, zwrócił się do doktora Tellerera z prośbą o konsultację, a ten, po przeprowadzeniu badań, stwierdził, że reżyserowi zostało osiem, maksimum dziewięć miesięcy życia (dlaczego dał Dampłowi więcej czasu, było dla mnie zagadką). Analogiczny przypadek jak Meturenga, ten sam rodzaj choroby, nie poddający się żadnej formie leczenia: ani operacja, ani chemioterapia, zdaniem Tellerera, nie miały najmniejszego sensu. Lecz reżyser okazał się silnym człowiekiem i nie miał najmniejszego zamiaru skapitulować przed chorobą, zaczął stosować różnego rodzaju diety, aby podnieść odporność immunologiczną organizmu, przyjmował zioła, preparaty homeopatyczne i witaminy. Pojechał nawet na dwa miesiące na Wyspy Bahama, żeby tam odbyć kurs medycyny alternatywnej. Jednak i jego, tak samo jak Meturenga, coraz częściej dopadała depresja, życie zaczęło sprowadzać się do nieustannego oczekiwania na najgorsze, zapisałem nawet w swoim notesie, że Dampł, podobnie jak Metureng, kilka razy porównał je do tortur. Poddał się wreszcie chorobie i kiedy po roku dowiedział się o swoim cudownym uzdrowieniu, nie potrafił już reżyserować filmów i powrócić do dawnego trybu życia.

Jednak energia go nie opuściła, i teraz zaciekle starał się dowiedzieć, dlaczego doktor Teller uparł się, żeby zniszczyć jego życie. Przecież on jako pierwszy zakwestionował wiarygodność diagnozy, a potem, po swoim «cudownym uzdrowieniu», przekazał sprawę do prokuratury. Dochodzenie wykazało, że jego doświadczenie nie było przypadkiem ani wyjątkiem, że doktor Teller, wykorzystując identyczny schemat «eksperymentował» w ten sam sposób na jedenastu «pacjentach». Któż to wie, ilu jeszcze «podopiecznych» Tellera śledztwo nie zdołało ujawnić?

Trzech następnych świadków zeznawało podobnie, ich historie różniły się tylko drobnymi niuansami. Jednym z nich był znany w świecie chemik, drugim – światowej sławy pisarz, a trzecim – obdarzony talentem muzyk i kompozytor, po którym, tak jak pisano, zawsze spodziewano się znakomitych osiągnięć. Opowiadania chemika i pisarza, jak i ich reakcja na diagnozę postawioną przez doktora Tellera, przypominały zeznania pierwszych świadków. Obaj, jeżeli można się tak wyrazić, rozstroili się kompletnie i nie potrafili się pozbierać, nawet po tym, kiedy Teller oznajmił im, że wyzdrowieli. A tymczasem kompozytor wyglądał, mówił i zachowywał się skrajnie inaczej niż pozostali.

Nazywał się Mścisław Brestlav, był spokojnym, cichym człowiekiem, z uważnym, badawczym wzrokiem, rzucanym znad nieco staromodnych okularów. Jego historia początkowo nie różniła się niczym od historii pozostałych świadków. Poczł się niezbyt dobrze i zadzwonił do Tellera, którego poznał kiedyś, dużo wcześniej i dobrze go znał. Ten kazał mu przyjechać do kliniki i oznajmił mu po badaniach, że jest chory na nieuleczalną, śmiertelną chorobę, której, jak przewidywał doktor, nie można wyleczyć, lecz nie ma ona najmniejszego wpływu na samopoczucie, a pozostałe Brestlavowi życie obliczył na sześć miesięcy.

– I co pan poczuł, kiedy usłyszał tę nowinę? – zapytał Brauner zgodnie z przyjętym już na wstępie porządkiem zadawanych pytań.

– Nie pamiętam dokładnie, co poczułem w pierwszej chwili, ale na pewno rozczarowanie, pustkę w głowie.

– Brauner skinął głową, oczekując z tą samą, co do tej pory, niecierpliwością dalszego ciągu tej historii. – Ale, co nie powinno nikogo dziwić, uczucie zniecierpliwienia go opuściło, kiedy zobaczył, jaka zmiana zachodzi w świadku: Brestlav zmarszczył się, podniósł rękę do czoła i było widać, że szuka odpowiedniego słowa. – Przecież, jeżeli powiem, że poczułem ulgę, państwo nie zrozumieją, co mam na myśli.

Brauner drgnął. To był zupełnie nieprzewidziany obrót sprawy, który wychodził bardzo daleko poza ramy jego tak udanego planu prokuratorskiego. Brestlav zdobył się na uśmiech, zmęczony, ale jak mi się zdawało, nieco pobłażliwy:

– Zrozumcie państwo, od razu poczułem się lżej: znikła cała szara codzienność, marazm, który był obecny w moim życiu. Wiecie państwo, zawsze odkładamy wszystko «na potem». Tymczasem nagle zabrakło tego «potem», które prawie stało się «wczoraj», wobec czego zniknęła możliwość dokonywania wyborów i planowania na rok czy na dwa lata naprzód. W ogóle znikły wszystkie zwyczajowe miary i właśnie dlatego poczułem prawdziwą ulgę. Nie wiem, czy państwo mnie rozumieją.

Widziałem, że Brauner gorączkowo szuka sposobu na odzyskanie nici, którą sam wypuścił, powoli podniósł głowę, widocznie zdrewniały z napięcia, ale Brestlav zrozumiał jego ruch jako prośbę o dokładniejsze wyjaśnienie.

– Widzicie państwo – ciągnął dalej, cały czas pocierając czoło – życie jest tak urządzone, że człowiek zawsze otrzymuje drugą szansę... Właściwie to nawet nie jest tak...

– Teraz zdjął okulary i potarł palcami powieki. – Właśnie to, że granica życia jest nieznana, powoduje, że wydaje się ono nieskończenie długie, co rodzi przeświadczenie, że wszystko zdążymy jeszcze kiedyś, potem, zrobić; wszystko to, czego jeszcze nie zdążyliśmy zrobić dotąd. Życie bazuje na zasadzie, którą można określić jednym słowem – «potem». Wydaje nam się, że skoro oczekuje nas przyszłość, zawsze znajdują się czas i możliwości. Widocznie bardzo potrzebne nam jest to poczucie nieskończoności życia, bez tego byłoby ono przeraźliwie nieznosne. Być może to jest skarb... Ale oczywiście jest to iluzja, wybieg, samouspokojenie. «Potem» nie istnieje! Nie można odłożyć dzieciństwa na «potem», dzieciństwo można przeżywać tylko wtedy, kiedy człowiek jest dzieckiem, to samo z młodością. Uśmiech młodej matki można też zobaczyć tylko wtedy, kiedy jest jeszcze młoda. Rozumiecie państwo... Tak samo dla kreatywności, dla twórczości nie istnieje «potem». Jednak my, rozumiejąc to, nawet nie próbujemy zmienić swojego trybu życia, my ciągle z determinacją wierzymy przez całe życie w «potem». Do tego dochodzą problemy osobiste – pieniądze, dążenie do wygod, pogoń za rozrywkami, tak jak ta cała codzienna biegania, potrzebują priorytetu. Usprawiedliwia nas w tym wszystkim właśnie «potem».

Brauner podniósł rękę, próbował przerwać niepotrzebny, odbiegający od sedna sprawy, monolog wstępny, ale Brestlav nie patrzył na niego. Jego spojrzenie było nieodgadnione, jak spojrzenia z niektórych starych portretów. Mnie wydawało się, że skierowane jest na mnie, ale ręczę, że każdy z siedzących na sali czuł jego wzrok tylko na sobie.

– Kiedy Teller oznajmił, że zostało mi jeszcze pół roku – ciągnął dalej Brestlav – wszystko samo zaczęło się rozwiązywać. Potem nagle znikło, przestało istnieć, zostałem tylko ja, i to najważniejsze, dla czego, jak mi się zawsze zdawało, żyję. Muzyka! Problemy, kłopoty, obowiązki,

prestż, znajomi – wszystko nie tylko przestało być ważne, ale całkowicie znikło. To wyzwoliło uczucie ulgi: nie musiałem o niczym decydować, nikogo obrażać, narzucać sobie ograniczeń, zupełnie niczego robić, wszystko w jakiś cudowny sposób rozwiązywało się samo z siebie.

– Ale chyba ogarnął pana strach? Czy nie rozmyślał pan o tym, że niedługo umrze? – przerwał Brauner, mając pewnie nadzieję, że w ten sposób bezboleśnie uda mu się naprowadzić świadka na właściwy tor myślenia.

– Strach? – Brestlav i tak nie mówił szybko, ale teraz prawie zamarł. – Nie, na pewno nie. Nie miałem przecież umrzeć w mgnieniu oka. Jedyna rzecz, jaka się stała, to to, że dowiedziałem się, gdzie leży moja meta. Równie dobrze Teller mógł mi oznajmić, że umrę za dwa lata albo za osiem lat. Czy powinienem się przestraszyć, gdybym się dowiedział, że umrę za osiem lat? Albo za dwadzieścia? Dwadzieścia lat to taki sam ograniczony czas jak pół roku. Oczywiście jest, że pół roku składa się z mniejszej liczby dni i nocy, ale wszystko jest względne. Jeśli tak jest, to pół roku stanowi taki sam drogocenny okres, jak dwadzieścia lat czy jakikolwiek dowolny odcinek czasowy. Sprawa nie polega na samym okresie, ale na jego względności. Strach, jak pan mówi, powinna we mnie wywołać określona granica, lecz ona strachu nie wywołała, przeciwnie, byłem z niej zadowolony. Zresztą, już o tym mówiłem.

– A co pan robił, kiedy się pan dowiedział, że zostało panu sześć miesięcy życia? – Brauner jeszcze raz próbował zmienić kierunek zeznań świadka.

– Co robiłem? – nie wiadomo dlaczego Brestlav powtórzył pytanie. – Pracowałem. Przez cały czas tworzyłem muzykę, lepszą, niż kiedykolwiek dotąd udało mi się skomponować, i lepszą, od tego, co byłem dotąd w stanie z siebie wydobyć. Dlatego że przesławne potem związane jest nie tylko z czasem, ale także z duchowymi siłami. Normalnie

człowiek boi się wyczerpać do końca emocjonalnie, umysłowo, nerwowo. Chcemy oszczędzić siły na przyszłość, nie wyczerpywać siebie do cna, bo przecież okropne jest zostać pustym. A tutaj na odwrót, trzeba było wyczerpywać, opróżniać się, osuszyć, żeby nie było żal, kiedy nadejdzie termin. W istocie udało mi się wyzwolić, znikły ograniczające mnie myśli, skomponowałem najlepszą muzykę.

Omiótł spojrzeniem salę i Brauner, tak jak wszyscy pozostali, poczuł je na sobie.

– Ale ucieszył się pan, kiedy się pan dowiedział, że jest zdrowy? – zapytał prokurator.

– Tak, oczywiście, byłem zadowolony. Oczywiście, bardzo zadowolony. Przede wszystkim dlatego, że jakimś cudem oszukałem los i dokonałem tego, czego pragnałem przez całe życie, a do tego wyszedłem z całej opresji bez szwanku. Jakoś tak dziwnie się złożyło, że udało mi się oszukać los.

Przeniostem spojrzenie na Tellera. W jego pozie pojawiło się napięcie, pochylił się do przodu, i wprowadzie spod oka, ale cały czas nieprzerwanie spoglądał na Brestlava. Ten jednak tego nie zauważał.

– Ale teraz, kiedy pan już wie, jak boleśnie z pana zakpiono, że pana oszukano i wydrwiono, na pewno czuje się pan teraz dotknięty. Czy tak? – naciskał Brauner.

– Dotknięty? Nie, nie czuję się. Bez tego żartu nie skomponowałbym swoich najlepszych utworów. Ten żart okazał się dla mnie zbawienny.

Braunerowi nie udało się zmienić kierunku zeznań świadka, wszyscy to zrozumieli. Teraz on sam próbował szybko skończyć przesłuchanie.

– Nie mam więcej pytań – powstrzymał Brestlava, chociaż ten nie miał zamiaru mówić dalej.

Na tym zakończył się pierwszy dzień rozprawy. Następny był w ogólnych zarysach podobny do poprzedniego

– zeznawało sześciu świadków: czterech uczonych, dramaturg teatralny i znany dziennikarz. Wszyscy opowiadali o ciężkim doświadczeniu, które było ich udziałem i które ich załamało, oczywiście w różnym stopniu. Tylko jeden z nich, biolog, mroczny, szczupły mężczyzna, stwierdził, że dla niego profesor Teller okazał się katalizatorem, który pozwolił mu skoncentrować się i rozwiązać problemy, nad którymi biedził się przez ostatnie dwadzieścia lat. Zauważyłem wtedy, jak znów zmienił się wyraz twarzy profesora Tellera i zrozumiałem, że sąd okazał się dla niego zbawieniny, prawie tak samo jak dla bohatera powieści *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego.

Kiedy świadkowie zakończyli składanie zeznań, głos zabrał prokurator. Brauner mówił krótko, ale energicznie, przede wszystkim o złamanym życiu, ingerencji w los, o bezwzględności i dwulicowości, nazwał nawet Tellera zdrajcą. Powiązał czyny oskarżonego z jego hipertroficznym uczuciem zawiści i nienawiści do cudzego powodzenia. – Właśnie dlatego – powiedział prokurator – pan Teller wybierał do swoich eksperymentów utalentowanych ludzi, którzy, w odróżnieniu do niego samego, pracowali twórczo i osiągalni znakomite wyniki. Wiemy – powiedział jadownicie – że doktorowi Tellerowi praca idzie kiepsko, że on sam już dawno drepcze w miejscu i – Brauner, pogrzebawszy w papierach, wyciągnął kilka kartek i pomachał nimi – mam tu recenzje uczonych kolegów Tellera, oceniających jego prace w ciągu ostatnich pięciu lat jako filozoficzne. Właśnie dlatego – prokurator odłożył kartki – oskarżony, dreczony zawiścią, wybierał spośród swoich znajomych ludzi, którzy mieli większe osiągnięcia niż on sam, żeby złamać i zniszczyć ich w taki niehumaniczny, dziwny sposób. Prokurator mówił w tym duchu jeszcze długo, a na zakończenie poprosił Wysoki Sąd, żeby ten ukarał Tellera, jak powiedział, «nie biorąc pod uwagę jego poprzednich zasług, a pamięć-

tając o okaleczonych życiach i w zgodzie z obowiązującą literą prawa».

Następnie wystąpił adwokat. Żarliwie i z emfazą mówił o poprzednich zasługach Tellera, o rzeszach ludzi, których uratował, o osiągnięciach i nagrodach naukowych, o zmęczeniu i prawie do pomyłki, «fatalnej, ale jednak pomyłki». Wprawdzie jego mowa była rzeczywiście poruszająca, lecz argumenty wydawały mi się nieprzekonywające i często wydumane, a poza tym, jakie można znaleźć wytłumaczenie dla Tellera po tym, co zeznali świadkowie? Na samym końcu sędzia spytał oskarżonego, czy chce wystąpić z ostatnim słowem. Z doświadczenia wiedziałem, że adwokat nigdy nie doradza swojemu klientowi, żeby wypowiadał się przed sądem, ponieważ wtedy może tylko pogorszyć swoją sytuację. Teller jednak wstał i dopiero wtedy, kiedy spojrzał na salę, zobaczyłem, jakie miał nieprzyjemnie przenikliwe spojrzenie. Wydawało się, że zmroził salę wzrokiem. Potem zaczął mówić, ale nie jestem przekonany, czy wszyscy zrozumieli sens jego wypowiedzi.

– Dwaj z jedenastu – nawet w pełnej ciszy jego głos był przytłumiony. Spokojny, podsumowujący głos. – Myślałem, że będzie lepiej. Przecież analizowałem, planowałem, wiedziałem, że nie wszystko może się udać, ale nie przypuszczałem, że aż w tylu przypadkach. Pomyliłem się. Jestem winny wobec tych dziewięciu i gotów jestem ponieść karę, jaka by ona nie była. Właśnie za to, że się pomyliłem. Dlatego, że dwaj z jedenastu to za mało. – Zamyślił się, a potem dodał cicho, jakby do samego siebie: – Chociaż to też jakiś rezultat. – Następnie usiadł. Słyszałem, jak mój sąsiad z prawej strony wycedził przez zęby: «Co za cynizm!» i z niedowierzaniem pokręcił głową tak gwałtownie, że aż chrupnęły kręgi szyjne. Woźny sądowy nakazał wszystkim powstać i sąd udał się na naradę. Przypuszczałem, że

będzie to trwało dłużej i pobiegłem do telefonu przekazać sprawozdanie do redakcji.

Kiedy sąd wrócił i sala znów powstała, a potem wszyscy prędko i prawie bezgłośnie usiedli na swoich miejscach, podniosła się jedna z sędziów przysięgłych.

– Sędziowie przysięgli uznają oskarżonego, pana Tellera – tutaj przeciągnęła pauzę, a mnie się wydawało, że zastygło w sali powietrze runęło w dół i się przełamało – za winnego. – Salę przebiegło zbiorowe westchnienie.

Teraz przyszła kolej na sędziego. Ten maleńki, bezkompromisowy uzurpator (komu to daje się prawo do decydowania o ludzkich losach) oznajmił rzeczowo, wyjątkowo sucho:

– Oskarżony otrzymuje wyrok śmierci.

«Aaach» – przetoczyło się po sali. Nikt, nawet Brauner, nie spodziewał się takiego wyroku. Sędzia nie zważał jednak na emocje sali; nawet gdyby nagle runął dach, nie zwróciłby na to uwagi.

– Jednak – ciągnął dalej, ostrym, łamiącym się głosem człowieka, któremu już dawno było na dobrą sprawę wszystko jedno, co o nim myślą – wyrok uprawomocni się dopiero za rok. – Na sali znów zapanowało poruszenie. – Do wyznaczonego terminu oskarżony Teller będzie się znajdował w areszcie domowym, z możliwością kontynuowania pracy naukowej w laboratorium.

W sali zawrzało. Spoglądałem na doktora Tellera, starając się zanotować każdy skurcz mięśni na jego twarzy. Zdawało mi się, chociaż mogę się mylić, że widzę na jego twarzy wdzięczność, a nawet radość. Z aprobatą pokiwał głową.

Nie pozostało mi nic innego, jak zacząć przeciskać się do wyjścia”.

Okazuje się, że niczego nie zjadłam, niemożliwe jest jednocześnie przeżywanie dwóch różnych przyjemności,

trzeba wybierać, a ja wybrałam książkę. Dolewam sobie wina, sałata jest, jak przedtem, soczysta i aromatyczna, pachnąca natura. Sama w sobie już jest smaczna, a co dopiero z mięsem i wytrawnym winem...

Trzeba by, myślę sobie, przeczytać jeszcze jedno opowiadanie, wprawdzie zakończenie tego trochę sknocone, lecz treść interesująca. Ciekawe, co bym zrobiła, gdybym wiedziała, że zostało mi tylko pół roku życia, czując się przy tym zdrowa. Na co bym przeznaczyła czas? Na podróże? Napodróżowałam się wystarczająco i zrozumiałam, że zmiana miejsca niewiele daje. W rezultacie wszystko jedno – zostajesz ze sobą i z ludźmi, którzy są ci drodzy. Na pracę? Ale w architekturze niczego nie można zrobić w ciągu pół roku, może najwyżej na papierze, ale czy to, co na papierze, to się liczy? Mężczyźni? Teraz, jak wszystko straciłam, zaczynać ponownie? Nie, przez pół roku to jest niemożliwe i głupie, próbować kogoś zdobyć tylko po to, żeby zaraz wszystko stracić. Seks? Nie wiem, pewnie nie wszystkiego próbowałam. Czy mi to potrzebne? Jeżeli nie spróbowałam czegoś przedtem, kiedy miałam siły i możliwości, to widocznie nie jest mi to potrzebne. To znaczy, że dotarłam do granicy, której nie przekroczę.

Pociagam jeszcze jeden łyk, robi mi się przyjemnie po winie, po jedzeniu, z powodu ogólnego rozleniwienia. Wiem, co bym robiła – zaczęłabym malować. Pociąg do malarstwa nie minął mi z wiekiem. Jakie to dziwne, wszystko, co najlepsze we mnie, pogrzebałam sama. Dlaczego? Wystraszyłam się, że to jest najlepsze? Śmieszne i głupie. Przecież miałam jeszcze jedną szansę. Wtedy, w willi, Alfred zaproponował mi, żebym malowała dla teatru, ale ja znów się nie zdecydowałam.

Tego ranka obudziłam się bardzo wcześnie – Dino jeszcze spał – wzięłam sztalugi i wymknęłam się na dwór, żeby

popracować jeszcze trochę nad szkicami. W ogóle to nie lubiłam wstawać rano, mój styl życia nie wymagał ponoszenia takich ofiar, a i sny, te proroctwa, śnią się zwykle nad ranem. Zauważyłam, że ludzie, którzy wstają rano, nie są na ogół obdarzeni fantazją, z pewnością dlatego, że tracą jasne, poranne sny. Kiedy jednak budzisz się bladym świtem w sposób naturalny, jest pięknie, oczywiście: czysta, niczym nie zmacona świeżość i czysty spokój rozlewający się w powietrzu.

Stałam przed sztalugami, słońce jeszcze nie wzeszło zza zamysłonych, granatowych wzgórz, podkreślając tylko zarysy, nie wyróżniając detali. Obejrzałam się, żeby popatrzeć na owianą poranną mgłą figurę w dolinie, i drgnęłam, zauważywszy człowieka wpołżeającego w fotelu.

– Wie pani, dlaczego jest tak pięknie? – zapytał. Okazało się, że nawet nie mnie pyta, ale tylko ja jedna mogłam mu odpowiedzieć. I odpowiedziałam:

– Właśnie przed chwilą o tym pomyślałam.

– Tak, a dlaczego? – zapytał.

– Dlatego, że noc jeszcze nie ustąpiła.

Uśmiechnął się.

– Dziwne, oboje odczuwamy to samo.

Nie odpowiedziałam. Głos był taki bezcielesny, dobiegając z głębokiego fotela przydawał tylko metafizyki zamkowi, jeszcze nie rozkwitniętemu porankowi, jego przezroczystej zapowiedzi unoszącej się w powietrzu. Obejrzałam się znów. Sztywna noga Alfreda leżała na maleńkim taborecie.

– Właśnie dlatego, że noc jeszcze nie ustąpiła, a poranek już wzeszedł, stąd świeżość i bezruch.

– Za dziesięć minut noc odejdzie i wszystko się skończy – powiedziałam. – Wstanie dzień.

– Ależ nie, nie za dziesięć. Mamy jeszcze dwadzieścia minut.

– U nas idzie to szybciej – uśmiechnęłam się. Nie widziałam, ale czułam, że on się też uśmiechnął.

– Czy wie pani, dlaczego siedzę tutaj, patrzę i słucham?
– spytał Alfred.

– Dlaczego?

– Dlaczego, że najważniejszą tajemnicą sztuki jest dążenie do stworzenia czegoś kruchego, komplementarnego, harmonii przeciwieństw.

Głos siedzącego w fotelu człowieka sam brzmiał jak przeciwieństwo.

– W muzyce to dźwięki, w malarstwie to często gra światła. U was, w architekturze, dzieje się to na pewno na poziomie form, no i oczywiście przestrzeni, wewnętrznej i zewnętrznej przestrzeni, ale to pani wie. W teatrze wszystko jest bardziej złożone, tak jak w literaturze, dlatego że jest więcej konkretów, a mniej abstrakcji. A jeżeli chodzi o konkrety, sprawa jest bardziej złożona.

– Więc pan siedzi tutaj po to, żeby odgadnąć sekret?
– zapytałam.

– Dokładnie. Patrzę i próbuję pojąć. Przyroda także jest konkretna. – Zamilkł. – Tak, próbuję dociec i uchwycić, jak wszystko jest urządzone i jak to przenieść. Wie pani, na czym polega sekret przyrody?

– Na czym? – Wpatrywałam się w szkic zrobiony ołówkiem, jeszcze nie wiedząc, co z tego w rezultacie wyjdzie, zawsze zaczynałam kierując się intuicją. Głowę dorysuję potem.

– Na tym, że nie jest materialna. To znaczy, jej część jest materialna, oczywiście, ale w całości jest iluzoryczna i płynna.

– Nie rozumiem – powiedziałam. Ta rozmowa pomagała mi. W tym czasie moja ręka nieświadomie pracowała nad szkicem.

– Nie, pani to rozumie. – Uśmiechnął się z fotela. – Choć, jeżeli pani chce, to wyjaśnię. Przyroda nie dopuszcza

nas w swą głębie, jej piękno jest tylko dla oczu, ale najistotniejsze jest jej piękno niematerialne. Dowolne materialne piękno – człowieka, obrazu, poziomki na szypułce – można dotknąć, poczuć pod palcami, pocałować, poczuć smak. Koniec końców można włożyć do kieszeni, zabrać, a potem znów wyjąć i w ten sposób uczynić częścią siebie. – Przerwał. – Rozumie pani, o czym mówię?

– Oczywiście – Alfred milczał, a ja dodałam: – Oczywiście, że rozumiem.

– W porządku. Ale przyroda w swojej istocie jest nieuchwytna, zawsze potrafi się wymknąć. Jej nie można dotknąć, nie można się przytulić. Niech pani sobie wyobrazi, Jackie, jak byłoby przyjemnie zamknąć w dłoni rozedrgane świeże powietrze lub ten plusk rzeki, który pani słyszy.

Coś się zmieniło w jego głosie. Usłyszałam zupełnie inne nutki, nie złośliwe czy ironiczne, a wręcz odwrotnie – delikatne i dzięki temu bezbronne, nawet nieporadne. Obejrzałam się. Wyciągał rozczapierzoną dłoń, tak jakby chciał pochwycić za jednym zamachem wszystko to, o czym przed chwilą mówił. Zrobiło się jaśniej i można się było przyjrzeć jego twarzy, teraz wyraźnej, nawet pięknej, opromienionej mądrością. Wydawało się, że on wie wszystko, zupełnie wszystko.

– A całe to piękno, Jackie, trzeba ukryć, zsypać do maleńkiego pudełeczka i zamknąć pod pokrywką, żeby nie wyskoczyło. – Alfred natychmiast zacisnął pięść. – Ale my tego razem nie dostapimy. Nie możemy nawet na chwilę unieruchomić przyrody, żeby pełniej się nią nasycić. Proszę spojrzeć, jak zmieniło się światło w ciągu ostatniej minuty. Faust mówił o miłości, porównując ją z przyrodą, ale się mylił. Przyroda stoi ponad miłością, nie można jej powstrzymać, nie można jej wchłonać w siebie, nie można się z nią utożsamić. Niczego nie można. – Jego palce rozwarły się, tym razem bezwolnie i powoli, i ręka jakby zawisła, a potem opadła.

– Tak samo jest w malarstwie – zgodziłam się, czując w tej chwili to samo, co on.

– Także w malarstwie – powtórzył. – Tutaj najważniejsze jest zrozumieć, jak wszystko utrzymać, zatrzymać, przynajmniej na jakiś czas.

Zamilkliśmy. Rysowałam dalej, Alfred siedzący za moimi plecami ucichł, nie słyszałam nawet jego oddechu, a potem nawet nie usłyszałam, jak podszedł. Jak mu się udało tak cicho wstać? Nie wiem. Poczułam tylko na kartonie, oprócz mojego, jeszcze jedno spojrzenie.

– Przecież pani wczoraj specjalnie tak się zachowywała – powiedział.

Kiedy się odwróciłam, Alfred stał obok mnie, prawie przytulony.

– Jak specjalnie? – nie rozumiałam.

Jego głos, teraz zduszony, źle ukrywał szyderstwo.

– Demonstracyjnie okazywała pani swoją miłość do Dina, odgrywała pani oddanie, pokorę. Sam nie wiem, co jeszcze pani odgrywała.

Wzruszyłam ramionami. Ten ton i styl, w końcu nie jestem jeszcze jedną jego aktoreczką!

– No jakże – powiedział Alfred i jego przekrzywiona głowa opadła na ramię wsparte na kuli. Teraz znów był ptakiem. – Pani wiedziała, że na was patrza, to właśnie miała pani na celu: zademonstrować oddanie i miłość, dlatego że oddanie podnieca. Czyż nie tak? – Jego nieruchome ptasie spojrzenie, spoczęło na mnie. – Pani świetnie rozumie. Ja też rozumiem. Dla mnie to głupstewko, po prostu teatr.

– No dobrze – drażnił mnie jego głos, i to, że stał tak blisko, że czułam jego oddech. – Niech będzie, że wszystko rozumiem i pan też wszystko rozumie. Co z tego, jaki ma pan w tym interes?

– Dziwne pytanie – jego głos, jeszcze przed sekundą, twardy, apodyktyczny, teraz opadł, tak jak niedawno jego

ręka z rozczapierzoną dłońią, Alfred odsunął się do tyłu. – Oczywiście, mam w tym interes. Jeszcze jaki. Pięknie pani to narysowała.

Domyśliłam się, że niespodziewana zmiana tonu i cofnięcie się do tyłu wynikało ze studiowania szkicu, już ciemniejącego kreskami ołówka.

– Bardzo dobrze. Pani mi się w ogóle podoba. – Nie odrywał wzroku od sztalug. – Pani jest piękną i sprytną dziewczyną.

– Dziękuję – powiedziałam i skłoniłam się. – Coż, jak pan przenikliwie zauważył, zawsze wyłażę ze skóry, żeby się wszystkim podobać.

– No widzi pani, nawet teraz jest pani pełna wewnętrznej kokieterii. Ona jest w każdym pani ruchu, w sposobie mówienia, co w rzeczywistości świadczy także o guście. Niech pani popracuje dla mnie.

– Jako kto? – zapytałam. Powinien usłyszeć ironię, jeżeli jest naprawdę taki wrażliwy.

– Jak to, jako kto? Jako malarka. W teatrze. Poza tym niedługo będziemy kręcić film i tam też potrzebna będzie malarka. Poważna, skomplikowana praca, ale to będzie dla pani interesujące.

– Żeby poddać się pana władzy? A później, tak jak wszyscy, udusić się pod jej ciężarem? – Powiedziałam to, co myślałam. – Nie, lepiej popatrzę sobie z boku.

– Nie będę naciskać. Skąd pani to przyszło do głowy?

Przecząco pokręciłam głową, nie odrywając wzroku od sztalug. Alfred zrozumiał.

– Dobrze – powiedział. – Proszę się nie śpieszyć, niech się pani zastanowi i da mi znać.

Słyszałam jak wolno szedł w stronę domu, miarki żwir chrzęścił mu pod stopami. Może to świt, który wreszcie zapanował nad wzgórzami, nadał mu materialny wymiar.

W ciągu kilku miesięcy rozpoczął się ten cały absurd i rozgardiasz związany z filmem. Była sobota, siedziałam w domu, kiedy Dino otworzył drzwi swoim kluczem. Jeszcze nie wszedł do pokoju, lecz po odgłosach jego kroków od razu zrozumiałam: coś się stało. Wszedł do salonu, a ja dojrzałam w jego oczach tak ogromny ból, że od razu mi się udzielił.

– Co się stało? – zapytałam ze strachem.

Dino tylko pokręcił głową. Wiedziałam – chce, abym go błagała, namawiała. Steve uważał, że to ja sama jestem winna, że utopiłam Dina, nie od razu, za jednym zamachem, ale że robiłam to całymi miesiącami, latami. „Widzisz, woda – wyjaśniał obrazowo – opływając stale kamień, kształtuje go”.

„To nawet nie jest śmieszne – pisałam w odpowiedzi Steve’owi. – Wszystko jest całkiem odwrotnie, to on jest woda, a ja, co bardzo smutne, kamieniem, to on mnie kształtuje. Czy myślisz, że lekko jest patrzeć na jego przeżycia i nie uczestniczyć w nich? Nie wyobrażasz sobie nawet, jak wyglądała jego twarz, napiętnowana bólem do granic możliwości. Jak myślisz, jaka była przyczyna? Nie otrzymał roli w tym filmie. Próbowałam go uspokoić, mówiłam mu: to głupstwo, pomyśl sobie, zawsze będzie jakiś następny film. Ale Dino wymamrotał tylko: ty tego nie rozumiesz, i zwałił się na tapczan.

Leżał tak, nie uwierzysz, około dwóch godzin, bez ruchu, nawet nie zmieniając pozy. Można było pomyśleć, że zasnął, ale nie, on przeżywał. Początkowo nie chciałam nawet podchodzić do niego, chociaż było mi go bardzo żal, ale powstrzymałam się, żeby go do reszty nie rozklejać. Ile mogłam jednak wytrzymać? Przestraszyłam się w końcu, że coś się z nim stało, wiesz, przeleżeć dwie godziny w zupełnym bezruchu to chyba nienormalne. Przysiadłam obok niego i wsunęłam dłoń w jego włosy, gęste i mocne; moje delikatnie łaskoczące palce po prostu w nich tonęły.

– No już dobrze – powiedziałam – przestań. Przecież to naprawdę głupstwo. – Dino musiał długo się powstrzymać, bo teraz, pod wpływem mojej trochę smutnej pieśczo-ty, zadziałał w nim jakiś mechanizm, jakby przerwała się niewidzialna tama, ukrył twarz na moich kolanach, objął ręką i rozplakał się. A właściwie nie rozplakał się, a rozryczał. Wyobrażasz to sobie, na moich kolanach leżał wtulając się wysoki, silny, przystojny, muskularny mężczyzna i ryczał. Z powodu jakiegoś tam głupstwa. Coś takiego spotkało mnie po raz pierwszy w życiu. Poczułam się prawie jak matka, wydawało mi się, że wydobywam z siebie szczególną czułość, matczyną, podtrzymujące ciepło. Gładziłam go i całowałam w kark, we włosy, gdzie tylko mogłam dosięgnąć.

– Ależ, kochanie – mówiłam – uspokój się, przestań. To wszystko głupstwo, ja cię kocham, przecież wiesz o tym, i to jedyna naprawdę ważna rzecz. – Ruszał głową, ale nie rozumiałam, czy zaprzecza, czy potakuje. – Ważne – powtórzyłam – że jesteśmy razem ze sobą, że kochamy się nawzajem, a wszystko inne...

Nie skończyłam zdania, bo Dino zaczął mówić, tyle że przez łzy i prosto w moje kolano. Głos był przytłumiony i ledwie go słyszałam.

– Co? – przerwałam mu uspokajającym głosem.

Mamrotał coś tam i mogłam tylko rozróżnić wyraz «artysta», wydawało mi się, że powiedział «ja nie jestem artysta», albo wręcz odwrotnie, «jestem dobrym artystą», nie mogłam zrozumieć.

– Jesteś wspaniałym, znakomitym artystą, Sam nie wiesz, jaki jesteś znakomity. Marcello powiedział, że ty...

W tym momencie Dino zerwał się, nawet nie wiem skąd w tym jeszcze przed sekundą niemal martwym, wykończonym ciele znalazło się tyle życia i wigoru. Chociaż lepiej by było, żeby nie wstawał. Jego płacz, przedtem

sygnalizowany tylko przez drgający kark, teraz widać było na rozmazanej, wykrzywionej twarzy, w drzeniu ramion, urywającym się głosie.

Wiesz, co jest najstraszniejsze? Najstraszniejsza jest nagła zmiana nastroju. Zawsze się bałam, kiedy dzieci najpierw zaśmiewały się do rozpuku i nagle, w mgnieniu oka, zbierało im się na płacz bez żadnego powodu. Tak samo w tym przypadku, uroda natychmiast gdzieś się ulotniła i zmieniała się w szpetotę. Widocznie prawdziwa szpetota może być jedynie kontynuacją urody, a nie, jak było w tej chwili, jej przeciwnością, przedłużeniem.

– Ty nie rozumiesz – wykrzyknął Dino, zalewając się łzami; widziałam, jak spływają mu po policzkach i trafiają do ust. Stał na środku pokoju, w dziwnej, skrzywionej pozie – jedno ramię miał opuszczone i lewa ręka znajdowała się znacznie niżej od drugiej, prawie dotykała kolana.

– Wy wszyscy niczego nie rozumiecie! To moja rola, jest napisana specjalnie dla mnie i ja powinienem ją dostać! Żyłem specjalnie dla tej roli! Tymczasem Alfred dał ją komuś z Rzymu. Rozumiesz, poszedłem do niego, a on... – w tym momencie rysy twarzy Dino wydawały się jeszcze bardziej rozmazane, wargi uwydatniły się i napuchły, nadając twarzy wyraz chorobliwej tuszy. – Czy wiesz, co on mi powiedział?! – zapłatał się i umilkł, słyszałam tylko jego płacz.

«Jakie to głupie – pomyślałam – jak się zachować w takiej sytuacji?»

– Powiedział, że na taką rolę jest dla mnie jeszcze za wcześnie, miał na myśli, że jeszcze do niej nie dorosłem, wyobrażasz sobie... Tak poniżyć... Tak zniszczyć! Tak po prostu zniszczyć!

– No już – pocieszałam go – nie płacz, nie trzeba. Proszę cię, tylko nie płacz – znowu uniosłam jego twarz, odwróciłam ją i wycierałam.

Zaczął się uspokajać, stopniowo cichnąc w moich objęciach, tylko delikatne, ostatnie drżenia ciągle jeszcze przebiegały po jego ciele delikatną falą,

– Odejdę z teatru – powiedział w zupełnej ciszy. Jego głos, jeszcze nie ostygły od łez, był napięty, zmienił ton, niezwykle ostro ciał mój słuch, ale nie wiedziałam, dlaczego. Jakimś odległym wspomnieniem.

– Dobrze, już dobrze – powtarzałam, gładząc go uspokajająco po plecach – nie gorączkuj się, nie śpiesz, jutro się nad tym zastanowimy. Chcesz, żebym porozmawiała z Alfredem?

– Nie – znów próbował się wyrwać, ale niezbyt mocno, więc nie puściłam. – Coś ty! Zabraniam! Za nic! Nie odważysz się! – Wyglądało na to, że wszystko zaczyna się od początku, nie powinnam wspominać o Alfredzie, w każdym razie nie teraz.

– Dobrze, dobrze – powiedziałam najspokojniej jak umiałam. – Jeżeli ty nie chcesz, to nie pójdę.

– Tak, ja nie chcę! I nigdzie nie pójdziesz, słyszysz?! To głupie, to upokarzające, że ja ciebie proszę!

– Dobrze, nigdzie nie pójdę – nie przestawałam powtarzać.

– Obiecuj mi – poprosił.

– Dobrze, dobrze, obiecuję.

Znów się odsunęłam, żeby spojrzeć na jego twarz. Była zmęczona, z zatartymi, prawie nie do rozpoznania rysami, straciła regularność, skupiło się w niej tyle zmęczenia i fizycznej bezsilności, że powiedziałam:

– Chodźmy, poleżymy razem.

– Dobrze – zgodził się – chodźmy.

Położyliśmy się w ubraniach, on mnie objął i natychmiast zasnął, mocno przytulony. Ledwo udało mi się potem wyslizgnąć z jego objęć, tak żeby go nie zbudzić”.

„Jednak poszłaś do Alfreda?” – napisał do mnie w następnym liście Steve i mimo że to było pytanie, wyglądało na stwierdzenie, w każdym razie ja tak to odczytałam.

„Tak, poszłam. Bardzo długo zastanawiałam się nad tym, zanim się zdecydowałam. Przez wszystkie te dni Dino chodził ponury, przez ostatnie dwa tygodnie źle sypiał, schudł. Już nie wspominam o tym, że przez cały ten czas nie kochaliśmy się, może kilka razy, ale bez powodzenia. Dino niemal nikł w oczach, zagryzał się, trzeba było cokolwiek przedsięwziąć, więc postanowiłam spotkać się z Alfredem. Nie wiem dlaczego, ale byłam przekonana, że mogę na niego wpłynąć”.

„Przespałaś się z nim? Powiedz prawdę, przecież umówiliśmy się, że nie będziesz niczego ukrywała. Chociaż, nawet jeżeli się nie przyznasz, i tak wiem, że z nim spałaś”.

„Wiesz, ta cała sprawa nie jest taka prosta. Jeżeli chcesz zrozumieć, co się wydarzyło, muszę ci opowiedzieć wszystko od samego początku. Alfred mieszkał na przedmieściu, w osiemnastowiecznej willi. Nigdy przedtem nie byłam u niego i kiedy weszłam do tego domu, straciłam dech z zachwytu nad jego pięknem. Rzadko spotykałam tak gustownie i wygodnie urządzone wnętrza, otwarte i absolutnie dostępne, wyjątkowo dobrze kontrastujące z zewnętrzną, niedostępnością, budowli: wszystko osiemnasty wiek.

Alfred siedział w niewielkim pokoju, przy oknie otwartym na całą szerokość, nie tylko ze względu na powietrze, ale również na widok różnobarwnie kwitnącego sadu. Wydawało się, że sad jest częścią pokoju, zlał się z nim razem z dolatującymi z niego zapachami, dźwiękami, ale nie zatrważającymi, tylko szumiącymi, pobrzękującymi i uspokajająco szeleszczącymi. Wprowadziła mnie do niego skromna kobieta w średnim wieku, widocznie gosposia, gdy Alfred jak zwykle ostrym głosem krzyknął zza drzwi: «Wejść».

Po czym, ujrzawszy mnie, natychmiast się zmienił, jego twarz rozpogodziła się i złagodniała, nawet nie próbował ukryć zdziwienia. Nawet to powiedział, odszukując kulę i próbując się podnieść:

– Jacqueline? Miło mi panią widzieć. Jestem zaskoczony, muszę to przyznać, naprawdę zaskoczony. Niech pani wejdzie, proszę. – Witając mnie w pół drogi jak zwykle z galanterią, pocałował mnie w rękę, chociaż musiał przy tym zgiać swoje nie bardzo zwinne ciało.

– Proszę mi wybaczyć, że zjawiłam się bez zaproszenia, nawet uprzedzenia. Na pewno panu w czymś przeszkadzam – powiedziałam i spojrzałam na pokój, jakby próbując znaleźć to, od czego go odciągnęłam. – Pan pewnie pracował.

– Nie, głupstwo, czytałem. Chociaż – podszedł do niskiej, inkrustowanej, lekkiej w formie szafki – właściwie wszystko, co robię, nawet czytanie, wiąże się z moją pracą. Całe moje życie to praca. – Uśmiechnął się i wyjął kilka butelek.

Wszystko działo się wyjątkowo wolno. Każdy ruch Alfreda był swego rodzaju wieloetapowym procesem – unieść ramię, oprzeć się na kuli, schylić się, wysuwając nogę do przodu i tak dalej, wszystko to wymagało czasu. Usiadłam na skórzanej kanapie, była jedynym masywnym przedmiotem w tym pokoju.

– A to nie dlatego, że moja praca wymaga poświęcenia całego życia, nie, to nie tak, żeby życie wymagało nieustannej pracy, po prostu wszystko w dziwny sposób samo się tak układa. Mogłoby się wydawać, że żyję, patrzę, rozmawiam, a potem wszystko chowam głęboko do szuflady, gdzie musi odleżeć, by kiedyś tam, w niespodziewanym momencie, wypłynąć na powierzchnię.

Mówił, stojąc odwrócony do mnie plecami, a jego mała, wsparta na kuli postać miała wygląd zupełnie młodzieńczy.

– Tak to jest. – W tym momencie odwrócił się do mnie.

«Ma dziecięce oczy – pomyślałam. – Nie zwyczajnie młode, ale dziecięce, rozbawione oczy. Jak to się stało, że nie zauważyłam tego wcześniej?»

– Czego się pani napije? – wskazał na butelki.

Nie wiadomo dlaczego spojrział na zegar. W ten sposób zorientowałam się, która godzina. Było około piątej.

– Czegoś lekkiego – odpowiedziałam.

– Mam białe wytrawne wino – zaproponował.

Skinełam głową.

– Wie pani, pewnego razu, u nas, w Ameryce, udzielałem wywiadu pewnemu popularnemu dziennikarzowi. – Wymienił znane nazwisko. – Widzi pani, mam reputację narwanego, zarozumiałego starca, a do tego szyderczego.

Uniosłam brwi, demonstrując zdziwienie: «Czyżby?»

– Widocznie dlatego właśnie przyjął wobec mnie taki wyniosły ton, znał jakoby kulisy wszystkiego, chciał wyciągnąć wszystkie znane mu sprawy na światło dzienne i opublikować. Akurat przyjechałem wtedy ze spektaklem o średniowieczu, w którym swobodnie obszedłem się ze sztuką. Nie tak jak teraz, kiedy takie sztuki osadza we współczesnych realiach, a zupełnie inaczej, ale to nieważne. Krótko mówiąc... – Alfred brnął już w moim kierunku z kieliszkiem w rękę. Było mu nadzwyczaj niewygodnie – i kula, i kieliszek, i sztywna noga, powinnam podnieść się i pójść w jego kierunku, ale siedziałam.

– ...on mnie pyta prowokująco: – No tak, wystawił pan historyczny spektakl, w istotny sposób mieszając realia. Czy to pana nie niepokoi, że zniekształcił pan czas akcji, nie ukazując go w zgodzie z treścią sztuki?

– Czy pan – zapytał mnie – przeprowadzał jakieś badania na ten temat? – Oczywiście – mówię mu – przeprowadzałem. Długie, wieloletnie badania. Na przykład leżę na plaży, spoglądam w górę i widzę na niebie obłoki o dziwnym

kształcie, więc myślę sobie, że prawdopodobnie mój bohater widział takie same obłoki, co zmieniło jego nastrój. Zastanawiam się więc, czy pokazać, jak zmienił się jego nastrój? Później wymyślam, że należy zapamiętać te obłoki i mój własny nastrój, żeby to potem wnieść do scenariusza. Przez cztery lata zajmowałem się takimi właśnie badaniami.

Alfred wyciągnął w moją stronę kieliszek, upiłam, wino było kwaśne, ale ja już dawno przyzwyczaiałam się do wytrawnych win, nawet mi smakowało.

– No i co z tym dziennikarzem? – Wyobraziłam sobie bezczelnego dziennikarza, jak otrzymuje szyderczą odpowiedź przed całym audytorium.

– Oglądałem potem utrwaloną na wideo audycję z telewizji. – Alfred usiadł w wyplatany fotelu naprzeciwko. – Próbował udawać, że nic się nie stało, ale cała jego złośliwość gdzieś nagle znikła, wie pani, momentalnie. Oto przykład nadzwyczajnej metamorfozy.

„Zaczekaj – irytował się Steve w następnym liście. – Dlaczego opowiadasz nic nie znaczące szczegóły o domu, meblach, po co to głędzenie? Przecież wiesz, że jedyne, co mnie interesuje, to to, czy spałaś z nim – czy nie? W każdym razie jestem o tym przekonany. Chcę jednak usłyszeć o tym od ciebie, i to ze wszystkimi szczegółami”.

„Wszystko było zupełnie nie tak, jak myślisz. Wszystko stało się przypadkowo, ale jednocześnie trywialnie, powszednio, tak jakby nie mogło być inaczej. To nie miało żadnego odniesienia do seksu, to było zupełnie coś innego niż seks”.

„Nie, Jackie, właśnie seks, po prostu inny seks, którego jeszcze nie przeżywałaś. Dlatego do niego przyszłaś. Na samym początku powiedziałaś, że tak jakoś się składa. No i złożyło się. To nie jest najważniejsze, lepiej opowiedz ze szczegółami”.

„Dobrze, wszystko ci opowiem. – Wzruszyłam nawet ramionami, kiedy napisałam wyraz «dobrze». – Jeżeli chcesz – proszę. Wiem, że to dla ciebie będzie interesujące, przecież on jest stary i kulawy. Do tego uważają go za geniusza, a to ciebie też interesuje. Chyba tak?”

„Wszystko mnie interesuje – odpowiadał – absolutnie wszystko, ale przede wszystkim dlatego, że to ciebie interesuje. Jesteśmy teraz z tobą w jakiś sposób jakby zrośnięci w jedną całość. Czy czasem sama się nie mylisz, gdzie ty, a gdzie ja?”

„Na pewno – odpowiedziałam. – No więc, co chcesz wiedzieć? Jak wszystko się odbyło za pierwszym razem? Za pierwszym razem nic się nie zdarzyło, on nie mógł. Może ja coś nie tak zrobiłam, przecież nie wiedziałam, a może on za bardzo się denerwował.

Mineło około trzydziestu minut od mojego przyjścia, kiedy powiedziałam, że jeżeli jego propozycja nadal jest aktualna, to proszę bardzo, jestem gotowa u niego pracować. Ale nie w teatrze, tylko przy filmie. Siedział na krześle naprzeciwko mnie, a jego wesołe oczy drażniły się ze mną. Potem powiedział:

– A będzie pani sypiać ze mną?

Choć serce mi podskoczyło, nie zdziwiłam się.

– Czy to dlatego, że zostanie pan moim szefem? – zapytałam.

– Nie. Dlatego, że mi się pani podoba. Od dawna, od bardzo dawna. – Nie wątpiłam, że mówi prawdę, sama czułam, że mu się podobam.

– Będę – odpowiedziałam i powtórzyłam: – Tak, będę.

Wydawało mi się, że Alfred się tego nie spodziewał. Aż się przestraszył. Z jego spojrzenia uleciała gdzieś poprzednia dziecięca żywość, na mgnienie oka, ale uleciała. Podobało mi się, że on także poczuł się niezręcznie, że jego także, jak się okazuje, można speszyć. Alfred uśmiechnął się.

– Po tych słowach powinienem rzucić się na panią, z pożądliwością. Ale rzucić się, niestety, nie dam rady. – Pokazał kiwnięciem na swoją nogę. – Tak, najpierw porozmawiajmy, żeby w efekcie nie była pani rozczarowana. – Znów się uśmiechnął. – Dlatego, że sytuacja jest specyficzna, jak pani pewnie rozumie. Jeszcze wina?

Spojrzałam na kieliszek. Okazało się, że wszystko wypitałam, sama nie zauważyłam kiedy. Nie chciałam jednak, żeby Alfred znów wstawał i kuśtykał do swojej szafki.

– Sama naleję, jeśli pan pozwoli.

Skinał głową.

«Możliwe, że się denerwuję – pomyślałam i napełniłam kieliszek winem. – Nie wiadomo dlaczego, ale się denerwuję». Alfred milczał, czekał aż wrócę.

– No więc tak – powiedział, kiedy znów usiadłam naprzeciwko niego – nie jestem dla pani zwykłym przypadkiem. – Urwał. – Ja przypadkiem! Śmieszne, prawda? – Milczałam. – Ja, Jackie, jestem stary. Ile pani ma lat? Trzydzieści? Mógłbym być pani ojcem. Z tym że byłaby pani moim bardzo późnym dzieckiem. Tak, nie mogę konkurować z młodymi osobami w pani wieku. Czy zgodzi się pani, że oboje odczuwamy coś nienaturalnego, jeżeli te dłonie zaczną panią gładzić? – Wyciągnął rękę i wydawało się, że on sam chce obejrzeć własną dłoń. – Wzrostem też się nie wyróżniam. – Alfred uśmiechnął się. – Myślę, że będzie pani niezbyt przyjemnie, gdy będę usiłował wywołać w pani podniecenie.

«Ma rację – pomyślałam, spoglądając na jego dłoń. – Prędzej będzie mi nieprzyjemnie. Dobrze, że on wie o tym i że sam to powiedział».

– Byłoby głupio, gdybym próbował dać pani to, co dają inni. – To dobrze, że nie wymienił imienia. – Będzie pani porównywać mimowolnie, podświadomie i porównanie wypadnie na moją niekorzyść. Na zupełną niekorzyść. Dlatego

niech pani nie oczekuje, że zacznę konkurować. Mam w zapasie inne sposoby.

– Jakie? – zapytałam.

– To trudno opisać słowami, zresztą nie ma po co, sama pani zobaczy. Poza tym sam jeszcze nie wiem, nie szykowałem się na to. Nie planuję jakichś specjalnych przygotowań, wszystko, obiecuję pani, będzie zupełnie naturalne – uśmiechnął się.

Jeszcze nigdy nie umawiałam się, w jaki sposób będę uprawiała seks, nie uprawiając go.

– I jeszcze jedno, nie będziemy się śpieszyć, dobrze? Nie będziemy się forsować. Wszystko będzie powoli.

– Dobrze – powiedziałam to tak, jakbyśmy omawiali trasę wspólnego spaceru. – Domyślam się.

– To dziwaczne.

On nawet nie podniósł się i nie skierował w moją stronę. «Może to ja sama powinnam?» – pomyślałam, ale natychmiast się rozmyślałam.

– I jeszcze jedno, Jackie... chociaż, wiem, pani jest nieprzyzwyczajona do prowadzenia takich rozmów, ale tym niemniej... Możliwe, że wydam się pani zarozumiałcem, człowiekiem, który podbija własną cenę. To nie jest tak, proszę mi wierzyć – znów się uśmiechnął. – Gdybym tylko chciał, miałbym młode kochanki.

«Nie wątpię» – chciałam powiedzieć, ale milczałam.

– Przebywam wśród młodzieży. Teatr, wie pani, to miejsce szczególne. Tutaj kobiety mają zawsze niewiele ponad dwadzieścia lat, a mężczyźni koło trzydziestki. Artyści są w ogóle ludźmi niezwykłymi. – Chciałam powiedzieć, że wiem, ale znów zmilczałam. – Do tego mnie, jakby to powiedzieć, szanują. Nie, prędzej to to, że dla młodych jestem nieosiągalny, wcale nie dlatego, że jestem zarozumiała, ale – jakby to pani wyjaśnić... Zresztą pani to chyba rozumie?

– Rozumiem – powiedziałam. Dopiliśmy drugi kieliszek.

– To, co nieosiągalne, chce się osiąść albo przynajmniej poznać, a przez łóżko to najprostszy sposób. Czasami słucham docinków. Nie poddaję się jednak. Nie wiem, czy pani mi uwierzy, Jackie, ale ja już wiele lat z nikim nie byłem... – zająknął się, szukając właściwego wyrazu – jakby to powiedzieć, w bliskich stosunkach czy jakoś tak. Mam na myśli – z nikim, kto jest ode mnie znacznie młodszy.

– Więc dlaczego... – nie zdążyłam zapytać, kiedy Alfred mi przerwał.

– Dlatego, że pani nie jest regułą, pani jest wyjątkiem. Rzadkim, prawie unikalnym, wyjątkiem. Nie oszukuję, tak jest.

– Wiem – zgodziłam się.

– To dobrze. No więc, co ja chciałem powiedzieć? – Na sekundę oderwał ode mnie wzrok, przypominając sobie.

– No więc, czy pani wie, dlaczego nigdy się nie poddawałem, chociaż czasem pokusa była ogromna? – Słuchałam.

– Z wielu przyczyn, ale przede wszystkim dlatego, że się bałem.

Kiwnął potwierdzająco głową, tak jakbym mu nie wierzyła. Ale ja wierzyłam.

– Bałem się. Wie pani czego? Jakby to wyjaśnić... Gdzieś czytałem albo słyszałem, że teksty są lepsze od ich autorów.

– Niezupełnie to rozumiałam. – Chodziło o to, że książki są lepsze od pisarzy, którzy je napisali. Także przedstawienia i filmy są zawsze lepsze od reżyserów. Mówię to po to, żeby pani się nie rozczarowała; bo jeżeli pani oczekuje, że będę panią ciągle zaskakiwać czymś nadzwyczajnym, wyjątkowym, to się pani myli. Nie będę. Spełnienie jest rzadkie i oszczędnie wydzielane, odkryć nie dokonuje się za każdym razem, dlatego są właśnie odkryciami. – Znów przerwał. Miałam ochotę nalać sobie jeszcze wina, ale nie wiedziałam, czy powinnam dalej pić.

– Więc pan się bał, że te wszystkie młode kobiety, które chcą być z panem, rozczarują się we wspólnym życiu codziennym? – zapytałam.

– Bałem się, że będą się starały widzieć we mnie geniusza, za jakiego mnie uważają, a to niemożliwe. Nikt stale nie jest geniuszem.

– Dlaczego nie boi się pan o to ze mną?

– Dlaczego się nie boję? Boję się. Właśnie dlatego o tym mówię. Ale pani jest mądrą dziewczynką i zrozumie pani.

– Skinęłam głową.

– Mogę jeszcze nalać sobie wina? – zapytałam.

– Oczywiście – potaknął.

– A panu?

– Mnie też.

Nalałam jemu i sobie, powinnam być odrobinę pijana, postanowiłam, a i jemu to nie zaszkodzi”.

„Słuchaj, po co opisujesz te wszystkie szczegóły? – denerwował się Steve. – Po co? Ja i tak wiem to wszystko, co on tobie mówił, ale to mnie nie interesuje. Jedyne, co chcę wiedzieć, to jak uprawialiście seks, i co ty przy tym czułaś”.

„Jesteś dziwny – odpowiedziałam. – Nie mogę pisywać listów na trzydzieści stron! Pocierp, obiecałam wszystko ci opowiedzieć i zrobię to. Nie powinnam jednak niczego opuszczać, inaczej nie zrozumiesz najważniejszego, a i ja sama tego nie zrozumiem. Dlatego, że seks z Alfredem, jeżeli można to nazwać seksem – to tylko maleńka częśćka albo dopełnienie całej reszty. Z Dinem uprawiamy miłość, ale to jest oddzielna jakość, zupełnie niezwiązana z wszystkim innym. A z Alfredem wszystko jest ze sobą powiązane, nierozdzielnie jedno od drugiego, więc nie powinieneś mnie ponaglać. Alfred uprzedzał, że nie należy się śpieszyć, a to, widzisz, jakoś dziwnie odnosi się także do ciebie.

Potem gawędziliśmy jeszcze o tym i owym, głównie mówił Alfred, a ja słuchałam. Patrzyłam na niego i nagle zdumiona zorientowałam się, że w dziwny sposób przekroczyłam jakąś granicę. Może przyczyniło się do tego wino, ale spojrzałam na wszystko zupełnie inaczej, jak przez jakiś pryzmat, zaczęło mnie nagle pociągać to, co nigdy mi się nie podobało, co normalnie nie może się podobać. Nie planowałam tego, wszystko stało się tak jakoś nagle, spontanicznie. Alfred siedział tuż obok, moje nogi ugięły się i nieoczekiwanie zjechałam z kanapy (nie utrzymała mnie swoją gładką skórą), znalazłam się na podłodze obok fotela Alfreda, trochę z boku. Kiedy ześlizgiwałam się z kanapy, moja i tak krótka sukienka poddała się do góry i nierówno odkryła uda, nie poprawiłam jej, mnie samej podobało się, że sukienka się zadarła. Uniosłam się nieco i położyłam głowę Alfredowi na piersiach, moja ręka na razie spoczywała nieruchomo, a potem popłynęła, głaszcząc jego ciało. Wiedziałam, że mam ładne ręce, a on, jakby zgadując, rzucił:

– Masz ładne ręce, Jackie. – Ale tylko to, nic więcej nie powiedział.

Jego dłoń znalazła się na mojej szyi, okazała się nieoczekiwanie ciężka, i chociaż palce nie dawały ciepła, a wręcz przeciwnie, chłodziły, to uspokajały swoim dotykiem. Poczułam spokój i pewność, ale nie dlatego, że on wszystko mógł, a dlatego, że nic nie było trzeba, zaś to, co było potrzebne, on mógł. Poczułam niezwykle wy-ciszenie; codzienny pośpiech, pogoń za wszystkim, po-żądanie partnera, ustąpiły. Wszystko wokół zamarło i roz-łuźniło się razem ze mną.

Wreszcie moja ręka zjechała z koszuli i zeszła w dół, przebierałam palcami, to z lekka naciskając, to zwalniając, wszystko tak jak przedtem płynęło, ściemniało się wraz z mijającym czasem, a ja nawet nie czułam, że ma dłoń,

wyczarowywałam jego ruchy. Poigrawszy, palce przeszły do guzików, te poddały się jeden po drugim, a ręka wślizgnęła się w otwartą szczelinę jak jaszczurka, skryła się w głębinie, pocierając najpierw palcami, potem dłońią, a wreszcie całą ręką.

Przypuszczałam, że nie będzie tak jak z Dinem, ale nie oczekiwałam, iż zupełnie nic się nie wydarzy, tak jakbym dotykała jeszcze jednej części ciała, raczej kształtu, bardziej podatnego i ukrytego, ale tylko tyle. Jednak nie byłam rozczarowana. Moje pożądanie drzemało, było melancholijne, przyjemnie było zabawiać się w półśnie, nigdzie się nie śpiesząc, niczego nie potrzebując. Przyłgnęłam głową do cichej piersi, szukając schronienia pod drżącą ręką.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, pewnie sporo, uniosłam oczy i ujrzałam twarz Alfreda, pochyloną nade mną. W jego spojrzeniu nie było pożądania, co oznacza, że nie było zachłanności, ponieważ każde pożądanie tak czy inaczej rodzi zachłanność. A w jego spojrzeniu jej nie było – tylko zaufanie. Uniosłam głowę, miałam ogromną ochotę pocałować jego przymknięte powieki i pocałowałam.

– Miła – usłyszałam – jesteś miła. Jesteś czuła i cierpliwa, wiedziałem, że tak będzie. Masz czułe, delikatne ręce. Wiedziałem. – powtórzył. – Ale... dziś nic się nie zdarzy. Muszę do ciebie przywyknąć. Nie będziesz rozdrażniona?

– Nie – uśmiechnęłam się. Uśmiechnęłam się sama do siebie i znów oparłam głowę na jego piersi. – To nieważne, mnie i tak jest dobrze.

– Tak? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam.

Wyszłam po półgodzinie, a może po godzinie, nie pamiętam, już się ściemniało i pora była znaleźć się w domu. Wróciłam i zupełnie zwariowałam razem z Dinem”.

„Tylko nie opowiadaj, że z Alfredem nic wam się nie udało, ja w to nie uwierzę. Lepiej się przyznaj, podobało ci się? Chociaż, jeżeli mam być szczery, nie mogę sobie was wyobrazić w jednym łóżku. Jego, ze starym, pomarszczonym ciałem, brzydką skórą, obwisłymi mięśniami, sztywną nogą, która też, jak sądzę, sprawia kłopot. I ciebie. Mogę sobie ciebie wyobrazić tylko z Dinem, nie z Alfredem. Widocznie nie potrafię w swojej wyobraźni stworzyć obrazu, który z tobą nie harmonizuje. Ale chcę, powinienem wszystko o tobie wiedzieć, a ty musisz mi w tym pomóc”.

„Piszesz, że nie możesz nas sobie wyobrazić w łóżku, i masz rację – nie bywamy w nim tak, jak ty to pojmujesz. Nasza bliskość jest zupełnie inna od tej, do jakiej przywykłam. Nie spotykamy się często, raz na dwa tygodnie, czasem rzadziej, ale to zrozumiałe, Alfred jest zajęty, a i ja mam mnóstwo zajęć, lecz dzień naszego spotkania robimy sobie całkowicie wolny. Spotykamy się wcześniej rano, jak zwykle za miastem, w jakiegokolwiek wiejskiej kawiarence, jemy śniadanie przy stoliku na zewnątrz, przeważnie pod złożonym jeszcze parasolem. W ten sposób za każdym razem nasz wspólny dzień zaczyna się pięknem i spokojem. To pomysł Alfreda, on uważa, że najważniejsze w miłości jest stworzenie nastroju.

– Każdy detal, Jackie – powiedział kiedyś – każda rysa na twoim paznokciu, każdy pozornie niezauważalny ruch, wszystko ma znaczenie. Na przykład to, jak przetykasz, pijąc sok – to ważne, tak samo jak to, w jaki sposób wilgotnieją twoje wargi – to też ważne. Albo złocisty, miękki, ledwie widoczny meszek na twojej ręce, na który tak lubię patrzeć, na to, jak on się rozwiewa i drży pod wpływem ruchu powietrza. Od tego spojrzenia zaczyna się moje przeżywanie miłości. A dotyk! Teraz na przykład dotknę twojej ręki, i to będzie pełnowartościowy akt fizyczny, być może nawet o wiele wyrazistszy niż zwykle zespolenie. Na pewno

kiedyś uprawiałaś seks i niczego nie odczuwałaś. – Przytaknęłam. – I na pewno bywało też tak, że drżałaś od zwykłego dotknięcia. – Znowu przytaknęłam. – Widzisz, to wszystko jest względne, wszystko zależy od odpowiedniego przygotowania i od tego, na co zorientowane jest odczuwanie. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałam.

– Miałem znajomą, dawno, wiele lat temu, która odczuwała spełnienie, kiedy gładzono jej uszko. Gdziekolwiek, na środku ulicy, co prawda po cichu, zaspokajała się prawie niezauważalnie. Wtedy jeszcze, dzięki częstej praktyce, moja dłoń była niezwykle delikatna. Kochaliśmy się w ten sposób przy ludziach bardzo często, w miejscach publicznych, najlepiej ruchliwych, im było ciasniej, tym było weselej. Ot, tak jak teraz, tylko patrząc na ciebie, już uprawiam miłość. – Alfred założył ręce na głowę i odchyliwszy się w fotelu wystawił twarz do słońca. – Czy wiesz, na czym polega różnica między seksem a miłością? – Dalej spoglądał w górę, nie na mnie. – Seks to czynność, miłość to stan.

Znowu milczałam, nie było nic do dodania.

Zwykle jemy śniadanie długo, dwie godziny, a kiedy słońce zaczyna przypiekać, jedziemy do hotelu, za każdym razem innego, i wynajmujemy na pół dnia pokój. Nienawykły do ukrywania swojej ciekawości personel bezwstydnie gapi się na nas, z jawnym wyrzutem i półuśmieszkiem patrzą na mnie, ale mnie to nic nie obchodzi, jest mi wszystko jedno. Najważniejsze, żeby nie spotkać znajomych, którzy by poznali Alfreda, jest przecież znaną osobistością, wielką personą w teatrze i na planie filmowym. Kiedyś powiedział, że jego sytuacja jest komfortowa: wszyscy znają jego nazwisko, co często pomaga, ale mało kto zna jego twarz.

W pokoju hotelowym też nigdy się nie śpieszyliśmy, jakkolwiek pośpiech peszył go. O ile Dinowi wystarczy

tylko mnie zobaczyć, to Alfred musi mnie jeszcze usłyszeć i objąć. Powolutku nauczyłam się go całować i sprawiało mi to dziwną, przyjemność. On lubi w tym momencie patrzeć na mnie, na moją twarz, piersi, używam specjalnego gatunku perfum, bardzo lekkich, zawsze tych samych, lubi, kiedy zapach perfum miesza się z zapachem mojego rozgrzanego w słońcu ciała.

Wiem, pytasz, co odczuwam, kiedy z nim jestem. Sama próbuję to zrozumieć. Oczywiście, wszystko nie jest tak silne, rozpierające i oszałamiające jak z Dinem. To uczucie jest zresztą nie tyle fizyczne, co emocjonalne. Chociaż dla Alfreda wszystko, co robimy, jest ważne. Jaśniej w oczach i nawet jego głos nabiera innej barwy.

W takich minutach ogarnia go jakiś szczególny filozoficzny nastrój i wtedy zaskakuje mnie głębią i subtelnością, myśli. Kiedyś rozmawialiśmy o teatrze, o aktorach i powiedziałaś, że wśród nich, tak jak wśród wszystkich uprawiających artystyczne zawody, jest mnóstwo dziwaków.

– Dlaczego talent jest przeważnie powiązany z problemami psychicznymi? – zapytałam. – Dlaczego właśnie zawody artystyczne pociągają ludzi z nieustabilizowaną psychiką, a nie, na przykład, rolnictwo?

Alfred uśmiechnął się. Leżał odpoczywając na łóżku, lewą nogę opuścił na podłogę. Dopiero co wyszłam z łazienki i stałam przed lustrem owinięta w ręcznik.

– Nie – powiedział – tak ci się wydaje, ale to pomyłka. Po prostu ludzie, którzy wybierają dla siebie płaszczyznę twórczości, nie wszyscy, ale większość, dają pierwszeństwo właśnie tym, jak to nazwałaś, problemom.

– Co znaczy, dają pierwszeństwo? – zapytałam, moszcząc się razem z nogami w wygodnym, szerokim fotelu. Przyjemnie mi było teraz na niego patrzeć. Tak młodo wyglądał, prawie jak chłopiec; pomyślałam zarozumiale, że to ja tak korzystnie na niego działałam.

– Zazwyczaj człowiek zaczyna uprawiać sztukę, kiedy jest absolutnie normalny. Wkrótce jednak staje przed koniecznością dokonania wyboru: albo zostać normalnym, ale zahamować swój rozwój, albo się zmienić, ale przewyższyć siebie. Problem polega na tym, co kto wybierze. Wszystko zależy od zmysłowości. Im jest większa, tym wyższy jest stopień percepcji życia. Nie na darmo o ludziach wrażliwych mówi się, że żyją z obnażonymi nerwami.

– Myślisz, że ludzie wariują na własne życzenie?

– Raczej z własnego wyboru. Mogą zostać normalni, ale obdzieleni darem bożym, ale niektórzy próbują ryzykować. Oczywiście jest w nich skłonność do dokonywania takich wyborów, ale to się nazywa talent. Czy wiesz, na czym polega różnica między zdolnościami a talentem, nie tylko w sztuce, ale we wszystkim?

– Na czym?

– Talent to zdolności plus skłonność do ryzyka.

– To znaczy, że van Gogh obciął sobie ucho też specjalnie?

– Nie wiem. Na pewno niekiedy ktoś z biegiem czasu rzeczywiście wariuje, wcale tego nie chcąc: z powodu pijaństwa, narkotyków, ale częściej dlatego, że za daleko się posunął. Są też tacy, którzy wariują naumyślnie, na granicy świadomości rozumiejąc, że ofiara normalności jest konieczna, żeby osiągnąć szczyty twórczości. Niekórzy z nich potrafią jeszcze wychodzić z tych twórczych pułapek i znów w pełni odpowiadać normie. W taki sposób migrują z jednego stanu w drugi z pełnym wyrachowaniem i w pełni świadomie, często planując te przejścia zawczasu. Przy czym coś takiego zdarza się bardzo rzadko, tylko w przypadku silnych ludzi, ale spotykałem i takich.

Patrzyłam na Alfreda i widziałam, że jego oczy zasnuły się mgłą, tak jak u innych mężczyzn podczas seksu. Pomyślałam sobie, że dla niego proces rozmyślenia jest tak samo

podniecający, jak dla innych seks. Tylko ta mgła była niezwykła, nie przygaszała wzroku, a odwrotnie, dodawała ostrości jego spojrzeniu”.

„A co z Dinem?” – Wiedziałam, że Steve wcześniej lub później spyta o Dina. – „Rozumiem, że on niczego nie zauważył. A ty sama? Przecież nie mogłaś się nie zmienić”.

„Nie, ja się nie zmieniałam. Moja miłość do Dina ani trochę nie osłabła, a i jego miłość dostarcza mi nie mniej zadowolenia niż przedtem. A to, że w moje życie wszedł drugi człowiek, to cóż takiego? On zajął osobne miejsce i nie pretenduje do miejsca Dina.

Jakby to wyjaśnić? Teraz jest już dla mnie całkowicie zrozumiałe, że jedna kobieta może kochać wielu mężczyzn. Na przykład tak jak dawniej kocham ciebie, może jeszcze mocniej niż wtedy, kiedy byliśmy razem, chociaż zupełnie inaczej. Ty i Dino zajęliście w moim życiu równorzędne miejsca na dwóch różnych płaszczyznach i miłość do niego nie przekreśla miłości do ciebie. Jeżeli byłbyś obok i znów stalibyśmy się sobie bliscy, to wtedy te płaszczyzny przecięłyby się i musiałabym wybierać między wami. Jednak tak się nie stało i umieszczam was obok siebie. To samo zdarzyło się z Alfredem – tak, spotykam się z nim, ale to nie przeszkadza w mojej miłości do Dina”.

„A który z nich jest dla ciebie ważniejszy?” – zapytał Steve w następnym liście.

„Dlaczego powinnam porównywać?”

„A jeżeli musiałabyś wybrać?” – zapytał znowu.

„Nie muszę wybierać” – sprzeciwiłam się.

„A jeżelibyś musiała?” – naciskał.

Poddałam się i zaczęłam się zastanawiać. A potem, kiedy zrozumiałam, przestraszyłam się.

„Dobrze, że zadałeś to pytanie – odpisałam. – Kiedy twierdziłam, że Dina i Alfreda nie można ze sobą porów-

nywać, nie oszukiwałam ciebie, oni rzeczywiście są nieporównywalni. Są nieporównywalni także w tym znaczeniu, że Dino to moje życie, a Alfred – choć ważny, ale tylko dodatek. Bez Dina, bez jego miłości do mnie umrę, nie przeżyję bez niego. Jeśli tylko pomyślę, że mogłabym go stracić, odchodzę od zmysłów. Nie potrafiłabym zrezygnować z niego. A bez Alfreda, chociaż jest dosyć ważną częścią mojego życia, obywałam się wcześniej i byłam szczęśliwa, więc będę szczęśliwa także w przyszłości”.

Po tym liście nasze stosunki z Alfredem ochłodziły się. Naprawdę przestraszyłam się, kiedy zrozumiałam, że mogę stracić Dina. Bałam się, że ktoś nas zobaczy, że Alfred wygada się w jakiejś rozmowie i Dino dowie się o naszym związku, a nie chciałam ryzykować. Widać Alfred odczuł moje zdenerwowanie i nasze spotkania stawały się coraz rzadsze, aż koniec końców umarły śmiercią naturalną. Nie odnawialiśmy naszego związku, chociaż spotykaliśmy się na przedstawieniach, rozmawialiśmy ze sobą, uśmiechaliśmy się do siebie. Wiedziałam, że zostawiłam w jego życiu ślad, być może ostatni ślad tego rodzaju.

Z filmu też nic nie wyszło. Początkowo wszystko rozwijało się zgodnie z planem, w końcu namówiłam Alfreda i Dino dostał swoją rolę. Początkowo był niezadowolony, że się w to mieszam, mówiąc, że Dino jest poślednim aktorem i nie udźwignie tej roli.

«W nim jest ukryty fałsz – dodał Alfred, krzywiąc się. – Tak, jakby przez cały czas wypowiadał cudzy, wyuczony tekst. Mimika, ruchy – wszystko nienaturalne, sztuczne. Próbuje zrozumieć, skąd się to w nim bierze, ale nie potrafię. Ty tego nie widzisz?»

Poczułam się niezręcznie, prawie tak, jakby chodziło o mnie, ale milczałam: kłótnia w żadnym przypadku nie była pożądana. Później, oczywiście, byłam już sprytniejsza,

zaczęłam naciskać subtelniej i Alfred koniec końców zgodził się. Dino nie posiadał się ze szczęścia, w jego oczach pojawiły się nawet łzy.

I nagle wszystko się zawaliło. Alfred chodził nachmurzony, chciał nakręcić ten film i obmyślał, jak to zrobić, scenariusz mu się podobał i oczywiście, kiedy wszystko się posypało, wściekł się. Niechętnie wyjaśnił mi przyczynę tego, co się stało, ale ja i tak nic z tego nie rozumiałam i zadzwoniłam do Jonathana. On też był zdenerwowany.

– Wyobrażasz to sobie – krzyknął – ten kretyn, ten debil, autor, ten zasmarkany *americanos* zerwał kontrakt i wycofał rękopis! Bez żadnej przyczyny, bez najmniejszego wyjaśnienia, po prostu zawiadomił, że rezygnuje, i to wszystko.

– Poczekaj, kogo zawiadomił? Przecież go nawet nie znasz – przypomniałam mu.

– Oczywiście, że go nie znam. Jestem po prostu skończonym idiotą, powinienem już wcześniej się zorientować, że jest psychiczny. Od razu było widać, że ta idiotyczna tajemniczość do niczego dobrego nie doprowadzi. Nie należy robić interesów z szurniętymi. Próbowałam rozszyfrować tego kretyna, autora, przecież wiesz, że mam różne powiązania – nie wiedziałam – ale to okazało się niemożliwe, istny labirynt, tak zawikłał ślad. Ten paranoik wszystko obmyślił. Po prostu jakiś cholerny spisek. Tam są sami paranoicy. – Jonni aż się zachłystywał, nawet nie ze złości, tylko z bezsilności. – Szlag by to, nawet sobie nie wyobrażasz, ile sił i czasu poświęciłem na ten projekt! W końcu dostałem pieniądze, namówiłem Alfreda. I masz...

– Dobrze już, Jonni, nie gorączkuj się tak – powiedziałam ze współczuciem.

– To wkurzające. Czy wiesz, jaki film można było nakręcić? Przy tym kasowy. – Zaklął po angielsku.

Pomyślałam, że już od dawien dawna nie rozmawiałam w ojczystym języku i powiedziałam z poczucia solidarności:

– Wiesz co, przyjdź wieczorem, zapijemy to. Dino też jest rozgoryczony. – Skłamałam, Dino nie był rozgoryczony. Dla niego najważniejsze było to, że otrzymał tę rolę, że uznano jego talent, że w końcu właściwie go oceniono i nagrodzono. On był przecież jak dziecko. Został we mnie jakiś nieprzyjemny osad po tym, w jaki sposób Dino przyjął wiadomość o zrezygnowaniu z projektu kręcenia filmu. Jego reakcja nie była profesjonalna. Przypomniałam sobie, że gdy tak mówił o nim Alfred wydawało mi się to złośliwe, ale teraz dopiero rozumiałam, że to możliwe, Alfred miał rację, i na tę myśl zamarło mi serce. Nie zacznę jednak mniej kochać Dina, powiedziałam sobie. Może w ogóle nie być aktorem, niech odejdzie z teatru, niech niczego nie robi – jest mi wszystko jedno”.

Czuje, że się zasiedziałam, poznaję to po bólu w plecach. Te stare kuchenne stołki nie są dostosowane do długiego siedzenia, a już tym bardziej do wspominków. Wstaję, opieram ręce na biodrach i odchylam do tyłu. Jestem jeszcze giętka, myślę z zadowoleniem. Znów się przechylam, najpierw powoli do tyłu, potem prędko naprzód, krew przyjemnie uderza mi do głowy, czuję whisky. Robię skłon, sięgając włosami do podłogi, zatrzymuję się, dociągam głowę jeszcze kilka centymetrów do kolan i dopiero teraz się prostuję.

„Jak tam jest na dworze?” – myślę patrząc w okno i nagle orientuję się, że w moim biologicznym zegarze nastąpiło załamanie i przegapiłam czas. Chwytam książkę, koc i śpieszę na werandę. Powietrze próbuje odstraszyć mnie przedwieczornym chłodem, ale po pierwszej nieudanej próbie, przywarowuje na deskach werandy, wpuszcza mnie w swoją przestrzeń i pozwala mi tu pozostać.

Czy powinnam, myślę sobie, tak się absorbować? Przegapiłam zachód słońca i prawie cały wieczór. Zawijam się w pled, dziś wieczór jest znacznie zimniejszy niż wczoraj,

patrzę przed siebie. Boję się, że znów wpadnę w trans i stracę poczucie czasu. Słońce jest jednak jeszcze wysoko i mam pół godziny, zanim opadnie i pograży się w oceanie. Długo kartkuję książkę, rozdział po rozdziale, wszystkie są długie, a mnie potrzebna jest jedna stroniczka, nie więcej. W końcu znajduję odpowiedni fragment gdzieś bliżej końca:

„Tak jak pogłębiają się i wyostrzają bruzdy na ludzkiej twarzy, tak z wiekiem pogłębiają się i wyostrzają cechy ludzkiej duszy. Ten, kto był dobry, staje się jeszcze lepszy, wyraźnie zły – gorszy, zawistny – jeszcze bardziej zawistny, a naiwny – bardziej naiwny. Cechy charakteru od dnia narodzin do starości stają się wyrazistsze, widocznie zanika konieczność ukrywania ich i maskowania się dla kariery, powodzenia, kobiety. Nagle cała przywdziana maska ulatuje jako zbyteczna, pozostawiając tylko założenie wstępne.

Dlatego w życiu człowieka obserwuje się niewiele metamorfoz i nie należy na nie oczekiwać. Zły od urodzenia nie stanie się dobrym, dobroduszny nie zacznie czynić zła, człowiek honoru nie zacznie kłamać, a krętacz nie przestanie oszukiwać. Człowiek rzadko się zmienia...”

Uśmiecham się, nie na darmo śpieszyłam się na werandę; ciągnęło mnie nie do zachodu słońca, nie do rozpalonego od jego promieni oceanu, a do moich wspomnień. Przywykłam już do nich, czytając tę nedorzeczną książkę i wiem teraz, że tylko przeżywając życie na nowo, przesączając ból i cierpienia przez pamięć, tylko wtedy można rozliczyć się z przeszłością. Dlatego walczę ze wspomnieniami jak ogromne zwierzę, popychane instynktem, które biegnie przed siebie w pogoni za kryjówką, w której w końcu znajdzie schronienie.

Jakie miłe, jasne stwierdzenie, przede wszystkim dla samej mnie, myślę, podoba mi się to porównanie: „tak jak pogłębiają się i wyostrzają bruzdy na ludzkiej twarzy, tak z wiekiem pogłębiają się i wyostrzają cechy ludzkiej duszy”. Dobrze powiedziane. To mógł napisać tylko starszy człowiek, jak inaczej mógłby zdobyć się na takie spostrzeżenia? Chociaż, być może, ktoś potrafi dostrzegać różne rzeczy, sam ich nie doświadczając. Ale ja tak nie potrafię, muszę coś przeżyć sama, żeby przekonać się i zrozumieć. Nie potrafię przewidzieć nic zawczasu. Ach, gdybym wtedy mogła zajrzeć w przyszłość, moja historia mogłaby potoczyć się inaczej.

Wszystko zdarzyło się niespodziewanie, głównie dla mnie samej. Rok akademicki już się skończył, pracowałam już dawno na uniwersytecie i w niewielkiej firmie architektonicznej. Wiedziałam, że jestem dobra w swojej dziedzinie, profesorowie przepowiadali mi wspaniałą karierę, obiecywali rekomendacje, proponowali pracę. Odmawiałam, nie chciałam naruszać uregulowanego już trybu życia, było mi tak dobrze i nie chciałam niczego zmieniać.

Pewnego dnia na uniwersyteckim korytarzu spotkałam profesora, u którego kiedyś się uczyłam. Zawsze mnie darzył sympatią, a teraz zatrzymał mnie i powiedział, że jego znajomy otrzymał półroczny kontrakt we Francji na budowę międzynarodowego centrum, bodajże największego w całej Europie, i że on, profesor, zarekomendował mnie jako architekta obdarzonego niezwykłą intuicją. Potaknęłam i powiedziałam: „Oczywiście”, śpieszyłam się, nie miałam czasu na wyjaśnianie, że niczego nie szukam i że jestem całkowicie zadowolona z tego, co mam.

Po powrocie do domu przede wszystkim odbyłam rozmowę z Dinem, ale on milczał, a jego oczy wypełniły się

tak wyraźnie widocznym bólem, że wprost zamarło mi serce. Napisałam list do Steve'a, a on wtedy odpisał, że wprawdzie nie zna szczegółów, ale z punktu widzenia kariery to rzadka szansa, której radzi nie przepuścić. Alfred doradził mi to samo. „Życzę ci szczęścia – powiedział na końcu naszej rozmowy telefonicznej. – Zawsze miałem cię za utalentowaną dziewczynę”. Nie mogłam go jednak zapytać: „A co z Dinem?”, tak jak przez cały czas pytałam sama siebie.

Po kilku dniach zatelefonowałam do Francuza i powiedziałam „nie”, wymawiając się skomplikowaną podróżą, aklimatyzacją i tym podobnymi głupstwami. Myślałam, że od razu odłoży słuchawkę i, prawdę mówiąc, liczyłam na to, ale się zawiodłam. Niemiłosiernie grasejując obiecał przemyśleć to i zadzwonić w ciągu dwóch dni. Zadzwonił już nazajutrz i powiedział, że może zaproponować mi wyższą pensję, tutaj wymienił sumę, na dźwięk której, nawet mnie, przecież nie astmatyczce, zaparło dech. „Robimy wyjątek, ponieważ jesteśmy panią zainteresowani” – powiedział tak niewyraźnie przez nos, że ledwo go rozumiałam.

Znów wzięłam na wstrzymanie, a potem bardzo długo rozmawialiśmy z Dinem, w końcu zrozumiał i nawet sam zaczął mnie namawiać na wyjazd i przekonywać, że takiej szansy mogę już nigdy więcej nie mieć, bo ona trafia się tylko raz w życiu.

– Może rzucisz wszystko i pojedziesz ze mną? – zapytałam na wszelki wypadek, sama nie wierząc w jego zgodę.

Wzruszył ramionami:

– Jestem aktorem i nic innego nie potrafię. Co ja tam będę robił? Francuskiego nie znam, nawet na życie nie potrafię zarobić.

– No tak, w porządku – powiedziałam, zastanawiając się nad jakimś argumentem – ale ja będę dostawała górę forsy.

– I co mi pozostanie w życiu? Przepuszczać twoje pieniądze, siedzieć w domu i wyczekiwać, kiedy wrócisz z pracy? – uśmiechnął się, jakby przeproszał, że to jest niemożliwe.

– Rozumiem cię – odpowiedziałam.

Długo jeszcze rozmawialiśmy, próbując ułożyć jakiś plan naszego dalszego życia. Postanowiliśmy, że się zgodzę, ale podpiszę kontrakt najwyżej na rok, a za rok coś wymyślimy i na pewno jakieś wyjście się znajdzie. Zadzwoiłam do Francuza i zgodziłam się.

Silnie odczuwałam mijający czas, termin zbliżał się z każdym dniem, z każdą godziną robiło się coraz smutniej i smutniej, trudno mi było wytrzymać całe to napięcie nerwowe. Dino też się zmienił: zamknął się w sobie, coraz mniej się odzywał, wydawało się, że skąpi słów, aby nie stracić oszczędności. Zmizerniał i pobladł, przestał sypiać, widziałam po nocach jego szeroko otwarte oczy i spojrzenie poprzez ciemność wbite w sufit. Wiedziałam, że cierpi, zresztą mnie samej było nielekkko.

A czas się kurczył i zacieśniał krąg, więc już się miotałam, żeby ze wszystkim zdażyć. Dwa dni przed wyjazdem wróciłam wcześniej do domu, Dino już na mnie czekał, objęłam go rękami za szyję i przyciągnęłam do siebie. Poczulałam ogarniający mnie nagle dreszcz, przecież zostało już tylko dwa dni do odjazdu, dwa ostatnie krótkie dni, z czterech przeżytych wspólnie lat. Nie mogłam już dłużej ustać, rwało mnie w nogach, mocno i boleśnie, kręciło w żołądku, jakby chciało mnie wyrzucić na lewą stronę, zrobiło mi się słabo.

– Chodź, położymy się – powiedziałam z nadzieją, że ból minie. Położyliśmy się i rzeczywiście zrobiło mi się lepiej, minęły mi mdłości i zawroty głowy, chociaż nogi mnie rwały tak jak przedtem.

– Zawsze będę twoja, zawsze i wszędzie – powiedziałam.
 – Co by się nie stało, gdzie bym nie była, będę wszędzie twoja. – Dino milczał, nie widziałam jego oczu, leżałam wtulając się w jego ramię. – Słyszysz? – Milczał. – Czy ty mnie słyszysz?

– Tak – odpowiedział.

Coś bolesnego zabrzmiało w jego głosie. Uniosłam się na łokciu, chcąc zajrzeć mu w twarz. Płakał, cicho, zupełnie bezgłośnie, nie okazując tego ani dźwiękiem, ani ruchem. Nie wiem dlaczego, może z powodu tej milczącej, męskiej i dlatego nie do zniesienia powściągliwości, coś we mnie pękło, puściła jakaś tama. Usłyszałam jak dziko, zupełnie niehumanie wrzasnęłam, po czym chlusnęło ze mnie, ze wsząd: z oczu, z gardła – łzy, ślina, oddech, urywki słów – wszystko naraz.

Nagle dostałam ataku hysterii, sama tego nie mogłam zrozumieć. Wiedziałam, że moja twarz zatraciła rysy, przestała należeć do mnie, poczułam, że mam obrzmiałe od płaczu wargi, sama nie mogłam zrozumieć, co one próbują wyszeptać.

– Słyszysz – szeptałam, ale to było chrypienie, a nie szept – słyszysz, czy ty słyszysz? – Wywracało mnie na zewnątrz, prosto na niego, razem ze spazmami i kaszlem. – Czy ty słyszysz, słyszysz? – krzyczałam, zachłystując się. Już na nim leżałam, zwijając się całym ciałem w konwulsjach. – Umrę bez ciebie! Musisz być zawsze mój – na sekundę oślepałam, coś mnie szczypało w oczy, widocznie cień do powiek albo tusz rozplynał się od łez i dostał do oka. – Pewnie teraz okropnie wyglądam? – zapytałam, przedzierając się przez łzy, nawet uśmiechałam się. Nie odpowiedział, tylko zanurzył rękę w moich włosach i tam ją zatrzymał. – Mój najdroższy. – Zsunęłam się twarzą na jego piersi i ocierałam się o nią, żeby wchłonać w siebie cząstki jego skóry, jego zapachu. – Obiecuj, że nie będziesz

z nikim innym, oprócz mnie. Obiecuj, że nigdy, że zawsze będziesz należał tylko do mnie!

Wydawało mi się, że już się uspokajam, kiedy nagle wyobraziłam sobie Dina z inną kobietą i znów zaczęłam spazmować, teraz jeszcze głośniej.

– Obiecuj – wrzeszczałam – przysięgnij, że nie będziesz miał żadnej innej kobiety, nigdy w życiu, przysięgnij! – Zupełnie nie wiedziałam, co wyprawiam, czułam tylko, że bola mnie ręce, boli mnie całe ciało, po tym bólu poznałam, że walę, bębnię z całych sił pięściami w jego pierś, drobnym, gęstym rytmem, silnie, choć w zupełnej bezsilności.

– Przysięgaj! Przysięgnij, że nigdy nikogo! – Zatykało mnie. – Co? – przerwałam, bo on już dawno coś do mnie mówił, ale zupełnie nie słyszałam co.

– Przysięgam, uspokój się, przysięgam ci – w końcu zrozumiałam, ale co oznaczały jego słowa? Nic! Nie wystarczyły mi.

– Nie! – krzyczałam – nie tak, powtarzaj za mną! – starałam się powstrzymać chlipanie, żeby mógł dosłyszeć swój głos. – Powtarzaj, że nigdy nikogo nie będziesz mieć. Nigdy nikogo. – Nie rozumiałam, co on mówi, ale wiedziałam, że powtarza za mną. – Zaklinaj się na swoje życie! – gwałtownie przetarłam oczy, niczego nie widziałam, a chciałam dokładnie widzieć. Przysięgał. – Przysięgaj jeszcze raz. – Z trudem wymawiałam słowa, gardło i język odmawiały mi posłuszeństwa. Prawie nie mogłam mówić. On znów przysięgał. „Klnę się na swoje życie, że nigdy nikogo oprócz ciebie” – odczytałam z jego warg. – Kochasz mnie? – to były ostatnie słowa, jakie udało mi się z siebie wydobyć.

– Kocham. Tylko ty, nikt więcej. Ty jedna. – Teraz wiedziałam, że to jego słowa, początkowo wydawało mi się, że moje, ale potem zrozumiałam, że jego.

Byłam zupełnie wyzuta z sił, jak przepuszczona przez wyżymaczkę, wypalona przez tży, wyczerpana wrywającym

się ze mnie szlochem. Nic we mnie nie zostało, oprócz zmęczenia i miłości, i pragnienia, żeby tę miłość udowodnić od razu, tutaj, bezzwłocznie. Nie miałam już sił i co prawda powoli, ale rozstawiłam kolana, byłam cała mokra, nawet nie przypuszczałam, że łzy mogą pokryć całe ciało, że może ich być tak dużo. Załkałam, płuca podeszły mi do gardła, jeszcze chwila, a wyplułabym je. Zaczęłam powoli nasuwać się i nachylać nad Dinem, trzymając się go, żeby się nie ześlizgnąć i nie odpaść.

– Słyszysz, nigdy! Przecież przysięgłeś, że nigdy!

– Tak, tak, tak – potakiwał w odpowiedzi – nigdy.

Nawet nie zauważyłam, jak osunęłam się i runęłam na jego piersi, cała jeszcze drżąca od niedawnego napadu hysterii albo z powodu niedokończonego stosunku. Potem zasnęłam, cicho, głęboko, i z całą pewnością spałam długo. Kiedy otworzyłam oczy, obok mnie był Dino. Wpatrywał się we mnie uporczywie, a ja od razu wszystko sobie przypomniałam, zupełnie jakbym wcale nie spała.

– Pamiętasz – powiedziałam – obiecałeś mi? – Wyciągnęłam rękę, miałam ochotę go dotknąć. Już więcej nie płakałam, nawet gdybym próbowała, to nic by z tego nie wyszło.

– Tak – powiedział – pamiętam.

– Przysięgałeś na swoje życie. Pamiętasz? – Byłam jeszcze bardzo osłabiona.

– Tak – powtórzył za mną – przysięgłem na życie.

– Że nikt oprócz mnie, nigdy. – Znów potaknął. – Przysięgnij jeszcze raz, teraz – poprosiłam.

– Przysięgam.

Odetchnęłam z ulgą, zrobiło mi się lekko, byłam spokojna, tak jakby razem ze łzami spłynął cały ciężar, który się we mnie nagromadził.

– Dobrze – powiedziałam i znów zamknęłam oczy. Nie chciało mi się spać, było mi po prostu dobrze.

W ciągu tych dwóch ostatnich dni moje nerwy kompletnie się rozstroiły, funkcjonowałam jak pod narkozą, kilka razy nie wytrzymałam i bezsilnie opadałam na kanapę, twierdząc, że nigdzie nie pojedę. Dino uspokajał mnie, nagle okazał się trzeźwy i rozsądny. Przekonywał, że nie rozstajemy się przecież na zawsze, że wszystko jakoś się urządzi i albo on przyjedzie, albo ja, że nie będziemy przecież tak daleko od siebie, wszystkiego tylko piętnaście godzin jazdy. Dokładnie takimi samymi słowami ja sama przekonywałam go jeszcze przed miesiącem, a teraz on powtarzał je za mną. To dobrze, że w nie uwierzył, przynajmniej dzięki nim będzie mu łatwiej.

– No, obiecaj – mówiłam znowu – że będziesz do mnie pisać raz w tygodniu. Nie, dwa razy w tygodniu. Nie lubię dzwonek telefonu, chcę twoich listów, chcę cząstki ciebie. Dwa razy w tygodniu. Obiecujesz?

– Obiecuję – zgodził się. – Ale ty będziesz mi odpowiadała.

– Oczywiście. Będziesz pisać dwa listy co tydzień. – Nie wiedziałam, jakiej jeszcze przysięgi zażądać od niego. – Co tydzień, słyszysz? A ja będę odpowiadać na każdy twój list. Obiecujesz?

– Obiecuję. Dwa razy w tygodniu, co tydzień. Obiecuję.

– Za miesiąc się spotkamy. Będą święta. Cztery dni. Jeżeli będziesz mógł, przyjedziesz do mnie albo spotkamy się gdzieś w połowie drogi. Dobrze?

– Oczywiście. Albo ja przyjadę, albo spotkamy się w połowie drogi – powtarzał za mną.

– A potem, kiedy kontrakt się skończy, najwyżej za jakiś rok, znów będziemy razem.

Czy wiedziałam, że oszukuję samą siebie, że nigdy już nie będę mieszkać we Florencji i że Dino nie przyjedzie, bo co ma robić we Francji włoski aktor? Na pewno wiedziałam, dlatego właśnie płakałam i odchodziłam od zmysłów.

Wyjechałam następnego dnia. Wszystko widziałam jak przez mgłę: lotnisko, ludzi, Jonniego. Zauważyłam jednak, że Alfred nie przyjechał, no i dobrze, pomyślałam sobie. Zebrało się wielu odprowadzających, i to było ratunkiem, bo inaczej pożegnanie z Dinem byłoby nie do zniesienia, a tak przynajmniej dało się wytrzymać. Wszystko wokół okryła mglista zasłona, która zatarła szczegóły, toteż później pamiętałam tylko zarysy.

Dziwne, kiedy samolot uniósł mnie, jeszcze nie wystygła, żyjąca we mnie przeszłość została w dole, daleko z tyłu, a ja poczułam ulgę. Wyraźnie to pamiętam, to uczucie było zupełnie czytelne: tak jakby ostrym nożem odcięli łączące mnie z ziemią nici, otrząsnęłam się z napięcia i zostałam uwolniona. Wprawdzie smutno, ale lubię wyjeżdżać, pomyślałam. Steve mówił „urywam się”, kiedy wypływał na ocean. Ja lubię „się urywać”, zawsze kusi mnie przyszłość. Pewnie znalazłoby się miejsce dla Dina, myślałam z rozpędu.

Nie znalazło się jednak. Oczywiście jeszcze kilka razy spotkaliśmy się, nawet kiedyś pojechałam do Florencji. To było... Kiedy? Jakies siedem–osiem miesięcy po moim wyjeździe. Tak zachciało mi się spotkać Dina, być obok niego, że nawet go nie uprzedziłam, a po prostu kupiłam bilet i poleciałam, jeszcze dwie godziny wcześniej nie przypuszczając, że to w ogóle zrobię.

Lot trwał dwie godziny i już w powietrzu pomyślałam sobie, że Dino może akurat nie być sam, mogę go zastać z kobietą. Pierwsza, niezręczna myśl „mogę zastać” natychmiast zmieniła się w pewnik „zastanę”. Od razu zrobiło mi się duszno, przeklełam całą podróż, najchętniej wyskoczyłabym przez iluminator, jeżeli tylko można by rozbić niełukące szkło. Wydawałoby się, że minęło już tyle czasu, iż powinnam przywyknąć do myśli o samotności i nieobec-

ności Dina. Wystarczyła mi jednak sekunda, kiedy wyobraziłam go sobie z inną kobietą, i momentalnie straciłam zdrowy rozsądek, przestałam akceptować rzeczywistość, czułam się, jakby mnie ogłuszyli, wykluli oczy, jakbym się cofnęła o wiele lat wstecz, kiedy zaczynaliśmy z Dinem mieszkać ze sobą.

Wiedziałam, że to czysty masochizm, ale nie potrafiłam dać sobie rady ze sobą, im bardziej robiło mi się duszno, tym bardziej wściekały mnie powstające w mojej wyobraźni obrazy. Teraz, siedząc w samolocie, wciąż nie miałam dość wyobrażania sobie, że mnie zdradza. Miałam ochotę coś przedsięwziąć, zacząć krzyczeć, tak jakbym już otworzyła po cichu drzwi i zobaczyła Dina z inną. Przypuszczałam, że oboje zabiję, a jego z całą pewnością. Pytanie brzmiało – jak? Oczywiście nie miałam przy sobie żadnej broni i męczyło mnie wyobrażanie sobie, w jaki sposób mogę go zabić.

Kiedy jednak, tak jak planowałam, po cichu otworzyłam drzwi, Dino siedział na kanapie, na jego kolanach leżał zeszyt, a on, od czasu do czasu błędząc dokoła wzrokiem, nad czymś rozmyślał i coś pisał, w końcu zgadłam: list do mnie. Bezszelestnie wślizgnęłam się do środka i stojąc w przedpokoju patrzyłam z boku na niego, cichego i spokojnego, łzy napływały mi do oczu i powtarzałam sobie w duchu: „idiotka, idiotka, idiotka”, ale byłam naprawdę szczęśliwa. Dino przypadkowo spojrzał na mnie tym swoim nieobecny spojrzeniem, jakby spoglądał wewnątrz siebie, zupełnie innym, nowym wzrokiem, nieznanym mi przedtem. Widziałam, że w pierwszej chwili nie uwierzył, a potem podbiegł do mnie, chwycił w objęcia, potem na ręce, tak jak wtedy, po raz pierwszy, a ja, tak samo jak wtedy, wtopiłam się w niego.

Spędziliśmy ze sobą dwa dni, dwa szczęśliwe dni we Florencji, ale odlatując wiedziałam, że już nigdy tutaj nie

powrócę. Zbyt męczące było ponowne rozstanie, za bardzo bolało, żeby to powtarzać. Wiedziałam, że znów będę chorowała z powodu rozłęki, wybita z rytmu normalnych zajęć i będę potrzebowała dużo czasu, żeby wejść w koleiny codziennego życia.

Potem umawialiśmy się w połowie drogi, ja jechałam w jego stronę, a on – w moją. Spotykaliśmy się a to w małym włoskim miasteczku, a to we francuskim, zatrzymując się na kilka nocy w miejscowym hoteliku. Wszystko jak zawsze było cudowne, więcej, z powodu długiej rozłęki każde spotkanie było bardziej podniecające, ale jednocześnie coś jakby obumarło, nasz związek, pokrewność dusz. Pewnego razu, kiedy Dino opowiadał mi o swoich sprawach, zagapiłam się na coś i dopiero pod sam koniec zorientowałam się, że przepuściłam całą historię. Zaskoczyło mnie to, wcześniej nic takiego nie mogło się zdarzyć, przedtem życie Dina było jednocześnie jakby moim, a teraz już widocznie nie.

Za każdym razem, kiedy wracałam do domu, znajdowałam w sobie osad rozczarowania i zwątpienia. Przeżywając każde nasze spotkanie ponownie, odkrywałam, że były one stratą czasu. Wciskając pedał gazu do połowy i tocząc się nieśpiesznie po uciekającej spod kół samochodu szosie, postanawiałam, że to był ostatni wyjazd do Dina, że nie popełnię więcej pomyłki i nie będzie następnego, bezsensownego spotkania. Jednak już po jakichś trzech tygodniach opanowywało mnie podniecenie. Dino zaczynał mi się śnić każdej nocy, pisałam do niego i znów umawialiśmy się na kolejne spotkanie.

Czy rozumiałam, że to jest swego rodzaju ironia? Być może, ale nie chciałam w to wierzyć. Ciagle jeszcze modliłam się o jakiś cud i wierzyłam, że się zdarzy.

Nie odważyłabym się sama porzucić pracy. Pochłoneła mnie bez reszty, zauroczyła, zupełnie nieoczekiwane było

dla mnie to, że wszyscy podziwiali moje zdolności, uznawali mnie i mój autorytet. Po roku otrzymałam awans, powierzono mi kierownicze stanowisko na jednym z ważniejszych odcinków projektu i grupę ludzi. Dokładnie pisałam o wszystkim Dinowi, a on cieszył się za mnie: poważnie – nie byłam przekonana, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że moje sukcesy w rzeczywistości oznaczają ostatnią partię naszej gry. Szczerze pisał mi o tym, jak mu się wiedzie, o teatrze, przekazywał najświeższe ploteczki, cieszył się, że dostaje nową rolę i że Alfred dał mu swoją rekomendację. Miłe, proste listy, dziecinna naiwność, wzdychałam i uśmiechałam się.

Często myślałam, jak bardzo różnią się listy Steve'a i Dina, tak jakby byli przedstawicielami dwóch zupełnie przeciwstawnych ras ludzkich. Jedne – pełne subtelnych aluzji, głębokie, wszystko rozumiejące, dowcipne, nawet prorocze w swojej bezgranicznej mądrości. Drugie – przeciętne i miłe, powszednie; myślałam sobie, że i jedne, i drugie w zupełnie inny sposób umilają moje życie, nie konkurując ze sobą i nie zwalczając się nawzajem.

W gruncie rzeczy nic nie wiedziałam o Stevie: czym się zajmuje, jak spędza czas, nawet, z kim sypia, docierały do mnie tylko zdawkowe, krótkie wiadomości mające zamydlić mi oczy. Mimo to wiedziałam o nim dosłownie wszystko, byłam całkowicie pogrążona w jego zakreconej duszy, znałam dokładnie jego grzeszne myśli. A Dino? Cóż, wiedziałam o każdym jego dniu, o której się obudził i wstał, z kim jadł śniadanie, co przeczytał w gazecie, jeżeli zdecydował się ją przeczytać, i wszystkie pozostałe detale, o których mógłby mi nie pisać, ale pisał. Kiedyś nawet pomyślałam sobie, że te wszystkie nieistotne szczegóły dotyczące życia codziennego odgradzają mnie od Dina, stanowią jakby zasłonę, która mnie nie dopuszcza do jego świata wewnętrznego. Zauważyłam przy okazji, że on nie bardzo różni się od swojej codzienności.

Listy przychodziły tak jak przedtem i odpowiadałam na nie, ale nasze spotkania stawały się coraz rzadsze. Denerwowałam się, wiedząc, że tracę Dina, robiło mi się aż duszno z bezsilności, ale co mogłam poradzić? Zupełnie nic! Początkowo przerwy między naszymi spotkaniami zwiększyły się do dwóch miesięcy, następnie do trzech, a potem pozostały tylko listy, dwa razy tygodniowo, regularnie jak w rozkładzie jazdy, dokładne i pełne czułości. Tylko w nich widać było dawne pożądanie i przysięgi, wierzyłam w nie, dlatego że nie miałam nic innego, w co mogłabym wierzyć.

Robi mi się chłodno. Już dawno nie ma śladu zachodu słońca ani oceanu, w takich całkowitych ciemnościach nawet spojrzenie nie może się przebijać tylko na oślep, potrzebny jest przewodnik. Z tyłu świeci żółtym okienkiem dom i w tym jednym ogniku zawiera się ciepło i otucha.

Znów piję herbatę, myję się, zmieniam pościel, zakładam piżamę i kładę, zabierając ze sobą do łóżka książkę. Nagle zauważam, być może po zwolnionych ruchach, że zmęczyłam się, zbyt wiele wydarzyło się dzisiaj. Muszę odpocząć, przespać się, odłożyć czytanie do jutra. Mój wzrok zdażył już jednak odnaleźć krótki rozdział i powstrzymał rękę, nie pozwalając jej zamknąć książki:

„Jestem zonglerem słów, fakirem zdań i magiem myśli. Wyciągam je za uszy, jak króliki z cylindra, tak samo zbytecznie i bezmyślnie, potem one znikają w czarnej skrzyneczce, w której – tylko ja o tym wiem – jest drugie dno.

Dlaczego piszę tę książkę i czym właściwie ta książka jest? Niczym. Właśnie niczym, tylko gra myśli, czasem udana, czasem nie bardzo, ale, tak czy inaczej, niczym nie

wypełniona, ani dla kogoś, ani dla czegoś. Bezmyślna, bezcelowa, nikomu niepotrzebna, od nikogo niezależna, nie oczekująca na pochwałę czy krytykę.

Dlaczego ja ją tak lubię, dlaczego tak uważnie zapisuję w niej swoje dziwaczne historie i czasami sam, oczarowany, zaczytuję się nimi? Dlaczego jej pisanie rozciągnęło się na wiele lat? Dlaczego? Przecież już na to odpowiedziałem: bo jestem żonglerem słów, fakirem zdań i magiem myśli”.

Śmiejąc się zamykam książkę. Przede wszystkim próbuję wyobrazić sobie człowieka, który ją napisał. Wyobrażam sobie postać, nieco otyły z powodu długiego siedzenia, jego profil; jakbym zaglądała do wnętrza pokoju przez okno, rozświetlone lampą stojącą na biurku. Zadaję sobie pytanie: kim on jest i w jaki sposób ta książka znalazła się tutaj? Sama się dziwię, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej. Moje zdziwienie jest jednak powierzchowne i ocieźałe, ponieważ sen już nadszedł i złągodził jego narastanie.

Budzę się w środku nocy. Obudził mnie mój własny śmiech, ciągle jeszcze czuję na wargach jego słodki smak. Zapamiętałam swój sen dokładnie, tak bywa, kiedy człowiek obudzi się zupełnie niespodziewanie, a spłoszony sen nie zdaży jeszcze ulecieć. Widziałam Dina, czułam go, rozmawiałam z nim, nie musiałam nawet przypominać sobie słów. Zastygły w kącikach moich przebudzonych warg i rozplywają się po nich w uśmiechu.

– Uczuciowość i emocjonalność są połączone z męskością. Więcej, czasem są po prostu nierozdzielne.

Byliśmy w moim mieszkaniu we Francji. Skąd on się tutaj wziął, pamiętam, że się zdziwiłam, a potem machnęłam ręką – jaka to różnica? Wszedł z korytarza do pokoju gościnnego i zatrzymał się przy drzwiach, dzieliły nas trzy

kroki. Miałam ochotę dotknąć policzkiem jego twarzy, aż do podniecającego napięcia w całym ciele, i pocałowałam go.

– To nie są twoje słowa – powiedziałam i odsunęłam się, żeby spojrzeć na Dina. – Nie mogłeś tego powiedzieć. To mogło być napisane w książce, którą czytam.

– Skąd wiesz? – zapytał i od razu rzucił następne pytanie: – w jakiej książce?

Podaliśmy mu książkę, okazało się, że trzymam ją w ręce. Przekartkował ją, Wiedziałam, o co zapyta, i dlatego uprzedziłam jego pytanie:

– Nie wiem, kto ją napisał, ja ją po prostu znalazłam.

Uniósł brwi. W jego oczach pojawił się dziwny, obcy błysk.

„Surowość – pomyślałam. – Skąd się wzięła?” W jego spojrzeniu nigdy nie było surowości.

– Jeżeli nie wiesz, kto jest autorem tej książki, dlaczego nie uznasz, że to ja ją napisałem?

– Ty nie mogłeś jej napisać – nie uwierzyłam mu.

– Dlaczego? Oto numer rozdziału – wymienił numer, nie zapamiętałam go dokładnie. – Tutaj napisano:

„W dzieciństwie, kiedy wszystko było oglądane przez romantyczno-muszkieterski pryzmat, a nawet potem, w okresie dojrzałym, uważałem, że męskość i twardość kłóca się z odczuwaniem i przeżywaniem. Uważałem, że łzy w oczach mężczyzny to wstyd, tak jak inne przejawy uczuć, nawet wyrażanie uczuć słowami jest często zbędne, ponieważ męskość jest oszczędna w słowach, oschła i zamknięta. Myślałbym tak przez całe życie, gdyby nie straty.

Tylko one zmuszają do przewartościowania zjawisk, zdawałoby się, oczywistych, paradoksalnie dając jedyną możliwość rozpoczęcia życia od nowa. Powszechnie wiadomo, że chory, przykuty do łóżka, za szczęście uważa elementarną możliwość chodzenia, oddychania, odczuwania zapachu

kwiatów. Ale gdy zdoła wyzdrowieć, bardzo krótko cieszy się chodzeniem, oddychaniem, zapachem kwiatów, przebywaniem na powietrzu i pozwala opanować się przez marność, prędko zapomina, czym jest zwyczajna radość istnienia.

Jeżeli straty nie daje się wytłumaczyć, tak jak ja nie potrafiłem sobie wytłumaczyć tego, że cię utraciłem, Jackie, tylko wtedy pojawia się możliwość odrzucenia na zawsze skorupy ograniczających dogmatów. Rozumiesz wtedy, że tracąc część własnych emocji lub uczuć, tracisz część swojego własnego życia. W ten właśnie sposób zrozumiałem, że uczuciowość i emocjonalność są ściśle połączone z męskością, nawet więcej, są czasami nierozłączne. Ty jednak, ukochana, nigdy tego nie rozumiałaś”.

– Teraz widzisz – powiedział Dino – że to ja napisałem tę książkę. Zacytowałem ten rozdział, zanim go zdażyłem przeczytać.

Pokiwałam głową.

– To jednak nie może być twoja myśl.

– Dlaczego? – zapytał. Nie odpowiedziałam mu. – Czy uważasz, że we mnie nie było męskości? – Milczałam. – Może ty po prostu jej nie zauważyłaś, nie chciałaś jej widzieć? A może ja ją w sobie zniszczyłem z twojego powodu, a przynajmniej na ten czas, kiedy byliśmy razem.

Widziałam jak jeszcze bardziej zmieniły się jego oczy, zupełnie utraciły swój zwykły wyraz, zauważyłam, że zmieniła się też jego twarz. Już nawet wiedziałam, czym się to skończy, tyle w nim chłodu, muszę się pośpieszyć, żeby nie utracić ciepła, choćby tego, które w nim zostało.

– Zaczekaj – powiedziałam przymilnie. – To wszystko nie ma żadnego znaczenia, jesteśmy znów razem, żyjesz, ja ciebie kocham. Sam zobaczysz, teraz wszystko będzie cudownie, chodź do mnie.

Przytaknął i podszedł, czułam jego ciało, jego oddech, i to, jak mocno mnie objął.

– Tak! Właśnie tak! – powtarzałam. Dlatego, tylko dlatego, że mogłam jeszcze mówić.

W tym momencie odepchnął mnie, ordynarnie, szorstko i z ogromną siłą rzucił na tapczan, boleśnie się uderzyłam i otworzyłam oczy.

Leżę i uśmiecham się z powodu dziwaczności mojego snu. Jak to się wszystko pomieszało, myślę ze zdziwieniem, książka, Francja, Dino. Brutalność i zimna złość to na pewno od René, tak jak to, że rzucił mnie na tapczan. Cała podświadomość jest niezwykle zagadkowa, chociaż wszystko daje się wyjaśnić: wspomnienia w połączeniu z lekturą tej książki są moim obecnym życiem. Nawet myśl, którą jakoby wypowiedział Dino, reprezentuje Dina i René jednocześnie.

Leżę na plecach i patrzę w sufit, wreszcie mi się nudzi i przewracam się na bok. W oknie przedświt już zarysowuje kształty drzew, ale na razie tylko ich kontury. Całe moje życie składa się z konturów, zamykam oczy: tak lepiej, spokojniej.

Byłam przygotowana na to, że będzie mi ciężko w nowym miejscu. Jaka to jednak różnica, czy wiesz, czy nie wiesz, w każdym wypadku jest źle. Dino był jeszcze we mnie obecny i nie potrafiłam go pogodzić z nikim innym, sama taka myśl była bluźnierstwem. Musiałam czymś wypełnić sobie wolny czas, jaki nagle dała mi pustka, chciałam jakoś załatać powstałe we mnie ubytki.

Rzuciłam się w wir pracy. Przecież przyjechałaś tutaj pracować, mówiłam sobie, więc zajmuj się tym, czym masz się zajmować. Przesiadywałam w biurze do ciemnej nocy, przyjeżdżałam w soboty i niedziele. Początkowo spędzałam tak czas, bo to pomagało mi nie myśleć o Dinie, a później, kiedy przestaliśmy się ze sobą spotykać, po prostu z przy-

zwyczajenia. Właśnie od tej pory zniecierliwałam wolne dni, w biurze było pusto, obco i dlatego wyjątkowo samotnie. A w domu? W domu w ogóle nic na mnie nie czekało, oprócz samotnego posiłku, jeszcze bardziej samotnego telewizora; tylko listy ubarwiały szarą rzeczywistość.

Oczywiście początkowo współpracownicy próbowali się mną interesować, ale postawiłam na biurku zdjęcie, na którym jesteśmy razem z Dinem, objęci, to radykalnie pomogło. Tak to trwało... Ile? Półtora roku, zanim zaczęłam się z kimś spotykać. Przy czym nie miałam szczęścia. Pamiętam jednego, pewnie z powodu jego natrętnego z nudzania mnie. Wciąż za mną laził i wymyślał takie rzeczy, że rodziło to we mnie, jeżeli nie śmiech, to obawę. Kiedyś oznajmił mi, że planuje ożenić się i założyć rodzinę i dlatego chce przyspieszyć nasze stosunki. „Seks to nie najważniejsze – mówił – seks jest ważny, ale nie najważniejszy. Ważne jest, żeby mieć wsparcie, ważne jest – żeby być dobrym partnerem”.

Kiedyś próbował mnie pocałować, i to było początkiem końca. Niczego bardziej obrzydliwego i prostackiego nigdy nie doświadczyłam. Pomyślałam sobie, że przecież mogłam to przewidzieć. Przecież wargi rodzą słowa, a jeżeli wypowiedziane przez nie słowa są nudne, to same wargi też są nudne. Stąd pewna prawidłowość: jeżeli człowiek jest nudziarzem, to w nudny sposób całuje, idąc dalej, we wszystkim pozostałym też jest nudny. To oznacza, że nietrudno przewidzieć następstwa.

Znałam się też z innymi mężczyznami, ale nawet nie zapamiętałam ich imion. Później spotkałam René. Tego wieczoru siedziałam przy stoliku na oszklonym tarasie kawiarni. Wracałam z pracy i kupiłam po drodze kolorowy kobiecy magazyn, ale nie mogłam się zmusić do jego czytania; błyszczące kolorowe stroniczki z reklamami, z efek-

townymi modelkami, drażniły moją świadomość, osowiała, z powodu codziennej rutyny. Piłam kawę, wieczór usuwał zmęczenie upalnego dnia z ulicy, z okalających ją drzew, ze mnie. Nie zauważyłam nawet podchodzącego do mnie mężczyzny i wzdrygnęłam się zaskoczona, kiedy usłyszałam zwracający się do mnie obcy głos. Podniosłam wzrok i ujrzałam interesującą, wartą uwagi twarz.

Błada, nie bezbarwna, ale właśnie blada, mówi się o takiej, że jest bezkrwista, nie wypukła, jak to bywa, ale jakby zapadnięta twarz. Mocno sklepione, wysokie czoło, szeroko rozstawione oczy, ostrzyżony na jeża. Nos nie tyle złamany, jak nosy u bokserów, ale lekko spłaszczony. Zakłęśnięty u nasady, z brwiami nawisającymi nisko nad oczami, co czyniło twarz nieco niesamowita. Poczynając od szerokiego czoła, twarz zdecydowanie zwążyła się ku dołowi, szczególnie od wysokości kości policzkowych do szpiczastego podbródka. Teraz rozumiem, czego wtedy nie zauważyłam: każda część twarzy była jakby wzięta z innego człowieka, choć w całości tworzyły obraz nie tylko ciekawy, ale w pewien sposób harmonijny.

Oczy jasnoszare, jeszcze chłodniejsze niż takie bywają, wprawdzie nie lodowate, ale w jego spojrzeniu odczuwało się chłód. Spojrzenie bardzo ostre, utkwione w jednym punkcie. Skupiła się w nim złość, twardość i pewność siebie, nie brawurowa, ale wyrażana zdecydowanie, jakby powściągana. Od razu odczułam jego obecność.

– Pani jest piękną kobietą – powiedział.

– Co? – spytałam, nie dlatego, żebym nie usłyszała, tylko dlatego, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam. Mówił wibrującym głosem, z jakimś dziwnym akcentem, dopiero później zrozumiałam, że to nie akcent, tylko taka maniera.

– Pani jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Tego było zbyt wiele jak na pierwszy raz, aż skamieniałam. Zauważył to od razu i poprawił się:

– Przynajmniej dla mnie. Uroda jest subiektywna, odzwierciedla gust osoby zainteresowanej.

Między brutalnością jego słów a kunsztownie zbudowanym zdaniem było przeciwieństwo. Widocznie był utkany z przeciwieństw.

– Pozwoli pani, że się przysiadę?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko skinęłam głową. Na pewno gapiłam się na niego z natrętną ciekawością, ponieważ opuścił głowę, pochylając naprzód szerokie, wypukłe czoło.

– Długo na panią patrzyłem – powiedział i podniósł oczy. – Zwykle nikt mi się nie podoba. W pani jednak jest rzadko spotykana podporządkowana władczość.

Pomyślałam, że sama nie powiedziałam jeszcze ani słowa, a on już tak wiele.

Zastanawiałam się, co miał na myśli, mówiąc „podporządkowana władczość”.

– Komu podporządkowana? – spytałam.

– Nie wiem. Komu zechce się podporządkować.

– To się nie zdarza – powiedziałam i zaśmiałam się, ale nie do niego, a z tego, jak umiejętnie wciągnął mnie w spór. – Władczość nie może być podporządkowana.

– Może – odparł. Zrozumiałam, że ma nawyk mówienia krótkimi zdaniami, to mi się podobało, szło mu znakomicie.

– Zwyczajny człowiek podporządkowuje się, kiedy zmuszają go do podporządkowania. – Zamilkł spoglądając na mnie badawczo. – Pani podporządkowuje się temu, kogo sama pani wspaniałomyślnie wybierze. W takim podporządkowaniu kryje się władczość.

Zabawne było to, co mówił, szczególnie w pierwszej chwili znajomości, nie bojąc się niewypału.

– Ja się nikomu nie podporządkowałam, nigdy. – Znów się uśmiechnęłam, gdybym mówiła całkiem poważnie, brzmiałoby to głupio. Spowiadanie się nieznanemu człowiekowi zawsze wygląda głupio.

– To dlatego, że pani nie chciała.

Jego wibrujący głos brzmiał spokojnie, nawet chłodno, tak jakby od dawna już wszystko o mnie dokładnie wiedział. Uniosłam ze zdziwieniem brwi.

– A skąd pan tak dobrze mnie zna? – zapytałam już ze śmiechem. Oceniłam, że wybrał dobry sposób: nie prawił komplementów, ale jego słowa sprawiały mi przyjemność.

– Widzę.

– Widzi pan?

– Powiniennem, od tego zależy moje życie.

– Życie? – zapytałam. – W jaki sposób pana życie zależy od tego, jak pan mnie postrzega?

– Nie pania, a wszystkich. – Zrobił pauzę. – I wszystko.

– Co pan takiego robi? – Nagle zrobiłam się okropnie ciekawa. – Czy koniecznie musi pan być taki tajemniczy: wszystko widzę, może jeszcze ryzykuje pan życiem?

– Ja się ścigam.

Parsknęłam:

– Ja też się ścigam. A pan z kim? Bo ja z takimi, którzy usiłują mnie zaczepić na ulicy, kiedy im uciekam.

– Ja z samochodami.

– Jak to? – naprawdę nie rozumiałam go.

– Jestem kierowcą wyścigowym.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, uśmiechając się lekko pod nosem. No cóż, niecodziennie spotyka się żywych kierowców wyścigowych.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– W porządku – powiedziałam. To stawało się coraz bardziej interesujące. – Rozumiem, skoro jest pan takim

kierowca, to dla pana wszystko jest rzeczywiście bardzo ważne: trasa tam i z powrotem, zakręty, wskaźniki i tak dalej. Dlaczego jednak potrafi pan rozszyfrować ludzi lepiej niż inni?

– Nawyk – odpowiedział. – Muszę w ułamku sekundy ocenić wszystko, co widzę.

– Mnie też? – Ciagle się śmiałam.

Przytaknął.

– Panią także. Wiem na przykład, że pani nie do końca mi wierzy.

– A dlaczegoż to powinnam wierzyć? Nie znam pana. Sam pan rozumie, przysiadła się do mnie nieznajomy mężczyzna, opowiada mi różne przedziwne rzeczy, a w końcu przyznaje się, że jest kierowcą wyścigowym.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. – Chce się pani założyć?

– Dawno się już z nikim nie zakładałam – powiedziałam ostrożnie.

– Jeździ pani w kierunku Antibes. Droga zajmuje pani w przybliżeniu mniej więcej godzinę, prawda? Dam pani fory, dwadzieścia minut i dogonię panią, zanim pani dojedzie na miejsce.

To wszystko było jakieś nierealne: już dawno nie grałam w tę dziecinną grę i dlatego jeszcze bardziej mnie pociągała.

– Stop, niech pan poczeka – powstrzymałam go dłonią.

– Skąd będę wiedziała, że pan będzie czekać dwadzieścia minut?

Uśmiechnął się.

– Przejedzie pani trzydzieści kilometrów i zadzwoni tutaj, do kawiarni. Uprzedzę obsługę, żeby mnie poprosili do telefonu. Pani się przekona, że jestem, a ja wyjadę stąd po pani telefonie.

– To uczciwe – zgodziłam się. – Jednak z takimi forami nie dogoni mnie pan na dystansie trzydziestu kilometrów. – Jeszcze raz podważyłam jego słowa. – Z jaką prędkością, by pan nie jechał.

– Dogonię.

W jego głosie brzmiało absolutne przekonanie. Ja jednak nie wierzyłam.

– Chociaż... Jaki ma pan samochód?

Wskazał głową. Przed samą kawiarnią stał niski, długi sportowy samochód rzadkiej, drogiej marki.

– Więc tu jest haczyk – byłam rozczarowana – on jest dziesięć razy szybszy od mojego. To już nieuczciwe.

Prowadziłam mały, miejski samochodzik.

– Proszę bardzo, zamieńmy się – wzruszył ramionami, i to był zupełnie naturalny gest. – Mnie jest wszystko jedno.

– W porządku, zamienimy się – uległam. Jeszcze sama nie byłam pewna, czy pojedę. – Co się jednak stanie, jeżeli mnie pan nie dogoni?

– Nie wiem, wszystko mi jedno. Dogonię.

– Znów przechwałki. Niech pan jednak powie, co się stanie, jeżeli mnie pan nie dogoni?

– Co pani chce. Zabierze pani mój samochód.

– Mówi pan poważnie? – znów się uśmiechnęłam.

– Całkowicie.

– Nie, nie potrzebuję pańskiego samochodu – powiedziałam. – Raczej nakazę panu przyznanie się do tego, że jest pan zarozumiałym bufonem.

Boże, ileż w tym momencie zabójczego chłodu pojawiło się w jego oczach. Spodziewałam się tego i powiedziałam tak tylko po to, żeby się przekonać, czy miałam rację.

– Nie chce pani wziąć samochodu? Proszę. Mnie jest wszystko jedno – powtórzył. – Dogonię panią, tak że to nie ma najmniejszego znaczenia. Kiedy jednak panią dogonię...

– Co wtedy? – zapytałam.

– Wtedy – zamyślił się – obieca pani, że się jeszcze spotkamy. – Potaknęłam. – I zacznę do pani mówić „ty”.

– Tego już za wiele – nie zgodziłam się. – Ja stawiam tylko jeden warunek, a pan aż dwa. Nie ma tak dobrze.

Uśmiechnął się i próbował się sprzeciwić, ale mu na to nie pozwoliłam.

– Dobrze, już dobrze, później się dogadamy. Gdzie się spotkamy w Antibes?

– Na starym rynku. – Wyciągnął w moją stronę kluczyki.

Kiedy wsiadałam do samochodu, stał obok, pochylając się w stronę otwartych drzwi.

– Tylko niech pani uważa, samochód jest szybki, droga kręta, a do tego jest ciemno – mówił, podczas kiedy ja regulowałam siedzenie, oparcie i lusterka.

– Boi się pan o mnie, o samochód czy o to, że pan mnie nie dogoni? – Ostentacyjnie przewróciłam oczami.

– O panią – powiedział poważnie i dodał: – Czekam na telefon.

– Niech pan posłucha – nagle mnie olśniło. – A co będzie, jeżeli ja pojedę na przykład do domu?

– Nie pojedzie pani – uśmiechnął się, jakby rozbawiony moim spontanicznym zuchwalstwem. – Panią to ciekawi.

– To prawda – zgodziłam się bez protestu – ciekawi mnie.

– Niech pani jednak będzie ostrożna.

Skinełam głową, zatrzasnął drzwiczki. Wydawało mi się, że w jego głosie, gdy mówił ostatnie słowa, usłyszałam zdenerwowanie. Być może tylko mi się zdawało.

Samochód rzeczywiście był o wiele szybszy i bardziej czuły. Potrzebowałam czasu, żeby się do niego przyzwyczaić, kiedy nabierał przyśpieszenia wciskało mnie w fotel, wystarczyło tylko odrobinę przycisnąć pedał gazu. Na zakrętach próbował mi się wyślizgnąć, więc musiałam zmniejszać prędkość, mimo wszystko przez pierwsze trzydzieści kilometrów nigdzie się nie śpieszyłam. Byłam przekonana, że on mnie nie dogoni, po pierwsze z powodu samochodu, po drugie, ja sama szybko jeździłam, a po trzecie, to było

w ogóle niemożliwe. Zatelefonowałam po przejechaniu trzydziestu kilometrów, tak jak obiecałam.

– Dobrze – powiedział, a ja wyobraziłam sobie, że spogląda na mnie, mówiąc to swoje „dobrze”. Chciałam jeszcze porozmawiać, posłuchać jego głosu, ale już odłożył słuchawkę.

Jechałam szybko, początkowo koncentrując się tylko na zmienianiu biegów, zakrętach, wyprzedzaniu, prędko jednak sama zaczęłam poddawać się samochodowi. To interesujące, pomyślałam. Nie ma dwóch zdań, jest w nim coś nadzwyczajnego. Oczywiście, w każdym przypadku mogę się z nim spotkać, czy mnie dogoni, czy też nie. To nieważne, najważniejsze jest to, że próbuje.

Kierowca z naprzeciwka oślepił mnie reflektorami, świecając nimi prosto w oczy, w tym momencie przełączyłam światła na długie, jadący z przeciwka zniknął, wyobraziłam sobie nawet, że sam przytknął oczy. Dawno nie spotykałam takich dziwnych ludzi i z wyglądu, i jeżeli chodzi o postępowanie. Po co on właściwie wymyślił ten śmieszny wyścig?

Zdjęłam nogę z gazu, blokował mnie samochód przede mną, siedziałam mu już niemal na zderzaku, z przeciwka gnał nieprzerwany sznur głośno warczących samochodów, uniemożliwiając mi jazdę po przeciwnym pasie. Wybrałam właściwy moment i znów zaczęłam wyprzedzać, ryzykownie wyskoczyłam na przeciwny pas, na wprost mnie zbliżały się jakieś światła, ale zaparłam się i jeszcze mocniej wduśiłam gaz. Zajechałam drogę wyprzedzanemu samochodowi, ratując się w ostatniej chwili, ale jakie to teraz miało znaczenie – wyścig!

„Jak ja opiszę dzisiejsze wydarzenie Steve’owi?” – pomyślałam i zaczęłam komponować list, ale nagle przemknęło mi przez myśl: nawet jeżeli zacznę się z nim spotykać, jeżeli on naprawdę jest taki interesujący, jak się wydaje, to

mimo wszystko nie zacznę z nim sypiać. Potem pomyślałam sobie, że Steve na pewno zapyta: „Dlaczego?”.

„Napisałam ci – wyjaśnię mu – pamiętasz, jakieś dwa miesiące temu przydarzył mi się krótki romans z jednym ze współpracowników, z którym uzgadniałam moją część projektu. Wtedy się z nim przespałam, nie od razu, oczywiście. Nawet w najgorszych snach nie mogłabym sobie wyobrazić, że może być tak okropnie.

Rozumiesz, normalnie, jeżeli nie chcesz, możesz wyłączyć emocje. W tym przypadku odczuwałam wszystko, tyle że zamiast przyjemności odczuwałam wstręt aż do bólu, nawet kilka razy krzyknęłam, a on, idiota, myślał, że to zachęta. Wydawało mi się, że jestem cała rozbita, że mój spokój został naruszony, podeptany i jeszcze to uczucie obrzydzenia... zapytasz się, dlaczego? Powtarzam ci, nie wiem, po prostu idiotycznie się oszukałam.

Nie mogłam dłużej czekać, jeszcze chwila, a zwymiotowałabym na niego i na siebie sama. Gwałtownie cofnęłam biodra, wysunęłam się spod niego i zanim pojął, co się stało, zdażyłam się już podnieść. Od razu mi ulżyło, chciałam jak najszybciej stamtąd wyjść. – Wiesz – powiedziałam zimnym głosem, nie zamierzałam się nad nim litować. – Więcej już nie chcę. – On niczego nie zrozumiał, próbował mnie chwycić za rękę i przyciągnąć do siebie. Ale ja tak silnie szarpnęłam dłoń, że się przestraszył i wypuścił mnie. – Puszczaj – krzyknęłam. Zaczął mnie namawiać i przekonywać, ale przerwałam mu: – To mi się nie podoba! Nie chcę więcej, rozumiesz, nie chcę!

Prędko ubrałam się i wyszłam. Jednak uczucie obrzydzenia długo jeszcze mnie nie opuszczało. Wiesz, to była lekcja, pierwsza taka lekcja w moim życiu. Przestraszyłam się nawet”.

Znów zaczęłam wyprzedzać, ponownie ryzykując, ale przyzwyczaiłam się już i do samochodu, i do ryzyka.

„Na szczęście rozumiem, o co chodzi – próbowałam dalej układać list do Steve’a, kiedy znalazłam się z powrotem na swoim pasie. Droga była bardzo kręta, ale zakręty już mi nie przeszkadzały. – Wszystko polega na tym, że ty i Dino nauczyliście mnie odczuwać bardzo dokładnie własne ciało. I ciało też do tego przywykło. Kiedy byłam z tobą, potem z Dinem, ciało i odczuwanie wpadały w rezonans i rodziły szczęście. Odczuwanie może wzmacniać nie tylko radość, ale również niechęć, a wtedy rozdrażnienie przeradza się w przypadłości fizyczne: duszności, bóle głowy, mdłości. To samo działo się właśnie ze mną. Po tym wydarzeniu postanowiłam, że będę uważniejsza w wyborze, inaczej zbyt drogo trzeba płacić”.

Zdjęłam nogę z pedału gazu, zredukowałam bieg, droga była zbyt kręta, żeby jechać z taką prędkością, samochód, choć jeszcze trzymał się asfaltu, już ślizgał się w bok, w stronę urwiska. Wewnętrznie aż skurczyłam się ze strachu; nie utrzymam go. Udało mi się jednak wyrównać i nacisnęłam znów gaz, jadąc w stronę następnego zakrętu. „Nie, nie będę z nim spała – pomyślałam. – Powinnam mu ufać”.

Już z daleka widziałam, że mnie dogania. Najpierw dostrzegłam dalekie jeszcze, prawie nierzeczywiste reflektory. Drżały nerwowo i już po tym można było poznać przyspieszenie samochodu, a także po ich rozkołysaniu, gdy podnosiły się w górę i opadały w dół. Zrozumiałam, że wyciska ostatnie poty z mojego małego autka, wydobywając zeń możliwości, których istnienia nie podejrzewaliśmy – ani ja, ani ono. Już dojeżdżałam do miasteczka, do rynku zostało najwyżej z dziesięć kilometrów, nie więcej, i to, co było dla mnie najbardziej interesujące w tej grze, dopiero się zaczynało.

Myśli, wspomnienia – wszystko na bok – bo właśnie przez nie mogę przegrać. Wcisnęłam się w siedzenie, ale

nie z powodu przyśpieszenia, po prostu poczułam się częścią systemu obejmującego samochód, autostradę, a teraz także i mnie, łączącego nas w jedną całość. Od razu zrozumiałam, na czym polega osiągnięcie efektu odpowiedniej prędkości: trzeba dać swobodę rękom i nogom, ale przede wszystkim polegać na intuicji, przewidywaniu. To tak jak w seksie: najważniejsze to wyrwać się spod kontroli umysłu, dlatego że umysł w niczym nie pomaga, przeciwnie, wszystko tylko psuje, powątpiewając i odwlekając. Odruchy są niezawodne.

Myślałam, że jadę prędko, że prędzej już nie można, że tej wijącej się, pokręconej w esy floresy, próbującej mnie strząsnąć z siebie, zrzucić ze swej powierzchni drodze będę musiała w końcu ustąpić. Mój wzrok przyzwyczał się już do migotania świateł pojazdów – tych jadących naprzeciwko i wyprzedzanych – potem i to minęło, a ja zrozumiałam: wzrok zlał się ze słuchem, z ruchami kierownicy i z napięciem do granic możliwości uwaga, nie można już było tego rozdzielić. Nie wiedziałam, co właściwie robię, samochód chodził na boki jak ciągnięta na sznurku zabawka, ale ja wierzyłam jemu, a on mnie. Żółty snop doganiających mnie świateł pochwyił mnie już na ulicach miasteczka. Nie mogłam pojać, jak zdołał mnie dogonić, przecież wycisnęłam z samochodu i z drogi wszystko, każdy centymetr, każdą sekundę, a on mimo wszystko mnie dogonił. Nie przegonił mnie jednak. I nie przegoni! – postanowiłam sobie.

Trzy razy próbował mnie wyprzedzić, meandrując po nocnych, ciągle jeszcze błyszczących światłami uliczkach, ale ja pilnowałam boków, za każdym razem zmniejszałam odległość od murów kamienic, a on odskakiwał ostro do tyłu, lecz trzymał się prawie na styk. Raz jeden przymknęłam oczy, nie zamknęłam, ale przymknęłam. Wydawało mi się, że zepchnęłam go pod nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę. Dzieliły ich od siebie ledwie metry,

przymknęłam oczy, już prawie słyszałam zgrzyt gniecionego żelaza i brzęk rozbijanego szkła, widziałam zmiażdżony wrak samochodu i wprasowane w niego ciało. Lecz gdy uniosłam powieki, jego – a właściwie mój – wóz tak jak przedtem mknął lewą stroną, trochę z tyłu, nie mogłam zrozumieć, gdzie się podziała ciężarówka, nie mogła mi się chyba przywidzieć.

– Czy on przefrunął nad ciężarówką, czy co? – pomyślałam głośno i zaskoczyła mnie w moim głosie niezwykła złość.

Powiedziałam sobie, że to przecież jest właściwie głupstwo. Już dawno prawie nie spoglądałam przed siebie, tylko do tyłu, żeby nie przegapić jego ostatniego zrywu, tym razem zwlekałam z tym jednak i kiedy spojrzałam we wsteczne lusterko, okazało się, że go nie ma. Przestraszyłam się: z lewej strony też go nie było. Nic więcej nie zdażyłam już pomyśleć ani zrobić, bo nagle ujrzałam jego twarz po prawej, bardzo bliska, dzieliły nas zaledwie centymetry, zupełnie inna, rozpalona, obca, z profilu.

Jak on to zrobił, przecież tam jest chodnik! – zdażyłam pomyśleć, wdusiłam pedał gazu, całe ciało mnie rozboleło. Prawie mu zajechałam drogę, ale nie udało mi się, droga skręcała w prawo, jego lewy bok musnął mój prawy przedni reflektor, mogłam go jeszcze przycisnąć do prawego krawężnika i nie pozwolić mu wyskoczyć. Tak powinnam zrobić, ale noga już odpuściła pedał gazu, wprawdzie lekko, ale to, jak się okazało, wystarczyło. Samochód przede mną, ziejąc spalinami i zarzucając tyłem, jeszcze raz błysnął w świetle moich reflektorów, zobaczyłam tylko kierowcę, a właściwie tył jego głowy i zrozumiałam, że nie mam najmniejszej szansy, żeby go wyprzedzić.

Siedział na brukowanej jezdni podciągawszy kolana. W tej pozycji wydawał się jakiś mniejszy, szczuplejszy, na

pewno z powodu znużonej twarzy, nie poznałabym go, gdyby nie stojący obok mój samochód. Ja też się zmęczyłam i o mało nie upadłam, kiedy wysiadałam z samochodu; nogi, zdrewniałe od szybkiego wciskania pedałów, odzwyczaiły się od chodzenia i ugiwały się pode mną, odmawiając posłuszeństwa. Byłam w sukience, ale pal to sześc, usiadłam na kamieniach razem z nim, unosząc kolana do góry.

– Gdyby nie ten skręt w prawo, nie dałbyś rady mnie wyprzedzić – powiedziałam. – Dlaczego wyprzedzałeś z prawej? Wiedziałeś, że tam jest zakręt?

Wzruszył ramionami.

– To nie jest ważne. – Jego lodowaty głos zaczął łagodnieć, był już trochę mniej napięty, ale jeszcze brzmiał w nim chłód.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Nie miałaś szans. Ja tak czy inaczej bym cię wyprzedził. – Znow wzruszył ramionami.

– Jestem zawodowcem – przypomniał. Siedzieliśmy dalej milcząco. Zdrewniały mi nie tylko nogi, ale również ręce i szyja.

– Jesteś zmęczony? – sama nie zauważyłam, kiedy zaczęłam mu mówić na „ty”, ale w końcu to ja przegrałam.

– Nie – skrzywił się.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Wychodzi ze mnie napięcie. Wystarczy mi dwadzieścia minut i wszystko będzie w porządku. A ty?

Wreszcie spojrział na mnie. Jego oczy były zagadką, „Tak jak kiedyś u Steve’a – przypomniałam sobie nagle – wtedy, kiedy go rysowałam”.

– Jestem zmęczona – przyznałam się. Po co kłamać?

– Nie czuję nóg ani rąk.

Skinał głową. Rozumiał to.

– To dlatego, że nie jesteś przyzwyczajona. Przejdzie. To co, pójdziemy się czegoś napić? – spytał po minucie.

– Pójdziemy – zgodziłam się, ale tak, jakbym dzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. Dodałam: – Wszystko jedno, nic innego nam nie pozostaje.

Podniósł się, aż się zdziwiłam, nie podpierając się rękami, po prostu wstał jak z krzesła i wyciągnął do mnie dłoń. Była spokojna, co prawda nie taka, jak u Dina, bardziej chwytna, muskularna i poczułam to od razu: pochwyć i nie wypuść. Dinowi mogłam się wyrwać, zawsze wiedziałam, że jego palce koniec końców rozewrą się, a teraz poczułam od razu: na darmo. Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym. „Zadziwiająco – pomyślałam sobie – dawno tak się nie denerwowałam, to nawet przyjemne”.

– Jestem René – powiedział, kiedy usiedliśmy, a ja bardzo się zdziwiłam, wydawało mi się, że wiem o tym już od dawna.

– Dziwne – uśmiechnęłam się – ja nawet zapomniałam, że nie znam twojego imienia. Ależ to był wyścig, a do tego to wszystko – machnęłam ręką, Milczał i ja też milczałam.

– Dziwne, prawda?

– Tak – powiedział, spoglądając na mnie. – Ja też nie znam twojego imienia.

Przedstawiłam się.

– Jackie – powtórzył za mną – to Jacqueline? Pasuje do ciebie to imię.

Znów oboje zamilkliśmy, ale pauzy nie raziły, wydawały się tylko niezbędnym odpoczynkiem.

– Niepotrzebnie pozwoliłaś mi tak blisko do siebie podejść – powiedział w końcu. Z początku nie rozumiałam, ale później tak: to dotyczyło wyścigu. – Zanadto zwolniłaś.

– Nie myślałam, że mnie dogonisz.

– Przecież powiedziałem, że cię dogonię.

– Zresztą, kto wiedział, że mój samochód potrafi tak szybko jeździć?

– Twój samochód? – powtórzył śmiertelnie poważnie.

– Samochód nie ma tu absolutnie nic do rzeczy. Kiedy cię

dogoniłem, od razu się spięłaś, czułem to. – Mimo wszystko uśmiechnąłeś się. – Kilka razy znakomicie mnie przytarałaś.

To zabrzmiało śmiesznie, tak że nawet się roześmiałam:

– Jesteś zabawny. Mało cię nie wykończyłam, a ty się cieszysz.

– Takie są zasady wyścigów. Na trasie zawsze tak jest. Mogłabyś być świetnym kierowcą rajdowym. – Podobało mi się, co i w jaki sposób mówił. – Ale o tym wiedziałem od razu, jak tylko podszedłem do ciebie w kawiarni.

– Ty podszedłeś do mnie w kawiarni? – uśmiechnęłam się i udałam zdziwioną. Czułam, że jestem już trochę pijana.

– Kiedy?

– Tak, ja podszedłem do ciebie w kawiarni. Zapomniałaś?

– Zapomniałam – kiwnęłam głową.

Siedzieliśmy w maleńkiej piwiarni, urządzonej w wysokiej suterenie, na bocznej kanapce, przy prawie nieheblowanym, tylko wygładzonym przez mnóstwo łokci i kufli, stole. Rzuciłam się od razu na picie, zapominając, że jest warzone z chmielu, i zamawiałam już dwukrotnie, dlatego teraz odczuwałam dziwną lekkość w głowie.

René zapalił. Ani Steve, ani Dino nigdy nie palili, ja sama nie lubiłam, kiedy ktoś przy mnie palił, ale teraz spodobało mi się. Był smaczny, ten zapach, prawie fizycznie słodki, oszałamiający, nagle mnie samej zachciało się wziąć w usta i pociągnąć papierosa, właśnie tego, nawilgłego w jego wargach. Powstrzymałam się jednak.

– Od razu poczułem, że coś nas ze sobą łączy, jakbyśmy byli członkami jednego przysiężenia. Dlatego właśnie podszedłem. Czy myślisz, że ja często zaczepiam kobiety na ulicy?

– Nieczęsto? – zapytałam. Wiedziałam, że jestem podpita, dlatego wybaczałam sama sobie głupotę, coś mnie korciło, żeby wygadywać głupstwa, bardzo dawno tak się nie zachowywałam.

Pokiwał głową.

– Jesteśmy sprzysiężeni? Jak to?

– To bardzo proste – odpowiedział. – Wokół nas jest cały świat i jesteśmy my, ja z tobą, i jesteśmy sprzysiężeni.

– Czy my już jesteśmy sobie sprzysiężeni, czy dopiero dogadujemy się ze sobą? – Bardzo chciałam to natychmiast wyjaśnić.

– Już jesteśmy sprzysiężeni.

– Nie wiedziałam. – Na pewno głupio pochrząkiwałam, choćby dlatego, żeby jakoś zamaskować to, że jestem lekko podchmielona. Potem moja dłoń została nakryta i nawet nie spostrzegłam się, kiedy wsunęłam swoją rękę w jego. Tam czuła się bezpieczna.

– Jesteśmy sprzysiężeni – powtórzył – czujesz to?

Czułam to i słowo „sprzysiężeni” znakomicie ilustrowało moje uczucia.

– No a kiedy zaczniemy obalać rząd i tak dalej? Poza tym jesteśmy lewicą czy prawicą? Kim?

– Nie będziemy niczego obalać.

– Jaki jest w takim razie nasz cel? – Właściwie znudziło mi się już wygłupiać.

– Cel jest taki... – René starannie dobierał właściwe słowa, tak jakby rozmawiał z dzieckiem. Rzeczywiście byłam w tej chwili jak dziecko. – Cel jest taki, żeby nikt do naszego sprzysiężenia nie przeniknął. Ono ma na celu odrębność.

Nadszedł czas, żebym wreszcie przestała zgrywać się na dziecinność, nie byłam na tyle pijana, żeby tego nie rozumieć. Spróbowałam spojrzeć na niego bystrym, całkowicie przytomnym wzrokiem.

– Tak, taki jest cel – zgodziłam się. – W książkach takie sprzysiężenie nazywają miłością. Prawda?

René pochwycił moje spojrzenie i przytrzymał wzrokiem. Jak ręka, pomyślałam, chwytny jak ręka. Z takim nie da się pozartować. Ale mnie właśnie chciało się żartować.

– To znaczy, że my już kochamy się w sobie? – dopytywałam się.

– Można to tak określić.

– Czy to znaczy, że ja ciebie już kocham? – nie wycofywałam się.

On wiedział, że drwię, widziałam to po jego oczach, zwięziły się i zrobiły się zimne, jakby powlekły się cienką błonką. Ciekawe, jaką błonką się powlekają, kiedy ich właściciel uprawia miłość? Próbowalam to sobie wyobrazić. Bo chyba nie mogła być taka sama?

– A co, może nie! – wykrzyknął nieoczekiwanie, a ja zrozumiałam, że on nie pyta, tylko oznajmia. Byłam zdecydowana powiedzieć mu „nie”.

– Nie wiem – powiedziałam. W tym momencie opamiętałam się. – Oczywiście, że nie. – Próbowalam mu nawet wyrwać rękę, ale jej nie puścił. – Jak ja mogę ciebie kochać? Przecież znamy się zaledwie dwie godziny.

Teraz to brzmiało jak usprawiedliwianie się, więc zamilkłam. Głupio jest być poważną podczas takiej rozmowy.

– A czy ty uważasz, że ja ciebie kocham? – Taki żartobliwy ton był już lepszy.

– Oczywiście. – Było mu wszystko jedno, jakim tonem mówiłam.

– To znaczy, że ty też mnie kochasz? Wobec tego jesteśmy związani ze sobą,

Dopiero teraz rozumiałam, że on przez cały czas, zupełnie poważnie, mówi o mnie.

– Oczywiście. Inaczej nie byłbym teraz z tobą,

– I kiedy się we mnie zakochałeś? – ostrożnie, żeby go nie spłoszyć, wypytywałam dalej.

– Jak tylko ciebie zobaczyłem. Patrzyłem na ciebie i od razu wiedziałem, jak się wszystko potoczy. Wiedziałem, że będziemy tak tutaj siedzieć, wiedziałem, że będę trzymać twoją rękę.

Zupełnie nie mogłam się połapać, czy mówi poważnie, czy, tak jak ja, nie bardzo.

- Czy wiesz może, co się stanie dalej? – zapytałam.
- Domyślam się – odpowiedział.
- Co w takim razie?
- Będziemy razem – odpowiedział spokojnie.

Pomyślałam, że jego siła tkwi w prostocie, w najzwyczajniejszej, naturalnej prostocie, widocznie on sam uważa fałsz za niebezpieczny i unika go jak może. Chciałam powiedzieć coś zupełnie neutralnego, żeby nie dawać mu nadziei, ale jednocześnie nie rozstroić i nie złamać. Już chciałam się odezwać, ale on mi przerwał, tak jakby zgadł, co chcę powiedzieć.

- To zupełnie nieważne, co teraz powiesz. Tak będzie.
- Niczego nie powiem – odpowiedziałam, czując, że to jest właśnie najlepsza odpowiedź.

Postanowiłam, że już nie pojedę do domu, bo po pierwsze było daleko, po drugie byłam zmęczona, a po trzecie – pijana.

– Teraz już zawsze będę się ścigać z tobą do pracy, a potem z pracy do domu – powiedział René, próbując głupio, promiennie się uśmiechać. Nie udało mu się. Nagle poczułam, jak tutaj, w tej zadymionej piwnicy z piwem ginie moje osamotnienie i jak opuszczone przez nie miejsce wypełnia się życiem. Powiedziałam René, że nigdzie nie pojedę i że jest mi potrzebne miejsce w hotelu.

– W takim razie idziemy poszukać hotelu – powiedział i wyszliśmy.

Nie wiadomo z jakiego powodu, nie cofnęliśmy się do placu, tylko ruszyliśmy w przeciwną stronę, wąską, kamienną uliczką, prawie niknącą w cieniu chyłających się nad nią kamieniczek. Ich napór był w dwójnasób odczuwalny, gdyż zaułek był tak wąski i stały tak blisko, że idąc między

domami, zajmowaliśmy całą szerokość jezdni, czasem nawet ocierając się ramionami o ściany budynków. Raz ja, raz René. Tutaj wszystko było z kamienia: domy, ulica, a nawet, wydawało się, białe sznury przeciągnięte od domu do domu na specjalnych rolkach. Nawet porozwieszana na nich bielizna, bezwstydnie machająca zwisającymi w dół rękawami, nawet ona wydawała się kamienna i szara w kolorze.

Tylko ja i René nie byliśmy częścią tego skamieniałego w tej chwili, nocnego, wydawało się zapomnianego, zakątka świata. My oboje byliśmy żywi, szczególnie w kontraście z tym monochromatycznym nieruchomym obrazem. Skręciliśmy chyba w prawo, zupełnie nie wiem po co, po prostu skręciliśmy. Następna uliczka niczym nie różniła się od poprzedniej, była nawet jeszcze węższa, więc nawet gdybyśmy chcieli, nie mogliśmy iść daleko od siebie. Nawet nie wiem, kiedy zaczęliśmy się całować, nie pamiętam, kto zaczął pierwszy, pamiętam tylko siebie, wciśniętą w chłód ściany, z rozpalonymi już, zaczynającymi nabrzmiewać wargami. Nie byłem w stanie się poruszyć, ściśnięta między René a kamieniem.

Jego usta okazały się inne, niż je sobie wyobrażałam, wargi tylko wyglądały na wąskie, ale w dotyku były pełne, pożądliwie chwyciły mnie i podszczypywały boleśnie. Odpychałam go, ruszyliśmy chwiejąc się, dopóki znów nie natrafiałam ramieniem na kamień i znów jego usta nie zwały się z moimi i robiły z nimi, co chciały: gnioły, kąsały, wyciągały, czułam, że jego ręce też są wszędzie. Kilka razy próbował podedrzeć mi sukienkę, ale była długa, prawie do ziemi, więc przestawał. Znów go odpychałam od siebie, sama nie wiem dlaczego.

– Potrzebny mi jest hotel – mówiłam.

– Tak – potakiwał. A potem znów szliśmy i znów zatrzymywaliśmy się.

Kiedy dobrnęliśmy do końca uliczki, zatrzymała nas ściana z ażurową kuta bramą, zaślepioną kamiennym murem. Dalej nie było już drogi, pręty kraty wbiły mi się w plecy, przyciągałam René mocno do siebie, wsuwając ręce pod krótką, mocno wyciętą koszulkę i gładziłam jego twarde, muskularne, naprężone ciało.

– Chodźmy – powtarzałam z uporem, ale nie wychodziło mi. – Chodźmy, to ślepy zaułek. – Nie puszczał mnie, więc powtarzałam: – Chodźmy, już późno.

Próbowałam go odepchnąć, naprężyłam się całym ciałem, ciągle go odpychając, potem wszystko się nagle zmieniło, nie zdażyłam zorientować się co, tylko ściany domów przemknęły przed moimi oczami jak na karuzeli, a potem w moje ciało boleśnie wpiły się metalowe pręty. Chwycałam rękami za kratę, wydawało się, że moja głowa uwięzła w niej, próbowałam się wyswobodzić, ale nie mogłam, coś mnie dławiło, przytrzymując za szyję. Nagle zrobiło mi się zimno w nogi, to sukienka przestała mnie zakrywać, nogi nagle znalazły się w niewygodnej pozycji, szeroko rozstawione, poczułam jego ręce na biodrach, najpierw jedna, a zaraz potem także druga. Do mojego wnętrza przeniknęła świeżość, poczułam, że jestem zupełnie bezbronna, być może dlatego, że on przyciskał mnie i rozciągał w różne strony, bezlitośnie, mocno, szeroko, zostawiając ślady po palcach.

– Nie chcę – to szeptałam, to chrypiałam. – Nie chcę! Puszczej! Nie rób tego! – Nie byłam świadoma, co się dzieje; kompletnie nieświadoma kurczyłam się tylko w oczekiwaniu na coś, czego nie znałam. Nic takiego jednak się nie działo, byłam tylko cała odkryta, rozłożona na części, rozplaszczona, dostępna nawet dla powietrza. Starłam się odwrócić, czułam, jak chłód miesza się z moją wilgocią, i studzi mnie, wytrawia i wysusza ją. „Puść” – chciałam znów powiedzieć, ale zamiast tego usłyszałam krzyk i nie

od razu dotarło do mnie, że to mój głos. Zrozumiałam to dopiero wtedy, kiedy dopadł mnie przeraźliwy ból, rozrywając i spychając inne odczucia na bok. Jęknęłam pod wpływem tego rozrywającego bólu, potem poczułam pchnięcie, silne, bezlitosne, uderzyłam się boleśnie, pręty dotkliwie mnie uwierały, o mało co nie upadłam.

– Boli mnie! – krzyknęłam, w tym momencie poczułam następne pchnięcie, jeszcze silniejsze, rozdzierające mnie z jeszcze większą siłą, zdusił mój krzyk i znów wepchnął mnie w kratę. Próbowalam zewrzeć nogi, ale moje pośladki były rozwarłe tak szeroko, jakby nigdy się nie schodziły, wiedziałam, że nastąpi jeszcze jedno pchnięcie, chciałam go powstrzymać swoim krzykiem, ale nie zdażyłam. Potem następowały kolejne pchnięcia, jeszcze i jeszcze, a każde z nich było silniejsze od poprzedniego, zaczęły drżeć pod mną kolana. Chwiałam się i ze mną chwiała się krata, słyszałam jej skrzypienie, wewnątrz mnie krążył tępy ból, przepełnił całe moje ciało, ale na samym dnie mieszał się z wyzwoleniem. Co jakiś czas krzyczałam, ale teraz sama oczekiwałam na następne pchnięcia, trochę przykucałam, trochę się kołysałam, odwracając się, chwiejąc, próbowałam zrozumieć, ale nie mogłam.

– To za mocno – chrypiałam, ale on dalej się wpychał, znów krzyczałam, próbując pozbierać się po każdym pchnięciu i przygotować na nowe. – Zabijesz mnie! – Ale on nie słuchał i robił to dalej, szykowałam się na śmierć, nogi mi drżały, nie wiedziałam, jakim cudem się jeszcze na nich utrzymuję, w ogóle nic nie czułam oprócz tych wdzierających się we mnie pchnięć. – Zabijesz mnie – znów wyszeptalam. – Zaraz umrę! Przestań, ja umrę!

Ale on nie przestawał i wszystko dookoła znikło, tak jakby pokryło się matową powłoką z miki. Pozostało tylko skrzypienie bramy i towarzyszący mu szept, a ja nie rozumiałam, co on mówi: coś o mnie, coś o tym, że nie odpuści,

dopóki nie upadnę i nie wykończę się, czy dopóki mam jeszcze moje ciało. Ale ja nie chciałam się przewracać, trzymałam się prętów ogrodzenia, zaciskając na nich palce, wiedziałam, że pierwsza nie upadnę.

„Ty sam nie wytrzymasz!” – chciałam krzyknąć, ale nie zdażyłam, bo zaczęła na mnie lecieć brama, tnąc mnie swoimi ostrymi prętami, na nią zaczęły spadać całymi piętarami domy, z rozwieszoną bielizną, ze sznurami, dławiąc mnie i dusząc. Ból przeniknął do głowy, do mięśni, byłam porozrywana na drobniutkie kawałeczki i oprócz tych kawałeczków nic ze mnie nie zostało. Wiedziałam już teraz, co to takiego ból, skąd się bierze i gdzie mieszka. Czułam kończące, słodkie drgawki przenikające moje ciało, sprawiające mi ulgę, a po minucie jeszcze silniejsze, na pewno płakałam, chociaż to wszystko mogło mi się przewidzieć – i ulga, i łzy.

Ktoś krzyczał z okien, grożąc wezwaniem policji, ja już stałam twarzą w twarz z René, a on mnie całował, a potem ciągnął gdzieś, nie wiadomo dokąd, w pobliżu słychać było jakby policyjne sygnały. Prawie niczego nie zapamiętałam: samochód, napięta twarz René, jego wargi wypowiadające: „zwialiśmy”, my wbiegający na piętro hotelu. Rzuciłam się twarzą na łóżko i wyszeptałam:

– Zgwałciłeś mnie. Wiesz o tym. Boli mnie. Jestem cała w siniakach.

– Chcesz jeszcze? – René pochylił się nade mną,

– Nie wiem – powiedziałam. – Chyba tak. A ty? – Później wszystko było tak samo.

Wiedziałam, że Steve będzie oczekiwać mojej opowieści, ja sama miałam ochotę podzielić się z nim tym, co przeżyłam, przywykłam w ciągu tych wielu lat przelewać wszystko na papier, ale teraz nie mogłam.

„Tak jak dawniej, będę ci opowiadać o swym życiu – napisałam do niego – niczego nie ukrywając: o sobie,

o pracy. Tylko nie o René, nie o nim i nie o tym, jak się kochamy. O tym nie mogę”.

„Dlaczego? – początkowo w to nie uwierzył, a potem zaczął naciskać. – Przestanę cię rozumieć i nasza więź się zerwie, przerodzi się w głupstwo, błahostkę”.

„To znaczy, że tak się stanie – odpowiedziałam. – Nie obrażaj się, mnie samej jest przykro, ale nie mogę opowiadać o naszej miłości”.

„Boisz się go?”

„Nie, oczywiście że nie. René nigdy mnie nie tknie. To nie ma związku z nim. Rozumiesz, Steve, tak jak nigdy dotąd, odczuwam kruchość niemal nierealnego szczęścia, jak nigdy boję się, że je stracę, boję się zapeszyć. Robi mi się zimno, kiedy tylko pomyślę, że mogłabym je zniszczyć samym faktem opowiadania o nim, analizowania i rozpatrywania”.

„Czy zauważyłaś, że po raz pierwszy nazwałaś mnie w liście moim imieniem? Pamiętasz, kiedyś napisałaś mi, że twoje listy do mnie powinny być bezosobowe, inaczej nie będą mogły być szczere. A teraz zwróciłaś się do mnie po imieniu”.

„Nie zrobiłam tego specjalnie. Po moim poprzednim życiu nie zostało ani śladu, rozwiało się jak pył, rozpadło się na kawałeczki. Ja też się zmieniałam i teraz już nie mogę być z tobą tak absolutnie szczerą, jak byłam kiedyś. Wybacz”.

Później napisałam jeszcze: „Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to to, że jestem tak szczęśliwa jak nigdy. I proszę, nie pytaj mnie o nic więcej”. Pamiętam, że tak właśnie mi napisałaś, a on posłuchał, nigdy już więcej o nic mnie nie pytał, bo rozumiał. Wszystko rozumiał, tak jak zawsze, mój Steve.

Spoglądałam na pokój, już dawno jest w nim jasno, blask jest taki równy i dojrzały, jak jabłko na gałęzi. Spoglądałam

w okno, niebo czyste, jasne i lekkie, jakie bywa tylko jesienią, na północy, w rzadkie dni ładnej pogody. Nie chce mi się wstawać, mam ochotę na leniuchowanie w moim sennym łóżku, przeciągam się błogo, naciagam na głowę kołdrę i zapadam się w słodczy snu. Mój sen też jest przepojony światłem, bardzo spokojny, przyprószone żółtomiodowym blaskiem, jak wtedy, gdy nawet we śnie ktoś czuje się bezpiecznie i spokojnie.

Budzę się, kiedy to uczucie mnie opuszcza. A może obudził mnie dźwięk, monotony, rozkołysany, cichutki dźwięk, więc otwieram oczy. Wcześniejszego światła już nie ma, tak jakby zgęstniało i porwało się na strzepy, widać tylko moką mgłę z wilgotnym bębnieniem w tle, już rozumem – deszcz.

„To kara – myślę sobie – przyroda mnie karze za to, że zerwałam naszą umowę, przesypiając ranek”. No i dobrze, nie zależę od przyrody, więcej już od nikogo nie zależę, rzucam się całym ciałem na tapczan, wykonując niemal akrobatyczny przewrót.

Woda z prysznicą nie tylko okrywa mnie ciepłem, wydaje mi się, że każda wodna cząsteczka wtapia się w skórę, napełniając mnie rzeźkością. Dawno już nie czułam się tak lekko, myślę. Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy mieszkaliśmy razem z René, szczęście zaczynało się od samego rana. Śpieszyłam do pracy, wiedząc, że oczekuje mnie radość, i że potem, kiedy wrócę do domu, znów będzie na mnie czekała radość. Pieniądze, kariera, prestiż, wszystko to jest przyjemne, oczywiście, ale nie najważniejsze. Ważny był René i moja praca.

Miałam interesującą, twórczą pracę, przyjeżdżały różne komisje, rządowe i miejscowe, rzecz szła o ogromne pieniądze, a moją część kompleksu architektonicznego wydzielono z pozostałych jako odrębną. Kilka razy awansowano mnie, w końcu stałam się odpowiedzialna za cały

projekt. Oczywiście, szły za tym pieniądze i reputacja, ale nie uganiałam się za nimi, przyszły same z siebie, jako dodatek do pracy, do której odnosiłam się z ogromnym szacunkiem i bez technokratycznego pragmatyzmu.

A René, zastanawiam się, jak on się odnosił do życia? Zamyślałam się. Nie wiem, on był skomplikowany, bardzo skomplikowany, czasem nawet dla mnie. Z jednej strony gwizdał na wszystko, lekceważył nawet samego siebie, nie interesowało go, jak wygląda, jak jest ubrany, co o nim mówią ludzie. Jeszcze bardziej lekceważył pieniądze. Miewał ich czasem wiele, ale nigdy długo. Wydawał je lekką ręką, demonstracyjnie, pożyczał, ale nigdy nie pamiętał, komu i ile. Temu wszystkiemu towarzyszyła nie tyle bez troska, co raczej bezmyślność.

Z drugiej strony nie wiadomo, skąd w nim było tyle napięcia, chłodu i agresji. Nagłej, nieukrywanej, prawdziwej agresji, której, wiedziałam, bali się ludzie, wszyscy, nawet przyjaciele. Tylko ze mną René w gruncie rzeczy był zupełnie inny; wprawdzie zaczepność z jego oczu nie znikwała, ale przykrywała ją miłość. Jego miłość była ostra, ale mnie się to podobało.

Steve, kiedy podzieliłam się z nim swoim niepokojem, zasugerował, że nierozwaga i chłód rozwinęły się u René prawdopodobnie na skutek obecności ciągłego zagrożenia.

„Jeżeli chodzi o pieniądze, to wszystko jest całkowicie zrozumiałe – odpowiedział mi. – Jeżeli człowiek każdego dnia ryzykuje życie, tak jak twój René na trasie wyścigu, to głupio jest oszczędzać pieniądze, odkładając życie «na potem». Z tej prostej przyczyny, że «potem» może się nie zdarzyć”.

Dopiero wtedy, po przeczytaniu tego listu, po raz pierwszy poważnie zaczęłam się bać o René. Nie dlatego, żebym wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie to niebezpieczne. Po prostu nigdy przedtem nie myślałam, jak łatwo

pogodziłam się z tym, że jest kierowcą wyścigowym, że nie może być nikim innym. Pierwszy raz poddałam w wątpliwość wybór zawodu, którego dokonał; dopiero teraz. Po raz pierwszy. Bardzo się przestraszyłam i zaczęłam go prosić, żeby skończył z wyścigami. Prosiłam, krzyczałam, błagałam, mówiłam, że pieniądze są niepotrzebne ani jemu, ani nam, że on ciągle je marnotrawi. Płakałam i groziłam mu, aż mnie samej było potem wstyd.

Patrzył na mnie tylko zimnym, prawie nienawistnym wzrokiem, nie mówił ani słowa, po prostu wstawał i wychodził. Wyczekiwałam na niego w bezsenne noce, a on wracał prawie nad samym ranem. Udawałam, że śpię, ale on nie zwracał na to uwagi, i nawet nie próbując mnie budzić, brał mnie bez proszenia, bez słów, zachłannie. Czułam, że jest spięty i pokręcony, że się stęsknił i odczuwałam radość: to znaczy, że mnie nie porzucił dla innej. Potem przestałam go namawiać, rozumiałam, że to bezcelowe, ale siedząc na trybunie stadionu za każdym razem żżymałam się, kiedy on zbyt ostro startował.

Potem René miał wypadek, prawie na moich oczach. Od początku miał złą pozycję startową i już na wstępie wszyscy go wyprzedzili, jednak po pierwszych ośmiu okrążeniach zaczął ich doganiać. Siedziałam na trybunach razem z jego kolegami i André, który zajmując miejsce po mojej lewej stronie, nerwowo zacierał swoje owłosione ręce, chciałam mu nawet powiedzieć, żeby przestał, ale się wstrzymałam. Wiedziałam, że bierze udział w totalizatorze, czasami telefonował z naszego mieszkania, jak orientowałam się z jego rozmów robiono zakłady na ogromne sumy, czasem stawiając na René, a czasem nie. Nie chciałam się w to mieszać, specjalnie nie chciałam. W tym wszystkim czuć było jakieś ciemne interesy, może nawet coś kryminalnego. Podejrzywałam, że René bierze w jakiś sposób w tym udział,

inaczej skąd by się u niego nagle brały takie ogromne kwoty, nawet wtedy, kiedy nie wygrywał, nawet gdy zjawiał się ostatni na mecie. Wmawiałam sobie, że to tylko wyobraźnia, że przecież nic nie wiem na pewno, a poza tym, to nie moja sprawa.

Jean-Paul siedział z drugiej strony, maleńki, suchy, siwy, z kręconymi włosami, kiedyś chyba także był kierowcą, a może w jakiś inny sposób był związany z wyścigami. Znał wszystko i wszystkich i był kimś w rodzaju menedżera René, oczywiście nieoficjalnie, ciągle jednak z kimś coś tam omawiał, coś tam proponował, dokądś się śpieszył. Nie lubiłam go, ciągle coś kręcił, w jego ruchach widać było podejrzaną, nerwowość, trochę się go obawiałam, zawsze spodziewając się po nim maleńkiej podłej złośliwości. Tak samo jak René miał ostre, nieprzeniknione spojrzenie, ale René niczego nie ukrywał, a oczy tego rzucały ukradkowe, uciekające spojrzenia. Wiele razy zaczepiał mnie, nie mówiąc wprost, ale napomykając, że René ma jakieś długi wobec niego. Kiedy jednak pytałam o to wprost René, ten w dosadny sposób radził mi, żebym się do tego nie mieszała.

Dziś André i Jean-Paul byli wyjątkowo nerwowi i niespokojni, więc zrozumiałam od razu, że pewnie znów chodzi o pieniądze, skoro aż tak się podniecają. André cały czas gorączkowo zacierał ręce, tak jakby się umazał i teraz próbował wytrzeć. Drażniło mnie jego nadmierne owłosienie, zbyt gęste i zbyt czarne, starałam się nie patrzeć w jego stronę, ale moje spojrzenie samo tam biegło i aż się krzywiłam.

– Patrz, patrz, jak on go – mamrotał pod nosem Jean-Paul, nie wiadomo do kogo się zwracając.

Wypluwał słowa, nie robiąc między nimi przerw, wpadając kolejnym na poprzednie, a niektóre połykając. „Tak jakby słowa też brały udział w wyścigu” – pomyślałam i odrywając zahipnotyzowany wzrok od rąk

André, spojrzałam na tor. Samochód René znajdował się już w środku stawki, a on sam przechodząc zrywami z jednej strony toru na drugą, próbował wyminąć następnego przeciwnika, tamten zaś w tej samej chwili przyśpieszył. Ren znów został z tyłu, i tak jak przed chwilą, zrywami próbował go wyprzedzić.

– Jak myślisz, minie go? – zapytał André.

– Diabli go wiedzą – odpowiedział Jean-Paul – za daleko pozwolił mu odskoczyć na starcie.

– Przed nimi jeszcze ponad dwanaście okrążeń – powiedział André. Głos wibrował ukrytą nadzieją.

– Przecież mówiłem René, żeby nie pozwolił urwać mu się na starcie, a teraz on wychodzi do przodu. Od razu trzeba było go przytrzeć.

Obaj wymieniali uwagi ponad moją głowę, jakbym w ogóle nie istniała.

– Słuchajcie, może zamienimy się na miejsca. – Spojrzałam na Jeana-Paula, a ten momentalnie uciekł wzrokiem, tak jak uciekał René jadący przed nim samochód, i wymamrotał:

– Nie, nie Jackie – oni wszyscy nazywali mnie Jackie, nie Jacqueline – wszystko w porządku, tak jest dobrze.

– Popatrz, jednak go wyprzedza!

„Jego głos jest taki napięty, jakby go też pocierał swymi włochatymi łapami” – pomyślałam o André.

Patrzyłam na trasę. René wyrwał się do przodu ze swym wozem, który jeszcze przed chwilą sprzeciwiał się, nie chciał mu się poddać. W tej chwili też nie do końca go słuchał, obaj rywalizujący kierowcy wchodzili w zakręt i René starał się pójść po zewnętrznej, co, jak rozumiałam, nie było dla niego wygodne. André aż przestał zacierać ręce, kiedy wóz René przeskoczył na lewą stronę, rywale jechali jakiś czas bok w bok, prawie dotykając jeden drugiego. Potem René próbował zepchnąć sąsiedni wóz z toru,

ten opierał mu się, on znów pchnął, popychał go bez przerwy, tak jakby się od niego odbijał, wyszedł z zakrętu i od razu skoczył do przodu. Zacisnęłam pięści. Widziałam prawie jego twarz, ściągniętą podczas wyścigu, nic, tylko ją, nieruchomą, spiętą, twarz.

– Dalej – wyszeptałam – dalej, René! Gazu!

– Przed nim jest jeszcze osiem okrążeń – powiedział Jean-Paul.

– Jeszcze kawał czasu – dorzucił niedbale André.

– Możemy mieć nadal nadzieję.

Przed René mknęło jeszcze jedenaście wozów, moje oczy spoczęły na „dziewiątce”. Dlaczego akurat na niej? – pomyślałam, wiedząc, że i tak tego nie zrozumie. Ten wóz jechał bardzo pewnie, umiałam już rozpoznać, czy kierowca podczas wyścigu jedzie pewnie. Najpierw jechał za drugim, oddychając niemal jego spalinami, ale nawet nie próbował wyprzedzać. Zajmując miejsce w czołówce nie zmieniał miejsca nawet na centymetr, tak jakby właśnie na tej pozycji chciał zakończyć wyścig.

– Spryciarz – skomentował Jean-Paul, jak zwykle w powietrzu, nie odwracając głowy, wiedziałam, że mówi o trzeciej maszynie, którą tak bardzo starał się dogonić René. – Sprytny bydlak, popatrz jak się trzyma. Jakby był przyklejony i nie miał zamiaru ani o centymetr się posunąć, ale zaraz wyskoczy.

Nie zdążył jeszcze skończyć zdania, kiedy na wewnętrznym łuku zakrętu ten, o którym mówił przed chwilą, jakby zerwał się z niewidocznej uwięzi i runął ostro naprzód, wszystko w mgnieniu oka, ledwo zdążyłam się zorientować, co się dzieje. Widziałam tylko, jak Jean-Paul pokręcił głową.

– Niech go diabli – powiedział znów André. I znów zaczął go przeklinać.

– Skoczył czysto i lekko jak zając – odezwał się Jean-Paul. – Połknie Claude’a.

– Skurwiel – warknął André. Potem też sobie nie żałował.

Wreszcie zaczęłam rozumieć. René też próbował wyprzedzić wóz przed sobą, który, tak jak przedtem, zaczął ślizgać się po całej szerokości toru, zarzucając tyłem, ale on mimo wszystko wyrwał się.

– Prędej! – krzyknęłam i aż się sama stropiłam, bo nie lubiłam ujawniać emocji w towarzystwie tych dwóch.

René gnał dalej i dalej z dzikim wysiłkiem, zostawiając z tyłu kolejne maszyny, za każdym razem „na żyletkę”, za każdym razem ledwie się mieszczą. Ten, który był na drugim miejscu, wciąż jeszcze utrzymywał pozycję, ale widać było, że nie na długo, znałam już ten jego trik, widziałam go. Jakby przykleił się do maszyny z przodu, prawie dotykając jej, i gdyby nie tło trybun wydawałoby się, że obie stoją w miejscu, tak jakby zamarły w bezruchu, nie przemieszczając się jedna w stosunku do drugiej. Koniec wyścigu wydawał się być tuż, należało tylko poczekać na ostatni zryw, który wyłoni zwyciężcę.

René starał się „wykiwać” następną maszynę. Zastanawiałam się, dlaczego tamten robi to z wdziękiem, elegancko, jakby mimochodem, a René za każdym razem przebija się tak mozolnie, wyciskając z siebie krwawe poty, na granicy życia.

– Dlaczego tamten jest taki luzak? – nie pytałam, tylko tak jak oni rzuciłam przed siebie w powietrze i od razu sama zrozumiałam, że to głupie.

– Nie przejmuj się, Jackie – usłyszałam mamrotanie – twój René też jest niczego sobie. – Znów nie podobało mi się ani to „twój”, ani „niczego sobie”, lecz nic nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam na tor.

Dzieliły ich tylko trzy wozy. Zrozumiałam: zadaniem René było nie wygranie wyścigu, a tylko ciągłe siedzenie

na ogonie tego, który jechał na takim luzie i cały czas zajeżdżał drogę. Walka z przeciwnikiem dodawała mu skrzydeł, była ważniejsza niż sama meta.

– Ile jeszcze zostało? – zapytał Jean-Paul.

– Siedem okrążeń – odpowiedział André. „Czyżby je liczył?”, pomyślałam.

– Może zdaży? – nadzieja zabrzmiała w głosie Jeana-Paula, ale nikt mu nie odpowiedział.

René zdażył niepostrzeżenie minać trzy pozostałe wozy, zostawały w tyle jeden za drugim, razem mogłyby spróbować przytrzymać go, ale nie, bo tutaj każdy pracuje tylko dla siebie. Ten, który ścigał się z René, mógłby łatwo odskoczyć, gdyby tylko się zorientował. Zrobiło mi się go wręcz żal, przecież on się niczego nawet nie domyślał, zupełnie nie wiedział, co jest grane. Przykleił się do pierwszego wozu i widoczne było, że nie miał zamiaru się śpieszyć, zostały jeszcze cztery okrążenia, ja też zaczęłam je liczyć. René długo szykował się do ataku, czułam jak ci dwaj obok mnie – i ten z prawej, i ten z lewej – zamarli.

– Teraz nie ucieknie René – powiedział André i potwórzył: – Teraz nie ucieknie.

– Nie wiem – wyraził powątpiewanie Jean-Paul – on może połknąć Claude’a w każdej chwili.

Tak też się stało. Ten, o którym cały czas mówili, skoczył w lewo od Claude’a (ja sama też już nazywałam pierwszy wóz Claude’em), ale tamten w ostatniej chwili zdażył zablokować przejazd. To akurat okazało się błędem i w rezultacie wszystko, co zostało zrobione przeciwko temu, za którym jechał René, okazało się błędem. Claude jeszcze pilnował lewej strony, kiedy jego rywala już tam nie było. Zmaterializował się z prawej strony, gdzie nikt mu nie zagrażał, gnał przed siebie jak szalony, na pewno chichocząc w takt ryku silnika, jak wykiwał tego palanta Claude’a. Już wyszedł na prostą, jego wóz był o pół długości w przedzie

i Jean-Paul pokiwał głową i rzucił: „Koniec”. Ale nagle stało się niemożliwe.

W ciągu tych ostatnich sekund nie patrzyłam na René, byłam zafascynowana mistrzostwem tego, za którym on gnał, nagle z boku dosłyszałam westchnienie i odwróciłam wzrok. Jeżeli tylko samochód może rozciągnąć się wzdłuż, spłaszczyć się i wykonać skok, niewiarygodnie długi i zgrabny skok, jeżeli samochód może to wszystko zrobić, to tak właśnie się stało. To był dosłownie skok, wóz René rzucił się do przodu, wydawało się, że na mgnienie oka oderwał się od ziemi, jak kozłująca piłka i teraz już trzy wozy znajdowały się na jednej linii, którą jeden z nich musiał w końcu przerwać.

I pękła. Nie wiem, jak to się stało, czy nerwy zawiodły tego, który szedł w środku, choć przecież wszystko z taką łatwością mu szło. Lub może stało się to wtedy, kiedy René zaczął na niego z tyłu naciskać, tamten przestraszył się, że zostanie rozpłaszczony między nim a maszyną Claude'a i odpuścił.

Claude, korzystając z okazji wyskoczył do przodu, a ten, za którym pędził René, nagle znalazł się na trzecim miejscu. Teraz on zdawał się być przywiązany do René niewidzialną linką, wszyscy pozostali jechali dopiero za nimi, rozumiejąc, że wynik wyścigu rozstrzygnie się między tymi dwoma. Widziałam, że René nawet nie patrzy do przodu, tylko w tył, tak bardzo się bałam o niego i z całego serca chciałam, żeby to on zwyciężył w tym wyścigu, chociaż ten sport był dla mnie zupełnie niepojęty, miałam jednak nadzieję... Także dlatego, że w głębi duszy wiedziałam, że przegra.

Claude jednak uciekał, wyciskając wszystko, co się da, ze swojej maszyny, i ten, który był za René, nie mógł już dłużej czekać. Nagle przesunął się w lewo, w prawo, nie próbował się rozbujać na całej szerokości toru, tak jak

René, tylko lekko jakby się zachybotał, a René się poddał, tamten podjął kolejny ruch i wywinał się... Tego było już za wiele, znów poszedł w lewo, teraz już szerzej, a potem, co oczywiste, wyrwał do przodu.

– Tak – to powiedział Jean-Paul.

– Co tak? – zapytałam rozdrażniona, ale nikt mi nie odpowiedział.

Nagle wszystko zamigotało mi przed oczami, nie rozumiałam, co się stało, wydawało mi się, że oglądam jakiś film, zwolnione kadry, że można wstać i wyłączyć telewizor. A może to po prostu jakieś brednie, oczywiście bredzę, bo wszystko się już stało, na tor wbiegają ludzie, wskoczył tam też podnosząc ręce Jean-Paul. Wóz René jeszcze miga mi przed oczami, ledwie go widać, wygląda, jakby jechał na oślep, a potem nagle wali się w bok. Zupełnie nie rozumiałam, jak to się stało, że zdołał się rozbić, a przede wszystkim nie rozumiałam, dlaczego. Potem jego przód znów się obrócił, potem tył i znów przód, wszystko bardzo wolno, jakby płynęło w syropie, nagle tył i przód samochodu zaczęły się obracać bardzo prędko, tak że nie można było ich ruchu uchwycić wzrokiem, jak kula, szybciej niż kula, nigdy nie widziałam, żeby coś tak prędko się obracało.

Ten, który akurat wyprzedzał, na pewno próbował uniknąć zderzenia, nie patrzyłam na niego, ale widziałam jak wpada w to piekło. Usłyszałam jeszcze jedno westchnienie z trybun, teraz już głuche, przebijał z niego strach, a potem dobiegł mnie tylko odgłos uderzenia, nigdy jeszcze nie słyszałam takiego łoskotu. Później znów wszystko jakby zwolniło, dlatego że jedna z maszyn frunęła wysoko w górze i już paliła się tam, w powietrzu. A maszyna René już się nie obracała, a koziółkowała z boku na dach i na następny bok, na oczach tłumów traciła swój kształt, przestawała być samochodem wyścigowym, tylko stawała się nieforemnie pogiętą, stertą metalu. Ten

niesamowity kontrast pomiędzy lecaącym powoli w górze wozem z ulatującymi smużkami dymu i drugim, tuż pod nim, w ruchu, ale już w agonii, w przedśmiertnych drgawkach, zduszonym między betonowymi barierami; to surrealistyczne, niespotykane przeciwieństwo było najstraszniejsze. Wydawało mi się, że zupełnie zwariowałam.

Czułam, jakbym sama znajdowała się w środku tego wszystkiego, dusząc się spalinami, nieobecna, nieprzytomna od uderzeń, próbująca odpiąć pasy i wyskoczyć na zewnątrz, byłam tam razem z René i zarazem wiedziałam, że on jest tam zupełnie sam. W tym momencie wyrzucony w powietrze wóz dosięgnął ziemi i wbił się w beton, który unicestwił płynność jego lotu. Niezdarnie zakołysał się raz jeszcze i zastygł cały już w ogniu, tak jakby właśnie ogień powstrzymał jego dalsze ruchy. Na tor wbiegali już ludzie, jadące z tyłu wozy hamowały gwałtownie z piskiem opon i wpadały jeden na drugi, a André ciągnął mnie gdzieś za rękę. Nie wiedziałam, dokąd mnie ciągnie, tuż obok znalazł się Jean-Paul i bez przerwy coś mamrotał, a André kiwał tylko głową, nie odzywając się, rozróżniałam słowa, choć nie rozumiałam ich znaczenia.

– Zobacz. Co z nim. – Wyrzucali z siebie słowa jak serie z karabinu maszynowego. Biegliśmy, André dyszał ciężko, a po każdym zwrocie robił pauzę tak długą, jak wypowiedana kwestia. – Jak zakreślił. Jak się podstawił. Mistrz. Ja bym tak nie potrafił. Brawo, René! Jak go wyprowadził! Jest wart krocie!

Nie wpuścili nas na tor. Jacyś ludzie w kaskach wycinali go ze zgniecionej skorupy samochodu specjalnymi elektrycznymi nożycami, mówili, że może być jeszcze żywy. „Tam są specjalne wzmocnienia” – mówił czyjś głęboki głos, nie spojrzałam nawet czyj. Wokół płonącego samochodu także zebrali się ludzie, ale nie patrzyłam w tamtą stronę, słyszałam tylko krzyki.

– Nawet nie masz pojęcia, ile! – Jean-Paul ciągnął André za rękaw, zauważyłam, że za rękaw, bo trzymałam głowę spuszczone, nie mogłam już więcej na nic patrzeć.

– Przestań – zachnął się André.

– Ale nawet sobie nie wyobrażasz!

– Przestań – powtórzył André. – Potem.

– No, René, dałeś radę, jesteś gość!

Jean-Paul nawet mnie pociągnął za rękę.

– No, Jackie, twojemu René udało się tak pierwszy raz w życiu. – Ale ja nie podnosiłam oczu.

Kiedy go wydobyli, znajdował się w stanie „przejęciowej świadomości”, jeżeli ten termin jest prawidłowy. Poznał mnie, zamknął oczy i znów je otworzył, zniknęła z nich agresja, zniknął chłód, nigdy przedtem nie zauważyłam u niego takich oczu, ukazała się w nich głębia, tak jakby wiedział o czymś, co dla mnie było niedostępne. Widziałam, że chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł, ja też nie mogłam, powtarzałam tylko ciągle, chcąc go uspokoić: „Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze”. Zabierali go, wsiałam do auta André, Jean-Paul gdzieś się zawieruszył, i pojechaliśmy w ślad za karetką. Całą noc spędziłam w szpitalu, na salę operacyjną mnie oczywiście nie wpuszczono, a potem wyszedł chirurg i powiedział, że są dwa złamania, szok, krwawienie wewnętrzne, w sumie to nie jest aż tak źle, nie ma zagrożenia życia, właściwie to René wyszedł z tego obronną ręką.

Usnęłam wprost na krześle, w poczekalni, a kiedy się obudziłam, spytałam André o tego, pod którego podstawili się René. „Żyje?” – spytałam. André przytaknął ruchem głowy. O nic więcej nie pytałam, nie chciałam już o niczym wiedzieć. Weszłam do sali pooperacyjnej, gdzie leżał René, spał, oddychał cicho i równomiernie, jak niemowlę, jego twarz była bez wyrazu, jakby nic mu się nie stało, po prostu zwyczajny śpiący człowiek. Postąpiłam chwilę a potem

wysłałam. Sama musiałam koniecznie pojechać do domu, porządnie się wypać i doprowadzić do jakiego takiego porządku.

René prędko wracał do zdrowia, po czterech tygodniach już chodził na rehabilitację, w jego oczach pojawiła się ta sama ostrość, co przedtem, pomyślałam, że psychicznie też już się podnosi. Przychodziłam do niego każdego popołudnia, spacerowaliśmy po szpitalnym ogrodzie i rozmawialiśmy. Przeważnie ja mówiłam, René raczej milczał, a potem wracaliśmy do sali i zamykaliśmy się; on jeszcze niezbyt sprawnie się poruszał i dlatego przypominał mi bardzo Alfreda. Poza tym ciągle był zły i gwałtowny, nawet wtedy, kiedy leżał, wydawało się, że jest bezsilny, lecz ciągle poganiał moje ruchy, więc w końcu poddawałam się. Widziałam, że czasem go boli, robił się bledy, żyły występowały mu na skroniach, cierpiał, ale wtedy jeszcze bardziej przyśpieszał rytm, a ja kochałam go jeszcze mocniej, całowałam go i szeptałam do ucha o wszystkim, nie mogłam głośno, żeby siostry nie usłyszały.

Wtedy właśnie podjęłam ostatnią próbę namówienia René, żeby porzucił wyścigi. Prosiłam, żeby zrobił to dla nas – dobrze, jak nie, to dla siebie, a jeżeli ma siebie w nosie, to dla mnie!

– Czy myślisz, że twoi przyjaciele martwią się o ciebie? Im jest wszystko jedno! Jeżeli się zabijesz, to nikt tego nawet nie zauważy! Czy wiesz, że ten twój Jean-Paul cieszył się, kiedy się rozwaliłeś?! – Wiedziałam, że należy to podkreślić. – Gdybyś tylko widział, jak on się cieszył! No, oczywiście, teraz już o tobie nie pamięta, nie jesteś mu już potrzebny! To już wszystko! Niczego więcej nie powiem!

– Ja nie dla niego to robię – odpowiedział René, ale po jego zachmurzonej twarzy poznałam, że mam jakąś szansę.

– A z jakiego powodu? – zamachałam rękami, nie rozumiałam. – Dla pieniędzy? Przecież to głupie ryzykować

życiem dla pieniędzy, tym bardziej że nie są ci potrzebne. Niepotrzebne ci są pieniądze! Gdybyś choć kupił sobie dom albo nie wiem co – naprawdę nie wiedziałam – to, na co miałbyś naprawdę ochotę, może mogłabym zrozumieć. Ale tobie niczego się nie chce, nic ci nie jest potrzebne.

– Czy wiesz, ile dostałem za ten wyścig? – zapytał. Na jego wargach zagościł żartobliwy uśmieszek.

– Nie – odpowiedziałam – i nie chcę wiedzieć! Ale przecież ani mnie, ani tobie one nie są potrzebne, sam to przecież rozumiesz. Mnie ty jesteś potrzebny, słyszysz, ty, a nie twoje pieniądze!

– Masz rację – westchnął – pieniądze to rzeczywiście głupstwo. – I znów pomyślałam, że się zgadza. – Ale ja nie mogę tego porzucić. – Uśmiechnął się tak leciutko, jak tylko on potrafił. – Nie mogę, wybaczyć.

– Dlaczego? – prawie krzyczałam.

– To jest wpisane w moje życie.

– Wiem – powiedziałam. – Nosisz w sobie podświadome dążenie do śmierci. To znane zjawisko. Są ludzie, którzy sami szukają śmierci. I ty do nich należysz.

– Nie – wzruszył ramionami – póki mam ciebie, to nie szukam.

Wyciągnął rękę i poklepał mnie po policzku. To miało być pieszczota, ale ja nienawidziłam tego gestu, nikomu dotąd bym go nie przebaczyła.

– Już nigdy więcej nie pójdę na wyścigi – powiedziałam, tak jakby to było karą.

Znów wzruszył ramionami, chociaż wiedziałam, że dla niego było bardzo ważne, abym była blisko. Dotrzymałam jednak tego postanowienia i za każdym razem modliłam się i odchodziłam od zmysłów, czekając na niego w domu.

Potem wszyscy przyszli do nas: André, Jean-Paul i jeszcze ktoś, kogo zupełnie nie znałam. Ja i René siedzieliśmy na kanapie, tuż obok siebie, ale nie objęci.

René nie lubił mnie obejmować na oczach ludzi. Rozmawiali na temat poprzednich wyścigów, kiedy ten, którego nie znałam, powiedział:

– Być może, René, pora, żebyś wyjechał za granicę. Tu już dosyć się najeździłeś. Mogę o tym porozmawiać z Pissarzem. On ma o tobie bardzo dobre zdanie i myśli, że tam też dasz sobie radę. A ty co o tym sądzisz? – zwrócił się do Jeana-Paula.

Ten przemknął spojrzeniem ze mnie na René, z René na mnie, a potem na dzielący nas stoliczek, na którym stała kawa.

– Nie wiem. Oczywiście, że byłoby dobrze, ale ciężko. – Westchnął.

– Nie, za wcześnie – nieoczekiwanie wtrącił się René i wszyscy naraz spojrzeli na niego. – Jeszcze nie jestem gotów.

– Słuchaj, René – powiedział ten, który złożył propozycję. – Jeżeli się namyślisz, to daj znać. – Wstał, pozostali także i wszyscy wyszli.

– Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego odmówiłeś?

– Powiedziałem: jeszcze nie jestem gotowy.

– Kto w takim razie jest gotów, jeżeli nie ty?

– Tamten był gotów.

– Kto? – nie domyśliłam się od razu.

– Ten, który na mnie wpadł.

To prawda. Przypomniałam sobie wyścig, on był dobry, nawet ja się zorientowałam.

– Tam wszyscy są tacy, a nawet lepsi. Nie mogę wszystkich kosić – powiedział René i wyszedł do kuchni.

„Ciekawe, czy mu wstyd? – pomyślałam. – Czy mu tamtego jeszcze żal? Z tego, co usłyszałam, zrozumiałam, że on nie do końca się z tym pogodził. Spróbuję go delikatnie podpytać” – postanowiłam.

Poszłam za René do kuchni.

– A kto to jest ten Pisarz?

– Kto? – Albo udawał, albo rzeczywiście nie od razu zrozmiał.

– Pisarz – powtórzyłam.

– A... ten, widziałem go wszystkiego ze dwa razy. Od niego zdaje się, wszystko zależy, no, może nie wszystko, ale wiele. – René zamilkł, a ja czekałam. – Lepiej, żebyś się do tego nie mieszała. – Powiedział to w taki sposób, że ja sama zrozmiałam: lepiej się w to nie mieszać.

Puszczam wodę, rozglądam się za ręcznikiem, jest niedaleko, na metalowej półce, szeroki i miękki. Lubię się masować jego miękkimi, włochatymi, pieszczotliwymi dotknięciami, owijać się nim od stóp do głów. Ciekawe, która to godzina? Wychodzę z łazienki i idę do kuchni. Za oknem mokro. Mokro wszędzie, wilgoć we wszystkim, w powietrzu, w niebie, pochylam się, żeby przez nisko osadzone okno dojrzeć chociaż skrawek nieba. Wilgoć przenika do domu, wnika w ściany, osiada na suficie, nawet na szklach. Nawet meble w domu, od wilgotnego światła, od siąpiącego kapania za oknem też nasiąkły wilgocią, tak jak mój nastrój.

To dziwne, ale ja lubię zachmurzenie i słaby, kapiący powoli deszcz. On, przeczytałam gdzieś o tym, wszystko umniejsza. Teraz na przykład jestem w takim nastroju, wydaje mi się, że jestem w mniejszości, to nie jest przykre, bo wszyscy są w mniejszości, cały świat. Tak samo dzieje się wtedy, kiedy pada śnieg, ale nie wirującymi kłębami, tylko powoli spływa z nieba i siada na ziemi. Kiedy stoisz przy oknie i z lękiem patrzysz na pokrywającą się umiarkowanym spokojem przyrodę, tobie też nic się nie chce. To jest z całą pewnością, myślę sobie, jedyne szczęście – nieobecność pragnień. Szczęście to także niezwiązanie się. Z niczym. Tak jak teraz.

„Może napić się herbaty?” – mówię do siebie głośno, czasem mam chrypkę, i idę do kuchni nastawić czajnik.

Mam jeszcze konfitury, zaglądam do wiszącej szafki kuchennej, otwieram słoik, patrzę, wącham – czy przypadkiem się nie zepsuły? Nie, trochę się scukrzyły, ale zapach wiśni zachował się. Wyjadam je prosto ze słoika – jakie są pyszne! Mocna herbata z pachnącymi konfiturami, zupełnie jak w dzieciństwie. Otwieram znów książkę, okazało się, że leży tuż obok mnie, zupełnie nie wiem, w jaki sposób się tutaj znalazła. Pora więc na następny rozdział:

„Człowiek jest istotą grzeszną, każdy i wszędzie, zgodnie ze swoją naturą, przy zastosowaniu kryterium minimalistycznego, co może myśleć, wyobrażać sobie i czuć. Nie mam na myśli grzeszności w ujęciu religijnym, jestem daleki od religii, mówię o przeciętnej, mieszczańskiej, codziennej grzeszności. Chociaż, z drugiej strony, jak odzielić religijną moralność od świeckiej? W zasadzie to kwestia elementarnego porządku, tak jak go potocznie rozumiemy, plus te dziesięć przykazań dane Mojżeszowi na górze Synaj: «Nie kradnij, szanuj ojca swego, nie cudzołóż...». Ale nie o tym mowa.

Ja mówię o tym, że człowiek grzeszy, jeżeli nie czynkami, to w myślach. Każdy przynajmniej raz w życiu życzył bliźniemu czegoś złego, zdradził żonę albo chociaż myślał o tym, pożałował cudzej żony lub cudzego dobra, chciał ukraść bądź kogoś zabić. Gdyby się skupić na seksie, co jest najprostsze, to prawie wszystkim w pewnym momencie zachciewa się nowych, czasem wręcz wypaczonych doświadczeń. Może to być seks grupowy, homoseksualizm i pedofilia czy prosta chęć przespania się z żoną przyjaciela bądź mężem przyjaciółki.

Jeżeli odrzucimy moralność i podejmiemy do problemu z punktu widzenia logiki, to niezrozumiałe się stanie, dla-

czego nie wolno? Dlaczego nie można uprawiać miłości ze swoją płcią, jeżeli wiadomo, że w każdym człowieku istnieje biologicznie zakodowana podstawa do takiej miłości? Dlaczego nie oddawać się seksowi grupowemu, jeżeli to podnieca? Dlaczego bać się zmian, jeżeli bliski człowiek odczuwa przy tym przyjemność? I mnóstwo podobnych «dla czego»?

Rzecz w tym, że ludzkość istnieje już od bardzo dawna, a więc nie tylko zdołała wszystko przerobić, ale i wypracować mechanizm obronny, równoważący cynizm logiki zdrowym rozsądkiem. Przecież jest możliwe, że Sodomia i Gomora istniały naprawdę, przecież całe narody wymierały od pomieszania krwi. Starożytni Grecy na przykład gustowali w homoseksualizmie, a samo rzymskie imperium zaczęło gnić z powodu banalnej rozpusty i potem bardzo łatwo upadło. Tylko moralności ludzkość zawdzięcza, że przeżyła i ciągle wydłuża swoją drogę.

Czym zatem jest moralność? Jak potrafi utrzymać nas na wodzy przeciwstawiając się kuszącej sile logiki? Ja wiem – czym, wiem – jak. Moralność to dystans między pragnieniem a realizacją tego pragnienia. Nie można zmienić pragnienia, niemożliwe jest powstrzymanie fantazji, i zresztą, nic nie daje. Odwrotnie – należy ją pielegnować, nie należy się bać, nawet, jeżeli rozumiesz, że twoje pragnienia są niedozwolone. To normalne fantazjować o tym, co niedozwolone, pragnąć niedozwolonego. Nienormalne jest robienie tego, co niedozwolone. Na tym też polega ów czynnik korygujący – że w odpowiednim momencie powinna włączyć się moralność, pozostawiając fantazję tylko w sferze fantazji.

Dlaczego mówię o seksie? Dlatego, że seks jest wykładnikiem zawsze obecnym w życiu każdego z nas. Ale można też powołać się na inne przykłady: w kradzieży na pewno też zawiera się swego rodzaju przyjemność, przyjemność

ryzyka, przyjemność i łatwość zdobycia. Nawet zabójstwo dla pewnej kategorii osobowości może być atrakcyjne.

Przecież znane są przypadki podczas czystek etnicznych, że gdy większość uganiała się w poszukiwaniu krwi, jednostki ukrywały niedoszłe ofiary, ryzykując własnym życiem. Paradoks polega jednak na tym, że ratujący komuś życie żywił nie mniejszą antypatię do ludzi, których ratował, niż ci inni, którzy żądali ich śmierci. Na tym to polega: jedni nie kochają, i zabijają, drudzy też nie kochają, ale ratują życie. Rzecz sprowadza się do zwyczajnej, ludzkiej moralności.

Oto do czego doszedłem, a zacząłem od seksu. Na nim też zakończę. Nie jestem przeciwko różnorodności w seksie, wręcz przeciwnie. Tylko moralność określa zakres tego, co dopuszczalne, i dlatego u każdego ten zakres ma inną skalę”.

Poziom moralności określa stopień różnorodności w seksie? Kręcę głową, nie zgadzam się z tym. Nie wiem, nie myślałam o pozostałych sprawach, ale jeżeli chodzi o seks, to coś tu jest nie tak. Jeżeli jakiś człowiek ma ochotę zajmować się szczególnym rodzajem seksu i czuje do tego pociąg, to co mnie to może obchodzić? Nawet jeżeli ja sama takiego pociągu nie czuję i czuć nie będę. Ale twierdzenie, że jest jakaś granica, której nie wolno przekraczać – to coś całkowicie niepojętego!

Czuje, że zaczynam się złościć, to przecież takie proste i nie ma potrzeby komplikować: dobre dla człowieka jest wszystko, co nie jest podłością wobec innych. Jak można porównywać urozmaicenie w seksie z kradzieżą albo zabójstwem? To ostatnie jest powiązane z zadawaniem cierpienia, seks z zadowalaniem. Już samo takie porównanie jest demagogiczne.

W ten sposób można powiedzieć, że to, co robiliśmy z René, również nie odpowiada ogólnie przyjętym zasadom

moralności, tak jak jest możliwe, że wychodziliśmy poza wymyślone przez kogoś ramy. Tylko kto je wymyślił i kiedy? Lubił na przykład, żebym w czasie, kiedy uprawialiśmy seks, opowiadała mu o Stevie i o Dinie. On sam o to mnie prosił, kiedyś mu wreszcie uległam, początkowo opowiadałam bardzo oględnie, bez szczegółów, i tak go to wciągnęło, że za każdym następnym razem stawałam się śmielsza. Widziałam wtedy po jego oczach, że jest nieobecny, ja sama odrywałam się od terażniejszości, dzięki tym swoim opowiadaniom odcinałam się od tego, jakim był René.

Pewnego razu opowiadałam René, jak lubiłam oglądać Dina w lustrze, kiedy kochał się ze mną. Sama już nie byłam pewna, czy to są moje prawdziwe wspomnienia, czy wymyślane na poczekaniu konfabulacje i na ile przeszłość spłotła się z terażniejszością.

– Podniecałam się, patrząc na ciało Dina – mówiłam, wolno artykułując słowa, uwalniając je wraz z podnieconym oddechem – smukłe, opalone, ze złocistym owłosieniem. Nie rozumiem właściwie, dlaczego miał nie czarne, a złociste owłosienie. Poza tym jego ciało idealnie uzupełniało moje. Lubiłam szczególnie patrzeć na swoje nogi, trochę zgięte, zadarte nawet nie do góry, a prawie za głowę, rozłożone szeroko, bezradne. Z tej bezradności, w zależności od jego rąk, od jego siły, rodziła się dysproporcja. Rozumiesz? Moje nogi, białe, gładkie i takie równe, dziwnie wygięte, rozchylone i odkryte, w bezradnej pozie, a on niżej, posługujący się tym, silny, smukły, opalony, poruszający się równomiernie. Możesz to sobie wyobrazić?

Zamiast odpowiedzi René wcisnął się we mnie całą siłą bioder, nie spodziewałam się tego, byłam rozluźniona, i to pchnięcie do samego końca było nadużyciem.

– To nieczyste zagranie – krzyknęłam. Teraz oczekiwałam, ale on znów zamilkł, tłocząc jeszcze mocniej, a ja znów zostałam wciągnięta przez wsysający mnie lej.

– Spoglądałam w lustro i widziałam jak Dino wchodził we mnie. Był bardzo blisko i wydawało mi się, że mogę go prawie dotknąć.

– A co by było, gdyby okazało się, że jest z dziewczynką?

– Z jaką dziewczynką?

– Gdyby obok niego leżała dziewczynka, gdyby leżała twarzą tam, gdzie ty się zsuwałaś, patrzyła i pomagała swoimi paluszkami, masowała i dotykała. Ty widziałabyś, jak ona go rozwija, a potem...

– Tak. – To nie było słowo, tylko westchnienie.

– A potem zaczęłyby się ocierać o sam koniuszek i niżej, policzkiem, a potem zaczęłyby lizać językiem...

– Co? – spytałam.

– ...akurat w tym najczulszym miejscu. Jej twarz by poczerwieniała, robiłaby to pierwszy raz, w ogóle pierwszy raz byłaby w łóżku, niczego by jeszcze nie umiała, a ty byś ją uczyła, ot tak po prostu, od niechcenia. Dalej ona robiłaby to już sama, nie dlatego, że jej kazano, ale dlatego, że się jej to zaczęło podobać i sama miałyby na to ochotę.

– Ile miałyby lat? – zapytałam. Tak dokładnie to sobie wyobraziłam, że wręcz widziałam, jak wszystko się odbywa.

– Nie wiem. Ale ona w pełni dojrzała do miłości. Była już jej pora, sama wiedziała o tym. Trzymałaby go delikatną rączką o długich, smukłych paluszkach, przytrzymując go tuż przed wejściem i nie przeszkadzając mu wnikać w ciebie, a ty byś spoglądała w lustro i wszystko widziała.

„Nie – przypominam sobie – on nie powiedział «jego», użył jakiegoś francuskiego słowa, którego wcześniej nie znałam, bardzo ordynarnego, jakiego nigdy nawet nie słyszałam. On w ogóle używał wielu dosadnych, ordynarnych słów, ale one mnie nie obrażały, wręcz przeciwnie, były mi potrzebne, może dlatego, że były wypowiedane jego głosem”.

– Widziałaś pewnie jak jego palce dotykają jej, naciskając i bawiąc się, próbując jednocześnie uchwycić cię cała, a ona, ta mała, wykorzystując to wciąga go powoli wargami, prawie na całą długość. On w nich znika, widzisz to, ale tylko jeden raz, dlatego że ona nagle wpuszcza go do twego środka, ze wszystkim, całego, a potem otwiera oczy. Ogląda wszystko bardzo dokładnie i pilnuje, żeby się nie pomylił, znów pomaga mu wrócić jedną ręką, podczas kiedy rozchyła cię i wprowadza go drugą. Czeka potem z niecierpliwością, aż on się cofnie, żeby go znów pochwycić ustami, a ty widzisz jej twarz, wyciągniętą w ślad za wargami, aż do pełnego zespolenia się z nim. Potem ona znów popuszcza i oddaje tobie i znów czeka. To powtarza się bardzo długo. – Zamilkł.

Wszystko widziałam niezwykle ostro, dawno mnie już tu nie było, pochłoneńto mnie jego opowiadanie.

– Lubisz to tak? – zapytał René.

– Tak. A co potem? – Usłyszałam wypowiedziane przeze mnie słowa.

– Lubisz to?

Nie wiem, po co powtórzył pytanie, przecież mu odpowiedziałam. A może i nie odpowiedziałam?

– Tak. A potem? – Teraz sama dobrze usłyszałam własne słowa.

René przytrzymał moją nogę, żeby wejść jeszcze głębiej. Otworzyłam oczy, ale tylko na sekundę, żeby się przekonać, czy to naprawdę on, a zaraz potem znów je zamknęłam.

– Teraz próbowałby przegiąć dziewczynkę tak, żeby jej plecki wygięły się, a twarz znalazła się między twoimi rozstawionymi nogami. Jej języczek zlizywałby go z ciebie, a ty sama patrzyłabyś w lustrze jak on rozwiera palcami jej połóweczki, rozumiesz?

– Tak – znów mu przytaknęłam.

– A potem wchodzi w nią, wolno, powolutku, żeby jej nie uszkodzić.

– A czy ona się boi?

– Tak. Boi się, oczywiście że się boi, chociaż jest już cała wilgotna i dawno gotowa, ale boi się, bo to jej pierwszy raz. Przenika ją dreszcz, poddaje się tobie. Ciebie też boli przez jej niezręczne ruchy.

Krzyknęłam, poczułam gdzieś w dole ból, nie domyśliłam się jednak od razu, że René ścisnął mnie tam, gdzie jak opowiadał, powinno mnie boleć.

– Boli? – zapytał.

– Tak!

– Bardzo?

– Nie, nie bardzo – odpowiedziałam. – Nie przerywaj.

– Ona drży, a ty widzisz, jak on ją rozkołysuje, rusza się powoli, stopniowo przyspiesza rytm, mimo wszystko i tak ją boli, czasem próbuje oderwać od ciebie twarz. Już dawno jest cała mokra, a twarz ma w twojej wilgoci, widzisz w lustrze, że wilgoć jest już wszędzie, chwytasz ją za włosy dwiema rękami i wciskasz w siebie, w ciało. Potem czujesz jego ruchy, szybkie, ostre, rozpychające, poznajesz to po wstrząsach, a ona krzyczy prosto w ciebie, próbuje się uwolnić, podnieść głowę. Ty ją przytrzymujesz, nie puszczasz, za włosy, żeby nawet nie mogła odetchnąć, czujesz jak ona dusi się w tobie z bólu, ty sama prawie odczuwasz jej ból. On też jej nie żałuje i pcha, pcha z całej siły, co jakiś czas zmieniając ką.

Dopiero teraz czuję, że on robi mi to, o czym opowiada, po prostu nie skojarzyłam tego od razu.

– Nie byłabyś o niego zazdrosna? – zapytał nagle René.

– O kogo? – nie zrozumiałam.

– O niego, o Dina. – Co ma z tym wspólnego Dino?

– No tak, przypomniałam sobie, on cały czas opowiada o Dinie. – Naprawdę nie wiem.

– Przebaczyłabyś mu?

– Nie wiem! Dlaczego? Po co o to pytasz? Jakie to teraz ma znaczenie? Czy ją by dalej bolało, tak jak przedtem? Tę dziewczynkę?

– Nie. Tylko przez pierwsze minuty. Potem ból by ustał, ona by się przyzwyczaiła, a nawet chciała jeszcze. Przecież wiedział, kogo wybrać, potrafił planować.

– Kto? – nie rozumiałam.

– Dino. Wiedział, że potrzebna jest taka dziewczynka, której wszystko by odpowiadało i właśnie taką przyprowadził.

„Dino by nie wiedział – zdażyłam pomyśleć, chociaż ta myśl nie była tak wyraźna jak słowa kołaczące się w mojej głowie. – Dino by nie mógł. Przecież ja bym umarła, gdyby to był Dino. Oczywiście, to sam René, on to zrobił dla siebie”.

– To była szczególna dziewczynka.

– Dlaczego?

– Ona nauczyła się przy nim rozkoszy, była niedoświadczona, ale teraz gotowa była zgodzić się na wszystko. Początkowo była niestrudzona, prosząc o jeszcze, tak bywa, bez odpoczynku, bez wytchnienia.

– Jak prosiła? – bardzo chciałam wiedzieć, jak się prosi. Nie odpowiedział, nie wszedł we mnie, odemknęłam oczy, ale niczego nie udało mi się dostrzec.

– Nie patrz – kazał René, a ja posłuchałam. Ta dziewczynka też by posłuchała. Poczułam, że coś ściska mi twarz i kark. Wzdrygnęłam się. Zawiazywał mi oczy chusta, jedwabna, po dotyku czułam, że jest jedwabna.

– Po co to robisz? Czy jej też zawiązałeś oczy? – zapytałam.

– Tak. – Był tuż obok mnie.

– Ale po co?

– Żeby nie widziała, co będą z nią wyrabiać.

– A co jej będą robić? – Poczułam jego ręce, które odwracały mnie na bok. Znów ucisk, teraz w poprzek ciała, przez piersi, ręce, plecy.

– Potem ją związałem. Wyciągnąłem jej ręce wzdłuż ciała, po bokach i rzemieniem związałem w poprzek, na

wysokości piersi. Ona nic nie widziała, a kiedy poczuła, przeraziła się i zaczęła się szarpać, było już za późno, nie mogła się zupełnie ruszyć. Potem rzemieniem, bardzo wąskim, który pachniał niewyprawną skórą – wierzyłam mu, sama czułam ten zapach – przewiązałam niżej, prawie na wysokości przegubów, w poprzek bioder.

– A co ja robiłam? – zapytałam. Czułam na biodrach następny rzemień, ten, o którym przed chwilą mówił.

– Ty? Przytrzymałaś jej nogi. Ona się wystraszyła, a ty przytrzymałaś jej nogi.

– Czego się wystraszyła, niemądra?

– Bezsilności. Bała się nie tego, że będą z nią coś robić, ale tego, że nic od niej nie będzie zależało. Bała się swojej własnej bezsilności. Przywiązałaś jej nogi do łóżka, szeroko, na tyle, na ile to było możliwe, żeby nie mogła się poruszyć. Zaczęła płakać i błagać, żeby ją puścić, a ty zaczęłaś ją uspokajać i mówić, żeby się nie bała, bo to jej się spodoba. Wtedy uspokoiła się.

Wydawało mi się, że jego głos się oddalił, a potem przybliżył z powrotem. Kiedy zrozumiałam, co zamierza zrobić, było już za późno – moje nogi nienaturalnie się rozkraczyły, a potem nie mogły się już złączyć z powrotem.

– Więc ona tak leżała – ciągnął dalej René, a ja nie wiedziałam, gdzie się w tej chwili znajduje i co zamierza dalej, leżałam z zawiązanymi oczami, pierś przewiązana i przepołowiona rzemieniem, kiście rąk przywiązane do ciała, wzdłuż boków, rzemień wrzynał mi się w brzuch, nogi rozwarte do granic możliwości.

Rzeczywiście, zupełnie nie mogłam się poruszyć, byłam całkowicie bezradna, mógł teraz robić ze mną wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy. Mógł to robić on i nie tylko on, a ja nie byłam w stanie niczemu się sprzeciwić.

– Jest teraz cała odkryta, widzisz? – Skinełam. – Chcesz spróbować? – Fala strachu podniosła się i ogarnęła mnie,

oczywiście, falowanie, nagle zafalowało, a mnie przypomniało się dawno już zapomniane przeżycie.

– Tak – powiedziałam. – Tylko spróbować. – Oddychałam ciężko. „Ja sama się boję, pomyślałam, boję się jak ta dziewczynka”.

Poczułam ciepło i coś gorącego zaczęło po mnie spływać, odetchnęłam, coś mi przeszkadzało, przesunęłam językiem po zębach. Najpierw poczułam zapach, ale niemal niewyczuwalny, a potem nieznaną smak w ustach i na języku. „Jak kwas mrówczany”, pomyślałam sobie, nie wiem dlaczego. Starłam się skojarzyć ze sobą smak i zapach, już prawie się ulatniał, ale nagle znów poczułam lepki dotyk.

– Smakuje ci? – usłyszałam.

– Tak... Nie wiem... A jej, dziewczynce, smakowało?

– Jej smakowało. – Głos René znów zabrzmiał jakby z oddali.

– Co teraz chcesz robić? – Nie widziałam, nie wiedziałam, tylko czekałam nie wiedząc.

– Ktoś zadzwonił do drzwi – powiedział René, dokładnie rozpoznałam jego głos.

– Nic nie słyszałam – odpowiedziałam.

– To z powodu chusty. Pójdę otworzyć. – Czekałam, aż wróci. Wiedziałam, że wrócił, ale milczał.

– Kto przyszedł? – zapytałam.

– To mój kolega. – Nie wiedziałam już, czy to jego głos, bo zupełnie nie potrafiłam rozróżnić.

– Poszedł sobie? – zapytałam.

René nie odpowiedział, słyszałam tylko sapanie.

– Poszedł sobie? – zapytałam znowu.

Potem nagle usłyszałam swój krzyk. Ktoś ogromny i brutalny rzucił się na mnie, jak nigdy przedtem, w dziki sposób, nie wiedziałam, kto to jest, ale wiedziałam, że na pewno nie René. Próbowaliśmy się wyrwać, ale bezskutecznie, tylko głębiej się na niego nabijałam, do bólu, pewnie do krwi.

– Kto to? – wrzeszczałam, ale nikt mi nie odpowiadał, nawet René. Ani jednego odgłosu, tylko sapanie. Błagałam, chciałam, żeby się już skończyło, ale on był bezwzględny, bezwzględny wobec mnie.

„Czy ja jestem tą dziewczynką? – przemknęło mi w świadomości. – To niemożliwe!” Otworzyłam usta, żeby złapać powietrza, ale powietrza brakowało, coś mi się wepchnęło do ust, do gardła, do płuc... Zrozumiałam, że jest ich dwóch, bez wątpienia dwóch; napreżyłam się, ale rzemienie mnie przytrzymały. Nie wiadomo dlaczego bałam się to wypuścić, myślałam sobie w duchu: żeby tylko nie wypuścić, nie wiedziałam, co robi, jeżeli wypuszczę. Połykałam więc i wsysałam głębiej, i gubiłam, potem znów poruszałam językiem i wargami, szukając – powinien być blisko, tuż obok mnie – znajdowałam go i odczuwałam coś w rodzaju ulgi. Ten, który znajdował się u dołu, rozrywał mnie, chciałam się od niego uwolnić, ale nie mogłam zewrzeć z powrotem nóg.

Potem znalazłam się, nie wiem jakim sposobem, na brzuchu, było mi niewygodnie, podpierałam się kolanami, twarzą, głową, było mi chłodno, chciałam podłożyć poduszkę, ale nie mogłam pomóc sobie rękami. Potem nagle zostałam ostatecznie ściągnięta w dół i zaczęło się. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to to, że oni obaj brali mnie od tyłu, jednocześnie, czułam ich odczuwając zarazem ból, głęboko, najgłębiej, w samym wnętrzu. Próbowалаm odróżnić ich ciała, ale nie potrafiłam, tylko René. Zupełnie nie mogłam poznać drugiego, może to był Dino, poczułam jak oni obaj się podnieśli, każdy dźwignął się inaczej, ale kiedy sobie przypomnę, to widzę tylko René.

Przestraszyłam się, że naturalna, cienka przegroda we mnie tego nie wytrzymała, że została uszkodzona, ale tylko przez sekundę, bo natychmiast potem poczułam ból w plecach, jakby mnie ktoś wysmagał pokrzywami. Potem nic

już nie czułam – albo umarłam, albo zwariowałam, albo wszystko mi się poplątało. Tak nigdy jeszcze nie było.

Ocknęłam się, rozumiałam, że przyszedłam do siebie, kiedy zobaczyłam René, który się nade mną nachylał. Podniosłam rękę i dotknęłam jego twarzy, był żywy, realny, mój ukochany.

– Było ci dobrze? – zapytał.

– Tak – próbowałam odpowiedzieć, ale nie wyszło. Zaczepiłam tchu i odetchnęłam, to znaczy, że płuca pracowały. – Tak – powtórzyłam. – Co to było?

– Kochaliśmy się – odpowiedział.

– Kto tu był jeszcze? – spytałam. Milczał. Dochodziłam do siebie. – Nie – powiedziałam i uśmiechnęłam się. – Nikogo więcej nie było? No, powiedz, że nikogo więcej nie było! Ja tylko na chwilę zwariowałam. – René jakoś dziwnie na mnie spoglądał. A on zawsze spoglądał dziwnie i już do tego przywykłam. Uderzyłam go po ramieniu, lekko, bo silniej nie mogłam.

– Nikogo nie było. Ty to wszystko zrobisz sam. Co we mnie wpychałeś? – Zachciało mi się nawet śmiać. – No? Przyznaj się! – w żaden sposób nie potrafiłam zachować powagi. – No?

– Zgadnij – odezwał się w końcu.

– Zgadłam – powiedziałam i znów pacnęłam go po ramieniu. Leżał obok mnie. Milczeliśmy. – Coś się ze mną stało – powiedziałam. – Ni to umarłam, ni to zwariowałam. Niczego nie pamiętam. Czegóż takiego jeszcze nie było. Żeby tak całkowicie. Ze mną, rzeczywiście można było robić, co się komu podoba.

– Tak ci się to podobało? – zapytał znów René.

– Nie wiem – odparłam. – Wszystko mnie boli, nawet kiedy siedzę. – Próbowałam unieść się na łóżku, nie spuszczać nóg, ale znów runęłam w dół. – I plecy mnie palą. – Podniosłam rękę, próbując dotknąć przynajmniej boku. Był cały w czerwone kreski, prawie krwawe pregi.

– Co to? – przestraszyłam się. Ale René milczał, a ja machnęłam ręką, jaka to różnica, oczywiście i tak wiedziałam.

Myślę, że kogoś mogłoby to szokować. I co z tego? Czy to znaczy, że tak nie wolno? Oczywiście, że nie – każdy ma swoją własną granicę.

Stale wymyślaliśmy różne fantastyczne doznania, wszystko polegało głównie na tym, żeby rozbudzić wyobraźnię. René nie chciał zbyt często eksperymentować, czasem zdarzało się, że ja miałam na to ochotę, a on nie i ja go musiałam prosić. Oczywiście, nie zawsze miewałam takie odloty jak wtedy, za pierwszym razem. Czasem nie potrafiłam w całej pełni się odprężyć, więc co mogłam na to poradzić?

Pamiętam, to wydarzyło się jeden jedyny raz, kiedy byłam zupełnie bliska, znalazłam się na samej granicy, nie mogłam wytrzymać z powodu bliskości i niespełnienia. To było widać po mojej twarzy. Próbowałam jednak to ukryć. René tylko na mnie spojrzał i zapytał: „Nie wystarczyło?”. Odwróciłam się na brzuch, chciało mi się tarzać po prześcieradle, nie miałam ochoty na żadne wyjaśnienia.

– Nie – odpowiedziałam – wszystko w porządku. Doszłam na samym początku, a teraz złapał mnie skurcz i muszę go rozmasować.

– Chcesz jeszcze? – zapytał, a w jego głosie dzwięczała zwykła ciekawość.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam, po prostu szarżowałam.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, no więc jak?

Dotknął twarzy i pomasaował podbródek.

– Jeżeli chcesz – powiedział z namysłem – jeżeli chcesz, to może zaproszę kogoś ze swoich przyjaciół?

Leżałam na brzuchu, ale musiałam się odwrócić, żeby serce, przyciśnięte do pościeli mogło swobodnie bić niczym

nie skrepowane, mocnymi, równomiernymi uderzeniami. Nie rozumiałam, czy to żart, czy chęć powrotu do gry, spojrzałam na René, starając się go rozgryźć, ale nie potrafiłam.

– Jeżeli chcesz – powiedziałam ostrożnie.

„Niech on sam się domyśli, czy to gra, czy nie” – pomyślałam. Widziałam, że on tak samo bada grunt, jak ja badałam.

– Chcę, jeżeli ty też chcesz – odpowiedział po krótkiej przerwie.

– A kogo zaprosisz? – To był dziwny dialog. Oczywiście, powinien się domyślić, że ja żartuję, teraz, po moim pytaniu. Tylko dlatego zapytałam.

– Nie znasz go. Zaproszę tego, kogo nie znasz i kogo nigdy nie zobaczysz. – Jego głos brzmiał dziwnie poważnie.

– A jeżeli on mi się nie spodoba? – No, teraz to już powinien zrozumieć.

– Nieważne – odparł. Nie rozumiał albo specjalnie robił takie wrażenie. – To nie ma znaczenia. Zobaczysz go pierwszy i ostatni raz.

Teraz leżałam na boku, podpierając głowę ręką, wprowadzie głucho uderzenia rozrywały jeszcze klatkę piersiową, ale stały się cichsze. Teraz nie mógł ich już usłyszeć. Nie popuszczę mu – on pierwszy zaczął tak blefować, niech teraz pierwszy to skończy.

– W porządku – zgodziłam się – zapraszaj.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Rzeczywiście tego chcesz? – zapytał. – Jeżeli zadzwonie, będzie już za późno.

Nagle wilgotny cień przemknął w jego oczach, nie dołączyłam odgadnąć jego ukrytego znaczenia, ale właśnie to spojrzenie pozwoliło mi wrócić do rzeczywistości. Zrozumiałam, że wszystko odbędzie się właśnie tak jak on obiecuje: zadzwoni, a potem będzie już za późno. Dla

niego za późno, nie wiedziałam, ale domyślałam się, że będzie. Przestraszyłam się.

– Ależ nie – roześmiałam się. Mój śmiech brzmiał radośnie i szczerze. – Ty głupku, naprawdę w to uwierzyłeś? Jesteś taki niemądry. – Wstałam i podeszłam do niego. – Coś ty? – powiedziałam.

– Czy ty żartowałaś w ten sposób? – zapytał.

– Oczywiście. Myślałam, że to taka gierka. A ty na poważnie? Jesteś taki niemądry. – Dotknęłam jego ręki.

– Dobrze – powiedział, jakby nic się nie stało, i odłożył słuchawkę.

Herbata już dawno wypita. Wstaję, owinięta ręcznikiem, który rozluźnia się i omal nie spada z mojego ciała. Nie zatrzymując się rozchyłam go i zaraz znów się nim owijam, szczelnie i ciasno. Dotykam ręką, no tak, oczywiście, czajnik wystygł, zapalam znów gaz. Za minutę będzie wrzątek, zaparzę sobie jeszcze jedną herbatę.

Co wtedy pojawiło się w spojrzeniu René? Co oznaczał ten cień, który przemknął w jego spojrzeniu? – zastanawiam się. Zakłopotanie! Jedyne raz: nigdy przedtem ani nigdy potem. Wtedy nie śmiałam nawet przypuszczać, że René może być zakłopotany. A teraz, z perspektywy czasu, już rozumiem.

A potem zmarł Alfred. W jakieś dwa miesiące po tej rozmowie z René dostałam telegram od Dina, w którym zawiadamiał mnie, że Alfred umarł. Płakałam. Nie tylko dlatego, że czułam gorycz z powodu tej straty, ale dlatego, że pierwszy raz traciłam człowieka, który w jakiś sposób uczestniczył w moim życiu, o którym zachowałam pamięć i z którym byłam związana uczuciowo. Prawie fizycznie odczuwałam, że wrywają ze mnie kleszczami kawałek mojej przeszłości, a poza tym pierwszy raz zetknęłam się z faktem, że nie wszystko można odwrócić.

Zawsze mi się wydawało, że wszystko można cofnąć, wystarczy tylko mocno chcieć. Wszystko może się jeszcze potoczyć inaczej, myślałam, mogę napisać do Steve'a albo do Dina, że chcę wrócić, a obaj, w każdym momencie, przyjmą mnie z powrotem, zawsze o tym wiedziałam. Oczywiście nie zamierzam nigdzie wracać, nikt mi nie jest potrzebny oprócz René. Ważna jednak jest dla mnie sama świadomość, że najbliżsi mi ludzie, których jest wszystkiego trzech, znajdują się na mojej orbicie i pozostaną tam na zawsze, że nigdy z niej nie zejda.

Tymczasem coś się pomieszało i okazało się, że nic nie trwa wiecznie, no właśnie, umarł Alfred, a to oznacza, że nie wszystko można cofnąć i nie do wszystkiego można powrócić. Ogarnął mnie strach, kiedy to zrozumiałam.

Przeczytałam René telegram, zawsze czytałam mu korespondencję od Dina, od razu wszystko rozumiał i wyszedł. Powiedział tylko, żebym mu dała znać, jeśli będzie mi potrzebny. Tak naprawdę miałam ochotę zostać sama. Nagle zrozumiałam, jak intymną rzeczą jest śmierć bliskiego człowieka, jak trudno dzielić smutek po niej z innymi, nawet bliskimi, ludźmi. Spędziłam wieczór rozmyślając o Alfredzie, wspominając to, co dawno zapomniałam, a kiedy chciało mi się płakać, to płakałam.

Następnego dnia w gazetach ukazały się nekrologi. Zawiadamiano w nich, że pogrzeb odbędzie się za dwa dni, zjadą się, jak zrozumiałam, tłumy ludzi. Ja także postanowiłam pojechać. Powiedziałam o tym René.

– Jeżeli chcesz, to cię odwiozę – zaproponował.

– Nie. Pojadę sama. – Nie próbowałam kręcić, chciałam, żeby został w domu.

– Jak chcesz – powiedział. A po godzinie, jakby chciał wrócić do tematu, zapytał: – Czy jesteś pewna, że chcesz się z nim spotkać?

– Z kim? – nie zrozumiałam.

– Z Dinem.

Niewiarygodne, ale zupełnie zapomniałam, że na pogrzebie spotkam się prawdopodobnie z Dinem. Tak dużo myślałam o Alfredzie, że zupełnie o nim zapomniałam.

– Nie wiem – powiedziałam.

Myślałam o tym przez cały wieczór i przez cały następny dzień i w rezultacie postanowiłam nie jechać. Oczywiście, chciałabym zobaczyć Dina, ale trzeba być realistką, nie widzieliśmy się prawie pięć lat. Tak, pisywaliśmy do siebie, raz na dwa tygodnie. Dostawałam od niego list, a potem mu odpowiadałam. Nawet w listach omijałam pytania o sprawy osobiste, chociaż spodziewałam się, że ma na pewno jakąś kobietę, nie mogło być inaczej. Nie chciałam nic o tym wiedzieć. Za każdym razem, kiedy wyobraziłam sobie Dina z kimś, zupełnie traciłam nad sobą kontrolę i obawiając się własnej kipiącej we mnie złości, starałam się natychmiast zdusić w sobie te domysły.

Dino jak dawniej pisał, że mnie kocha, że to uczucie jest najważniejsze w jego życiu i że tak będzie na zawsze. Uspokajałam się, zadowolając się jego zapewnieniami. Niech on sobie sypia, z kim tylko chce, przekonywałam sama siebie, mnie zupełnie wystarczy, że władam jego duszą, i wiem, że kocha tylko mnie. Cóż robić, życie składa się z kompromisów i aby zachować najważniejsze, czasem trzeba ponosić ofiary.

Jeżeli się spotkamy, to jeden Bóg wie, co może się wydarzyć, wszystko można tak łatwo i lekko zniszczyć. Do tego z całą pewnością musiałabym porzucić René. Nie chciałam go porzucać, wiedziałam dobrze, że Dino nie może dać mi tego, co może mi ofiarować René. To jednak nie miało aż takiego znaczenia, po prostu starałam się uniknąć dwuznaczności. Właśnie dlatego postanowiłam nie jechać. Kiedy powiedziałam o tym René, nawet się nie zdziwił.

– Oczywiście – powiedział. – Byłem przekonany, że nie pojedziesz. – Jak zwykle wszystko rozumiał.

Otwieram okno, niezbyt szeroko, ciągle jeszcze jestem w ręczniku, owiewa mnie zapach jesiennej wilgoci i wyblakłej zieleni. Już tak długo ten zapach dobijał się do okna razem z kroplami deszczu i w końcu dostał się. Co teraz mam robić? – pytam sama siebie, chociaż i tak wszystko jest zupełnie jasne: oprócz czytania nie mam żadnych innych zajęć. Znow siadam za stołem, nie zamykając okna. Podoba mi się to zderzenie domowego ciepła z chłodnym niepokojem moknącej w deszczu przyrody. Zaczynam lekturę:

Jeszcze jedna wypowiedź

„Ciągle jeszcze jestem niczego sobie, wprawdzie nie mam już dwudziestu pięciu lat, ale nie jest źle. – Stojev lekkim ruchem odrzucił z czoła opadający kosmyk włosów. – Oczywiście zmarszczek przybywa, ale siwizny nie widać. A co najważniejsze – ciało w dobrej kondycji, umięśnione jak u młodzieńca, i małolaty napalają się jak dawniej. Koniec końców wiek fizyczny to fikcja – nie jest ważny, najważniejsze jest samopoczucie» – podsumował optymistycznie, odwracając się od szyby, w której się przeglądał. Obrzucił spojrzeniem wewnątrz kawiarni, w której siedzieli z Weinerem, było tu mnóstwo ludzi, ale nie było na kim zawiesić oka, a szkoda.

– No tak, wiem, staruszk, że to niesprawiedliwie, oczywiście w stosunku do kobiet. Dla mnie i dla ciebie czas stanął w miejscu; ja jestem stale poszukujący, można by rzec przez całe życie pieprzę młode – tak w młodości, jak i teraz. Te z czasów mojej młodości to teraz już weteranki,

zmęczone, wyeksploatowane, przyjaźnię się z nimi, nie wszystkimi oczywiście – uśmiechną się – na to nie starczyłoby życia. Wymyśliłem nawet taką alegorię, posłuchaj: przepuszczam te cielałka przez siebie jak przez sito; one podrastają, zmieniają się i odchodzą – w stronę dojrzałości, starości, co już mającą im się przed oczami. A ja tutaj, jak dawniej, rzucam się na spotkanie nowego pokolenia i, jakby to powiedzieć, nowe pokolenie znów się na mnie nadziewa. Wiesz, mam takie wrażenie, jakby ten proces ustabilizował się i nigdy się nie skończy.

Weiner tyknął kawę z filiżanki, ale nie odwracał wzroku i dalej spoglądał spod oka na swojego szczerego do bólu współtowarzysza, rozumnym, poważnym wzrokiem, odgradzonym od świata szklami okularów w wąskiej złotej oprawie.

«Skąd się to u niego wzięło? – pomyślał zniesmaczony. – I dlaczego ja muszę znosić to ekshibicjonistyczne, nudne, maniakalne gędzenie? Dlaczego ja właściwie tutaj sterczę, tracę niepotrzebnie cenny czas, mam przecież tyle pracy, mógłbym być teraz w laboratorium, a wysiaduję tutaj i słucham tego wszystkiego? Co się z nim stało, dlaczego tak się zmienił? Przecież to był świetny chłopak za czasów naszej młodości, kiedy się poznaliśmy, przyzwoity, porządny, dobry. A teraz stoimy po dwóch stronach barykady. – I zaraz Weiner zreflektował się w duchu – ja też jestem niezły, co za barykada?! Po prostu – westchnął w myśli – prawdziwych przyjaciół zyskujesz, niestety, tylko w młodości. To przeszłość najbardziej łączy ludzi ze sobą, nic na to nie można poradzić!»

– Dlaczego o tym mówię – ciągnął dalej Stojew – ostatnie dwa miesiące koncertowałem w Turcji, na ruinach imperium – tego, nie pamiętam jak je nazywali?

– Otomańskiego – odpowiedział Weiner.

– No właśnie. Zrobiłem w nim turek po kurortach. Mam nowego impresaria, bystrego chłopaka, zorganizował mi

koncerty w tej ich tureckiej Anatolii. Wygląda to tak: ja, tancerz baletu klasycznego, i cztery dziewczynki, nie wspomnę już, że osiemnastki, mające takie samo pojęcie o baletcie, jak ja – machnął ręką, próbując znaleźć właściwe porównanie: ręka była wypielegnowana, a gest wystudiony – o twoich naukach chemicznych. Tyle tylko, że miały długie, zgrabne nogi, potrafiły nimi przebierać, oczywiście prędko nauczyły się podnosić je równo, na scenie to konieczne. Także za kulisami robiły to dla mnie, i to świetnie. Wcale nie twierdzą, że laseczki nie były utalentowane.

– Tak więc jeździliśmy po kurortach, dwa występy każdego wieczoru. Program wspaniały, ale jednak – zawahał się – to nie to, co kiedyś, no, oczywiście, coś tam jeszcze mogę. A laseczki tak seksownie wymachują mi pod nosem swoimi zgrabniutkimi nóżkami. Do każdego numeru zmiana kostiumów, publiczność zachwycona, żebyś tylko widział, tutaj w Deutsche Opera nigdy mnie na bis tyle razy nie wywoływali.

Weiner wciąż patrzył na niego tak samo poważnie jak przedtem.

«To prawda – myślał sobie. – Kiedyś Stojev był wspaniałym tancerzem, naprawdę wspaniałym. I gdzie to wszystko się podziało? Uleciało jak dym. Kim jest teraz? Nauczycielem w maleńkiej szkole tańca i dorabia sobie jeszcze tymi podrzędnymi występami dla niewybrednej publiki. Zmarnowany talent – smutna historia, chociaż nie jest przecież stary, są rówieśnikami, koło czterdziestki. Poznali się, kiedy Stojev przyjechał na stypendium do Baletu Berlińskiego jako rokujący wielkie nadzieje początkujący tancerz. Wtedy się zaprzyjaźnili. Tak, to było dawno, ale po Stojevie szczególnie widać, że dawno. Ma teraz nie tyle głębokie zmarszczki, co po prostu całą twarz zniszczoną, jakby rozpadła się na kawałki, a potem została sklejona. Pije sporo i te ciagle nowe romanse, a zdrowia nie przybywa...

Czyżbym ja tak samo wyglądał? – Weiner miał zwyczaj sprawdzać swój wygląd w lustrze, kiedy rano przyczesywał swoją starannie przystrzyżoną w klin bródkę. Wyrównywał ją codziennie i codziennie studiował swoją twarz. – Nie, ja nie mam zmarszczek, mam zdrową, gładką, całkiem jeszcze młodą twarz. To dlatego, że jestem ustabilizowany, wiem dokładnie, co mnie czeka za miesiąc, a co za dwa.

Podstawą mojego powodzenia jest systematyczność. Niech się Stojev naśmiewa, nazywając mnie niemieckim pedantem; jak to kiedyś o mnie powiedział – Faust bez Małgorzaty i bez Mefistofelesa? Też coś! W odróżnieniu od Fausta mnie nie jest smutno, lubię naukę, którą się zajmuję. Jestem też wierny swojej żonie, nigdy nie pragnałem innej kobiety. Do tego – Weiner uśmiechnął się sam do siebie – w głębi duszy pozostałem nadal romantykiem. To wręcz nasza cecha narodowa. My wymyśliliśmy romantyzm w muzyce i literaturze. Czy nie dlatego siedzę teraz ze Stojevem, patrzę jak pije czwarty kieliszek pod rząd i słucham jego przechwałek o niekończących się podbojach miłosnych? Czy nie dlatego go lubię, że w głębi duszy jestem romantykiem?

Poza tym Stojev jako typ człowieka naprawdę mi się podoba. Chyba właśnie dlatego, że w gruncie rzeczy nie jest podobny do mnie. Pociaga mnie jego talent, a jeszcze bardziej widoczny wdzięk i energia, którą on wręcz emanuje. Nawet to, że jest takim strasznym dziwkarzem – też mi się w gruncie rzeczy podoba.

A może ja mu po prostu zazdroszczę? – Weiner aż uniósł brwi, zaskoczony tą nieoczekiwaną refleksją. – Może w głębi duszy marzę o tym, żeby być nim, Stojevem, objazdowym tancerzem, jeździć w trasy z czterema młodymi, pięknymi kobietami, i tańczyć pod gołym niebem na tureckich scenach? To dopiero byłoby niezwykle i zagadkowe życie. Czy chciałbym tego?

Oczywiście, że nie! – uśmiechnął się znów Weiner. – Nie potrzebuję cudzego życia, jestem całkowicie zadowolony z własnego. A jeżeli chodzi o egzotykę, to zupełnie wystarcza mi obecność Stojeva z jego opowieściami. Prowadzę życie poważne, uregulowane i żadne inne nie jest mi potrzebne».

– No więc – ciągnął tymczasem Stojev – wyobraź sobie te cztery młode laski z fantastycznymi figurami, które przez te wszystkie aplauzy, oklaski zupełnie się oderwały od normalnego świata; a takie oderwanie się, wiesz, zmienia realność, powoduje, że czasem zupełnie odlatujesz. I one właśnie przeszły tę fazę; a jak ci opowiem, jak bawiliśmy się w piątkę, to ty, Weinerku, natychmiast rzucisz żonę.

Weiner uśmiechnął się.

– Nie rzuć, nie bój się, ale nie musisz mi opowiadać, wyobrażam sobie.

Stojev spojrział na niego z demonstracyjną wyższością.

– Nawet w przybliżeniu sobie nie wyobrażasz, czegoś takiego nie widywałeś w swoich «świerszczykach», siadając u siebie na sedesie i dręcząc robala. Chociaż – Stojev machnął ręką, ty na pewno nigdy tak się nie bawisz i «świerszczyków» nie masz, a fantazji starcza ci tylko na twoje odczynniki i fenoloftaleiny albo na cokolwiek, co ty tam mieszasz.

Weiner znów się uśmiechnął, nie obrażał się, wiedział, że Stojev żartuje, wprawdzie głupio, ale tak jak zwykle. A najważniejsze, że Stojev w gruncie rzeczy szanował go za to, z czego sam ciągle tak się nabijał: za wierność żonie, pracy, przyjaciom.

– Krótko mówiąc, całymi dniami odsypialiśmy, jedliśmy, kapaliśmy się, wieczorem na estradę z programem, potem jechaliśmy w następne miejsce, znów występ, do pokoju hotelowego, piliśmy, no a potem, sam rozumiesz... No, ale umówmy się, staruszk, zostawię już ten temat dla twojego

własnego dobra. Seksowne dupencje patrzyły na mnie, oczywiście, jak na Boga, ja sam na skutek takiego trybu życia żyłem w zupełnie innym świecie, po drugiej stronie lustra, jak jakaś cholerna Alicja. Wiesz o czym mówię?

Weiner ze zdziwieniem unióśł brwi.

– Do szkoły, do twoich uczniów nie było ci ciężko wrócić? – zapytał.

– Nie, dlaczego, żaden problem. Przecież talentu się nie traci. – Stojev znów skinał na kelnera, gest jego ręki był tak piękny, że Weinerowi przeszły ciarki po grzbiecie.

– Ale nie o tym chciałem mówić. Rzec w tym, że wydało mi się, że tam, na widowni, zobaczyłem kobietę. Nic szczególnego, ale ja ją znałem jeszcze jako młodą dziewczynę, w dawnym życiu. Nie widziałem jej wiele lat i wydało mi się dziwne, że teraz znów ją spotykam.

– Dlaczego? Co jest dziwnego w tym, że kobieta pojechała na wakacje? – nie zgodził się Weiner, patrząc jak kelner zgrabnie podbiegł do ich stolika z nowym kieliszkiem koniaku dla Stojeva.

– Jasne, ale dziwne jest to, że ona za każdym razem znika, a potem po kilku latach zniecka się pojawia. Myślałem już, że wreszcie się to skończyło, a tymczasem znów to samo. Miałem wtedy siedemnaście lat, to było u nas, kiedy chodziłem do szkoły baletowej, jeszcze zanim przyjechałem do Berlina. My, uczniowie i studenci, mieliśmy bezpłatne wejściówki do wszystkich teatrów. Zobaczyłem ją w teatrze, często właśnie tam podrywałem dziewczyny, razem z przyjacielem robiliśmy to, rzec mogę, z prawdziwą wirtuozerią. No więc zobaczyłem ją tam podczas przerwy i od razu zachorowałem na nią. Wprawdzie była tam z chłopakiem, wysokim, przystojnym, z wyrazistą twarzą, wręcz dużo ładniejszym od niej. Zwróciłem na nią uwagę właśnie z powodu tego chłopaka, tak dalece rzucał się w oczy. Trudno było pojąć, dlaczego są razem: ona mała, nie

siegała mu nawet do ramienia, krucha i delikatna, prawie przezroczysta, jakaś jakby zamknięta w sobie. Ogólnie mówiąc, taka myszka. Było w niej jednak coś intrygującego – Stojev uśmiechnął się – i to nawet nie seksowność, a ukryte, przyczajone jakby zwierzę, czy coś takiego, co – zapamiętaj to, staruszkule – jest w kobiecie najcenniejsze. Coś nieuchwytnego: w ruchach, w sposobie poruszania biodrami, spojrzeniu, zachowaniu i tak dalej. Nie można tego zdefiniować i trzeba mieć specjalny talent, żeby umieć to wyczuć i docenić.

Weiner uśmiechnął się, on też miał taki talent, podobał mu się początek opowiadania, i to, jak zmienił się głos Stojeva. On dawno odkrył, że jego przyjaciel potrafi odgadnąć, co kryje się w człowieku. Chociaż oczywiście w sam głąb i Weiner, i Stojev nie mogli przeniknąć. Chociaż w końcu każdy z nich miał swoje sposoby.

– Wiesz, staruszkule, zrozumiałem, dlaczego ten młodzieniec ją docenił. Jak to wyjaśnić? – Stojev zamyślił się. – Ona przyciągała twoje spojrzenie, chwytowała je i usidlała. Już nie mogłeś go cofnąć. Nie wiem, czy to rozumiesz, ale to się rzadko zdarza. Czujesz się wtedy jak gość, który zasługuje na specjalną uwagę. Nie wiem, być może nie potrafię tego precyzyjnie określić, chociaż to nie takie ważne, ale ona zapadła we mnie. Postanowiłem jej nie zgubić i po spektaklu poszedłem za nimi.

– Jak to poszedłeś? – Weiner nie rozumiał.

– Zwyczajnie, jak detektyw. Oni do metra i ja do metra, oni w ulicę, a ja za nimi. Chłopak oczywiście niczego nie spostrzegł, tak był nią zafascynowany, ale ona zauważyła, jeszcze w teatrze zauważyła, i tak jak mówię, usidliła mój wzrok. Potem, już na ulicy kilka razy obejrzała się, jakby mimochodem, ale swojemu współtowarzyszowi nic nie powiedziała, co, jak się domyślasz, było dobrym znakiem. Nie dla niego, rzecz jasna, a dla mnie. On ją odprowadził,

doskonale znałem ten rejon miasta, potem jeszcze chwilę stałem na podjeździe domu, żeby zobaczyć, w którym oknie zapali się światło. Mieszkała na pierwszym piętrze, więc podglądałem przez firankę, jak szykuje się do snu, a potem widocznie poszła spać, bo światło zgasło. Pamiętam, że wracałem do domu na piechotę, metro już nie jeździło, a na taksówkę nie miałem pieniędzy, zresztą, skąd miałem wtedy mieć pieniądze?

Po kilku dniach wyczekiwałem pod jej domem i spotkałem ją na podjeździe, chciałem tam być już następnego dnia, ale kumple ciągle gdzieś mnie wyciągali po zajęciach. Nie zdziwiła się wcale, zatrzymała się tylko, gdy mnie zobaczyła, a ja też nie chciałem grać w żadne gierki, lepiej od razu przejść do rzeczy. Podszedłem więc do niej i odezwałem się, patrząc jej prosto w oczy:

«Myślę, że chyba się znamy, ty i ja?» – Od razu przeszedłem na «ty», żeby było prościej.

Myślałem, że wścieknie się z powodu mojej bezceremonialności, a ona tylko patrzy na mnie, wwierca się we mnie oczami, wtedy pierwszy raz dostrzegłem, że ciemnymi, nie tylko ogromnymi, ale w dodatku bardzo szeroko otwartymi, dlatego miała takie trochę zdziwione spojrzenie.

«Trochę cię znam» – powiedziała bez cienia kokieterii.

Z miejsca zawróciłem jej w głowie, lubiłem wtedy podrywać z zaskoczenia. Dla niej to wszystko było fascynujące, taki świat nawet jej się nie śnił – artyści, bohema, balet. A ja wtedy byłem, jak mówiono, «wschodzącą gwiazdą». Pisano o mnie w gazetach, byłem popularny, otoczony gronem przyjaciół i wielbicieli. Miałem powodzenie, dostawałem dowody uznania. Ona całkowicie oszalała na moim punkcie i zachwycała się mną, wyczułem to od razu. Każdego popołudnia przychodziła do mnie do akademika, a pod wieczór zabierałem ją ze sobą na różne wypadki. Podobała mi się: milcząca, zamknięta w sobie, szczuplutka,

blada twarzyczka. Wiesz, wszystko w niej kontrastowało, w jasnej twarzy ogromne, ciemne oczy, a tak na mnie patrzyła, że miałem ochotę natychmiast ją przelecieć i przelatywałem ją, jeżeli tylko miejsce było odpowiednie.

Stojev zamilkł, upił koniaku i podniósł oczy na Weinerja.

– No a po jakichś trzech miesiącach zaczęło mi przechodzić. No bo ile czasu można było spędzać z jedną i tą samą kobietą? Przecież wiesz, jakie dziewczyny są w szkole baletowej, jakie elastyczne – i nie mówię tylko o ciele. Jakby z innego świata. Kto nie był w tym świecie, ten nie zrozumie. Ona nie mogła z nimi konkurować, zresztą ktoś by mógł? W dodatku stale coś się działo i wszystko zaczęło się powoli sypać. Ona sama to rozumiała, gdy przyszła kilka razy wieczorem i mnie nie zastała. Raz i drugi zostawiła liścik, a potem przestała przychodzić. W ten sposób płynnie weszliśmy w następną fazę.

– W jaką fazę? – zapytał Weiner, czując, że to opowiadanie coraz bardziej go wciąga.

– Zadzwoiłem kiedyś do niej, po jakichś dwóch tygodniach. Zawsze sama odbierała, zresztą w ogóle wieczorami przesiadywała w domu, tak jakby czekała na telefon ode mnie. Niezbyt chwalebnie jest tak myśleć, ale zawsze od razu podnosiła słuchawkę. Jeżeli mam być szczerzy, to było mi wszystko jedno, ale z drugiej strony szybko przyzwyczaiłem się, a potem weszło mi wręcz w nawyk, że ona stale jest pod ręką, że zawsze na mnie czeka i nigdy nie odmówi. I rzecz jasna wykorzystywałem to bez zahamowań, a ona nie protestowała, zresztą, jaka to różnica.

Pamiętam jak pewnego razu pojechałem do niej, akurat w domu nie było jej rodziców, przywitała mnie w drzwiach z rozpuszczonymi włosami, miała długie, proste włosy, zawsze coś z nimi robiła, zaplatała warkocz albo czesała się w koński ogon, a tu nagle – rozpuszczone. Wspięła się na palce, unosząc się ku mnie, podniosła ręce, żeby mnie

objąć za szyję, a ja oczywiście nachyliłem się do niej i zatonałem w jej włosach. Rozumiesz, nie zatonałem w dosłownym tego słowa znaczeniu, przecież nie całkiem, jakby zaplątałem się, ale zakreśliło mi się w głowie. Kiedy się ocknałem, byłem w jej pokoju, na łóżku, pamiętam tylko, że kochaliśmy się i że nigdy tak dobrze nam nie było. W końcu uniosła się, zwinnie nachyliła nade mną, jej rozpuszczone włosy opadały mi na twarz i nagle wszystko zrozumiałem. One były czymś namaszczone, wydzielaly jakiś oszałamiający zapach, to on mnie odurzył. Odsunąłem się gwałtownie, potem przeczesalem palcami jej włosy, a ona spoglądała na mnie w milczeniu tym swoim zdziwionym wzrokiem; w końcu spytałem: «Co z nimi zrobiłaś?».

«Próbuję cię zatrzymać» – powiedziała.

To mnie nagle rozśmieszyło, a jej zapach przestał na mnie działać w jednej sekundzie. Naprawdę, to było ciekawe, jeszcze nigdy nic takiego mi się nie przytrafiło.

«Chodziłaś do wróżki czy sama jesteś wiedźmą? Próbowalaś mnie zaczarować – śmiałem się – otumanić!»

Ona też się roześmiała.

«Próbowałam» – przyznała.

– Nie nudzi cię to? – zreflektował się Stojev.

– Nie, nie – odpowiedział Weiner – opowiadaj dalej, to mnie naprawdę interesuje.

– Prawdę mówiąc to jej nie tylko nie pomogło, a wręcz przyśpieszyło koniec, bo wkrótce w ogóle przestałem do niej przychodzić. Potem przyjechałem na stypendium tutaj, do Berlina, i z tej perspektywy zobaczyłem zupełnie inne barwy świata. Zapomniałem zupełnie o niej, a zresztą po co miałbym ją pamiętać? Nie widziałem jej ponad dwa lata. – Stojev znów tyknął z kieliszka. – Na pewno nigdzie się nie śpieszysz, bo mam jeszcze co opowiadać? – Weiner zaprzeczył ruchem głowy. – Świetnie, postaram się streszczać, teraz chyba za bardzo wikałam się w szczegóły.

Pewnego razu wróciłem, dostałem urlop, długi, kilkumiesięczny. Wszyscy chętnie mnie widzieli, nie byłem już „wschodząca gwiazda”, a „gwiazda, która wzeszła”, dom pełen ludzi, kobiety, każdego wieczoru balanga. Kiedyś, pewnej nocy, jechałem taksówką, nie byłem pijany, ale na lekkim rauszu, kiedy nagle zorientowałem się, że jestem blisko jej domu. Poprosiłem taksówkarza, żeby się zatrzymał, wysiadłem, była mroźna noc, śnieg skrzypiał pod nogami, byłem w lekkiej kurteczce, bez czapki, w ręce bukiet: każdego wieczoru dostawałem kwiaty. Nagle poczułem, że muszę ją zobaczyć, natychmiast, w tej sekundzie. Jednak musiałem być pijany, bo ona przecież mogła wyjść za mąż, przeprowadzić się gdzieś, co tylko chcesz. Mimo wszystko wlałem do niej przez okno.

Absolutna głupota, mogłem zlecieć, złamać nogę, co mogłoby oznaczać koniec kariery, to było pierwsze piętro, mówiłem ci przecież, dosyć wysoko, po prostu mogłem zwalić się na dół. Na ścianie, jak się jednak okazało, było mnóstwo występów, no a ja, oczywiście, znakomicie potrafiłem się poruszać, byłem wygimnastykowany i w dodatku niewiele ważyłem.

Lufcik był uchylony, w oknie wisały firaneczki z lekkiego tiulu, wtedy takie były modne, więc zajrzawszy mogłem świetnie widzieć, co się dzieje w pokoju. Wrzuciłem przez lufcik bukiet i o mało co nie spadłem, ledwie zdążyłem złapać się wewnętrznej części futryny. Widziałem jak ona usiadła na łóżku, po ruchach od razu poznałem, że to ona. Jasna sprawa, że nagle wyrwana ze snu niczego nie rozumiała, zobaczyła tylko w oknie jakąś obcą sylwetkę, takie miłe przebudzenie. Dobrze jeszcze, że nie zaczęła krzyczeć, miałyby do tego pełne prawo, chociaż krzyk nie leżał w jej naturze. Wstała i podeszła do okna, przez sekundę próbowała zorientować się, kto tam jest, co za scena, a potem przesunęła dłonią po ustach, jakby

chciała je zakryć, i zaczęła otwierać okno. Wtoczyłem się do pokoju, podniosła palec do ust i zrozumiałem, że za ścianą są rodzice.

Wiesz, staruszk, jakie to dziwne uczucie, kiedy nagle wyłaniasz się z nocy, z mrozu, troszkę podпиты, wesoly, pełen pożądanja, a przed tobą maleńka, senna dziewczynka, która czekała na ciebie, okryta tylko długą, nocną koszulką. A pod tą koszulką niczego nie ma, tylko drzące ciepło ciała, trzepoczące się ciepło, kontrastujące z twoim zimnym ubraniem. A ty, nawet nie zdejmując rękawiczki, kładziesz dłoń na jej zaokrąglonej piersi. To takie dziwne uczucie – ten kontrast ciepła i mrozu, snu i ożywienia, grubego ubrania i takiej oczywistej dostępności delikatnego ciała. Wiedziałem przecież, że przyszedłem z nocy i tak czy inaczej odejdę w noc. Ona też o tym wiedziała, dlatego nastąpiła ta chwila, kiedy jej ciepło dosłownie w oczach roztopiało wniesiony przeze mnie do pokoju mróz.

Potem zdjąłem rękawiczki i przesunąłem dłonie po prześwitującym spod nocnej koszulki ciele, ogrzewając nim ręce, wdychając ciepły, słodkawy zapach przerwane go snu, a ona wpiła się we mnie, maleńka, i tak jak stała, przylgnęła do mnie.

– Tak – powiedział Weiner, czuł, że nadeszła pora, kiedy powinien cokolwiek powiedzieć, do tego mógł niezauważalnie przełknąć ślinę. – Tak – powtórzył i znów przełknął.

– Po jakichś dwóch godzinach – ciągnął dalej Stojev – kiedy już się ubierałem, ona ciągle jeszcze siedziała na łóżku, w milczeniu patrząc na mnie, tylko już bez nocnej koszulki, gibka, szczuplutka. Nagle zobaczyłem, jak nabiera powietrza w piersi, widocznie niełatwo było się jej zdecydować, w końcu powiedziała: «Wychodzę za męża».

«Tak – zdziwiłem się – za kogo?»

«Nie znasz go» – odpowiedziała, jakby zamyślona. Wzruszyłem ramionami, głupstwo, jaka to w końcu różnica?

«Kiedy?» – spytałem.

«Za trzy tygodnie wesele».

Spytasz, staruszk, czy było mi smutno? Nie, przeciwnie, zrobiło mi się wesoło, to wszystko dodawało mojej nocnej przygodzie dodatkowego smaczku, pikanterii, rozumiesz. Do tego wszystkiego ulżyło mi, przestawałem czuć się za nią odpowiedzialny. Wiesz jak to jest, chcesz czy nie chcesz, wszystko jedno, czujesz się odpowiedzialny za kobietę, która ciebie kocha. A tutaj tę odpowiedzialność z powodzeniem przerzucałem na barki jej przyszłego męża. Chociaż on, oczywiście, nie domyślał się tego.

Tak zaczął się drugi etap, tym razem dwutygodniowy, dlatego że za dwa tygodnie wyjeżdżałem, a tydzień po moim wyjeździe był jej ślub.

Znów zawróciłem jej w głowie, spotykaliśmy się prawie codziennie i spędzaliśmy ze sobą niemal każdą noc. Nie wiem, co ona wymyślała i co mówiła swojemu narzeczonemu, swoim rodzicom, nie chciałem zajmować się drobiazgami. Na pewno coś tam wykombinowała. Ona była niezła, rozumiesz, nigdy nie cierpiałem na brak kobiet, często o wiele ładniejszych od niej, ale ona wszystkie je przyćmiewała, w każdym razie w tym dwutygodniowym okresie.

Coś w niej było, mówiłem już, coś nieuchwytnego, ale ona uwodziła mnie podejściem, spojrzeniem, głosem, tym jak mnie obejmowała i tym, jak na mnie patrzyła. Było w niej coś, to pewne. Dochodził do tego fakt, że mieliśmy dla siebie tylko dwa tygodnie, a potem już koniec, potem już nic – to jeszcze dodawało smaczku. Tak jakbyśmy mieli przeżyć swoje ostatnie dni.

Odprowadziła mnie na lotnisko, były tłumy, podszedłem do niej i powiedziałem: «To już koniec, wracaj do swojego życia». Kiwnęła głową, nie płakała, taka skupiona jak zawsze, z takim samym ciepłym, milczącym spojrzeniem. «A ty wracaj do swojego» – to było jedyne zdanie, jakie wypowiedziała, i uśmiechnęła się.

Wyjechałem i nie widziałem jej przez sześć lat, może nawet dłużej.

– Naprawdę cię to nie znudziło? – zapytał Stojev.

– Nie, świetnie opowiadasz. To dziwne, czasem jesteś taki, jakby to nazwać...

– Wulgarny – odpowiedział Stojev. Weiner przytaknął.
– A czasem?

– A czasem – Weiner zamyślił się. – Czasem dowcipnie i znakomicie opowiadasz.

– Jestem bardzo złożony – uśmiechnął się Stojev – ty jesteś zawsze jednakowy, a ja jestem ciągle inny. Nie rozumiesz ludzkiej fantazji. Ty potrafisz oceniać tylko standardy.

Weiner nie sprzeczał się, wzruszył tylko ramionami.

– Nie widziałem jej przez sześć lat. Niczego o niej nie wiedziałem, nawet, jeśli mam być szczerzy, nigdy o niej nie myślałem. Czasem przemknęła mi w myślach, ale nigdy nie dręczyłem się pytaniami: co się z nią dzieje, gdzie ona teraz jest? Wiesz, nie miałem na to czasu, błyszczałem tutaj, w Berlinie, a i te ciągle rozjazdy, Europa, Ameryka, zresztą, co ja ci będę mówił, sam to przecież pamiętasz. Kilka razy przyjeżdżałem do domu w przerwach między tournée, ale nie próbowałem jej szukać. Kiedy jechałem do domu, to nawet myślałem sobie, że jeżeli będzie czas, to ją odnajdę, ale nigdy nie znajdowałem czasu.

Wtedy, gdy przyjechałem kolejny raz, była wczesna wiosna, marzec albo początek kwietnia, szedłem bulwarem, wszędzie kałuże i błoto, buty oblepione mokrą gliną, ale nie przejmowałem się, świetnie się czułem, byłem beztrojski, rozchełstany płaszcz, na szyi powiewał szalik, rozumiesz, taki nastrój. Ona siedziała na ławce i czytała. Wtedy wydało mi się to zupełnie naturalne, że ona tak sobie tu siedzi i czyta, miałem nawet wrażenie, iż doskonale wiedziałem,

że spotkam ją dzisiaj na tej ławce. I zaraz ogarnęło mnie następne przedziwne uczucie: zupełnie jakby nie istniały te wszystkie długie lata, jakbym widział się z nią wczoraj. Wydawało mi się, że umówiliśmy się dziś na bulwarze, na tej ławce i ona właśnie tu na mnie czeka, czytając książkę, tak jak zawsze czekała.

Podszedłem i usiadłem obok, starałem się zrobić to bezszelstnie, żeby sprawić jej niespodziankę, i tak się stało – siedziałem już obok, kiedy oderwała oczy od książki i spojrzała na mnie. W jej twarzy nie zaszła żadna zmiana, tylko oczy się zaokrągliły, jakby się rozszerzyły i stały się jeszcze większe. Siedzieliśmy długo w milczeniu, wpatrywałem się w jej twarz, a wiesz, co sobie wtedy pomyślałem? Jak ona się zestarzała! Miała wtedy dwadzieścia osiem, no, najwyżej dwadzieścia dziewięć lat. Rozumiesz, stary, ona była jeszcze dziewczyna, z dzisiejszej perspektywy. Śmieszne, prawda? Wprawdzie tak naprawdę tylko kilka zmarszczek pojawiło się jej wokół oczu, ale ja właśnie je wtedy zauważyłem.

Powinienem być coś powiedzieć, ale tak naprawdę nie wiedziałem co. Tak jak mówię, dziwne uczucie, jakbyśmy się wczoraj rozstali i wszystko jest jasne. Potem podniosłem się i spoglądając na nią z góry spytałem: «Idziemy?». Skinęła głową, nie śpiesząc się schowała książkę do torby i też wstała. «Pójdziemy» – zgodziła się. Późnym wieczorem zainteresowałem się, czy nie musi wracać do domu, czy mąż nie będzie się niepokoił, że tak długo jej nie ma. Nie pytałbym jej o to, właściwie to nie była moja sprawa, ale nie chciałem się znaleźć na ustach wszystkich jako uczestnik skandalu.

«Nie – powiedziała – nie muszę. Jestem po rozwodzie».

«Dawno?» – zainteresowałem się.

«Nie bardzo. Od dzisiaj».

To był mocny cios, staruszku. Bardzo mocny, aż mnie ścieło z powodu takiego niezwykłego zbiegu okoliczności.

Potem wszystko się powtórzyło. Znow byliśmy razem, zabierałem ją wieczorami na przyjęcia, znow doświadczałem nowego, dziwnego uczucia, przecież długo mnie nie było i dopiero teraz znow się pojawiłem. Poza tym było wesoło, kupiłem jej stopy ciuchów, a ona nawet na chwilę przez ten czas nie zajrzała do domu. Potem znow odlatywałem i ona zjawiła się na lotnisku.

«Będziesz na mnie czekała? Przez następne sześć lat?» – spytałem ją niby żartem. Na próżno, brakowało nam słów, spuściła głowę i powiedziała: «Zobaczmy». Powiedziała to tak, że poczułem się jak ostatni bydlak.

Co było jednak robić, ja rzeczywiście musiałem wyjechać.

– No i jak długo nie widzieliście się potem? – zapytał Weiner.

– Długo, ale kiedyś, pewnie po roku, przypadkowo rozwinąłem jakąś karteczkę, natrafiłem na numer jej telefonu i zadzwoniłem. Podniosła słuchawkę, zwróciłem się do niej po imieniu, a ona się zmieszała. Od razu zrozumiałem, że zadzwoniłem nie w porę, bo ktoś jest obok niej. Oczywiście, to normalne, zniknąłem na cały rok, mogłem się nawet nigdy już nie odezwać. Nie mogłem jej za nic winić, ja sam w ciągu tego roku byłem w kilku przypadkowych i nieprzypadkowych związkach. Tylko wiesz, zrobiło mi się jakoś smutno, dziwnie smutno i głupio. Tak jakby upadł kieliszek, wprawdzie się nie rozbił, ale upadł i pękł, nie można już z niego pić, nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

– Nie rozumiem – przerwał Weiner.

– No tak, wy, Niemcy, nigdy sobie niczego nie wyobrazicie, musicie mieć przed oczami konkret.

– Co do tego mają Niemcy? – skrzywił się Weiner.

– W porządku. Widzisz, przyzwyczałem się, że ona na mnie czeka. Przywykłem do tej myśli, a tymczasem nagle

zrozumiałem, że się pomyliłem, że jestem zbędny. A ja nie mogłem być dla niej zbędny. Dla niej nie mogłem! A do tego jej głos brzmiał tak, jakby była szczęśliwa. To było bolesne, ona przecież nie mogła być szczęśliwa beze mnie.

«Co u ciebie?» – zapytałem, bo cokolwiek musiałem powiedzieć.

«U mnie?! Wspaniale! – odpowiedziała, a ja zrozumiałem, że to prawda. – Wychodzę za męża» – dodała.

«Znów? Przecież byłaś już raz mężatką. Po co ci to znowu?» – Co innego mogłem jeszcze powiedzieć? Roześmiała się tak wesoło, jakby spodobał się jej mój żart.

«Nie możesz mówić? – zapytałem. – Czy on stoi obok ciebie?»

«Tak. Ale on nic nie rozumie».

«Co to znaczy, że nic nie rozumie?»

«On jest Anglikiem – odpowiedziała radośnie – jedziemy do Londynu».

Milczałem.

«Słyszysz... – nagle zrozumiałem, że ona krzyczy, pewnie mnie było źle słycać. – Będę w Londynie – znów krzyknęła – będziemy razem! Słyszysz?!»

«Okay – powiedziałem przechodząc na angielski – congratulations». – Pogratulowałem jej, nie bez wyczuwalnej ironii. Samo posłużenie się angielskim, sam się pewnie doskonale orientujesz, było ironiczne. Odłożyłem słuchawkę. Nie ma co, kieliszek pękł. Albo inaczej, bo ty nie rozumiesz tego, co mówię o kieliszku, tak jak mawiał Szekspir: nie rozchodziła butów męża.

– Nie schodziła – poprawił go Weiner.

– Widzisz – Stojev uśmiechnął się – to o butach rozumiałeś od razu. Co tu dużo mówić – Niemiaszek.

Tym razem Weiner uśmiechnął się, zadowolony, że tak zręcznie go podpuścił.

– Ale przecież jeszcze raz się z nią widziałeś? – zapytał.

– Tak, był jeszcze jeden raz. Mineło wiele czasu, stuknęło mi trzydzieści pięć lat. Z baletem wtedy już skończyłem, fortuny i tak nie zbiłem. Zastanawiałem się, co robić ze sobą dalej, gdzie osiąść. Pojechałem do domu i całymi dniami piłem z przyjaciółmi. Kiedyś nocą ocknąłem się i pomyślałem, że trzeba stać zmiatać, bo inaczej zupełnie się zakopie. Dokąd jechać? Z pieniędzy już prawie nic nie zostało.

Zadzwoniłem do informacji biura adresów w Londynie. Dziwne, że udało mi się od razu połączyć. Myślałem, że to wszystko na próżno, byłem przekonany, że jej nie znajdę, pewnie przyjęła nazwisko męża. Jednak podali mi numer telefonu, pomyślałem, że to pewnie ktoś o takim samym nazwisku, to się zdarza, zadzwoniłem i poznałem ją. Teraz było wszystko odwrotnie: przedtem ja byłem za granicą, a teraz ona.

«Chcę przyjechać» – powiedziałem. Długo milczała, nie mówiła nic tak długo, że zacząłem wątpić. «Nie chcesz, to nie przyjadę» – odezwałem się. Znowu długie milczenie, pomyślałem: zaraz odłoży słuchawkę, pomyślałem też, że głupio zrobiłem telefonując, tyle lat mineło.

«Nie, dlaczego, przyjeżdżaj» – odpowiedziała w końcu, ale jakoś niepewnie, a może z tak daleka rzeczywiście źle było słychać.

«Dobrze – powiedziałem – jutro zamówię bilet. Przyjadę za jakieś trzy tygodnie. Zadzwonię, jak będę».

Znowu milczenie, jakby nie dosłyszała.

«Nie – odpowiedziała w końcu – przyjeżdżaj jutro». Aż zagwizdałem.

«Jak mam lecieć jutro – gdzie teraz dostanę na jutro bilet? Biletów na pewno nie ma, lato, szczyt sezonu, trzeba było wcześniej zamawiać».

Znowu zamilkła, a potem powiedziała:

– Daj adres, pošlę ci telegram, na który sprzedadzą ci bilet od razu.

Niczego nie rozumiałem, ale adres jej podyktowałem.

«W porządku – powiedziała – przylecisz jutro?»

«No, jeżeli dostanę bilet, to przylece» – obiecałem.

«Wyjdę po ciebie na lotnisko» – usłyszałem, a potem odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia poszedłem na pocztę i odebrałem telegram. Odszedłem od okienka, przeczytałem i od razu rozumiałem, że to jakiś idiotyczny żart! Uśmiejesz się, stary. Wiesz, co było w tym telegramie? – Weiner wzruszył ramionami. – Tam był taki oto tekst:

«Lubow tragicznie zmarła. Przyjeżdżaj natychmiast!».

Mówię ci, ni cholery nie rozumiałem, co ma do tego «lubow» – miłość. Rozumiesz, początkowo nie skojarzyłem, że «Lubow» – to także imię żeńskie i w ogóle, że telegram może zawiadamiac o czyjejś śmierci. Ale to znaczyło, że może sprzedadzą mi bilet od ręki. Poza tym nie rozumiałem, która miłość umarła, czy ta do mnie, czy ta do jej londyńskiego męża. Bilet rzeczywiście sprzedali mi natychmiast, co prawda trzeba było robić zrozpaczoną minę, dopóki znajdowałem się przed kasą biletową. Poza tym to raczej śmieszna historia.

Przyleciałem do Londynu w dzień, wyszła mi na spotkanie i wiesz, ciekawa rzecz, ale ona się zupełnie nie zmieniła. Spodziewałem się, że zobaczę ją podstarzałą, ale gdzie tam, na odwrót, wyglądała o wiele ładniej i młodziej. Lepiej niż wtedy, kiedy miała dwadzieścia osiem lat.

Była dobrze i drogo ubrana, przyjechała samochodem, też drogim, w ogóle podobała mi się jej zaradność. Rozmawiała ze mną tak jakbym był częścią jej życia. To ten cały wasz merkantylny świat – angielski, niemiecki, słowem zachodni, tak kształtuje charakter.

«Dokąd jedziemy?» – zapytałem.

«Wynajęłam apartament w hotelu» – odpowiedziała i rzuciła mi to swoje powłóczyste, zamglone spojrzenie.

«Śmieszny telegram, raczej śmieszny tekst – dodałem. – Myślałem, że mnie wyśmiewają. No więc, kto zmarł tragicznie? Czyja miłość i do kogo?»

«Szybko się dowiemy» – uśmiechnęła się.

Przyjechaliśmy do hotelu, apartament był dwupokojowy, ale ja, jak sam rozumiesz, specjalnie ich nie oglądałem.

Co ci będę mówił, stary, ona stała się piękna, o wiele piękniejsza, tyle w niej było zmysłowości i subtelności jednocześnie, wiesz, takiej doskonałej subtelności dawno nie spotkałem. To było pełne zaskoczenie i jedna myśl mnie wtedy uderzyła – ona była ukształtowana już nie przeze mnie, ale przez kogoś zupełnie innego. To było widać wyraźnie.

«Oczywiście – myślałem w duchu – przez te wszystkie lata nie żyła sama. To jasne, że nie mam prawa niczego więcej od niej żądać». Bardzo cywilizowane myśli, ale na dnie duszy zebrał się jakiś osad.

Było już około dziesiątej wieczorem, kiedy wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Miałem nadzieję, spodziewałem się, że zostanie ze mną, nie dopytywałem się zupełnie o jej życie osobiste, o męża, nie, na nic takiego sobie nie pozwoliłem.

Kiedy jednak zrozumiałem, że ona naprawdę zbiera się do wyjścia, byłem oszołomiony, słowo honoru – nie mogłem wprost w to uwierzyć.

«Przyjdę jutro w ciągu dnia, koło pierwszej, śniadanie zjedz beze mnie – uprzedziła, zakładając pantofle. – Wszystko opłacone: apartament, śniadanie, nie musisz się o nic martwić».

Leżałem, kołdra zakrywała mnie tylko do pasa, oparłem się na łokciu i zapaliłem. Nie wiedziałem, czy ona mówi to celowo. Widzisz, sytuacja się zmieniła: przedtem to ja miałem pieniądze, przedtem to ja przychodziłem, kiedy chciałem, przedtem to ona na mnie czekała. Teraz wszystko

było odwrotnie. Teraz ja musiałem na nią czekać, szlag by to, paliłem i czułem się nieciekawie, jakbym był jakimś alfonsem. Wierz mi, to było poniżające.

«Słuchaj – powiedziałem – a dokąd właściwie ty idziesz?! Chyba sama mnie zapraszałaś i ja chyba przyjechałem do ciebie!»

Siedziała tyłem do mnie, prawie całkowicie ubrana, ale w tym momencie zwróciła się ku mnie i znów popatrzyła długo, ze smutkiem. Niech to licha, w jej spojrzeniu było wszystko, prawdę mówiąc, całkiem mnie rozkładało.

«Ty przecież przyjechałeś tutaj tylko na jakiś czas – powiedziała w końcu – a ja tu mieszkam, mam swoje własne życie, rozumiesz. – Wstała, gotowa do wyjścia, musiała wziąć tylko torebkę. – Już raz zostałam, jeden raz już wszystko zburzyłam, a co dostałam w zamian? Dwa tygodnie?! No dobrze, ta rozmowa do niczego nie prowadzi – powiedziała, podeszła do mnie, pochyliła się i pocałowała mnie w usta, tak na odchodnym, jak dawniej. – Będę jutro o pierwszej». I wyszła.

Po co ona mnie całowała, to było niepotrzebne. Leżałem, czując jakby wszystko sprzysięgło się przeciw mnie.

Dlaczego ja tu przyjechałem? – myślałem. – Rozumiesz, miałem niespełna trzydzieści pięć lat, było jeszcze za wcześnie na stabilizację w życiu. Wstałem, wziąłem prysznic, miałem ze sobą niewiele rzeczy, ot, taki neseser, i zszedłem na dół.

«Ile płacę za apartament?» – spytałem. Recepcjonistka, dosyć sympatyczna, o ile Angielki w ogóle mogą być sympatyczne, sprawdziła w komputerze i powiedziała, że apartament został opłacony.

«Nieważne – uciałem – płacę za dzisiejszy dzień. Ile jestem winien? A temu, kto już zapłacił, niech pani zwróci pieniądze. Dobrze?» Była niezmiernie zdziwiona, na pewno jeszcze nigdy taka historia nie przydarzyła się w jej

angielskim królestwie. W końcu paniusia wymieniła mi taką sumę, że pobladłem, wiedziałem, że to musiał być kant. Londyn jest drogim miastem i hotel też jest drogi, ale przecież nie na tyle! Zapłaciłem jednak, zostając prawie bez pieniędzy, i wyszedłem. Po prostu, stary, wyszedłem w ciemną noc donikał, tak jak właściwie lubię odchodzić.

Tej nocy przeprowiłem się przez Kanał, ładując we Francji, a potem częściowo na piechotę, częściowo autostopem przewędrowałem pół Europy. Gdzie ja nie byłem i kogo nie poznałem; włóczyłem się przez dwa miesiące. Oto jaką miałem w końcu przygodę.

– I od tamtej pory nie widziałeś jej ani razu? – zapytał Weiner.

– Nieee – odpowiedział Stojev. – Nie widziałem, nie słyszałem ani razu nie zadzwoniłem. Prawdę mówiąc zupełnie o niej zapomniałem. Przypomniałem sobie dopiero, kiedy ją zobaczyłem ze sceny w Turcji. Moim zdaniem, to była ona, chociaż nie byłem całkowicie pewny.

– Nie jest ci żal? – zapytał znów Weiner.

– Kogo? Jej?

– Tak, jej. Przecież ona cię kochała.

– Nie – Stojev pokręcił głową, podkreślając zaprzeczenie – nie żal. Czy wiesz, co jest najbardziej interesujące w tej całej historii? Ona odłożyła się we mnie warstwami, wiesz? Takimi archeologicznymi warstwami. Rozumiesz, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat pierwszy raz, drugi – kiedy mieliśmy po dwadzieścia dwa lata, potem po dwadzieścia osiem, po trzydzieści pięć. Za każdym razem między tymi warstwami narastał solidny podział czasowy i w moim odczuciu za każdym razem to była nowa, inna kobieta. Inna w łóżku, w rozmowie, w jej stosunku do mnie, nawet intonacja głosu ulegała zmianie. I, mówię ci szczerze, za każdym razem ta następna była lepsza od poprzedniej. Zupełnie, jakbym miał wiele kobiet, a nie jedną i tę samą,

jak było w rzeczywistości. A wszystko dlatego, że nie zmieniały się płynnie, tylko etapami. Pierwsza, druga, trzecia, czwarta; a teraz nie ma już żadnej z nich, ani pierwszej, ani drugiej. Nawet ostatnia nie istnieje, minęło już mnóstwo lat i ta wczorajsza też jest na pewno zupełnie inną kobietą. Ona sama o tych trzech poprzednich, o których opowiadałem, na pewno już nie pamięta. Wygląda na to, że pozostały tylko we mnie. Jestem ich jedynym strażnikiem. Dziwne, prawda?

– Wiesz, to smutne – Stojev pochylił się do przodu – ale wspomnienia są diabła warte, są zniekształcone i niepełne, ale przecież tylko one łączą nas z przeszłością. Gdyby pamięć pozwoliła na odczuwanie słuchem, wzrokiem, dotykiem, wtedy wszystko można by przeżyć ponownie. Rozumiesz?

Weiner przetarł serwetką czoło, stracił apetyt, za to czuł coraz silniejszy niepokój.

– To naprawdę smutne – westchnął Stojev – przypominałem sobie to wszystko, opowiadając ci i aż się spościłem z żalu, że nie mogę tego przeżyć drugi raz. No dobrze – spojrzał na pusty kieliszek po koniaku – będziemy żyć przyszłością, przecież wszystko się dopiero zaczyna, stary! – Stojev jeszcze bardziej wychylił się do przodu i klepnął Weinerja po ramieniu. – No więc jak, dzwoniemy się? Jestem jeszcze przez miesiąc w mieście, a potem wyjeżdżam ze swoją długonogą świtą, pozarabiam trochę pieniędzy.

Weiner skinął głową, nie mógł mówić. Na ulicy zrobiło mu się gorąco, rozpiął płaszcz, szedł patrząc pod nogi nieprzytomnym wzrokiem.

«To niewiarygodne – myślał – jak to się stało, że Stojev ma takie przemyślenia? A on, Weiner, uczony, chluba uniwersytetu, choć tyle myślał, na nic podobnego nie wpadł. A przecież to proste, to takie dziecinnie proste! Pamięć wyposażona w organy zmysłu! W gruncie rzeczy to jest

postulowanie nowej rzeczywistości – to dogmat filozoficzny – obiektywna rzeczywistość kształtowana przez zmysły. To, innymi słowami, maszyna czasu przenosząca nas w przeszłość. Nie przewody, nie mikroorganizmy, jak zakładano w powieściach fantastycznych, ale na przykład, połycasz tabletkę i wszystko, co przeżyłeś, zaczyna się dziać od nowa. Widzisz, słyszysz, pojmujesz, dotykasz, wszystko odczuwasz – czyli, że na jawie przeżywasz na nowo swoją przeszłość. Jakie to proste, niezwykle proste, a przede wszystkim możliwe do zrealizowania. – Kiwnął głową, – Tak, tak, to na pewno jest możliwe. To będzie prawdziwie epokowy przełom – przeżywać ponownie swoje życie, narodziny, siedzieć u mamy na kolanach, widzieć jej uśmiech, czuć dotyk jej rąk. Tak, mama» – pomyślał Weiner i zdawało mu się, że usłyszał swój własny głos.

Stojev i Weiner nie spotykali się przez jakieś sześć miesięcy albo nawet dłużej. Stojev był w niekończących się rozjazdach, koncertował w śródziemnomorskich kurortach, okazał się bardzo płodny, w artystycznym rozumieniu tego słowa oczywiście. Weiner telefonował do niego kilka razy i zawsze odzywała się automatyczna sekretarka, a kiedy Stojev w końcu do niego oddzwonił, głos Weinerja dźwięczał tak jakby ten był bardzo podekscytowany.

– Czy możesz przyjechać do mnie do laboratorium?

– zapytał bez wstępów i nie czekając na odpowiedź dodał:

– Dzisiaj, teraz, tak, tak teraz, natychmiast.

– A co się stało? – zainteresował się Stojev. Obudził się późno i teraz stał w kuchni przy oknie, spoglądając na ulicę i wracające ze szkoły dzieci. Popijał mleko z wysokiego, wąskiego kubka i z sympatią obserwował dokazujące na ulicy maluchy; wiele z nich na ramionach taszczyło plecaki i dlatego biegały z nienaturalnie wyprostowanymi plecami, tak jak w balecie.

– Stało się – niecierpliwie odpowiedział Weiner – przyjeżdżaj, stało się!

– Czy przynajmniej coś przyjemnego? – zapytał znów Stojev, nie ukrywając kpiny w głosie.

W odpowiedzi usłyszał nerwowy śmieшек Weinerja:

– On się jeszcze pyta! Jeszcze jak! Nawet nie uwierzysz, co się zdarzyło!

– Żonę zmieniłeś na nową, czy co? – zapytał, wymyślając to, co niemożliwe, Stojev. – W porządku, zaraz przyjadę, wszystko mi opowiesz. – Po czym odłożył słuchawkę.

Weiner czekał na Stojeva w hallu i od razu zaprowadził go do swojego gabinetu. Nie wyglądał na specjalnie podminowanego czy wzburzonego, ale w jego ruchach przebiła się niezwykle jak na niego lekkie podniecenie.

– No więc, co się takiego wydarzyło? – zapytał Stojev, kiedy weszli, ale Weiner nie śpieszył się z odpowiedzią, i najpierw usadowił Stojeva w fotelu, a potem sam ulokował się z drugiej strony masywnego biurka.

– Wydarzyła się rzecz nadzwyczajna, do której my obaj mamy specyficzny i bardzo osobisty stosunek – zaczął mówić, starannie dobierając słowa.

– Wiem – przerwał mu Stojev – zapisałeś się do mojej dziecięcej szkoły baletowej. Nie denerwuj się, dostaniesz pelerynę. Będiesz w niej grać czarodzieja.

Weiner puścił dowcip mimo uszu.

– Pamiętasz – ciągnął dalej – kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, wypowiedziałeś myśl, której sens był taki, że pamięć można wykorzystać jako odpowiednik maszyny czasu, jeżeli obdarujesz ją, to znaczy pamięć, organami zmysłów.

– Być może – lekko rzucił Stojev. – Sporo wtedy mówiłem.

– No więc po naszej rozmowie długo nad tym myślałem. I przyznałem ci rację, bo cóż to jest realność, jeśli nie

możliwość widzenia, słyszenia, dotykania, przytulania, smakowania? Jeżeli nauczymy pamięć tego wszystkiego, to rzeczywiście możemy wrócić do swojej przeszłości i tak jakby na nowo w niej żyć. Właśnie w ostatnich miesiącach zajmowałem się tym problemem.

– Jakim problemem? – nie rozumiał Stojev.

– Jak to jakim? Wynalezieniem preparatu, dzięki któremu pamięć uzyska substytut organów zmysłów. Nie wiem, czy jesteś na bieżąco, ale w ciągu ostatnich lat zajmowałem się pracami nad wynalezieniem leków antydepresyjnych i ten preparat mógłby znaleźć zastosowanie także w tej sferze. Widzisz, ludzie, którzy cierpią na depresję, mogliby ponownie przeżywać swoje dzieciństwo, młodość, a psychoanalitycy mieliby okazję coś naprawiać w ich życiu. To zresztą teraz jest nieważne... – Weiner skrzywił się, usiłując odnaleźć wątek – ...ważne jest to, że rzeczywiście wynalazłem ten preparat. W ciągu ostatniego miesiąca zaczęliśmy go testować na pacjentach. I wiesz, jaki jest rezultat? On działa.

Weiner wstał, obszedł biurko i przysiadł na skraju blatu.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę ze wszystkich następstw tego odkrycia, ale uwierz mi – są niebotyczne. Wszystko to w pełni kwalifikuje się do Nagrody Nobla. To przewrót w nauce, w medycynie i w ogóle w życiu ludzkości. Wręcz boję się słów, których powinienem użyć.

Stojev słuchał milcząco, ale z zainteresowaniem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że przypadkowo wypowiedziana przez niego myśl doprowadzi do takich wyników.

– A na koniec to, co najważniejsze dla ciebie i dla nas – ciągnął Weiner. – Zrobiłem cię współautorem odkrycia. Jasne, to wyda się dziwne niektórym moim kolegom, przecież nie masz żadnych związków z nauką, przynajmniej formalnie, ale kicham na to, niech się dziwią. Twoja myśl dała mi kopa i tak będzie uczciwie. Powinieneś być współautorem.

Zamilkli, potem Stojev zapytał:

– Jak wygląda ten twój preparat?

– To zwykła tabletką, działa przez około dwie godziny, chociaż można stosować rozmaite dawki. Ot i wszystko.

– Jak reagują pacjenci? – znów zapytał Stojev.

– Preparat działa bardzo efektywnie, pacjenci przeżywają wycinek swojej przeszłości, jeden na przykład przez cały czas je ciasto, które piekła babcia. Babcia oczywiście dawno nie żyje.

– A czy on nie tyje za bardzo po tym cieście? – rzucił Stojev i Weiner roześmiał się.

– To mi nie przyszło do głowy, trzeba sprawdzić. No, ale poważnie, wszystko to wyzwoli u pacjentów masę różnych emocji, co pozytywnie wpłynie na ich zdrowie. – Weiner na mgnienie oka uśmiechnął się. – Jest pewne małe niebezpieczeństwo. Boję się, że część pacjentów może się uzależnić od preparatu, tak jak od narkotyków. Przypuszczam jednak, że niewielu, jakichś sześciu–ośmiu na stu. Z czasem to sprawdzimy, badania dopiero rozpoczęto.

Weiner zamilkł, poczuł na sobie spojrzenie Stojeva. W tym spojrzeniu było coś chytrego.

– Daj mi jedną tabletkę – poprosił Stojev tonem daleko odbiegającym od prośby.

Weiner nie rozumiał tego nagłego przejścia i dlatego nie odpowiedział od razu. Kiedy wreszcie zrozumiał, przecząco pokręcił głową.

– Nie daj się prosić – naparł Stojev. – Nie kryguj się, daj tabletkę, a potem ja ci opowiem, co czułem po jej zażyciu. To przecież dla dobra nauki!

– Nie, nie mogę – zaczął Weiner. – Nie mogę dawać preparatu osobom postronnym...

Stojev uśmiechnął się.

– Ja postronny? Przecież jestem współautorem, czyż nie?

– Tak, oczywiście – poprawił się Weiner. Zrobiło mu się głupio z powodu tego «postronnego». Zdjął okulary, przetarł je i znów założył.

– No tak – powiedział – na pewno mogę cię uwzględnić w moich badaniach, coś w rodzaju jednorazowego testu. No dobrze, ale potem wypełnisz wszystkie formularze i porozmawiasz z psychoanalitykiem. Będziesz musiał mu opowiedzieć, co tam zobaczyłeś. Rozumiemy się?

– Dobra, nie ma sprawy – zgodził się Stojev, patrząc jak Weiner otwiera sejf – jasne, że opowiem.

– Daję ci jedną tabletkę. Tutaj masz formularze do wypełnienia, nie zapomnij tego zrobić. Następnego dnia po zażyciu tabletki zadzwoń, umówię cię z psychoanalitykiem. Opowiesz mu, co tam widziałeś. – Weiner uśmiechnął się.

– Dziękuję, stary – Stojev podniósł się z krzesła – jestem ci szczerze wdzięczny. Oczywiście wszystko opowiem, niczego nie będę ukrywał. Właściwie jutro powinienem wyjechać, więc zaczekam z zażyciem tabletki do powrotu, żeby sobie niepotrzebnie nie nabijać głowy. Ale kiedy tylko wrócę, natychmiast ją wezmę i od razu zadzwonię do ciebie. W porządku? – Weiner potaknął. – No to piątka, Weinerku. Podrzucę ci przy okazji jeszcze trochę różnych idei. – Stojev zebrał się do wyjścia, ale zatrzymał się w samych drzwiach.

– Słuchaj – powiedział – a ty sam przyjmowałeś swój preparat?

– Ja? A po co mi to? – Weiner aż się zdziwił takim pytaniem.

– No jak to, przecież to interesujące. Po pierwsze ciekawie byłoby wypróbować własne odkrycie, po drugie ciekawie byłoby sprawdzić, jak jest tam, w przeszłości...

– Nie wiem – zastanowił się Weiner – ale masz rację, na pewno to interesujące, ale nie jestem przekonany, czy ja powinienem...

– Ty ciągle czegoś nie wiesz – powiedział Stojev. – Jesteś smutnym starowiną. Gdy chodzi o kobiety: «nie wiem», gdy można by skoczyć na drinka, też nie wiem, nawet po trawie chyba nigdy nie próbowałeś chodzić boso. A czego ty jesteś pewien w swoim życiu? Choćby w tej chwili. Dokonałeś, jak sam twierdzisz, epokowego odkrycia, testujesz je na ludziach, i zarazem na wszystko mówisz – «nie wiem». Nie mam do ciebie zaufania ani jako do naukowca, ani jako mężczyzny – zakończył Stojev, uśmiechając się i klepiąc Weinerja po ramieniu. Potem powiedział: «No, w porządku, zadzwonię do ciebie, tak jak się umówiliśmy» i wyszedł z gabinetu.

– A może on rzeczywiście ma rację? – zadał sobie głośno pytanie Weiner, może warto by spróbować, chociażby z naukowego punktu widzenia. No i ciekawie byłoby się znaleźć w przeszłości, zobaczyć mamę... – prawie niedostępszalnie westchnął Weiner, podchodząc do sejfu.

Stojev wrócił do Berlina po dwóch tygodniach i już następnego dnia wziął telefon, położył się z nim na kanapie i zażył tabletkę, popijając ją odrobiną wody mineralnej. Nie stracił przytomności, ale przeszedł z jednej realności w drugą, znana tylko sobie, a potem, wróciwszy do siebie, przeleżał na kanapie do końca dnia z otwartymi oczami, rozmyślając o niczym, błędząc wzrokiem po szarzejącym już w zmroku suficie.

Następnego dnia obudził się jak zwykle rano, bez pośpiechu wypił swój poranny kubek mleka, wziął prysznic, ubrał się i zadzwonił do Weinerja do pracy. Sekretarka powiedziała jednak, że Herr Doktor jest chory i już od tygodnia nie pokazuje się w pracy. Zdziwiony Stojev za-telefonował do domu, słuchawkę podniosła żona, która od razu go poznała i poprosiła, żeby natychmiast przyjeżdżał.

«Z mężem dzieje się coś niedobrego – powiedziała zdenewrowanym głosem – już od kilku dni. Zamknął się w swoim gabinecie i nie wychodzi stamtąd. Zostawiamy jedzenie pod drzwiami, on zabiera je nocą. Jeden jedyny raz, trzy dni temu powiedział, żebym się z panem skontaktowała i poprosiła, żeby pan przyjechał. Miał dziwny głos... Telefonowałam – powiedziała, jakby się usprawiedliwiała – ale nie było pana w domu. Niech pan przyjedzie, nie mam pojęcia, co robić. – Zamilkła, a potem powiedziała po cichu: – Boję się!»

Stojev odpowiedział, że zaraz przyjeżdża.

Zastukał do drzwi gabinetu Weinerja, wymienił swoje imię i dodał: «Stary, to ja, otwórz». Drzwi uchylły się, Stojev wszedł; zamierzał już od progu zaserwować wcześniej przygotowany dowcip o staruszkę, który w końcu dowiedział się, co to znaczy onanizm, ale kiedy zobaczył gospodarza podejrzliwie zamykającego drzwi na klucz, postanowił milczeć. «Tak – pomyślał – doktorek wygląda marnie».

– W co ty się, stary, wplątałeś? – powiedział współczująco.

Weiner nie odpowiedział, podszedł do Stojeva tak blisko, że ten poczuł mdlący odór nie mytego od dawna ciała. Chorobliwie błyszczące oczy badawczo wbił w Stojeva, chociaż ten nie był pewien, czy Weiner go widzi.

– Mamuśku – nagle powiedział Weiner dziecinnym płaczliwym głosem – to Stojev. Chyba pamiętasz Stojeva? – Zamilkł, jakby wsłuchiwał się w niesłyszalny głos, a potem radośnie pokiwał głową, – Tak tak, on od niedawna jest w Berlinie. Masz rację, dostał angaż do Deutsche Opera. Pamiętasz, mówiłem, że zaprosił nas na balet do teatru, będzie tam tańczyć. No, oczywiście że pójdziemy.

Zamilkł, potem znów zaczął mówić, teraz jego głos brzmiał kapryśnie.

– Daj spokój, sam postanowię, w co mam się ubrać. Dobrze wiem, jak trzeba się ubrać do teatru, mamó. Nie jestem już dzieckiem, mamó, musisz się do tego przyzwyczaić, jestem na drugim roku i nie potrzebuję już twojej opieki.

Urwał, a następnie znów przemówił, jakby komuś odpowiadał.

– W porządku, mamó, przecież nie wypada przy Stojewie... Oczywiście, wiem, że mnie kochasz... Przecież ja ciebie też kocham... Tylko ciebie... No proszę, nie obrażaj się. Wspaniale. Daj coś lepszego, mamó, Stojewa trzeba poczęstować kawą. Do tego ten strudel, który jedliśmy dzisiaj rano.

Stojev stał przy drzwiach i obgryzał paznokcie, nie wiedząc, co robić. Wreszcie, nie odrywając ręki od twarzy, przemówił trochę ochryłym głosem:

– Weiner, potrzebuję trzy tabletki. – Twarz Weinerja ściągnęła się, poczerwieniła, oczy zaczęły strzelać na boki.

– Nie – powiedział prędko. – Mamusiu, ja mu nie dam tabletek.

– Daj mi tabletki, Weiner – powtórzył Stojev, z niedowierzaniem słuchając własnego głosu: czyżby brzmiała w nim groźba?

– Ale ja nie mogę. Nie, mamó, nie prosz w jego imieniu, dzięki nim jesteśmy znów razem. A zostało mi wszystkiego osiem. Nie mogę oddać tabletek, bo nie mogę żyć bez ciebie. Próbowiałem tak żyć, ale dłużej nie mogę, to nie do wytrzymania! Mamusiu, nie prosz. No i co z tego, że on jest miły? Co z tego, że nas zaprosił do teatru? Nie obrażaj się na mnie, tak, wiem, że trzeba się dzielić, nie jestem już malutki, mamó, ale tabletki... Jeżeli chcesz, oddam mu swoją nową marynarkę. On nie ma marynarki, mamó, chcesz, podaruję mu swoją?

– Potrzebne są mi trzy tabletki – ochryple powtórzył Stojev.

– Ty rzeczywiście tak myślisz, mamó? Tak? Że ja powinienem dać mu te tabletki? Uważasz, że tak będzie dobrze? W porządku, jeżeli tak uważasz... – Weiner podszedł do sekretery i prawie z płaczem wy dostał maleńkie pudełeczko. – Tutaj akurat są trzy tabletki – powiedział, wyciągając rękę z pudełeczkiem w stronę Stojeva. – Mama powiedziała, że powinienem je tobie oddać.

– Dziękuję – powiedział Stojev. – Kawy napiję się innym razem, teraz muszę już iść. – Obrócił klucz w zamku i już wychodząc usłyszał za plecami głos Weinerja:

– Mamusiu, niech sobie idzie, posiedzimy sobie we dwojkę, napijemy się herbaty, kto nam jest jeszcze potrzebny? – I Stojev zatrzasnął za sobą drzwi.

– Co z nim? Jak on się czuje? – chwyciła go za rękę żona Weinerja.

– Przyjdzie do siebie, proszę się nie martwić, za jakieś osiem, dziesięć godzin, może trochę później. A dalej nie wiem, myślę, że on uzależnił się od nowego lekarstwa, wpadł w przedział sześciu procentów. To można było przewidzieć.

– Jakie procenty? – Zapytała żona, chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Stojev się śpieszył.

– Zadzwońę do pani męża za dwa dni, kiedy przyjdzie do siebie – obiecał wychodząc.

«Mimo wszystko to dziwne – pomyślał już na ulicy, wsiadając do samochodu – jak przedziwnie w świadomości Weinerja terażniejszość nałożyła się na przeszłość, mieszając się z nią. Trzeba nad tym pomyśleć, na szczęście mam cztery godziny».

Stojev przyjechał na lotnisko, kupił bilet do Londynu, na miejscu przez prawie dwie i pół godziny łapał taksówkę, już na brytyjskich numerach. Wiedział, dokąd jechać, adres znalazł jeszcze w Berlinie telefonicznie, kiedy czekał na najbliższy lot.

Po czterdziestu minutach dzwonił do drzwi. Czekał długo, zadzwonił jeszcze raz, już bez nadziei na sukces, myśląc, że niepotrzebnie odprawił taksówkę. Nagle drzwi otworzyły się i niewysoka filigranowa kobieta z uważnym spojrzeniem, nic nie mówiąc odsunęła się, wpuszczając go do środka. Wszedł do mieszkania, rozejrzał się, doceniając przytulność wnętrza i jego gustowne umeblowanie, kobieta zamknęła drzwi, ale dalej stała, nie ruszając się.

– Jesteś sama? – zapytał Stojev.

– Tak – odpowiedziała kobieta.

– Gdzie twój mąż?

– Nie ma go, rozeszliśmy się.

– Ach, tak – zdziwił się Stojev – nie wiedziałem, dawno?

– Wystarczająco. Po co przyjechałeś? – zapytała ona, nie spuszczając z niego swoich ogromnych ciemnych oczu.

– Mógłbym powiedzieć, że chciałem cię zobaczyć, ale to by była tylko część prawdy.

Zauważył, że jej oczy znieruchomiały na ułamek sekundy, ręka podniosła się do szyi, a potem zupełnie bezwładnie opadła w dół. Wiedział, co robić dalej, wszystko przemyślał wcześniej, ale w obliczu tego bezradnego gestu to, co zamierzał powiedzieć, straciło znaczenie.

– Chciałbym się dowiedzieć, co jest najważniejsze dla ciebie w życiu – wydusił z siebie.

– Nie wiesz? – zapytała, przechodząc do pokoju.

Stojev zatrzymał ją i wziął za rękę.

– Nie wiem i nie jestem pewien, czy ty sama wiesz. Ostatnim razem, zdaje się, nie wiedziałaś.

– Wiedziałaś, ale wiedziałaś również, że to dla ciebie nieistotne, zresztą, jaka to różnica?

– Chcę, żebyś się przekonała. – Położył tabletkę na jej dłoni. – Ta tabletkę pozwala zrozumieć, co było w życiu najważniejsze.

– A ty sam wiesz? – zapytała.

– Co? – Nie zrozumiał Stojev.

– Co było najważniejsze w twoim życiu?

– Tak, teraz wiem. Dowiedziałem się o tym wczoraj dzięki takiej samej tablecie.

Mówił, a wszystko dookoła odsunęło się, jakby rozplynęło, została tylko jej twarz i oczy, pochłaniające go coraz bardziej i bardziej.

– No i co? – zapytała.

– Widzisz, że jestem tutaj – odpowiedział otwarcie.

– Potrzebna ci była jeszcze jedna odpowiedź? – uśmiechnęła się lekko.

– Tak, była potrzebna – przyznał. – A teraz chcę, żebyś zażyła swoją,

– I co się stanie? – zainteresowała się.

– Na dwie godziny zostaniesz sam na sam ze swoim najsilniejszym uczuciem, tym, które przeżywałeś w przeszłości, możliwe, że odczuwasz je i teraz.

– Dobrze – zgodziła się, potem podeszła do podręcznego stolika i naląła wody do szklanki.

– Będziesz tutaj? Przez dwie godziny.

W jej głosie brzmiał lęk, usłyszał go, uśmiechnął się i przytaknął. Połknęła tabletkę.

– Mam się położyć? – zapytała.

Znów potaknął. Położyła się na kanapie. On usiadł w fotelu dwa metry od niej, nie więcej. Po dwóch minutach wymówiła jego imię, potem znów, następnie zaczęła mówić takie rzeczy, że aż mu się zakręciło w głowie. Zawsze od takich słów dostawał zawrotów głowy. Przesiedział tak przez dwie godziny jak na karuzeli, a jedyna myśl, jaka mu się przez cały ten czas kołatała po głowie, brzmiała: «Boże, jaki ze mnie idiota! – powtarzał to wciąż i wciąż – jaki ze mnie idiota!».

Otworzywszy oczy zobaczyła go i uśmiechnęła się. Ona zawsze się uśmiechała, kiedy budziła się rano – przypominał sobie.

– Co to było? – zapytała. – To było takie cudowne, wiesz o tym?

– Wiem – odpowiedział. – Mam jeszcze dwie tabletki. Możemy je zażyć jednocześnie. Wyobraź to sobie, będziemy jednocześnie razem tam, w naszej przeszłości, kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat, i teraz, tutaj, też będziemy razem. Wszystko będzie się ze sobą przeplatało. To powinno być nadzwyczajne.

– Ty ciągle jesteś taki dziwny, jakiś obcy. Zupełnie się nie zmieniłeś. – Nie przestawała się uśmiechać. – Nie, nie teraz. Zrobimy tak, ale potem, a teraz chodź do mnie taki, jaki teraz jesteś. Tak długo byłam bez ciebie”.

To jeszcze jedno opowiadanie, myślę sobie. Czy to możliwe, żeby człowiekowi, który pisał tę książkę, nie dawały spokoju czas ani przeszłość? Zupełnie tak samo jak mnie. Widocznie jesteśmy w tym do siebie podobni. Znów próbuję go sobie wyobrazić, ale nie mogę. Czasami wydaje mi się, że powinien być taki stary i doświadczony jak Alfred. Z drugiej strony chciałabym, żeby był młody, i pełen sił. To dlatego, myślę sobie, że wydaje mi się sympatyczny.

Spoglądam i otwieram połówkę okna, ale robi mi się chłodno, więc podchodzę znów i zamykam je. W najgorszym przypadku trzeba będzie się ubrać, trudno przez cały dzień chodzić zawiniętej w ręcznik. Przypominam sobie, jak René patrzył na mnie, kiedy w taki sam sposób, owinięta tylko ręcznikiem, wychodziłam z kąpieli. Było mi przyjemnie, że patrzy na mnie z pożądaniem, ale jednocześnie nieco dziwnie. W jego oczach czaiła się drapieżność, chociaż wiedziałam, że w tym momencie zachwyca się mną, to doskonale zdawałam sobie sprawę, że jest drapieżnikiem. Nieraz sama przekonywałam się o tym, śledząc jego zachowanie na torze, ale także w życiu codziennym.

Kiedyś nie wytrzymałam i napisałam o tym do Steve'a, byłam zaniepokojona i potrzebowałam rady.

„Ty się go boisz” – pisał mi Steve i tym razem odpisałam mu.

„Nie wiem – odpowiedziałam – być może masz rację. Ale jeżeli się boję, to nie o siebie, a o niego. Boję się tego, że prędzej czy później jego zachowanie doprowadzi do tego, iż moja cierpliwość się skończy, że czara się przepełni. Boję się, że w takiej chwili nie będę już potrafiła go w pełni akceptować, tak jak czynię to obecnie”.

„Nawet teraz – pisałam w następnym liście – czasem jest mi z nim ciężko. Nie znoszę jego przyjaciół, szczególnie tego Jeana-Paula, wydaje mi się, że wszystko, czego tylko się dotknie, natychmiast jest zbrukane. Nie mogę teraz patrzeć na wyścigi samochodów. I jeszcze tę wyjątkową cechę René – złość – też przestałam lubić. Czasem wydaje mi się, że ta agresywność jest odruchowa i wynika z jego obojętności.

Opowiem ci, co wydarzyło się niedawno w restauracji. Często chodzimy na obiad do restauracji, René traci mnóstwo sił na treningach, po wyścigach traci też sporo na wadze. Tym razem przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch młodzieńców w wieku dwudziestu, dwudziestu dwóch lat. Co się zdarzyło, sama nie do końca rozumiem. René mówił potem, że oni rozmawiali na mój temat, mówili, sam wiesz o czym, on to usłyszał i musiał im odpowiedzieć. Rozmawiali ze sobą bardzo szybko, dialektem francuskim, którego nie znałam. Nagle zobaczyłam, jak w oczach René pojawiła się chłodna obojętność tak dobrze mi znana. Zamilkł, oni nie przestawali go zaczepiać, teraz już nie tylko mnie, ale i jego również.

Jeden z tych młodzieńców zaproponował mu pomoc, rozumiesz, że może mu ze mną pomóc, a ja tylko szturchałam w bok René i prosiłam: «Chodźmy stąd! Proszę cię,

chodźmy stąd, nie daj się sprowokować!». To był szpan, byli ubrani, mówili i zachowywali się jak szpanerzy, mogli mieć przy sobie noże, więc przez cały czas powtarzałam: «Chodźmy stąd, oni mogą mieć przy sobie broń!». Słuchali, jak go namawiam, i śmiali się. Nagle zobaczyłam, że René się poddaje, jego twarz wykrzywiła się, próbował się jakby uśmiechnąć.

– Chłopaki, czy warto się sprzeczać? – powiedział, starając się, żeby to brzmiało dobrodusznie. – Po co? Prze-prosimy panią na chwilę i pójdziemy się napić przy barze.

Wstał, miałam ciągle jeszcze nadzieję, że odejdziemy, ale on podszedł do nich i jeszcze raz zaproponował, żeby się nie kłócić, że postawi im następną kolejkę, wypiją razem i wszyscy trzej podeszli do baru. Oczywiście, w razie czego zdołałabym uciec, ale wszystko jedno, cieszyłam się, iż obeszło się bez bijatyki, dlatego że jeden z nich był potężnego wzrostu, drugi też nie niższy od René, ale pierwszy to olbrzym. Dobrze się stało, myślałam sobie, że René nie wdał się w żadną awanturę. Patrzyłam, jak stali przy barze i rozmawiali sobie teraz zupełnie spokojnie i cicho, popijając piwo.

To było na pewno piwo, bo zobaczyłam jak piana trysnęła w górę, zaraz potem, już w powietrzu, załśnił złocisty płyn, a potem kufel, tak jakby się ścigały, kto będzie pierwszy. Nie rozumiałam, co się właściwie stało. René stał dalej tak jak stał, wydawało mi się, że się nawet nie ruszył, nie rozumiałam, dlaczego nagle ten wielki stał się taki mały, zgięty w pół, jakby złamany, kasłał i ugiął się w kolanach, cały czas ugiął. Pierwsze, o czym pomyślałam, to to, że ktoś go uderzył, nie wiedziałam kto, chociaż cały czas wpatrywałam się w René, nie wiem dlaczego, ale się wpatrywałam. A potem twarz tego, który jeszcze przed chwilą, wydawał się olbrzymem, nagle drgnęła, całe ciało wyprężyło się, niemal w poziomie, potem upadł i rozległ się

straszny rumor. Od razu dostrzegłam krew, nie ciekła, tylko sączyła się, a właściwie nagle jego twarz w mgnieniu oka cała pokryła się krwią, tak jakby pojawiła się od razu we wszystkich możliwych miejscach i wyciekała zewsząd: z nosa, z ust, z uszu. To był tak niewiarygodny widok, i to przejście z jednego koloru w drugi, że aż zrobiło mi się dziwnie. René spojrział na drugiego, ten też, tak jak ja, nie zdażył zrozumieć, co się dzieje, ciągle jeszcze trzymał kufel w ręce i nie przestawał się uśmiechać. Usłyszałam jak René powiedział mu: «Spadaj» i nawet machnął ręką, jakby wskazując dokąd, ale tamten nie zdażył, a ja znów nie dojrzałam ruchu.

Dlaczego nie widzę żadnego ruchu? – pomyślałam, zauważając tylko, jak głowa tego drugiego odskoczyła, a potem on cały jakby się zgiał. Stał jeszcze na nogach, ale niepewnie, było widać, że się nie poddaje, wszystko zależało od wytrzymałości jego nóg. Stał dalej i teraz w końcu zobaczyłam, jak René wykonał ruch korpusem do przodu, nagle zgiał rękę w łokciu, jakby próbując objąć siebie samego za szyję. Zdażyłam jednak zauważyć, jak jego łokieć wbił się nie wiem w co, ni to w próżnię, ni to w ciało. Ten, który przykucał, nie upadł, ale przysiadł na piętach, unosząc głowę ku górze, a ja ciągle czekałam, że René uderzy go nogą, tak jak pierwszego. On jednak po prostu odwrócił się i podszedł do mnie.

Przechodząc schylił się nad tym dużym, który nadal leżał mając pod sobą rozwalone krzesło, ale to było zbyt nisko, widziałam tylko krótki zamach: było w nim coś zwierzęcego, jakby napad wściekłości. Potem René znów szedł w moją stronę.

– Idziemy – powiedział – dopóki nie wezwali policji.
 – W jego głosie nie słyszałam ani pośpiechu, ani złości, wyjął pieniądze i zapłacił za niedojedzony obiad, rzucając banknoty na stół, nie liczył ich nawet i nie czekając na mnie poszedł w kierunku drzwi.

Obejrzałam się do tyłu na maleńką salę, tych kilka osób, które tam było, siedziało w szoku, nawet barman zastygł, nikt nie zdażył zrozumieć, co się stało, to trwało ułamki sekund. Kiedy już z ulicy spojrzałam przez szybę do środka, ktoś podbiegał do leżących, ktoś inny dzwonił, jakaś kobieta głośno krzyczała. Ja sama byłam w rozterce, nie dlatego, że tych dwóch było mocno pobitych – nie było mi ich żal – ale dlatego, że pobił ich tak mocno René i że taka zwierzęca, nieludzka przebiegłość kryła się w jego chłodzie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałam go już w samochodzie. Nie odpowiedział, na pewno nie rozumiał pytania. – Czy rozumiałeś, o co cię pytam? – Teraz, widocznie z powodu przeżytego strachu, we mnie samej obudziła się agresja. – Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– A co powinienem zrobić?

– Co tylko chcesz. Mogliśmy wezwać policję. Mogliśmy po prostu wyjść stamtąd.

– A jaką miałabyś gwarancję, że oni by za nami nie wyszli? Po co testować przypadek? – Powiedział z zimną krwią «testować przypadek» i zaczęłam go przedrzeźniać:

– Testować przypadek! A ty nie testowałeś przypadku? A gdyby to oni ciebie przetestowali?

– Nonsens – powiedział – ja narzuciłem reguły. Zwycięża ten, kto ustanawia reguły.

– Więc jesteś panem życia i śmierci. – Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Przychodziły mi na myśl tylko mądrości wschodu. I tak nie wiedziałam, czy on w ogóle rozumie, dlaczego ja się złościę.

– Głupoty – odparł.

– A jednak – upierałam się, ciągle jeszcze próbując. – Dlaczego trzeba było koniecznie z takim zezwierzęceniem, tak brutalnie?

– Tak było najprościej. – I tak jakbym nie zrozumiała, dodał: – Wszystko inne jest zbyt złożone. – Zrozumiałam, że to zupełnie beznadziejne.

Rozumiesz, Steve, beznadziejne, kompletnie beznadziejne. Chociaż w tym przypadku miał rację, gdyby nie on ich, to oni by jego. Do tego, słowo honoru, podnieciło mnie jego męstwo, jego waleczność, no bo w końcu stanął w mojej obronie. Tak było. To było jednocześnie straszne. Jest w nim coś z nieposkromionego zwierzęcia, czego nie potrafię okiełznać”.

„W tym czasie wszystko było znacznie bardziej złożone – pisałam później. – René zupełnie nieopanowany nie wpisuje się w standardowe ramy. Na przykład kiedyś o świcie, niemal jeszcze nocą, przebudziłam się i zobaczyłam nad sobą jego oczy. Przyglądał mi się i ja na pewno przebudziłam się pod wpływem jego spojrzenia i uśmiechu. Nigdy nie widziałam, żeby René się tak uśmiechał, on w ogóle rzadko się uśmiechał. Nigdy tak ufnie jak tej nocy. Zrozumiałam to jednak potem, a wtedy jeszcze zaspana, w ciemności, tylko się zdziwiłam.

– Co – zapytałam, przeciągając się. On milczał, więc znów zapytałam: – Dlaczego nie śpisz?

– Wiesz – powiedział, nie ukrywając uśmiechu – nagle pomyślałem, co by było, gdybyś się urodziła chłopcem...

– Steve nazywał mnie chłopcem – przypominałam sobie. Jeszcze nie rozbudziłam się ze snu.

Zaśmiał się cicho, szczerze, co było zupełnie do niego niepodobne.

– Miał rację. Że ja tego wcześniej nie zauważyłem. Jesteś chłopcem, prawdziwym chłopcem, tylko trochę wyrośniętym. – René śmiał się dalej. – Ten twój Steve to nie taki idiota.

Nie rozumiałam, dlaczego tak się zaśmiewa. To przecież w końcu środek nocy.

– Co mi się tak przyglądałeś? – znów mu przerwałam.

– Przecież sama wiesz, ukochana – on nigdy przedtem nie mówił do mnie «ukochana» – sama wiesz, że jestem zdecydowanie heteroseksualnym osobnikiem. Nie można mnie nawet o nic innego podejrzewać.

– Nie można – zgodziłam się.

– Wiesz, o czym pomyślałem? Gdybyś urodziła się chłopcem, to ja zostałbym homoseksualistą.

Sama nie wiem dlaczego, ale się roześmiałam. Chichotałam jak wariatka, a potem uniosłam się i teraz ja pochylałam się nad nim.

– To najdziwniejsze wyznanie miłości, jakie kiedykolwiek słyszałam – powiedziałam, wciąż się śmiejąc. – Jesteś niezwykły. Jest w tobie tyle sprzeczności, że sama nie rozumiem, jak to wszystko mieści się w tobie jednym.

– Dlaczego? – zapytał.

Byłam na wierzchu, dokładnie naprzeciwko jego oczu, nie powinien unikać mojego spojrzenia, ale unikał, spoglądał przeze mnie.

– Jak to dlaczego? Bo to typowe dla ciebie – brak głębi i uczucia, uwierz mi, ty odpowiadasz temu wzorcowi. Trudno w tobie je znaleźć, myślę, że nikt tego nie potrafi, tylko ja. Dlatego będąc blisko i odkrywając w tobie uczucia, za każdym razem dziwię się, skąd się wzięły i nie mogę tego zrozumieć. Nie powinno ich być, ale są.

Spojrzenie René błądziło w ciemnościach, tak jak zwykle omijając mnie.

– A co jeżeli... – powiedział i zamilkł.

– Co? – zapytałam, jakbym chciała go dopaść swoim «co».

Mimo że było jeszcze dosyć ciemno, dostrzegłam, jak jego wzrok wpił się we mnie, jakby chciał mnie przyszpilić.

– ...pójdziemy spać, dziewczynko – powiedział, nie rozumiałam tego, to zdanie powinno mieć inny koniec”.

Idę do sypialni i zrzucam z siebie ręcznik. Przemarzłam. To z powodu otwartego okna w kuchni zrobiło się zimno, a kuchnia oziębiła mnie. Siadam na łóżku i zakładam grube, wełniane skarpety, zaziębienie zaczyna się od nóg, wiem o tym. Potem wciągam gruby miękki sweter z golfem, tak gruby, że ciało zatracą kształty. Teraz spodnie, myślę, dzin-sy mi się znudziły, są zbyt sztywne.

Spoglądam na siebie w lustrze, podoba mi się to, co widzę, ten zakryty kształt pozostawia pole dla wyobraźni, jest w nim jakaś tajemnica, niedopowiedzenie. Idę do salonu i siadam na kanapie. Nie, muszę wstać i zapalić światło, w pokoju jest zbyt ciemno, zalane deszczem szyby tłumią dzień. A może, myślę, jest już późno i nadchodzi wieczór, a ja zupełnie straciłam poczucie czasu.

Minał miesiąc od dnia śmierci Alfreda, a ja dostałam od Dina kolejny list. Pisał, że odchodzi z teatru, ponieważ po śmierci Alfreda wszystko zaczęło się sypać, jeszcze nie rozsypało się do końca, ale zaczęło. Zawiadamiał mnie, że zamierza przenieść się do Rzymu, próbować w kinematografii, że zawiadomi mnie, jak tylko urządzi się w nowym miejscu.

Oczywiście wpadłam w panikę, zdając sobie sprawę z tego, że tracę kontrolę, teraz wszystko zależało tylko od niego: kiedy napisze i skąd? Pozostawało mi tylko czekanie. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że to będzie ostatni list od Dina. Czułam jednak jakiś niepokój, byłam nerwowa, ale jak mogłam to przewidzieć?

Nie mogę nawet opisać, co wycierpiałam przez te trzy miesiące, codziennie wiele razy sprawdzając pocztę i wpadając za każdym razem w rozpacz, kiedy stwierdzałam, że nie ma listu. Teraz nawet sama nie umiem wyjaśnić, jak to się stało, że to przeżyłam, w takiej udreće... Uśmiecham się: puste, zwietrzałe słowa „przeżyłam, udrećka”, bez żadnej

treści. Jak mogę wyrazić fizyczny ból rozrywający na strzępy? Boże, nigdy jeszcze nic mnie tak nie bolało!

Czasem myślałam, że z Dinem coś się stało, mógł się rozchorować, dostać do szpitala, i wtedy robiło mi się jakoś lżej. Rozumiałam jednak, że oszukuję sama siebie, teraz domyśliłam się, że on przede wszystkim myślał nie o teatrze, o przeprowadzce, że jedyną rzeczą, jakiej naprawdę pragnął, było uwolnienie się ode mnie. Zaczęłam pisać do niego codziennie, błagając, pokornie zebrząc o odpowiedź. Co mi po honorze, kiedy go traciłam? Nie mogłam go stracić! Po dwóch tygodniach listy zaczęły wracać z adnotacją, że adresat wyjechał i jest nieznany. Zrozumiałam, że wyjechał tylko po to, żebym nie mogła go znaleźć.

Teraz każdy wieczór spędzałam na kanapie z podwiniętymi nogami, milcząc, patrząc w nieistniejący punkt, a gdy René włączał telewizor i pokazywali film o miłości, to zamykałam oczy. Nie mogłam patrzeć na cudze pieszczoty, na cudzą delikatność, wraz z obrazami przenikał wewnątrz mnie ból, rozrastał się, stawał się większy i cięższy niż moje ciało, nie mieścił się w nim. Od razu przypominałam sobie mnie z Dinem. Wydawało mi się, że mogę wyciągnąć rękę i przesunąć palcami po jego skórze, zagłębić ją w jego włosach, dotknąć jego uśmiechu. Wyciągałam rękę, ale natrafiałam na pustkę.

Wtedy wyobrażałam sobie go z inną, oboje byli szczęśliwi, uśmiechnięci, tak jak ci dwoje na filmie. Widziałam, jak on się śmieje i opowiada jej, jak sprytnie uwolnił się ode mnie. Ona też się śmieje, potem obejmuje go i całuje, a potem... i serce zamierało mi, a ból przeszywał je swoim ostrzem. ...A potem, kiedy zaczynali się kochać, wszystko zasnuwała mgła. Jego ręce zaciskały się coraz silniej, wiedziałam, jak potrafią ścisnąć... Przymykałam oczy, żeby nie widzieć światła.

Mijały tygodnie, nadzieja, że Dino się odezwie, malała i czułam się coraz gorzej. Zadzwoiłam do pracy i wzięłam

urlop, należał mi się. Od trzech lat nie brałam urlopu. Teraz mogłam leżeć po całych dniach i nie rozpraszać się myśleć bez przerwy o Dinie. Nie mogłam skupić się na niczym innym i w rezultacie mój mózg bezboleśnie znalazł się w przestrzeni, w której nie było światła, gdzie nie było cieni.

Przez ostatnie tygodnie żywiłam się tylko słodyczami, leżąc na kanapie obezwładniona frustracją, automatycznie wpychając w usta cukierki, czekoladki, dopóki nie zebrało mi się na wymioty. Potem w ogóle przestałam jeść, straciłam apetyt, często miałam mdłości. René porządnie się wystraszył, kiedy zobaczył moje ataki nudności, wcześniej też wszystko rozumiał, ale teraz naprawdę się przestraszył. Nieoczekiwanie okazał się bardzo opiekuńczy, sadzał mnie na kanapie, tłumaczył, że to choroba, ciężka forma depresji, że w ostatnich latach żyłam w zbyt silnym napięciu i mój system nerwowy uległ poważnemu przeciążeniu. Przekonywał mnie, że to niebezpieczne i namawiał, żebym poszła do lekarza, ale ja tylko jęczałam i błagałam w odpowiedzi: „Proszę cię, zostaw mnie, proszę”.

Oczywiście doskonale wiedział, że przyczyną mojej choroby jest Dino, który mnie porzucił. Odczytywałam w oczach René współczucie, próbował mnie nawet karmić. Gotował mi kleiki, konsultując się z żoną, André, wystawał godzinami w kuchni, a potem ostrożnie niósł ugotowane jedzenie do mnie na kanapę, na niemal sztywnych nogach, żeby nie wylać. Karmił mnie łyżeczką, jak malucha, a jeżeli było zbyt gorące, dmuchał na jedzenie na łyżeczce. Kiedy wreszcie przeżykałam, na jego twarzy pojawiał się wyraz prawdziwej ulgi.

Codziennie rano przynosił mi listy od Steve'a, którymi ten zarzucał mnie teraz prawie codziennie, niepokojąc się i oczekując odpowiedzi. Próbowałam je czytać, ale nie udawało mi się, od razu chciało mi się płakać, łzy napływały

do mych oczu, nie wydobywając się jednak na zewnątrz. Potem przestałam otwierać jego listy i łzy skapywały na kopertę, ale było mi wszystko jedno.

Wreszcie zebrałam się i napisałam dwie linijki. Napisałam, że zachorowałam, „choć to nic groźnego, nie denerwuj się, nie mogę ci teraz odpowiadać na listy, napiszę, prędko napiszę, ale potem, później. Ty też teraz do mnie nie pisz, nie trzeba, odpocznijmy od pisania listów”. Poprosiłam René i on sam włożył do koperty moje gryzmoły, zapieczętował ją i wysłał.

W rezultacie mój organizm osłabł tak dalece, że przestałam się zupełnie poruszać, a po kilku tygodniach zaczęły się pojawiać straszliwe bóle. Narastały z każdym dniem, łamiać mnie i dławiać, jakby starały się mnie wypróbować, tyle że nie z zewnątrz, a od wewnątrz, tak jakbym miała odbite płuca i wątrobę, jeszcze w środku piersi i trochę niżej, bliżej żołądka. Wymiotowałam żółcią, uginając kolana i trzymając się rękami za brzuch, żeby powstrzymać ból, który mnie rozrywał. Niestety, nie przechodził, więc dalej leżałam na kanapie, jak zombi, bez myśli, bez uczuć, czując tylko ból i coś do siebie mamrocząc. Nawet nie rejestrowałam dobywających się z ust dźwięków, dopiero później je rozróżniłam: mamrotałam włoskie słowa, którymi nazywał mnie Dino i którymi ja jego nazywałam.

Po jakimś czasie René zmienił taktykę. Zaczął głośno mówić, że to wszystko sobie wymyśliłam, że w gruncie rzeczy nie wiadomo, co się właściwie stało z Dinem, że najlepiej byłoby sprawdzić, gdzie on jest i co się z nim dzieje. Człowiek zwyczajnie gdzieś się przeprowadził i wystarczy go odszukać, to nie będzie trudne, bo przecież nie jest igłą. Nie potrzebowałam jego wywodów, rozumiałam, skąd te teorie, ale myśl, żeby odnaleźć Dina, pochłoneła mnie powoli całkowicie. Błysnął mi przed oczami nawet

promyk nadziei: być może to wszystko rzeczywiście mi się przywidziało. Udało mi się wstać, ostatnio wstawałam już tylko po to, żeby pójść do toalety. Już od dłuższego czasu na noc nie szłam nawet do sypialni, tylko zostawałam w salonie i zapadałam w sen na kanapie. Początkowo René nosił mnie na rękach, ale później modliłam się, żeby mnie tylko nie dotykał. Prawie płakałam, nie wiem, z powodu wstydu, żalu, bólu czy dlatego, że przeżywałam tragedię i chciałam, aby mnie zostawił w spokoju.

Teraz poczułam się jednak na tyle lepiej, że mogłam wstać i podejść do telefonu, po czym urzędowym tonem poprosiłam jedną ze swoich sekretarek, żeby odnalazła człowieka we Włoszech. Podałam jego imię i nazwisko, powiedziałam, ile ma lat. Prawdopodobnie mieszka w Rzymie – dodałam, a kiedy ta idiotka zapytała, jak ma go odnaleźć, zebrało mi się na wymioty, nakrzyczałam na nią i powiedziałam, że nie zaszkodzi jej, jeżeli sama ruszy wreszcie głową. W końcu są takie wynalazki jak komputery, że nie wspomnę o biurach adresowych i książkach telefonicznych. Wystraszyła się, słyszałam po tym, jak mi odpowiada: „Tak, proszę pani, oczywiście, proszę pani, zrobię wszystko, co można, proszę pani”, powiedziałam: „Więc proszę łaskawie to załatwić” i odłożyłam słuchawkę.

Zrobiło mi się lżej od tego, co powiedziałam jej na końcu. Poszłam nawet do kuchni. René nie było w domu, otworzyłam lodówkę i wyciągnęłam z niej kawałek mięsa na zimno i świeżego, pachnącego sera, wyjęłam też z szafki butelkę wina. Najpierw jadłam z przyjemnością, żułam mięso, popijałam je winem, ale bardzo prędko zrobiło mi się niedobrze i przestałam, zdając sobie sprawę z tego, że niedługo dostanę torsji. Zabrałam ze sobą butelkę i znów położyłam się na kanapie. Wypiłam całe wino i do przyjscia René byłam już kompletnie pijana, jak dawno się nie zdarzyło. Alkohol przemieszał się z moim osłabieniem i po-

chwycił mnie w swe szpony, wywołując zupełnie niespotykany stan, a kiedy przyszedł René, poprosiłam go, żeby położył się obok mnie. Widział, że jestem pijana, ale położył się, nie mówiąc ani słowa, kochaliśmy się, burzliwie choć krótko: długo nie mogłam. Ten nerwowy, jakby nierealny akt miłości był pierwszym od miesiąca i dla mnie, i dla René, oczywiście, jeśli mnie nie zdradzał. Potem spaliśmy razem, a nocą, sama dowlokłam się do łóżka i przytulałam się do jego ręki. Śniło mi się, że dotykam Dina, że on znów jest ze mną, dostałam dreszczy i nie potrafiłam zasnąć ze szczęścia. Pierwszy raz od dwóch miesięcy przespałam nieprzerwanie aż do rana.

Sekretarka zadzwoniła następnego dnia i spokojnym głosem poinformowała mnie, że znalazła adres i telefon, po czym podyktowała mi je. Tego dnia czułam się lepiej, rano nawet weszłam do kuchni i razem z René piłam kawę i jadłam grzanki z dżemem, czując, że ledwie tłące się życie wpełza we mnie, wprawdzie powolnie i nieśmiało. Zapytałam René: „Czy lepiej napisać, czy zadzwonić?” – a on poradził mi, żebym zadzwoniła.

– Tak myślisz? – zapytałam, czując, że wszystko wewnątrz mnie zamiera. – A jeżeli on sam odbierze telefon? Nie będę potrafiła się do niego odezwać. Nie rozmawialiśmy ze sobą przez wiele lat.

– Możesz więc napisać, ale wyobrażasz sobie, jak długo trzeba będzie czekać na odpowiedź? A jeżeli nie odpowie? Przecież zwariujesz, zanim się doczekasz.

„Ma rację” – pomyślałam.

– Lepiej załatwić sprawę od razu. Przeciąć węzeł. Przygotuj się do rozmowy, pomyśl dobrze, co chcesz powiedzieć. Być może Dino podniesie słuchawkę sam, ale równie dobrze może to być ktoś inny. Przygotuj się na różne warianty. Nie śpiesz się.

– Tak – zgodziłam się – masz rację. Trzeba się przygotować, wszystko przemyśleć i zatelefonować. – Starłam się uśmiechnąć. – Jesteś moim ukochanym.

Pamiętam, że tak właśnie powiedziałam: „Jesteś moim ukochanym”, po czym zebrałam w sobie siły, wstałam, podeszłam do niego i objęłam go z tyłu.

Szykowałam się do tej rozmowy przez wiele dni. Początkowo zamierało we mnie serce, kiedy myślałam, że usłyszę jego głos, już układałam sobie włoskie zdania i zapisywałam je w notesie, zawsze uważałam, że lepiej jest zapisać. Potem czytałam je, podkreślałam, przekreślałam, zmieniałam i zapisywałam znowu, i tak wiele, wiele razy.

A jeżeli, myślałam sobie, Dino powie: „W porządku, bądźmy razem” albo: „Przyjeżdżaj”, to co wtedy? Czy pojedę do niego? Nie byłam o tym przekonana. Czego właściwie chcę w takim razie? – znów wszystko mi się mieszało.

Stopniowo rozumiałam, że jedyną rzeczą, jakiej się naprawdę boję, jest prawda, jaka by ona nie była. Nie chcę, żeby Dino chował się przede mną. Po co? Jeżeli zaproponuje mi, żebyśmy byli razem, powiem mu, że to bardzo złożone, powiem, że trzeba poczekać przynajmniej z pół roku. Tak, właśnie tak, trzeba wygrać czas, z czasem wszystko się uporządkuje i ułoży, a w tym czasie ja już coś tam wymyślę, znam siebie dobrze.

A jeżeli to nie on podejdzie do telefonu? Czy mało ludzi może odebrać telefon? Powinnaś być przygotowana na wszystko, powiedziałam sobie. Wymyśliłam cały scenariusz, miałam powiedzieć, że jestem przedstawicielką towarzystwa asekuracyjnego, byłam przekonana, że mój obcy, ale już ledwo wyczuwalny akcent specjalnie nie przeszkodzi. Zaproponuję bardzo korzystny wariant ubezpieczenia, ale po to, żeby je sfinalizować, muszę najpierw zebrać rozmaite informacje o kliencie, na przykład jaki jest stan jego zdrowia, jakie ma wykształcenie, zawód, stan rodzinny. Jeżeli zadaje się dużo pytań, to można przemycić jakieś pytania dodatkowe, ot tak, po prostu, z ciekawości, niby przypad-

kiem. Siedziałam i zapisywałam swoje pytania, a potem przypuszczalne odpowiedzi i znów swoje pytania i odpowiedzi, jakie spodziewałam się usłyszeć. To było jak pisanie dialogów do sztuki prosto z życia.

Wreszcie skończyłam redagowanie tekstu, teraz pozostało mi ćwiczenie wymowy, musiałam wypowiadać swoje kwestie odpowiednim głosem, dobierając właściwą intonację, tak żebym brzmiała wiarygodnie. Potem wybierałam dzień, w którym tam zatelefonuję, i za każdym razem odkładałam to na potem, przekonując siebie, że dziś jest już za późno. Następnego dnia znów szukałam kolejnej wymówki, żeby do niego nie zadzwonić. A to René był w domu, a ja nie chciałam przy nim rozmawiać, to znów pogoda była brzydka, innym razem decydowałam się na telefon w niedzielę, a przecież w niedzielę nie wypada kogoś niepokoić. Kończył się mój miesięczny urlop i pora była zorganizować się jakoś, przynajmniej częściowo, dlatego właśnie powinnam była zadzwonić. I zadzwoniłam.

Siedziałam za biurkiem, ubrana w elegancki kostiumik bizneswomen, żeby nie czuć się chora, a przeciwnie, pozbiwana i zorganizowana. Najpierw usłyszałam dzwonki, a potem podniesiono słuchawkę tak szybko, że mnie to aż zdenerwowało. Z tamtej strony usłyszałam damski głos, liczyłam się z tym, że telefon może odebrać kobieta, byłam dobrze przygotowana na to, że to będzie kobieta, ale widać niewystarczająco; serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, musiałam przełknąć ślinę, aby się pozbyć tego głupiego uczucia.

– Nazywam się Silvia Lacuro – powiedziałam. – Pracuję... – tu wymieniłam nazwę jednego z największych towarzystw asekuracyjnych. Starłam się, żeby mój głos brzmiał dosyć pewnie, ale jednocześnie wzbudzał zaufanie, tak by ona nie zorientowała się, że mam ochotę zabić ją, od razu, przez telefon, za to, że znalazła się w mieszkaniu mojego Dina. Poprosiłam go do aparatu.

– Dina nie ma w domu – odpowiedziała, a jej głos był miły i dźwięczny, oceniłam na słuch, że jest młoda. – Czy mam mu coś przekazać?

– A kiedy będzie? – zapytałam. Czym dłużej będę prowadziła tę neutralną rozmowę, tym lepiej.

– Późnym wieczorem. Ma teraz próbę, a potem przedstawienie. Wraca bardzo późno.

Nagle zauważyłam, że się już nie denerwuję, jakbym to gdzieś zostawiła, szykując się do tej rozmowy. Cel mojej rozmowy znajdował się tuż na wprost mnie, dźwięczny i ciekawski, naiwny cel, głupio byłoby gdyby się wymknął z powodu wahań. Ta cała sytuacja wydała mi się wręcz śmieszna i czułam teraz tylko to, co zawsze czuł René podczas swoich wyścigów: żal i obojętność. Przypomniałam sobie nagle, jak Steve powiedział kiedyś, że cudza miłość jest dla osoby postronnej jak pole minowe – lepiej się tam nie zapuszczać, bo łatwo można wylecieć w powietrze. Nie było mi zupełnie żal tej dziewczyny, bo to ona weszła na moje pole minowe, na które nie powinna wchodzić, więc to nie moja wina.

– Cóż – powiedziałam – szkoda, chciałam z nim porozmawiać o ważnej dla niego sprawie. – Od razu zrozumiałam, że udało mi się ją złapać.

– Tak? – zapytała. – A na jaki właściwie temat?

– Niestety – postanowiłam dać jej do myślenia – mogę rozmawiać tylko z nim osobiście albo z członkami jego najbliższej rodziny. Mam tu jednak notatkę, że nie jest żonaty. – Gdyby odpowiedziała, że jest żonaty, miałam się zdziwić i powiedzieć, że widocznie mam nieaktualne informacje.

– Tak – odpowiedziała – nie jesteśmy małżeństwem, na razie tylko się zaręczyliśmy, ale bierzemy ślub za miesiąc i cztery dni. – Żołądek skurczył się i podszedł mi do gardła, ale opanowałam się i nie dałam nic po sobie poznać.

– Doprawdy? – powiedziałam z udawaną radością, – Wszystkiego najlepszego! To wspaniale! Jak się pani właściwie nazywa?

– Sophie – odpowiedziała i chciała coś jeszcze dodać, ale przerwałam jej i nasze głosy nałożyły się na siebie.

– Co? – zapytała.

– Cieszę się razem z pania, Sophie! Gratuluję pani serdecznie. Wie pani, dla mnie dzień ślubu i wesela był najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Boże – zrobiłam pauzę, tak miałam napisane w tekście: „pauza”, ale nawet nie patrzyłam w notatki, wszystko znałam już na pamięć – jak to było dawno! Jedenaście lat. Uczyliśmy się razem z Lucianem, razem uciekaliśmy z lekcji, a potem całowaliśmy się w parku. – Zaśmiała się. – Potem ja zaczęłam studiować na uniwersytecie, a on poszedł do wojska i czekałam na niego. Niech pani sobie to wyobrazi, Sophie, przez te wszystkie lata ani razu z nikim się nie spotkałam, nawet do kina chodziłam tylko z przyjaciółkami. Jakie to dawne czasy!

– Och – powiedziała – to takie piękne. Z nami jest tak samo.

– Tak? – spytałam.

– Tak. Dino nawet przeprowadził się dla mnie do Rzymu. On jest bardzo dobrym aktorem.

– Zastanawiałam się właśnie, skąd znam to nazwisko? Czy to możliwe, żebym go widziała w kinie?

– Nie, dotąd nie grał w filmach. Dopiero teraz dostał pierwszą filmową rolę, wprawdzie niewielką, ale dobrą. Poza tym występuje w teatrze.

Szczebiotała swoim słodziutkim głosikiem, nawet nie musiałam jej podpytywać.

– Ich teatr przyjechał na występy i wtedy się poznaliśmy. Potem ja jeździłam do niego, to on znów do mnie, przez całe osiem miesięcy, zanim mi się oświadczył.

„Kretyn, baran – myślałam – zamienić mnie na tę drugą!”

– To takie romantyczne – powiedziałam.

– Tak, on w ogóle jest bardzo romantyczny... – chciała jeszcze coś dodać.

– Jest pani pewnie szczęśliwa, Sophie?

– Och, zupełnie zwariowałam na punkcie Dina. Gdyby tylko pani wiedziała, ile w nim piękna, ile uczuć.

To było bolesne, bardzo bolesne, ale nie pozwoliłam ogarniającej mnie rozpacz dożyć do głosu, rozwinać się i wybuchnąć. „I nie pozwolę”, aż zeszywniałam cała z napięcia, starając się powstrzymać. Kurewka, jeżeli ją poproszę, opowie mi, jak się pieprzy z Dinem. Ze wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami.

– Wiem – powiedziałam, nadając głosowi ton niemal macierzyńskiego niepokoju – ze mną jest tak samo. Do tej pory. Wie pani, Sophie, my jesteśmy z Lucianem jedenaście lat po ślubie, ale, jak dawniej, zakochani w sobie. Codziennie biegnę z pracy do domu jak na pierwszą randkę.

Ona znów mi przerwała i aż zapiszczała, przepętliona swoim szczęściem.

– Ja też nigdy nie mogę się doczekać, kiedy on przyjdzie. Ja tak czekam na niego, wręcz nie mogę odдыchać, tak bardzo czekam.

– To dlatego, że pani kocha swojego Dina, Sophie. Nawet przez telefon słyszę, że go pani kocha.

– O, tak – odpowiedziała przeciągając słowa, jakby czytała kwestię z książki.

– On na pewno też panią kocha. – To właśnie było tą rzeczą, której chciałam się dowiedzieć.

– Tak – powiedziała – wydaje mi się, że tak. Nie, jestem o tym przekonana. Wie pani, on mówi do mnie takie słowa. – „Milcz!” – omal nie krzyknęłam. – A poza tym widzę to po jego oczach, Dino ma takie wyraziste oczy, niczego nie można w nich ukryć. Wydaje mi się, że on też zupełnie zwariował na moim punkcie.

„Czy pani może wie, Sophie, w jaki sposób mam go zabić?” – chciałam ją zapytać, ale tego nie było w scenariuszu.

– No cóż, życzę wam szczęścia. Prawdziwego, ogromnego szczęścia.

„Co ja wygaduję” – pomyślałam, ale to nie miało znaczenia: ona nawet nie spytała mnie o akcent, skąd mam taki akcent, jeżeli z moim ukochanym nauczyliśmy się razem jeszcze w szkole? Oczywiście, że natychmiast znalazłabym na to odpowiedź, zawsze umiałam na wszystko znaleźć odpowiedź, ale ona mnie nie zapytała, idiotka.

– No cóż, dziękuję. – Zaczęłam się obawiać, że ona gotowa jest zaprosić mnie na ślub.

Rozmawiałyśmy jeszcze może z pięć minut o tym i o owym, trochę o ubezpieczeniu, ale głównie o ślubie. Opowiadałam, jaką miałam sukienkę, a ona o pantofelkach, które kupiła, i o tym, że z Werony przyjadą jej rodzice, a brat z Mediolanu, a także o tym, jak bardzo jest szczęśliwa. Wciąż powtarzała, jaka jest szczęśliwa, więc w końcu pomyślałam sobie, że chyba naprawdę jestem masochistką; mogłam już dawno odłożyć słuchawkę, wszystko i tak było jasne, ale wciąż nie odkładałam, tylko słuchałam. Ona mogła mówić jeszcze bardzo długo, ale ja w końcu się pożegnałam, obiecałam zadzwonić, kiedy będzie Dino, jeszcze raz życzyłam jej szczęścia i odłożyłam słuchawkę.

Potem doznałam dosłownie ataku epilepsji, nagle, w mgnieniu oka. Dobrze przynajmniej, że zdażyłam dojść do kanapy i nie upadłam na podłogę. Pamiętam tylko, jak moje ciało skręcało się, ale nie całe od razu, tylko fragmentami, po kawałku, oddzielnie ręce, biodra, piersi, wiałam się, pamiętam, to były konwulsje. Nawet nie płakałam, po prostu coś dziwnego ze mnie wychodziło: ciecz, śluz, z ust, z nosa, razem z krzykiem, razem

z zawodem. Ból, który zdawało się przycichł, teraz olbrzymiał i dźgał mnie, kalecząc swoimi ostrymi końcami i pomyślałam, że teraz na pewno umrę.

Widocznie rzeczywiście okropnie wyglądałam, bo gdy wrócił René, po wyrazie jego twarzy poznałam, jak strasznie musiałam wyglądać. Tylko spojrzał na mnie i zaczął blednąć. Jego i tak bezkrwista twarz wyglądała, jakby przekroczyła granice bieli, dosłownie posiwiiała, tak jak z rozpaczysiwieją włosy. Przeraziło mnie to. O nic nie pytał, widocznie i tak wszystko było zrozumiałe, tylko mnie objął.

– No co ty, Jackie – powtarzał. – Tak nie można, dziewczynko, ja ciebie kocham. Przecież jest nam ze sobą wspólnie. Zobaczysz, znów wszystko będzie dobrze, jak dawniej. Tylko weź się w garść.

Rozmawiał ze mną, jak z malutkim dzieckiem, a mnie, tak jak przedtem, wydawało się, że umrę. Próbowalam się nawet wrywać, krzyknęłam: „Puszczaj mnie, natychmiast mnie puszczaj”. Ale on mnie nie puszczał, tylko jeszcze mocniej przytulał do siebie, nie miałam już sił w rękach i w nogach, żeby szarpać się z nim, i nagle zamarłam. Potem zmusił mnie, abym połknęła lekarstwo, było gorzkie w smaku, i sama nawet nie zauważyłam, kiedy po nim usnęłam. Może tylko tak mi się zdawało, a w rzeczywistości umarłam. Bardzo chciałam przestać żyć.

Zbudziłam się jednak. Nie wiedziałam, czy jest wieczór, czy noc, było ciemno, niczego nie mogłam w tych ciemnościach rozróżnić, tylko spojrzenie René. Patrzył na mnie i milczał.

– Powinnaś jechać – powiedziałam zaskakująco spokojnie. Bo też czułam się spokojna i wyciszona, wszystko stało się nagle absolutnie zrozumiałe. I jeszcze to uczucie, jakby wewnątrz niczego nie było tylko kompletna pustka. „Dlatego że zupełnie już nie ma we mnie bólu – pomyślałam – a poza tym z powodu łez. Ulżyło mi, bo się wyplakałam”.

– Dokąd? – zapytał.

– Do Rzymu. – Nawet nie spytał mnie po co.

– Nie, nie możesz tam jechać.

Patrzył na mnie w ciemnościach bez mrugnięcia okiem. Jego spojrzenie było pełne wręcz bolesnego spokoju, zapewniało ochronę i ucieczkę. Nawet teraz, pomyślałam, kiedy wydaje mi się, że się rozpadam na strzępy, czuję, że jestem pod jego ochroną.

– Powinnam – starałam się uśmiechnąć, a wyglądało to tak, jakbym czuła się winna i prosiła go o coś. – Powinnam z nim porozmawiać, rozumiesz, sama powinam się o wszystkim przekonać. Może być, że ta dziewczyna wymyśliła to wszystko, a może tak jej się tylko wydaje, a w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. – Prawie błagałam go tym uśmiechem, a teraz głosem, szczególnie głosem.

– Chyba nie. – René patrzył na mnie, nie odrywając oczu, teraz wyjątkowo chłodnym, nieprzyjemnym wzrokiem.

„Jest smutny – pomyślałam. – Pierwszy raz widzę go smutnego. On to przeżywa za mnie”.

– Nie – powiedział – wiem, że próbujesz sama siebie oszukiwać. Co może być nie tak? Oni się pobierają,

– Dlaczego sprawiasz mi ból? Naumyślnie? – zaprotestowałam.

– Nie – pokręcił głową, nie odrywając ode mnie wzroku – ja ci pomagam. Pogódź się z tym i przyjmij wszystko z dobrodziejstwem inwentarza, od razu robi ci się lżej. Nie można siebie oszukiwać. Iluzja tylko przedłuża.

– Co przedłuża?

– Ból, cierpienie.

– Skąd ty to wiesz? Ty przecież nic nie czujesz. – Próbował się nie obrazić, więc się tylko uśmiechnął. Zauważyłam, że znów ze smutkiem.

– Wiem.

Wyciągnął dłoń i przesunął ją po moim policzku, wycierając z niego zaschnięte łzy, sól, gorycz. Jego palce przesuwały się delikatnie i płynnie, jak nigdy przedtem. W ich ruchach krył się żal.

– René – znów zaczęłam błagać – przecież może się okazać, że wszystko w porządku. Być może ona jest bogata i on połaszczył się na pieniądze. Tak też mogło się zdarzyć.

– W takim razie, dlaczego to tak przeżywasz? On dla ciebie powinien przestać istnieć.

Westchnęłam rozczarowana, z bezsilności.

– Ty tego nie rozumiesz.

– Rozumiem – znów się uśmiechnął. – Ale nie powinnaś tam jechać. – Wiedziałam, co powie. – W takim stanie jak w tej chwili mogą się z tobą stać różne straszne rzeczy. Jesteś na skraju załamania nerwowego.

Chciałam powiedzieć: „Ja się już załamalam, przeżyłam załamanie i lecę się”. Zamilkłam jednak.

– Czy rozumiesz, co się stanie, jeżeli jest tak, jak ona mówiła? Rozchorujesz się do końca. Nie wolno ci tam jechać.

Mówił to ostrym tonem, nie zmieniając intonacji. Zaczęłam się spodziewać, że nagle przerwie i powie: „Nie puszczę cię”, ale nic takiego nie powiedział.

– Ty tego nie rozumiesz! – powtórzyłam, nie wiedząc, co jeszcze mam powiedzieć. Milczeliśmy.

– Chcesz – zaproponował w końcu – jeśli chcesz, to ja pojedę? – Nie zrozumiałam.

– Po co?

– Żeby się wszystkiego dowiedzieć. Jeżeli jest tak, jak mówisz, i Dino leci na forse, to da się to zauważyć gołym okiem. W każdym razie ja to zobaczę. Może uda mi się z nim porozmawiać. Wymyślę jakiś pretekst, pójdę do teatru i porozmawiam z nim. Potem zadzwonię do ciebie i wszystko ci dokładnie opowiem. Dla mnie pojechać do

Rzymu samochodem to, jak sama wiesz, wielka frajda. – Wzruszyłam ramionami. – Nie chcę tylko zostawiać ciebie samej.

Znów wzruszyłam ramionami.

– W porządku – powiedział po przerwie – tak należy zrobić. Wyjazd zajmie najwyżej trzy dni. W każdym razie skończą się domysły, a potem wszystko razem rozplączemy.

– Nie wiem – wymamrotałam – czy powiesz mi prawdę? Nie oszukasz mnie?

– Nie pleć głupstw – René uśmiechnął się.

Zdrętwiała mi ręka, zbyt długo się nią podpierałam. Wyprostowałam ją więc i położyłam się na plecach. Nad moją głową zwiślał sufit. Nie myślałam o niczym, tylko z trwogą, patrzyłam jak pełzają po nim nierówne, czarno-białe, czasem żółtawe cienie. Żółte pełzały znacznie szybciej: domyśliłam się, to odbicia świateł przejeżdżających samochodów wpadają przez okno. Odgłosu silników nie było jednak słychać. Zaczęłam się więc wsłuchiwać, potem twarz René przesłoniła i sufit, i żółte piętna; była pozbawiona cieni, tylko czarno-biała, raczej ciemnobiała, raczej ciemna – biel zniknęła.

– Kocham cię – powiedział, a ja się zdziwiłam: co mu przyszło do głowy, żeby teraz mówić o miłości? – chcę, abyś o tym wiedziała. Oczywiście, wszyscy tak mówią. Wiem, mówili ci wiele razy o miłości, ja tego nie potrzebowałam, ale teraz powiem. – Próbowałam się uśmiechnąć, może nawet uśmiechnęłam się, nie pamiętam. – Kocham ciebie tak, jak nikt nigdy cię nie kochał i jak nikt nigdy cię nie pokocha. W swoim czasie dowiesz się o wielu rzeczach i zrozumiesz to.

On to mówi ze smutkiem, uświadomiłam sobie, te wszystkie słowa, nawet intonacja – wszystko było zabarwione smutkiem. Chciałam mu spojrzeć w oczy, ale jego twarz była tak blisko, że mi się to nie udało. Pocałował mnie

w usta, szybko, ledwo je muskając, też z jakimś niezwykłym smutkiem. Wszystko było smutne, smutek łomotał we mnie jak w beben. Dlaczego jest tak smutno, smutno, smutno? Rozchyliłam nieco wargi, ale René już obok mnie nie było.

– Wyjeżdżam – powiedział.

– Teraz? Tak prędko?

– Po co to odwlekać? Im szybciej się wszystkiego dowiem, tym szybciej się to skończy.

Ciągle nie mogłam uchwycić jego spojrzenia, ale jego oczy, wiedziałam to dobrze, były smutne. Takie je zapamiętałam. Milczałam. Słyszałam, jak René nagle podniósł się z kanapy, znów był zdecydowany i ostry, odczytałam to po szeleście odzieży, kiedy się ubierał. Więcej już do mnie nie podszedł.

– Jedzenie w lodówce – powiedział z daleka. – Musisz coś koniecznie zjeść. – Potem nastąpiła pauza. – Jutro do ciebie zadzwonię.

Trzasnęły drzwi, słyszałam, jak trzasnęły drzwi.

Kiedy się obudziłam, telefon pochwycił moje spojrzenie, jakby całą noc tylko na to czekał. Spojrzałam na zegarek, było około jedenastej, nie wiedziałam, jak długo spałam, nie wiedziałam nawet, kiedy zasnęłam. Narzuciłam na siebie szlafrok i poszłam do kuchni zaparzyć kawę. Trzęsło mna, ale wypięłam przynajmniej pół filiżanki, żeby dojść do siebie. Nie udało mi się.

Ileż to razy próbowałam sobie później przypomnieć i odtworzyć ten dzień minuta po minucie, ale nie udało mi się. Coś zrobiło się z moją pamięcią, odmawiała składania obrazów z małych kawałeczków. Dokładnie tak samo nie można poskładać rozbitego samolotu, zbyt dużo pogiętych części. Tak minął ranek, a w dzień znów zasnęłam na jakieś trzy godziny, nawet nie zdejmując szlafroka.

Potem wstałam i znów poszłam do kuchni, nie miałam zupełnie apetytu, ale z powodów zdroworozsądkowych musiałam „zażyć” jedzenie i zrobiłam to. Pomyślałam, że René dawno już jest w Rzymie. Na pewno dojechał tam rano, jeżeli jedzie się spokojnie, to trzeba na to jakieś trzysta godzin, a on prawdopodobnie dojechał w dziesięć godzin, a może nawet prędzej. Próbowałam policzyć, kiedy mógł dojechać, ale nie potrafiłam, bo nie wiedziałam dokładnie, o której wyjechał z domu. Jeżeli wieczorem, to powinien być w Rzymie następnego dnia rano, a jeżeli w nocy, to w pierwszej połowie dnia. Postawiłam telefon pod ręką, włączyłam telewizor i zaczęłam oglądać, dziś nawet pamiętam jeszcze, że to był czarno-biały film Bergmana. Potem zadzwieczał dzwonek telefonu, podniosłam słuchawkę i usłyszałam głos René.

Teraz trzeba uważać, mówię sama do siebie. Już przedtem kilka razy próbowałam przypomnieć sobie i przeanalizować każde wypowiedziane wtedy przez nas słowo, intonację najbliższego z nich, ukryty sens każdej pauzy. Próbowałam wciąż i wciąż rozszyfrować ich znaczenie i znaleźć odpowiedź – ale nie potrafiłam. Teraz muszę to zrobić. Teraz muszę być uważniejsza.

– Tak? – zapytałam.

Głos René było bardzo dobrze słycać, chociaż dawało się odczuć, że mówi z daleka.

– Nie śpisz? – spytał.

– Nie – odpowiedziałam.

– Jak się czujesz?

– Normalnie. – Pauza. – No i co? – znów zapytałam. Już wiedziałam, po tym, w jaki sposób mówił, wiedziałam już wszystko.

– Widziałem ich. I ja, i jego.

– No i jak? – Widać było, że przedłuża rozmowę, więc sama się domyśliłam. Wpatrywałam się w aparat telefoniczny, był szary, zawsze myślałam, że jest biały, a tymczasem okazało się, że jest szary. Dotknęłam tej szarości i przesunęłam po niej palcem. Wszystko było już skończone i bezsensowne. Ja sama byłam bezsensowna.

– Wszystko ci opowiem. Nic nie ukrywając. – I tak wiedziałam, że niczego przede mną nie ukryje, więc w odpowiedzi milczałam. Na wszelki wypadek jednak zapytał, żeby się upewnić: – Dobrze?

– Dobrze – zgodziłam się.

To było dziwne: byłam na skraju załamania nerwowego, tak jakbym niczego nie czuła, mogłam za chwilę stracić świadomość, utrata świadomości byłaby schronieniem przed realnym światem.

– Jest młoda, piękna, ma na imię Sophie.

– Ile ma lat? – spytałam.

– Około dwudziestu. – Skinęłam głową. Młodsza ode mnie o co najmniej piętnaście lat. – Jest typową Włoszką, gorącą i żywą, z tych, co to wiedną koło czterdziestki.

„Koło czterdziestki – uśmiechnęłam się – nie wiedział, co mówi. Poza tym ja nie jestem Włoszką, nie jestem gorącą, a najważniejsze – nie jestem żywą!”

– Widziałem ich razem. – Jego głos brzmiał głucho, na pewno z powodu zdenerwowania. – Wiem, że cię to zaboli, ale ci powiem...

„Nie trzeba!” – chciałam krzyknąć, ale nie mogłam, milczałam. Już nie wiedziałam, czy jeszcze jestem przytomna, czy już nie.

– Widziałem ich razem. Wyglądają tak jakby byli w sobie zakochani.

– Tak wyglądają? – mogłam tylko powtórzyć po nim.

– Tak, to widać. Po drobiazgach. Widać od razu. Wiesz jak to jest, on ją obejmuje, a ona po prostu zawisa na nim.

On wtedy robi takie maślane oczy i uśmiecha się. Ciagle ją obejmuje... – René zawiesił głos.

Czy ja wiem? Przecież tylko ja to znam! Przytrzymałam się kanapy, żeby nie upaść na podłogę. Gdybym osunęła się na podłogę, już nie potrafiłabym wstać.

Wstaję, robię kilka kroków, znów się zatrzymuję, ogarnia mnie niewytłumaczalne zdenerwowanie. Tyle czasu rozpamiętywałam tamtą rozmowę i dopiero teraz się wszystkiego domyśliłam. Podchodzę do okna, tam, na dworze, jest ciemno. Moja świadomość sama starała się oszukać, zignorować rzeczywistość, mówię sama do siebie. Gdybym wtedy straciła przytomność, teraz byłabym już zdrowa. Dlaczego nie straciłam wtedy przytomności? Dlaczego przytrzymałam się kanapy?

– ...i w ogóle to widać – zakończył René i znów zamilkł. Ja też milczałam. – Co z tobą? – spytał w końcu.

– Wszystko mnie boli, René. Ty wiesz, jak to boli. Ja umrę.

Teraz trzeba się uspokoić. Opieram się o parapet, dotykając czołem szyby, która oddziela mnie od nocnego lasu. Jest mokry od deszczu.

Powinnam być uważniejsza. Najważniejsze jest to, żeby pamiętać, co i kiedy mówiłam, kiedy milczałam, a nawet, w jaki sposób milczałam. Wszystko dlatego, że moje słowa i moje milczenie zostaną poddane analizie. Powinnam jeszcze raz wszystko sobie przypomnieć, bardzo uważnie, dokładnie, słowo po słowie. Tylko to jest ważne, tylko to!

Dokładnie pamiętam mój głos mówiący, że umrę. Ale czy powiedziałam, że jestem chora? Nie jestem pewna, ale chyba o tym mówiłam. Właśnie dlatego René zapytał:

– Czego chcesz, co mam zrobić?

Albo jakoś inaczej:

– Czy chcesz, żebym coś zrobił?

Nie pamiętam słowo w słowo, ale to on, René, zadał mi jedno z tych pytań – jestem tego pewna. Wtedy nie rozumiałam, o czym mówi. Taka jest prawda!

„Czy to prawda?” – pytam sama siebie.

„Tak, to prawda, ale wtedy tego nie rozumiałam”. Dlatego zapytałam:

– Co?

Przecież nie mogłabym zapytać – co? – gdybym wiedziała, co on ma na myśli.

Wtedy nie wiedziałam, przerywam sama sobie, nie oszukuję, naprawdę nie wiedziałam!

– Mogę zrobić cokolwiek.

Zapamiętałam to zdanie, René właśnie tak powiedział: „cokolwiek”.

Czy teraz się domyśliłaś? Mam ochotę powiedzieć „nie”, ale nie jestem pewna. Nie byłam sobą. Dlatego znów zapytałam „co?”

– Co?

– Cokolwiek, żeby ci więcej nie przeszkadzał.

Teraz muszę przypomnieć sobie najważniejsze – czy René powiedział: „nigdy nie przeszkadzał” czy „nie przeszkadzał?”. To podstawowa różnica.

Jak on powiedział?

Nie pamiętam, prawie krzyczę na siebie, nie pamiętam! W porządku, a co powiedziałaś potem?

Albo w ogóle nie odpowiedziałam, albo rzuciłam: „Nie wiem, rób, co chcesz” czy coś w tym rodzaju.

Co to znaczy „coś w tym rodzaju”, powiedziałaś – czy nie? To jest najważniejsze!

Nie wiem, wydaje mi się, że nic nie odpowiedziałam, dlatego że René powiedział jeszcze coś takiego:

– Żeby on więcej cię nie prześladował.

Wtedy zamilkłam, to pamiętam z całą pewnością. Ja w ogóle więcej nie powiedziałam już ani słowa i René też milczał, a potem powiedział:

– No dobrze. Jeszcze zadzwonię – i odłożył słuchawkę.

Potem zasnęłam, jak to się mogło stać? Nie wiem, ale usnęłam od razu.

Głęboko oddycham i nocny las za oknem od razu pokrywa się delikatną mgiełką, która osiada na szkle. Lekki dreszcz przebiega moje ciało. Dopiero teraz zaczynam się w tym wszystkim orientować – po raz pierwszy! Jak to się mogło stać, że nie rozumiałam tego przedtem?!

Nie jestem niczemu winna. Kompletnie straciłam świadomość, nie miałam zupełnie pojęcia, co się dzieje dokoła mnie, nie rozumiałam, co on właściwie mówi, słyszałam, ale nie rozumiałam. Inaczej nie poszłabym spać. Położyłabym się, ale nie zasnęła. To znaczy, że nie rozumiałam, co się dzieje, i nazywa się to stanem afektu.

Mój oddech znika ze szkła, znów mogę rozróżnić ciemny, prawie już nocny mrok za oknem, wieczór dokładnie skałpany w połyskującym deszczu.

Przecież René nie wiedział, że jestem nieprzytomna, pomyślałam sobie, wziął moje milczenie za zgodę.

A w czym tutaj moja wina? Byłam nieprzytomna i nie mogę odpowiadać za swoje milczenie. Chwała Bogu, że we wszystkim się w końcu zorientowałam, po wieloletnich męczarniach nie do wytrzymania, w końcu na szczęście zorientowałam się.

Dokładnie tak, powtarzam za sobą, nie mogę odpowiadać i jestem niewinna. W ogóle niczemu nie jestem winna.

Już przestałam drzeć, dreszcz tylko z rzadka przeszywa moje ciało. To jest dokładnie taki zimny dreszcz, jakby coś śliskiego, zimnego i wilgotnego włożyło mi za kołnierz i rozpełzało się po całym ciele i w tym momencie się

wzdrygałam. Tak jak wzdryga się las z powodu deszczu. Próbowalam się z nim porównać. Odrywam głowę od szkła, już nie chłodzi, ogrzałam je, oddając mu swoje ciepło. Jak to się stało, że jeszcze się nie rozpląnęło?

A potem obudziłam się, było już widno, gdzieś koło ósmej, a o dziewiątej zadzwonił René. Pamiętam, że spojrzalam na zegarek, wskazywał dziewiątą godzinę, a zaraz potem zadzwonił telefon.

– To ja. – Mówił teatralnym szeptem. To początkowe „to ja” też brzmiało jakoś tajemniczo i sztucznie.

– Tak – powiedziałam – gdzie jesteś?

– Już po wszystkim – powiedział, jakby mnie nie słyszał – możesz się już więcej nie denerwować.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co on ma na myśli, ale zimna, rozlewająca się po całym ciele fala od razu mnie nakryła. W ostatnim czasie przywykłam do niej, ale teraz była zmieszana z przerażeniem.

– O czym ty mówisz? – zapytałam i w tym momencie wszystko ułożyło się w całość: jego głos, wczorajsza rozmowa, moje milczenie – wszystko ułożyło się w całość.

– Po wszystkim – powtórzył – nie musisz się już nigdy więcej denerwować.

Tak właśnie powiedział „już nigdy”, dobrze to zapamiętałam.

Słyszałam swoje serce, czułam własne ciało, moje ciało było sercem – więcej niczym.

Tłukło się w rękach, w ramionach, w głowie. Zostało tylko ono, cała reszta stała się tylko obudową dla schorowanego, oszalałego serca.

– Nie rozumiem – powiedziałam. Rozumiałam jednak wszystko. W tej chwili już wszystko rozumiałam.

– Nie mogę w tej chwili mówić – głos René jeszcze bardziej się oddalił. – Uspokój się, nie musisz się już teraz

niczym więcej martwić. Wszystko dało się rozwiązać bardzo pomyślnie. Na zawsze. Zapomnij o wszystkim, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby całej tej historii nie było. On nie będzie cię już niepokoić.

– Jaki on? – spytałam, świetnie wiedząc kto. Nie mogłam jednak nie zadać tego pytania, bo bałam się, że René odłoży słuchawkę.

– Nie mogę teraz rozmawiać – powtórzył głos w słuchawce, już prawie go nie słyszałam, pomyślałam jeszcze, że na pewno zepsuł mi się telefon. Inaczej, dlaczego bym go tak źle słyszała? – Na mnie już czas. Nie denerwuj się, wszystko w porządku, wszystko już skończone.

„Dlaczego on powtarza w kółko to samo?” – nie rozumiałam.

– Na jeden dzień zostanę tutaj. Mam sprawy do załatwienia. Będę pojutrze. – Jego głos zanikł.

Ciągle jeszcze trzymałam w ręce słuchawkę, próbując zorientować się, o co chodzi, nawet dzwonki telefonu były nienormalne: przejmujące, nerwowe, urywane. Walily we mnie jak w bęben, a ja próbowałam zrozumieć ich sens, jakby wstydziły się powiedzieć mi o czymś, dopóki trzymałam słuchawkę. Potem słuchawka stała się ciężka i opadła, ręka znów zwisała, prawie dotykała podłogi, potem upadła także słuchawka.

„Czy to było omdlenie?” – myślę sobie znów. Na pewno było, ale jakieś dziwne, dlatego że pamiętam swoje wątpliwości, dzwonki telefonu, szcęk szkła, rumor, upadłam, pełzałam, walczyłam, przeciwstawiałam się, coś na mnie wjeżdżało, widziałam krew. To wszystko przypomniałam sobie jednak później. Wtedy, kiedy się ocknęłam, stałam obok stołu, wychylona przez okno, chwyciłam powietrze otwartymi ustami jak ryba. Jeszcze nie mogłam się ruszyć, ale rozumiałam, że przeżyłam, chociaż o mało co nie umarłam, i teraz już nie umrę. Serce ciągle jeszcze waliło

we mnie nierównomiernymi, błazeńskimi skokami. „Dlaczego błazeńskimi?” – nie wiem, dlaczego tak pomyślałam, teraz to było nieważne, dlatego że przeżyłam. Zdołałam się rozejrzeć.

Stół leżał przewrócony, na pewno chwyciłam się go, próbując wstać i upadł. Na podłodze walały się skorupy wazy i jeszcze czegoś ceramicznego. Co my mieliśmy z ceramiki? – próbowałam sobie przypomnieć, ale nie potrafiłam. Krzesła były poprzewracane, jedno połamane na kawałki, dywan pościagany, jakby w niego zawijano człowieka, nawet obraz spadł ze ściany i pobłyskiwał rozbitym szkłem. W jaki sposób dosięgłam go i zerwałam?

Widocznie walczyłam o życie. Jak ja zdołałam walczyć z taką determinacją i dlaczego pełzłam w stronę okna? Skąd wiedziałam, że muszę dostać się do okna? Ja, jak zwierzę, prowadzone podświadomym instynktem, próbowałam przeżyć i tyle. W końcu poczułam ból, miałam przeciętą rękę, wszystko było umazane krwią, dopiero teraz zauważyłam, że ubranie też. Bałam się jednak ruszyć od okna. Powinnam się śpieszyć i nawet powiedziałam do siebie: „powinnam się śpieszyć”, a potem powtarzałam ciągle: „trzeba się śpieszyć, trzeba się śpieszyć”.

„Dlaczego ja się śpieszyłam?” – myślę, odrywając się od okna, deski podłogi odpowiadają na moje kroki delikatnym cichym poskrzypywaniem. Boję się. Doskonale pamiętam ten paraliżujący mnie strach, że René przyjedzie, a ja będę musiała patrzeć na niego i słuchać jego głosu. Jedna myśl przerażała mnie szczególnie, że znów zobaczę jego chłodne, obojętne oczy. Oczy zabójcy! Przecież zawsze wiedziałam, że on jest zabójcą i żyłam z nim, wiedząc o tym, tylko dlatego, że lubiłam z nim sypiać. Teraz budziło to wstręt, nie chciałam o tym nawet pamiętać, ale w mojej głowie uparcie powracał obraz jego zimnych oczu, chwytnych

rań, dźwięk jego głosu, jego sposób siedzenia, jego chód, lekki, spięty, sprężysty, jakby szykował się do skoku.

Co ja narobiłam? Dopiero teraz zrozumiałam, z kim żyłam przez cały ten czas. I co narobiłam? On zabił mojego Dina. Nie wiem dlaczego nie chciałam płakać, jeżeli próbowałam, to nie udawało mi się. Serce osłabło, jeszcze raz głęboko westchnęłam, jakbym się uspokajała, zastanawiając się, czy mogę się położyć.

Potem znalazłam się w sypialni, upychałam do walizki bieliznę, żakiety, sukienki, jak popadło. Walizka była czerwona i z trudem dojrzałam na niej krew. Rzuciłam ubrania i poszłam do kuchni po ręcznik albo ścierkę, co za różnica. Po drodze natknęłam się na przewrócone krzesło i schyliłam się, żeby je podnieść, coś chrupnęło mi pod nogą, skorupa, nagle serce podeszło mi do gardła, a cały pokój zawirował przed oczami. Musiałam się przytrzymać ściany, żeby nie upaść. Nie możesz wykonywać nagłych ruchów, mówiłam sobie.

Jakoś dotarłam jednak do kuchni i zakleiłam sobie skaleczenie trzema plastrami, ale jedną ręką było niewygodnie, więc znów umazałam się krwią. Prześladowała mnie myśl, że muszę się śpieszyć, że muszę stąd uciec, zanim on wróci, powiedział, że będzie pojutrze, jest sprytny, wszystko sobie przemyślał, może tu być w każdej chwili. Rozumiałam, że znów nie jestem sobą, w każdym razie wiedziałam, że on potrzebuje co najmniej dziesięciu, no może nie dziesięciu a ośmiu, dobrze, niech będzie, pięciu godzin, żeby być tutaj z powrotem. Zdamę jeszcze coś zjeść i wziąć prysznic, już nie myłam się, wstyd powiedzieć, bardzo długo. Sama czuję swój zapach, pierwszy raz w życiu...

Było mi jakoś lepiej, może dlatego, że wiedziałam już, że stąd odchodzę. Poczułam ulgę, teraz mogłam się już odprężyć i nawet zjeść cokolwiek, a potem iść pod prysznic. Co ja wtedy jadłam? – staram się sobie przypomnieć, znów

podchodzę do okna i zatrzymuję się. Jaka to różnica? Żadna, odpowiadam sama sobie i wracam.

W głębi duszy podejrzewałam, że René sam to wszystko wymyślił. Staralam się nie moczyć zaklejonej plastrami ręki, niełatwo było się myć, trzymając ją na zewnątrz, dochodziłam do siebie dzięki wodzie, świeżemu powietrzu, ciepłu. Nagle przyszło mi do głowy, że on mógł to wszystko wymyślić od początku do końca. Niewątpliwie gryzł się tym, że ja to wszystko tak przeżywam, na pewno się tym denerwował, przecież każdy by się denerwował. Dlatego nie chciał, bym jechała do Dina, przekonał mnie i pojechał sam. Po co miałby zabijać, jeżeli mógł po prostu powiedzieć, że zabił? Wiedział, iż mu uwierzę, jestem w takim stanie nerwowym, że uwierzę we wszystko, co mu się będzie podobało, w to, że zabił, także. Chciał tylko, żebym się uspokoiła. Może rzeczywiście wszystko tak właśnie wygląda. Mówił mi, że jestem od niego bardziej żywotna, mądrzejsza i sprytniejsza. Śmieszne jest nawet porównywanie, oczywiście, jestem mądrzejsza, tylko znajdowałam się w bardzo złym stanie psychicznym. Można mną było wtedy bardzo łatwo manipulować.

Jakie śmieszne słowo, myślę sobie, „manipulować”, długie, niewygodne do wymówienia. Czy to możliwe, że znalazłam wtedy właśnie to słowo? Nie, ja w ogóle nie myślałam słowami. Myślałam, że on mnie nie docenił, a ja przecież domyśliłam się wszystkiego sama, to prawda, o mało przedtem nie umarłam.

Zakreśliłam wodę, wyszłam z łazienki, nie wycierałam się, by czuć przyjemny chłód wilgoci na skórze. Nawet nie narzuciłam szlafroka, tylko od razu wykreśliłam numer Dina. Nikt nie odbierał. Próbowałam, trzymając słuchawkę, przeczekać głuchy odgłos dzwonek. „Nie ma go w domu, po prostu nie ma go w domu” – powtarzałam w duchu. Zrobiło mi się chłodno i odłożyłam słuchawkę.

Długo się ubierałam. Przymierzyłam jedną sukienkę, wisiała na mnie jak na wieszaku – nie podobała mi się. Przymierzyłam drugą, i znów to samo. Co to właściwie za różnica – powiedziałam i ubrałam się jak najprościej – włożyłam bluzkę i džinsy, przejrzałam się w lustrze, nie wyglądałam w tym stroju na chorobliwie chudą, po prostu na szczupłą. Nie chciałam taszczyć ze sobą waliz, w nosie miałam ubrania, wiedziałam, że już nigdy nie wrócę do tego domu i nie zobaczę tego człowieka ani nie usłyszę jego głosu. Rozpłynę się, zniknę, przestanę dla niego istnieć. Wypakowałam jednak z torby wepchnięte tam bezładnie rzeczy i złożyłam je porządnie, a potem wyjęłam z szafy jeszcze kilka sukienek, też je poskładałam i dołożyłam do reszty.

Postanowiłam, że z Włoch zadzwonię do swojej firmy i rozliczę się z nimi. Pracę znajdę wszędzie, a zresztą mogę przez kilka lat nie pracować, zarabiałam wystarczająco dobrze, żeby sporo oszczędzić, więc teraz mogę odpocząć od pracy. Zresztą, czy mi tak wiele potrzeba? Najważniejsze, żeby wszystko było w porządku z Dinem. Byłam przekonana, że tak jest, prawie przekonana. Zamówiłam taksówkę i po godzinie byłam na lotnisku. Samolot miałam za dwie godziny, musiałam więc coś w tym czasie ze sobą zrobić.

Zaczęłam się zastanawiać, jak będzie lepiej: pojechać od razu do mieszkania Dina, czy zatelefonować i umówić się z nim na spotkanie. Jeżeli okaże się, że go nie ma w domu, to nie wiadomo, ile będę musiała czekać. Jeżeli sam mi otworzy drzwi, na mój widok gotów jest paść z wrażenia. Wyobraziłam to sobie i roześmiałam się, pewnie zbyt głośno, bo jakaś podstarzała dama, wymalowana i utleniona, odwróciła się i spojrzała na mnie znad okularów. Nagle zaczęły mnie śmieszyć moje niedawne obawy, oczywiście, że on żyje, oczywiście, że nic się nie

stało. Ten, postanowiłam zapomnieć, jak ma na imię, wszystko to wymyślił, nie rozumiałam, dlaczego byłam taka głupia i uwierzyłam w to, co mówi. Chyba klepki mi się poprzestawiały i kompletnie zwariowałam.

Rozumiesz, Dino się żeni. No i co z tego? Czy ja nie wiem, jak to jest w życiu? Na pewno przed nią też miał jakieś kobiety. Jest młody i przystojny. A to jeszcze jedna! Co za różnica? One wszystkie przychodzą i odchodzą, tylko ja pozostaję na zawsze. To jest dla mnie zupełnie oczywiste, nie rozumiem, dlaczego wcześniej nie zorientowałam się, że ja go nigdy nie mogę stracić? Wiem, że jeżeli nawet Dino powie, że ją kocha, tę Sophie – już pół roku, rok, z całych sił, to w końcu i tak do mnie wróci. To nawet lepiej, jeżeli się ożeni. Tak będzie bezpieczniej dla mnie, a po pewnym czasie znów będziemy razem. Dlatego, że to, co było między nami, nigdy nie minie.

Kiedyś wyczytałam gdzieś taką myśl: „Żeby móc zabić w sobie jedno życie, trzeba przeżyć jeszcze jedno, równe temu”. To niemożliwe, żeby Dino mógł przeżyć życie równe naszemu z kimkolwiek innym. Jak to się stało, że ja od razu tego nie rozumiałam; dlaczego dałam się podpuścić i wpadłam w rozpacz?

Weszłam do baru, zamówiłam kawę i kieliszek brandy, zachciało mi się brandy, a i jeszcze kanapki i czekolady; chciało mi się jeść, tak dużo jak nigdy.

W samolocie z mojej prawej strony siedział szpakowaty mężczyzna w ciemnych okularach, nawet w samolocie ich nie zdjął. Pachniało od niego dobrą wodą kolońską, czułam, że od czasu do czasu zerka na mnie, chociaż nie widziałam jego oczu. Uśmiechnęłam się do niego i zainteresowałam się, skąd jest. Odpowiedział, że jest Szwajcarem, mówił z silnym akcentem. Opowiedziałam krótką anegdotę na temat Szwajcarów, ale przyzwoita, Roześmiał się, pokiwał głową, a potem opowiedział swoją anegdotę, zupełnie nie

śmieszna, ale ja też uśmiechnęłam się z grzeczności i skinęłam z uznaniem głową. Gadaliśmy ze sobą przez całą drogę, a potem on zostawił mi numer telefonu, pod którym będzie go można zastać w Rzymie. Wzięłam ten numer, obiecałam, że oczywiście zadzwonię, wiedząc, że nigdy tego nie zrobię.

W rezultacie nie zdążyłam się zastanowić, co mam zrobić. Zadzwoniłam do Dina od razu z lotniska, do telefonu jak przedtem nikt nie podchodził, więc postanowiłam od razu pojechać do jego domu. Wsiadłam do pierwszej z brzegu taksówki i podałam adres. Jechaliśmy przez centrum, zbliżał się wieczór, pokrywał miasto gęstym zmrokiem, było pięknie, ale nie podziwiałam widoków, tylko myślałam o tym, że zaraz zobaczę Dina.

Okazało się, że mieszka w pobliżu centrum, sprawdziłam adres, wszystko się zgadzało, dom był niewysoki, dwupiętrowy, na cichej, niezbyt często niepokojonej przejeżdżającymi samochodami uliczce. Wypatrzyłam, gdzie są okna jego mieszkania, to nie było specjalnie trudne, na ostatnim piętrze były tylko dwa mieszkania, tak zresztą jak na parterze i pierwszym piętrze, jedno z lewej, a drugie z prawej. Jego mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze po lewej stronie, ale w oknach było ciemno.

Zobaczyłam naprzeciwko małą kawiarenkę, usiadłam przy stoliku na ulicy, zamówiłam capuccino i pannini z szynką. Odzwyczaiłam się już od mocnej włoskiej kawy, odświeżyła mnie, jadłam z apetytem, w każdej chwili oczekując, że nadejdzie Dino, przejdzie chodnikiem, nie zauważy mnie i zacznie kluczem otwierać drzwi wejściowe. Nie bałam się nawet tego, że pojawi się w towarzystwie, wiedziałam już, że to nie ma większego znaczenia.

Około jedenastej wieczorem weszłam do kawiarni do środka i poprosiłam o książkę telefoniczną, żeby zadzwonić

do najbliższego hotelu. Wynajęłam pokój, podając zmyślone, nikomu nieznane nazwisko, być może ten świr będzie próbował mnie odnaleźć, wreszcie zasnąłam jak zabita. Nic mi się nie śniło, rano wstałam świeża, jakbym się na nowo urodziła. Dlaczego Dino nie pojawił się wieczorem w domu? – pomyślałam. Mógł wyjechać z teatrem na występy. Szkoda, że nie wiem, w którym teatrze on gra. To byłoby najprostsze – pójść do teatru. Jak to się stało, że nie pomyślałam o tym wcześniej?

Nie brałam taksówki, postanowiłam się przejść. Jedno z okien w mieszkaniu Dina było lekko uchylone, a wczoraj wieczorem, pamiętałam to dokładnie, wszystkie okna były zamknięte. To znaczy, że ktoś jest w domu: albo ona, albo on. Weszłam do kawiarni, w której wczoraj jadłam kolację, zadzwoniłam, ale znów nikt nie odbierał telefonu. Jeszcze raz wykręciłam numer – bez rezultatu. Ale przecież, jeżeli okno jest otwarte – mówiłam sobie – to znaczy, że ktoś jest wewnątrz, jakżeby inaczej? Przeszłam na drugą stronę ulicy i zadzwoniłam do drzwi budynku. Nie pomyślałam, co powiem, gdy ktoś mi otworzy, przecież nie wiedziałam, kto to będzie. Ale nikt nie otwierał. Zadzwoniłam znów, potem jeszcze raz, po prostu wbiłam palec w przycisk domofonu.

Stałam tak pod drzwiami, naciskając na guzik, kiedy rozległ się brzęczący dźwięk otwieranego zamka i weszłam do hallu. Powinłam się zatrzymać, uspokoić oddech i zebrać myśli. Nie mogłam, zupełnie jakby ktoś mnie gonił, a może to ja sama siebie goniłam, pobiegłam po schodach; znów zadzwoniłam, tym razem do drzwi mieszkania. Otworzyły się natychmiast, niemal równo z moim dzwonkiem.

Mogłam się od razu domyślić, gdyby nie ten oddech, krótki i urywany, że stojąca przede mną dziewczyna – to Sophie. Była rzeczywiście piękna, jej uroda rzucała się w oczy, na pewno dlatego nie zauważyłam od razu, że jest nietypowo ubrana i dziwnie na mnie patrzy. Mogłabym od

razu domyślić się po jej ubraniu, ale się nie domyśliłam. Odsunęła się przepuszczając mnie i powiedziała jakby mechanicznie.

– Proszę wejść. – Poznałam jej głos.

Weszłam, w przedpokoju było ciemnawo, właściwie prawie zupełnie ciemno.

– Długo pani dzwoniła? – zapytała i nie doczekawszy się odpowiedzi, dorzuciła, jakby się usprawiedliwiała – spałam i nic nie słyszałam.

– Proszę wejść – powtórzyła i pierwsza weszła do salonu.

W pokoju było widniej. Sophie zatrzymała się na środku i odwróciła w moim kierunku. Naprawdę była ładna, chociaż miała typowo włoską urodę, tylko była bardzo blada.

– Kim pani jest? – zapytała.

Stałyśmy na środku pokoju.

– Jestem znajomą Dina. Jesteśmy starymi znajomymi – powiedziałam.

– A... – wymamrotała, jakby jej to w ogóle nie interesowało. – Widzi pani, jak ja wyglądam. Ja... – bezsilnie rozpostarła ramiona, poruszając samymi dłońmi – sama nie wiem. Wydaje mi się, że panią widziałam. Jest mi pani jakoś znajoma.

– Mało prawdopodobne. – Domyśliłam się, że poznała mój głos i starałam się zmienić akcent. – Mieszkam w Ameryce, jestem Amerykanka.

– A... – powiedziała. – Nigdy nie byłam w Stanach. Poznaliście się z Dinem, kiedy był w Ameryce?

Nie wiedziałam, że Dino był w Ameryce. Skinełam głową.

– Tak – powiedziała i znów zamilkła. – Powinnam się umyć. Wiem, że źle wyglądam. – Milczałam i dalej stałyśmy. – To pani specjalnie przyleciała? – spytała i dalej nie ruszała się z miejsca.

Dotarło do mnie, że jest ubrana na czarno. Nawet wstażka we włosach. Poczułam, że zaraz zemdleję. Musiałam podejść do krzesła i przysiąść.

– Przepraszam, nie poprosiłam, żeby pani usiadła, to dlatego, że jestem zaspana. Wie pani, śpię, potem się budzę, płaczę i znów zasypiam. W ogóle niezbyt dobrze się czuję. Jak pani ma na imię?

– Jackie – powiedziałam.

– Wydaje mi się, że Dino opowiadał o pani. Zdaje się, że pani jest archeologiem. – Skinęłam głową, nieważne, mogę być archeologiem. – Czy podać pani coś do picia? – Przytaknęłam. – Co? – Wzruszyłam ramionami.

Nie zauważyłam, kiedy wyszła, ani kiedy wróciła, w mojej dłoni pojawiła się szklanka, wypiałam łyk, ale niczego nie poczułam.

– Jak to się stało? – zapytałam.

Widziałam, że zaczyna płakać, bez przygotowania, od razu, jej oczy napełniły się łzami, powstrzymywała je jeszcze przez chwilę, a potem natychmiast wybuchła płaczem. Widziałam, jak łzy spływają jej po twarzy i wpływają do ust, wycierała je, ale łzy znów napływały, a wargi jej drżały. „Ona coś mówi – pomyślałam. – Tylko dlaczego nic nie słyszę? Powinam słyszeć”.

– Co? – zapytałam. – Co pani powiedziała? – usłyszałam, jak jęknęła.

– Zabił go samochód. Wracał późno z teatru i przejechał go samochód.

Niezbyt dobrze ją widziałam, otarłam twarz ręką, były mokre – twarz i ręka.

– Kto? – spytałam.

– Nie złapali go.

Siedziałyśmy tak naprzeciwko siebie i obie płakałyśmy, obie tak samo bezdźwięcznie i tak samo wycierając łzy.

– Ja wiem – powiedziałam.

– Co? – zapytała.

Pokręciłam głową,

– Kiedy pogrzeb?

– Pogrzeb był wczoraj – odpowiedziała.

Uniosłam oczy. Wszystko mi się rozmywało, zauważyłam tylko, że ona się cała trzęsie. Szczeka jej dygotała, wydawało się, że jeszcze chwila, a oderwie się. Nie była teraz piękna, już nie była.

– Dlaczego?

– W teatrze chcieli urządzać pożegnanie, ale ja byłam przeciwna. On był tak zmasakrowany, gdyby go pani tylko zobaczyła... – Zakryła twarz dłońmi. – Wezwali mnie, żebym go rozpoznała. Sami nie wiedzieli, dlaczego zginał, zastanawiali się – zająknęła się – w końcu stwierdzili, że to był wypadek, przecież on nie miał żadnych wrogów, tylko samych przyjaciół. Wiele razy analizowali każdy ślad – pochlipywała przy każdym zdaniu – nie wiadomo dlaczego ktoś go przejechał, policja nie potrafiła go rozpoznać, a ja z trudem... – teraz już zawodziła szlochając, a ja słyszałam zawodzenie i nie wiedziałam, czy to mój głos, czy jej. – Cała odzież we krwi, a ciało, to nie ciało, ale... – ona nie mogła już dłużej opowiadać, a ja słuchać. Zrobiło mi się słabo.

– Słabo mi.

Chyba tak powiedziałam, a ona dała mi coś twardego i ja to połknęłam.

– Stale to zażywam. Uspokaja. – Próbowała uśmiechnąć się, jakby w poczuciu winy. – Chce się tylko po nich spać.

– Umilkłam.

Siedziałyśmy tak dalej, naprzeciwko siebie, obie bez sił, bez słów i już bez łez. Ona co jakiś czas pochlipywała i cichła. Podniosłam się.

– Pójdę już – powiedziałam.

Skinęła głową,

– Czy chce pani iść na grób? – spytała.

„Miła dziewczyna – pomyślałam. – Dino się nie pomylił, dobra dziewczyna, w sam raz dla niego”.

– Tak – powiedziałam.

Podawała adres.

– Nie zapamiętam. – Wydawało mi się, że dźwięki nie tworzą słów. To dlatego, że spuchł mi język. Chociaż jak on mógł tak szybko spuchnąć?

– Zapiszę pani. – Pochyliła się nad stołem, a potem podała mi złożoną kartkę papieru. – Jeżeli pani chce, to wezwę taksówkę? – Skinełam głową. Słyszałam jak telefonuje. Ona sama z trudem mówiła.

Zeszłam na dół, taksówka czekała już na podjeździe. „Skąd się tak szybko wzięła?” – pomyślałam i wsiałam. Pojechałam do hotelu, chciałam tylko spać, umierałam, tak bardzo chciałam zasnąć, żeby umrzeć we śnie.

Obudziłam się w nocy, otworzyłam oczy, zrozumiałam, że znów nie umarłam. Potem przypomniałam sobie: to Dino umarł, ściślej – przejechano go, a jeszcze ściślej – zabito! Wiedziałam, kto go zabił, tak jak wiedziałam, kto pragnał tej śmierci i zamówił zabójstwo. Mój umysł pracował bardzo jasno, może dlatego, że za oknem była czarna noc, sama zdziwiłam się jasnością mojego umysłu.

Ja jestem wszystkiemu winna. Leżałam, patrzyłam w noc za oknem i szczękałam zębami. Absolutnie wszystkiemu. Temu, że żyłam z tym zwariowanym René, temu, że moja żądza, dzika zwierzęca żądza przytepiła instynkt samozachowawczy i związałam się z zabójcą. Winna jestem tego, że dowiedziawszy się o ślubie Dina wpadłam w histerię. Zawsze wierzyłam, że mnie nie może się zdarzyć nic podobnego, a tymczasem jak w hipnozie, jak pod wpływem narkotyków. Jak ja mogłam się aż tak pomylić? Pomylić we wszystkim! Zupełnie jak dziecko. Jakbym nic nie wiedziała

o życiu, jakbym sama nigdy nie żyła. Złękłam się, że stracę Dina, kiedy nie było żadnego niebezpieczeństwa, w rezultacie straciłam go na zawsze. Teraz już na zawsze.

Znów, tak jak wczoraj, napływały mi do oczu łzy, zrobiło mi się słabo, zaczęło mi się kręcić w głowie. Skuliłam się pod kołdra, zwinęłam się, tak jak kiedyś w szkole przed robieniem przewrotów na lekcjach gimnastyki i odganiałam od siebie myśli, chcąc ukryć je głęboko. Oczywiście że Dino wróciłby do mnie, nie ulega wątpliwości, to takie proste, takie oczywiste. Teraz już nie wróci. Teraz już nie. Nigdy! Wyprostowałam się, a potem znów skuliłam.

To ja go zabiłam. Przecież mogłam powiedzieć „nie”, proste, krótkie „nie”, a wtedy on by się nie odważył i nic złego by się nie stało. Ale ja milczałam. Dlaczego? Coś oślizgłego wpełzło we mnie tak łatwo jak oddech. Ale właśnie to coś mnie zadławiło.

Ja naprawdę chciałam, żeby on umarł, szeptałam do siebie w środku nocy, w zupełnych ciemnościach słyszałam swój zgaszony szept. Groza. Przejmują mnie strachem i szept, i myśli. To przecież prawda, po co oszukiwać samą siebie? Mnóstwo razy myślałam sobie, że lepiej, by on umarł, myślałam: „Niech go lepiej wcale nie będzie, jeżeli ma nie być mój”. Pragnęłam jego śmierci.

„To przecież jednak dwie różne rzeczy: chcieć czyjejś śmierci i zabić – myślałam gorączkowo. – Przecież to nie przestępstwo – chcieć czyjejś śmierci”.

„Ale ja go przecież zabiłam – usłyszałam własny szept – zwyczajnie wzięłam i zabiłam”.

Na zawsze zapamiętam zdanie, które w końcu wypowiedziałam: „Nie ma go, nigdy nie będzie, i to ja go zabiłam!”.

Szeptałam tak przez dwie godziny, może nawet dłużej, dopóki nie nadszedł świt. W moim mózgu znów coś się poplątało, jasność wygasła i już nie był w pełni sprawny, czasem miałam przebłyski, ale nic więcej.

Znów stoję przy oknie, przyciąga mnie swoja, przezroczy-
tością, oddzielająca świat, którą można nawet namacać, doty-
kając chłodnego szkła. W szkle kryje się mistyka, fatalizm
wschodu, a do tego deszcz. Lubię deszcz, jego szmer, jego
wilgoć, zamierającą w nim przyrodę, szczególnie teraz, kiedy
jest ciemno i deszcz można rozpoznać tylko słuchem. Gapię
się w szybę. Po co? Nawet nie próbuję niczego dojrzeć.

To dziwne, jak człowiek winiący się za pomyłkę nagle
dostrzega, że się pomylił jeszcze raz przyznaniem się do
pomyłki? Jak mogłam obwiniać siebie, jak mogłam nie
zrozumieć tego, co tak łatwo zrozumiałam dzisiaj? Nie
jestem niczemu winna! Jak mogłam pomylić się wtedy
w hotelu? No, ale się pomyliłam.

Szeptaliśmy ciągle to samo, kulać się w łóżku, jakbym się
skurczyła od śmierci Dina, potem znów pomyślałam o René.
Jak mogłam go kochać, to zwierzę? Jednak go kochałam,
a teraz nienawidzę!

A Steve, pomyślałam, Steve jest zupełnie inny. Obiema
rękami pochwyciłam swój szept i pociągnęłam go do siebie.
Steve, mój kochany, na tyle miesięcy zapomniałam o tobie,
choć jesteś jedyny, ty jeden, najważniejszy, który we
mnie został. Jesteś najwierniejszy, najdłużej przebywałeś
w moim życiu. Jak mogłam o tobie zapomnieć?

Zerwałam się tak gwałtownie, że omal nie upadłam,
rozejrzałam się, szukając telefonu. Okazało się, że stał
obok. Podniosłam słuchawkę, wystarczyło wystukać numer,
ale ręka zamarła na klawiaturze.

Nie znam numeru, nigdy nie znałam, dlatego że nigdy
nie dzwoniłam.

To nawet dobrze. W każdym razie nie mam już co robić
w tej Europie, pora wracać do domu, zbyt długo już tu
jestem; wrócę tam, gdzie wszystko się zaczęło, do tego,
z kim wszystko się zaczęło.

Zmęczyłam się, trudno się dziwić, pragnę spokoju i cichej miłości, osiedlimy się ze Steve'em na wsi, gdzie będzie cicho i prosto. Urodzę mu dzieci, jeszcze mogę rodzić, nawet nie jedno, a dwoje lub troje. Będziemy żyli jak prawdziwa rodzina, kochając się nawzajem. Stanę się zupełnie inna i o wszystkim zapomnę. On przecież przez cały czas mi pisał, że mnie kocha. I ja go kocham, mojego Steve'a, zawsze go kochałam, to takie oczywiste.

Siedziałam na łóżku, spuściwszy nogi, patrzyłam w jeden punkt i czułam, że robi mi się niedobrze. Przestrzeń zaczęła wirować. To był ciąg dalszy choroby, teraz o tym wiem, ale wtedy wydawało mi się, że trzeba być bardziej energiczną i działać. Nie miałam czego pakować, nie wyjmowałam z torby prawie niczego, tylko przybory toaletowe. Wciągnęłam na siebie dżinsy i bluzkę, wszystko już nieświeże, ale do diabła z tym. Wyszorowałam tylko zęby i umyłam twarz – nie było czasu, powinnam się pośpieszyć – i zeszłam na dół. Zapłaciłam za hotel, zamówili mi taksówkę, powiedziałam „lotnisko”. Dodałam jeszcze „szybciej, ja muszę szybciej”. Było mi bardzo zimno, drżałam z chłodu, otworzyłam torbę, wyciągnęłam sweter i włożyłam go.

Prawie dojeżdżaliśmy, widziałam, jak zupełnie blisko samoloty unoszą w powietrze swoje teponose pyski. Siegnęłam do kieszeni po pieniądze i wyjęłam złożony papier. Długo nie mogłam zrozumieć, co to, ale potem przypomniałam sobie: cmentarz, na którym pochowano Dina, adres. Nie mogłam nie odwiedzić cmentarza, nie stanąć nad mogiłą Dina chociaż na minutę, więc podałam kierowcy nowy adres, a on nawet się nie zdziwił, tylko zawrócił. Jechaliśmy długo, nie rozumiałam, dlaczego tak długo, zatrzymywaliśmy się, kierowca otworzył plan, przeklinał, ja też coś odpowiadałam. W końcu już zupełnie za miastem znaleźliśmy niewielki cmentarz i zatrzymaliśmy się pod

bramą. Poprosiłam kierowcę, żeby poczekał najwyżej dziesięć minut, ten w milczeniu skinął głową. W biurze starzec, nieogolony, wyglądający na zaniedbanego, rozmawiał przez telefon; kartkował przy tym stronicę księgi cmentarnej, śliniąc tłuste palce z brudem za paznokciami. Usiadłam na krześle, a potem wstałam, podeszłam do biurka, prawie zawisłam nad starcem, nie mogłam czekać, a on nie zwracał na mnie uwagi, rozmawiał dalej, nawet nie podnosząc oczu. Wzięłam z biurka ołówek i na leżącej obok gazecie napisałam imię i nazwisko i podsunęłam mu pod nos. Wtedy zasłonił słuchawkę tłustą dłońią i powiedział: „Proszę poczekać, ja za chwilę”. Ale ja nie mogłam czekać.

– Proszę tylko powiedzieć, gdzie jest grób. – Spojrzał na moje gryzmoły.

– A, tego młodzieńca, którego przedwczoraj pochowano?

Znów zrobiło mi się słabo. Podał numer kwatery i wyszłam. Mogiła była przybrana jeszcze niezwiędniętymi buketami kwiatów. Niektóre požółkły, ale tych było mało. Ze świeżej ziemi sterczała żelazna tabliczka z danymi i fotografią. Schyliłam się, żeby spojrzeć. Dino zupełnie się nie zmienił, zawsze taki sam spoglądał na mnie z uśmiechem. Nie miałam jego zdjęcia, uważałam, że to może wróżyć rozstanie. Teraz było przecież już wszystko jedno, dłuższej rozłąki i tak nie będzie. Rozejrzałam się wokół, czy nikt nie nadchodzi i sięgnęłam po tabliczkę. Tak bardzo się śpieszyłam wyciągając fotografię, że omal jej nie podarłam, ale udało mi się wyciągnąć ją w całości, tylko trochę ją pogięłam. Potem odeszłam, dramatycznie brakowało już czasu i musiałam się naprawdę śpieszyć.

Taksówkarz czekał na mnie, zresztą dokąd i po co miałby odjeżdżać, i znów pojechaliśmy na lotnisko. Wyjęłam portfel i włożyłam do niego fotografię Dina, akurat się tam mieściła.

Samolot odlatywał dopiero za trzy godziny, więc szukałam innej linii lotniczej i wcześniejszego lotu, ale nie znalaz-

łam, inne samoloty startowały jeszcze później. Strasznie się czułam stercząc tak wystawiona na widok publiczny przez tyle godzin. Licho wie, jakie tłumy ludzi mogły przechodzić obok mnie. Nie chciałam siedzieć w jednym miejscu, żeby nie rzucać się w oczy, co piętnaście minut przechodziłam z baru do baru i z jednej hali do drugiej.

Myślałam, że zwariuję przez te trzy godziny, tak wszystko wolno się wlokło: wszystkie te komunikaty, kolejki. Potem wydawało mi się, że jakiś typ mnie śledzi, tak natarczywie gapił się na mnie, że przestraszyłam się i przeszłam do innej sali. Ciagle się rozglądałam, ale on zniknął. Potem wydawało mi się, że w tłumie mignął mi ten Szwajcar, który leciał ze mną do Rzymu, ten szpakowaty, w ciemnych okularach, rzuciłam się w tamtym kierunku, ale on zniknął, a ja ciagle się rozglądałam, próbując go odnaleźć. Przede wszystkim miałam mało czasu, bardzo mało czasu, a tu musiałam popijać kawę i palić, nie paliłam już ze sto lat, więc teraz kasłałam, ale natychmiast nauczyłam się zatrzymywać dym i nie wydychać go od razu.

Kiedy w końcu wsiedliśmy do samolotu, byłam zupełnie bez sił, rozbita, wsiadłam prawie ostatnia, obserwowałam, ile osób weszło przede mną, ale wszystko wydawało się w porządku, niczego podejrzanego nie zauważyłam. Samolot był niepełny, usiadłam z boku, skąd mogłam wszystko obserwować. Stewardesy były nieznajome, mam wspaniałą pamięć wzrokową, ale tych stewardes przedtem nie widziałam. Zasypiałam bardzo prędko, zapadając w niebyt, a potem znów wydobywałam się na powierzchnię; czułam lęk, gdy ktokolwiek z pasażerów podnosił się z fotela. Wzdrygałam się i śledziłam w napięciu otoczenie, dopóki wszystko nie wracało do normy.

Cały plan już sobie obmyślałam, jeszcze w samolocie. Przylatuję do Bostonu, wynajmuję samochód i jadę do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie kiedyś razem

mieszkaliśmy. Możliwe, że Steve ciągle jeszcze wykłada na uniwersytecie, dokładnie tego nie wiedziałam, dawno już nie pisał o swojej pracy, a ja go nie wypytywałam. Oczywiście, że mógł zmienić pracę, ale ludzie na uniwersytetach pracują długo, niektórzy całe życie. Szkoda, że nie wzięłam jego listów, bo nie pamiętałam adresu zwrotnego, jaki był na nich, znałam tylko nazwę miasta, ale za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć reszty – ani nazwy ulicy, ani numeru domu.

Przeklinałam sama siebie, że tyle razy do niego pisałam i nawet tego nie potrafiłam zapamiętać, ale to wszystko było efektem mojej choroby. Pamiętałam tylko, że Steve dwukrotnie zmieniał adres. Pierwszy raz dlatego, że w naszym mieszkaniu, jak je nazywał, wszystko mu przypominało mnie i dlatego było mu tam ciężko samemu. Potem na kopercie kolejnego listu zauważyłam zupełnie inną nazwę miasta i zapytałam Steve'a w liście, gdzie to jest i czy to daleko, a Steve odpowiedział, że nie bardzo.

Oczywiście że go odnajdę, mówiłam sobie, znajdę z łatwością jego uniwersytet, ostatecznie przez policję. W Ameryce odnajdę go na pewno.

Cieszyłam się z powrotu, już nie pamiętałam, co to znaczy wracać, a może nigdy tego nie wiedziałam? Denerwowałam się, przecież mineło tyle lat, wyjeżdżałam stąd jako dziewczyna, a teraz w końcu wracam. Zeszliśmy do lądowania. Wszystko było inne, spokojne, celowe, nawet powietrze wewnątrz budynku lotniska było inne. Zapragnęłam wziąć głęboki oddech i posmakować je. Miałam ochotę iść drobnymi kroczkami, żeby wszystko dłużej trwało, ale śpieszyłam się.

Podczas odprawy celnej poważny urzędnik z kamienną twarzą długo oglądał mój paszport, obracając go w rękę, wpatrując się we mnie wypytywał, dlaczego tak długo nie było mnie w kraju. Wyjaśniłam mu, że uczyłam się i praco-

wałam. Urzędnik natarczywie wpatrywał mi się prosto w oczy, sprawdzając, czy przypadkiem nie kłamię, ale ja nie odwracałam wzroku, więc nie domyślił się nawet, że to ja zabiłam Dina; ja mu oczywiście niczego nie powiedziałam, a on sam się nie domyślił. Przeszłam do sali przylotów i czekałam na swoją torbę, a kiedy wyjechała, jako jedna z pierwszych, wzięłam ją i wyszłam na ulicę.

Tutaj powietrze było zupełnie inne, oceaniczne, dawno już takim powietrzem nie oddychałam. W Europie powietrze też bywa wilgotne, ale tam jest morskie powietrze. Tutaj pachniało grzęzawiskiem, iłem i wodorostami wyrzucanymi na brzeg, krewetkami, rybami pływającymi w głębinach, pełzającymi po dnie langustami. To było powietrze oceaniczne i – tak jak ocean – głębokie, przepastne, bezkresne. Przyjemnie było nim oddychać, chciało mi się usiąść, po prostu posiedzieć i poodychać nim, ale nie mogłam, śpieszyłam się.

Prędko wynajęłam samochód, obrotny, uprzejmy młodzieniec podprowadził go pod samo wyjście, już dawno nie spotkałam takich grzecznych i uczynnych młodych ludzi. Wsunęłam mu do ręki kilka banknotów, nie patrząc jakich. Długo je obracał w rękę i oglądał, widocznie pierwszy raz w życiu widział europejskie pieniądze. Wszystko mi się tutaj podobało, absolutnie wszystko było w moim guście – domy, samochody, jakie one wielkie, jak wolno i statecznie się poruszają, płynnie, bez zajeżdżania drogi, ich kierowcy przepuszczają jedni drugich. Odzwyczaiłam się od tego, ale to mi się podobało.

Zatrzymałam się w centrum Bostonu i weszłam na kawę, zgłodniałam, a poza tym nie chciałam tak szybko wyjeżdżać. Kawa była słaba, trzeba było zamówić espresso, ale za to ludzie dookoła rozmawiali po angielsku, to brzmiało wyjątkowo miło, a w dodatku wszyscy się uśmiechali. Nagle

moje poprzednie życie zostało odcięte, a ja poczułam się tak, jakbym urodziła się jeszcze raz. Gdzie ja byłam? Po co? Co robiłam, dlaczego nie wracałam? Tutaj wszystko jest swojskie, zrozumiałe, bez cwaniactwa, bez kłopotów, bez nacisków. Dlaczego mnie tu tak długo nie było? W głowie znów mi się zakreśliło, być może z powodu różnicy czasu.

Trzeba jechać, powiedziałam sobie, jeżeli chcę dojechać i nie usnąć za kierownicą.

Na wszelki wypadek kupiłam mapę, nie byłam pewna swej pamięci. Musiałam przejechać pięćdziesiąt mil, ale od razu przeliczyłam je na kilometry, nie mogłam się zorientować, czy to będzie siedemdziesiąt, czy osiemdziesiąt. Przez całą drogę próbowałam sobie wyobrazić spotkanie ze Steve'em. Czy mnie pozna? Na pewno. Nie zmieniłam się tak bardzo, nie licząc ostatnich miesięcy. A czy ja go poznam? Nie wiem, jego obraz zatarł mi się w pamięci. Możliwe, że zagubił się w listach, raczej zamienił się w nie. Próbowałam sobie przypomnieć jego twarz, jego postać. Nie mogłam. Poza tym, jakie to ma znaczenie? Kocham go, kocham, on jest jedynym, najbliższym mi człowiekiem.

Mapa nie była mi potrzebna, od razu przypominałam sobie, gdzie skrócić, oczywiście, to tutaj, obok tego sklepu, zawsze kupowałam w nim różne drobiazgi, on po to istnieje. Poczułam coś drapiącego w gardle. „No tak, jeszcze tego brakuje, żebym się teraz rozchorowała” – powiedziałam głośno.

Wjechałam wprost na centralny plac, nic się nie zmieniło: ta sama drewniana, zakończona wąską wieżą kapliczka, ci sami studenci w długich do kolan szortach siedzą na świeżo skoszonej trawie. Taka sama leniwa atmosfera, brak pośpiechu na chodnikach, na ulicy, nawet w powietrzu.

Czy to możliwe, że ja kiedyś byłam taka jak oni? – pomyślałam. Niczego się nie bałam, nigdzie się nie śpieszy-

łam, od nikogo nie uciekałam, nikogo nie starałam się zgubić? Gdzie to wszystko znikło, dlaczego to wszystko straciłam? A może to nie ja, może zawsze tak się dzieje z czasem i nie ma w tym żadnej mojej winy.

Przypomniałam sobie listy Steve'a: „Nasze życie nie jest stworzone dla szczęścia” – pisał. Wtedy nie rozumiałam, co chciał mi powiedzieć, a teraz to zdanie stało się dla mnie oczywiste. Steve, niedługo cię zobaczę. Znów będziemy szczęśliwi, sam się przekonasz. Wysiadłam z samochodu i weszłam do budynku, gdzie, jak pamiętałam, znajdowała się katedra lingwistyki.

Dziewczyna w sekretariacie patrzyła na mnie ze zdziwieniem i uśmiechała się. Tutaj wszyscy się uśmiechają, pomyślałam. Oczywiście nieszczercze, ale mimo wszystko to jest przyjemniejsze, niż nadęte oblicza. Sprawdziła, nazwiska Steve'a nie było w komputerze.

– On pracował tutaj – zastanowiłam się – przed dwunastoma laty.

– Nie wiem – powiedziała – ja tutaj jestem dopiero od półtora roku.

Spojrzałam na nią, wciąż uśmiechnięta, czego ja właściwie od niej chcę? Dwanaście lat temu na pewno poszła dopiero do pierwszej klasy.

– Czy pani chce, żebym to dokładnie sprawdziła? – zapytała.

Przytaknęłam, ja też próbowałam się uśmiechać, ale mi się nie udawało, odzwyczaiłam się. Usiadłam na krześle i siedziałam tak przez cały czas, kiedy ona rozmawiała przez telefon. Nie potrafiłam się domyślić, co jej odpowiadają, słuchała długo, potem dała mi znak oczami, ale nie zrozumiałam go.

– Rozmawiałam z profesorem Goldman – nazwisko było mi znajome. – Powiedziała, że ten, którego pani szuka, już dawno tutaj nie pracuje.

– Jak dawno? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami, nie przestając się uśmiechać.

– A gdzie on jest teraz? Zapytała ją pani?

– Zapytałam, ale ona nie wie.

Moje palce bębniły po stole, dźwięk był nieprzyjemny dla ucha.

– Jak go odnaleźć?

Uśmiechnęła się, jakby się czuła winna, ale w tym momencie zadzwonił telefon i podniosła słuchawkę.

– Dziękuję – powiedziałam.

Skineła w moim kierunku i uśmiechała się, ale jakoś inaczej.

Siedziałam na skwerze przed gmachem, wprost na trawie, wystawiając twarz do słońca. Istniały dwa warianty: albo pojedę do miasta, tam gdzie mieszkał Steve, rozpytam się i spróbuję go znaleźć, albo, skoro już jestem na uniwersytecie, spróbuję odnaleźć Roberta. Nie dlatego, że mam ochotę spotkać się z Bobem, ale to wydaje się najprostszym rozwiązaniem. Podniosłam się z trawy i udałam się do katedry wzornictwa przemysłowego.

W sali cisnęli się studenci i kilka starszych osób, słychać było gwar głosów i ogólny hałas. Podeszłam do niemłodej już kobiety stojącej przy oknie i powiedziałam, że szukam Roberta. Przez chwilę obawiałam się, że zapomniałam jego nazwiska, ale w tej chwili przypominałam je sobie i wymieniałam.

– O, siedzi właśnie tam, za stołem – pokazała.

Spojrzałam i nie uwierzyłam. Roberta trudno było rozpoznać. Wyłysiał i przytył, nie można było powiedzieć, że stał się grubasem, ale znikła gdzieś harmonijna budowa ciała, miękkość i przymilność. Jego zniszczona twarz z obwisłymi policzkami była pokryta głębokimi bruzdami. Najważniejsza zmiana, jaka w nim zaszła, to brak zarostu, cofnięty podbródek, naznaczona smutkiem twarz, nadająca

mu zrezygnowany wygląd. Bob rozmawiał z barczystym młodzieńcem, spoglądając z dołu na swego rozmówcę. Właściwie nie tyle rozmawiał, co potakiwał głową, a gdy podeszłam, nawet mnie nie zauważył.

– Robert – zwróciłam się do niego po imieniu, ale on najwyraźniej nie usłyszał, więc powtórzyłam: – Bob.

Odwrócił się i dostrzegłam jak radykalnie zmienił się wyraz jego twarzy, jak maska w starogreckim teatrze. Od razu mnie poznał.

– Jacqueline!

Jego głos się nie zmienił, głos zawsze jest mylący, taki sam ciepły i miękki, głos zawsze zmienia się na ostatku. Pomyślałam, że gdybym usłyszała Boba przez telefon, to mogłabym uznać, że czas zatrzymał się w miejscu.

– Wszystko zrozumiałem – powiedział, zwracając się do swojego rozmówcy, i dodał: – Ktoś do mnie przyszedł, więc muszę już pana pożegnać. – Odwrócił się w moim kierunku. – To ty?! – Kiwnęłam głową, oczywiście, że to ja, a któżby inny? – Tutaj jest za głośno, może wyjdziemy na chwilę na korytarz? – zaproponował.

Na korytarzu było cicho i chłodno, stanęliśmy w pobliżu okna.

– Tyle lat! – wiedziałam, że Robert właśnie tak powie. Wyciągnął ręce, żeby mnie objąć, nie sprzeciwiałam się i rzuciłam mu się w objęcia. Przytulił mnie do siebie, ależ on zrobił się gruby.

– Jakież to losy sprowadzają cię tutaj? – To też znałam, słowo w słowo.

Oparłam się o parapet.

– No cóż – powiedziałam, starając się uśmiechnąć. Powinam teraz przyzwyczać się na nowo do uśmiechów. – Zateśniłam do rodzinnych stron. – Szablonowe wyjaśnienie, nie zwracające uwagi.

Bob z wolna kiwał głową, jakby się zgadzał ze mną, a w rzeczywistości przyglądając mi się. Chciał ukryć swoje spojrzenie, ale nie udało mu się i jego wzrok prześlizgnął się po mnie.

– Dobrze wyglądasz. Wcale się nie zmieniłaś.

Uśmiechnęłam się, zaczęło mi to wychodzić.

– Dziękuję. Nie, nie wyglądałam dobrze.

– Naprawdę wyglądasz fantastycznie. Przysięgam. Gdzie ty byłaś przez tyle czasu?

– W Europie – nie chciałam zagłębiać się w szczegóły.

– Tak, tak, słyszałem. Jakiś większy projekt. Od kogo ja o tym słyszałem? – Zmarszczył czoło i zmarszczki podobne do fałdek spłynęły mu niemal na nos. „Ciagle jeszcze jest cały w te fałdki, pomyślałam, ale to już do niego zupełnie nie pasuje”. – Rzeczywiście, przecież czytałem o tym wiele lat temu. Wspaniały, ogromny projekt gdzieś we Francji i przy okazji było chyba wymienione także twoje nazwisko. Nie wierzyłem, że to ty.

– To ja – przytaknęłam.

– Zawsze liczyłem na to, że... – złożył dłonie, zastanawiając się nad dalszym ciągiem – że u ciebie będzie wszystko dobrze. Jesteś zdolna i piękna, a przy tym inteligentna.

Nawet nie podziękowałam, tylko kiwałam głową i uśmiechałam się.

– A co u ciebie? – zapytałam, żeby zmienić temat.

Wzruszył ramionami.

– Przecież widzisz, wszystko po staremu: uczę, prowadzę wykłady.

– Ożeniłeś się? – zapytałam i nagle zreflektowałam się, że licho wie, jak on to zrozumie.

– Tak – westchnął. Byłam pewna, że jeżeli odpowie „tak”, to obowiązkowo westchnie. Oni zawsze wzdychają.

– Ożeniłem się. Mam dwoje dzieci.

– Świetnie. – Uśmiechałam się dalej. – Cieszę się z twojego szczęścia. – Blefowałam, było mi wszystko jedno.

– No tak, właśnie. Ożeniłem się, mam dwoje dzieci – powtórzył i rozłożył ręce, jakby się tłumaczył. – Żyję zwyczajnym, mieszczańskim życiem. Wiesz, małeńkie codzienne radości. Starszego wożę na baseball, w niedzielę chodzimy na pizzę. Tak – zapalił się – dwa lata temu byłem na konferencji w Hiszpanii. Myślałem, że może ciebie tam spotkam. – Pokiwałam głową, – Tam jest przecudownie. Wiesz, cała ta europejska galanteria. Tam przedstawiali nowy... – Nie chciałam słuchać o konferencji.

– Wiesz... – powiedziałam. Przerwał wywód, widocznie usłyszał w moim głosie zniecierpliwienie, a może z mojej twarzy zniknął uśmiech.

– Tak, tak – powiedział pośpiesznie – teraz muszę pędzić. Mam wykład za piętnaście minut, a chciałbym z tobą porozmawiać na spokojnie. Jakie masz plany na wieczór?

Wzruszyłam ramionami.

– Żadnych.

– Może razem się gdzieś wybierzemy?

– A rodzina? – nie chciałam, ale zabrzmiało to cokolwiek ironicznie.

– Och, nie ma sprawy. Możemy przecież pójść we trójkę. Zadzwońię do żony, ma na imię Karen. Poznacie się, dużo jej o tobie opowiadałem.

Chciałam się powstrzymać, ale pytanie samo rzuciło się na usta:

– Ciekawe co?

Poczerwieniał, a kiedy spostrzegł, że to widzę, poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Nic takiego. – Przerwał. – To jak będzie? Pójdziemy na tę kolację?

– Oczywiście – powiedziałam – z prawdziwą przyjemnością,

– To świetnie – już prawie się odwrócił, żeby odejść.

– Robert, czy wiesz cokolwiek o Stevie? – wtrąciłam prędko, zanim jeszcze zdążył się oddalić.

– Ach, tak! Jak mogłem zapomnieć? Dobrze, że o nim wspomniałaś. – Pokręcił głową, – Przysłał tutaj list dla ciebie. Zupełnie nie wiem, jak mogłem o nim zapomnieć?

– Gdzie on jest? – Przełknęłam ślinę, ale to nic nie pomogło. Skąd to przeczucie, skąd zdołałam wiać to nikłe przeczucie?

– Mam go tutaj, w pracy, w biurku.

– Czy możesz go znaleźć? – przytrzymałam go za rękaw.

– Czy to takie ważne dla ciebie? Przyniosę go wieczorem.

– Lepiej teraz – powiedziałam.

– W porządku. – Dobrze, ustąpił od razu, inaczej zniszczyłabym go. Teraz, kiedy nauczyłam się już zabijać, zabiłabym go tutaj, od razu na korytarzu. – Zaczekaj, zaraz wracam.

Kiwnęłam głową.

Wyszedł z gabinetu po dwóch minutach i wyciągnął w moją stronę list w pomiętej kopercie.

– Dostałem go – dodał – jakieś dwa miesiące temu. A konkretnie taką wielką kopertę, w której był ten list i notatka od Steve'a, w której mnie prosił, żebym ci go oddał, jeżeli cię zobaczę. Wtedy się zdziwiłem. Dobrze, że mi przypomniałaś. To wszystko jest takie niespodziewane, że zupełnie wyleciało mi z głowy.

– Kiedy widziałeś go ostatni raz? – spytałam.

– Nie pamiętam. Dawno. Steve odszedł z uniwersytetu mniej więcej jakiś rok po tym, jak wyjechałaś. On w ogóle zrobił się wtedy jakiś dziwny, zmienił się, zapuścił brodę.

– Bob chwycił się za podbródek. – Ja swoją akurat zgoliłem, wiesz, siwa broda... – Uśmiechnął się.

– I co? – przerwałam.

– To wszystko. Ja tego nie rozumiałem. Nie widziałem go już więcej, przeniósł się gdzieś, podobno miał uczyć w szkole. Chociaż nie wiem – zastanowił się. – On wyglądał dziwnie. Jakiś zamknięty w sobie, ciągle ponury, milczący, z tą szczecina, broda mu nie rosła jak należy. W ogóle dziwny. I to wszystko.

– Tak – powiedziałam.

– To co, zadzwonię do żony?

Skinełam potwierdzająco.

Czułam jak patrzył za mną, kiedy szłam korytarzem. Skrećiałam na schody i z ulgą wyszłam z tej duchoty na świeże powietrze.

Znów usiadłam na trawie, drżały mi ręce, próbowałam opanować to drżenie, przecież to takie proste – kontrolować swoje ręce, zawsze to umiałam. Teraz nie poddawały mi się. Otworzyłam kopertę i znalazłam stroniczkę, wszystkiego jedną, jedyną stroniczkę. Palce mi zwilgotniały, drażniło mnie słońce, zbyt dużo światła, nie rozumiałam, po co tyle światła, trzeba odejść gdzieś w cień, dlaczego usiadłam w pełnym słońcu? Ale było za późno.

Teraz słońca nie ma. Już dawno zrobiło się ciemno. Jak zwykle stoję przy oknie, już długo, trochę ścierpła mi noga, ale to nic, to nic strasznego. Tak wygodniej, bez ruchu, a kiedy chodzisz, ruchy rozpraszają i jeszcze to skrzywienie podłogi denerwuje, boję się, że coś mi umknie, że nie przypomnę sobie wszystkiego.

Nauczyłam się treści listu na pamięć, przeczytałam go pewnie z pięć razy, początkowo nic nie rozumiałam, nie mogłam wyłowić sensu z krótkich chaotycznych wyrazów. List był pisany ręką Steve'a, ale jakimś zmienionym charakterem, jakby przytrzymał jedną rękę drugą, pismo było nierówne, drżące i przez to pochylone.

„Ukochana – pisał – piszę do ciebie na wszelki wypadek, nawet sam siebie pytałem – «po co?» i odpowiadałem

sobie – «na wszelki wypadek». To dziwne, tyle listów wyszło spod mojej ręki, a ja prawie nic nie pisałem o swoim życiu, z różnych przyczyn, ale także dlatego, że ułożyło się ono niezbyt szczęśliwie. Teraz nie chcę się skarżyć, pragnę tylko, żebyś zrozumiała.

Kiedy wyjechałaś, straciłem wszystko. Nie rozumiałem tego od razu, nie sądziłem, że tak się stanie, inaczej nie pozwoliłbym ci wyjechać. Kiedy to wreszcie rozumiałem, było już za późno. W twoim życiu pojawił się Dino i dla mnie nie było już w nim miejsca: miejsce dla moich listów było, a dla mnie – nie. Nie od razu się poddałem, ja w ogóle rzadko się poddawałem, teraz też próbowałem, zmieniałem kobiety, zapuściłem brodę i myślałem, że mi przejdzie. Czasami przechodziło i robiło się lżej, ale potem tęsknota powracała i wtedy rozumiałem, że nic dobrego bez ciebie nie może mnie spotkać.

Wiesz, próbowałem nawet zrozumieć, dlaczego moje życie bez ciebie kompletnie legło w gruzach, mówiłem, że brakuje mi ciebie jak nóg i rąk, jak oczu, jak... Ale bez oczu, bez rąk można żyć, chociaż jest się kaleką, ale można i wtedy rozumiałem, że brakuje mi ciebie jak siebie samego. To uczucie potwierdzało się. Zauważyłem, że kiedy kocham się z jakąś kobietą, zawsze czuję ciężar jej ciała. Twoje ciało nie miało ciężaru, rozumiałem, że to jest pewne kryterium: ty wydawałaś się być częścią mnie, więc nie czułem twojego ciężaru, tak jak nie można odczuć własnego ciężaru. Byłaś jedyną nierozłączną częścią w moim życiu, dlatego nie mogłem znieść twojej straty.

Dopiero z upływem czasu rozumiałem, że życie, jak tragedię, z samego założenia cechuje cierpienie, tak że człowiek idzie od lepszego ku gorszemu, od młodości do starości, od zdobywania do utraty, od narodzin do śmierci. Po prostu początkowo tego nie rozumiesz, a kiedy wreszcie zaczynasz rozumieć, nie zgadzasz się z tym. Tak samo ze

mna, Z tego, co kiedykolwiek posiadałem, została mi tylko nasza korespondencja.

Wiem, że już dawno zwariowałem, tylko twoje listy trzymają mnie przy życiu, pozwalając zachować resztki rozumu i wiążąc mnie z rzeczywistością. Nie wyobrażasz sobie, jak niecierpliwie oczekiwałem na nie, tylko w nich zamykały się resztki mojego życia.

Ten list jest też trochę zwariowany, ale poprzednie, które do ciebie pisywałem – nie, one były pisane w pełni świadomości. Dlatego że rodziły się w momentach, kiedy w końcu, czytając twoje listy, odzyskiwałem zdrowy rozsądek i wtedy udawało mi się na nie odpisywać. A później usprawiedliwiając się chwilową niedyspozycją, wypływałem w morze swoim jachtem, tylko wtedy, bo kiedy doznawałem zaburzeń psychicznych, to bałem się oceanu. Potem, po powrocie, zawsze leżałem kilka dni, nie wychodziłem nawet na ulicę, żeby mnie nikt nie zobaczył. Byłem w stanie tylko czytać książki i czekać na twoje listy, na nic więcej już nie czekałem.

To na pewno ostatni list do ciebie. Kiedy przestałaś mi odpisywać, pomyślałem – praca, nie masz czasu. Potem zawiadomiłaś mnie, że więcej już nie napiszesz i zrozumiałem, że to już koniec. Zrozumiałem, że pograżyłaś się w swoim René, że cię pochłonał, i dla mnie nie ma już miejsca. To była naprawdę moja ostatnia trzeźwa myśl.

Nie mogę pisać do ciebie, odmówiłaś mi siebie, i dlatego zwracam się do ciebie w taki dziwny sposób, z nadzieją, że kiedyś otrzymasz ten list, chociaż do końca nie jestem pewien. Może jednak tak.

Nie wiem, co będzie dalej, postaram się wyzdrowieć, pójdę do lekarza. Być może potrzebuję więcej oceanu, więcej ryzyka, żeby spróbować zacząć wszystko od nowa. Jeżeli już nigdy więcej cię nie zobaczę, pamiętaj, że cię kocham, ciebie jedyną, przez całe swoje dziwne, tak głupio zrujnowane życie”.

Płakałam, widocznie histeria czaiła się gdzieś w pobliżu, czekając, aż zostanę sama, zupełnie bezbronna. „Kochany – szeptałam – dlaczego mi wcześniej nic nie powiedziałeś? Gdybym tylko wiedziała, wszystko byłoby inaczej. Coś byśmy razem wymyślili. Na pewno. Ja po prostu nie wiedziałam”.

Ocierałam łyż dłońią, wszyscy się na mnie gapili, ktoś do mnie podszedł i zaofiarował pomoc. Nie odpowiedziałam, wstałam z ziemi, zataczałam się.

Nie bez powodu się śpieszyłam, pomyślałam. Czułam, że teraz muszę się śpieszyć, że muszę zdażyć. Teraz będzie zupełnie inaczej, jesteśmy oboje chorzy, jesteśmy potrzebni sobie nawzajem, choćby po to, aby wyzdrowieć. Steve, wyleczymy siebie nawzajem, żebym tylko zdażyła. Kocham cię i zawsze kochałam, gdybym tylko wiedziała... teraz, żeby się nie spóźnić.

Ledwie widziałam, łyż jak matowa zasłona przestaniały mi wzrok, ocierałam oczy i wpatrywałam się w drogę, ale to niewiele dawało. Kilka razy mało się nie rozbiłam, raz – przy wyjeździe z miasta, potem – już na autostradzie. Bardzo ostro wzięłam zakręt w lewo, nie zauważając samochodu, który się ze mną zrównał. Usłyszałam tylko klakson i ostro odbiłam w prawo.

Prowadziłam samochód przez półtorej godziny i kiedy wjechałam do maleńkiego biednego miasteczka, już się rozwidniło. Byłam kompletnie nieprzytomna, nie spałam przecież właściwie przez całą noc, poza tym różnica czasu i nerwy.

Nie znałam dokładnego adresu Steve'a, ale nie mogłam go nie znaleźć w takim maleńkim miasteczku jak to. Postanowiłam, że będę pytała ludzi, pójdę na policję, w końcu kto jak kto, ale oni powinni ten adres znać. Weszłam do niewielkiej apteki w samym centrum miasteczka, gdzie obok lekarstw sprzedawano co popadło, a mnie zaschło

w gardle, kupiłam wodę i podeszłam do kasy, żeby zapłacić. Wysoki, postawny mężczyzna w zielonym fartuchu odczytał należność. Zapytałam, czy zna Steve'a i wymieniłam jego nazwisko, długo się namyślał, w końcu pokręcił przecząco głową, nie, nie zna. Ruszyłam w stronę wyjścia i zamarłam. Zobaczyłam twarz Steve'a, młoda, ciągle jeszcze nie zmieniona szaleństwem, ze znajomym mi uśmiechem. Gazety leżały przy drzwiach na metalowych siatkowych półkach, wiele najróżniejszych gazet, ale ta, z jego zdjęciem, na najniższej półce, prawie na podłodze.

– Ile? – spytałam.

– Nic – jego głos był niski i dobroduszny. – To przedwczorajsze – chciałem je już wyrzucić, ale potem... – Nie słuchałam dalej i wyszłam. Stałam i oparłam się o ścianę, nie miałam gdzie usiąść, mogłam się tylko oprzeć. Potem ściana zaczęła piąć się w górę, poczułam cegły wpijające się w moje plecy. „Mieszkaniec Bredtown, były wykładowca lingwistyki, zaginał na oceanie. Wczoraj jego jacht znaleziono przewrócony trzy mile od brzegu na północnym wybrzeżu Massachusetts”. Zdołałam tylko przeczytać nagłówek wiadomości, dwa zdania poniżej, i to wszystko, nic więcej. Potem otworzyłam butelkę i długo piłam, oblewając się całą wodą.

Oczywiście przeczytałam cały artykuł, ale dopiero później, następnego dnia. Teraz jakoś się pozbierałam, z powrotem weszłam do apteki i poprosiłam o środki nasenne, których nazwę znałam.

– Tylko na receptę – wydawało mi się, że człowiek, który mnie obsługuje nie był tym, który sprzedawał mi wodę pół godziny temu. A może minęła już godzina i wtedy to był on?

– Nie mam recepty. – Z trudem wymawiałam słowa, wydawało mi się, że mówię od rzeczy, zlekkałam się nawet, że aptekarz wezwie policję.

Oczywiście środki nasenne sprzedawane były nawet bez recepty, ale niezbyt silne, wzięłam kilka opakowań, lepsze to niż nic. Zapytałam, gdzie jest najbliższy hotel. Powiedziano mi, że na tej samej ulicy, dwa domy dalej, miałam wyjątkowe szczęście, nie byłam w stanie prowadzić samochodu. Zapytałam jeszcze o adres miejscowego lekarza, zapisał mi go na karteczce, schowałam ją do kieszeni, to było nieważne.

Pierwszą garść tabletek zażyłam od razu na ulicy, zaraz po wyjściu z apteki. Pamiętam to dobrze również dlatego, że długo męczyłam się z pudełeczkiem, którego nie mogłam za nic otworzyć. Pamiętam jeszcze, jak dotarłam do hotelu, wynajęłam pokój i poprosiłam, żeby przyprawiono mój samochód. Powiedziałam, że jestem bardzo zmęczona, źle się czuję i ten, kto podawał mi klucz powiedział „tak, proszę pani, oczywiście”. Weszłam po schodach i starałam się znaleźć pokój, ale tabletki już działały, myślę, że zażyłam jeszcze drugą garść i nagle ogarnęła mnie pustka.

Wtedy rzeczywiście chciałam się otruć. Gdyby sprzedali mi silniejsze tabletki, to na pewno bym umarła, ale tabletek, od których się umiera, nie sprzedają bez recepty, tych słabszych możesz połknąć nawet całe opakowanie. Wtedy oczywiście nie pomyślałam o tym, chciałam tylko umrzeć, ale nie zdołałam.

Dalej muszę rekonstruować całość z fragmentów, bo od tamtej pory pamiętam tylko urywki. Zupełnie jakbym odzyskiwała przytomność na godzinę czy dwie i wtedy widzę w pamięci zupełnie jasno niektóre fragmenty, na przykład gdzie byłam, co robiłam, a nawet, o czym myślałam, ale co się działo w międzyczasie – nie mogę sobie przypomnieć.

Nie wiem, ile czasu spałam, być może dobę albo dwie, pamiętam, że obudziłam się ubrana, nakryta kocem. Czułam zapach swojego ciała, już od wielu dni nie zmieniałam ubrania, ale moja torba znajdowała się w pokoju, nic dziwnego, pewnie wnieśli ją, kiedy spałam. Straszliwie bolała

mnie głowa, trochę mnie mdliło, chociaż prysznic i czyste ubranie odświeżyły mnie. Zadzwoiłam do recepcji i zamówiłam jedzenie, nie pamiętam, która to była godzina, według mnie chyba druga, ale jaki dzień? – zupełnie się w tym pogubiłam. Za to bardzo dobrze wiedziałam, że muszę iść do lekarza, próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć, ale nie mogłam. Przypomniłam sobie dopiero po drodze.

Ulice były opustoszałe, jakby w miasteczku nikt nie mieszkał, chociaż widziałam przez okna wystawowe, że ktoś siedzi w kawiarni, ktoś jest w sklepie, nawet u fryzjera ktoś stał za oparciem fotela i strzygł kogoś, kto siedział. Wszystko wyglądało statycznie, nieruchomo, widocznie szkło spowalniało ruchy i więziło w sobie zastygłe postacie, jakby to były manekiny, a może były manekinami, nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że ulice są boleśnie puste, tak jakby zostały wysiedlone i zamknięte, nawet samochody tędy nie przejeżdżały.

Gabinet lekarza znajdował się w obdrapanym, drewnianym domu, takim samym jak wszystkie dookoła, wewnątrz pachniało, początkowo nie mogłam się zorientować czym, ale później rozumiałam – stęchlizną. Tyle że włączony wentylator rozpraszał odór stęchlizny w świeżym powietrzu i już było lepiej. W poczekalni siedzieli ludzie, ale ich nie zapamiętałam, a lekarz przyjął mnie dosyć szybko.

Był w średnim wieku, miał zmęczoną twarz i był w fartuchu. Powiedziałałam, że jestem dobrą znajomą Steve'a, najpierw chciałam udawać siostrę, ale pomyślałam sobie, że dlaczego mam kłamać i powiedziałałam, że jestem znajomą. Ze zrozumieniem pokiwał głową, powiedział, że czytał o tej tragedii w gazecie, dodał nawet wyrazy współczucia: „Jakie to straszne”. Osobiście Steve'a nie znał, mieszka właściwie w sąsiednim miasteczku, tutaj ma tylko gabinet, ale to zaledwie dziesięć minut jazdy samochodem. Ludzie

w większych miastach tracą na dojazd do pracy godzinę albo więcej, a tutaj nawet dziesięć minut uważa się za zbyt wiele. Uśmiechnął się z zadowoleniem, uważając, że przechytrzył tych, którzy żyją w wielkich miastach, było mi wszystko jedno, więc się z nim zgodziłam, poprosiłam o jakiś środek nasenny, jeżeli można trochę silniejszy, powiedziałam, że nie mogę zasnąć, nie spałam od kilku dni, zasypiam dobrze, ale budzę się w środku nocy i już nie mogę zasnąć.

– To jest charakterystyczne dla rozstroju nerwowego – powiedział. – Przepiszę pani coś na uspokojenie.

Powiedziałam, że nie mam rozstroju nerwowego; wszystko jest ze mną w porządku, po prostu nie mogę zasnąć i proszę o coś na sen.

– Tak, tak – tłumaczy mi cierpliwie – lekarstwo, które pani przepiszę, polepszy pani sen. To lekarstwo ma szeroki zakres działania. W tym przypadku będzie działało uspokajająco i nasennie.

Przytaknęłam. Nie miałam sił, żeby się z nim sprzeczać.

Lekarz wypisywał receptę, a pisząc spytał:

– A ciała nie znaleziono?

– Co? – nie zrozumiałam.

Podniósł na mnie oczy.

– Nie – powiedziałam.

– No tak, jasne. Ocean. To nie jakieś jezioro.

Podał mi receptę. Podziękowałam i wyszłam. Po drodze wstąpiłam do apteki. Kiedy szukali mojego lekarstwa przeglądałam kolorowe czasopisma, kupiłam nawet jedno, sama nie wiem po co. Potem wróciłam do hotelu, zażyłam dwa proszki, popijając wodą z kranu, była świeża i chłodna. Potem znów zasnęłam na całą dobę.

Wiem, że trzeba odejść od okna. Zbyt długo stoję w jednym miejscu, zmuszam się do oderwania od uspokajającego

chłodu szyby i kieruję się do kuchni. Muszę zjeść jakiś obiad, już dawno nie jadłam niczego gorącego, zastanawiam się, co sobie przygotować: ryż czy ziemniaki? Oczywiście ryż jest zdrowszy, ale wybieram ziemniaki, trzeba je obierać, a to jest jakieś zajęcie. Robię to starannie, zdejmując łupinę jak się da najcieniej, starając się nie odrywać noża, tak żeby została w jednym kawałku. Podoba mi się ta absorbująca rozrywka, cieszę się wpadającą do wiadra długą, serpentyną, przezroczystej łupiny.

Przez te pierwsze dni o niczym nie myślałam i niczego nie odczuwałam ani przez sen, ani na jawie. Jakiś mechanizm ochronny osłonił mnie, okrył i odciął od emocji. Kiedy się budziłam, znów czytałam artykuł w gazecie, ale nie było w nim niczego nowego, ciągle to samo. Byłam ciekawa, skąd wzięli jego fotografię. Był na niej zupełnie niezmieniony, tak jakby czas się zatrzymał, wciąż to samo spojrzenie, nawet papier gazetowy nie zdołał go zniekształcić. Pomyślałam później, że mogli zwrócić się do uniwersytetu i stamtąd otrzymać zdjęcie. Leżałam tak całymi godzinami, patrząc na nie, a potem znów zasypiałam.

W którymś momencie obudziłam się i pomyślałam, że już dawno wiedziałam, iż to wszystko tak się skończy. Przeczuwałam, że trzeba się śpieszyć, spóźniłam się jakieś trzy czy cztery dni, nie potrafiłam policzyć tego dokładnie. To dziwne, zupełnie jakbym wcześniej przeczuwała, jakbym się specjalnie śpieszyła, żeby zdażyć, wiedząc, że mimo wszystko jest już za późno.

Długo nad tym myślałam, aż wreszcie zrozumiałam – to przeznaczenie. Próbowалам oszukać przeznaczenie, ale jego nie można przechytryć. Ono prześladowuje mnie i będzie prześladowało dlatego, że sama jestem temu winna, to ja sama naruszyłam porządek przeznaczenia, naruszyłam go i wszystko się rozsypało. Na zawsze. Pomyliłam się i powinnam być ukarana, to fatum, przeznaczenie, nie wiedziałam,

jak to dokładnie nazwać. Ono nie zmieni się, dopóki mnie do końca nie wyczerpie, nie zniszczy, teraz dopiero to rozumiałam. Nie sposób mu się bezkarnie sprzeciwić, można tylko łykać tabletki, więc łykałam je i zasypiałam, potem budziłam się, żeby znów zasnąć.

Drugi już raz ocknęłam się, widocznie lek nasenny nie był zbyt mocny (pewnie lekarz się wystraszył) i pomyślałam, że z René też powinno się coś stać. Zaskoczyła mnie ta myśl, zupełnie o nim zapomniałam i dopiero teraz przypomniałam sobie. Na pewno, to na pewno już się stało. Ta jedna myśl pozwoliła mi, wprawdzie w niewielkim stopniu, ale powrócić do rzeczywistości i dzięki niej przebiłam się przez omotującą mnie i głuszającą watę.

„I on także?” – ciekawe, czy rzeczywiście krzyknęłam, czy tylko mi się zdawało? Nie, to niemożliwe. René nie jest typem ofiary, jemu nic nie może się stać. Czy rzeczywiście? Fatum jest silniejsze. Oczywiście takich niespodziewanych przypadków nie ma, to wszystko z mojej winy. Z Dinem z mojej winy, liczyłam na palcach, że Steve'em też z mojej winy, więc z René tak samo, aż się głośno roześmiałam, to było takie oczywiste. Z René na pewno też się coś stanie, z ostatnim człowiekiem, którego kochałam i który mi został, z nim też coś się stało. Połknęłam jeszcze jedną tabletkę i zesłam na dół.

– Czy odwiezie mnie pan do Bostonu? – zapytałam mężczyznę za barem.

– Ja nie mogę. Jestem tutaj sam. – Miał waży, właściwie ważyki, jasne, pszeniczne.

– Cóż, rozumiem. – Usiadłam przy stoliku, wysokie oparcie przesłoniło jego postać, teraz widziałam tylko twarz. Nagle sobie przypomniałam: – Zapłacę panu, ile pan zażąda.

– Chętnie bym pomógł, ale nie mogę. – Wiedziałam, co myśli.

Na pewno teraz zastanawia się, czy wezwać policję, czy pogotowie ratunkowe? Wszystko mi jedno, niech będzie

pogotowie. Albo nie, niczego nie potrzebuje, muszę jak najszybciej znaleźć się przy René, może jeszcze zdążę.

– Więc, co mam robić? Zachorowałam i nie mogę jechać sama.

– Rozumiem. – Spoglądałam w górę i widziałam, jak jego głowa zniknęła za barem, a potem znów się pojawiła. Skinął do mnie, dogadaliśmy się.

– Poproszę żonę, może ona będzie mogła – powiedział bez przekonania.

– To byłoby wspaniale.

Wstałam i odeszłam. Nie chciałam słuchać ich rozmowy. Mimo to wszystko doskonale słyszałam, zwrócił się do niej „kochanie”, a potem mówił długo ze spuszczonymi oczami. Nawet się nie odwróciłam.

– Zaraz podjedzie. – Powiedział to tak głośno, prawie krzyknął, że aż się skrzywiłam. – Ona panią odwiezie.

– Dziękuję – powiedziałam, wyjmując kartę kredytową.

Wzjął ją do ręki i długo obracał w palcach. Najwyraźniej nigdy nie widział europejskiej karty kredytowej.

– Czy mogę poprosić o jeszcze jedną przysługę? – Uniósł brwi. – O odstawienie mojego samochodu.

Dałam mu pokwitowanie. Zaczął dzwonić do wypożyczalni samochodów, dowiedział się, że samochód jest opłacony na tydzień i że zostały jeszcze dwa dni. Próbowałam we wszystkim uczestniczyć poprzez wyraz twarzy, uśmiech, wydawało mi się, że to był uśmiech, w końcu zgodził się.

– Jestem panu bardzo zobowiązana – powiedziałam.

Skinął głową i spytał, czy ma przynieść moją torbę.

– Co, torbę? Nie, ja wezmę.

Zupełnie zapomniałam o torbie i teraz znów musiałam wrócić do pokoju.

Jego żona to tleniona blondynka z trwałą, ondulacją, średniego wzrostu i w nieokreślonym wieku. Miło się uśmiecha i stara się rozmawiać ze mną, a ja muszę zrobić wrażenie, że

zasnęłam, i tylko co jakiś czas unoszę powieki, gdy samochód podskakuje na wybojach. Łapię się na tym, że rzeczywiście śpię.

Zachwycam się, obrałam tyle ziemniaków, że wystarczy mi na trzy dni, uśmiecham się, kiedy stwierdzam, że za bardzo się postarałam. Wstaję i zastanawiam się, jak najlepiej je pokrajać: w plasterki czy na cząstki, mogę i tak, i tak. Wybieram cząstki, takie są smaczniejsze. Ziemniaki wyslizgują mi się z odrętwiałych dłoni, ale zaraz zamykam na nich palce.

O czym to ja myślałam wtedy w samolocie? O niczym. Łykałam tabletki co dwie godziny, a może nawet częściej, nie patrzyłam na zegarek i o niczym nie myślałam. Wiedziałam, że chcę do René, że on jest jedynym bliskim człowiekiem, jaki mi pozostał na tym świecie, który mnie kocha, a którego, być może, także już nie ma, jeżeli to fatum rzeczywiście mnie prześladowuje. Boże, jedyne czego pragnę, to zobaczyć go żywym, błagam, proszę Cię, ja tak rzadko o cokolwiek Ciebie proszę, błagam Cię, proszę.

Zadzwoiłam z lotniska do domu, nikt nie odbierał, odpowiedziała automatyczna sekretarka, moim własnym, jeszcze zdrowym głosem. Dlaczego mój własny głos zawsze mnie irytował, taki niepewny, zachrypły; dziwiłam się, jak inni go znoszą, teraz też mnie denerwował, ale nie tak bardzo, zawdzięczam to raczej tabletkom, które w takiej obfitości rozpuszczały się w moim organizmie. Nagadałam coś nieprzyjemnego i nawymyślałam René, on mógł się oczywiście znajdować, gdzie tylko chciał, jeżeli gdziekolwiek w ogóle jeszcze istniał. Wzięłam taksówkę i pojechałam do domu.

Gdybym tylko była w stanie, to przypomniabym sobie, że minęło dopiero kilka dni od chwili, kiedy jak oszalała rzuciłam wszystko i uciekłam stąd. Przecież myślałam wtedy,

że nigdy tutaj nie wrócę, przeklinałam to miejsce i człowieka z nim związanego. I oto minęło kilka dni, a ja jestem tutaj z powrotem, nic się nie zmieniło, jakbym nigdy nie była ani we Włoszech, ani w Ameryce, jakbym nie straciła dwóch najbliższych mi ludzi, tak jakby to był zły sen, który przyśnił mi się właśnie z powodu tych tabletek. I znów siedzę i czekam na René, a jeżeli przyjąć, że to rzeczywiście był tylko sen, to zaraz otworzą się drzwi, on wejdzie, pocałuje mnie, to znaczy, że wszystko będzie po staremu, jak dawniej, dobrze.

Ale wtedy nie byłam w stanie tak rozumować, nie mogłam tak myśleć, bo w ogóle nie mogłam myśleć.

Zmęczyłam się oczekiwaniem i zadzwoniłam do André, podszedł osobiście do telefonu i nie od razu mnie poznał, bo właśnie połykałam tabletkę, a kiedy w końcu zorientował się, że to ja, głos mu się zmienił, zapytał mnie, gdzie jestem. Powiedział, że już pada ze zmęczenia, tyle się mnie naszukał, że już wszyscy myśleli, że coś się ze mną stało.

– Nie, nic takiego – powiedziałam, przymykając oczy, czułam się lepiej z opuszczonymi powiekami, jakby w półmroku. – Wyjechałam służbowo. Wszystko w porządku, André. Wszystko normalnie.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie słuchałam, było mi dobrze w półmroku i zapytałam:

– Słuchaj, a gdzie René? Czekam na niego.

– To ty o niczym nie wiesz? – zapytał.

Otworzyłam oczy, ale ledwo, z trudem włożyłam do ust jeszcze jedną tabletkę, cała sztuka polegała na tym, żeby zebrać jak najwięcej śliny, a potem połknąć ją razem z tabletką.

– Coś z nim się stało? – zapytałam bez najmniejszego zdziwienia, bardziej mnie dziwiło, skąd w pokoju wzięła się nowa przestrzeń. Nie mogłam się zorientować, w jaki sposób w pokoju znalazły się jakieś nowe przedmioty, stare, do

których przywykłam, znikły, a pojawiły się nowe. Próbowałam dojrzeć, co to jest, ale musiałam wyteżać wzrok, tak źle było widać.

– Zaraz przyjadę – powiedział, po czym w słuchawce rozległy się dzwonki.

Spojrzałam na słuchawkę, wydawało mi się, że sterczy z niej coś cienkiego, wijącego się. To dzwonki, pomyślałam, i ze wstrętem odrzuciłam ją. Trzeba nastawić kawę, ale nie starczyło mi sił, trudno było mi się podnieść i zasnąć. Kiedy otworzyłam oczy, obok mnie siedział André i walił mnie po plecach.

– A, to ty – powiedziałam i zaczęłam szukać po kieszeniach tabletek. Potem długo je połykałam. – A kto ci otworzył?

– Mam klucze. – Wiedziałam, że powinnam zapytać skąd, ale było mi to obojętne.

– No tak, oczywiście – powiedziałam. Ciężko wykaszlałam coś z płuc, trochę brakowało mi powietrza, ale tylko trochę. – No więc, co z René?

Zaczął się kiwać. Mam na myśli, że zaczął się kiwać w moich oczach, bardzo płynnie, zdziwiłam się nawet, w jaki sposób on tak pływa? Potem zrozumiałam, on chce wpaść w tę przestrzeń, zając ją, ale mu się nie udaje. Zaczęłam się uważniej przyglądać – wpadnie czy też nie?

– Opowiem ci wszystko od samego początku – powiedział.

– Opowiadaj – zgodziłam się.

Znów się zachwiał, to było zabawne.

– René zatelefonował do mnie i powiedział, że jest we Włoszech. Zapytałem, co tam robi, a on na to, że ma sprawy do załatwienia. Było już późno, koło pierwszej nad ranem, powiedział, że próbuje się do ciebie dodzwonić już drugi dzień, ale nikt nie podnosi słuchawki, chociaż powinnaś być

w domu, więc poprosił mnie, żebym do was podjechał i sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Nie miałem kluczy, ale on mi powiedział, gdzie chowa zapasowe. Musiałem wstać, bo już się położyłem. Aha, on mi jeszcze zostawił numer telefonu we Włoszech, na który można było do niego dzwonić, zanim wyjechał.

Kierował się teraz na zachód, popłynął w lewo, potem w prawo, byłam bardzo skupiona.

– Słuchasz mnie? – zapytał i zaczął mówić szybciej. W miejscu, w które starał się wskoczyć, znajdowała się niewielka szczelina, dlatego najpierw musiał się dokładnie spłaszczyć, więc stawał się coraz bardziej dwuwymiarowy w miarę, jak zbliżał się do otworu.

– Opowiadaj, opowiadaj – szczelina zakotłosała się, a on znów wyskoczył.

– Kiedy tu przyjechałem, wszystko było wywrócone do góry nogami, istny pogrom. Stół wywrócony, krzesła rozrzucone po całym pokoju, ubrania wywalone ze wszystkich szaf walały się po podłodze, szuflady na wierzchu, nawet w łazience wszystko było poprzewracane. Co się tutaj działo? – zrozumiałam, że pyta mnie o coś.

Machnęłam ręką,

– Nic, to głupstwo. Szukałam tabletek, a potem je połykałam. Mogę być mistrzem świata w połykaniu bez wody.

– Czego? – zapytał nieprzytomnie André i nagle wydało mi się, że ktoś wpełza ze szczeliny.

– Ach, nieważne, landrynek – powiedziałam, wyteżając wzrok, ale nie mogłam niczego dostrzec.

– René doszedł do wniosku, że ktoś coś ci zrobił. Zatelefonowałam do niego i wszystko mu opowiedziałem, a on tak pomyślał. Uważał, że cię porwano. Zadzwoił do Jeana-Paula, powiedział, że szykują coś przeciwko niemu – sama wiesz. – Oczywiście, wiedziałam. – Do tego, że „Pisarz”... Oni coś od niego chcieli, ale René domyślił się, że to śmierdząca sprawa i odmówił. W ogóle w żadnym wypadku nie

powinnaś nic wiedzieć. Krótko mówiąc, René tak pomyślał, a miał powody. Wiesz, czasem tak robia,

Skinełam głowa,

– Oczywiście – powiedziałam.

Spojrzał na mnie ten drugi, który poszerzał szparę, żeby wpełznąć w nią z powrotem, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

– Oczywiście, robia – potwierdziłam.

– No tak. A potem wydarzyło się to wszystko. – Uniosłam brwi. – Co się wydarzyło? – Dokładnie nikt nie wie, widocznie jechał za szybko, była noc, droga tam jest kręta, prowadzi między skałami, no i wiesz, myślę, że on gnał tak, starając się jak najszybciej, a tam nie można prędko. Do tego pewnie się denerwował.

Kiwnełam głowa, zgadzając się z każdym jego słowem, oczywiście, nie wolno, oczywiście, denerwował się, oczywiście... Wszystko, co się zdarzyło, musiało się wydarzyć.

– On prawdopodobnie wleciał na skały, odbił się od nich, tam po prawej stronie jezdni jest groźna skała, a może tylko zawadził i wyleciał z drogi, tam jest wąsko i bardzo słabe barierki, a on jechał z taką prędkością, że... Sama wiesz. No więc dachował i zleciał w dół, a tam jest głęboka przepaść, co najmniej kilkaset metrów.

Teraz wszystko zrozumiałam, André nałożył się na tego drugiego, który przelazł przez szczelinę i okazał się też André, w każdym razie miał podobną twarz. Teraz nałożyli się na siebie i nagle z dwóch André stali się jednym.

– Trzy dni temu pochowaliśmy go. – Podobała mi się ta pauza, było za dużo słów.

– Chociaż tam nie było co chować, sama rozumiesz, dwieście metrów, wszystko się rozwalilo i spłoneło.

Nagle stał się cud, twarz André zaczęła się mienić jak w kalejdoskopie i dzielić na mnóstwo cząsteczek, nos – w jedną stronę, oko – w drugą, czoło spłynęło w dół i także

podzieliło się, jakby wysuwając się na zewnątrz, wszystko to było niezwykle. Tylko dlaczego mam taką obolałą głowę, jakby igły wbiły mi się w twarz, kłuły i dźgały, szczególnie w policzki, a jeszcze ktoś mnie wołał: „Jackie, Jackie!”. Wołał głośno, ale ja nie odpowiadałam. Potem długo nie było nic, potem wszystko się zmieniło, potem znów pustka i tak prawie dwa lata.

Wykładałam ziemniaki na talerz. Podsmażyły się na złoto, są w sam raz, tak jak chciałam, najważniejsze, żeby nie nakrywać ich pokrywką i przez cały czas pilnować, no i żeby oliwy było tylko trochę. Z łakomstwa chwytam kawałki palcami, nie wiem dlaczego nazywają je cząstkami, to są właściwie pałeczki. Są gorące, przerzucam je z ręki do ręki, a potem kładę do ust. Dobre. Jem z apetytem, dawno już nie jadłam z takim apetytem, cały talerz, dokładam sobie nawet małe, pozostałe na patelni okruchy ziemniaków, popijam winem. Bardzo dobre.

Pierwszego roku zupełnie nie pamiętam, jacyś lekarze, sale, o coś pytali, nawet nie wiem o co, nie pamiętam, co im odpowiadałam. Mogłam coś gadać na swój temat, ale kto zwraca uwagę na słowa wariatki. W drugim roku zaczęłam przychodzić do siebie, wszystko stało się bardziej świadome, a potem było już tylko lepiej i lepiej. Drugą połowę pamiętam już bardzo dokładnie, przebywałam w dobrych sanatoriach, dużo spacerowałam, chociaż oni starali się nie zostawiać mnie samej. Z pokoju pozabierali wszystkie ostre przedmioty, nawet lustro nie było i przychodzili mi obcinać paznokcie – tak się o mnie troszczyli.

W ogóle było tam bardzo zabawnie, na przykład pościel przyszywali do materaca, a wszystko, co można byłoby wykorzystać zamiast sznura, zabierali, więc kiedy się myłam, obok stała pielęgniarka i dawała mi ręcznik, a potem natychmiast go zabierała. To było śmieszne, gdybym chciała, sto

razy mogłabym się powiesić albo przeciąć sobie żyły. Zrobiłam się taka sprytna, że bardzo łatwo mogłam ich wszystkich oszukać. Śmiałam się, opowiadając o tym lekarzowi, a on się śmiał razem ze mną.

– W końcu – mówiłam – gdybym chciała, mogłabym z rozbiegu roztrzaskać sobie głowę, walać nią w ścianę. Albo na przykład zębami przegryźć żyły na rękę. Przecież nie mogli powybijać mi zębów ani zakleić ust. – Więc znów śmialiśmy się z ich idiotycznej przezorności.

Ten lekarz był dobry, tak dobry, że stale był razem ze mną i wymyślał, co jeszcze mogłabym zrobić. Rozmawiałam z nim i wymyśliłam, że mogę jeszcze na przykład utopić się w wannie, jeżeli zechcę.

– Oczywiście – śmiał się – jacy oni tepi, ty wszystko możesz, jeżeli zechcesz, ale przecież nie chcesz.

– Oczywiście, że nie chcę – wzruszałam ramionami – gdybym chciała, dawno bym już to zrobiła. Ale nie chcę. – Znów się zaśmiewaliśmy.

Teraz rozumiem, że to wcale nie było śmieszne, raczej – przerażające. Teraz wręcz trudno mi pojąć, jak mogłam tak długo znajdować się w takim stanie. Ale przecież to nie byłam ja, mówię sobie, to choroba, ciężka choroba, która umościła się bardzo wygodnie i żyła we mnie. Stopniowo, fragmentami wyrzucałam ją z siebie, w końcu wyrwałam ją do końca razem z gnijącym korzeniem. Wyobrażam ją sobie jako żywy wirus, który przeniknął we mnie wysiewając się wewnątrz, wypełznął w głąb i zadomowił się nie w ciele, a w duszy.

Teraz wyzdrowiałam, lekarze stwierdzili to już dawno, i w końcu ja sama też to zrozumiałam, jestem zdrowa. Nie powinnam już niczego wspominać, wszystko przeanalizowałam, teraz żyję w zgodzie ze sobą i z tym, co się stało. Nie ma w tym mojej winy, tak się po prostu stało i w tych

tragicznych wydarzeniach naprawdę nie ma mojej winy. Żadnej!

Wstaję i przeciągam się, wspinam się na palce, a w plecach przyjemnie chrzęści. Czuję się lekka, wszystko, co mnie jeszcze uciskało, odeszło bez bólu, nie czepiając się mnie, nawet nie zauważyłam, w którym momencie. Chcę spać, myślę, uśmiechając się, na pewno już późno. To był dziwny deszczowy dzień, który wszystko wypaczał. Jak to dobrze, że chce mi się spać.

Zmieniam pościel, ta nowa pachnie świeżością i wilgocią, strychu jak perfumami. Rozbieram się, mam ochotę spać nago, tak jak kiedyś, bardzo dawno temu, żeby nic mnie nie krepowało, nie ograniczało, nie ścigało w dół. Jak dobrze! – mówię sobie w duchu.

Leżę na plecach i widzę w półmroku sufit, strudzone ubranie na krześle, samo krzesło – odwracam głowę – szafkę nocną, lampę na szafce, pod lampą książkę. Odechciało mi się spać, czuję się zbyt rześka i wypoczęta, żeby zasnąć, tu jest dobre powietrze. Tak, właśnie to, co mnie krepowało, odeszło, a całą wolną przestrzeń wypełniło powietrze. Jest mi teraz lekko.

Zapalam lampę, biorę książkę, ale nie chcę niczego oceniać ani przywoływać wspomnień, nie mam już po co wspominać, nie mogę być nadgorliwa. Gdybym jednak natrafiła na jakieś opowiadanko, mówię sobie, takiego rodzaju jak to o tancerzu, byłoby dobrze. Opowiadanie chętnie bym przeczytała. Szukam, nie wiem, jak odróżnić opowiadanie od innych rozdziałów, zaczynam wolniej kartkować książkę. Mam szczęście, trafiam na numer, pod którym widnieje tytuł. „Tytuł oznacza opowiadanie, już wiem” – mówię głośno, podsuwam sobie wyżej poduszkę i opieram się na niej.

Ostatnia wypowiedź

Mark Steim w przekrzywionej na bakier czapce z daszkiem, w znoszonej marynarce, pomiętych spodniach, zwisających z jego kościstych chudych bioder, w szerokich ciężkich buciorach na bose nogi, siedział w parku na ławce i rozmyślał. To, że jest źle ubrany, mówiło mu wiele osób, zwłaszcza kobiet. W gruncie rzeczy podświadomie starali się przerwać ten zakłęty krąg wyobcowania i wejść do wnętrza jego zamkniętego świata. Kiedy jednak w końcu to im się udawało, ku swojemu zdziwieniu nie znajdowali w nim niczego szczególnego oprócz dzikiego spojrzenia i cuchnącej bielizny. W dodatku ich wysiłki, by nakłonić go do zmiany ubrania, nawet przy użyciu podstępów, nie dawały rezultatu, więc mówili mu, że wygląda jak włóczęga i mógłby w końcu zacząć używać jakichś pachnidła, choćby tylko dezodorantu.

Nie zmieniał się z trzech powodów. Po pierwsze, kochał tę starą odzież, do której przywykł, a która przywiązała się do jego ciała, i tylko w niej czuł się wygodnie. Poza tym było mu dokładnie wszystko jedno, w co i jak jest ubrany, a do tego, jak zwykle, kompletnie nie miał pieniędzy. Miał w szafie frak, niemal nowy, prawie nie noszony, włożył go wszystkiego kilka razy, kiedy jeszcze chodził na premiery, na które przysyłano mu zaproszenia. Ale akurat w nim czuł się niezgrabny, zagubiony, nigdy nie wiedział, gdzie ma podziąć ręce, wydawało mu się, że wszyscy na niego patrzą, właśnie z powodu tej niezgrabności, a nawet wskazują go sobie wzrokiem. I rzeczywiście pokazywali go sobie oczami, ale z zupełnie innego powodu, niektórzy uważali go wręcz za geniusza, wprawdzie nie uznawanego, ale geniusze powinni właśnie tacy być, szczególnie artyści.

Bo był artystą, ten dziwak Mark Steim, rudym, łysiejącym artystą, jeszcze nie starym, mającym nieco ponad trzydziestkę. Rzeczywiście był on, jak mówiono, nie z tego świata, zwłaszcza gdyby oceniać po tym, że można go było zagadywać wiele razy, a on patrzył na człowieka niewidzącym wzrokiem, jakby zupełnie nie słyszał, potem nagle wzdrygał się, jakby skądś wracał. Co ciekawsze, świetnie się orientował, jakie wywiera wrażenie, i nawet je podtrzymywał, uważając, że wszystko to do niego pasuje, nawet odzież, którą nosił. Częściowo miał rację, ponieważ właśnie jego niecodzienny ubiór i dziwne zachowanie przyciągały ludzi.

Jego odmienność przejawiała się także w tym, że nie protestował, gdy kobiety go porzucały, wręcz nawet to aprobował, chociaż za każdym razem cierpiał szczerze i głęboko, wpadając niemal w stan odrętwienia. Przed tym promieniującym, nasilającym się bólem ratowało go tylko malarstwo i to dzięki niemu zupełnie podświadomie uzewnętrzniał i siebie, i ten swój ból, przelewając to za pomocą farb na płótno. Kiedy ból wydobywał na zewnątrz, udawał mu się też obraz, a on zastygał wtedy nad nim, sam zdziwiony, jak mu się to udało. Może właśnie po to się zakochał, wiedząc za każdym razem, że zostanie porzucony, że znów oczekuje go strata i ból, na to się ciągle przygotowywał, nieświadomie, intuicyjnie, sam nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy Steim malował, coś nagle zaczynało się dziać w jego głowie, pączkowały i rozkwitały kwiaty, których nigdy przedtem nie widział, powstawały formy, a cała trudność polegała na tym, żeby je zapamiętać i potem umieć odtworzyć. Formy zmieniały się, czasem kompletnie się zacierały, wtedy zdawało mu się, że nigdy już ich nie zobaczy, potem znów się pojawiały, zawsze nieoczekiwanie i w różnych konfiguracjach. Na tym polegała cała złożoność tego problemu, że on, Mark Steim, prowadził je, a one,

formy i kolory, prowadziły jego, Marka Steima. Jednak swego istnienia nie zawdzięczały ani jego woli, ani jego życzeniom, żyły zupełnie niezależnie i nawet dyktowały mu swoją wolę, a on, nie sprzeciwiając się, ulegał ich naciskom. Jeżeli chodzi o niego samego – dawno już stwierdził, że to nieważne, kto kogo prowadzi, to oznaczało tylko, że miał taki dar, a ktoś z boku zupełnie nie potrafił się w tym połapać.

Z tego właśnie powodu rozwinął niezwykłą technikę malarską, jego obrazy były jakby wypukłe, mogło się wydawać, że wchłaniają w siebie zewnętrzną przestrzeń, one, wydawało się, ogołacały pokój, w którym wisiały, nie wzbogacając go o nic, jak to zwykle dzieje się z obrazami, a przeciwnie – zubożając. Tym właśnie straszły publiczność i mimo że wszyscy zachwycali się pracami Steima, to nie kupowali ich, dobierając obrazy, jak to zwykle bywa, do konkretnego wystroju. Rozumieli, że w przypadku zakupu dzieła tego artysty nie będzie więcej ani wystroju, ani samej ściany.

Teraz Steim siedział na skwerze, spoglądał na swoje wyciągnięte nogi i rozmyślał o dziwnej rozmowie, którą odbył rano z właścicielem galerii, jedynej w całym mieście, w której go jeszcze wystawiano. Właściciel nazywał się August Rickee i był energicznym, dobrze ubranym mężczyzną w wieku czterdziestu pięciu lat ze starannie przystrzyżonymi włosami, krótką, wypielegnowaną bródką na rumianych policzkach i z uważnym, wydawałoby się wszystko rozumiejącym spojrzeniem. Oczy, a także uśmiech, przydawały twarzy szczególnego blasku, w którym sam Mark czasami dostrzegał światło i żałował wtedy, że nie umie malować realistycznych portretów z natury. August Rickee pokładał w Marku nadzieję, oczekując, że ten zostanie kiedyś uznany, a co więcej, jego nazwisko wejdzie do historii światowej kultury. Momentami, kiedy obrazy Marka zupełnie się nie sprzedawały, wspomagał go niezbyt wielkimi kwotami, ale zawsze było to coś.

Dzisiaj rano, kiedy Mark do niego przyszedł, Rickee przyjął go na pierwszym piętrze, sam był jeszcze w szlafroku, choć już uczesany i odświeżony. Widać było, że był w wyjątkowo dobrodusznym nastroju. Poczęstował Marka filiżaneczką mocnej kawy i nawet kieliszkiem koniaku. Wprawdzie było wcześniej i Mark zupełnie nie miał ochoty na alkohol, tym razem jednak wypił, głównie dlatego, że denerwowało go to, o czym tak żywo i wnikliwie mówił August.

Wszystko zaczęło się od tego, że Rickee długo wpatrywał się w nowy obraz, który Mark mu przyniósł, i choć rozmiary płótna były niewielkie, to obraz wydawał się przestrzenny i wypukły. August długo patrzył na płótno, potem siadał, upijał nieco kawy, znów wstawał i kiedy wreszcie usiadł naprzeciwko Marka, ciągle odwracał głowę spoglądając na obraz i napawając się mocą krzyczących kolorów.

– Pan jest prorokiem, Mark – powiedział Rickee w końcu. Pan jest najprawdziwszym prorokiem, tylko sam pan o tym nie ma zielonego pojęcia. Niech pan tylko popatrzy na swoje dzieło – znów odwrócił głowę – ono zatrważa, w nim jest zawarta Wieczność, w nim są odpowiedzi. Pana obraz, Mark, jest prorocstwem. Przecież żadne prorocstwo nie jest przekazywane otwarcie, wprost, trzeba je umieć rozszyfrować.

– Czy może go pan sprzedać? – zapytał Mark.

Teraz to było dla niego najważniejsze, ponieważ już od kilku dni był bez pieniędzy i choć wprawdzie nie był głodny, zresztą jadał mało, tylko raz dziennie, to gospodyni zagroziła mu wyrzuceniem go z pokoju z powodu niepłacenia czynszu. Był jej już winien za kilka miesięcy, nadchodził termin kolejnej płatności i należałoby wpłacić przynajmniej część zaległej sumy. August skrzywił się; nieprzyjemne było dla niego to nagłe przejście do interesów, ponieważ wiedział jak Markowi jest ciężko, a również

dlatego, iż wiedział, że nie sprzeda obrazu i że obrazy Marka w ogóle się nie sprzedają.

– Przecież pan wie, Mark – powiedziała, a jego ręce ześlizgnęły się w dół, akcentując wypowiedane słowa – że pana obrazy nie sprzedają się tak jakby pan tego chciał. Nic na to nie można poradzić, taki jest los proroka, uczestniczącego w życiu świata i śledzącego jego etapy. Gdyby pan był powszechnie uznawany, sprzedawany i bogaty, to nie potrafiłby pan tak malować, proszę mi wierzyć. – Znów spojrzął na obraz. – Widzi pan, prorok nie powinien jadać przy jednym stole z dziennikarzami ani pozować do zdjęć na okładki pism. Nie powinien występować w telewizji razem ze znanymi modelkami. Powinien być nieznany. Nie jego powinni oglądać czy słyszeć, tylko jego proroctwa i więcej nic.

– Czy zna pan to słynne powiedzenie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju? Wspaniale celna myśl, chociaż nieprawidłowo sformułowana. Powinna brzmieć tak – August zamyślił się, ale nie na długo: – Prorok we własnym kraju przestaje być prorokiem! Właśnie tak. Jak tylko staje się uznany, już nie jest prorokiem. Co więcej, jak tylko staje się dostępny dla oczu i uszu ogółu, rezygnuje z tytułu proroka. Proszę pomyśleć, Bóg nigdy nie pojawiał się nawet przed swoim narodem wybranym – Izraelitami, co więcej – zabronił wymawiać swoje imię. Rozumiał, że w momencie spotkania przestanie być Bogiem. Nawet wybrańcom, Abrahamowi czy Mojżeszowi, nie ukazywał się. W kształcie gorejącego krzewu owszem, ale nie we własnej postaci.

Mark, który początkowo puszczał mimo uszu potok słów Rickeego, teraz trochę skupił uwagę i słuchał z zainteresowaniem.

– Również Mojżesz przyjął nauki od Boga i także osobiście rzadko kontaktował się bezpośrednio z narodem, który

prowadził. Posługiwał się pośrednikiem – Aaronem. Widzi pan, Mark, jak dogłębnie rozumiał, że w chwili, gdy zobaczą go przygnębionego, zmęczonego albo załatwiającego własne potrzeby, nawet gdy zobaczą bodaj okrucich w jego brodzie, to on jako prorok jest skończony.

August upił kawy i znów spojrzął na obraz. Wydawało się, że widok obrazu i ten łyk kawy przemieniły go – miał teraz zupełnie inny wyraz twarzy.

– Nawet Jezus stał się Bogiem dopiero po swojej śmierci. To, że jego nauki dotarły do nas, zawdzięczamy przede wszystkim temu, że przekazywali je uczniowie skazanego. Podsumowując, prorok powinien być albo niewidoczny, albo martwy. – Zamilkł, milczał również Mark. – Pan, Mark, jest prorokiem. Wiem o tym, jestem pana Aaronem. Ale pan nie powinien być ani znany, ani bogaty, inaczej pozbawi pan świat swojego prorocstwa, które rozumieją dopiero po pana śmierci. Dopiero wtedy.

– Czy to znaczy, że za życia na nic nie mogą liczyć?
– zapytał Mark.

Rickee pokręcił głową,

– Na nic – powiedział z przekonaniem. – To paradoks wart przebadania, a w każdym razie zastanowienia się. Oto siedzimy razem, rozmawiamy, popijamy koniak i obaj dobrze wiemy, że wejdzie pan do światowej historii sztuki jako znany malarz. Wiemy również doskonale, że żadnego pożytku, ani finansowego, ani emocjonalnego, ten przyszły fakt w nasze życie nie wniesie, dlatego że w tym celu konieczna jest pana śmierć. – Rickee sam się zachwycał swoim krasomówstwem. – Interesujące jest także to, że i pan, i ja, obaj to doskonale rozumiemy, bez niepotrzebnych emocji, jak dorośli ludzie interesu. Zabawne jest tak siedzieć i zastanawiać się nad tym, że ludzie zarobią na panu kolosalne fortuny, ale dopiero wtedy, kiedy pan odejdzie. Dopiero wtedy pana obrazy zostaną skatalogowane, ilość ich będzie

ograniczona, jako że już nigdy nie pojawi się ich więcej. Tak – Rickee pokiwał głową, jakby potakiwał sam sobie – ludzie zarobią mnóstwo pieniędzy na pańskim talencie. Nie ja oczywiście, jestem od pana o wiele starszy i z całą pewnością umrę pierwszy. Ale komuś potem się uda.

– Czy nie można tego jakoś pogodzić? – zapytał Steim. Rickee uniósł brwi. – Mam na myśli to, co pan nazywa prorocstwem i normalne powodzenie, nawet nie powodzenie, tylko normalne życie.

– Nie, nie można. To smutne i dla pana, i dla mnie, ale taka jest widocznie prawidłowość. Nie ma wyboru: albo prorocтва, albo dobry samochód i wygodne mieszkanie. Pośredni stan nie istnieje.

Potem on, August Rickee, dalej mówił, jak wstrząsające wrażenie zrobił na nim obraz, ale Marka to już nie interesowało, śpieszył się do wyjścia. August, poczciwa dusza, dał mu niewielką sumkę pieniędzy na poczet przyszłych sprzedaży i nie próbował go zatrzymać.

Tak więc Mark siedział na ławce na skwerze, jakby towarzysząc wzrokiem swoim wyciągniętym nogom, w rzeczywistości cały czas rozmyślając o swojej porannej rozmowie z Rickee'em.

Niepotrzebna była mu sława ani fotografie na okładkach kolorowych pism, właściwie to nawet nie potrzebował specjalnie pieniędzy. Oczywiście, chciałby mieć oddzielne mieszkanie i wypoczywać nad morzem, a czasem jadać obiad w restauracji – to by wystarczało jak na jego potrzeby, ale chciał wiedzieć, że inni także widzą w jego obrazach proroctwo, tak jak zauważa to August, tego naprawdę by chciał. Pragnąłby także tego, żeby jego obrazy wisiały w najsztywniejszych muzeach, żeby wydawano albumy z reprodukcjami jego dzieł, żeby wystawy jego prac przejeżdżały z jednego miasta do drugiego, z kraju do kraju. A on,

Mark, przebrany, ukryty, nikomu nieznanym stałby przed swoimi obrazami, patrząc z boku i słuchając jak ludzie mówią o nich z nabożeństwem. To nie dlatego, że tak zachowuje się człowiek w muzeum, ale dlatego, że obrazy nie pozwalają na głośne rozmowy. Słuchałby i byłby szczęśliwy. Później wracałby do domu – żeby tylko nie było gospodyni, tej starej wiedźmy – i dalej by malował tak, jak jeszcze nikt dotąd, nawet on sam.

Dzięki tym myślom, kiedy tak siedział na skwerze, ciągle jeszcze rozgrzany koniakiem, robiło się mu tak ciepło i radośnie, że aż chciało mu się płakać, ale powstrzymywał się, wiedząc, że to tylko marzenia. Przecież, tak jak powiedział Rickee, bilans nie istnieje. „A gdyby tak umrzeć i być jednocześnie przy tym obecnym? – pomyślał Mark. – To rozwiązanie byłoby do przyjęcia”.

Wrócił do domu i poszedł spać, ale nad ranem coś go obudziło: ujrane we śnie nieoczekiwane zestawienie form. Wstał z łóżka, czując się świeży i gotowy do pracy, zaczął odtwarzać sen, ale widzenie prędko znikło, zostawiając na płótnie kilka nieczytelnych maźnięć. Potem ubrał się, umył i wybrał do Augusta, który oczywiście go przyjął, ale już nie tak przychylnie jak poprzedniego dnia.

Trochę niegrzecznie było przychodzić do niego dwa dni pod rząd, tym bardziej że wczoraj dał Markowi, zdaje się, jakieś pieniądze. Rickee był w tym samym grubym, bajowym szlafroku co wczoraj, i tak samo uśmiechał się, ale nie miał już tak przyjaznego wyrazu twarzy. Zamiast tego czuło się napięcie, chociaż jak poprzednio gościnnie zaproponował kawę z koniakiem. Mark podziękował, przyszedł w pewnej sprawie, bardzo ważnej. Już po pierwszych słowach Steima na twarzy Augusta odmalowały się uwaga i zdziwienie, a wreszcie kompletne zaskoczenie. Przy czym Mark od razu przeszedł do sedna sprawy, mówiąc, że długo myślał nad ich wczorajszą rozmową, raczej nad tym, co powiedział August. Tamten zmarszczył czoło i Mark musiał mu przypomnieć:

– O prorokach, powodzeniu i tak dalej – wyrzucał z siebie, a Rickee już potakiwał i powtarzał: «Tak, tak, rozumiem, oczywiście».

– W rezultacie rozumiałem, że ma pan rację, absolutną rację.

– Oczywiście – próbował się wtrącić Rickee, ale Mark mu nie pozwolił.

– Zgadzam się z pańską sugestią – powiedział Mark i August znów zmarszczył czoło, nie bardzo rozumiejąc. Nie pamiętał, żeby cokolwiek sugerował Steimowi.

– Zgadzam się umrzeć, Auguście – sprecyzował Mark, widząc jego niedowierzanie. To jednak nie było niedowierzanie, tylko przerażenie: Rickee bał się wariatów, a takich wśród artystów spotykał wystarczająco wielu.

– Nie rozumiem pana, Mark – powiedział, odsuwając się nieco.

– Co tutaj jest niezrozumiałe? Wszystko jest absolutnie jasne. Pójdziemy razem do adwokata i ja u niego podpiszę oświadczenie, że w przypadku mojej śmierci pan staje się właścicielem moich obrazów, jest ich około dwóch setek, 186, żeby być dokładnym, i sprzeda je pan po cenach przez pana ustalonych. Połowę tej sumy zostawi pan sobie, a drugą połowę przeleje pan na konto w banku, które podam w podpisywanej przez nas umowie. Ot i wszystko.

– Co to za konto? – zapytał Rickee, orientując się natychmiast, że to obrzydliwe i najgorsze pytanie ze wszystkich, jakie miał zamiar zadać. Nie mógł się jednak opanować, spoglądał na tego ryżego, chuderławego Marka i zastanawiał się, czy tamten tylko żartuje, czy już zwariował.

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiedział Mark pytaniem. – Tylko niech się pan nie śpieszy ze sprzedażą, bo przecież sam pan powiedział, że obrazy rosną w cenie im dalej od śmierci malarza i schedy po nim staje się bezcenna.

– Ja tego nie mówiłem – powiedział Rickee, ale obaj doskonale wiedzieli, że nieważne było sformułowanie: myśl, jaka z tego wynikała, była dokładnie taka.

Najbardziej przerażające dla Rickeego było to, że Steim mówił zupełnie normalnym głosem, rozsądnie i logicznie, nie było widać po nim żadnych symptomów choroby umysłowej, nerwowego drżenia głosu czy obłąkańczego błysku w oczach.

– Niech pan posłucha, Mark – zaczął Rickee ostrożnie – pan jest jeszcze młody, wszystko przed panem, na pewno namaluje pan jeszcze mnóstwo wspaniałych obrazów. Przeżyje pan też jeszcze wiele radosnych chwil w swoim życiu i doświadczy pan pięknych rzeczy – zająknał się, wyliczając: miłość, twórczość, piękno przyrody – próbował przywoływać z pamięci jedną przyjemność za drugą, jakby dzieląc się nimi – choćby ten koniak albo zapach dobrych perfum lub cygara, czyż to mało? Do tego jeszcze...

Ale Mark przerwał mu:

– Pan jest mądrym człowiekiem, Auguście, do tego wrażliwym i trzeźwo myślącym. Po co te wszystkie banały? Wystarczająco dużo namalowałem, żeby spokojnie odejść, po co to odwlekać, przecież tylko moje obrazy mają, jakiegokolwiek znaczenie. Czy pan nie wie, że dla mnie nie istnieją perfumy, koniak ani nawet miłość – tylko moja praca? Do tego umierać w zapomnieniu i nicości jak żebrak, którego wszyscy żałują?! Po co? Niech mnie zapamiętają takim, jakim jestem, trochę dziwnym, nawet cudacznym, ale prokiem. Pan przecież tak mówił?

– Tak – powiedział Rickee, próbując otrząsnąć się z nieoczekiwanej ogarniającego go strachu.

Mark przysunął się do niego.

– Niech pan posłucha, Auguście – chciał dotknąć jego kolana, ale się rozmyślił – ja już dawno o czymś takim myślałem, pan za mnie tylko wyartykułował myśl. Obaj

wiemy, że mam rację. Poza tym umierać jest straszne tylko wtedy, kiedy zakończenie od ciebie nie zależy. A kiedy sam trzymasz w rękach wszystkie sznurki, wtedy straszne nie jest. Pan nie ma z tym nic wspólnego, ja sam już od dawna do tego dążyłem. Rickee pokręcił głową,

– Nie, ja nie mogę – powiedział.

– W porządku – powiedział Steim – w takim razie pójdę z tym do innej galerii. Pan świetnie się orientuje, że chodzi o ogromne pieniądze, wczoraj zresztą pan o tym mówił. Sam pan wie, że oni nie będą się rozczulać. Oni, w odróżnieniu od pana, zachowują się zupełnie spokojnie i naturalnie.

Nastąpiła pauza. Mark nie śpieszył się z wyjściem.

– Niech pan posłucha, Auguście – zaczął znów – to ja tak postanowiłem, to ja tego chcę, a koniec końców tak należy zrobić. Później będzie gorzej i bardziej niesprawiedliwie, niech przynajmniej pieniądze dostaną się tym, których lubię, panu, no i innym także.

– A kiedy pan planuje... – Rickee nie wiedział, jak dokończyć.

– Za tydzień na przykład, proszę bardzo. Muszę dokończyć ostatni obraz, już go zacząłem. Widzi pan – nagle roześmiał się dobrodusznie – nie jestem chory ani nie straciłem rozumu, wszystko dokładnie przemyślałem i zaplanowałem.

– Jak pan chce to... – pytanie Rickeego znów zawisło w powietrzu.

– Otruję się albo utopię. Nie chcę do siebie strzelać czy wieszać się. Kałuże krwi albo język na wierzchu to nie dla mnie. Lepiej zrobić to w jakiś estetyczny i czysty sposób.

Rickee wzdrygnął się.

– Muszę to przemyśleć – powiedział po dłuższej pauzie.

– Nie mogę dać w tej chwili odpowiedzi.

– Ile pan potrzebuje na to czasu? – zapytał Steim jak człowiek interesu. – Nie chcę tego przeciągać.

- Dwa dni – powiedział sucho Rickee.
- W porządku – Steim uśmiechnął się i ukłonił.

Sypiał dniami, a nocami malował. Forma, która obudziła go wczorajszej nocy, powróciła także dzisiejszej. Była realna i niezwykle denerwowała Steima nie tylko wizualnie; wyczuwał ją dotykiem, obejmował, nawet słyszał. Podrażniony go, wyślizgiwała się z jego rozbudzonej świadomości, pozostawiając rozplywające się poczucie bezradności. To samo zdarzyło się następnej nocy i następnego ranka.

Potem wybrał się do Rickeego i tamten przyjął go natychmiast. August zachowywał się bardzo oficjalnie, ale natychmiast oznajmił, że wprawdzie uważa ten pomysł za najzwyczajniejsze szaleństwo, ale właściwie, skoro Mark tak postanowił, koniec końców to przecież jego życie, więc ma całkowite prawo do tego, żeby nim rozporządzać zgodnie z własną wolą. Poszli we dwóch do adwokackiej kancelarii, która znajdowała się niedaleko, a po drodze Rickee zaczął wypytywać Marka, dlaczego tak schludnie się ubrał.

- Pytam pana o to – powiedział – bo jeżeli się pan rozmyśli, a zaklinam pana, żeby się pan rozmyślił, możemy wszystko anulować, mam na myśli wszystkie nasze ustalenia.

Dziś Steim słuchał z roztargnieniem.

- Och, nie – co tu ma do rzeczy moje postanowienie. Nie w tym rzecz.

- A w czym? – zapytał August.

- Ten obraz. Widzę go, czuję, słyszę. Próbuje mi coś powiedzieć, a ja się biję z myślami, nie mogę usłyszeć, zrozumieć, wydaje się, że jestem tuż-tuż, a nie mogę. Niech to diabli, pierwszy raz coś takiego mi się zdarza.

Weszli do biura. Formalności okazały się niezbyt skomplikowane, toteż wkrótce wszystko było zakończone i podpisane ku obopólnemu zadowoleniu adwokata i samego

Marka, tylko Rickee miał nieprzeniknione spojrzenie. Po wyjściu na ulicę Mark wyciągnął do niego rękę.

– Niech się pan nie boi, bez strachu, nie żegnam się z panem na zawsze, na razie mówię tylko do widzenia. Wstąpię jeszcze do pana.

Już dawno przygotował sobie to zdanie i Rickee w nie uwierzył. I rozstali się. Jeden w workowatych, obwisłych spodniach na długich, sztywnych nogach, drugi w dobrze skrojonym garniturze, świadczącym o pozycji jego właściciela.

Steim oszukał go. Nie przyszedł ani jutro, ani następnego dnia, nie przyszedł już nigdy. Po tygodniu gospodyni weszła do jego pokoju, żeby mu zagrozić eksmisją, ale w pokoju nie było nikogo. Na stole znalazła jedynie zapisaną kartkę. Była w niej mowa o tym, że jej autor, malarz Mark Steim, będąc całkowicie przy zdrowych zmysłach, ma zamiar skończyć ze sobą i tej nocy zamierza skoczyć z mostu. Dalej wymienione były powody takiego postanowienia, wśród których były pieniądze, nicość życia, słabe zdrowie, niemożność malowania i tak dalej, które to wszystkie dawały mu prawo do skończenia ze sobą przy zachowanych trzeźwych zmysłach i zdrowym rozsądku malarza.

Gospodyni pobiegła natychmiast na policję, nie była złą kobietą, inaczej już dawno wyrzuciłaby obecnego zmarłego. Na policji powiedzieli jej, że kilka osób zeznało, że widziało tamtego dnia, jak ktoś wczesnym rankiem skoczył z mostu do rzeki i nie wyłynął. Próbowali odnaleźć ciało, ale gdzie tam! Dlatego właśnie, po przesłuchaniu świadków i na podstawie pozostawionego listu, wyciągnięto wniosek, że artysta malarz Mark Steim skończył ze sobą, o czym następnego dnia pisały wszystkie miejscowe gazety, a nawet prasa centralna.

Ale on w rzeczywistości nie skończył ze sobą; mieszkał teraz w innym mieście, pod zmienionym nazwiskiem. Nabył

nie mieszkanie, a ogromny dom z werandą i pracownią na drugim piętrze, zimą jeździł na południe, zaczął się lepiej ubierać i nawet ożenił się z kobietą, która zajęła się jego ubraniami i urodziła mu dziecko. Czasami wychodził z domu na cały dzień, szedł do muzeum, patrzył na swoje obrazy i na to, jak przed płótnami zamierają zwiedzający. Było mu oczywiście trochę żal swojej młodości, zapału, nawet biedy, tak jak nam wszystkim żal jest młodości, jaka by ona nie była. Potem wracał do domu, bawił się z dzieckiem, a następnie wychodził do pracowni i próbował malować.

Pewnego razu, wiele lat później, przebywając w kurorcie, teraz już tegawy, ubrany w biały lniany garnitur, z laską, na której od jakiegoś czasu musiał się wspierać, wybrał się na przechadzkę. Na plaży zostawił żonę, która nie utraciła jeszcze dawnej urody, i dorosłą córkę. Po drodze zatrzymał się przed wejściem do letniej kawiarni (tutaj przez cały rok było lato) i po chwili namysłu wszedł do środka. Usiadł, zamówił kieliszek koniaku i długo przyglądał się starszemu mężczyźnie, siedzącemu przy sąsiednim stoliku. Tamten to w końcu zauważył i uśmiechnął się, nie wiedząc, jak ma zareagować na tak natrętne spojrzenie.

– Pozwoli pan? – zapytał ten, który w młodości był Markiem Steimem.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami, czytał gazetę i nie chciał przerywać przyjemnego lenistwa, któremu oddawał się w ostatnich czasach. Niegrzecznie jednak było odmawiać.

– Koniak? – zaproponował Mark Steim.

– Nie, dziękuję, nie piję.

– Kiedyś zapijał się pan koniakiem, nawet o poranku.

– Słucham? – zdziwił się starszy mężczyzna.

– Kiedyś mi pan powiedział, że koniak to radość. Wylizywał pan wtedy radości życia. Wśród nich był koniak.

– Czy my się znamy? – Rickee zachmurzył się, jemu samemu wydawało się, że kiedyś gdzieś już widział twarz tego człowieka. Ale gdzie i kiedy?

– Oczywiście, Auguście. Byliśmy nawet przyjaciółmi.

– To widocznie wiek. Poza tym, rozumie pan, koniak rankami. – Rickee uśmiechnął się. – Czy może mi pan przypomnieć?

– Oczywiście, przypomnę. Musi pan jednak obiecać, że nie zacznie pan krzyczeć, pokazywać mnie palcem i wołać o pomoc.

– To niemożliwe! – Rickee aż odskoczył.

– Przecież już chciał mi pan obiecać.

– Ale to przecież niemożliwe!

– Dlaczego nie? Myślałem, że pan to zrozumie od razu, na samym początku. Okazuje się jednak, że jest pan mniej domyślny niż sądziłem. A może pan mnie po prostu nie docenił? Pomyślał pan – artysta, malarz, buja w obłokach. Zna pan takie stereotypy?

– Mark Steim, Mark Steim – dalej z niedowierzaniem kręcił głową.

– Proszę, niech pan nie wykrzykuje tak głośno mojego nazwiska. Poza tym to już od dawna nie moje nazwisko. Nazywam się teraz August Silen.

Rickee przemówił niemal szeptem:

– Przecież pan utonął. Pisano na ten temat we wszystkich gazetach, policja prowadziła śledztwo, dwa razy wzywali mnie w celu złożenia zeznań. Opowiedziałem oczywiście o naszej rozmowie. Wszyscy myśleli, że pan skoczył z mostu.

– To nie byłem ja.

– A kto taki?

– Manekin, kukła. Kupiłem manekin, zrobiłem otwory w stopach, nasypałem piasku, przebrałem go w swoją starą odzież i zaniósłem nocą na most. Postawiłem go na samym

skraju balustrady; dopóki w nim był piasek, utrzymywał równowagę. Piasek powoli wysypywał się, wie pan, Augustcie, tak jak z klepsydry, więc stawał się powoli coraz mniej stabilny. Zdażyłem oczywiście odejść, zanim zaświtało. Bałem się, że na moście znajdują się w tym czasie jacyś ludzie, ale miałem szczęście. Kiedy wysypała się wystarczająca ilość piasku, manekin stracił równowagę, przechylił się i spadł, zupełnie tak jak człowiek, jak ja. Stałem na nabrzeżu i widziałem to, zresztą widziało to też kilka innych osób. Nie można go było odnaleźć. Przez otwory nabrał wody i dlatego się nie wynurzył, a potem popłynął dalej z prądem. Tak to się odbyło. Widzi pan, okazało się, że jest to bardziej proste niż mogłoby się wydawać.

Podczas gdy August Silen opowiadał, Rickee dochodził do siebie. Jego twarz, wyrażająca z początku niedowierzanie, powoli zaczęła się wygładzać, teraz wyglądał jak zahipnotyzowany.

– Mark, to brzmi jak bajka – powiedział.

– No co, to może teraz się napijemy? – zapytał August.

– Oczywiście. Za ciebie, za nas, za nasze spotkanie, naturalnie.

Unieśli w górę kieliszki.

– Okropnie mnie ciągnęło, żeby wpaść do ciebie do galerii, kiedy przeniosłeś się do Paryża, do nowej siedziby – powiedział August – ale się bałem. Bałem się przyjechać do miasta, ktoś mógłby mnie rozpoznać, bałem się też ujawnić przed tobą.

Nie zauważyli nawet, kiedy przeszli na «ty».

– Jakie to wszystko niewiarygodne! – powtórzył Rickee.

– Nie mogę dojść do siebie. Dalej w to nie wierzę. Tyle lat przeżyłem ze świadomością, że nie żyjesz, sprzedawałem twoje obrazy, prowadziłem wykłady na temat twojego malarstwa, napisałem o tobie mnóstwo artykułów, nawet książkę...

– Wszystko czytałem – wtracił August.

– A tymczasem ty żyjesz, wszystko okazało się insceni-
zacja, ba, niemal snem. To takie dziwne, że aż się nie chce
wierzyć.

– To nie jest żaden sen. Każdy z nas przeżył swoje
życie, określając i wybierając własną drogę. Obaj się po-
starzeliśmy, obaj staliśmy się bogaci i weszliśmy do historii.
To, co się dzieje obecnie, jest jak najbardziej realne. Różnica
polega tylko na tym, że dla ciebie Mark Steim nagle okazał
się żywy, podczas gdy dla mnie Mark Steim umarł, zginął
dwadzieścia lat temu. Żyję ja, August Silen. Ot i wszystko.

– Nie rozumiem – Rickee pokręcił głową, – Dawno już
nie piłem. Nieważne, powiedz, czy dużo malowałeś? Wy-
stawiałeś gdzieś swoje prace? Nigdzie nie widziałem twoich
obrazów. Od razu poznałbym twój pędzel, nawet gdybyś
zmienił styl.

– Ani razu nie wystawiałem – August pociągnął z kie-
liszka.

– W takim razie powinieneś zgromadzić mnóstwo prac
przez te wszystkie lata. Setki. No, to będzie bomba! Nowe
prace Marka Steima! Nie potrafię sobie tego nawet wyobra-
zić. Czy starczy mi sił, żeby to wszystko udźwignąć? Oczy-
wiście, tak jak dawniej, mam mnóstwo powiązań, możemy...

– Mam tylko jeden obraz – przerwał mu August.

– Tylko jeden? – zdziwił się Rickee. – Dlaczego? Po-
rzuciłeś malarstwo?

– Namalowałem tylko jeden obraz, który rozpocząłem
zaraz po naszej pierwszej rozmowie.

– Ten, którego wtedy nie udawało ci się namalować.
Skarzyłeś się. Widzisz, zapamiętałem to.

– Chcesz na niego rzucić okiem? – zapytał August.

– Masz go tutaj?

– Nie rozstaję się z nim. Patrzą na niego codziennie, to
mi już weszło w krew, nie mogę bez tego żyć. Tak długo

go malowałem, że się przyzwyczailem. Dotąd nikt go nie oglądał, nawet żona, ty będziesz pierwszy. Więc jak, idziemy?

– Oczywiście, oczywiście!

Rickee podekscytowany zaczął się nagle śpieszyć, złapał swój kapelusz i niechcący go upuścił. Gdy się po niego schylał, August dopił swój koniak.

– No, chodźmy – ponaglił i skierował się do wyjścia.

Szli bulwarem, od czasu do czasu wymieniając ukłony z przechodzącymi. Pierwszy, wysoki i energiczny, laską bardziej torował sobie drogę wśród przechodniów, niż się na niej wspierał. Emanowała z niego solidna stateczność, nawet powaga – a może była to totalna obojętność, ale przeżyte lata pozostawiły swój ślad. Drugi, niższy i grubszy, prawie nie nadażał za tamtym. Musiał ciągle podbiegać. Ale nawet ten pośpiech nie zdołał zniweczyć elegancji człowieka w naturalny sposób wytwornego.

– Powinienem ci coś wyjaśnić, zanim obejrzysz obraz – uprzedził August.

– Tak, no tak. – Rickee ożywił się.

– Nie wiem, czy przypominasz sobie, jak powiedziałem ci kiedyś, że malowałem swoje najlepsze obrazy wtedy, gdy porzucały mnie kobiety. Często się zakochywałem, bo byłem kochliwy – Silen uśmiechnął się – zerwania przeżywałem silnie, i żeby zapomnieć o bólu, rzucałem się do sztalug. W takich momentach odczuwałem swój ból na tyle namacalnie, że jeżeli udawało mi się go uchwycić i przenieść na płótno, to obraz wznosił się ponad mój talent i umiejętność.

– Tak, pamiętam. Napisałem o tym w książce, przecież ją czytałeś. – I po chwili:

– Przeżyłeś miłosną tragedię? Porzuciła cię kobieta?

– Rickee znów przyśpieszył kroku, chciał zajrzeć tamtemu w twarz.

– Nie, nie kobieta – zaprzeczył August.

– A kto taki?

– Obejrzyj najpierw obraz.

Weszli do domu, w którym Silenowie wynajmowali apartament na pierwszym piętrze. Mieszkanie było urządzone gustownie, z pięknymi meblami. Ciężkie story całkowicie zasłaniały okna, powstrzymując migotliwe światło z ulicy, wchłaniając je i zamieniając w świetlny pył. August zapalił lampę z abażurem z ołowianego szkła.

– On nie potrzebuje zbyt wiele światła.

– Czy masz na myśli obraz? – Rickee rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł.

– To bez znaczenia, on i tak pochłania całe światło.

August podszedł do krzesła z szalem przerzuconym przez wysokie oparcie i jednym ruchem, niezwykle płynnym jak na swoją posturę uniósł go. Rickee zamarł.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Kręci mi się w głowie. Coś mi się dzieje z sercem... Daj mi wody...

Rozpiął górny guzik koszuli, potem niepewnie osunął się na stojące obok krzesło; upadłby, gdyby go nie było.

August podał mu szklanekę wody mineralnej. Marszand przenosił spojrzenie z malarza na obraz i z powrotem.

– Co czujesz? – zapytał August, kiedy tamten łapczywie wypił wodę i w końcu odzyskał oddech.

– On wysysa ze mnie wszystko. Wypija mnie. Obraz nie może mieć w sobie takiej mocy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, to niemożliwe!

– Ja też tak myślałem – powiedział August.

– Jak ty możesz na niego patrzeć? – podbródek Rickeego drżał, twarz mu pobladła, przyciskał dłoń do serca nie przestając mamrotać. – Zasłoń go, proszę, zasłoń – dosłyszał August i zakrył obraz.

Minęło kilkanaście minut, Rickee już nieco doszedł do siebie, siedział na kanapie w drugim pokoju, jasnym, prze-

światłonym słońcem, nie mógł sobie jednak przypomnieć, w jaki sposób się tutaj znalazł.

– Co się ze mną działo? – zapytał. – To wszystko przez ten obraz, co w nim takiego jest? On wchłania człowieka w siebie. Jak to się może dziać? Nie rozumiem.

– Już ci mówiłem, że nauczyłem się pocieszać po stratach malując obrazy. W ten sposób mogłem uwolnić się od kobiety, od miłości do niej. A tutaj płaciłem natchnieniem. Sańczyło się ze mnie powoli, kropla po kropli, wyciekało w każdej sekundzie, w każdej godzinie, każdego dnia, a zwłaszcza nocy, za każdym razem, kiedy stawałem przy sztalugach. Opuściło mnie i przeszło w ten obraz.

Czy pamiętasz, jak mówiłeś, że bilans nie istnieje? To prawda, rzeczywiście go nie ma. Po prostu tego wtedy nie zrozumiałem. A ta ostateczna forma, która męczyła mnie i którą jest teraz ten obraz, ona właśnie mi podpowiadała, ona ostatnia starała się mnie przestrzec, że bilansu nie ma! Że natchnienie nie wybacza! To rzeczywiście było proroctwo, tylko że ja tego wtedy nie zrozumiałem i widzisz, jaki jest tego rezultat?

Rickee nie odpowiedział, tylko spojrzął pytająco.

– Mark Steim umarł wtedy, skacząc z mostu, a potem było już za późno.

– To niezupełnie tak. Ty go stworzyłeś. Jest lepszy, niż każdy kiedykolwiek dotąd stworzony.

– To dlatego, że nic nie porzuciło mnie równie boleśnie jak moje natchnienie, mój dar, mój talent – nazwij to jak chcesz. Przy czym powiadają, że kiedy człowieka opuszcza życie, to też bardzo go boli. Oczywiście nikt dokładnie tego nie wie, ale ja w to wierzę. Wiesz, jak go zatytułowałem?

– Wiem – odpowiedział Rickee. – Pustka.

– Pustka – powtórzył August – która może być jedynie bezkresna. Chcesz coś do picia?

– Tak, poproszę. Czy można będzie jeszcze raz spojrzeć, potem, później?

– W ten sposób możesz się od tego uzależnić. Tak właśnie było ze mną,

– Tak, tak. Nalej mi jeszcze koniaku...”

Poranek obudził się wcześniej ode mnie, ale niewiele, więc udało mi się go dogonić. Jeszcze leżę, ale już widzę, że z niepogody nie pozostał ślad. Wczoraj jeszcze wydawało się, że smutny, drobny, siąpiący deszcz będzie trwał wiecznie. Tak się wydawało, a teraz proszę, nadszedł ranek i deszcz odszedł w niebyt, włada słońce. Nie tyranizuje, lecz włada – mądrze i cierpliwie.

„Pora wstawać” – mówię sama do siebie, i tak przebałaganiałam cały wczorajszy wieczór. Teraz pora nadrobić to, co zostało zaniechane – całą resztę zostawić na potem: kawę, śniadanie, nawet prysznic – teraz tylko umyć twarz i do lasu, właśnie od lasu trzeba rozpocząć ten poranek. Wpadam na chwilę do kuchni, może został choć łyk wczorajszej niedopitej herbaty. Kubek stoi na stole, ale herbata w nim wyschła, szerniała, listki pokryły się bladoniebieskim nalotem – tak już jest, że wszystko, co stare, jest blade i wyschnięte. A więc łyk wody i do drzwi, poddają się i szeroko otwierają, mrużę oczy, od wczoraj odzwyczaiłam się od jaskrawego światła.

Muszę znów przywyknąć do jasności, jest wszędzie, błyska w liściach, które jeszcze nie opadły, rozłożyła się na gałązkach w koronach drzew, a teraz zeskoczyła na trawę i przemknęła na nierówne deski ganku, objając się od jakiegoś nieznanego przedmiotu wpadła prosto pod moje nogi. Schylam się i biorę do ręki sporą paczkę nadaną pocztą,

„Popatrz no tylko, poczta nadeszła” – mówię do siebie na głos. Przez cały miesiąc ani jednego listu, ani jednej

gazety, a tutaj cała solidna paczka, ważę ją w rękę, w dodatku ciężka. Obracam ją na wszystkie strony, adres prawidłowy, ale adresat mi nieznan, nawet nie ma żadnego nazwiska, tylko dwie litery, obie wielkie, C.J., chyba inicjały, ale nie moje. Pewnie paczka przeznaczona jest dla gospodarzy i dostarczono ją wczoraj wieczorem, a ja tego nie zauważyłam, bo przecież wczoraj w ogóle nie wychodziłam z domu.

I co ja mam zrobić z tą paczką? Oczywiście, że nie jest do mnie adresowana, ale oprócz mnie nie ma tu nikogo innego i długo jeszcze nie będzie. A może w tej paczce jest coś ważnego, może odesłać ją do agencji, przez którą wynajęłam ten dom, a oni przekażą ją właściwej osobie? Próbuję otworzyć kopertę, ale się nie poddaje, jest zrobiona ze specjalnie preparowanego kartonu, aż postępuję z wysiłku. Nie, muszę wrócić do domu, zawracam więc i idę do kuchni po nóż. Staram się wsunąć go do środka, pod skrzydełko koperty, żeby było wygodniej...

Mam nadzieję, że nie ma w niej bomby, myślę, mam nadzieję, że nie wybuchnie... Nagle jakiś stuk, zamknęłam oczy, skoczyłam i przywarłam do ściany. W jednej ręce nóż, w drugiej naderwany pakiet. Boże, czego ja się właściwie tak przestraszyłam?! Dlaczego mam tak stargane nerwy?! Stoję jeszcze przez minutę, nie mogąc złapać tchu, wreszcie przychodzę do siebie i schylam się – no tak, na podłodze leżą dwie książki, dwie marne książki – a ile hałasu. Obracam je w dłoniach; nie znam ani tytułów, ani autorów, ale to nie jest specjalnie dziwne. Biorę jedną, z nich i machinalnie idę na werandę, muszę się upewnić, że nie ma nic dziwnego ani w przesyłce, ani w książkach. Siadam w fotelu, przeciągam się, tutaj też jest jasno, może być, choć blask słońca jest rozproszony; przecież to las jest ojcem plam słońca, za to ocean jest ich zwierciadłem.

Otwieram książkę i zaczynam ślizgać się wzrokiem po literach, nie mam czasu ani ochoty wczytywać się w nią,

dokładnie. Nie ma w niej nic nadzwyczajnego: opis miejsca, bohatera – poza tym wstęp. Przeskakuję kilka stron i znów przebiegam oczami – wciąż nic zagadkowego. Znów kartkuję i zamieram, a potem czuję przenikający mnie chłód, jeszcze pamiętany, znajomy, rozchodzi się po moim ciele, boję się i wiem, że to nic dobrego. Jeszcze bardziej boję się jednak siebie, boję się, że wpadłam w sieć przywidzeń, w fantazje wariata, w bredzenie chorego. Znów przewracam kilka stron, nie, nie wierzę, główny bohater ma na imię Mario, akcja rozgrywa się we Włoszech, a on jest aktorem teatralnym.

Oczy już nie mogą znieść światła, zakrywam je dłonią, słyszę plaśnięcie spadającej książki, ale nie próbuję jej podnieść, dlatego że wiem, czekam na to, co zaraz się wydarzy, jeszcze nie wiem co, ale wiem – że coś straszego. Zamarłam w oczekiwaniu, nic się nie dzieje, czekam długo, otwieram wreszcie oczy: nic się nie zmieniło. Ten sam ocean, słońce, jasność, tylko książka z zagiętymi podczas upadku kilkoma stronicami, niedbale rozłożona na pomoście z desek. Nie zatrzymała słońca, nie osuszyła oceanu, wygląda na niegroźną i bezbronna.

Być może to zbieg okoliczności, mówię na głos, a potem pytam sama siebie: czy to mógł być zbieg okoliczności? Nie, nie mógł. Co się dzieje? Znów pytam sama siebie i znów odpowiadam: nie wiem. Jestem zbита z tropu, przestraszona, nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Jedyne czego chcę – to uciekać, jest mi tu straszno, jestem sama, nikogo na milę dookoła, bezbronna jak ta książka z pomiętymi stronicami. Muszę jak najszybciej wyjechać, nie rozumiem, co się dzieje, co dzieje się ze mną, co się dzieje na świecie.

„To tylko panika – mówię sobie – nie zostało we mnie nic oprócz bezmyślnego, tepego strachu. Skąd on się wziął?”

Dlatego, że nie rozumiem. Teraz już wiem: tak samo dawniej ludzie bali się błyskawic, nie rozumieli, tak jak ja teraz, bali się i próbowali uciekać.

To jednak niemożliwe, w każdym razie dzisiaj. Nie mam samochodu ani telefonu, żeby zamówić taksówkę. Powinnam siedzieć tutaj choćby dlatego, że muszę się koniecznie wyciszyć.

Uspokajam się, nie całkiem oczywiście, ale panika mija. Pozostają realia: ja w bujanym fotelu, ocean, słońce, niebo i ta książka. O ile ocean i słońce są dla mnie w jakiś sposób zrozumiałe, to książka nie. Znowu podnoszę ją z drewnianej podłogi w nadziei, że po kilku stronicach znikną i Włochy, i teatr, i Mario. Czytam tylko dialogi, pomijając opisy, byle szybciej. Mijają trzy godziny, książka jest gruba, zaglądam na koniec – prawie czterysta stron i wreszcie docieram do końca.

Nie wnikam w szczegóły: zawikłana intryga miłosna, nawiązania do klasyków, pojawiają się z różnych epok i krajów wmieszani w akcję. U Maria występuje rozdwojenie jaźni, czuje się jednym z nich albo gra ich postacie w teatrze i w ten sposób utożsamia się z nimi – w ten sposób dotarłam do końca. To nieważne. Ważne jest to, że ani Włochy, ani teatr, ani aktor Mario nie znikli, przeciwnie, książka jest właśnie o nich. Przeglądałam ostatnie strony i nie jestem zaskoczona, kiedy się dowiaduję, że bohater, ten właśnie Mario, ginie, oczywiście z powodu miłości.

Wypuszczam książkę, która znowu upada, a ja spoglądam na ocean, powinnam się pozbierać, próbuję, ale ciągle jeszcze się boję. Boję się już w bardziej opanowany sposób, a nie panicznym zwierzęcym strachem. Oczywiście, że te książki zostały przysłane specjalnie dla mnie i wcale nieprzypadkowo, ale co z tego? Jeżeli chcieliby mnie zabić... Chociaż za co...? Komu coś zawiniłam...? To jakieś szaleństwo. Już dobrze, uspokajam sama siebie, przypuśćmy, że to maniak, wariat, toż dawno już mógłby mnie zabić, przecież jestem tu od miesiąca, sama. Dlatego niepotrzebne mi są takie książki. Nie, to wszystko nie tak, wszystko jest

bardziej złożone, a najgorsze jest to, że niczego nie rozumiem.

Wstaję i sięgam po drugą książkę. Jestem pewna, że opisuje francuskiego kierowcę wyścigowego, który rozbija się pod koniec, doganiając na krętej drodze swoją ukochaną. Muszę się o tym przekonać. Biorę książkę i powoli wracam na werandę. Powoli, ponieważ bez przerwy myślę: jak coś takiego mogło się zdarzyć? Kto może o mnie wiedzieć?

Porównuję nazwiska autorów i nagle dostrzegam francuskie imię, Marcel. Później migają mi przed oczami linijki, jest w nich o ryku silników i napięciu podczas wyścigu. W środku książki pojawiają się jacyś nowi bohaterowie, ale ciągle najważniejszy jest Marcel, który wygrał, jak rozumiałam, kilka wyścigów i teraz marzy o Formule 1. Zaczyna mnie to nawet wciągać, teraz Marcel powinien się rozbić, więc wczytuję się w ostatnie stronicę. „No, dalej – popędzam Marcela – teraz spadniesz ze skały albo...” Ale on nie spada, przeżywa i przechodzi do swojej wymarzonej formuły. Zamykam książkę i jestem rozczarowana. – Nie zgadłam.

Zakrywam dłońmi twarz i siedzę tak z zasłoniętymi oczami.

„Trzeba wszystko przeanalizować, rozłożyć na części, możesz to zrobić – przekonuję sama siebie. – Jak budynek. Robiłaś bardziej złożone projekty, przecież umiesz to robić, teraz zbierz wszystkie kawałeczki i złóż je w całość. Od czego zacząć? Są dwa pewniki: ten, kto przysłał paczkę, wie, że jestem tutaj, i zna moją historię. Przypuśćmy, że to maniak, wariat, który idzie do sklepu, znajduje książki o włoskim aktorze i francuskim kierowcy i wysyła je do mnie. A teraz chowa się gdzieś niedaleko w krzakach i podgląda mnie przez lornetkę. Przypuśćmy, że mnie nie śledzi – mówię sobie znów odczuwając paraliżujący strach. – Powinam pozbyć się strachu, jest przeszkoda, hamuje. O tym,

że jestem tutaj, wiedzą ludzie, od których wynajęłam ten dom, ale oni mnie nie znają, a tym bardziej nie znają mojej historii. Więc to też nie pasuje. Kto jeszcze wie, że tutaj jestem? – powtarzam pytanie. – Lekarze w sanatorium. Ale oni nie wiedzą, że jestem właśnie tutaj, pod tym adresem, mówiłam im tylko, że wyjeżdżam do Maine, czego dokładnie nie mogą sprawdzić. W sanatorium moja historia jest znana, ale oczywiście bez szczegółów. Wiedzieli naturalnie o Dinie i René. Jedyne pytanie – kto mógłby tak głupio i boleśnie zażartować ze mnie?

Z drugiej strony – mówię sobie – żadnych logicznych odpowiedzi nie należy oczekiwać, jeżeli chodzi o sanatorium psychiatryczne. Ci wszyscy psychiatrzy sami nie są w pełni normalni, w każdym razie na taki żart wariactwa im starczy”.

Wymieniam w myślach wszystkich lekarzy z sanatorium. Był tam jeden, koło pięćdziesiątki, jakiś dziwny, patrzył mi ciągle prosto w oczy natrętnym spojrzeniem i ciągle mnie zagadywał. Tak jakby czegoś ode mnie potrzebował. Rzeczywiście, raz zapytał mnie, dokąd wybieram się po zakończeniu terapii, ja wspomniałam o Maine. Prosił mnie też, żebym zadzwoniła po powrocie.

Czuję się, jakby kamień, co tam kamień, lawina, góra ześlizgując się runęła na mnie. Przeżyłam lawinę kamieni, mówię do siebie z uśmiechem. Widzisz, jakie wszystko jest proste, jeżeli trzymać się w ryzach i nie śpieszyć. Znane, poczytne wydawnictwo, jedna książka wydana sześć lat temu, druga – cztery lata przed pierwszą. Jest w niej dedykacja, czytam: „Dedykuję C.J.”. To coś znajomego, myślę, otwierając następną książkę i kartkując pierwsze strony. Potem zrywam się, słyszę jak upada na bok bujany fotel, biegnę do domu. Sama jeszcze nie wiem, po co, dopiero w kuchni zaczynam rozumieć – po kopertę, na której też jest napisane C.J. Na kopercie i na obu książkach te same

inicjały – C.J.! Mogłam się pomylić – uspokajam siebie i znów biegnę na werandę, a potem porównuję, długo, dokładnie, tak jakby nie dosyć było raz spojrzeć. Nie pomyliłam się, obie książki poświęcone są C.J., koperta też zaadresowana jest do C.J. To znaczy, że wszystkie moje podejrzenia wobec lekarza tracą sens.

Znów myślę o kimś siedzącym w krzakach i prawie czuję na sobie jego spojrzenie. To głupie, mówię sobie, wydaje ci się. Nic na to nie mogę poradzić, znów ogarnia mnie strach. Postanawiam wstać powoli, odsunąć fotel i demonstracyjnie, bez pośpiechu wejść do domu. Jestem fragmentem domu – werandy – powstaje mi w głowie idiotyczna myśl. Zamykam drzwi, potem okna.

A co, jeżeli on jest wewnątrz? Mógł się prześlizgnąć, kiedy siedziałam na werandzie, a teraz przycziąć się gdziekolwiek, choćby w piwnicy. Pod wpływem tych myśli robi mi się duszno, nalewam wody z kranu i piję. Przecież to głupota, wykończę się. Muszę jeszcze spędzić w tym domu przynajmniej jedną noc, może nawet dwie, zanim przyjedzie John i przywiezie zaopatrzenie, tylko wtedy mogę wyjechać. Nie chcę ciągle tkwić w szponach strachu. To głupota, komu ja jestem potrzebna?

Mimo wszystko trzeba sprawdzić dom, idę do przedsiionka, biorę siekiere i trzymając ją oburącz schodzę do piwnicy. Wiem, jak głupio muszę wyglądać, gdy ktoś na to patrzy z boku. Na szczęście tego nie widzę, dlatego czuję się spokojniejsza. Oczywiście nikogo nie ma, ale sprawdzam wszystkie kąty. Zupełny idiotyzm. Opuszczam siekiere i wracam do pokoju.

Lepiej jednak nie wychodzić z domu i jak najszybciej stąd wyjechać. W każdym razie ja już wyzdrowiałam i pora wyjeżdżać. Znów sprawdzam zasuwy i obiegam cały dom z siekiere. Wszystko w porządku, pozamykane. Teraz mogę spokojnie usiąść.

Sytuacja jest więc znacznie gorsza niż początkowo myślałam. Jeden i ten sam człowiek napisał obie książki. Zna moją historię i wie, że znajduję się tutaj, w tym domu. Jak to jest możliwe? Nie wiem. Więc, jeżeli to nie jest zwykły zbieg okoliczności, a to jest wykluczone, to kto i po co opisał moją historię tak dokładnie? To nieprawdopodobne, chore i dlatego mnie przeraża.

Muszę wziąć się w garść, na pewno wszystko można wyjaśnić bez pośpiechu i spokojnie, najważniejsze to się uspokoić. Dobrze byłoby napić się kawy. Rzeczywiście mam ochotę na mocną kawę, bardzo mocną. Mam paczkę mielonej kawy, parzę ją w turystycznym ekspresie, przewiozłam go ze sobą. Już sam zapach kawy mnie orzeźwia, drażni nozdrza, pobudza mózg, oczyszcza. Biorę maleńki łyk i krzywię się pod wpływem kwaskowej goryczy.

„Zastanówmy się od początku – mówię sama do siebie. – Są trzy pytania, na które należy odpowiedzieć. Pierwsze i najważniejsze – kim jest człowiek, który napisał te książki, drugie – skąd wie o Dinie, René, a może także o Stevie. A trzecie – w jaki sposób się dowiedział, gdzie teraz jestem”.

Od razu znajduję odpowiedź na trzecie pytanie – bardzo prosta. Nie tak trudno zorientować się, gdzie jestem, człowiekowi, który śledził mnie całymi latami. Stop, mówię, to, co teraz bezwiednie powiedziałaś, jest bardzo ważne. W tym właśnie tkwi sedno sprawy, że pewnie mnie śledził prawie od samego przyjazdu do Włoch. Wybiera właśnie mnie, nie mam pojęcia dlaczego właśnie mnie, ale wybiera i zaczyna śledzić. No więc, kto z moich dawnych znajomych pisał książki?

Nie, wśród moich przyjaciół żadnego pisarza nie było. Zaczekaj, przypomnij sobie, jak do Steve'a zadzwonił jego stary przyjaciel, który chciał przyjechać do nas z wizytą, ale Steve mu odmówił? To prawda, Steve był podczas tej

rozmowy nienaturalnie spięty. Zwróciłam też uwagę na to, jak niechętnie opowiadał, że to jego kolega uniwersytecki. Steve powiedział, że ten kolega pisze książki. Możliwe zatem, że znalazłam pisarza.

W porządku, przypuśćmy, że to właśnie ten pisarz – stary znajomy Steve'a, ale on jest na Steve'a o coś obrażony, może dlatego Steve nie chce się z nim spotykać i denerwuje się podczas rozmowy telefonicznej. Wtedy pisarz wybiera mnie i zaczyna śledzić. Orientuje się, że wyjeżdżam do Włoch i że rozstajemy się ze Steve'em. Potem dowiaduje się, że przenoszę się do Francji. Cóż, to dość skomplikowane, ale możliwe.

Biore jeszcze jeden łyk, wydaje mi się, że kawa jest życiodajnym eliksirem, który pomoże mi wszystko zrozumieć. Nie, nie wydaje się, po plecach przebiegają mi ciarki. Scenariusz, przypominam sobie, scenariusz, który zdobył Jonni, a według którego Alfred miał zamiar nakręcić film. Jeszcze ten zagadkowy autor scenariusza, którego nikt nie widział i którego nazwisko pozostało zagadką. Po co te tajemnice? A scenariusz rzeczywiście był dla włoskiego aktora. Dlaczego ja go nie przeczytałam? Zupełnie możliwe, że dzisiejsza książka i ten scenariusz – to jedno i to samo. Przypuśćmy, że śledzący mnie człowiek wie, że jestem we Włoszech i pisze książkę o aktorze, a Jonni zdobywa scenariusz według tej książki. Potem autor książki rezygnuje z filmu. Dlaczego zrezygnował? Nie wiem! Jeszcze jeden łyk. Potem jadę do Francji. O Boże, tam też pisarz, człowiek z przydomkiem Pisarz, główna figura w całej wyścigowej mafii. Pamiętasz, André powiedział, że Pisarz obmyśla coś przeciwko René.

Czy człowiek, który pisze książki, może być powiązany z mafią? Dlaczego nie? Żeby pisać o wyścigach samochodowych, trzeba się na nich znać. A przecież autor książki znał się, jak ten, którego nazywano Pisarzem. A właściwie,

to dlaczego tak go nazywali? Czy nie dlatego, że pisał książki?

Albo wszystko jeszcze bardziej zawikłałam, albo odwrotnie, za prędko rozwiązałam. Tak czy inaczej, robiło mi się coraz dziwniej i coraz bardziej straszno. Jeżeli to, co właśnie wykombinowałam, jest prawdą i potwierdzi się teraz, za chwilę, kiedy to sobie jeszcze raz głośno i wyraźnie powtórzę, powoli i starannie wymawiając słowa, wtedy rzeczywiście powinnam zacząć śmiertelnie się bać.

Dlatego że, powtarzam sobie, on wszystko połączył – z Dinem, ze Steve'em i z René, i ze mną także. Diabelsko to wszystko wymyślił, zniszczył ich wszystkich i mnie też prawie zniszczył. Ale ja przeżyłam, a on przysłał mi te książki, myśląc, że jestem jeszcze chora i że one dobijają mnie ostatecznie.

Boże, jak tłucze się we mnie serce, czy mam rację, czy on rzeczywiście zabił ich wszystkich po kolei? Drzę i jestem cała mokra z przerażenia. A jeżeli Steve nie utonął przypadkiem, tylko go utopiono? Ten pisarz mógł do niego przyjechać, znali się przecież, wprosić się na rejs po oceanie i utopić go. Mógł też zepchnąć samochód René w przepaść. I zabić Dina. Dlaczego Dina? Jak to dlaczego? Żeby mnie zniszczyć, to jego ostateczny cel, końcowa scena w jego scenariuszu. On jest specjalistą od scenariuszy, sam je wymyśla.

Gdyby tak chociaż na sekundę całkowicie wyzdrowieć. Tylko na jedną sekundę odrzucić te wszystkie prześladowające mnie przez te wszystkie lata słowa, takie jak „fatum” i „przywidzenie”. Jeżeli poddać to wszystkemu zdroworozsądkowej ocenie, to robi się jasne, że czegoś takiego jak zbieg okoliczności nie może być. Przecież oni nie mogli zginać przypadkowo, wszyscy trzej, jeden za drugim, trzech najważniejszych mężczyzn w moim życiu. Tylko ich kochałam, a zginęli właśnie wtedy, kiedy próbowałam znów się z nimi

spotkać. Te złowrózne słowa „fatum” i „przywidzenie” pojawiły się tylko dlatego, że nie można było zrozumieć i wyjaśnić tego, co się stało.

Jeżeli jednak nie istnieje ani fatum, ani zbieg okoliczności, to pozostają zabójstwa, zacieśniająca się pętla zabójstw, bezlitosnych, przemyślanych, za pośrednictwem których ktoś próbował w ślad za Dinem, René i Steve'em posłać w niebyt i mnie. Nie udało mu się, więc teraz zabójca wie, że jestem jedynym świadkiem, jaki pozostał przy życiu i dlatego stara się rozprawić ze mną, działając podstępnie i z premedytacją.

Tylko po co ja jemu jestem potrzebna? Dlaczego prześladowuje właśnie mnie, dlaczego mnie śledził, jadąc za mną, z Ameryki do Włoch i do Francji? Mam ochotę na cały głos krzyknąć „dlaczego?!”, taka jestem przerażona. Tłumię własny głos i oddech, staram się uspokoić: cicho, wystarczająco nacierpiałas się w życiu, teraz musisz się wyciszyć, przecież zdarzają się wyjątkowe przypadki.

Ale dlaczego ja? Możliwe, że dręcząc mnie, mścił się na Stevie. A może odpowiedź jest jeszcze prostsza: jestem piękna i zawsze podobałam się mężczyznom. Być może spotkał mnie przedtem, zakochał się, odrzuciłam go, więc postanowił mnie usidlić. Dlatego zabija wszystkich, których kochałam. Taki patologiczny plan wymaga wypaczonej, chorej wyobraźni, a człowiek, który pisze książki, może ją mieć. Co więcej, przebiegłością i okrucieństwem plan ten całkowicie przypomina wymyśloną, literacką opowieść. No więc mamy odpowiedź: mści się na mnie, zabijając wszystkich, których kochałam.

Był w tym domu przede mną, Przewidywał, że tutaj przyjadę. Zrobiło mi się zimno, pewnie ze strachu, moja krew tężeje, tak jak ja sama. Boję się, mój strach jest jak żywa istota, wyziera z oczu i dlatego są rozszerzone, skręca się we mnie, w środku, zwija w sploty swoje długie, śliskie ciało, dławi mnie i pozbawia oddechu.

On był tutaj, mówię sobie, ten, który to wszystko zaplanował, tylko dlaczego dopiero teraz się tego domyśliłam? John mówił, że przede mną w tym domu mieszkał pisarz, to znaczy, że oczekiwał mnie i coś o sobie powiedział, a te dwie książki to tylko pierwsze ogniwo jego planu. A ja tego planu nie znam. Na pewno jest dopracowany bardzo szczegółowo, ale ja w żadnym wypadku nie mogę się poddawać, nie mogę się bać.

On na pewno liczy na mój strach, ale przeliczył się, już nie jestem ślepym kociakiem, tak jak przedtem. Jeszcze nie wszystko zrozumiałam, ale wiem, że tak łatwo się nie poddam: jeden raz już przeżyłam i teraz też potrafię przeżyć. Rozszyfrowałam go i teraz mogę się mu przeciwstawić. Poza tym nie mam już słabych miejsc, achillesowej pięty, sam mnie tego pozbawił, zabijając tych, których kochałam. Zostałam sama jedna, a ja jestem sobie zupełnie niepotrzebna i dlatego dla niego jestem nieprzenikniona.

Za to ja jego potrafię przeniknąć, bo on jest ode mnie uzależniony, patologicznie, nienormalnie, ale uzależniony. To oznacza, że jest uwięziony i mogę go zdusić, tak jak duszę w sobie własny strach. Wyobrażam sobie, jak powoli dotykam palcem i naciskam wyslizgujące się ciało strachu. Początkowo czuję pod palcem tylko śluz, a potem palec zagłębia się i wciska do środka, a kawałki miękkiej, wytryskującej na wierzch tkanki rozpryskują się i oblepiają moją skórę. Skóra zaczyna od tego świerzbić, ale nie boleśnie, raczej przyjemnie, tak przyjemnie, że aż dreszcz mnie przenika. Wyobrażam sobie tę scenę, podnieca mnie, rozszerzają mi się nozdrza, dłonie zaciskam w pięści. Już nie jestem bezbronna, ofiara, sama mam ochotę rozpocząć polowanie.

Znów sprawdzam wszystkie zasuwy, ale już bez wcześniejszej paniki. Robię to z rozwagą i wyrachowaniem, przewidując każdy drobiazg – tak zabezpieczam się przed

napadem. Rozumiem, iż to jest mało prawdopodobne, że on nie będzie próbował zniszczyć mnie siłą, że dlatego przysłał te książki. To na pewno jest o wiele bardziej złożone. Powinnam być przygotowana na wszystko, nie mogę zdawać się na przypadek.

Oczywiście, jeżeli będzie chciał dostać się do domu, zrobi to nocą, chociaż nie ułatwią mu zadania masywne, ciężkie żaluzje zasłaniające okna. Drzwi są też grube, do tego jeszcze dodatkowo je wzmocniłam. Pozostaje tylko komin. Zaśmiałam się, już gdzieś o tym było. No tak, w bajce o trzech świnkach, jestem więc tym mądrym prosiaczkiem, który jest rozsądniejszy od wszystkich.

Następnie, kiedy już wszystko jest pozamykane i sprawdzone, biorę kopertę, w której nadeszły książki, przepisuję z niej adres zwrotny. Wiem, że on wszystko przewidział, ale trzeba to sprawdzić. Za kilka dni będę w miasteczku, gdzie są telefony, komputery, biura, agencje detektywistyczne i koniec końców muszę mieć jakiś plan, co zrobić, żeby go odnaleźć. A najważniejsze – jakim sposobem go unieszkodliwić, kiedy go już znajdę.

Liczy na to, że jestem chora, rzeczywiście, tyle czasu byłam nieobecna. Nawet jeżeli wie, że mi się poprawiło, myśli pewnie, iż jestem osłabiona i łatwo mnie zniszczyć. Dlatego stara się wpędzić mnie z powrotem w nerwicę – taką przynajmniej ma nadzieję. Bardzo dobrze, że się nie orientuje, iż wyzdrowiałam. To znaczy, że nie obawia się mnie, i bardzo dobrze.

Co zatem mogę zrobić? Po pierwsze John. Być może potrafi opowiedzieć mi o pisarzu, który mieszkał tutaj przede mną. Zapisuję punkt jeden, a obok tego: „John”.

Dalej. Spróbuję dowiedzieć się, kto chciał kupić ten dom. Wprawdzie zabójca mógł działać przez agenta, a do tego pod zmyślnym nazwiskiem. Nie zawadzi jednak spróbować. I pod numerem dwa zapisuję: „dom”.

Mogę jeszcze porozumieć się z Jonathanem. Może dowiedział się wreszcie, kto napisał scenariusz, albo da mi nazwisko agenta, a ja postaram się sprawdzić to sama. „Jonathan”, zapisuję obok numeru trzy.

Co mogę zrobić jeszcze? – zastanawiam się. On jest pisarzem, ale pisuje pod pseudonimami. Cóż, może w redakcjach są jakieś informacje, takie jak numer konta w banku albo adres pocztowy. I pod numerem cztery zapisuję słowo „redakcja”.

Na pewno jest jeszcze jakiś punkt zaczepienia. Znów biorę do ręki jedną z książek i przeglądam ją. Nazwisko jest na pewno pseudonimem. O redakcji już myślałam. Tytuł... Może tytuł jest podpowiedzią? Nie, wydaje się, że nie. Trzeba rozszyfrować to zagadkowe C.J. Co można zrobić z tymi inicjałami?

Czuję, jak podświadomie zaciskam pięści. Te inicjały figurują na obu książkach i na kopercie. Nie wiem, skąd się u niego wzięło to C.J., to jakaś jego słabostka, niteczka wiążąca go ze światem zewnętrznym? Trzeba to sprawdzić. Jak? Muszę to przemyśleć. Zapisuję następny numer – „pięć”, a obok dwie zagadkowe litery „C.J.”.

Długo siedzę, próbując wymyślić cokolwiek jeszcze, ale nie mogę. Zmęczyłam się, więc pora odpocząć. Znów obchodzę swoje bastiony, sprawdzam wszystkie zapory, a potem zaczynam zbierać rzeczy. John powinien przyjechać albo rano, albo po śniadaniu i do tego czasu powinnam być gotowa. Kiedy rzeczy są już spakowane, idę jeszcze pod prysznic i wkładam na siebie wygodny strój sportowy, żeby nie mieć skrepowanych ruchów. Na szafeczce przy łóżku kładę siekiere, a pod poduszkę chowam nóż, najbardziej niebezpieczny z tych, jakie mogłam znaleźć. Następnie kładę się w ubraniu i zadziwiająco szybko zasypiam, chociaż śpię i słyszę wszystko jednocześnie.

Kilka razy budzę się, przestraszona szmerami i wyciągam rękę, sprawdzając, czy siekiera jest na miejscu. Wsłuchuję

się w przestrzeń, ale jest cicho i znów zasypiam. Potem znów się budzę, stopy są zaciągnięte, a mnie się wydaje, że to już rano. Zapalam lampę, ale na zegarku jest dopiero trzecia nad ranem, znów gotowa jestem zasnąć, powinnam być świeża i wypoczęta. Nie wiem, co przyniesie mi następny dzień. Zegarek pokazuje, że jest już rano, więc z radością myślę o tym, że można wstać, umyć się, wypić kawę. Wstaję, a potem słyszę stukanie do drzwi.

Czekałam na niego, już jestem gotowa – zdażyłam pomyśleć. Więc dlaczego wszystko we mnie jakby się oberwało, skąd to drżenie rąk, dlaczego niknę, po prostu niknę w oczach? Zakrywam na sekundę twarz dłońmi, mam tylko sekundę i muszę postanowić, co robić. Nie wiem dlaczego wcześniej nie pomyślałam, co zrobię, jeżeli ktoś zastuka do drzwi. I właśnie stuka.

„Jak głupio” – szepczę w dłonie i czuję na palcach swój oddech, bardzo gorący, a potem wzdrygam się na odgłos kołatania, wiem, że tak wala w drzwi pięścią.

– Jedną minutę – krzyczę w stronę korytarza – jedną minutę, proszę poczekać, muszę się ubrać.

Nie wiem zupełnie, dlaczego to mówię – myślę sobie – dlaczego mówię o ubieraniu się, po co? Widocznie tak trzeba. To już nie ja, to coś nowego we mnie, czego nie mogę zrozumieć, to jakieś zwierzę, na które się poluje, a ono samo gotowe jest zabić. To ono mówi i odpowiada, samo wszystko wie i wszystko odczuwa. Niepotrzebny mu rozum, rozum tylko przeszkadza.

– Kto to? – Już pod samymi drzwiami mój głos dźwięczy dziwnie radośnie. Zdażę jeszcze odskoczyć na bok, jeżeli ten, kto jest za drzwiami, wystrzeli na dźwięk mojego głosu.

– To ja, John – słyszę i rzeczywiście wydaje mi się, że to głos Johna. Nie mogę jednak wierzyć w to, co słyszę. Jak było w bajce? Wilk podszedł do koźlatka i odezwał się... wiem, to bardzo proste – pójść do kowala.

– A, John – mówię przekonywująco i znów odsuwam się na bok. – Dopiero co wyszłam spod prysznic, jestem w samym ręczniku, tylko się ubiorę, czy może pan poczekać minutę?

– Tak, *m'em* – odpowiada, znów wydaje mi się, że to jego głos, ale nie dowierzam.

Cofam się spod drzwi, sunąc plecami po ścianie, żeby nie robić hałasu, a potem mknę do sypialni i chwytam siekiere, jest bardzo ciężka, o mało co jej nie upuściłam, teraz cicho, bardzo cicho muszę odsunąć story, podnieść żaluzje i otworzyć okno. Wiem, że to niebezpieczne, on może na mnie czekać tutaj, trudno zgadnąć. Lecz otwarcie drzwi jest jeszcze bardziej niebezpieczne, a nie otwarcie ich jest głupota. Muszę stąd w końcu wyjechać.

Siadam na parapecie z siekierą w garści, jest rzeczywiście ciężka, muszę wyskoczyć, wprawdzie okno nie jest wysoko, ale trzeba to zrobić bezszelestnie, a do tego z siekierą nie jest wygodnie. Nie udaje mi się zachować pełnej ciszy, o coś zaczepiam, ale nic nie można na to poradzić, dobrze przynajmniej, że padając nie wypuściłam siekiery. Trzymam ją teraz obiema rękami, rozkładając jej ciężar. Oglądam się za siebie, nikogo za mną nie ma, muszę jeszcze obejść oba narożniki domu, zaglądam za pierwszy, podchodząc na palcach. Nikogo nie ma, więc znów przekradam się wzdłuż ściany i zamieram za węglem.

Od razu zauważam półcieżarówkę Johna, stoi nieco dalej. To nic nie znaczy, przecież zabójca mógł kupić ją od Johna, pożyczyć albo ukraść. Czy spojrzy w moją stronę, czy nie spojrzy, kołacze mi się po głowie. Wiem, pozostaje mi tylko nadzieja na powodzenie, wyglądam ostrożnie zza węgła i widzę go. Mam szczęście, stoi odwrócony do mnie plecami, a na głowie ma kapelusz, tak jak John. Jednak on nie nosi kapelusza z tak szerokim rondem, a i cała postać jest jakby wyższa i smuklejsza.

Oceniam odległość, a jednocześnie położenie potylicy pod kapeluszem, i to, jaka powinna być siła ciosu. Wszystko wydaje się proste, jeżeli uderzę z góry w dół z zamachem; ściskam stylisko, ale nie czuję siekiery, tylko palce, potem zaciskam je na trzonku, mam pod kontrolą każdy mięsień. Czy potrafię się wybronić, czy mnie skażą? – to ostatnia myśl, jaka mi zaświtała.

A potem już nic tylko pustka, tylko krzyki, początkowo kobiecy pisk, potem męski krzyk przerażenia i widzę twarz Johna, błądą, jego ręce skaczą do góry, ale nie są w stanie zatrzymać siekiery, która jest zbyt ciężka i zbyt silnie ciągnie naprzód. Ale udaje im się usunąć w bok, pociągając za sobą całe ciało, a mnie nie udaje się zamachnięcie; chwała Bogu, dziela nas tylko centymetry, lecę w dół pociągana ciężarem siekiery, która upada i mocno wbija się w ziemię. Ja leżę i szepczę, Boże, dzięki Ci, chwała Ci, Boże, że do tego nie dopuścisz. Potem znów widzę Johna, patrzy na mnie długo, jego twarz znów nabiera kolorów, słyszę, jak szczęka zębami, a w końcu mówi:

– Ja pani przywiozłem – znów szczęka zębami – żywność. Jak zwykle.

Głupie jest to, co mówi o żywności, niczego głupszego nie mógł powiedzieć.

– John – mówię, leżąc na ziemi i drżąc z napięcia i strachu, sama z trudem wypowiadam słowa – ja pana o mało co nie zabiłam.

Nic nie odpowiada, tylko kiwa głową i ciągle jeszcze szczęka zębami. Jego kapelusz z szerokim rondem nienaturalnie rozplaszczony leży na ziemi, nie zauważyłam, kiedy zdażył spaść. Wstaję.

– Chwała Bogu, że pana nie zabiłam, wzięłam pana za kogoś innego.

John milczy i tylko potakuje.

– Nic się nie stało, *m'em* – mówi w końcu.

– Rozumie pan, wydawało mi się, że w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś mnie śledzi, nie wychodziłam nawet na dwór, a ktoś próbował wejść do domu – kłamie, ale muszę w jakikolwiek sposób próbować wyjaśnić swój szalony postępek. – Wydawało mi się, że właśnie pan jest tym człowiekiem. Chwała Bogu, że pana nie zabiłam. – Objęłabym go, ale to byłoby jeszcze większym idiotyzmem. – Rozumie pan? – pytam, bo on milczy.

– Kto panią śledził? – spytał wreszcie, ciągle jeszcze przerażonym głosem. – Widziała go pani?

– Do końca nie wiem. Wydawało mi się – odpowiadam.

Teraz stoję metr od niego. Siekiera tkwi wbita ostrzem w ziemię. Próbuje głębiej odetchnąć. Wszystko, mówię do siebie, w porządku. Nikogo nie zabiłaś, a to jest John.

– Mężczyzna? – znów mnie pyta.

– Oczywiście.

– Lepiej, żeby pani stąd wyjechała. – John rozgląda się na boki, jakby się spodziewał, że sam kogoś zobaczy. W jego ruchach i spojrzeniu czai się strach. – Przy mnie nie ma się pani czego bać, ale lepiej wyjechać – znów się rozgląda – tutaj jest dzika głusza. Zawsze się dziwiłem, jak pani sama jedna nie boi się tu mieszkać.

– Tak, tak – odpowiadam z pośpiechem – ma pan rację, lepiej, żebym z panem stąd wyjechała. Pójdę tylko po rzeczy.

– Tylko niech pani nie wraca z siekierą – zażartował błado.

On dziwnie podejrzenie rozglądał się na boki – myślę sobie w pokoju – tak jakby czymś się niepokoił. Cierpisz na paranoję, ciągle ci się coś wydaje, o mało co nie zabiłaś człowieka, nie odpowiadasz sama za siebie. Ten pisarz mógł go przecież wynająć, żeby on mnie gdzieś wywiózł. To takie proste: wynająć kogoś, kogo znam i na kogo czekam. Wczoraj książki, dzisiaj John, to jakaś

prawidłowość. Ty wariatko, ty chora wariatko, uspokajam sama siebie, przecież on przywozi ci jedzenie i właśnie dziś powinien tu przyjechać. Mimo wszystko ostrożność nie zawadzi, wkładam nóż do kieszeni kurtki, biorę torbę, walizkę i wracam z powrotem do Johna.

Bierze moje bagaże i znosi je do samochodu. Zamykam drzwi i rzucam pożegnalne spojrzenie na dom. Dziękuję mu, nie licząc tych ostatnich dwóch dni, dom mnie wyleczył, było mi tutaj dobrze i spokojnie w samotności. „Jeszcze tutaj wrócę, nie żegnamy się” – wyszeptalam i poszłam do samochodu.

– Więc widziała pani tego człowieka, który panią śledził, czy tylko się pani zdawało? – pyta znów John włączając silnik.

Nie patrzy na mnie, trzyma ręce na kierownicy i obraca nią, biorąc zakręty i rozglądając się dokoła. Wkładam rękę do kieszeni kurtki.

– Nie wiem, wydawało mi się, że widziałam. Nie jestem przekonana.

– Tak bywa – mówi on i rzuca na mnie uważne spojrzenie, bardzo uważne. – Pani tak długo była sama, że wszystko mogło się pani przywidzieć.

– Na pewno – odpowiadam. – Dokąd my jedziemy? – pytam co minutę.

– Do domu – odpowiada ze zdziwieniem.

– Do jakiego domu? – nie rozumiem.

– Jak to, do jakiego? Do mnie. – Chce coś jeszcze powiedzieć.

– Nie, nie – przerywam mu. – Muszę jak najszybciej znaleźć się na lotnisku.

– Ależ mowy nie ma, Susan się bardzo ucieszy. Przenocuje pani u nas, a jutro panią odwiezę.

– Dziękuję, John – mówię – ale nie mogę, muszę pilnie znaleźć się na lotnisku. Zapłacam panu, proszę.

– Pani Jacqueline – próbuje mi coś wytłumaczyć – nie mogę teraz jechać do miasta, to więcej niż dwie godziny. Muszę coś zrobić w domu, no i żona będzie się niepokoiła.

– Proszę pana, John, to bardzo ważne, muszę natychmiast znaleźć się na lotnisku. Rozumie pan, to jest takie ważne, że zapłacę tyle, ile pan zażąda.

– Nie o to chodzi – mówi on.

Tylko żeby on niczego nie zauważył, niczego się nie domyślił, najważniejsze, żebym nie wyglądała na zaniepokojoną – ściskam w kieszeni trzonek noża – jeżeli tylko zauważy, to przepadłam, jest przecież o wiele silniejszy ode mnie. Zamilkł i skręca w lewo, przejeżdżając przez przecinającą. Nic nie mówię, powinnam być teraz wyjątkowo uważna.

– Dobrze, zadzwonię do Susan z miasta – mówi.

– To my jedziemy do miasta? – pytam.

– Przecież pani prosiła – odpowiada mi, a ja potakuję.

Nie orientuję się jednak zupełnie, dokąd jedziemy. Milczymy długo, na pewno z pół godziny, jestem zmęczona i napięta, ręka zaciśnięta na trzonku noża, śledzę uważnie drogę i ruchy Johna. Jeżeli odwróci się w moją stronę, wyciągnę nóż i uderzę go. Czy uderzę? Czy potrafię uderzyć? Nie wiem i nie zamierzam się nad tym zastanawiać, najważniejsze to robić wrażenie spokojnej i gotowej na wszystko. W końcu wyjeżdżamy na asfaltową szosę, widzę drogowskaz w kierunku miasta, jest do niego około stu mil, trochę się rozluźniam, z naprzeciwka jadą samochody, jakieś oznaki życia.

– A pan nie pamięta – pytam niespodziewanie – ten człowiek, który mieszkał w domu przede mną, czy pan wie o nim cokolwiek? – John spogląda na mnie pytająco. – Pomyślałam, że może on był właśnie tym, który mnie śledził? – Milknę. – No, ale ja jestem już zupełnie skołowana... – Próbuję się uśmiechnąć. Nie wychodzi mi.

– Nie, na pewno się pani myli.

– A jednak. Jak on wyglądał, pamięta pan?

John długo się zastanawia.

– Pamiętam, oczywiście. Nic szczególnego. Miał brodę, taką gęstą, i wąsy. Zawsze chodził w ciemnych okularach. Powiedział, że ma chore oczy, zdaje się na tle nerwowym, i właśnie dlatego zawsze chodził w tych okularach. Lekarz mu to zalecił.

Potakuję, tego wszystkiego się spodziewałam: i brody, i okularów, a nawet choroby oczu – to takie proste.

– A bez okularów nie widział go pan? – pytam.

Jedziemy w kierunku miasta, teraz się już orientuję.

– W ogóle to widziałem go tylko ze trzy razy. A i to po pięć minut – odpowiada John i milknie. Ja też milczę.

– Tylko jeden raz.

– Co? – pytam.

– Jeden raz zdjął okulary – powiedział John. – Rzeczywiście, miał dziwne oczy. Przez cały czas mrugał, jakby miał jakiś tik, potem powiedział, że to od światła, i zaraz znów włożył szkła.

– Interesujące – kiwam głową – a zapamiętał pan ich kolor?

– Nie.

Znów oboje milczymy.

Zadaję mu kolejne pytanie, a on znów odpowiada „nie”, po dziesięciu minutach jeszcze jedno pytanie i znów – „nie”. Potem wjechaliśmy do miasta. Podjęłam ostatnią próbę. Bez powodzenia.

– Ile jestem panu winna? – spytałam, kiedy samochód się zatrzymał.

– Nic – odpowiada John.

– Jak to nic? – nie rozumiem. – Przywiózł mnie pan tutaj, płacił za benzynę, a do tego stracił pan czas. Muszę panu zapłacić.

– A co tam pieniądze – wrzucił ramionami.

„Idiotka, jakże ze mnie idiotka – pomyślałam. Niczego w życiu nie rozumiem, nigdy nie rozumiałam i nie zrozumieć także teraz”.

– Dokąd pani leci? – zapytał.

– Do Bostonu. Napiszę do pana i Susan. Może jednak przyjmie pan pieniądze? – próbuję jeszcze raz.

– Lepiej niech pani napisze – mówi on. – Żonie będzie przyjemnie. Ciagle panią wspomina. A jeżeli zechce pani przyjechać, może się pani zatrzymać u nas.

Kiwam głową. Chce mi się płakać.

– Napiszę, obowiązkowo.

John wnosi moje rzeczy z ciężarówki i stawia je na wózku. Obejmujemy się. Żeby tylko nie wyczuł noża u mnie w kieszeni, myślę, i w tym momencie sama czuję pod jego kurtką, twarde, jakby żelazny, przedmiot za paskiem. Stoję i patrzę jak odchodzi, macham ręką. Nie chcę się do niego odwracać plecami, chociaż dokoła jest mnóstwo ludzi. A on odchodzi.

Rozglądam się. Byłam w takim napięciu, że nie popatrzyłam na tłum, nie obejrzałam lotniska, miasta, tak dawno nigdzie się nie śpieszyłam i nie słyszałam ulicznego gwaru. Dlatego teraz staram się napatrzeć i nasłuchać do woli. Mój powrót jest dla mnie niezwykle radosny, „powrót do życia”, myślę.

Kupuję bilet, oddaję bagaż, a potem siadam w barze, zamawiam kawę i sałatkę: niczego dziś jeszcze nie jadłam ani nie piłam. Dokoła mnie niewielu ludzi, rozglądam się uważnie – niczego podejrzanego. Wystarczy, mówię do siebie, dosyć! Pierwszy etap zakończony, wracam z lasu bez obciążeń, jeżeli nie liczyć tego, że o mało co nie zarabiałam człowieka. Tylko dwie godziny temu, a wydaje się, jakby minęła cała wieczność.

Sama nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo stęskniłam się za miastem. A teraz jestem wśród ludzi

i trudniej będzie się ze mną rozprawić, od razu robi mi się lżej, bo miasto jest po mojej stronie.

Mieszkam w Bostonie już od kilku tygodni. Przez pierwsze dni na walizkach w hotelu, ale szybko wynajmuję mieszkanie w dobrej dzielnicy, niewielkie, ale przyjemnie i z gustem umeblowane. Kosztuje niemało, ale niedługo znajdę pracę, albo tutaj, albo w jakimś innym mieście.

Przez cały ten czas próbuję odnaleźć swojego niewidzialnego wroga. Tak jak dawniej, staram się być przewidującą ostrożną i nie uczynić fałszywego kroku. On na pewno wie, że jestem w mieście i podstępnie mnie śledzi.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było sprawdzenie adresu zwrotnego na kopercie. Oczywiście okazał się fałszywy, taki adres w ogóle nie istniał. Muszę przyznać, że nawet ucieszyłam się, że moje teorie się sprawdzają. W komputerze centralnej biblioteki, gdzie przechowuje się dane na temat książek, wydawnictw, wydań i tak dalej, nie znalazłam żadnej informacji o autorze moich książek. Potem zadzwoniłam do wydawnictw, wymyślając zupełnie prawdopodobną historię, ale odsyłali mnie od jednej sekretarki do drugiej, potem do działu prenumeraty, aż wreszcie skierowali mnie do działu kadr. Niestety bezskutecznie.

Próbowałam dodzwonić się do Jonathana, ale pod jego starym numerem odzywał się jakiś człowiek, który nie znał Jonniego, a nawet nie słyszał jego imienia. Można to było zrozumieć: minęło już tyle lat.

Jeszcze raz przejrzałam swoje notatki sporządzone w Maine, dodałam nawet punkt szósty: „Steve, praca doktorska”. Możliwe, że ten, którego szukam, studiował razem ze Steve'em. Tylko że po to, żeby go znaleźć, niezbędne są podróże i mnóstwo czasu, a ja nie chciałam teraz tracić czasu na przeloty. Koniecznie muszę dokładnie dopracować

każdy punkt, tak żeby pojechać tylko w te miejsca, gdzie droga jest prosta, krótka i nie wymaga większych przygotowań.

Najbardziej przerażały mnie inicjały, to tajemnicze C.J., ciągle się zastanawiałam, jaki w tym tkwi kruczek i jak go znaleźć. Wreszcie wymyśliłam. Pomyślałam, że muszę koniecznie odszukać inne jego książki, najlepiej późniejsze. Być może, że znajdę w nich, jeżeli nie samo rozwiązanie, to jakąś podpowiedź. Przecież, tak czy inaczej, każda jego książka opisuje moje życie, więc jeżeli on rzeczywiście jest obsesyjnie mną zainteresowany, to jego następna książka też okaże się związana ze mną. Spodobała mi się ta myśl. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu byłam przekonana, że następna książka też już istnieje, choćby dlatego, że moja historia jeszcze nie jest skończona, a w jego książkach właśnie ona była opowiadana. Wcale niewykluczone, że w jego maniakalnym umyśle powstało już przedłużenie mojej historii związane z nim samym. A to oznacza, że jest to jedyna możliwa droga prowadząca do niego.

Pozostaje pytanie, jak mam zidentyfikować książkę, jeżeli ona rzeczywiście istnieje? To oczywiście, że autor ukryje się pod nowym pseudonimem, którego nie będę znała. Tytułu książki oczywiście też nie znam. Jedyny konkret, na którym mogę się oprzeć, żeby ją znaleźć, to owo zagadkowe C.J. Te litery na pewno nie są przypadkowe, z jakiegoś powodu one maniakalnie prześladują autora, wykorzystał je w dedykacjach do dwóch poprzednich książek. Koperta także była zaadresowana do C.J. Więc następną książkę uda mi się zapewne odnaleźć po tych inicjałach.

I tak minał już tydzień, a ja codziennie chodzę do biblioteki jak do pracy. Znalazłam w komputerze spis wszystkich powieści, które ukazały się w ciągu ostatnich trzech lat, a teraz chodzę od półki do półki, biorę je do ręki i przewracam pierwsze strony w poszukiwaniu dedykacji.

Poszukiwanie wśród ogromnego stosu innych książek tej właściwej to nudna i żmudna praca; dziennie udaje mi się przejrzeć zaledwie około dwustu tomów, a spis zawiera kilkanaście tysięcy. Skoro jednak już zaczęłam, to doprowadzę sprawę do końca. Kiedy trzeba, umiem być metodyczna, uparta i nie zatrzymuję się w połowie drogi.

Nie myślę już więcej o człowieku, którego szukam, tak jak nie myślę o niebezpieczeństwie. Muszę teraz po prostu wykonywać swoją codzienną, rutynową pracę. Więc robię to już ósmy dzień, a jeżeli będzie trzeba, to będę to robiła jeszcze przez miesiąc, rok, pięć lat, niech mi nawet drętwieją ręce od ciężaru przenoszonych książek i pieką oczy od stałego wypatrywania – jest mi zupełnie wszystko jedno.

Wybieram następną książkę z listy, a potem szukam jej na regałach: najpierw odpowiedni regał, potem półka, a następnie wyławiam samą książkę. Wyciągam ją, mimo że jest mocno ściśnięta przez te z lewej i z prawej strony, wydaje się, że cały rząd książek oddycha w tym momencie z ulgą, zajmując natychmiast zwolnione przez nią miejsce. Przewracam pierwsze strony, muszę to robić uważnie, dedykacje drukuje się przeważnie bardzo drobnym drukiem.

Początkowo wzdrygałam się na widok każdej dedykacji, ale kiedy przejrzałam około dwóch tysięcy książek z dobrym tysiącem dedykacji i już się tym wzdryganiem wystarczająco zmęczyłam, przestałam. Bardzo się wygimnastykowałam, moje ruchy stały się przemyślane, ani jednego zbędnego, teraz znam już dokładnie wszystkie regały i wszystkie półki, a wyszukanie odpowiedniej książki zajmuje mi półtorej minuty, nie więcej.

Dzisiaj przejrzałam już około czterdziestu woluminów, może nawet pięćdziesiąt, sądząc po czasie, a oto jeszcze jedna i jak zwykle znajduję dedykację dla kobiety; książki z reguły są poświęcone kobietom albo dzieciom. Przechodzę do następnego regału i prześlizguję się wzrokiem po tytułach

książek, szukając tej, która jest mi potrzebna. Znajduję ją, otwieram, kartkuję, muszę to robić uważnie, dedykacji nie ma, skreślam ją ze spisu i szukam następnej. Jest w drugim rzędzie, w niej także nie ma dedykacji, ale sprawdzam dwa razy, dla pewności. Już sama myśl, że mogłabym coś przeczytać, przyprawia mnie o dreszcze. Następna. W tej znów dedykacja dla kobiety, a w tamtej dla dzieci, tak jak przypuszczałam, mruczę ze złością pod nosem i przechodzę do następnego rzędu. Jeszcze jedna książka, nie ma w niej niczego, w następnej – także nic, otwieram jeszcze jedną, stoi całkiem niedaleko od poprzedniej. I jak często bywa, gdy komuś się szczęści, otwieram ją i oczy natychmiast przywierają do dużych liter, opieram się o regał, na pewno nie upadnie, myślę półprzytomnie, jest cięższy ode mnie.

Spoglądam znów – czy mi się nie przewidziało? Nie, nie myślę się. Oglądam okładkę: ani imię, ani nazwisko autora nic mi nie mówią, chociaż nazwisko ma pisownię ni to angielska, ni to francuska, być może słowiańska. Tytuł też nic nie mówiący, znów sprawdzam, czy przypadkiem mi się nie zdawało, tak bywa, kiedy się czegoś szuka. Gdzie ona? O, tutaj: „Dedykuję C.J.” – czytam. Czuję wyraźnie, jak moje ciało ogarnia radość wywołana powodzeniem w poszukiwaniach, jak mnie zalewa, jak się nią zachłystuję, znów spoglądam na ułożone w słowa litery i rozsmakowuję się w nich: „Dedykuję C.J.”.

Oczywiście bardzo mnie ciągnie, żeby zacząć czytać pierwszą część zaraz tutaj, obok regałów, ale po co? Chcę w spokoju nacieszyć się swoim zwycięstwem. Schodzę na dół i rejestruję moją zdobycz. „Ta książka jest niedawno wydana, a nowe wydania wypożyczamy tylko na tydzień” – mówi bibliotekarka; wcześniej jej nie widziałam. To jednak jeszcze nie powód do zdenerwowania: pracuje tutaj mnóstwo ludzi. „Dobrze” – potakuję głową i uśmiecham się. Potem wychodzę na ulicę i łapię taksówkę. Kierowca,

blondyn w średnim wieku, w ciemnych przeciwsłonecznych okularach, chociaż zupełnie nie ma słońca, tylko potakująco kiwa głową. Chyba już go gdzieś widziałam, myślę, uśmiech zamiera mi na ustach i od razu czuję napięcie. Gdzie ja go widziałam? A może mi się tylko wydaje? Próbuję go zagadnąć, ale on tylko potakuje głową, wypowiada najwyżej trzy słowa z silnym irlandzkim akcentem.

– Pan jest z Irlandii? – pytam, a on znów kiwa potakująco.

Proszę, żeby się zatrzymał dwie przecznice dalej, tak na wszelki wypadek. Kiedy samochód odjeżdża, zapisuję w notesie jego numery, trzeba będzie to sprawdzić. Ale teraz śpieszę się do domu z książką w ręce, wiem – w niej znajdę odpowiedzi. Jestem przekonana, że rozwiązanie zagadki jest już blisko.

Otwieram drzwi wejściowe, winda zajęta, mam tylko trzy piętra do pokonania, wbiegam po schodach. Na górze trzaskają drzwi, ktoś wszedł albo wyszedł, myślę sobie. Wchodząc szukam kluczy, mam ochotę jak najszybciej znaleźć się w domu, chroniona przez zamknięte drzwi, boję się, że teraz wydarzy się coś nieoczekiwanego, co przeszkodzi mi poznać prawdę. Klucz nie chce wejść do zamka, słyszę windę jadącą w górę i kroki na schodach, szybkie, ukradkowe kroki. Szybciej, dlaczego moje palce drżą? Kroki słychać coraz bliżej, a winda zatrzymuje się na moim piętrze. Tylko jeszcze drzwi, serce wali mi jak oszalone, jakby chciało wyskoczyć z piersi i stoczyć się w dół po schodach, w środku będzie już bezpiecznie, wpadam do mieszkania i całym ciałem opieram się o drzwi, zdażyłam je zamknąć i słyszę zbawczy szcęk zamka.

Stoję jak przylepiona, sama nie wiedząc, czego się właściwie tak przestraszyłam. Przeczucie, mówię sobie, i przekręcam drugi zamek. Zrzucam krótkie botki i przechodzę do pokoju; nie ma co odwlekać, trzeba zacząć natychmiast

czytać. Jeżeli mnie śledzą, to wiedzą, że znalazłam książkę, a jeżeli może mnie ona doprowadzić do zabójcy to... to wtedy mam się czego bać i trzeba było czytać w bibliotece. „Jak ja mogłam tak się wygłupić?” – szepczę i rozsiadam się wygodnie na kanapie.

Teraz dopiero stwierdzam, że trzymam w ręce ciężką i grubą książkę, gdzieś tak ze czterysta stron i jakbym szybko nie czytała, zejdzie mi na to minimum ze dwa lub nawet trzy dni. Do tego powinnam czytać uważnie, bo odpowiedź na dręczące mnie pytania może być ukryta, zaszyfrowana, schowana głęboko wewnątrz. Znów spoglądam na książkę, obejmuję ją dwoma palcami, oceniając jej grubość, następnie kartkuję szybko od końca do początku, patrząc na migające mi przed oczami stronicę. Nie wiadomo dlaczego, moje palce nagle zatrzymują się na ostatniej części książki, wzdrygam się, chociaż w pierwszej chwili nie rozpoznaję przyczyny. Potem, kiedy zaczynam rozumieć, oblewa mnie pot, nie mogę złapać oddechu, a serce... „To niemożliwe – szepczę – to niemożliwe!” Palce już kartkują do tyłu, szukając połyskującej stronicy, wpatruję się, mój pot nagle okazuje się zimny, przeraźliwie zimny.

Widzę swoje imię wypisane, wydrukowane równiutkimi literami „Jackie” – czytam i chociaż świetnie rozumiem, że to o mnie i że muszę przeczytać dokładnie każde słowo, nie potrafię, potrzeba mi czasu, żeby litery znów odzyskały wyrazistość. Czas mija, a moje oczy wciąż spoczywają na tej samej stronie i na tym samym wyrazie „Jackie”, ale już mogę przeczytać także inne wyrazy znajdujące się obok. Już na górze strony, na samym jej początku widzę wielkie litery. „**Część druga**” – czytam cicho. Teraz próbuję zorientować się w innych wyrazach, tych mniejszych, odczytać drobne linijki i mieszczące się w tych linijkach wyrazy. W końcu udaje mi się:

Część druga

Jesteś mądrą, Jackie, wiedziałem, że domyślisz się i znajdziesz tę książkę. Widzę teraz ciebie, odchyłoną do tyłu na kanapie, czytającą z zamartwionym sercem te stronic. Jeszcze nie rozumiałaś, jak to się stało, że książka, którą teraz trzymasz w rękach, jest skierowana właśnie do ciebie. Jeszcze wielu rzeczy nie rozumiałaś, zrozumiesz dopiero wtedy, kiedy doczytasz książkę do końca, nie opuszczając ani jednego akapitu, ani jednego słowa. I w końcu, obiecuję ci to, wszystko zrozumiesz.

Sama doszłaś do prawidłowego rozwiązania: ja rzeczywiście jestem pisarzem, i to ja zabiłem twoich kochanków. Jeżeli chcesz, mogę wymienić: ja zabiłem Steve'a, ja zabiłem Dina i ja zabiłem René. Zabiłem ich z twojego powodu – tu też masz rację.

Nie zrozumiesz jednak, kiedy powiem, że oni są martwi dlatego, że ty sama ich po kolei zdradziłaś i w tym znaczeniu sama jesteś winna ich śmierci, ja byłem tylko narzędziem. Dlatego napisałem tę książkę, żeby ci wszystko wyjaśnić, byłem pewny, że ją znajdziesz. Żebyś mnie dobrze rozumiała, muszę zacząć od samego początku, cofając cię, moja droga Jackie, dwadzieścia pięć lat do tyłu, kiedy byłaś jeszcze zupełnie małą dziewczynką, przy czym początek mojego opowiadania zupełnie nie jest z tobą związany.

Miałem dwadzieścia cztery lata, kiedy wyszła moja pierwsza książka, i od razu stałem się sławny. Była w znacznym

stopniu eklektyczna, przeplatana wątkami detektywistycznymi i seksem z intelektualnym sztafażem. Przy czym nie to jest istotne. Ważne jest to, że książka została wydrukowana w milionach egzemplarzy, przełożona na mnóstwo języków i długo znajdowała się na listach bestsellerów wielu krajów.

Ja też stałem się sławny, nawet w większym stopniu niż moja książka, młody, o interesującej powierzchowności, do tego teraz już bogaty i światowy. Byłem popularny jak gwiazdor filmowy, jak artysta, tak jak dawno już nie był popularny żaden pisarz. Podróżowałem po całym świecie, wygłaszałem odczyty, spotykałem się ze sławnymi ludźmi, spędzałem czas na wieczornych biesiadach z wieloma przyjaciółmi i pochlebcami. To, ogólnie rzecz biorąc, zupełnie banalna historia. Podobał mi się mój sukces, sława, pieniądze, które rosły w miarę tego, jak książka ukazywała się w nowych wydaniach.

Niebezpiecznie czułem się tylko przez rok, gdy podpisałem umowę na nową książkę i usiadłem do pracy. Kiedy mineło kilka miesięcy, zrozumiałem, że nie potrafię już więcej pisać. Czy wiesz, Jackie, jaka straszna jest myśl, że twój dar mógł bez śladu przepaść, zniknąć? On jest przecież niematerialny, nie można go wziąć do ręki i przekonać się, że on, jak dawniej, nadal istnieje. Przejawia się tylko wtedy, kiedy się nim posługujemy. Jeżeli jednak nie korzystasz z niego, nie potwierdzasz codziennie jego istnienia, to zostajesz z brakiem wiary, niepewna, czy on w ogóle istnieje, ten twój dar. Historii znane są imiona tych, którzy z wiekiem go utracili.

I ja go właśnie utraciłem. Czy pamiętasz powiedzenie: «sztuka wymaga ofiar», na pewno słyszałaś, stało się modne i często się je teraz powtarza. Tak pewnie stało się także ze mną: próżność, pusta sława odgrodziły ode mnie mój talent. Tak jak bywa ze śpiewającymi, utalentowanymi

chłopcami, tracącymi w okresie pokwitania swoje wokalne uzdolnienia.

Okropnie się tego przestraszyłem. Winiłem sam siebie za wszystko, mówiłem, że zamieniłem najważniejszą rzecz, jaką posiadałem, swój dar, zdolności, talent, nazywaj to jak chcesz, na tani polor. Porównywałem siebie do Fausta, a życiowy blichtr – do podstępnego Mefistofelesa. Byłem wtedy młody, Jackie, i myślałem raczej szampowo, nie będę jednak długo o tym pisał, ponieważ w naszej historii wszystko ma oddzielne znaczenie. Tak czy inaczej, zerwałem kontrakt i wyjechałem z Nowego Jorku, gdzie mieszkałem w okresie swej chwały, przeklinając i samo miasto, i jego mieszkańców, i siebie oczywiście. Przeniósłem się do małego uniwersyteckiego miasteczka na północnym wschodzie kraju, myśląc, że powróci w moje życie spokój i umiar, znów osiągnę czystość uczuć i myśli, a razem z nimi mój dar.

Żeby tłumy koniunkturalnych przyjaciół nie niepokoiły mnie, zmieniłem personalia i stałem się Steve'em, po czym zamarłem, zaległem, jak powiadają, w mule. Wszystko jednak okazało się bardziej złożone, niż przypuszczałem: wraz z umiarem wróciła tylko nuda. Jak dawniej siadywałem po pięć godzin dziennie za biurkiem, próbując wydusić z siebie chociaż akapit, ale nie mogłem. Po wielu miesiącach bezpłodnego i dlatego jeszcze bardziej nużącego trudu postanowiłem, że najpożyteczniejsza dla mnie będzie odmiana i zajęcie się czymś dla mnie zupełnie nowym, na przykład wykładami na uniwersytecie. Pamiętasz, Jackie, jak podtrzymywałem kontakty z wpływowymi ludźmi, jeden z nich, na moją prośbę, zadzwonił na uniwersytet i przyjęli mnie do pracy. Zostałem asystentem profesora lingwistyki.

Po roku poznałem ciebie. Nie mogłem uwierzyć, że tak mi się poszczęściło. Wcześniej też miałem kobiety i nau-

czyłem się już odróżniać, co jest ważne, co zapowiada się na dłużej, a od czego należy uciekać. Jeżeli chodzi o ciebie, to zorientowałem się od razu: ty w sposób niepowtarzalny łączyłaś w sobie to, co jest niemożliwe do połączenia. Byłaś naiwna i niedoświadczona, nawet trochę przerażona, wydałaś mi się wystraszoną dziewczynką. Zupełnie tak, jakbyś obawiała się nie tego, co straszne, ale tego, co nieznanne. Naiwność i lęk są prawie przeciwstawne. Łączyłaś je z rozpierającą, ekspansywną, nieukrywaną siłą twórczą. We wszystkim: w miłości, w tym jak rysowałaś, w myślach, w głosie – we wszystkim. Zwykle umiejętności idą w parze z wiedzą, z doświadczeniem, a to znaczy z cynizmem. Posiadałaś niespotykane zdolności, które prawie nigdy nie trafiają się w życiu, nie są wyuczone, a wrodzone. Byłaś wyjątkowa.

Nigdy przedtem nie czułem się tak swobodnie jak z tobą. Byłaś uosobieniem marzenia o kobiecie, mojego wyobrażenia miłości. Wszystkie moje zwariowane wyjścia, dziwactwa były obliczone na ciebie. Wiele innych, uległych i zastraszonych, odpychałem, obrażałem, szokowałem, ale nie ciebie. Byłaś otwarta, strach przed nieznanym był ci obcy. Nie czułaś strachu przed tym, co można ocenić, sklasyfikować, ale przed tym, czego można doświadczyć. Ja takiego strachu nie czułem. Byliśmy różni. Odznaczałaś się większą szczerością w stosunku do życia. Ja poszukiwałem nowości i intensywności w połączeniu z ryzykiem, wydawało mi się fascynujące, że grałem *va banque*, stykając się z nowymi, gwałtownymi doświadczeniami. Ty zgadzałaś się na wszystko bezinteresownie, nie miałaś innego motywu jak chęć poznania, doświadczenia. To także rzadkość, talent, taka otwarta, szczerą pasją życia. I co jest jeszcze ważne, to to, że kiedy już poznałaś, nie obojętniałaś, jak większość, i nie burzyłaś, jak niektórzy, a przeciwnie, chłonełaś, gromadziłaś, żeby później przelać świeżość i nowatorstwo w swoje

rysunki. Jedyne raz, wtedy na oceanie, pamiętasz, w czasie sztormu, rzeczywiście przekroczyłem granicę. Potrzebowałem koniecznie ryzyka i balansowania na krawędzi, posunąłbym się jeszcze dalej, gdybyś mnie nie powstrzymała.

Mogłem oczywiście od samego początku próbować cię kształtować, a potem zadać sobie pytanie: co ja robię? – deformuję czyjeś życie, próbuję manipulować tym, czym się wyróżniasz, a ingerując, tak czy inaczej, sprowadzam cię do średniej statystycznej. Zacząłem więc, zupełnie świadomie, z boku rozkoszować się tobą, tym jak się usamodzielniasz i dorastasz do wszystkiego, w tym oczywiście także do miłości.

Kiedy postanowiłaś porzucić malarstwo, znów chciałem się wmieszać, myślałem nawet, czy się nie ujawnić, powiedzieć ci, żebyś na to wszystko plunęła, zapomniała o stronie materialnej, ponieważ ja jestem zabezpieczony. Chciałem ci wyjaśnić, że kompromis nie jest wyjściem, że trzeba za niego płacić, o czym sam się przekonałem. Z drugiej jednak strony – myślałem sobie – skoro nie potrafiłem zachować własnego talentu, jak mogę się wtrącać w cudze życie? Więc dałem sobie spokój.

Do dziś jest mi wstyd, że porzuciłaś malarstwo, za toba stał talent, wiedziałem, czułem to. Oczywiście, zostałaś wspaniałym architektem, ale mimo wszystko jest mi wstyd. Widocznie kompromis zawsze niweczy jakąś część ciebie, dlatego zdarzyło się tak, że najpierw zdradziłaś swój talent, a potem zaczęłaś zdradzać mnie.

Nie podobał ci się przecież ten chłystek, Robert, no bo jak on może się podobać? Mógł wywołać tylko śmiech, był staroświecki, banalny, sama to widziałaś, a jednak... Tak przeważnie bywa. O wszystkim dowiedziałem się przypadkiem, kiedy zobaczyłem was siedzących razem w kawiarni. Oczywiście, mogliście po prostu spotkać się na ulicy i rozmawiać, ale ja widziałem, jak on cię pożerał wzrokiem,

a ty nie odwróciłaś oczu, ani nie spiorunowałaś go spoj-
rzeniem. Z łatwością mogłaś go przyhamować, gdybyś
chciała, ale nie zrobiłaś tego.

Nie wiedziałem, na ile jesteście ze sobą blisko, nawet nie
chciałem tego wiedzieć. Dopiero później domyśliłem się,
że do niczego poważnego nie doszło, ale to nie miało już
większego znaczenia. Łamałem sobie głowę, co mam robić,
ale postanowiłem się w to nie mieszać, znów się nie mie-
szać. Zapytasz mnie «dlaczego?».

Nie potrafię walczyć o kobiety, w ogóle nie umiem
walczyć. A to z tej prostej przyczyny, że głupota jest walczyć
o kobiety, a ci, którzy o nie walczą, w ostatecznym rozra-
chunku i tak przegrywają, ponosząc jeszcze większe straty
niż ci, którzy nie próbowali ich na siłę zatrzymać. Najlepsze,
co mogłem zrobić, to usunąć się na bok i starać się nie patrzeć
i nie zauważać. Zacząłem więc wyjeżdżać prawie w każdą
sobotę. Oczywiście, bałem się zostawiać cię samą, pragnąłem
zadzwoić, przyjechać. Wiedziałem jednak, że nie powinie-
nem tego robić: nie w mojej mocy leżało odwrócenie tego, co
zaplanował los. Wszystko zależało tylko od ciebie.

Widocznie wtedy, mimo mojej woli, niepostrzeżenie za-
częło we mnie kiełkować postanowienie, by cię zostawić.
Potem to postanowienie okrzepło. Przyczyniło się do tego
jeszcze jedno wydarzenie.

Kiedyś wróciłem nocą, bez uprzedzenia. Padał ulewny
deszcz, zaczął mnie nękać już w drodze na wybrzeże, a gdy
tam dotarłem, na oceanie był sztorm. Prognoza na następny
dzień nie przewidywała poprawy pogody, więc zabrałem
się z powrotem. Kiedy zatrzymałem samochód pod domem,
w oknach naszego mieszkania zobaczyłem światło, cienie
dwóch osób na zasłonach i samochód Roberta zaparkowany
na podjeździe. Czy muszę ci mówić, jaki ból czułem wtedy
w sercu? Odpowiedz mi, że nie, że znasz to, bo sama
straciłaś bliskiego człowieka.

Oczywiście nie zamierzałem wysiadać z samochodu, co mogłoby być głupsze? Siedziałem w wozie, bezskutecznie próbując pozbierać myśli. Potem pojawił się Robert i po jego żalonym wyglądzie poznałem, że zawiódł się w swych oczekiwaniach. To już jednak nie miało najmniejszego znaczenia, w każdym razie dla mnie. Nie spałem przez całą noc, szok, jakiego doznałem, ewoluował od rozpaczyny do pochopnej gwałtowności, ale nad ranem wymyśliłem rozwiązanie, rzeczowe i twarde, w każdym razie takie mi się wtedy wydawało.

Zrozumiałem, że mnie zwyczajnie i po prostu przerosłaś, tak jak jeden człowiek rosnać prześciga innego. W tym właśnie tkwi sedno, ja spadłem z pozycji utalentowanego, jak kiedyś mówiono, pisarza na pozycję zwykłego wykładowcy, ty zaś odwrotnie, piełaś się w górę. Gdy się poznaliśmy, byłem na wyższym poziomie niż ty, potem się zrównaliśmy, a teraz stwierdziłem, że mnie wyprzedziłaś. Na pewno trwało to już długo, ale ja nie chciałem tego zauważyć, nie życzyłem sobie większych wstrząsów. I oto zdarzyło się. Do tego wydawało mi się, że przerosłaś mnie nie tylko w twórczości, ale także w miłości. Nagle poczułem, że osiągnąłem punkt, w którym już za chwilę nie będę potrafił dać ci tego, czego oczekujesz. Poprzeczka została podniesiona i już nie potrafiłem jej przeskoczyć.

Dlaczego tak się stało? – pytałem sam siebie. Być może, moje zdystansowanie się było błędem, może to właśnie cię oddaliło i sam jestem temu wszystkiemu winien? Albo zdarzyło się to dlatego, że zajmowałem się nie tym, do czego zostałem stworzony, że podziałało to na mnie zgubnie i dlatego straciłem wszystkie siły? Przecież sam czytałem, że siła twórcza wyzwala wszystkie inne. Zresztą, jakie znaczenie miała przyczyna? Traciłem ciebie, wszystko dalsze nie miało najmniejszego znaczenia.

Wyobraziłem sobie, co nas czeka w przyszłości: twoje zdrady, potem moje, tak po prostu, żeby za coś się zemścić,

kłótnie, obelgi, a potem wyjaśnianie nieporozumień, poczucie obcości – i to wszystko, więcej już nic. Następnie rozwód, a w najlepszym przypadku wzajemna nienawiść albo prędzej jeszcze – obojętność. Nie chciałem tego. Pomyślałem, że skoro nie potrafię utrzymać cię przy sobie, to, być może, nasz związek ma szansę przetrwać na odległość. Właśnie dzięki dzielącej nas przestrzeni. Może – myślałem sobie – kiedy poznasz już różnych innych mężczyzn, sama dojdiesz do wniosku, że zawsze istnieje w twoim życiu tylko jeden jedyny mężczyzna i nikt inny. Tak będzie uczciwiej, nie będzie już żadnych zdrad, tylko wolny wybór i może wtedy uda nam się ocalić naszą miłość.

Był jeszcze jeden powód: zacząłem zauważać przebłyski. Bez udziału woli w mojej świadomości rodził się inny od realnego świat, ludzie w nim żyli, poruszali się, prowadzili rozmowy, a ja znałem słowa, które zostaną wypowiedziane, zanim jeszcze padły. Zrozumiałem, że mój dar powraca.

Możliwe, że jego powrót wiązał się z tobą, z bólem, jaki mi zadawałaś, z moją klęską. Czy wiesz, ukochana, że klęska, jeżeli nie zniszczy, hartuje i umacnia znacznie bardziej niż życiowe powodzenie? Oczywiście, że wiesz, teraz już wiesz. To samo stało się ze mną, twoja zdrada złamała coś we mnie, wszystko się skurczyło, skrzywiło, a potem, mój utracony dawno dar wychynał na powierzchnię, uwolniony spod przytłaczającego go ciężaru. I zostałem wystawiony na próbę.

Wszystko zostało ustawione, nie wiedziałaś jeszcze o tym, ale wszystko było już gotowe. Zadzwoiłem do starych znajomych i zaproszono cię do Włoch. Wiem, że dziwnie się czujesz, kiedy to czytasz, nie powinnaś się jednak denerwować. Byłaś wyjątkowo zdolna i w pełni zasługiwałaś na to stanowisko.

Musiałem się śpieszyć, jakiś dziennikarz poznał moje nowe nazwisko, zdobył numer telefonu, wszystkie plany

w jednej chwili mogły wziąć w łeb. Pamiętasz pewnie jak zadzwonił telefon, a potem wpadłem w panikę, wymyślając od ręki historię jakiegoś pisarza, mojego pechowego kolegi z roku. Trzeba się było śpieszyć i zacząć na ciebie naciskać, aby przyśpieszyć twój wyjazd. Trzeba to było robić delikatnie, żebyś się nie zorientowała, no ale się udało. Wyjechałaś. Zaczął się nowy rozdział twojego życia – i mojego także.

Długo obmyślałem sposób, który pozwoliłby mi pozostać na zawsze w twym życiu, i wymyśliłem nasze listy. Sam na początku nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, jaki to wspaniały pomysł. Doceniłem to znacznie później. Nic lepszego nie można było sobie nawet wyobrazić. Zatrzymałem cię przy sobie tymi listami. Ja, Steve, tak jak chciałem, zostałem dla ciebie kimś najbliższym, jedynym człowiekiem, który był wprowadzony we wszystkie detale twojego życia, bez tajemnic, bez pozy, bez upiększeń. Nie tylko wiedziałem wszystko, ale wywierałem na ciebie wpływ, pewnie nie zorientowałaś się, ale to ja przerwałem kilka twoich krótkotrwałych romansów, ale wtedy jeszcze nie rozumiałem, że nie mam się czego obawiać. Poczulem nagle, że znów jestem silniejszy, że dużo dla ciebie znacę, może nawet więcej niż przedtem, a tą siłą obdarzyły mnie listy.

Ciekawe, ale już nie byłem o ciebie zazdrosny, ból minął. Zreszta, o kogo miałbym być zazdrosny? Wszyscy, którzy byli z tobą, pozostali daleko w dole, a ja unosiłem się wysoko nad światem i stąd, z góry, wszystkiego doglądałem. Dlaczego tak się działo? Dlatego że opowiadając mi dokładnie o wszystkich uniesieniach, oddawałaś ich pod mój osąd, a ja mogłem karać albo ułaskawiać. Przeważnie ułaskawiałem, bo na tym właśnie polega przywilej silnego – nie zrównywać w prawach, nie karać, ale ułaskawiać.

Do tego jeszcze nasz związek stopniowo się odrealniał, w coraz większym stopniu stawał się grą mojego umysłu,

która rozpoczęła się w dniu twojego odjazdu, potem przedłużyła się dzięki listom i w ten sposób nigdy się nie skończyła. Nie jestem pewien, czy to zrozumiesz, ale czułem, że w końcu życie stało się wytworem wyobraźni, nierealnym, wymyślonym, ulotnym, jak w mojej kolejnej książce. Przemyśl to i postaraj się zrozumieć, to bardzo ważne dla dalszego ciągu.

Zacząłem pisać następną książkę, mnie też się poszczęściło. Oczywiście odszedłem z uniwersytetu, byłem kiepskim wykładowcą, moje wykłady były nudne i jałowe: jednakowe słowa, jednakowe myśli, jeżeli jakieś były tam w ogóle zawarte. Śpieszyłem się do swojej nowej książki, chciałem napisać jeszcze następną i zawrzeć w niej dotychczas nikomu jeszcze nieznaną historię; ona jedna nadawała sens mojemu nowemu życiu.

Pisałem długo, wysysając z nocnych fantazji życiodajne kropelki zadowolenia, wszystkie co do ostatniej; w ogóle w moim życiu były obecne tylko dwie dominanty, dwa wektory: ty, ukochana, i moja nowa książka. Żyłem w naszych listach i w książce, zadomowiłem się tam, uciekając od realnego świata, i kiedy wychodziłem na ulicę, ludzie mnie omijali. Rozumiesz, Jackie, byłem Bogiem, tworzyłem jak Wszechmocny – kraje, miasta, ludzi, a oni oddychali tak, jak ja im kazałem.

Przez cały rok pisałem książkę o włoskim teatrze. Nie mówiłem ci o tym, ale moja matka jest Włoszka, dzieciństwo spędziłem we Włoszech, zawsze korciło mnie, żeby tam wrócić. Wróciłem i zacząłem pisać książkę o aktorze. Wkrótce zauważyłem, że mój bohater zaczyna wchodzić w moją skórę, ale nie sprzeciwiałem się temu i przez całe dwanaście miesięcy, podczas których pisałem tę książkę, stawałem się nim – aktorem włoskiego teatru.

Mieszkałem we Włoszech, grałem w teatrze, oglądałem ze sceny zamartwych widzów, rozgrzewałem się od ich

oklasków, byłem wygimnastykowany i giętki, wrażliwie odczuwałem i wrażliwie kochałem. W żaden sposób nie utożsamiałem się z tym zdziczałym człowiekiem, który wypęłza ze swojego maleńkiego, nie ocieplonego domku na samym skraju tej zapadłej zapomnianej wioski, zarośnięty i brudny, z długimi spletanymi włosami i dzikim spojrzeniem. Właśnie dlatego byłem zarośnięty i brudny, że mnie nie było ani w domku, ani na obrzeżach wioski i właśnie dlatego odgradzałem się dzikim, nieobecnym spojrzeniem, że nie mogłem zrozumieć, skąd się wziął ten osamotniony, obłazący z farby dom i ta prawie martwa uliczka.

Gdyby ktoś, stojąc pod moimi drzwiami, podśluchiwał, mógłby odnieść wrażenie, że w tym domu mieszka gromada rozmaitych ludzi, bo jak wytłumaczyć jednoczesne rozmowy tylu osób i różne głosy, skąd te śmiechy i chichoty, skąd krzyki, a potem płacz, skąd te wzdychania, skąd jęki rozkoszy? Podśluchiwaniec nie miałby pojęcia, co się dzieje w głębi domu, że tam znajdują się maleńkie Włochy i jeszcze teatr razem z reżyserem i aktorami. Najważniejsze jednak, że zmieściło się tam całe życie jednego aktora.

Specjalnie tak długo to wyjaśniam, żebyś ty, Jackie, zrozumiała mój stan, tok moich myśli; od tego zależy, czy zrozumiesz to, co napisałem dalej.

Pracowałem nad książką, prawie przez rok. Udało mi się, a kiedy ją skończyłem, zrobiło mi się trochę smutno: nie chciałem rozstawać się z tą historią, zostawiać teatru, swojego bohatera, jego roli, Włoch. Kiedy była już skończona, ja, tak jak przedtem, żyłem w niej. Potem nawiedziła mnie prosta myśl, która była tak oczywista, że mnie wręcz przestraszyła. Nie powinienem wracać!

Znakomicie pamiętam, siedziałem w swoim domku, nadeszła pora wyjazdu, wynająłem już mieszkanie na Manhattanie, wszyscy oczekiwali na mój triumfalny powrót, a mnie się nie śpieszyło. Siedziałem, czytałem twój ostatni list,

potem odłożyłem go i spojrzałem w okno. Niczego nie widziałem oprócz ciemności, która próbowała wdrzeć się do pokoju, odpychając światło, potem zatrzymała się pod oknem, czekając, aż światło zgaśnie.

Nie powinienem wracać, pomyślałem. Przez cały rok byłem aktorem, myślę i czuję jak aktor, nawet nie mogę już żyć bez teatru. Poza tym życie we Włoszech jest dla mnie bardziej zrozumiałe, a to tutaj dawno zostawiłem i zapomniałem o nim. Musiałem wybierać. Wybrałem Włochy.

Oczywiście wyniknęły pewne problemy. Przez wiele lat nie mówiłem po włosku, więc musiałem przypomnieć sobie słowa i pozbyć się obcego akcentu. To jednak głupstwo, to, czego nauczyłem się w dzieciństwie, co wyssałem z mlekiem matki, nigdy nie zginie, wystarczy przez kilka miesięcy pooglądać filmy, pomówić po włosku, obcy akcent zniknie i wróci zasób słów. To wszystko było proste, wątpliwości budziło coś zupełnie innego.

Czy uda mi się zacząć nowe życie, czy dam radę skończyć ze Steve'em, zburzyć jego osobowość, zatrzeć pamięć o nim, rzucić na wiatr imię, sposób mówienia, nawyki, powierzchowność, sposób chodzenia, głos, przyzwyczajenia, przeszłość, nadzieje? Mam na myśli całkowite zniszczenie Steve'a, starcie go z powierzchni ziemi na równi ze zniszczeniem wszystkiego, co go określało. Przecież tylko w ten sposób, myślałem sobie, można siebie stworzyć na nowo.

Nie zabieram się za nic prostego, mówiłem sobie, tylko za coś bardzo skomplikowanego, za dokonanie niebywałego eksperymentu, żeby zawrzeć w jednym życiu wiele różnych istnień. Mówię o tym, jak przechytrzyć naturę, los, przechytrzyć przeznaczenie. Żeby jak Feniks spalić się i, tak jak Feniks, powstać z popiołu. Mówię o tym, jak oszukać Boga.

W rzeczywistości, Jackie, wszystko wyglądało niezupełnie tak, dopiero teraz to postanowienie wygląda na

jednoznaczne, a skoro już w końcu odgrzebujemy wszystko i wspominamy, wiedz, że postanowienie to całymi latami było obciosywane i polerowane. Na przykład kiedyś poznali mnie z kobietą, o niecodziennej i dlatego zachwycającej urodzie. Jej twarz przykuwała uwagę swoją asymetrią, przyglądałem się jej i długo nie mogłem się zorientować, co takiego jest w jej twarzy, aż w końcu zrozumiałem: długi, wąski nos, z trochę dzikimi, rozdętymi, zachwycającymi nozdrzami, znajdował się niżej niż powinien. Właśnie on nadawał jej twarzy niecodzienny, pociągający wyraz, tak że nie można było oderwać od niej wzroku ani zapomnieć. I jeszcze jedno: ona zachowywała się wyzywająco, prostacko – to nie pasowało do jej, zdało się, kryjącą tajemnicę urody.

Od człowieka oczekuje się zawsze zachowania odpowiadającego jego zewnętrznemu wizerunkowi. Przeważnie trudno się pomylić, dlatego że z biegiem lat każdy nabywa typowego dla siebie rytmu i sposobu poruszania się, mówienia, cech może nie zawsze optymalnych, ale bliskich mu. Kontrast między wyglądem a zachowaniem natychmiast rzuca się w oczy. Ta kobieta zbyt dużo i zbyt głośno mówiła, zawsze nie w porę, zbyt głośno się śmiała, gestykulowała rękami, nie wiedząc, gdzie je podziąć. Była niezręczna ze swoim głosem i manierami, niezręczna i niezdana, co było dokuczliwe. Po kilku dniach wspominałem o niej w gronie znajomych, jaka szkoda, taka piękność, a tak nie potrafi się zachowywać. Któryś z moich przyjaciół zaczął się śmiać, a ja zapytałem, o co chodzi. «Szkoda, że nie widziałeś jej pół roku temu» – powiedział. «A co było pół roku temu?» – zainteresowałem się. Przyjaciel znów się roześmiał, jakby chciał zwrócić uwagę pozostałych, i powiedział: «Gdybyś wtedy zobaczył jej nos. Niczym się nie różnił od nosa Pinokia. Zrobiła sobie operację plastyczną i sama jeszcze nie rozumie, dlaczego tak do niej lgną mężczyźni».

To wyjaśniało wszystko: kobieta jeszcze nie przyzwyczaiła się do bycia piękną. Jej ręce, jej głos, jej świadomość tkwiły jeszcze w poprzednim życiu, a powierzchowność – już tutaj, wraz z towarzyszącym zainteresowaniem ludzi.

Przypomniałem sobie ten epizod i uczyniłem kolejny drobny krok. Drugi już raz przeczytałem w «New Yorkerze» artykuł o znanym finansiście, którego żona była zazdrosna o jego sekretarkę i żądała, żeby ją zwolnił, a przyjął inną na jej miejsce. Zwolnił zatem sekretarkę i przyjął na jej miejsce drugą, ale jego żona nigdy się nie dowiedziała, że to była jedna i ta sama kobieta. Finansista namówił sekretarkę na operację plastyczną, za którą sam zapłacił. Przypomniałem sobie tę historię i zrobiłem jeszcze jeden, kolejny krok.

To tylko strona techniczna, najważniejsza pozostaje teoria. Teoria o wielu odrębnych życiach, niechby nawet niedługich, ale wpisanych w jedno, fizycznie określone życie. «Mój żywot to pasmo kłopotów, udreń, nacisków – myślałem – dlaczego więc mam nie być zapobiegliwy, nie myśleć racjonalnie i nie zadbać o jeszcze jedno, dodatkowe życie?»

Tak właśnie postanowiłem zrobić. W ruch poszły pieniądze i technika; ani jedno, ani drugie nie było problemem. Lekarz zaproponował mi nawet zmianę odcisków palców, ale ja, uśmiechając się, powiedziałem, że nie jestem przestępcą. «Ale proszę zmienić mnie całego» – poprosiłem, kładąc specjalny nacisk na ostatnie słowo. Zrozumiał.

Długo wybierałem swój wygląd, chirurg modelował go komputerowo, dyskutowaliśmy, wprowadzaliśmy zmiany, i znów modelował. Postanowiłem, że w swoim nowym życiu stanę się tak piękny, jak to tylko jest medycznie możliwe. Czy liczyłem na to, że stanę się nowym człowiekiem? Zawsze odpowiadałem «nie», najważniejsze było

zrealizowanie marzenia: przeżyć jeszcze jedno życie. Starłem się uwierzyć w siebie i pogodzić się z myślą, że nie będzie już naszych listów, nie będę cię szukał, nie pojedę za tobą do Włoch. Nie byłem jednak pewny, czy mogę sam sobie wierzyć.

Gdy dobiegła końca seria męczących, skomplikowanych i bolesnych operacji, nie poznałem sam siebie. Pojechałem do Włoch i zapisałem się na studia teatralne, gdzie nauczyłem się nowego sposobu poruszania się, zachowania, mimiki, wymodelowałem głos, sposób wystawiania się, poza tym mocno się opaliłem i wyćwiczyłem mięśnie. Zupełnie zapomniałem o Stevie. Bardzo tego chciałem i udało mi się. Potem pojechałem do Florencji i zdobyłem angaż do teatru.

Dlaczego właśnie do Florencji, do miasta, gdzie mieszkałaś, jeżeli broniłem się przed takim spotkaniem? Zrozumiałem, że przez cały czas oszukiwałem sam siebie, że chciałem cię znów zobaczyć, dać jeszcze jedną szansę sobie, tobie, nam.

Jeżeli przypadkowo się spotkamy, a ty wybierzesz mnie, Dina, aktora teatru, to nigdy nas nie rozdzieli przeszłość, choćby dlatego, że nie mieliśmy wspólnej przeszłości. Jedyna rzecz, jaką zachowam z poprzedniego życia, to moja znajomość ciebie, przekazana mi przez Steve'a, podobnie jak doświadczenia i umiejętności przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Już nie powtórzę błędów Steve'a: nie mam potrzeby okazywania głupiego, nierozsądnego podniecenia. Zamiast tego zacznę cię kochać i okazywać swoją miłość, nie wstydzając się jej, co więcej, będziesz ją odczuwała na każdym kroku, będziesz nią opleciona, będziesz czuła jej cienką nić.

Byłem przekonany, że nie odmówisz, miłość jest zaraźliwa, a ty zarazisz się nią ode mnie. Do tego byłem niespotykanie piękny, nawet jak na Włocha, byłem amantem

wśród aktorów, wiedziałem o tym, kobiety rzucały się na mnie, gdy tylko się pojawiłem w towarzystwie. Już wypróbowałem swoje nowe ciało i wiedziałem, że wraz z nim pojawiła się nowa umiejętność, emocjonalna i piękna. Potrafiłem kochać lepiej niż Steve, właśnie z powodu uczuciowości, dlatego że uczucie okazywane kobiecie przyciąga ją.

Poza tym będę miał jeszcze, myślałem sobie, listy. Czasem, raz na dwa tygodnie, Dino będzie nieobecny, na chwilę, i znów stanie się Steve'em, nieudacznikiem, wykładowcą lingwistyki. Jedyne problem z tym, czy będę umiał znów wcielić w siebie tego drugiego, choćby na chwilę. Jeżeli jednak uda mi się, dowiem się o tobie tak wiele, jak nigdy nie dowiedział się Steve i nigdy nie dowie się Dino, dlatego że będę wiedział to, co oni obaj razem. Nawet więcej. Nie tylko odkryją się przede mną twoje myśli, nie tylko będę mógł przenikać w przeznaczenie niewiadome dla ciebie samej, ale pomogę Steve'owi kierować nimi i zmieniać je. Najważniejsze, żeby korespondencja ze Steve'em była poza Dinem.

Jakież to skomplikowane, aż kręciło mi się w głowie, kiedy rozmyślałem o tym, ile nitek, za które pociagam, trzymam w swoich rękach, nagle czułem się, jakby za chwilę miały się pozrywać, zostawiając wysoko w górze, uwiązane na nich dusze.

Jestem aktorem, Jackie, umiem odczuwać. Wtedy, kiedy podszedłem do ciebie, od razu wyczułem w twoim głosie, poznałem po twoich oczach, że zakochałaś się we mnie, tak jak ja w tobie, od pierwszego spojrzenia. Nie, moja twarz i moje ciało były nierozpoznawalne. Co tam ciało? Przeszłość, to, co przeżyliśmy, zostało tą częścią mnie, która denerwowała mnie i drażniła jak sam Steve, nadęty bufon. Byłem jego przeciwieństwem i nie można mnie było rozpoznać.

Potem byliśmy szczęśliwi. Bardzo długo. Wiele miesięcy, a nawet lat, bo swoją miłością odebrałem cię światu. Moja czułość zwalczyła banalną zdolność analizowania i wyrachowania. Nauczyłem się nawet dokonywać prostszych i bardziej logicznych wyborów w życiu, mogłem teraz mocniej je odczuwać, przenikając je myślą i nerwami. Musiałem się czymś posłużyć, by nasze uczucia stały się pełniejsze, sam siebie dobrowolnie złożyłem w ofierze z dobrym skutkiem: nie podejrzewając niczego, przyjąłś ją.

Podobało ci się, że głębiej ode mnie myślisz, precyzyjniej analizujesz, że twoje wywody są inteligentniejsze i celniejsze. A i mnie samemu wydawało się, że tak jest dla nas obojga lepiej, problem dominacji nie interesował mnie, kochałem cię, a do tego jeszcze byłem aktorem. Oboje byliśmy szczęśliwi, tutaj nie mogłem się mylić.

Minał jednak pewien czas i znów mnie zdradziłaś. Tym razem zdradziłaś Dina. Widzisz, ja sam popełniłem pomyłkę i moja pomyłka tylko przyspieszyła twoją zdradę. Podejrzewałem, że scenariusz, według którego Alfred miał nakręcić film, do niczego dobrego nie doprowadzi, tak że życia Dina nie warto komplikować. Coś mnie powstrzymało, początkowo myślałem, iż to pyszałkowatość, ale potem zrozumiałem, że nie, pyszałkowatość nie miała z tym nic wspólnego.

Oczywiście marzyłem o tym, żeby stać się znanym aktorem, takim, o którym wszyscy mówią i piszą. Ale to nie z powodu próżności, a tylko po to, by udowodnić, że miałem rację wysnuwając swoją główną teorię, że moje nowe życie jest pełnowartościowe i o wiele szczęśliwsze. Oto dlaczego zaryzykowałem i zająłem się scenariuszem.

Pisałem go specjalnie pod siebie, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że powinienem grać w tym filmie główną rolę. Technicznie nietrudno było moją książkę o teatrze przerobić na scenariusz, oczywiście potrzebne były zmiany,

353

ale łatwo sobie z tym poradziłem. I popatrz tylko, co się stało. Pierwszy raz zmieniłem Dina. Wmieszałem w jego życie inne wątpliwości, inne ambicje. Dino nie był pisarzem, a ten, kto napisał scenariusz, nie był Dinem. I oto nagle wszystko się zawaliło, życie Dina przestało być krystaliczne, potknęło się i rozpadło na kawałeczki.

Potem spadły na mnie ciosy, pod którymi drzałem i kulilem się, tak jak kiedyś. Najpierw Alfred odmówił mi roli, nie mogłem w to uwierzyć, ale Alfred uważał, że jestem słabym aktorem. W samą porę, on rzeczywiście miał diabelną przenikliwość i zdolność wyczuwania talentów, on w ogóle nie lubił aktorów, nawet pogardzał nimi, pewnie dlatego wołał ciebie od tych wszystkich młodziutkich i ładniutkich aktoreczek.

Oczywiście miałem różne swoje sposoby na to, żeby dostać u niego rolę i wcale nie musiałaś z nim spać. Mój agent mógł wynegocjować sprzedaż scenariusza pod warunkiem obsadzenia mnie w głównej roli. Alfred pewnie by się zdziwił, ale na pewno nie domyśliłby się, jakie są tego powody. Nie chciałem jednak żadnych interwencji z zewnątrz, nie chciałem wpływać na swoje życie aktora. Uważałem, że powinno toczyć się samodzielnie. Zgodzisz się chyba ze mną, że fakt, iż dostałem rolę dlatego, że ty sypiałaś z reżyserem, jest bardziej zbliżony do prawdziwego życia, niż niezrozumiałe zachowanie mojego agenta. Wprawdzie w rezultacie przyszło mi wycofać scenariusz: tak jak się spodziewałem, niestety nie wszystko poszło gładko.

Potem dostałem list do Steve'a, gdzie opisywałaś, jak bywałaś z Alfredem, i wtedy zrozumiałem, że to już koniec.

Sama dobrze wiesz, że poszłaś do Alfreda nie dla mnie, ja byłem tylko pretekstem. On cię pociągał, wabiła cię magia jego talentu, aureola jego sławy. Ja sam już dawno przeczuwałem zbliżający się krach, wyczułem, że znów ci

przestają wystarczać. Oczekiwałaś ode mnie tego, czego Dino nie mógł ci ofiarować, co nie leżało w jego charakterze.

Znów się pomyliłem, trzeba było wszystko skończyć dużo wcześniej, jeszcze w przeddzień twojej przemiany, wierząc w swoją intuicję, tak jak kiedyś zrobił Steve. To wszystko jednak z powodu Dina, nie potrafił wyrzec się ciebie dobrowolnie, miał nadzieję, że zdarzy się jakiś cud. Oto jaki głupiec ze mnie, w rezultacie doszło do tego, że czytałem wszystkie szczegóły dotyczące twoich spotkań z Alfredem.

Nigdy nic tak bardzo mnie nie bolało, Jackie, nic nigdy przedtem ani nigdy potem. To dlatego, że czytając twoje zwierzenia nie potrafiłem się przeistoczyć, nie umiałem z powrotem stać się Steve'em. Zwykle mi się to udawało, a tutaj – nie.

Czy można słowami opisać ból? Nie, był nie do opisania! Po prostu zacząłem umierać. Nie od razu, od razu byłoby lekko, ale ja umierałem powoli, w męczarniach. Za każdym razem, kiedy patrzyłem na ciebie, kiedy ciebie dotykałem albo całowałem, myślałem o tym, jak łatwo potrafiłaś mnie zdradzić. Wtedy jakaś część mnie zamierała w męczarniach, w konwulsjach, wywrócona brutalnie na zewnątrz.

Teraz już prawie nic nie odczuwam, tak, tylko jakieś słabe echo, ale umieram nawet na samo wspomnienie tego, co przeżywałem kiedyś. Teraz to dla mnie najbardziej wzniosłe, niemal święte chwile mojego życia, myślę o nich jak o najpełniej przeżywanych; oto jakich zmian w nas dokonuje czas.

Wtedy jednak umierałem, rozumiejąc, że się z tego już nie wykaraskam, że wszystko już stracone i trzeba koniecznie cokolwiek przedsięwziąć. Zadzwoiłem do znajomych we Francji i twoje przeniesienie tam zostało załatwione. Wiedziałem, że znów nie udało mi się ciebie zatrzymać, że

znów mnie przerosłaś, że broń była gotowa do strzału, ale teraz Dino nie mógł do niej sięgnąć. Jedyne, co mi pozostało, to ukryć głęboko swój ból i pozwolić ci jak najszybciej odejść.

Nie wyobrażaj sobie tylko, że ja nadal mieszałem się do twojej kariery. To, że jesteś niebywale utalentowana, było wiadome wszystkim, więc twoje osiągnięcia są tylko twoją zasługą.

Byłem przekonany, że już cię więcej nie zobaczę, spotkaliśmy się jeszcze może ze dwa razy, i to wszystko. Co więcej, mnie się podobało bycie aktorem Dinem, wciąż jeszcze liczyłem na to, że zrobię ogromną karierę i szykowałem się na wyjazd do Hollywoodu. Zrozum, chciałem się uwolnić od ciebie, ale to nie takie proste jak w książce: kochałem cię, ale mnie zdradziłaś, nie potrafiłem ci tego wybaczyć i wiedziałem, że nie wybaczę ci nigdy. Wydawało mi się, że z biegiem czasu dzięki sukcesowi, dzięki innym kobietom potrafię wymazać cię z pamięci. Tak mi się jednak tylko zdawało, a to dlatego, że byłem Dinem, a on nie potrafił z góry przesądzać biegu spraw. Wyjechałaś i wtedy poczułem ulgę.

Potem próbowałem usunąć cię z pamięci. Nie ma teraz sensu wdawać się w szczegóły, ale spotykałem się z innymi kobietami, nie mniej pięknymi niż ty, nie mniej czułymi, a już na pewno niektóre z nich chciały i mogły ofiarować dużo więcej niż chciałaś i mogłaś mi dać. Jednak wciąż coś się nie układało. Teraz nie warto dokładnie tego roztrząsać, ale jakoś dziwnie, za każdym razem różne względy, czasem zupełnie nieistotne, stawały na przeszkodzie i rozstawaliśmy się. Aż nagle, w pewnym momencie, ze zdziwieniem zrozumiałem, że w moim życiu zupełnie wystarczy mi jedna kobieta. To było najważniejsze odkrycie: tylko jedna! Mnie samego to zaskoczyło, że to takie proste – nie wiem zupełnie dlaczego ciągle myślałem inaczej?

Usiadłem do pisania nowej książki. Dino zniknął w momencie, kiedy zacząłem ją pisać. Oczywiście oszedłem z teatru, który teraz stał się niepotrzebny, tak jak mój sukces aktorski i wiele innych rzeczy. Obecnie trudno mi samemu sobie uświadomić, jaka była moja myśl przewodnia: treść książki czy plan sprowadzenia cię z powrotem do mnie. Możliwe, że pomysł na książkę i pomysł spowodowania twojego powrotu powstały jednocześnie i nawet stymulowały się wzajemnie. Znowu wydawało mi się, że potrafię wszystko powtórzyć.

Wszystko jedno, Dino już nie istnieje, myślałem sobie. Poza tym teraz jest już zupełnie jasne, że nie miał szans, żeby cię przy sobie utrzymać. Przede wszystkim okazał się śmieszny w swoim zadufaniu i narobił mnóstwo błędów. Teraz, mając już doświadczenie, kiedy wiele zrozumiałem, mogę szczerze opowiedzieć o wszystkim i stać się tym, którego nie będziesz potrafiła odrzucić. Czy mogłem to zrobić? Tak! Dlatego że wiedziałem o tobie wszystko, ze szczegółami.

Przeniósłem akcję swojej nowej książki do Francji, wiedząc, że kiedyś się tam znajdę. Stworzyłem kierowcę wyścigowego Marcela, myśląc o tobie, Jackie; im dalej posuwała się praca nad książką, tym lepiej rozumiałem, jakim sam powinienem się stać w swoim nowym życiu, kiedy wrócę do ciebie. Krag się zamykał.

Napisałem książkę i wyjechałem do Stanów. Mój chirurg plastyczny poradził mi, żebym zwrócił się do psychiatry, ale to był pierwszy odruch, potem zgodził się na wszystko, jak zwykle decydującym argumentem okazały się pieniądze. Oczywiście wyniknęły też pewne trudności, po pierwsze – źle mówiłem po francusku, mieszkalem we Francji tylko trzy lata i do tego dawno, jeszcze jako uczeń. Po drugie – po to, żeby zostać kierowcą wyścigowym, potrzebna jest nie tylko wprawa, ale również talent, charakter i bezwzględność. Ale nie to było najważniejsze.

Najważniejsze było to, że nie byłem do końca przekonany, czy potrafię zacząć jeszcze raz nowe życie, zupełnie inne, wręcz kompletnie odmienne od poprzedniego.

Rozumiesz, Jackie, stać się Dinem, rozwinąć w sobie uczuciowość, wrażliwość – to jedno, w końcu każdy ma w sobie zadatki na aktora. Zupełnie inna sprawa to zniszczyć w sobie wszystkie uczucia, nie tylko strach i ból, ale również miłość, wrażliwość, a nawet zazdrość.

To rzadko spotykany przypadek, bo łatwiej jest niszczyć niż tworzyć. Czy możliwe jest zniszczenie części siebie tylko dlatego, że masz chęć niszczyć? Nie znałem odpowiedzi na to pytanie.

Oczywiście spotykałem takie przypadki. Znałem pewnego inteligentnego, sympatycznego człowieka, którego za jakieś głupstwo wsadzili do więzienia. Wyszedł stamtąd bez uczuć, zimny i ostry, z wieloma fatalnymi skłonnościami. Jednak jego sytuacja różniła się całkowicie od mojej, jego zmieniło środowisko, a ja musiałem zmienić się całkowicie dobrowolnie.

Znałem też inny przypadek. Mój przyjaciel z college'u, potulny i wrażliwy człowiek, który poświęcił się przede wszystkim poezji, po ślubie porzucił sztukę i zajął się biznesem. Spotkałem go po kilku latach i zupełnie nie mogłem rozpoznać, stał się ostry, chłodny i, wydawało się, bezkompromisowy.

Być może, myślałem sobie, niektórzy ludzie noszą w sobie kilka istnień i różne rzeczy mogą ich dominować, zależnie od sytuacji, którą trzeba tylko stworzyć. Czy ja tak nie mogę? Postanowiłem spróbować.

Długo pracowałem nad nową powierzchownością, piękno już mnie nie urzekało – ty byłaś ważniejsza od urody, w końcu to rozumiałem. W rezultacie osiągnąłem cel, niczego bardziej odpowiedniego z twarzą nie można było zrobić. Mój francuski, tak jak tego oczekiwałem, poprawił

się, zacząłem trenować szybka jazdę, wkrótce przyjechałem do Francji, stale jeździłem jak na wyścigach, przede wszystkim uciekałem przed policją, co jest najlepszym sprawdzianem kwalifikacji kierowcy. Kilka razy miałem wypadki i nakładali mi szwy na twarz i na resztę ciała, ale to tylko wzmacniało autentyzm.

Po upływie roku ścigałem się na górskich drogach, wybierając najtrudniejsze trasy, nie zwracając uwagi na ciemność, deszcz, wiatr, mgłę. Przygotowywałem się, dając z siebie wszystko; już od dawna do tego przywykłem. Potem wziąłem udział w miejscowym rajdzie amatorskim, i zwyciężyłem. Odkryli we mnie nadzwyczajną przebojowość, o którą ja sam nigdy siebie nie podejrzewałem. Poza tym nie straszna mi była śmierć, nie bałem się ryzyka, odwrotnie, podniecało mnie ono i kiedy inni zmniejszali prędkość, ja dodawałem gazu i z łatwością pokonywałem rywali. Właśnie determinacja pozwalała mi zwyciężać.

Potem znów zwyciężyłem, w ważniejszych wyścigach, ale również amatorskich, a później w jeszcze następnych i miejscowy klub zawodowy podpisał ze mną kontrakt, przyjmując mnie na zawodnika. To było osiągnięciem, dla którego nie żał mi było poświęcić dziesięciu lat. Wszystko to działało na moją korzyść: stałe napięcie utrzymywało moje ciało w doskonałej formie. Stałem się szczupły, umięśniony, silny, a operacje plastyczne odmłodziły moją twarz.

Potrzebny mi był jeszcze jeden rok. Zębami i pazurami piałem się w górę hierarchii miejscowego automobilklubu, każdej nocy pędziłem po górskich szosach, całymi dniami trenowałem na torze wyścigowym. Pewnego razu zwrócił na mnie uwagę organizator wyścigów. Napisał nawet do mnie list, po którym nazwałem go «Pisarzem» i ten przydomek do niego przylgnał. Wpisali mnie na listę startową, nie zwyciężyłem co prawda, ale byłem na trzecim miejscu.

Potem kiedyś tam jednak zwyciężyłem. Co jakiś czas zwyciężałem, ale na ogół byłem w pierwszej trójce albo piątce.

W końcu pomyślałem o tobie jak o bliskim i osiągalnym celu. Ciagle znajdowałaś się gdzieś obok mnie, ale nie śpieszyłem się. Chciałem uniknąć pomyłki, wiedziałem, że to moja ostatnia szansa, i nie chciałem jej stracić z powodu niepotrzebnego pośpiechu.

Pewnego dnia stałem przed lustrem i nagle zrozumiałem, że nie zostało we mnie ani krzty mnie dawnego. Nawet myśl, że między mną, René, zawodowym kierowcą, wyścigowym, a ślamazarnym Dino, a tym bardziej neurasznicznym Steve'em może być jednak coś wspólnego, była jakby bluźniercza. Emanowały ze mnie agresywność i chłód, siła i bezkompromisowość w stosunku do siebie, do życia, a także w stosunku do wszystkich, którzy są razem ze mną. Pomyślałem sobie nawet: „Jak łatwo można siebie zmienić”. Ta myśl natychmiast mnie opuściła, René nie lubił myśleć ogólnikami. Ale właśnie w tym momencie po raz pierwszy pomyślałem o tobie jak o kimś realnym.

Powinnaś wiedzieć, że biorąc udział w wyścigach przyzwyczałem się do dokładnego analizowania wszystkiego i obmyślenia taktyki odpowiednio wcześniej. W tym tkwiła moja siła – w przewidywaniu i kalkulowaniu. Nie można wierzyć w przypadki, trzeba nauczyć się na nie odpowiednio szybko reagować, tak czy inaczej, zawsze trzeba się liczyć z nieprzewidzianym przypadkiem. Jeżeli chodzi o ciebie, to też wszystko sobie przekalkulowałem, jeszcze na długo przedtem, zanim podszedłem do ciebie w kawiarni. Oczywiście mnie nie poznałaś, ale, tak jak przewidywałem, zareagowałaś na moją twarz, na mój głos. Nie przewidywałem, że będziesz taka – twój mądry, ciepły i delikatny sposób bycia zaskoczył mnie, ale ja przecież także nie przypominałem w niczym przypadkowego podrywacza, wyżywającego się

w ulicznych znajomościach. Nie mieściłem się w standardzie i pewnie dlatego cię zainteresowałem.

Z upływem lat stałaś się jeszcze piękniejsza, jest taki typ kobiet, które pięknieją, dobiegając czterdziestki. Patrzyłem na ciebie i myślałem, że oczywiście kocham cię, ale nie odczuwam miłości. Tak samo jak nie odczuwam zdenerwowania, strachu, tylko spokojną, świadomą własnej siły pewność, że moja miłość zostanie przyjęta i odwzajemniona. Najważniejsze, że nadal pozostałem sobą, tym, kim byłem przez ostatnie dwa i pół roku: prawdziwym kierowcą wyścigowym, który nie mógł sobie pozwolić na omyłkę.

Nie planowałem, że cię zgwałcę, to był przypadek, zrodzony przez okoliczności, wąską uliczkę, wino, pocałunki, ślepy zaułek. Tego nie można liczyć, to tak jak na trasie wyścigu, kiedy nie masz czasu na zastanowienie się, tylko działasz intuicyjnie, w mgnieniu oka, na milimetry. Tak samo i tutaj, wiedziałem, że mnie nie odepchniesz, co więcej, okazana przeze mnie siła okaże się dla ciebie pociągająca.

Potem znów byliśmy szczęśliwi, przez wiele miesięcy, tak jak na pewno nie byliśmy szczęśliwi nigdy dotąd. Zrozumiałem to od razu, kiedy odmówiłaś Steve'owi relacji o tym, jak się kochamy ze sobą, chociaż Steve nastawał, prosił, nawet groził. Odmówiłaś mu wtedy. A ja pomyślałem sobie: «To już koniec, jesteśmy na zawsze razem». Myślę, że rozumiesz, Jackie, zdrada rozpoczyna się właśnie od ujawnienia tajemnicy, tajemnicy, która dotyczy tylko dwojga. Pamiętasz, mówiłem ci, ukochana, że jesteśmy z tobą, w sprzysiężeniu przeciwko całemu światu, a sprzysiężenie zostaje zdradzone przeważnie wtedy, kiedy się o nim opowiada komuś postronnemu. Tak było z Dinem. Twój pierwszy list do Steve'a z opisem sceny miłosnej był początkiem twojej zdrady. Tym razem jednak odmówiłaś i uwie-

rzyłem w swoje zwycięstwo. Myślałem, że zwyciężyłem ciebie i siebie także, tego z poprzedniego życia, myślałem, że teraz będziesz tylko moja, dopóki starczy mi sił, pasji i życia.

Teraz rozumiem, że we mnie, w tobie i w naszej miłości była spora doza nienormalności. Nie tej chorej, patologicznej nienormalności, którą przytłumia się tabletkami, ale ledwie wyczuwalnej, trudnej do określenia, subtelnej, ulotnej, prawie nie do uchwycenia. Denerwowało mnie na przykład, kiedy ty, będąc ze mną, bez najmniejszego skrepowania opowiadałaś mi o tym, jak się kochałaś ze Steve'em albo z Dinem. Twoje zwierzenia bulwersowały mnie tak mocno również dlatego, że były uzupełniającym dowodem: oni, ci dwaj bohaterowie twojego życia, zostali powierzeni mnie, René. Do tego twoje opowiadania nakładały się na moje własne wspomnienia, które w takich chwilach – i tylko w takich – przywoływałem. Rozumiesz, ukochana, wszystko, absolutnie wszystko, świadczyło o tym, że prawidłowo oceniłem sytuację, że będziemy już na zawsze razem, że dokonałaś w końcu wyboru i jest on ostateczny.

A potem miałem wypadek. Oczywiście specjalnie się podstawiłem. Nieraz potem pytałaś mnie, dlaczego to zrobiłem. Wtedy ci nie odpowiedziałem. Rzecz jasna, nie miałem zamiaru ryzykować swojego życia dla pieniędzy, pieniądze mnie specjalnie nie interesowały. Nawet nie z powodu wyścigu. Nie uwierzysz, lecz ja zrozumiałem, że ten wypadek miałem z twojego powodu.

Wiem, to zakrawa na bzdurę, jak kiepski film, ale zrozum, musiałem się dowiedzieć, na ile silna jest twoja miłość. Znałem twoje poprzednie zdrady, widocznie w głębi duszy pozostał ślad i musiałem się koniecznie upewnić, że tym razem miłość i nadzieja zapadły ci w serce i osiadły tam na stałe.

Musiałem, chociaż na krótki czas, stać się niedołącznym i potrzebującym pomocy, stać się słabszym od ciebie,

przestać być ciągle gotowym na zawołanie okazywać ci miłość. Chciałem stać się niedołącznym, by przekonać się, czy w następnym liście nie zaczniesz żalić się Steve'owi na to, że René jest chory i że teraz możesz tylko wspominać jak jeszcze niedawno robił z tobą to czy tamto... Potem nastąpiłby szczegółowy opis, który naruszyłby pieczęć tajemnicy.

Oczekiwałem na twoje wyznania, nastawiłem się na nie, ale pomyliłem się. Tak jak przedtem byliśmy sprzysiężeni i pieczęć nie została złamana. Czułem się szczęśliwy, wydawało mi się, że razem pokonamy ryzykowną drogę życia. Lecz z czasem twoje czyny zaczęły przeczyć słowom i czułem już gorzki smak porażki – była coraz bliżej i bliżej każdego dnia.

Potem zrozumiałem, że przegrałem. Nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem przegrywać i kiedy ty przejęłaś prowadzenie. A gdy to wreszcie spostrzegłem, było już za późno – przegrałem. Teraz już wiem, dlaczego tak się stało, w czym okazałaś się silniejsza. W miłości! Ty zawsze pokonywałaś mnie w miłości: zawsze kochałem ciebie bardziej, niż ty mnie. Teraz też moja miłość okazała się moją jedyną słabością, moją piętą achillesową i ty trafiłaś w nią, po mistrzowsku, nawet nie celując.

Za każdym razem, dzięki miłości czy wrodzonemu instynktowi, opanowywałaś mnie, potrafiłaś mną zawładnąć i dzięki temu sama potrafiłaś się wyswobodzić spod mojej władzy. Tak działo się za każdym razem, tak też stało się teraz. Czułem, że znów uzależniłem się od ciebie i że ty to zauważyłaś.

Jeszcze nie rozumiałem, że nigdy nie będziemy sobie równi. Tak samo było ze Steve'em, kiedy byłaś młodziutką, naiwną, niczego nie umiejącą dziewczyną. Ale dogoniłaś go, a potem przegoniłaś, co więcej wyślizgnęłaś mu się

i on z ciebie musiał zrezygnować. Tak samo było z Dinem. Początkowo on celował wyżej, ale ty się przystosowałaś – jesteś przecież zdolna i wykształcona – znów wzbiłaś się w górę i przewyższałaś go, a on cię stracił. To samo stało się z René. Zdawało mi się, że pokonałem wszystkie bariery, rozerwałem wszelkie ramy, myślałem, że to tylko kolejny nowy rozdział, że nie trzeba podnosić poprzeczki, dlatego że poprzeczki już nie ma. Okazało się, iż nie miałem racji.

Kiedy powiedziałaś, żebym zaprosił swojego kolegę, zrozumiałem, że przegrałem. Wiedziałem na pewno, że nie żartowałaś i chciałaś tego, dopiero potem starałaś się wszystko obrócić w żart. Na samym początku sprawdzałaś grunt jak sonda i gdybym tylko powiedział słowo, ty byś się zgodziła.

Wtedy zrozumiałem, że to tkwi nie we mnie, lecz w tobie. Nie zdobędę cię nigdy, bo jesteś nie do zdobycia, ty nie zaczynasz nowego rozdziału. Jesteś jak narkoman, który przywykł do dawki i codziennie musi mieć następną, jeszcze mocniejszą. Nie uspokoi się, póki nie umrze z jej braku. Czy istnieje przedawkowanie w miłości, w seksie? Nie wiem, ale nie chciałem się tego dowiadywać, w każdym razie będąc z tobą.

Nie mogłem przeprowadzać tego eksperymentu na tobie, Jackie, na naszej miłości. Ale dla ciebie wiedza była najważniejsza, zrozumiałem, że się nie zatrzymasz, dopóki się nie przekonasz. Może nie zaraz, ale już określiłaś swój cel, zataiłaś go tylko, lecz prędzej czy później poczujesz przymus zrealizowania go, to tylko kwestia czasu i okoliczności. Znów mnie zdradzisz. Jestem bezsilny. I znów nie mogę niczego zrobić.

Została mi jedyna możliwość – nie czekać na twoją przemianę, uprzedzić ją i odejść z twojego życia całkowicie i na zawsze. Nie miałem wyjścia, Jackie, powinnaś zrozumieć, że nie zostawiłaś mi żadnego wyboru. Kochałem

cię i umierałem z miłości, ale gdybym się zagapił i spóźnił, umarłbym rzeczywiście już na samym początku. Ty też. Wiedziałem o tym, bałem się, wahałem. Powinnaś to zrozumieć.

Zacząłem wszystko analizować, sytuacja nie była już prosta: gdybym zniknął, w twoim życiu zostaliby Steve i Dino, w każdym razie ty byś tak sądziła. Nie powinienem zniknąć całkowicie, nie dając ani tobie, ani sobie szansy. To dziwne, ale śmierć Alfreda podpowiedziała mi rozwiązanie. Żałowałem go, był zabawnym staruszką i nawet nie czułem do niego urazy. A teraz wręcz mi pomógł.

Wiedziałem, że w przypadku Dina czujesz patologiczną zazdrość, wystarczy przypomnieć chociażby to, jak rozprułaś kanapę w jego mieszkaniu. Oczywiście, ta zazdrość rozwinęła się i oparła na twoim poczuciu dominacji nad Dinem, na przekonaniu, że on należał i zawsze będzie należeć tylko do ciebie. Przy czym nie chcę analizować twojego chorego opętania nim, przede wszystkim wiedziałem, że jego strata będzie dla ciebie szokiem, wstrząsem, po którym nie będziesz mogła się pozbierać. Że nie potrafisz go zapomnieć.

Pewnie sama rozumiesz, że mnie niezręcznie było tak zaaranżować sytuację, żeby Dino przestał do ciebie pisać. Wprowadziłem więc do mieszkania, wynajętego na nazwisko Dina, pewną dziewczynę, aktorkę z teatru, nie znałaś jej, bo poznałem ją już po twoim wyjeździe z Włoch. Wszystko stało się tak, jak przewidziałem. Zadzwońska pod właściwy numer, a ona ci naiwnie odpowiedziała. Nie obyło się bez niewielkich potknięć, na przykład nie spytała cię o twój obcy akcent, ale ty tego nawet nie zauważyłaś i nie połapałaś się. Potem przekonałem cię, że muszę koniecznie sam pojechać do Włoch, popatrzeć, sprawdzić. To nie było trudne, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znaj-

dowałaś. Przyjechałem do Rzymu, przygotowałem wszystko na twój przyjazd i zadzwoniłem do ciebie.

Wahałem się, kiedy wykręcałem twój numer. Przeszedłem dziwną metamorfozę, być może miały w tym swój udział Włochy, a może to, że Dino przejął w swoim życiu trochę z René. Nie byłem już tak twardy i zacząłem powątpiewać w konieczność realizacji swojego planu. Czy pamiętasz, jak zapytałem, czy chcesz, żeby Dino zniknął z twojego życia raz na zawsze? Postanowiłem, że jeżeli powiesz «nie», to wszystko powstrzymam. Ty jednak milczałaś, wiedziałaś przecież, o co pytam, zapytałem dwa razy, a ty dwa razy nic mi nie odpowiedziałaś. Wyraziłaś milcząco zgodę na jego zabicie i przez chwilę przestałem cię żałować. Zabiłem Dina ze spokojem i z czystym sumieniem.

Rozumiesz pewnie, że wykradzenie z kostnicy trupa podobnego do Dina, przebranie go w jego rzeczy i zaaranżowanie całej sprawy tak, by pod nazwiskiem Dina został pochowany na cmentarzu, nie było przyjemne, za to tak proste, że nawet nie chce mi się o tym pisać. Oczywiście bałem się na każdym kroku, bo pień całej intrygi miał wiele suchych gałązek. Mogłaś na przykład wypytać znajomych, mogłaś zatelefonować do Florencji, przejść się po sąsiadach.

Postanowiłem przewidzieć wszystkie możliwe warianty, ale moja ostrożność okazała się zbyt duża. Ty prosto z lotniska pomknęłaś do mieszkania Dina. Nie bałem się, że pójdziesz na policję i oskarżysz René o zabójstwo, bo sama byłaś jego częścią. Do tego w twoim charakterze nie leżało bieganie na policję, nawet w tym opłakanym stanie, w jakim się znajdowałaś. Musiałem się jednak śpieszyć, bo przewidziałem twój następny krok, więc powinienem wyprzedzić cię o kilka dni. Poleciałem do Stanów.

Moja łódka stała przycumowana w porcie, a domek, w którym jakoby mieszkał Steve, istniał rzeczywiście,

żałosny, tani domek, na końcu zabitej deskami wsi. Pisałem w nim kiedyś powieść o aktorze i zaniedbany, nie całkiem świadomy rzeczywistości, nieobecny duchem dobrze poznałem się z mieszkańcami okolicznych, tak samo żałosnych domków.

Już wtedy, kiedy opracowywałem plan dotyczący Dina, rozesłałem naszym wspólnym znajomym listy w imieniu Steve'a z prośbą, żeby ci je przekazali. Przygotowałem się do tego solidnie, ale nie przewidziałem, że natkniesz się od razu na fajtlapę Boba (prawda, że okropnie się posunął?), a potem przeczytasz miejscową gazetę. Nie sądziłem, że wszystko potoczy się tak zadziwiająco gładko.

W rzeczywistości najciężej musiałem się napracować na oceanie, kiedy nocą, w pojedynkę, próbowałem przewrócić jacht, który okazał się piekielnie stabilny, zupełnie tego nie oczekiwałem. Męczyłem się z nim ze trzy godziny i zdrowo się namachałem, dopóki nie dopiąłem swego i nie pozostawiłem go kołyszącego się na falach dnem do góry. Znaleźli go następnego dnia i po numerze określili właściciela, czyli Steve'a, którego zresztą sąsiedzi od dosyć dawna nie widzieli. Wobec tego wszyscy zgodzili się, że to on był w łodzi, bo któżby inny mógł tam być?

Natychmiast potem pośpieszyłem do Francji i wyprzedziłem cię zaledwie o kilka kroków. Tutaj wszystko było o wiele prostsze, bo tym razem miałem się posłużyć samochodem. Musiałem tylko znów wynaleźć i wykraść z kostnicy nowego zastępcę, tym razem nie musiał być do mnie podobny, ponieważ tak zręcznie zepchnąłem samochód z urwiska, że odróżnienie szczytków maszyny od szczytków człowieka gołym okiem było niemożliwe. A zresztą, kto by się starał je identyfikować, skoro zaginięcie René w nikim nie wzbudziło podejrzeń, wszystko się zgadzało. André wiedział, że jadę z Włoch i bardzo się śpieszę, cały w nerwach z powodu twego zaginięcia.

Pamiętam, jak stojąc na skraju urwiska patrzyłem na wolno rozbijający się samochód i nagle poczułem, że rzeczywiście uśmierciłem Steve'a, Dina, a teraz jeszcze René i że nie ma już powrotu. W tym momencie sam poczułem się jak nieboszczyk, jak ktoś, czyje życie się skończyło. Powiedziałem nawet głośno do siebie: «No, to już koniec». Tak właśnie się w tej chwili czułem, ale w odróżnieniu od zmarłych, którzy nie mogą już liczyć na dalszy ciąg, ja jeszcze miałem życie przed sobą.

No cóż, Jackie, teraz w końcu wiesz, dlaczego zginęli ci wszyscy, których kochałaś i którzy tworzyli właściwie całe twoje życie. Widzisz, ukochana, prawdziwe życie okazało się doskonalsze niż mogłaś sobie wyobrazić. Uważałaś, że kochałaś trzech różnych, zupełnie niepodobnych do siebie mężczyzn, których różnorodność uczyniła twoje życie niezwykłym, wypełniając je niecodziennymi doświadczeniami. W dodatku myślałaś, że oni wszyscy są martwi. Tymczasem okazało się, że jest zupełnie inaczej. W twoim życiu, Jackie, istniał tylko jeden człowiek, którego kochałaś i którego będziesz kochać wiecznie. W dodatku okazało się, że żyje. Można nawet powiedzieć, że jego życie stało się patetyczne.

To było znakomitą lekcją, również dla mnie, nigdy nie wiedziałem, co to patos życia, być może to jedyna rzecz, jakiej się nie nauczyłem. Ale nie przypuszczałem, że za wszystko zaczniesz siebie winić, że ta historia skończy się dla ciebie tragicznie, że się rozchorujesz. Nie chciałem zadawać ci bólu, wierz mi, przecież kocham ciebie, Jackie, i zawsze będę. Pomyliłem się jednak. Nie wiedziałem, że z upływem lat nie zrzucisz z siebie ciężaru odpowiedzialności za to, co się stało w przeszłości, a wprost przeciwnie, że będzie cię to ścigać i prześladować. Naprawdę nie chciałem tego i dlatego próbowałem ci pomóc uwolnić się od przeszłości, opisując i wyjaśniając wszystko, byś mogła pozbyć się poczucia winy.

Przypuszczałem, że wrócisz do naszego starego domu w Maine, musiałaś koniecznie побыć jakiś czas sama ze sobą, ze swoją przeszłością, żeby rozliczyć się ze wspomnieniami, nie można było znaleźć lepszego miejsca, niż ten stary dom nad brzegiem oceanu. Dlatego też musiałaś natrafić na ową starą, ręcznie wykonaną książkę, z dziwnymi, czasem zdawać by się mogło niepotrzebnymi, myślami, czymś w rodzaju moich osobistych notatek. Specjalnie chciałem, żeby ona, jak cząstka mnie, przywołała twoje wspomnienia i cofnęła cię w przeszłość. Wiedziałem, że właśnie w taki sposób, dzięki myślom przelany na papier, stanie się tobie pomocna.

Chciałem, żebyś sama się wszystkiego domyśliła, i dlatego umieściłem w książce liczne podpowiedzi. Czy przypominasz sobie na przykład opowieść o tancerzu, który stracił wiele, żeby zrozumieć, że w jego życiu była tak naprawdę tylko jedna kobieta? Albo o malarzu, który zainscenizował własne samobójstwo, napisałem to specjalnie dla ciebie i nawet zatytułowałem «Ostatnia podpowiedź»? Ale ty się niczego nie domyśliłaś. No cóż, widocznie moje podpowiedzi okazały się zbyt zagmatwane.

Jeszcze jedna, ostatnia rzecz. Wiesz, Jackie, wiele razy zadawałem sobie jedno pytanie: czy osiągnąłem swój główny cel i przeżyłem kilka istnień? Czy udało mi się przechrzyć przeznaczenie? Kiedyś być może sama zechcesz mnie o to zapytać. Nie teraz, później, kiedy wszystko dokładnie przeanalizujesz i będziesz potrafiła zajrzeć pod zewnętrzną warstwę mojego opowiadania. Wtedy, wracając ciągle i ciągle, czytając któryś raz te same stronicę, zadasz na pewno to pytanie. A ja wtedy nie będę miał możliwości, żeby ci na nie odpowiedzieć – tylko teraz.

Czasem myślę – no cóż, stało się. Przeżyłem każde wcielenie w pełni, po swojemu, dramatycznie, tak jak przystoi w pełnowartościowym życiu. Muszę jednak przyznać w tym

momencie, że moje doświadczenie się nie udało. Nie udało się dlatego, że w żadnym wcieleniu nie mogłem osiągnąć poziomu mojego podstawowego, pierwszego, życia. Tak czy inaczej, znów mnie do niego ciągnęło, ale nie mogłem zatrzymać się i powrócić.

Jak to wyjaśnić? Okazałem się nijakim wykładowcą, nie najlepszym aktorem i przeciętnym kierowcą wyścigowym. Widocznie nie byłem też najlepszym kochankiem, inaczej, ukochana, nigdy byś mnie nie zdradziła. Teraz pojąłem, że od początku byłem skazany na niepowodzenie. Czy rozumiesz, że traktując życie jak zabawę, jak grę, przez cały czas patrzyłem na nie z punktu widzenia pisarza, człowieka, dla którego również własne życie jest wymyśloną historią i opisaną intrygą. Za każdym razem, kiedy w kolejnym stworzonym przez siebie życiu osiągałem zamierzony sukces, moja podświadomość nakazywała mi wszystko porzucić i wracałem do początku, do tego, co wydawało mi się najważniejsze.

Widzisz, Jackie, oto jeszcze jedna książka została ukończona.

Na pewno nie zwróciłaś uwagi na tytuł książki, którą teraz czytasz. Nazwisko autora też ci pewnie nic nie mówi, niezwykle imię ze słowiańskim posmaczkiem. Jestem pewien, że przeskoczyłaś pierwszą część, to grubaśna książka, a ty musisz od razu zrozumieć, dokopać się do sedna, dlatego zaczęłaś czytać ją od końca. Mam chyba rację?

Jeżeli jednak spojrzysz na tytuł, to zobaczysz, że książka jest zatytułowana *Fantazje kobiety dojrzałej* – twoje fantazje, Jackie. Poświęcona jest tobie, tak jak wszystkie poprzednie. Nie wiem, czy domyśliłaś się, że C.J. to ty – pamiętasz, kiedyś nazwałem cię dla żartu «Chłopcem Jackie». Pozostałaś dla mnie już na zawsze tą samą miłą,

śmieszna Jackie, którą spotkałem wiele lat temu i pokochałem na całe życie.

Zresztą ta książka została napisana nie tylko dla ciebie, lecz także o tobie i o nas. Ty sama opowiadasz w niej naszą historię. Zaczyna się ona w momencie, kiedy przyjeżdżasz do naszego domu w Maine, żeby pomieszkać samej i wszystko przeanalizować. Spójrz na pierwszą stronę. Przeczytasz tam: *Podoba mi się to uczucie. Czuję się dziwnie niezdarnie, niezdarnie aż do absurdu. Wydaje mi się, że części mojego ciała, zawsze tak proporcjonalne i tak zgrabnie ze sobą współpracujące, teraz zostały wymienione na nowe, nieprzyzwyczajone do siebie i nie dotarte... – to wszystko o tobie.*

Wiem, że się zdziwisz, tak jak ja sam się dziwię, że przeżyłaś życie, które ja wymyśliłem i opisałem. Nie mogę ci wyjaśnić, jak to się stało, bo sam nie rozumiem. Zostawiam ci przyszłość, moja miłości, i dlatego stawiam wielokropek...”

Kobiety mnie fascynują...

Urodzony 26 X 1959 r. Anatolij Rozowski nigdy nie odczuwał potrzeby ożenku. Gdy miał dziewiętnaście lat, poznał i pokochał w Moskwie piękną Marinę, która jednak wkrótce wyjechała z kraju. Nie widzieli się długo, a potem, po wielu latach, znów się spotkali. Obecnie są ze sobą od niemal dziesięciu lat i mają sześciolatniego synka Eliota, który mieszka wraz z Anatolijem w amerykańskim Bostonie. Marina mieszka w Niemczech i często się odwiedzają.

– Taki związek jest niezbyt typowy, wiem – mówi Anatolij – lecz w moim przypadku stanowi on kompromis pomiędzy tym, że jestem pisarzem, a tym, że mam kogoś, kogo naprawdę kocham.

– *Lektura Fantazji nasuwa pewność, że wie Pan bardzo wiele o kobietach, o ich wnętrzu, psychice, a zwłaszcza o marzeniach erotycznych. Czy tak szeroką wiedzę zawdzięcza Pan osobistemu doświadczeniu?*

– W swoich wcześniejszych związkach z kobietami nigdy nie ukrywałem, że nie chcę i nie zamierzam się żenić. Temu zawdzięczam, że kobiety, które spotkałem w życiu, były ze mną absolutnie szczerze i niczego przede mną nie ukrywały. Łączy się to z wyeliminowaniem z kontaktów męsko-damskich pragmatyzmu...

– ???

– Pragmatyzm w związku uczuciowym z partnerem wyklucza szczerłość. Z tym tylko, że nie zawsze jesteśmy świadomi tego, że ów pragmatyzm to bynajmniej nie pieniądze, willa w dobrej dzielnicy, luksusowy samochód i tak dalej – innymi słowy, nie chodzi tu o rzeczy materialne. Przez pragmatyzm rozumiem zwykłe ludzkie pragnienia – ożenić się, mieć dzieci, zamieszkać razem... Taki pragmatyzm przenika nasze życie codzienne, w ogóle stosunki międzyludzkie. Poza tym niszczy, a przynajmniej zmniejsza w nich szczerłość. Tylko wtedy, kiedy dwoje ludzi nie żąda od siebie niczego szczególnego poza czystą miłością, tylko

wtedy jedno może otworzyć przed drugim swoją duszę, obnażyć swoją psychikę. Tak więc, paradoksalnie, ludzie mogą być ze sobą zupełnie szczerzy, o ile nie planują wspólnej przyszłości – przynajmniej jako rodzina.

– *Rozumiem zatem, że kobiety Pańskiego życia były z Panem szczerze?*

– Nie inaczej. Miałem to szczęście. Zadawałem pytania i uzyskiwałem odpowiedzi. Opowiadały mi szczegółowo o swoim życiu, romansach, miłościach, uczuciowych porażkach i sukcesach, o swoich pragnieniach. W ogóle kobiety mnie fascynują – ich jakże inna od męskiej psychika, niemal metafizyczna intuicja, sposób myślenia, w ogóle dusza.

– *Zatem materiału na powieści ma Pan do końca życia?*

– Nie, ja nie piszę wyłącznie o nich. Obecnie jestem w trakcie pisania serii książek pod wspólnym tytułem *Pewnego razu w Rosji*. Każdy tomik zawiera i będzie zawierał inną opowieść obyczajową, osadzoną w rosyjskich realiach, a łączą ją osoby głównych bohaterów. Bogata fabuła, dużo humoru, a jednocześnie pewien rodzaj intelektualnego wyrafinowania, który uwielbiam. Uprzedzam Pana pytanie: są to książki dla masowego czytelnika, nie tylko dla krytyków literackich. W ogóle uważam, że literatura, która opiera się działaniu czasu, musi mieć dwie cechy – bawić czytelnika i przykuwać jego uwagę od pierwszej do ostatniej strony. Jednocześnie jednak musi bezwzględnie otwierać przed nim zupełnie nowe obszary, na przykład przybliżyć niezwykle, oryginalne czy też nieortodoksyjne poglądy autora na życie i stosunki międzyludzkie albo przedstawiać ich nową interpretację. Tak jak to robił np. Szekspir.

– *Zgoda, z tym że jego postacie mają charakter zgoła uniwersalny. Natomiast bohaterowie Pańskich książek? Chodzi mi o kobiety... czy są to typowe Rosjanki, Amerykanki, a może, by tak rzec, obywatelki świata?*

– Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć. Należę do kultury rosyjskiej, a przez to i do słowiańskiej. Są mi one bliskie i kocham je. Lecz z drugiej strony bardzo długo przebywałem w obszarze kultury zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej. Oczywiście różnią się one od rosyjskiej, jednak... nie przesadzajmy! Tak to ujmę.

Bohaterka innego mojego utworu, *Amerykańska opowieść* (ukaze się w 2005 r. nakładem Bellony – *przyp. red.*) ma w sobie znacznie więcej cech rosyjskich niż bohaterka *Fantazji*. Są to dwa odrębne światy.

– *Jest Pan pisarzem znanym i cenionym w Rosji i w Ameryce. Co uważa Pan za najważniejsze dla siebie – człowieka pióra?*

– To, żeby żyć w zgodzie z samym sobą, a niezbędna ta harmonia ma odniesienie do sfery pracy, stosunków z ludźmi, stylu życia, jego rytmu. Nienawidzę przy tym życia statycznego – zastoju umysłowego, fizycznego, emocjonalnego. Potrzebuję dynamiki, ruchu, ekspresji, stałej konieczności zrobienia następnego kroku, gdy już uczyniło się pierwszy. Wszystko po to, żeby osiągnąć coś nowego. W pisaniu i w codzienności. Nie chodzi mi przy tym o przełożenie tego na konwencjonalne sukcesy, choć one też są ważne, ale na osiągnięcie pełni i radości życia, we wszystkich aspektach. Proszę jednak nie myśleć, że jestem osobą, ponadprzeciętnie czy wręcz nienormalnie aktywną. Uwielbiam intymność, ciszę i spokój. Jednak energia życia ładuje, można powiedzieć, moje „prywatne baterie”.

– *Jakie ma Pan hobby?*

– O, pasjonowałem się wieloma sprawami: nauką, sportem, polityką, sztuką, kinem. Powiem tak: moim największym hobby jest życie jako takie, we wszystkich jego odcieniach i niuansach.

– *Życie to także kuchnia i kulinaria, domena kobiet, które podobno poznał Pan na wskroś...*

– Uwielbiam dobrze zjeść, lubię kuchnię rosyjską, francuską, włoską, tajską, a nawet amerykańską. Lecz nie jestem wyrafinowanym smakoszem, potrafiłbym przeżyć karmiąc się prostymi, niewyszukanymi potrawami. Z mocniejszych trunków lubię czerwone wino, szkocką whisky, ale tylko „single malt”. Zwykła wódka też, ale jako dodatek do odpowiednich potraw i we właściwych okolicznościach. Na przykład gdy po powrocie z zimowego spaceru w lesie człowiek wchodzi przemarznięty na kość do ciepłego domu, nie ma jak setka czystej do gorącego rosyjskiego barszczu.

Rozmawiał: Bartłomiej Zborski